

KATE J. ARMSTRONG

PRZEŁOŻYŁA
OLGA DZIEDZIC

NIGHTBIRDS

NOCNE PTAKI

 WIELKA LITERA

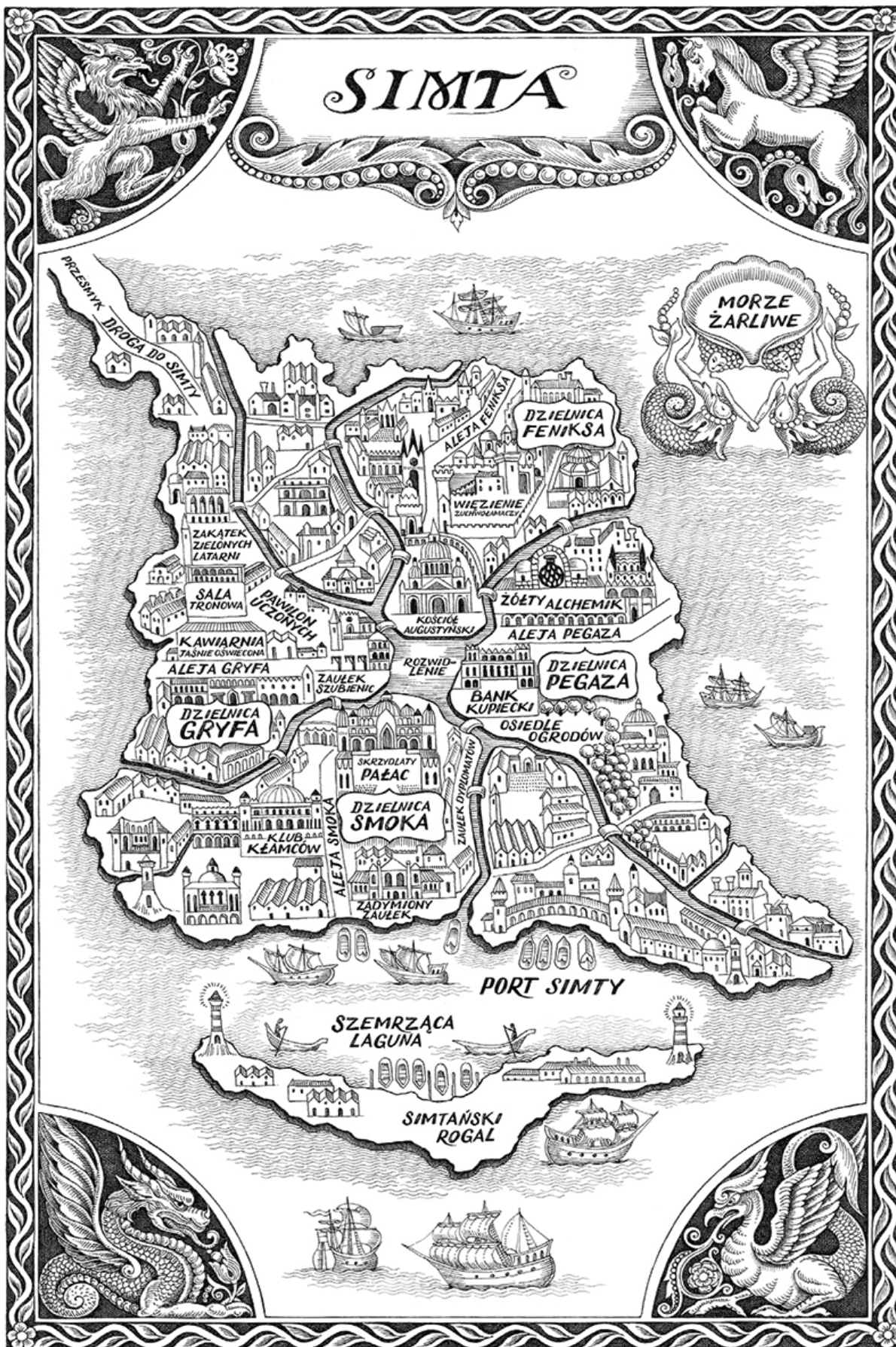
KATE J. ARMSTRONG
NIGHTBIRDS
NOCNE PTAKI

PRZEŁOŻYŁA
OLGA DZIEDZIC

 WIELKA LITERA

*Mojej mamie,
dzięki której wszystko jest magiczne*

SIMTA



PROLOG

MAGIA W POCAŁUNKU

PANICZ TENERIFFE MAYLON całe życie słyszał plotki. Krążyły na skraju sal balowych, prześlizgiwały się w przyciszonych rozmowach przy kieliszku porto. „Nocne Ptaki odmienią twój los”, obiecywały. „Wystarczy pocałunek, a ich magia będzie twoja”.

O ile zdołasz je znaleźć, rzecz jasna, i spełnić warunki. To przywilej, za który ma teraz słono zapłacić.

W końcu wolno mu zdjąć z oczu przepaskę. Przez chwilę widzi jedynie jasne płomienie świec malujące okręgi na ścianach w kolorze intensywnego fioletu. Z mroku wyłania się kobieta: siedzi za biurkiem, ubrana w suknię z wytwornego aksamitu. Jej twarz spowija ciemna maska z piór, otwory na oczy przesłania siateczka. Tenny zna tylko pseudonim kobiety: Madame Kruk.

Madame wyciąga dłoń w rękawiczce, pozwala, by zawisła w powietrzu.

– Zapłata.

Palce trochę mu się trzęsą, gdy podaje jej sznur rubinów. Właśnie dlatego wpada w tarapaty przy stolikach do gry w krellena: drżenie rąk to oczywista wskazówka. Nawykł do tego, że pieniądze się go nie trzymają, choć zwykle rozstawał się z monetami, a nie kosztownościami, które świsnęły ze szkatułki matki. Wstyd ma posmak gorzkiego osadu z dna butelki wina. Tenny jest zmęczony, ma zszargane nerwy: musi unikać bezwzględnego wierzyciela i chronić się przed wściekłością ojca, której nie da się uniknąć, gdy na jaw wyjdą coraz większe długi syna. Ostatnio po prostu nie miał szczęścia, ale dziś wieczorem to się zmieni.

Madame Kruk owija rubiny wokół palców. Ciemne klejnoty zdają się pochłaniać światło.

– A twój sekret? – domaga się.

Pot spływa mu za kołnierz.

– Klejnoty to chyba wystarczająca zapłata?

Madame unosi brew.

– Sekrety chronią moje dziewczyny lepiej niż klejnoty, choćby najpiękniejsze. Zdradzisz mi swój sekret albo nic nie dostaniesz.

Tenny wzdycha i podaje jej karteczkę, na której dziś po południu zapisał, że to on zabrał rubiny matki. Na dokładkę dorzucił też sumę swoich długów i flirt z pokojówką rodziny. Powierzenie tych tajemnic Madame Kruk to nie lada ryzyko, ale wie, że same pieniądze nie pozwolą mu przekroczyć progu tego przybytku.

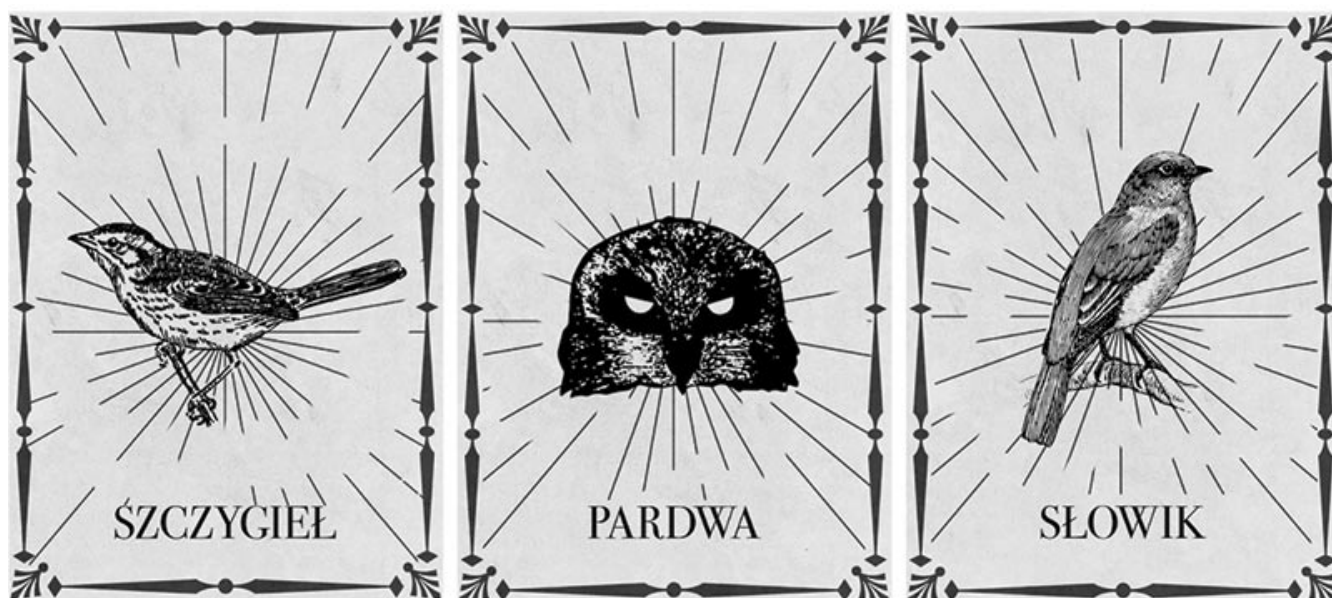
Madame odczytuje jego sekrety, po czym składa karteczkę. Trzyma nad płomieniem świecy laskę fioletowego wosku, aż zrobi się płynny. Puls Tenny'ego przyspiesza, gdy Madame kapie woskiem na złożony papier, po czym przesuwając go w jego stronę. Tenny przyciska do wosku pierścień rodu Maylonów, by potwierdzić, że zawartość jest prawdziwa. W ten sposób zapewnia, że nie zdradzi nikomu tego, co zobaczy tu dziś wieczorem.

Gdy już mają to z głowy, Madame się uśmiecha.

– Z którym Nocnym Ptakiem chcesz się widzieć?

Tenny oblizuje usta. Kilku jego przyjaciół przechwalało się mgliście wizytą u Nocnego Ptaka, ale magia, o której mówili, wydawała się tak dziwaczna, że trudno było dać temu wiarę. Szalone opowiadki mające skusić zrozpaczonych głupców, takich jak on.

Madame rozkłada na biurku trzy karty. Przypominają te do krellena, tyle że nie zdobią ich mityczne stworzenia ani królowie, ale misternie narysowane ptaki.



– Nocne Ptaki różnią się magią – wyjaśnia. – Każdy jest inny. Szczygieł pomaga zmienić upierzenie, sprawi, że będziesz wyglądać jak inna osoba. Pardwa przynosi w darze kamuflaż, a więc prawie całkowitą niewidzialność. Słowik pozwala wpływać na cudze emocje, udobruchać kogoś i pokierować wedle swego życzenia.

Tenny'emu zaschło w ustach. W Republice Eudei wszelka magia jest zakazana, a taką jak ta spotyka się niezwykle rzadko. Nieraz zasmakował magii pochodzącej z substancji alchemicznych, które dodaje się do koktajli w nielegalnych barach Simty – alchemicy ucierają je na proszek na zapleczach swoich sklepów. Dzięki takim miksturom można przez kilka minut mówić w obcym języku lub świecić w ciemności. Ale dar Nocnych Ptaków jest o wiele czystszy i znacznie cenniejszy. To właśnie jego starają się podrobić alchemicy i barmani.

– Dar wystarczy ci tylko na kilka użyć – mówi Madame. – Dlatego wybierz rozsądnie.

Kusi go Słowik, który mógłby przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę przy stolikach do krellena, ale Tenny nie chce się wydobywać z tarapatów za pomocą oszustwa. Woli sam dopomóc szczęściu.

Wskazuje Szczygła.

Madame uśmiecha się cierpko.

– Wedle życzenia.

Wyłuszcza mu zasady: nie wolno zachowywać się lubieżnie, żądać czegokolwiek ani składać dwuznacznych propozycji. Jest zbyt zdenerwowany, by przyswoić więcej niż kilka słów. Potem przepaska wraca na oczy i ktoś prowadzi go korytarzem o zapachu lilii. Gruby dywan ustępuje pod butami, gdy czyjeś smukłe dłonie ciągną Tenny'ego za nadgarstek.

Po kilku zakrętach zatrzymują się, palce uwalniają go z uścisku. Szeleści papier: to odgłos karty wsuwanej ukradkiem pod drzwi.

Pot zwilża mankiety chłopaka.

– A... jak mam się do niej zwracać? – pyta Tenny w ciemności.

Podskakuje zaskoczony, gdy po chwili milczenia odpowiada mu szorstki męski głos:

– Używaj jej pseudonimu. Albo nie odzywaj się wcale.

Znów cisza. Poczucie winy kłuje go w kark. Ojciec popiera prohibicję i sam jest zagorzałym abstynentem. Co by powiedział, widząc, że syn kupuje sobie tego

rodzaju magię i jeszcze płaci za nią skradzionymi klejnotami, które należą do rodziny?

Tenny wzdycha. Nie wie, skąd u niego aż taki pociąg do krellena. Chyba po prostu uwielbia to ekscytujące ryzyko: tu każdy gracz ma szansę stać się biedakiem lub królem, bogiem albo śmiertelnikiem. Ten wieczór też jest ryzykowny, niebezpiecznie słodki jak inne. Przestaje się skupiać na ojcu, kieruje myśli na Szczygła – tak, tylko na nią. Tajemniczą, cudowną magię, z którą za chwilę się zetknie.

Wygląda krawat, gdy drzwi otwierają się z trzaskiem. Nawet zza przepaski dostrzega migotanie światła, ciepłego i łagodnego. Ktoś popycha go do środka i zamykają się drzwi.

– Możesz patrzeć – mówi Szczygieł. – Teraz jesteśmy tu tylko we dwoje.

Jej głos jest delikatny. Nie, może raczej głęboki jak różowe wino z Farlandów, tyle że dziwnie zniekształcony. Pewnie pali tu jakąś substancję alchemiczną zmieniającą brzmienie głosu. Kolejna warstwa mistyfikacji.

Tenny zdejmuje przepaskę. Pokój jest słabo oświetlony, umeblowany z przepychem: ciemne drewno obite miękkim aksamitem i dywany w kolorze wina. Przy kominku stoją dwa krzesła, szerokie, zapraszające. Pośrodku siedzi dziewczyna w masce podobnej do maski Madame Kruk. Brązowe pióra o złotych brzegach skrywają większą część jej twarzy, odbijają światło świec stojących nad kominkiem. Siateczka przesłaniająca oczy sprawia, że dziewczyna wydaje się anonimowa, ale Tenny zgaduje, że musi mieć tyle lat co on, może mniej. Jej uśmiech świadczy o tym, że jest mądra nad wiek.

Nie jest kurtyzaną – byłby głupcem, myśląc w ten sposób – ale trudno nie gapić się na jej pełne wspaniałe wargi. Czy już je kiedyś widział? Niebezpiecznie byłoby przypisać im jakieś imię. Pseudonimy i maski są tu nie bez powodu. Niektórzy gotowi są zabić za nieograniczony dostęp do tego rodzaju magii. Kościół i wielu zagorzałych abstynentów w mieście pewnie zamordowałyby te dziewczyny na miejscu. Nie, lepiej, żeby była po prostu Szczygłem. I bez tego Tenny ma pod dostatkiem kłopotów.

Kłania się nisko.

– Miły to wieczór, panienko Szczygieł.

Jej wargi się wykrzywiają, zarazem nieśmiało i swawolnie.

– Panicz Maylon, co za niespodzianka.

Oczy Tenny'ego spoczywają na złotym łańcuszku na jej szyi, kończącym się aż w dekolcie. Głębokim dekolcie. Podnosi wzrok, licząc, że nie zauważyła. Przez tę siateczkę na oczach nie sposób tego stwierdzić.

– Napijmy się wina – proponuje Szczygieł. – Albo może czegoś mocniejszego? Chłopak kiwa głową, choć ma ściśnięty żołądek.

– Wybór należy do damy.

Szczygieł nalewa trunków. Kiedy się porusza, migocą ciemne cekiny na jej sukni. Prawdę mówiąc, Tenny nie jest pewien, jak ma przebiegać wieczór, za który zapłacił. Od czego zacząć? Jakie to uczucie?

Podaje mu kieliszek pełen bursztynowego płynu pachnącego sosnową żywicą i nadciągającą burzą.

– Niech sprzyja ci fortuna – mówi Nocny Ptak, unosząc kieliszek.

Tenny przełyka ślinę.

– I tobie.

Piją. On opróżnia swój kieliszek jednym haustem. Siada na krześle, spodziewając się, że dziewczyna zajmie drugie. Zamiast tego mości się na jego kolanach.

– Gotowy? – mruczy.

Tenny potakuje, chciałby, żeby dłonie przestały mu drżeć.

Szczygieł wyciąga prostą czarną maskę i zakrywa mu górną połowę twarzy.

– To przywoła magię – mówi – gdy będziesz gotów jej użyć. Zawiąż ją i wyobraź sobie twarz osoby, w którą chcesz się zmienić.

Chłopak poddaje się dotykowi Szczygła, jej skóra jest miękka jak płatki kwiatów.

– Będziesz musiał mieć przy sobie coś, co należy do tej osoby. Wystarczy chustka, o ile ten ktoś dotykał jej niedawno, ale jeszcze lepsze będą włosy lub paznokcie.

On znów potakuje. Serce tłucze mu się w piersi. Tak samo jak przy stolikach do krellena, gdy ma wyłożyć karty i nie wie, czy wygra, czy przegra.

– Teraz wyobraź sobie, jak chcesz wykorzystać mój dar – zachęca dziewczyna. – Zobacz to jasno i wyraźnie.

Nie jest to wcale trudne – obrazy już tam są. Widzi siebie wchodzącego do Banku Simtańskiego pod postacią ojca: przybrał jego twarz, głos i sposób bycia, wypłaca pieniądze, których potrzebuje, by wydobyć się z mroku. Ma nabite kieszenie, znów opływa w złoto. Syn, jakiego życzyłby sobie jego ojciec.

Szczygieł unosi mu brodę, całuje go w usta.

Całował się już wcześniej z dziewczynami, właściwie z chłopakami też, ale to jakby porównać iskry z ogniem. Magia wylewa się z jej ust, przepływa przez niego, jest ciepła, uderza mu do głowy i otula kości. Upił się nią. Czuje się jak król – może nawet sam bóg.

Oplata Szczygła ramionami. Teraz już rozumie, czemu ta dziewczyna to taki sekret. Oddałby wszystko, byle jej nie puścić.



CZĘŚĆ I

TYSIĄC
WARSTW
SEKRETÓW



Najdroższa Matilde,

suknia może i jest stara, ale w dobrym gatunku – uważam, że będzie Ci pasować. Oddałam ją do odświeżenia zaklęcia, dzięki czemu kwiaty klejnotki znów się rozwijają tak jak wtedy, gdy byłam na Twoim miejscu, a świat stał przede mną otworem. Niech służy Ci jak miód, którym zwabisz jedynie zasługujących na niego. Ale też niech będzie Twoją tarczą.

Fruń ostrożnie.

Z wyrazami najgłębszej miłości

Babcia

– LIŚCIK LADY FREY DINATRIS DO WNUCZKI

ROZDZIAŁ 1

KLEJNOT, GWIAZDA I MORZE

MATILDE TO tysiąc warstw sekretów. Niektóre znajdują się na wierzchu, przy samej skórze, widoczne dla każdego, kto umie je odczytać. Inne wymagają znajomości ulotnego języka, którym posługuje się zaledwie kilka dziewczyn. Jeszcze inne mają skrzydła i są ukryte w środku.

Uśmiecha się do siebie pod maską.

Do sali balowej zstępuje po kręconych schodach. Kierują się na nią wszystkie spojrzenia. Właśnie dlatego kazała rodzinie czekać ponad godzinę przed wyjściem na bal, który Leta wyprawia na otwarcie Sezonu. Uważa, że wchodzić należy z przytupem albo wcale. Szczególnie w lecie, gdy Simta wypełnia się ludźmi z całej Republiki Eudei, przybywającymi do Miasta Pływów z myślą o zalotach, w interesach lub w poszukiwaniu szczęścia.

W sali jest pełno wytwornie ubranych gości, rozmawiają i kołyszą się do rytmu – przygrywa im elegancki kwartet smyczkowy. Od razu widać, że wielu z nich było u najlepszych krawców szachrajów w mieście, którzy przeszli samych siebie, zaczarowując stroje na dzisiejszy wieczór. Drobne perły wokół dekoltu jednej z dziewczyn rozwijają się w kwiaty. Wieczorowa marynarka chłopaka iskrzy się, gdy tylko ktoś jej dotknie. Maski dymią, zakwitają klapy marynarek, rękawiczki świecą. Matilde nie wątpi, że są tu też inne mikstury alchemiczne, których nie może dostrzec: ukryte w kieszonkach na zegarki i wydrążonych laskach. Leta na pewno dodała ich trochę do świec, to dlatego płoną błękitem, szmaragdem i czernią – jej rodowymi kolorami.

Stojąc tutaj, nikt by się nie domyślił, że magia jest nielegalna. W kręgach, w których obraca się Matilde, takie prawo właściwie nie obowiązuje.

Samson, jej brat, spogląda tęsknie na Æsę, śliczną dziewczynę, która z nimi mieszka, ale ona jest zajęta gapieniem się na salę oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Samson zerka ukradkiem na matkę, upewnia się, że nie patrzy, po

czym chwyta kilka koktajli z tacy, z którą przechodzi kelner, i podaje jeden Æsie, która kręci głową. Najnowszy nabytek Nocnych Ptaków wydaje się zbyt zdenerwowany, by cieszyć się swoim pierwszym prawdziwym przyjęciem dla Wielkich Rodów. Matilde będzie musiała wziąć ją w obroty.

– Szkoda, że nie włożyłaś tego, co ci naszykowałam – mówi matka.

Sukienki z falbanami i z o wiele za ciasną górą, podobnej do tej, którą ma na sobie Æsa. Matilde wyglądała w niej jak prezent zawinięty dla kogoś innego.

– Naprawdę? – Robi obrót. – Ja tam jestem zadowolona ze swojego wyboru.

Suknia jest dopasowana, zebrana na biodrze złotą klamrą, a wyszywane koralikami kwiaty klejnotki mienia się ciemno na aksamicie w kolorze wina. Zarazem luźna i wymowna, w tym cały jej urok. Należała do babci w czasach, gdy była Nocnym Ptakiem, ale została przerobiona zgodnie z najnowszą modą. Może dlatego tak się nie podoba matce, która uważa, że przysługiwała jej, podobnie jak dar Nocnego Ptaka. Wrodzona magia płynie w żyłach większości Wielkich Rodów, przekazywana wyłącznie w linii żeńskiej, lecz niekiedy przeskakuje jedno pokolenie. Zdaniem Matilde matka nigdy się z tym nie pogodziła.

Matka wydyma wargi.

– Ten krój jest dość...

Matilde się uśmiecha.

– Zachwycający?

– Miałam raczej na myśli: wyzywający.

Babcia uśmiecha się w sposób, który Matilde ćwiczy bez końca, ale nadal nie udało jej się go opanować.

– Dobra moda nigdy nie jest wyzywająca – mówi. – Co najwyżej odważna.

Usta matki zaciskają się jeszcze bardziej.

Matilde przesuwa palcem w rękawiczce po płatku wyszywanej koralikami klejnotki. Zwinął się, szachraj zaczarował go tak, by otwierał się i zamykał przy dotknięciu. Babcia próbowała hodować w ogrodzie prawdziwe klejnotki, ale nie chcą rosnąć z dala od moczarów Callistanu. Zeszłego lata jedna w końcu zakwitła, a jej prawie czarne płatki błagały, by ich dotknąć. Babcia w porę złapała Matilde za rękę. „Piękno tego klejnotu to jego sztuczka”, ostrzegła. „Kusi swoje ofiary łagodnym wyglądem, ale kiedy są blisko...” Upuściła wstążkę, a Matilde zobaczyła, że kwiat ją połyka, i usłyszała, jak materiał skwierczy trawiony na popiół.

Często myśli o tym kwiecie, który ma swój sekret. Truciznę w przebraniu czegoś słodkiego.

– Chodźmy do stolika – zarządza matka. – Musimy ocenić, jakie są widoki na ten Sezon.

Ma na myśli kawalerów. Zastępy nudziarzy, których będzie usiłowała wcisnąć do karnecików Matilde i Æsy, aby popchnąć dziewczyny do znalezienia korzystnej partii.

– Naprawdę, matko – wzdycha Matilde. – Dopiero co przyszliśmy.

Matka zniża głos.

– Masz już za sobą zbyt wiele samotnych Sezonów. Ludzie zaczynają gadać.

Matilde wywraca oczami.

– Nie jestem kawałkiem mięsa na targu. Nie zacznę śmierdzieć, jeśli zostawisz mnie za długo na słońcu.

Nie rozumie, czemu matka tak się pieni – większość chłopaków z Rodów chętnie ożeniłaby się ze Szczygłem. Zgłaszają się do Lety, ich Madame, by zyskać ten przywilej, choć nawet nie wiedzą, z kim mieliby się zaręczyć. Z tego, co Matilde widziała, właściwie ich to nie obchodzi. Zalotnicy pochodzą z Wielkich Rodów – same brylanty. Ale wybieranie z małej szkatułki, której zawartość starannie wyselekcjonowano, to nie to samo co wolny wybór.

Podchodzi do Æsy, już ma wziąć ją pod ramię, gdy uprzedza ją matka. Dziewczyna wygląda jak ryba schwytana na wędkę. Matilde odnosi wrażenie, że matka popycha Samsona w kierunku Æsy – nie to, żeby potrzebował zachęty. Ze swoimi złotorudymi włosami i bujnymi krągłościami dziewczyna niewątpliwie budzi zachwyt. Nie ma pieniędzy, ale przynależność do Nocnych Ptaków to najlepszy posag.

Ciekawe, czy Æsa dostrzega machinacje matki. Odkąd przyjechała, tak bardzo tęskni za rodzinnymi wyspami Illish, że jest ślepa na wszystko inne.

– Pokręcę się trochę – mówi Matilde. – Sama się porozglądam.

Matka marszczy czoło.

– Tylko tego nam trzeba, żebyś zaczęła broić.

Matilde poprawia jedną z długich jedwabnych rękawiczek.

– Nie miałam takiego zamiaru.

Matka pociąga nosem.

– Nigdy nie masz.

Samson przymyka oko pod maską w kolorze umbry, jakby chciał się odgrodzić od nadciągającej kłótni.

– Moje panie, naprawdę. Czy musimy tutaj?

Jego nikt nie będzie beształ za krój stroju ani zmuszał do tańca z jakimś spoconym lordem, który ma przodozgryz. Niechęć pali Matilde w język, grozi wybuchem.

– Nie obawiaj się – uspokaja matkę. – Nie sędzę, bym złamała jakieś zasady po drodze do stolika z napojami.

Matka szykuje się do kłótni, ale wtrąca się babcia.

– Ouro, to jej pierwsze przyjęcie w tym Sezonie. Pozwólmy jej się bawić.

Matilde czeka, aż matka skończy udawać wahanie. Ale to nie ona jest głową rodu Dinatrisów.

– W porządku – godzi się w końcu. – Tylko nie za długo, Matilde. I żadnych koktajli, ja nie żartuję.

Odchodzi w stronę stolika, ciągnąc za sobą Æsę. Dziewczyna spogląda na Matilde, prosząc wzrokiem: „Nie zostawiaj mnie samej”. Jej jasne włosy skrzą się w zmieniającym się świetle. Matilde powinna uratować ją ze szponów matki i robi to – tyle że później. Samson podąża za matką i Æsą, chwyta kieliszek popisowego koktajlu Lety i z drwiącą miną wznosi toast w kierunku Matilde.

Babcia odwraca się do niej, a szaroniebieskie cekiny na jej prostej masce zdają się mrugać.

– Nie przejmuj się matką. Wiesz, że się martwi.

Matilde poprawia swoją maskę.

– Już zapomniałam, co mówiła.

To oczywiście nieprawda. W głowie nadal kołaczą jej się słowa, które matka wypowiedziała po południu. „Nie możesz fruwać wolno w nieskończoność. W końcu będziesz musiała się ustatkować i założyć gniazdo”. Matilde nie chce budować gniazda z kimś, kto pragnie jej wyłącznie dla magii. Chce mieć wolny wybór, sama zdecydować o swojej przyszłości.

– Ma rację – ciągnie babcia. – Wkrótce będziesz musiała kogoś wybrać.

Od Nocnych Ptaków oczekuje się małżeństwa, żeby mogły przekazać swój dar kolejnemu pokoleniu dziewcząt z Wielkich Rodów. Właściwie jest to konieczność. Matilde na samą myśl czuje ucisk w piersi.

Babcia poprawia jej bukiet przy sukni – lilie skrzydlate, herbowe kwiaty ich rodu – po czym uśmiecha się tajemniczo.

– Przeżyłam niejedną przygodę w tej sukience. Niektórym zdawało się, że dziewczyna, która ją nosi, jest łagodna i uległa, ale to tylko złudzenie.

Usta Matilde drgają.

– Chcesz powiedzieć, że w niej broiłaś?

– Być może. – Babcia stuka dwoma palcami w wierzch dłoni. – Fruń ostrożnie, kochanie.

Matilde uśmiecha się, słysząc dewizę Nocnych Ptaków.

– Postaram się.

Kręci się po sali, zgadując, kogo już zna, a kogo warto poznać. Uwielbia sekrety i zagadki: to dlatego zamiłowanie Wielkich Rodów do wydawania latem balów maskowych sprawia jej taką frajdę. Z zamaskowanymi twarzami ludzie stają się odważniejsi – gotowi ryzykować fortunę i serce. Łatwo stwierdzić, kto nie jest stąd: przybysze są olśnieni widokiem magii, oczy świecą im się jak skrzydełka ciem płomienistych. Simta może się poszczycić najlepszymi krawcami szachrajami i alchemikami w całej Republice, a ludzie, którzy mają pieniądze i znajomości, wiedzą, gdzie można znaleźć ich zakazane mikstury. Takie proszki i eliksiry wydobywa się z ziół i z ziemi. Po starannej obróbce tworzą niezwykle iluzje, lecz nie jest to magia, która krąży w jej żyłach. Takiej magii nie da się uwarzyć: mieszka w niej, niefiltrowana i szalenie rzadka. Matilde uwielbia być sekretem połyskującym na widoku.

Bierze głęboki wdech. Powietrze smakuje kwiatami i szampanem, i początkiem Sezonu. Matilde zna ten smak na pamięć. Jeśli po tym Sezonie ma zakończyć karierę Nocnego Ptaka, to zamierza cieszyć się każdą chwilą.

Sięga po szeroki kieliszek z sylvą, czyli marzelnicą, popisowym koktajlem Lety. Został zaczarowany tak, by miał posmak nostalgii: ulubionych łakoci z dzieciństwa, słonecznej łąki, skradzionego pocałunku. Ale gdy spływa po języku Matilde, jej myśli kierują się ku przyszłości. Za kilka godzin przywdzieje maskę Szczygła.

„Czyją klejnotką będę dziś wieczorem?”



SAYER TRZYMA SIĘ na obrzeżach sali balowej, spaceruje sztywnym krokiem. Przywykła do tego, że to ona obserwuje, a nie jest obserwowana, teraz jednak ma wrażenie, że gapi się na nią połowa osób w tym przeklętym pomieszczeniu. Nie odwraca wzroku, zdusza w sobie chęć obnażenia zębów.

Sala balowa Lety przypomina miniaturową wersję Simty: im bliżej centrum, tym ładniejsze i zamożniejsze widać kręgi. Służba, strażnicy i lokaje stoją pod ścianą i tak naprawdę w niczym nie uczestniczą. Zostali na obrzeżach. Kilka kroków do środka i już widać pretendentów, którzy usiłują się wpasować w towarzystwo. Ale to wciąż margines. Jeszcze kawałek dalej mamy Wielkie Rody stanowiące uprzywilejowany pępek tego świata. Matka Sayer była kiedyś jedną z nich, błyszczała jak ćmy płomieniste w latarniach na Osiedlu Ogrodów. Potem się potknęła i wypadła z kręgu światła.

Sayer powinna zabawiać gości, ale irytuje ją cały ten blichtr i puste rozmowy. Za przemyconą magię widoczną w tej sali balowej można by nabyć flotę kupieckich statków. Ci ludzie popisują się nią jak klejnotami – symbolem statusu. Kwiat simtańskiej młodzieży może liczyć na to, co najlepsze.

Jakiś mężczyzna próbuje zajrzeć jej w dekolt. Sayer czuje silną pokusę, by świsnąć mu coś z kieszeni, wyłącznie dla wprawy. Odkąd opuściła Dzielnicę Gryfa, nie korzysta z umiejętności złodziejskich: nie ma zbyt wielu okazji ani takiej potrzeby. Leta, która się nią opiekuje, okazała się nad wyraz hojna. Powiedziała wszystkim, że jej nowy kolczasty nabytek to jakaś daleka kuzynka ze wsi. I chyba nikt nie odgadł, że Sayer jest córką okrytej niesławą nieboszczki Nadji Sant Held.

W przeciwieństwie do matki dorastała po drugiej stronie kanału, w Dzielnicy Gryfa. Mieszkały nad pracownią złotnika w czterech pokojach wypełnionych zapachem pasty do polerowania metalu i zakurzonych przedmiotów z drugiej ręki – podarków od przyjaciół, którzy nigdy nie wpadali z wizytą. Jeszcze kilka miesięcy temu Sayer nie postawiłaby stopy w Dzielnicy Pegaza, choć wystarczyło tylko przekroczyć wodę. Ale to był inny świat – utęskniony, jeśli wierzyć obiecującym opowieściom matki, które prawie zawsze zaczynały się od słów „gdyby tylko”. Gdyby tylko zaczekała, aż lord Wyllo Regnis się oświadczy, a nie

uległa jego pożądaniu. Przecież była jego ulubionym Nocnym Ptakiem. Gdyby tylko lord oprzytomniał i wrócił po nie, uznał Sayer za swoje dziecko, a Nadię pojął za żonę...

W porównaniu z innymi Nocnymi Ptakami u Sayer magiczne zdolności pojawiły się późno, bo zaledwie pół roku temu. Matka chciała zabrać ją na badania do Madame, lecz Sayer odmówiła. Niestety wkrótce potem matka zaczęła kaszleć krwią i plamić chusteczki, a swoje „gdyby tylko” mamrotała coraz bardziej niewyraźnie i nagłaco.

„Gdybyś tylko została Nocnym Ptakiem. Dzięki tobie mogłybyśmy wrócić do kręgu światła”.

Sayer nie była zainteresowana dołączeniem do dawnego klubu matki, ale obiecała, że to zrobi, licząc, że to ją przywróci do życia. Tak się jednak nie stało. Później matka umarła, a Sayer została sama. Nawet wtedy nie była pewna, czy chce być Nocnym Ptakiem. Ale jaki miała wybór? Mogła ciułać pieniądze, pracując w kawiarni, dołączyć do gangu albo zwrócić się do ojca, z którym nie miała kontaktu – na to nigdy by się nie zdobyła. Tak więc teraz jest tutaj: w samym sercu wszystkiego, do czego matka tak bardzo pragnęła wrócić. Z kolei ona pragnie tylko zrównać to z ziemią.

Zatrzymuje się, by spojrzeć na służącą, która rozstawia serwis do kawy na stoliku pod ścianą. Aromat przenosi ją do kawiarni Jaśnie Oświecona, gdzie pracowała mimo protestów matki. Przecież potrzebowały pieniędzy. Lubiła zapach worków z paloną kawą i odgłosy rozmów studentów, którzy siedzieli przy stolikach, debatując o posunięciach polityków i ruchach gwiazd. Jeszcze bardziej lubiła urwisów i chłopaków z gangu biegusów, kręcących się przed kawiarnią. To od nich nauczyła się niezwykle przydatnych umiejętności: jak wtopić się w tłum, władać nożem i kraść z uśmiechem na ustach.

Jeden z gości ociera się o służącą, stos talerzyków w jej dłoniach chwieje się niebezpiecznie. Mężczyzna pomaga dziewczynie odzyskać równowagę, lecz to tylko pretekst, by się do niej zbliżyć. Sayer nie widzi jego dłoni ani gdzie ją dotknął, ale służąca gwałtownie się rumieni. Biedaczka nie będzie się burzyć: ma do czynienia z lordem. Sayer krzywi się z odrazą. W Simcie cierpią nie ci, co powinni.

Pochodzi bliżej.

– Ona nie potrzebuje pańskiej pomocy. Proszę się odsunąć.

Obrażony mężczyzna burczy coś pod nosem, ale odchodzi bez protestów.

– Och – mówi służąca – dziękuję, panienko.

Kłania się jej. Ten gest drażni Sayer.

– Mogę pomóc rozstawić? – pyta.

Dziewczyna wybałusza oczy.

– Panienki nie zajmują się takimi rzeczami.

To samo mówiła jej matka, gdy Sayer dostała pracę w Jaśnie Oświeconej.

Słowa, których nigdy więcej od niej nie usłyszy.

Odchrząkuje, by przełknąć ten bolesny ciężar. Może to i dobrze, że służąca odmówiła, bo Sayer nie jest pewna, czy w tej sukience zdołałaby się zgiąć. Ostatni krzyk mody: opuszczona talia znajduje się tuż poniżej linii bioder, a granatowy, prawie czarny materiał przylega do ciała jak ciemny kokon. Plecy osłania pelerynka połyskująca koralikami muśniętymi przez krawca szachraja tak, by przypominały spadające gwiazdy.

„Uśmiechnij się, moja droga”, powiedziała Leta, dając jej ten strój. „Jesteś chodzącą konstelacją. Każdy będzie chciał wypowiedzieć życzenie”. Ale gdy się jasno świeci, inni tylko marzą o tym, by skraść trochę tego blasku.

Późnym wieczorem przemieni się w Pardwę. Leta wybrała jej ten pseudonim ze względu na zręczną umiejętność kamuflażu tego ptaka. Za pomocą swojej magii Sayer może pomóc komuś wtopić się w otoczenie, przejść przez świat niezauważonym. Nie chce takiego życia, ale dała słowo matce. Będzie się tym zajmować przynajmniej do końca lata. Leta obiecała, że pozwoli jej zatrzymać to, co Sayer zarobi jako Pardwa – przez kilka miesięcy uzbiera się tego więcej niż przez dekadę w Jaśnie Oświeconej. To pozwoli jej się ustawić: już nigdy nie będzie potrzebowała cudzej pomocy ani tego miejsca.

Z drugiego końca sali Matilde łapie jej spojrzenie, zakrzywia palec. Chyba chciałyby, żeby ich trójka stała się ślicznym stadkiem piskląt, które mają wspólne stroje, sekrety i marzenia. „Nocne Ptaki są jak siostry”, powiedziała jej kiedyś matka. „Tylko one naprawdę cię rozumieją”. W takim razie gdzie były, gdy ich potrzebowała? Pewnie śmiały się przy stoliku na jakimś kapiącym złotem przyjęciu, podobnym do tego.

Sayer nie przybyła tu w poszukiwaniu sióstr. Zamierza ogołocić kieszenie tych ludzi, zabrać, ile się da. W końcu nie jest gwiazdką spełniającą życzenia. Jest gwiazdą, która pali się i spala.



DZIADEK MAWIAŁ, ŻE ÆSA ma w sobie *sheldar*. To legenda z dawien dawna, opowiadająca o czasach, gdy na smaganych wiatrem wyspach Illish prócz sieci rybackich i rdzawych pól uprawnych królowały też moc i nieprzenikniona, donośna magia. Być może któregoś dnia powróci.

– Te *sheldar* to były tylko kobiety – mówił, rozwieszając przy ogniu ryby do uwędzenia. – Dotknięte mocą Źródła. Groźne jak morze i równie nieustraszone.

– Wrogów zabijały strzałami zaczarowanymi pocałunkiem – wtrącała babcia, przerywając mu te bajania. – I jeździły na rogatych niedźwiedziach.

– Nie potrzebowały wierzchowców – poprawiał ją – bo miały skrzydła.

Æsie podobała się opowieść o ich misternych warkoczach, w które wplatały kości i amulety ze szkła oszlifowanego przez morze. Pragnęła być równie nieustraszona jak te kobiety.

„Pamiętaj, moja droga”, powtarzał dziadek, gdy uprawy zmarniały lub przyszła pora zapłacić czynsz. „Śpiewa w tobie *sheldar*. Musisz tylko wsłuchać się w jej pieśń i mieć dość odwagi, by odpowiedzieć na wezwanie”.

Czasami, gdy stała na plaży, a morze wsysało ciemnoniebieski piasek pod stopami, zdawało jej się, że to słyszy: rozbrzmiewającą w jej wnętrzu pieśń głębszą niż pragnienie i silniejszą od strachu. Lecz przecież nie jest *sheldar*, tylko zwykłą dziewczyną.

Zeszłej zimy dziadek zmarł, już nie snuje swoich opowieści. Tata Æsy uważa, że to bluźnierstwa. Jest abstynentem i regularnie chodzi do kościoła, a Kościół Eshamein – „tych, którzy piją” – naucza, że magia jest święta i nie powinna się dostać w ręce śmiertelników. Mowa zwłaszcza o kobietach. Już raz ją zbezczeszczyli, zatruli Źródło, z którego płynie wszelka magia. To dlatego ojcowie Kościoła kiedyś polowali na *sheldar*. Sądzą, że już dawno udało im się oczyścić świat z dziewczyn, w których żyłach płynie magia. A jednak Æsa jest tutaj i stara się nie tracić odwagi.

Staje pod ścianą, za doniczką pierzastej paproci, czując ulgę, że znalazła się z dala od stolika Dinatrisów, a w pobliżu nie ma Oury, która przytłacza ją swoją

atencją. Nie może sobie wyobrazić, że matka Matilde i jej własna mama były kiedyś przyjaciółkami, a jednak dorastały razem w Simcie. Żadne opowieści mamy nie przygotowały jej na to hałaśliwe miejsce. W mieście jest pełno ludzi mówiących językami, jakich w życiu nie słyszała, prowadzących skomplikowane rozmowy, które ledwie rozumie. Nawet po miesiącu mieszkania z Dinatrisami czuje się tym wszystkim przytłoczona, a szczególnie tą salą balową. Podłogi z kremowego marmuru przeplatane czerwonymi falami w niczym nie przypominają klepiska w jej rodzinnej chacie. Ile razy szorowałyby stopy, nie jest w stanie domyć jego śladów.

Zwiewna suknia wydyma się jak balon, warstwy tiulu przypominają jaśniutki zielononiebieski mech lodowy porastający klify na wyspie Illan. Jest skromniejsza od większości sukienek w sali, lecz Æsa i tak czuje się obnażona. Wszędzie pełno tu luster, nie może się zmusić, by w nie spojrzeć.

Musi odszukać którąś z dziewczyn. Może jej pierwszy bal nie będzie aż tak przerażający, gdy w pobliżu znajdą się inne Nocne Ptaki. Nadal są sobie prawie obce: bystra i niecierpliwa Matilde oraz Sayer, umykająca wzrokiem i cięta jak brzytwa. Obie pochodzą z Simty. Nie rozumieją, jak czuje się przybyszka z dalekich stron, usychająca z tęsknoty za domem, która wzbiera z każdym oddechem. Tęskni za swoją rodziną, dzikimi klifami i znajomym łoskotem oceanu. Pragnie jedynie wrócić do domu.

„Teraz jesteś tutaj”, stwierdziła zaledwie dwa dni temu Matilde, malując paznokcie Æsy lakierem w najjaśniejszym odcieniu błękitu. „Koniec z klepiskiem i krokietami rybnymi. Czemu nie miałabyś się trochę rozerwać?”

Jak ma to zrobić, wiedząc, co mieszka w jej wnętrzu? I że wkrótce będzie musiała to uwolnić.

Pamięta noc, gdy Leta przybyła do ich chaty. Tata wybrał się w podróż do Caggen-Way w poszukiwaniu pracy. Jesienne połowy ryb były kiepskie, a na stole pojawiały się co najwyżej placki na zakwasie i dzbanek mleka, które prędko kwaśniało. Przed przybyciem Lety Æsa nie dostrzegła, że mama jest taka chuda – ubrania wisiały na niej jak niedopasowane żagle w bezwietrzny dzień. Pragnęła czegoś więcej, niż mogło dać jej takie życie.

W pierwszej chwili Æsa sądziła, że w odwiedzinach przyjedzie dawna przyjaciółka mamy. Tylko dlaczego mama załamywała ręce i wciąż zerkała na drzwi?

Koniec końców układ okazał się prosty: Æsa dostanie elegancki pokój z wyżywieniem i korzystnie wyjdzie za mąż – wżeni się w któryś z Wielkich Rodów. Jej bliscy też mogą liczyć na opiekę, zostaną zabezpieczeni na przyszłość.

– Będzie bezpieczna? – upewniła się mama.

– Będzie trzymana w sekrecie – odrzekła Leta. – Pod moją opieką wszystkie sekrety są bezpieczne.

– Co musi zrobić, by przekazać komuś swoją magię?

– Wystarczy dotyk. Zwykły pocałunek.

Później, gdy Æsa zapytała, czy tata wie, mama odparła, że nie może się dowiedzieć. Powie mu, że dawna przyjaciółka z Simty zaoferowała pomoc w utrzymaniu córki, a on uwierzy jej na słowo.

Æsa spytała jeszcze, czy musi jechać, a mama powiedziała, że tak, bo chce dla niej czegoś więcej.

„Potrzebujesz tego, Æso. Wszyscy potrzebujemy. Poza tym obie wiemy, że tutaj nie możesz zostać”.

Nadal nie ma pewności, czy to był jej wybór, czy mama zwyczajnie ją sprzedała. Co za różnica, jeśli dzięki temu już nigdy nie będą biedować.

Tancerze wirują wokół niej: starsza para, grupka dziewczyn i dwaj młodzi mężczyźni obejmujący się w tańcu. Oczy boją od patrzenia na ich ubrania, co rusz zmieniające kolor, poruszane niewidzialnym wiatrem. Pierwszy raz jest świadkiem tak rozpustnych popisów magii. W domu ojciec Toth pomstował w kazaniach na używanie jej w taki sposób i nauczał, że abstynencja jest moralnym obowiązkiem.

Pali ją poczucie winy. Co by powiedział o takiej magii jak jej? Pewnie to samo co o słabościach lub o szkarłatnym mchu pleniącym się na polach *jinny*. „Takie rzeczy należy wytrzebić, zanim się rozprzestrzenia”.

Och, przecież próbowała. Po tym, co zaszło z Enisem Dale'em, modliła się do Eshamein, by pozbawili ją magii. Wplatała we włosy kawałki szkła oszlifowanego przez morze i wypowiadała życzenia.

Podchodzi do niej mężczyzna, zasłania widok na parkiet. Jak większość simtan ma opaloną oliwkową skórę, przy tym jest bardzo okrągły, zaczerwieniony i świeci się jak wyglansowane trzewiki. Z klapy jego marynarki zwisa masa lepkich kwiatów.

– Pomyślnego Sezonu, panienko.

– I... i panu również – jąka się Æsa. Czy dobrze powiedziała? Gdy się denerwuje, ma kłopoty z mówieniem po simtańsku.

Spod maski o miedzianym połysku wystają policzki zarumienione od wina.

– Jakże ci mija wieczór?

Æsa szuka słów, których Oura nauczyła ją na lekcji etykiety.

– Ależ dziękuję, pomyślnie.

Mężczyzna się uśmiecha, wargi ma tłuste od mięsiwa, którego talerz trzyma w dłoni. Na pobliskim stole leży niemal nietknięte jedzenie. Co za marnotrawstwo.

– Czyżbym słyszał akcent z wysp Illish? – pyta. – To urocze. A skąd dokładnie?

Æsa wzdycha, wdzięczna, że może pomówić o czymś znajomym.

– Adan-Way, to na skraju Faire.

– A tak, oczywiście.

Zaczyna opowiadać historię, za którą Æsa nie może nadążyć: coś o wiejskiej posiadłości jego babki, o uroczych kominach, które dymiły, i rudowłosej pokojówce. Æsa zastanawia się, czy wieczorem nie pojawi się u drzwi Słowika, domagając się pocałunków. Prosząc o to, czego dawanie wydaje jej się bluźnierstwem.

Chwyta ją i pożera wzrokiem.

– Zatańcz ze mną.

Chciałaby się odsunąć, ale czuje się sparaliżowana.

– Naprawdę... wołałabym nie.

Zdaje się jej nie słyszeć.

– No już, za ładna jesteś, żeby chować się pod ścianą. Pozwól gościom w sali nacieszyć się sobą.

Æsa przęłyka ślinę. Matilde twierdzi, że uroda to atut. Ale ona czuje się raczej łatwym celem: czasami ma wrażenie, że niebezpiecznie jest być piękną.

Ktoś wyjmuje jej dłoń w rękawiczce z uścisku pana połyskliwego. Æsa wypuszcza powietrze.

– Moja droga – mówi Matilde. – Gdzie się podziewałaś? Wszędzie cię szukam.

Mężczyzna wypina pierś, wyraźnie urażony tym, że mu przerwano.

– O, czy to panicz Brendle? – pyta Matilde.

– Panienko Dinatris – wybucha gromkim śmiechem – nawet maska nie upodobni mnie do własnego syna.

Matilde klepie go po ręce.

– Ujmuję panu lat, lordzie! Zaręczam, że mnie pan oszukał.

Jest taka elegancka ze swoimi kasztanowymi falami i błyszczącymi oczami w kolorze bursztynu. Pasuje tu jak ulał – sprawia wrażenie, jakby niczego się nie bała.

Mężczyzna zerka znów na Æsę.

– Jaką sprawę masz do tego zniewalającego stworzenia?

– Obawiam się, że to dość skandaliczne. – Matilde uśmiecha się szelmowsko. – Nie dla pańskich niewinnych uszu.

Lord wydaje z siebie pomruk niezadowolenia, ale Matilde bierze już Æsę pod ramię. Pod naciskiem jej skóry, tam gdzie kończy się rękawiczka, Æsa czuje łaskotanie. Zawsze tak jest, gdy się dotkną: to jak wezwanie i odpowiedź w jakimś nieznanym języku. Æsa zakłada, że to z powodu magii, którą mają w sobie. Chciałaby zarazem zbliżyć się i odsunąć.

– Co za paskudny typ! – Matilde marszczy nos. – Przypomina mi raczej fretkę niż lorda.

Æsa próbuje odpowiedzieć, ale oddech nie chce do niej wrócić. Otoczenie wiruje przed oczami, światła są jak zjawy we mgle.

– Moja droga, powietrze jest po to, żeby nim oddychać. – Matilde podaje jej kieliszek czegoś chłodnego. – No więc oddychaj. I napij się tego.

Trudno jej odmówić, więc Æsa wychyla koktajl. Smakuje morską bryzą i ciastkami, które mama piekła w niedziele podczas żniw. Æsa usiłuje powstrzymać szloch, który ściska jej gardło.

– Nie denerwuj się – szepcze Matilde. – W tej sali nic ci nie grozi.

Ale to miejsce roi się od rekinów, a ona jest tylko płotką. Na pewno zostanie pożarta jeszcze przed końcem Sezonu.



MATILDE WZDYCHA. Jeśli Æsa ma rozwinąć skrzydła, to musi się nauczyć radzić sobie ze zbereźnikami pokroju Brendle'a. Problem w tym, że w ogóle nie umie kłamać. Matilde próbowała nauczyć ją tej sztuki, ale dziewczyna wszystkiego się boi, a na jej bladej skórze typowej dla mieszkanki wysp Illish od razu znać rumieńce.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteśmy na przyjęciu? – pyta Matilde. – Chodzi o to, żeby się dobrze bawić.

– Wiem, tylko mam przeczucie...

– Jakiego rodzaju?

Æsa przygryza wargę.

– Że stanie się coś złego.

Dobrze, że tamtego wieczora Tenny Maylon nie wybrał Słowika – zdaniem Matilde dziewczyna nie jest gotowa na przyjmowanie klientów, a tymczasem pierwsza noc w Sezonie zwykle oznacza duży popyt.

Zakłada Æsie za ucho niesforny kosmyk.

– Jesteśmy dobrze strzeżone. Nie musisz się martwić.

Nie wydaje się przekonana.

– Chciałabym tylko...

Nie kończy zdania, więc Matilde przenosi wzrok na salę, obserwuje tłum. Pora skierować myśli w inną stronę.

– Przejdźmy się.

Gdy tak krążą, Matilde pokazuje Æsie niektóre osoby, wyjaśnia, kim są. Pomija byłych klientów i nie opowiada, co umożliwił im Szczygieł. Mijają lorda, który podawał się za rywala w interesach, aby zdyskredytować go w oczach wspólników. Jest też panienska, co to chciała wyglądać jak pewien żeglarz, żeby zakraść się na statek. Matilde nie wie, jak niektórzy wykorzystują jej dar, i tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć, ale sądzi, że to musi być ekscytujące: całkowicie się zamaskować.

Ciekawi ją, jakie to uczucie, bo Nocne Ptaki mogą co najwyżej ofiarować swoją magię innym. Ale według rodzinnych legend przodkinie Matilde mogły używać jej do własnych celów. W dzieciństwie przed snem opowiadano jej o wyczynach tych potężnych dziewczyn, zwanych dawniej Ognistymi Ptakami. Przypominały raczej

boginie: umiały sprawić, że morze się rozstąpi, i poruszyć góry. Intrygujące baśnie, które wydają się zbyt piękne, by można w nie uwierzyć.

Matrona jednego z Rodów przemyka obok, zostawiając smugę szachrajskiego dymu.

– Tyle magii – szepcze Æsa. – Czy nikt się tutaj nie boi władz?

Chodzi jej o prohibicję, pochwalaną przez abstynentów i Kościół, którego ojcowie uwielbiają głądzić o tym, że magia to świętość i nie należy jej tykać.

– Bale u Lety są dla wybrańców – tłumaczy Matilde. – Nie ma tu abstynentów ani Gwardzistów.

W zamian za pieniądze lub przysługi wielu przemyka oko na takie przyjęcia. Zresztą nie ośmieliliby się sforsować drzwi domu kogoś z Wielkiego Rodu.

– A ty się ich nie boisz?

Matilde się okręca, klejnotki na jej sukni zamykają główki.

– Proszę cię! Gdyby jakiś Gwardzista zobaczył mnie w tym stroju, w najgorszym razie pogroziłby mi palcem.

– Nie, no wiesz... chodzi mi o ten inny rodzaj...

O magię wrodzoną? Matilde się uśmiecha.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Kościół twierdzi, że takie dziewczyny jak my nie istnieją.

Prohibicja uprzykrza ludziom życie, ale tak naprawdę Matilde nigdy nie odczuła jej na własnej skórze. Poza tym łamanie zasad może być ekscytujące.

Stuka stopą w posadzkę.

– Gdzie się podziewa Sayer?

– Stęskniłaś się za mną?

Matilde i Æsa podskakują.

– Na brudne moniaki! – klnie Matilde. – Sayer, co ci mówiłam o skradaniu się?

Dziewczyna uśmiecha się wymownie.

– Nie moja wina, że jesteście takie płochliwe.

Jej złote oczy błyszczą pod ciemną maską. Włosy ma niemal czarne, przycięte równo i zaczesane do tyłu w urocze fale. Nowa moda pasuje do jej wysokiej, szczupłej sylwetki. Ale jakkolwiek by się wystroiła, z pewnością nie dorastała

w Dzielnicy Pegaza – Matilde potrafi to poznać. Zdradzają ją ruchy: Sayer skrada się jak wygłodniała kotka.

– I co tam porabiałaś? – pyta Matilde. – Okradałaś gości?

Wyraz twarzy Sayer się nie zmienia.

– Tylko tych, którzy się prosili.

Leta nie chce zdradzić Matilde pochodzenia Sayer, ale matka twierdzi, że dziewczyna ma złote oczy Nadji Sant Held. Tej samej, o której mówi się, że straciła posadę Nocnego Ptaka z powodu potajemnego romansu i dziecka z nieprawego łoża... Matilde byłaby gotowa zatańczyć frywolnie dla lorda Brendle'a, gdyby w ten sposób mogła poznać ten sekret. Niestety usta Sayer są zaciśnięte szczelniej niż muszle farlandzkich ostryg.

Matilde przyciąga dziewczyny do siebie.

– Zabawmy się.

Sayer wydaje jęk niezadowolenia.

– Znowu? Tylko nie to.

Matilde tłumy westchnienie frustracji. Tęskni do czasów, gdy fruwała z Petrą, Sive i Octavią – brakuje jej niewymuszonych plotek i sekretów, które szeptały sobie, popijając podkradzione wino. Noce z nimi były pełne blasku, pachniały obietnicą. Szkoda, że Petra jest zajęta, odkąd zeszłej zimy wyszła za męża, podobnie zresztą jak Sive i Octavia, które znalazły mężów kilka miesięcy wcześniej. Magia Nocnych Ptaków przemija po dekadzie, a czasami dwóch, to dlatego większość dziewczyn decyduje się na ślub już po pierwszym Sezonie. Odtąd ich dar jest zarezerwowany dla męża. Jeszcze kilka miesięcy temu Matilde fruwała sama, aż pojawiła się Sayer, a kilka tygodni później Æsa. Niekiedy ich towarzystwo jest gorsze niż samotność.

– Każda z nas powie jeden sekret – ciągnie Matilde – a pozostałe muszą odgadnąć, czy to prawda.

– Niech będzie. – Cekiny na jej masce skrzą się, gdy Sayer przekrzywia głowę. – Mam nóż pod sukienką.

Matilde unosi brew.

– Obawiam się, że to prawda. Ale na mroczne czeluści, gdzie go ukryłaś?

– Powiedziałaś jeden sekret. Twoja kolej.

Kąćki jej ust się unoszą – czemu nie miałyby się zabawić?

– Podoba mi się uczeń alchemika. Zamierzamy razem uciec i żyć długo i szczęśliwie.

– Nieprawda – odgaduje błyskawicznie Sayer. – Za bardzo lubisz swoje słodkie życie. Ani ci się śni wyfrunąć z tej pozłacanej klatki.

Matilde się usztywnia: Sayer ma wyłącznie ostre krawędzie i nie pozwala ani trochę ich przytępić. Umie sprawić, że Matilde czuje się oceniana.

– Moja droga, nie jesteśmy w żadnej klatce. To klub, a mi się zdaje, że ty rozpaczliwie pragniesz do niego należeć.

Złote oczy Sayer błyskają.

– Pod Purpurowym Kucykiem dziewczyny też mają swój klub. Sądzisz, że się palę, by do niego dołączyć?

– Nie kłóćcie się – prosi Æsa. – Nie tutaj.

Matilde ją ignoruje.

– Musisz mówić o tym w taki sposób?

– W jaki?

– Jakbyśmy się sprzedawały.

– Skąd wiesz, że tak nie jest?

Gniew w niej wzbiera.

– Nie dziwi mnie, że tak myślisz, biorąc pod uwagę, kim była twoja matka.

Æsa wydaje stłumiony okrzyk. W oczach Sayer coś przemyka jak spadająca gwiazda, zbyt szybko, by to dostrzec. Odwraca się gwałtownie i odchodzi bez słowa.

– Matilde – mówi Æsa monotonnym głosem – to było niemiłe.

Dziewczyna poprawia jedną z rękawiczek.

– Naprawdę?

– Jej matka umarła zaledwie kilka miesięcy temu.

Palą ją policzki.

– A niech to, przecież sama zaczęła.

– Tak czy inaczej – ciągnie Æsa, odprowadzając wzrokiem koleżankę z klubu Nocnych Ptaków – Sayer cierpi.

Skąd może to wiedzieć? Czy prowadzą poważne rozmowy za plecami Matilde?

„Kochaj swoje siostry”, powtarzała jej babcia, gdy Matilde pokłóciła się z Petrą, Sive była o coś zazdrosna, a Octavia rzuciła butem. Ale te dwie tutaj, nieśmiałe i skryte, nie doceniają tego, co to znaczy być Nocnym Ptakiem.

Odwraca się, szukając czegoś, co odciągnie jej uwagę, i łapie wzrokiem Samsona, który idzie w ich stronę, ciągnąc przyjaciela. To Teneriffe Maylon. Matilde poznaje go mimo jaskrawej maski. Dorastali w tych samych kręgach i bawili się razem w salonie, podczas gdy ich matki jadły brunch, knując, jak by tu osiągnąć dominację społeczną. Jednak to nie dlatego rozpoznaje go w tej chwili. Mrowienie zawsze utrzymuje się po tym, gdy ktoś odwiedzi Szczygła. Przez tydzień, może nawet dłużej, mogłaby odnaleźć takiego człowieka w dowolnym zakątku Simty. Jej magia świeci w nim jak płomieniste ćmy, ale tylko Matilde dostrzega to światło.

Chłopcy stają przed nimi, kłaniają się. Samson się uśmiecha, pożera Æsę wzrokiem.

– Æso, uczynisz mi ten zaszczyt?

Po namyśle dziewczyna kiwa głową. Oddalają się tanecznym krokiem, a Matilde zostaje sam na sam z Tennym, który wyciąga do niej rękę.

– Panienko Dinatris, przyłączysz się do mnie?

Jest zdenerwowana. Patrząc na nią, klienci zdają się nie dostrzegać Szczygła. Ludzie widzą tylko te fragmenty, które pozwala im zobaczyć.

– Skoro tak ładnie prosisz.

Obejmuje ją dłońmi.

– Wyglądasz wspaniale, Matilde, i zachwycasz jak zawsze.

– Ty też wyglądasz całkiem przystojnie.

Na pewno znacznie lepiej, niż gdy pocałowała go tydzień temu. Musiał dobrze wykorzystać magię Szczygła. Dół jego twarzy, którego nie skrywa maska, jest zaczerwieniony od alkoholu i z dumy.

– Samson mi mówił, że ostatnio dopisuje ci szczęście.

Chłopak wypina pierś.

– Powiodło mi się kilka razy przy stolikach do krellena. Widać umiem coraz więcej. Może nawet pokonałbym ciebie.

W krellena? Litości.

– Miło sobie pomarzyć.

Nie wie, w jaki sposób, ale jest pewna, że to właśnie jej magia tak go ozłociła. A jednak chłopak bez mrugnięcia okiem udaje, że to jego zasługa.

Przyciąga ją do siebie. Zapach dymu goździkowego i kapryfolium, które wpiął w klapę, jest nieznośny.

– Nie tylko o tym marzę – wyznaje Tenny.

– Ach tak?

– Ojciec twierdzi, że już czas bym znalazł sobie żonę, i coś mi się wydaje, że ty nadasz się na nią znakomicie.

Sposób, w jaki to powiedział, jakby wszystko było z góry przesądzone, roznieca gniew w jej piersi.

– Nie zagalopowałeś się trochę?!

Chłopak się śmieje.

– Oj, proszę cię, nie jest ze mnie znowu taka zła partia.

Może nie świeci najjaśniej pośród wszystkich płomienistych ciem w latarni, ale jest przystojny i pochodzi ze znakomitego Rodu. W teorii to rzeczywiście niezła partia. Ale Matilde nie będzie czyjąś piękną ozdobą. Jest trucizną w przebraniu czegoś słodkiego.

Uśmiecha się, obnażając zęby.

– Nie sędzę, żeby było cię na mnie stać.

Nie zrozumiał, o co jej chodzi, to oczywiste.

– Och, jestem pewien, że mógłbym ci dogodzić.

Matilde zerka ponad jego ramieniem, widzi, że jej matka przygląda im się z rozognioną twarzą – z pewnością planuje już przyjęcie weselne. Ależ by się ucieszyła, widząc córkę u boku Tenny'ego, zmierzającą ku przyszłości pełnej wytwornych obiadków i przedkładania cudzych potrzeb nad własne.

Nagle wzbiera w niej bunt. Iskierki złości rozpalają się w gwałtowny płomień.

– Mam nadzieję, że zachowałeś maskę – mówi, nachylając się do Tenny'ego.

Kompletnie zaskoczony, dotyka swojej twarzy.

– Przecież mam ją na sobie.

– Nie tę – mruczy Matilde. – Tę, którą dostałeś od ptaka o złotym upierzeniu.

Tenny otwiera szeroko usta. Powinna się zatrzymać, ale słowa kłębią jej się na języku.

– Chyba nie chciałbyś stracić tak cennej pamiątki? Kto wie, czy jeszcze kiedyś zakosztujesz takich bogactw?

Koniec piosenki, Matilde odwraca się i szykuje do odejścia – wydyma jeszcze wargi w kształt, który Tenny na pewno pamięta, i posyła mu całusa.

Chłopak wybałusza oczy, już poznaje.

Matilde odchodzi, serce tłucze jej się w piersi.

Czy naprawdę zdradziła właśnie swoją tajemnicę Tenny'emu Maylonowi? Nie wie, co ją opętało, dlaczego pozwoliła, by sekret wypłynął. Chciała tylko zetrzeć mu z twarzy ten bezczelny uśmiech, podeptać jego poczucie pewności siebie. Przynajmniej to się udało. Ale do stu piekieł...

Chwyta kolejny koktajl i pociąga solidny łyk, żeby się uspokoić. Muzyka opływa ją strumieniami. Matilde potrafi przewidzieć każdy krok i każdy gest tańczących. Przyglądanie się im dodaje jej otuchy. W końcu to są jej świat i zasady – tu wszystko ma w swoim władaniu. Nic nie wyrządzi jej krzywdy w grze, którą zna na pamięć.

Pierwszego łyka wybornej substancji alchemicznej nie zapomina się nigdy. Musuje na języku niczym szampan. To jednak jeszcze nic w porównaniu z tym, jak smakuje pocałunek Nocnego Ptaka. Substancje alchemiczne to mieszanka składników – aby je stworzyć i wydestylować, wystarczy para rąk, tymczasem magia Nocnych Ptaków przypomina raczej pity na czysto wysokoprocentowy alkohol najlepszej jakości. Substancje alchemiczne tracą moc, a te dziewczyny przyrównałbym do butelki, z której można pić bez końca. Łatwo zatem zrozumieć, dlaczego warte są aż tak wysokiej ceny.

– FRAGMENT PRYWATNYCH ZAPISKÓW LORDA EDGARA ABRASII

ROZDZIAŁ 2

WIZYTY O PÓŁNOCY

MATILDE PRZYWDZIEWA maskę Szczygła. To jak druga skóra: jej najprawdziwsza twarz i najlepsze kłamstwo.

Jest późno, a ona czeka na górnym piętrze posiadłości na Osiedlu Ogrodów. Leta od czasu do czasu zmienia siedziby, aby mieć pewność, że nikt nie dotrze do Nocnych Ptaków inaczej niż przez Madame, ale pokój Szczygła zawsze wygląda tak samo: luksusowe meble, dwa krzesła i maska z piórami.

Niecierpliwie wyczekuje klienta. Kto to będzie? Młody czy stary, mężczyzna czy kobieta? Ani chybi ktoś z Wielkiego Rodu. To ekskluzywny, wyborowy klub. Na pewno nie będzie to Tenny Maylon, Źródłu niech będą dzięki! Leta pozwala klientom odwiedzać Nocnego Ptaka najwyżej raz lub dwa razy do roku. „Za dużo narkotyku prowadzi do uzależnienia” to jedno z jej ulubionych powiedzonek. I jeszcze: „Wszystko można kupić za odpowiednią cenę”.

Ile będzie kosztował ją pocałunek, który posłała Tenny'emu Maylonowi? Od przyjęcia Lety minęło kilka godzin, lecz nerwy Matilde nadal trzepoczą jak skrzydła, nie może ich uspokoić, choć próbuje nie myśleć o tamtym zdarzeniu. Przecież nie powiedziała wprost, że jest Nocnym Ptakiem. Podpity Teneriffe mógł nie zrozumieć...

A nawet gdyby, to nie będzie w stanie niczego udowodnić. Z pewnością w ogóle nie będzie o tym mówił. To zwykły szczeniak, ochoczo przestrzegający zasad, które Wielkie Rody ustanowiły, zanim się urodził.

Dawno temu, gdy Kościół jeszcze polował na czarownice, najpotężniejsze z nich ukryły się w Simcie, wówczas niewielkim portowym mieście. Kilka tutejszych rodzin dało schronienie Ognistym Ptakom, broniąc je przed tymi, którzy chcieli wyrządzić im krzywdę. W podzięcie kobiety zaczęły się dzielić magią ze swoimi protektorami. Z czasem ten zwyczaj przerodził się w coś na kształt klubu. Ogniste

Ptaki stały się Nocnymi Ptakami, nazywanymi tak, dlatego że pracują po ciemku: taki prywatny żarcik.

Rody strzegą dziewczyn przed potencjalnymi napastnikami. W zamian mają wyłączny dostęp do ich daru. To system, z którego wszyscy czerpią korzyści, a Tenny wie o tym równie dobrze jak ona. Podobnie jak o tym, że gdyby puścił parę z ust, Leta ujawniłaby jego sekrety i napytała mu biedy. Ojciec Tenny'ego jest abstynentem: tacy jak on sądzą, że używanie magii dla własnej korzyści lub przyjemności to bluźnierstwo. Tenny na pewno nie narazi się na to, że ojciec pozna prawdę. Matilde nie ma powodów do obaw.

Spogląda na swój medalion – należał do babci, gdy jeszcze była Nocnym Ptakiem. Przy świecach połyskuje w dłoni niczym ciekłe złoto. Przechowuje sekrety, tak jak sama Matilde. Zazwyczaj szczyci się tym, że zna ich tak wiele.

„Nigdy nie zdejmuj maski” – zasada Nocnych Ptaków. „Nie pozwól, by cię zobaczyli”.

Co by powiedziała babcia na wieść, że wnuczka uchyliła rąbka tajemnicy?

Pukanie. Dwa krótkie stuknięcia, a potem opuszki palców bębnią o drzwi jak deszcz. Matilde wsuwa medalion pod sukienkę i oczyszcza umysł.

Pod drzwiami pojawia się bilecik. Podnosi go i odczytuje imię:

Lord Dennan Hain z rodu Vestenów

Brakuje jej tchu.

Za drzwiami czeka Dennan Hain?

Zaskakuje ją, że Leta zgodziła się go przyjąć. Może i pochodził z Wielkiego Rodu, ale jego siostra to przecież zwierzchniczka Republiki Eudei: naczelną sędzina i potężna członkini Stołu, który rządzi tym miejscem. Jest też zagorzałą zwolenniczką prohibicji wprowadzonej przed pięcioma laty. Leta w życiu nie pozwoliłaby Epinine Vesten spotkać się ze Szczygłem. Ale Dennan tak naprawdę nie jest Vestenem. Większość ludzi mówi o nim „Książę Bękart”.

Ostatni raz widziała go trzy lata temu na przyjęciu w Skrzydlatym Pałacu.

To wtedy popełniła straszliwy błąd.

W pośpiechu krąży po pokoju i zdmuchuje niektóre świece. Od początku panował tu półmrok, ale ona chce, żeby było jeszcze ciemniej. Zatrzymuje się tylko

po to, by zerknąć w lustro nad kominkiem. Usta pomalowane, pierzasta maska trzyma się prosto. Przebranie jest kompletne, a jednak...

Bierze wdech, by się uspokoić. Mogłaby go odesłać: Leta ostrzega klientów, że to Nocny Ptak decyduje, kogo przyjmie. Mimo to łapie za klamkę.

Drzwi się otwierają, widzi w nich drobnego Wróbla, dziewczynę przyprowadzającą klientów, oraz potężnego Jastrzębia, który chroni Nocnego Ptaka – oczywiście oboje są zamaskowani. Dennen Hain stoi między nimi: ma na sobie garnitur w gołęzim kolorze i przepaskę na oczach.

Matilde wita Wróbla skinieniem. Dziewczyna popycha klienta naprzód – i nagle zostają tylko we dwoje. Cisza jest tak przenikliwa, że słycać wosk, który skapuje ze świec stojących nad kominkiem. Zagłusza ją jedynie łomot serca Matilde.

Nie śpieszy się, obserwuje uważnie. Dennen wydaje się starszy, niż go zapamiętała, to przez ten starannie skrojony garnitur i włosy zaczesane do tyłu – ale też zwyczajnie jest starszy. I wyższy. Szczupły, mocno opalony, kojarzy jej się z najlepszymi psotami. W kąciku jego ust kryje się trudny do zinterpretowania błysk.

Głos Dennana również iskrzy.

– Mogę odsłonić oczy, panienko?

Gdy chce pokazać klientowi, kto tu rządzi, przypomina mu, że jest zdany na jej łaskę. To sprawdzony sposób.

– Jeszcze nie. Wolę, żebyś miał zawiązane.

Dennen wsuwa dłonie do kieszeni. Matilde zwalcza pokusę zaciśnięcia swoich w pięści. Olejek *vox*, który pali w pokoju, zmienia barwę głosu, który teraz brzmi obco, ale kluczem do odgrywania Szczygła i tak jest pewność siebie. Nadaje swoim słowom żartobliwy wydźwięk.

– Lord Hain! Witaj w domu. Ile czasu minęło? Chyba mówimy o latach.

Przekrzywił głowę i lekko skinął.

– Miło, że ktoś pamięta.

O tak, Matilde nie mogła zapomnieć. Dawniej byli przyjaciółmi, ale od trzech lat nie miała żadnych wieści od niego – tylko o nim.

– Historie o twoich wyczynach dotarły tu przed tobą.

– Rozumiem. Czy są czegoś warte?

– Bez wątpienia podbiłeś nimi niejedno simtańskie serce.

Ponoć jest dobrze zapowiadającym się kapitanem żeglugi morskiej, przetarł nowe szlaki handlowe w dalekich Farlandach, walczył z piratami i poprowadził atak podczas wojen handlowych z Teką. Bękart czy nie, ludzie uważają, że należy do rodu Vestenów, z którego od dawien dawna wybiera się zwierzchników Eudei.

Kiedyś był po prostu chłopcem, z którym na przyjęciach bawiła się gdzieś na uboczu. Syn Marcusa Vestena: to dlatego zawsze go zapraszano. Ale ponieważ nikt nie wiedział, kim jest jego matka – z pewnością nie była to żona Marcusa – budził zgorzzenie. Matka Matilde kazała jej się trzymać od niego z daleka, co wywołało odwrotny skutek. Zakazany owoc smakuje najlepiej. Podążała za Dennanem do szaf i ciemnych kątów, gdzie wymyślali skomplikowane gry. Pisali do siebie liściki kodem znanym tylko im dwojgu.

Ta relacja to jeden z jej ulubionych sekretów, a przynajmniej kiedyś tak było – zanim Dennan zniknął bez słowa.

– Powiedz mi – prosi – czy to prawda, że walczyłeś z piratami? A może zostałeś jednym z nich?

– Zależy, kogo zapytasz.

Pewnie powinna go skłonić, by został w przepasce, ale nagle pragnie ujrzeć jego oczy. Dawniej chciała zamknąć ich jaskrawy niebieskofioletowy kolor w butelce, jak słodki syrop z *crysthellium* przywożony z Wysp Skarbów. Czy wyglądają tak, jak je pamięta? A on?

Istnieje tylko jeden sposób, by się przekonać.

– W porządku, możesz się rozgościć.

Zdejmuje przepaskę, mruga w półmroku. Jego oczy błyszczą nawet w przygaszonym świetle.

Przez kilka długich chwil tylko się obserwują. Matilde usiłuje przyjąć niedbałą postawę, jakby traktowała to wszystko w kategoriach żartu i nie miała nic do stracenia. Niech Dennan właśnie tak myśli.

– Napijemy się, lordzie Hain? Toast za twoje powodzenie?

Chłopak kiwa głową.

– Wypiję to samo co ty.

Matilde odwraca się plecami, podchodzi do kredensu i dyskretnie wyjmuje swój medalion. W środku znajduje się substancja alchemiczna, a góra po odkręceniu służy za zakraplacz, którym się ją dawkuje. Estra Doole to nazwa eliksiru. „Głębokie odprężenie”. Po jego wypiciu klienci uspokajają się, stają bardziej ulegli – to dobrze, bo niekiedy zbyt się ekscytują. Magia – niezależnie od rodzaju – działa odurzająco. Daru Nocnego Ptaka nie można osiąść przemocą. Jastrząb pilnuje, by klienci nie próbowali żadnych głupot, ale ostrożności nigdy za wiele. Poza tym Matilde zbiera poufne informacje, często pozyskując je właśnie w ten sposób. Pożądanym efektem ubocznym Estra Doole jest to, że rozwiązuje język.

Matilde zdecydowanie chciałaby poznać kilka sekretów Dennana Haina.

Obserwuje kroplę eliksiru na końcu zakraplacza.

„Odurzasz klientów?” Głos Sayer dźwięczy jej w uszach z irytującą uporczywością, zupełnie jak dzwony kościelne w święto Eshamein. „Słyszałam, że dziewczyny Pod Purpurowym Kucykiem też tak robią”.

Matilde odszczekuje się po cichu: „To nie burdel w Zadymionym Zaułku”.

Ale słowa Sayer nie dają jej spokoju: „Skąd wiesz, że tak nie jest?”.

Matilde zerka na wino, którego im naląła. Zabiera zakraplacz i prędko zakręca medalion, zanim zacznie się bić z myślami.

– Szczerze mówiąc... – Dennen odzywa się za jej plecami. – ...dorastałem w przekonaniu, że Nocne Ptaki to zwykły wymysł, bajeczki, które opowiadają sobie panowie w palarniach.

Matilde się odwraca.

– A jednak jestem tutaj, spełniony sen.

Podaje mu wino. Z bliska dostrzega na wardze Dennana jasną bliznę, której kiedyś nie miał. Przydaje mu uroku nieokrzesanego łobuza.

– Za co wypijemy?

Dennen się uśmiecha.

– Moja załoga zwykła pić za dobrych przyjaciół, starych i nowych.

Matilde o mało nie parska winem.

– W takim razie za przyjaciół.

Wznoszą toast. Matilde siada na krześle, Dennan też i obraca kieliszek w dłoni. Ma stwardniałe ręce żeglarza – z pewnością ciężko sobie na to zapracował, pływając po morzach. Matilde zastanawia się, jak by to było poczuć na skórze ich dotyk.

Pociąga kolejny łyk. Ten moment zwykle sprawia jej przyjemność: wyczekiwanie, które wisi w powietrzu, i żarciki przyprawiające o dreszczyk emocji. Ale z Dennanem taki scenariusz nie wydaje się odpowiedni.

– Powiedz mi – pyta wreszcie chłopak – lubisz to?

Mówi poufale, jakby się zwierzał kochance. Coś trzepocze się w jej piersi.

– Czy co lubię?

– Być Nocnym Ptakiem.

Tak naprawdę jeszcze nikt jej o to nie pytał. Zastanawia się, w co właściwie grają.

– Ma to swoje dobre strony.

– I nie przeszkadza ci, że na twoim progu stają obcy ludzie, żądając pocałunków?

– Od Nocnych Ptaków niczego nie można żądać. A ty i ja już za chwilę nie będziemy sobie obcy.

Świeczka strzela. Powietrze zdaje się cieplejsze. Matilde potrafi rozgrywać ciszę, ale tym razem ją drażni. Chciałaby się odezwać, byle coś powiedzieć.

– Wygląda na to, że obowiązuje tu wiele zasad – ciągnie Dennan. – Nie przeszkadza ci to?

Matilde się najeża.

– Są po to, by nas chronić.

– A może utrzymywać w niewiedzy?

Policzki czerwienieją jej pod maską. Dennan wyraźnie próbuje ją rozwścieczyć, tylko dlaczego?

– My tu gadu-gadu... – Matilde sili się na swobodny ton. – ...a przecież mamy do załatwienia sprawę.

Oparł łokcie na kolanach. Teraz bardziej przypomina chłopca, którego zapamiętała.

– Nie przyszedłem tu po pocałunek.

Brakuje jej tchu.

– W takim razie po co?

Wesołość gdzieś się ulatnia.

– Ostrzec cię przed zwierzchniczką.

Jego siostrą? Matilde robi, co może, by jej głos był opanowany i nie dało się z niego nic wyczytać.

– Słucham.

– Zamierza wykraść Nocne Ptaki. Wszystkie.

Odbiera jej mowę. Nagle w pokoju brakuje powietrza.

– Po śmierci naszego ojca – mówi Dennan – Epinine została zwierzchniczką ze względów formalnych. Jestem pewien, że to wiesz.

Zwierzchniczka wybiera członków Stołu, ciała zarządzającego, które pilnuje, by w Republice wszystko chodziło jak w zegarku. W skład Stołu wchodzi przedstawiciele Wielkich Rodów, zwierzchnik i Pontifex, czyli głowa Kościoła – sami mężczyźni – którzy wspólnie sprawują władzę. Swego czasu zwierzchnik pełnił funkcję monarchy, ale teraz jest raczej symbolicznym przywódcą i nie ma rzeczywistej władzy. Co nie znaczy, że to stanowisko pozbawione znaczenia.

– Zwierzchnik służy do końca życia – ciągnie Dennan – tak więc głosowanie powinno odbyć się w tym samym roku, w którym umarł. Tyle że prowadziliśmy wtedy wojnę z Teką i nie dało się głosować. To dlatego uszanowano życzenie naszego ojca, by zastąpiła go Epinine. Ale teraz, gdy udało się zagwarantować pokój i zbliża się letnie posiedzenie Stołu, jego członkowie chcą w końcu przeprowadzić głosowanie.

Matilde marszczy brwi.

– Na pewno wybiorą Epinine. Przecież pochodzi z rodu Vestenów.

Stanowisko pozostaje otwarte dla wszystkich Wielkich Rodów, lecz zawsze piastował je ktoś z Vestenów. Nie jest to może rodzina królewska, ale coś w tym rodzaju.

– Zwierzchniczkę wspiera Pontifex, a Kościół oczywiście ma znaczący wpływ na decyzje Stołu. Mimo to Epinine obawia się, że pozostałe Rody zagłosują przeciwko niej. Oskarżają ją o nieudolne prowadzenie wojny z Teką. Niektórym nie podobają

się też jej konszachty z Pontifeksem i to, że wspiera jego krucjatę przeciwko magii. Ich zdaniem w ten sposób uszczupla się zasoby Simty i rozzuchwała gangi.

Ale czy naprawdę zerwaliby z tradycją i zagłosowali na kogoś innego? Wydaje się to śmiałym posunięciem, choć Matilde podsłuchiwała w życiu dość rozmów, by wiedzieć, jak trudno zachować równowagę sił. Każdy walczy o większy kawałek tortu.

– Zwierzchniczka chce wzmocnić swoją pozycję przed głosowaniem – ciągnie Dennan. – Zamierza osłabić pozostałe Rody, zabierając im to, co jej zdaniem jest źródłem ich mocy.

Matilde przetyka ślinę.

– Nocne Ptaki.

Dennan kiwa głową.

– Epinine mówi, że chce was wziąć jako zakładniczki i przetrzymywać do czasu głosowania, by mieć pewność, że potoczy się po jej myśli. Ale sędzę, że równie dobrze może was wydać Pontifeksowi. Taka przysługa scementowałaby ich układ i dowiodła, że Epinine jest oddana sprawie prohibicji.

Czyż nie słyszała, co ojcowie Kościoła robili kiedyś z dziewczynami posiadającymi magiczne zdolności? Nie, to niemożliwe. Te koszmarnie opowieści, prawdziwe czy nie, do dziś śnią się Matilde po nocach.

Dociera do niej to, co Dennan przed chwilą powiedział: „Epinine mówi”. Skąd miałby znać jej plany, gdyby sama mu o nich nie opowiedziała?

Wstaje, robi kilka kroków w tył.

– Po to tu jesteś? Żeby zabrać nas do zwierzchniczki jak jakieś przyprawy z dalekiego portu?

– Jasne, że nie. – Twarz wykrzywia mu grymas rozczarowania. – Próbuję was przed nią ocalić.

Matilde umie czytać ludzi, szczyci się tym. Właśnie dlatego zawsze zwycięża w grach. Ale w oczach Dennana kryje się zbyt wiele, by mogła go przejrzeć. Utkwione w niej, pałają niebieskim blaskiem jak środek płomienia.

– Czemu przychodzisz z tym do mnie? Dlaczego po prostu nie powiesz tego Madame Kruk?

Dennan wypuszcza gwałtownie powietrze.

– Uznałem, że nie uwierzy w moje dobre intencje.

– A ja tak? – Przecież nie przedstawił jej żadnych dowodów na poparcie swoich twierdzeń. – Epinine jest twoją siostrą.

– Po co miałbym zmyślać takie historie o kimś z własnego Rodu? Niby co mogę w ten sposób zyskać?

Tego Matilde nie wie. Co nie znaczy, że należy mu wierzyć.

– Chcę być waszym sojusznikiem – mówi Dennan – ale musiałybyście mi zaufać.

– Na zaufanie... – Szczygieł unosi podbródek – ...trzeba sobie zasłużyć.

Jego głos jest teraz łagodny:

– Sądziłem, że już mi się to udało... przecież nikomu nawet nie pisałem o tym, że mnie pocałowałaś.

Serce podchodzi jej do gardła. On wie. Do stu piekieł, wie.

Miała wtedy czternaście lat – jeszcze nie była Nocnym Ptakiem, ale już pojmowała, że w krwi Dinatrisów krąży magia. Czowała, że się w niej budzi: ciepło burzące się pod skórą. Na przyjęciu Dennan rzucił jej wyzwanie, by go pocałowała, a ona nie chciała się wycofać. Sądziła, że potrafi zatrzymać to w sobie, lecz się pomyliła. Magia popłynęła z jej ust prosto w jego wargi.

Później wmówiła sobie, że to był wytwór jej wyobraźni. Prawdziwe zdarzenia, zagrzebane głęboko, rozpadną się i znikną. Najwidoczniej się pomyliła, ale nie przyzna tego – nie może. Dziś wieczorem zaryzykowała już zbyt wiele.

– Nie wiem, o co ci chodzi – mówi. – Chyba mnie z kimś mylisz.

Dennan wstaje.

– Matilde, ty i ja bawiliśmy się w ciemniejszych pokojach niż ten. Wszędzie bym cię rozpoznał.

W jego ustach jej prawdziwe imię brzmi jak zaklęcie, paraliżuje ją. Dennan podchodzi bliżej. Teraz czuje jego oddech na szyi.

– Już raz mi zaufałaś – szepcze. – Ale wiem, że istnieje tylko jeden sposób, by ci udowodnić, że nadal możesz mi wierzyć. Odejdę stąd z twoim sekretem i nikomu go nie zdradzę. A tutaj mnie znajdziesz, gdy będziesz gotowa na rozmowę.

Wciska jej coś do ręki: wizytówkę z adresem w Dzielnicy Smoka. Potem odwraca się w kierunku wyjścia. Matilde ma wrażenie, że traci grunt pod nogami. Musi się pozbierać.

– Lordzie Hain...

Odwrócił się. Matilde wskazuje usta.

– Nie zapomniałeś o czymś?

Chciała wytrącić go z równowagi. Ale gdy Dennan się zbliża, myśli trzepoczą się w jej głowie jak chmara oszalałych ptaków.

– Niczego innego nie pragnę. – Ujmuje jej dłoń i muska wargami. – Wolałbym jednak, żebyś pocałowała mnie z własnej woli. Jako ty.

Przepaska wraca na oczy i Dennan odchodzi. Teraz kręci jej się w głowie mocniej niż po winie, na języku czuje posmak zagrożenia.

Powinna zawołać Jastrzębia, pójść po Letę, coś zrobić. Ale co powie swojej Madame? „Przykro mi, ale zdradziłam nasz sekret aż dwóm chłopakom”. Nie do pomyslenia. Podobnie jak to, co usłyszała od Dennana o Epinine Vesten. Co ma o tym sądzić i co zrobić?

Mijają minuty. Matilde odwraca się do kominka. Czuje mrowienie w dłoniach, nagle zdaje jej się, że zapomniała o czymś szalenie istotnym. Ma wrażenie, że zza ściany dobiega stłumiony krzyk. Nadstawia uszu, ale nie... To tylko воск kapie ze świec. A jednak gdzieś głęboko w środku budzi się w niej strach.

Coś jest nie w porządku.



SUKNIA PARDWY to czarne tiulowe monstrum. Przylegająca do ciała ciemna sukienka z błyszczącego materiału, którą Sayer włożyła na bal, teraz wróciła do szafy – zastąpiło ją to paskudztwo, w które Wróbel musiała ją wciskać. Niby jak ma się w tym poruszać? Leta twierdzi, że ten cyrk jest dla zmyłki, ale Sayer działa on na nerwy.

Co gorsza, maska pachnie dziewczyną, która nosiła ją dawniej. W piórach utrzymuje się przesłodzony zapach perfum.

W ostatnich tygodniach Sayer przyjęła kilkoro klientów: wiekowego lorda, który nie odezwał się do niej słowem, i gadatliwą kobietę, której szminka miała nieprzyjemny różany posmak – ten wieczór nie będzie dla niej zaskoczeniem. A jednak poca jej się dłonie i najchętniej krążyłaby po pokoju. Liczyła, że po kilku spotkaniach będzie łatwiej, ale nie jest. Nie znosi dawać tym ludziom części siebie. Ani tego, że tak dobrze się czuje, gdy korzysta ze swojej magii. „To jak zanurzyć się

w gorącej kąpeli w chłodny dzień”, tak określiła to kiedyś matka. Sayer uważa, że to raczej jak przebicie pęcherza: obrzydliwy rodzaj ulgi. Robi jej się niedobrze na myśl o matce słodko uśmiechniętej i ubranej w maskę. Właśnie w takim pokoju zaczął się jej przekłety romans z ojcem Sayer.

Nadja Sant Held roztaczała przed nią świetlaną wizję Wylla Regnisa, młodego lorda, w którym się beznadziejnie zakochała. Musiała go jakoś opisać, bo Sayer nie miała pojęcia, jak wyglądał. Przecież ich nie odwiedzał. Ale Nadja nigdy nie opowiedziała córce, co się tak naprawdę zdarzyło – dlaczego Nocny Ptak skończył w zakurzonej mieszkaniu w Dzielnicy Gryfa. Podejrzewa, że matka wołała swoje zmyślane historie. Ona sama przestała dbać o to, czy ojciec w końcu się zjawi – nie chce go znać – ale matka wierzyła, że wróci i się pogodzą. Tak się nie stało, a w jego miejsce pojawiali się inni mężczyźni.

Sayer dowiedziała się o tym, mając trzynaście lat. Właśnie wracała po jednej z pierwszych zmian w Jaśnie Oświeconej, gdy usłyszała odgłosy dochodzące z sypialni na tyłach. Zakradła się, korzystając z przyćmionego światła, i skryła za zasłoną, a potem patrzyła, jak elegancki mężczyzna całuje jej matkę opartą o ścianę.

„Gołąbeczko”, patrzył mętным wzrokiem. „Nic nie smakuje tak słodko jak ty”.

Przed odejściem zostawił na stole torbę pieniędzy. Wiele dni upłynęło, nim Sayer pojęła, za co płacił. Nigdy o to nie zapytała, lecz wiedziała, że przychodził po te resztki magii, które zostały matce. A ona wiele razy mu na to pozwalała. To dlatego Sayer nie chciała zostać Nocnym Ptakiem. Dawno temu poprzysięgła sobie, że nie popełni błędów matki.

„A jednak jesteś tu”, myśli. Wracają do niej irytujące słowa Matilde z sali balowej: „To klub, a mi się zdaje, że ty rozpaczliwie pragniesz do niego należeć”. Ale jej wcale nie interesuje wikłanie się w takie sprawy, wiązanie z kimkolwiek. Nie zamierza wychodzić za mąż za któregoś z tych napuszonych pawi i wcale nie chce pojednać się z ojcem. Wyciągnie ze swoich klientów jak najwięcej pieniędzy, a potem odejdzie, może nawet wyjedzie z Simty. Widzi się w otulonym rzeką Sarasku lub w jakimś górskim miasteczku w Thirsku, mogłaby tam wynająć urokliwą kamienną chatkę. Może otworzy własną kawiarnię? Wyobraża sobie siebie w kuchni, ciepłej i pachnącej gwiazdoszkami. Czyjaś dłoń ściera z jej policzka smużkę mąki. Ciemnozielona przepaska skrywa oko dziewczyny, która rozchyła usta w uśmiechu. To Fenlin Brae nagle się do niej nachyla...

Z zamyślenia wyrywa ją ciche pukanie w drzwi, ktoś wsunął pod nie bilecik, który błyszczy się na ciemnym dywanie.

Lord Robin Alewhin z rodu Rochetów

Nie zna go. Ale czy wszystkie te nazwiska nie brzmią obco?

Wyciera dłonie w suknię, przypomina sobie złotą zasadę, którą wpoila jej Fen podczas lekcji bitki: „Na twarzy uśmiech, a za plecami nóż”.

Drzwi się otwierają. Staje w nich mężczyzna z zawiązanymi oczami. Są mniej więcej równego wzrostu. Ma ciemne włosy i oliwkową skórę, jak prawie każdy mężczyzna w Simcie. Sayer zauważa, że się nie uśmiecha.

W ciemności kryje się jej Jastrząb w masce z zakrzywionym dziobem. Wygląda jak jakiś zbir. Wolalaby mieć przy sobie kogoś z przyjaciół z Dzielnicy Gryfa – zaufaną osobę. Myśli o ognistej czuprynie, ciętym dowcipie i sprężystym, brutalnym wdzięku Fenlin Brae. Nagle zatęskniła za nią tak okrutnie, że brakuje jej tchu. Dręczy ją poczucie winy: nawet się nie pożegnała... ale to nie pora na takie rozważania.

Zmusza się do uśmiechu, choć klient i tak go nie widzi. Ale matka zawsze powtarzała, że uśmiech można usłyszeć w głosie: piękne kłamstwo.

– Lordzie Alewhin, witaj.

Mierzy go wzrokiem. Dziewczyna z Dzielnicy Gryfa musi umieć odróżnić pospolitego głupca od kogoś, kto stanowi prawdziwe zagrożenie. Mężczyzna jest chudy i żyłasty jak żeglarze. Ubrany w garnitur, stoi bez ruchu, ale przypomina czajnik, w którym woda lada chwila zawrze.

Wepchnięto go do pokoju, drzwi się zamykają. Drży mu kącik ust.

– Mogę zdjąć opaskę?

Matilde sądzi, że Sayer ignoruje jej nieformalne nauki, ale to nieprawda. „Ten pokój to twój świat, ty tu rządzisz. Najlepiej od razu dać im to do zrozumienia”.

– Za chwilę. – Sayer podchodzi do kredensu i z kryształowej karafki pociąga solidny łyk whisky z wysp Illish. W ustach pali ją smak słonej wody i dymu. – Teraz możesz.

Jego oczy są brązowej barwy, jak słaba kawa. Brwi wyglądają, jakby niedawno je golił.

– Co teraz? – pyta. Ręce trzyma sztywno przy ciele. – Szczerze mówiąc, nie znam szczegółów.

Sayer wskazuje fotel.

– Najpierw proszę spocząć.

Kiedy siada, przyćmione światło kreśli na jego twarzy ostre linie. Roztacza jakiś ziemisty zapach, jak zuchworosty porastające kanały Simty, tyle że lekko zwęglony.

– Coś do picia?

– Nie – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – Dziękuję.

Najwyraźniej chce to mieć jak najprędzej za sobą. I całe szczęście, bo ona też.

– Żeby magia zadziałała, musimy ją przywołać – wyjaśnia Sayer, biorąc delikatną szarą maskę, która leży na gzymsie kominka. – Włóż to, gdy będziesz gotów.

Podaje mu maskę, ale mężczyzna tylko zaciska dłonie na podłokietnikach fotela.

Sayer stara się mówić spokojnie, nie okazywać irytacji.

– Musisz ją mieć na sobie w trakcie pocałunku.

Zmarszczył brwi.

– Mamy się całować?

Kocia pożoga, czy Leta niczego mu nie wyjaśniła?

– Nie obawiaj się, nie gryzę.

Zakłada maskę i zaciska powieki. Sayer rozważa, czy nie pociągnąć kolejnego łyka whisky, ale w końcu staje przed mężczyzną. Podczas pocałunku pewnie należy zamknąć oczy, lecz ona nie zaufa nikomu, kto jest gotów za to płacić. Nachyla się z otwartymi oczami. Dzięki temu w porę dostrzega błysk metalu.

Odskakuje, tyle że ta przeklęta suknia płącze się pod nogami. Sayer się potyka. Mężczyzna zrywa się na nogi i mocno opasa jej żebra ramieniem.

– Tylko spróbuj krzyknąć – warczy, przyciskając jej do gardła nóż – to cię wykończę.

Sayer się szamocze, próbuje uwolnić z żelaznego uścisku. Kocia pożoga, silny jest. Musi narobić hałasu, przewrócić coś, ale nie może złapać powietrza, a zza tej przeklętej maski wszystko przypomina rozmazane cienie.

– Twój strażnik ci nie pomoże – szepcze mężczyzna – zadbałem o to.

Po chwili coś ciężkiego upada na podłogę w korytarzu. To musi być jej Jastrząb. Klient wyciąga zza pazuchy fiolkę.

– Wypij to – nakazuje – a nikomu więcej nie stanie się krzywda.

Mocuje się z korkiem, zawartość śmierdzi jak dno stawu. Sayer się wyrywa, gdy usiłuje wlać jej to do ust. Ogarnia ją panika, ale głos Fen zdołał się przez nią przebić. „Bądź nieprzewidywalna”, radziła jej, gdy uczyły się walczyć. Z szybkością błyskawicy wbija mu w stopę obcas. Mężczyzna się zatacza, lecz prędko odzyskuje równowagę i chwyta Sayer za ramię, akurat gdy próbuje dopaść drzwi. Pardwa się odwraca. Oboje zostają schwytni w sidła jej sukni. Padają na dywan, kotłują się i siłują. Słychać chrzęst: któreś z nich zgmiotło fiolkę.

Lord Alewhin – o ile tak się nazywa – musiał upuścić nóż, bo teraz obie dłonie zaciska na szyi Sayer. Dusi ją. Jego gorący oddech omiata jej twarz. Sayer nie może złapać powietrza. Gdy wierzga, suknia podjeżdża do połowy ud. Chciałaby się zaśmiać, choć to zupełne szaleństwo. Myśli: „Jeśli szukałeś tu kurtyzany, która ściąga ciuchy, to trafiłeś pod zły adres”. Ale chyba nie tego pragnął, skoro trzyma ją tak, jakby się jej brzydził. Tylko dlatego może jeszcze oddychać.

– Złaż ze mnie – charczy, usiłując dobyć nóż przywiązany do uda, uwięziony pod piórami. Gdyby tylko zdołała sięgnąć kawałek dalej...

– Jesteś dowodem na istnienie czarownic – szepcze złowrogo mężczyzna. – Zatrucie świat, jeśli wam na to pozwolimy. Gdy cię przyprowadzę, czeka mnie nagroda.

Komu miałby ją przyprowadzić? Tego nie wie, ale napastnik wyraźnie próbuje ją skrzywdzić. Wzburzenie, które czuje aż w piersi, ma posmak nawałnicy.

Ślina trafia ją w policzek.

– *Sant catchta aelit duo catchen ta weld.*

Sayer się napręża, ale brakuje jej powietrza, nie ma siły krzyknąć. Nikt nie przyjdzie jej na ratunek. Koniec końców umrze dla kaprysu tego mężczyzny.

Drzwi, które wiodą do ukrytego przejścia łączącego pokoje Nocnych Ptaków, otwierają się z łoskotem. Matilde wpada do środka i zaczyna krzyknąć na ich widok.

Klient odwraca głowę, na sekundę rozluźnia uścisk. Wystarczy, by Sayer w końcu dobiła nóż. Bierze zamach i wbija ostrze w rękę napastnika. Ten stacza się z niej, klnąc na czym świat stoi. Sayer chwyta zakrwawiony nóż i wstaje.

– Rusz się, a odetnę ci coś cenniejszego – warczy.

Chce się na nią rzucić, lecz tym razem powstrzymuje go Matilde, wymachująca pogrzebaczem.

– Nawet nie próbuj! – prychna wściekle, zaskakując tym Sayer.

Otwierają się główne drzwi, wpada Jastrząb – ale nie ten, który miał jej strzec – i brutalnie chwytą klienta. Mocują się, lecz ranny napastnik nie jest już taki groźny. Gdy walczył z Sayer, rozdarła mu się marynarka, odsłaniając kawałek piersi. Są tam wytrawione czarne linie: tatuaż w kształcie karo, a w środku płonący miecz. Wygląda znajomo, ale Sayer nie pamięta, gdzie go widziała.

Matilde szturcha ją łokciem. Nadal trzyma pogrzebacz i przypomina żeglarza zamierzającego się harpunem na ośmiornicę.

– Proszę, powiedz, że to nie ty zaczęłaś.

Sayer wyciera nóż w suknię.

– Nie, to on. Ja tylko upuściłam mu trochę krwi.

Jastrząb unieruchomił klientowi ręce za plecami, trzyma go mocno. Coś mokrego płynie po dłoniach Sayer i skapuje na dywan. Zdaje jej się, że to jego krew, ale... równie dobrze może być jej.

Podchodzi do niego, jej głos jest niski, a mimo to wyraźny.

– Kto cię nasłał?

– Służę Marrenowi – dyszy w odpowiedzi – on powierzył mi tę misję. Zawiodłem, ale wiedzcie, że moi bracia odniosą zwycięstwo.

Co powiedział wcześniej? „Sant catchta aelit duo catchen ta weld”. Tymi słowami ojcowie zaczynają modlitwę przy świecach. „Ogień, który oczyści świat”. Z czego ma go oczyścić?

– Co to za misja?

Uśmiecha się, patrzy nieobecny wzrokiem.

– Zmieść wasz gatunek z powierzchni ziemi.

Coś chrzęści. Z jego ust wypływa czarna krew. Do stu piekieł, Sayer prawie go pocałowała.

Jastrząb przeklina, stara się utrzymać mężczyznę, który właśnie dostał drgawek.

– Przegryzł szklany paciorek.

Słyszała o tym: żołnierze trzymają je w ustach i przegryzają, gdy zostaną pojmani. Lepiej umrzeć od trucizny, niż splamić się na torturach. Dlaczego nie chciał dać się przesłuchać? Co takiego ukrywa?

Chwyta go za klapy.

– Kto cię nasłał?! Mów! No gadaj!

Kropla czarnej śliny trafia ją w szyję i pali.

– Niedługo się przekonacie.

Sayer się odsuwa. Jastrząb kładzie klienta na ziemi. Sparaliżowani patrzą, jak w jego oczach gaśnie światło.

Dziewczyna z Dzielnicy Gryfa przecież nieraz widziała, jak kogoś ugodzono nożem, widok zwłok też nie jest jej obcy. A jednak nikt nie próbował jej odurzyć ani porwać. Wzdryga się na samą myśl.

Matilde zwraca ku niej zamaskowaną twarz. Na całe szczęście przez siateczkę nie może dostrzec wyrazu oczu Sayer.

– Nic ci nie zrobił? – Dotyka jej ręki.

Odzywa się w niej jakiś szept. Skóra ją mrowi. Na języku czuje posmak błyskawicy. Zupełnie jakby przeskoczyła między nimi iskra.

Odsuwa się prędko i wrażenie przemija.

– Nic mi nie jest. Ale nie sądziłam, że tak spędzę ten wieczór.

– No pewnie. – Matilde kręci głową. – Ja też nie.

Sayer drapie się w szyję, usiłuje nie patrzeć na klienta. Jej wzrok pada na wnętrze jego dłoni, błyszczące od jakiegoś dawnego oparzenia.

– Skąd wiedziałaś, że ktoś mnie zaatakował?

Pokój Szczygła znajduje się po drugiej stronie domu: z pewnością nie mogła ich usłyszeć.

Matilde spogląda na dłoń, którą przed chwilą dotknęła ręki Sayer.

– Chyba miałam przeczucie.

Sayer marszczy czoło.

– Co masz na myśli?

Ale i ona ma przeczucie, właśnie w tej chwili. To jak pięść, która gwałtownie zaciska się na sercu. O co tu chodzi? W głowie ma kompletny mętlik.

Matilde wydaje stłumiony okrzyk, odwraca się do ściany.

– Gdzie jest Æsa?



ÆSA STOI w oknie, wciąga w płuca hausty powietrza. Wdech, wydech. Strach nie ustępuje. Otworzyła szerzej okno – w świetle księżyca blad różowe szkło zdaje się niemal fioletowe. Stara się dojrzeć port. W oddali widzi połyskujący ocean, lecz nie czuje jego zapachu. Fetor Simty dławi wszystko inne.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że szum morza stale jej towarzyszył, dopóki nie przybyła tutaj. Jej dom to trudne miejsce, ale знаła jego rytmy, nastroje i najcichsze łkania. Tam była u siebie.

Za chwilę zjawi się klient – jej pierwszy. Nałożyła ciemną perukę, którą Leta kazała jej zakryć rudozłote włosy, żeby się nie wyróżniały. Jeszcze tylko przywdzieje maskę i będzie Słowikiem. Przydomek wziął się stąd, że piękny śpiew tego ptaka oczarowuje słuchaczy. Tak naprawdę magia Æsy ma raczej związek z kontrolowaniem uczuć. Drży na samą myśl o tym, co mógłby zrobić klient, którego obdarzy taką mocą, lecz przecież nie musi sobie tego wyobrażać: widziała to na własne oczy. Poczucie winy wzbiera w jej piersi jak fala.

Kiedy pierwszy raz pocałowała Enisa Dale’a za suszarnią jego taty, nie miała pojęcia o magii. Mama nie wspomniała, że mają ją we krwi. Pamięta to uczucie: magia uleciała z jej ust jak oddech w chłodny poranek, delikatnie i bezszelestnie. Nawet potajemne pocałunki, które sobie wyobrażała, nie były tak przyjemne.

– Czulaś to? – wyszeptał Enis urywanym głosem.

– Ale co?

– Jakby przepłynęła między nami fala. Coś jak silny podmuch.

Wydawał się pijany, może wręcz porażony, a ona poczuła się potężna jak *sheldar*. To dlatego przyciągnęła go do siebie i znów pocałowała.

Pomna na kazanie ojca Totha o tym, że uprawy marnieją, gdy się kłamie, powiedziała o pocałunku matce. Wyznała nawet, co wtedy poczuła. Mama kazała jej nie mówić nic tacie ani ojcu Tothowi. W żadnym razie nie mogli się dowiedzieć. Æsa wstydziła się swojej rozwiązłości, przysięgała sobie, że więcej nie ulegnie. Ale Enis ją odszukał. „Inger podarował mi swojego najlepszego konia”, oznajmił,

a oczy błyszczały mu jak w gorączce. „Sprawiłem, że sam chciał mi go dać. To magia, Æso. Myślę, że pochodzi od ciebie”.

Znów ją pocałował i niech bogowie mają ją w opiece – pozwoliła mu na to. Magia wypłynęła z niej ochoczym strumieniem. Pocałunek coś w niej zaspokoił, w środku – jakiś głód. Pusty ból, którego nie potrafi nazwać, lecz wie, że należy się go lękać.

Dotyka morskiego szkiełka wplecionego we włosy tak, by nikt nie zobaczył. Czy gdyby Æsa nie uległa pokusie, jej magia pozostałaby uśpiona lub w ogóle zniknęła? Może modląc się więcej i nie pragnąc tak bardzo, zdołałaby odmienić swoją przyszłość?

Teraz to już bez znaczenia. Jest tutaj, tak jak chciała tego mama. Podchodzi do kominka, podnosi maskę leżącą na gzymsie – zmusza się do tego. Tego rodzaju magia jest przeznaczona dla Źródła i czterech bogów, a nie dla wiejskich dziewczyn. Znów przypominają jej się kazania ojca Totha: „W rękach śmiertelników magia jest niebezpieczna, zwodzi na manowce, staje się trucizną”. Ale przecież mama by jej tu nie wysłała, gdyby to była prawda. Czy popełnia grzech, dlatego że jest Nocnym Ptakiem? Ta myśl nie daje jej spokoju. Czy dzieląc się magią, skazuje swoją duszę na potępienie lub deprawuje innych?

Z tyłu dobiega ciche skrzypnięcie. Æsa się odwraca, widzi, że różowe okno otwiera się na oścież. Ciarki przebiegają jej po skórze, kiedy ktoś wchodzi do środka. Rzuca się, gotowa krzyczeć, gdy intruz podnosi wzrok.

– Enis? – Z trudem łapie powietrze.

Wita ją szerokim uśmiechem.

– Æsa! No w końcu.

Nic się nie zmienił: ciemne rude włosy, blade policzki osmagane morskim wichrem. Kawalek domu.

Zarzuca mu ręce na szyję. Tak jej ulżyło, że ledwie może dobrać głos. On trzyma ją blisko, ściąga z niej perukę, wsuwa palce we włosy.

– Nie wierzę – mówi Æsa. – Jak mnie tu znalazłeś?

– Musiałem cię odszukać.

Odsuwa się, słysząc dziwny ton jego głosu.

– Ale jak ci się to udało?

Jego oczy mają niebieski kolor, który pamięta, lecz pod powierzchnią błękitu gęstnieje mrok.

– Martwiłem się o ciebie. Twoja mama powiedziała, że popłynęłaś do Simty, żeby zamieszkać u krewnych, ale wiedziałem, że nigdy byś mnie nie opuściła. Przecież jesteśmy sobie przeznaczeni.

Brakuje jej tchu. Jeszcze niedawno te słowa napawałyby ją radością, ale teraz czuje tylko lęk.

– Kiedy mi cię zabrali, nie mogłem spać. Ani jeść. – Enis głaszcze ją po ręce i po włosach, jakby nie mógł się nią nasycić, ale jego oczy zdają się jej nie widzieć. – Od czasu tamtych pocałunków czuję jakieś przyciąganie. To Źródło przycumowało moje żebra do twoich grubą liną. Kupiłem bilet na statek do Simty i błąkałem się, podążając za tym przyciąganiem, aż cię znalazłem. Gdy przechodziłem pod tym oknem, od razu wiedziałem, że tu jesteś. Dlatego się wdrapałem.

Matilde mówiła, że po pocałunku Nocne Ptaki przez jakiś czas czują związek ze swoimi klientami, ale o czymś takim nie wspominała.

– Nie rozumiem.

– Jak to? Æso, bogowie chcą, żebyśmy byli razem. Wiem to. Po prostu wiem.

Znów się uśmiecha, lecz tym razem widać w tym jakieś skrywane szaleństwo.

– Lada chwila ktoś się tu zjawi – rzuca Æsa. – Nie mogą cię zobaczyć.

Chłopak zdaje się jej nie słyszeć. Przyciąga ją do siebie, brutalnie – tak mu się pali.

– Niech tylko spróbują nas rozdzielić.

Zaczyna szarpać suknię Słowika. Najpierw Æsa sądzi, że chce ją tylko przytulić, ale jego pośpiech jest groźny i zgubny.

– Enis! – Przecież się przyjaźnią: takie zachowanie do niego nie pasuje. – Przestań!

Nie przestaje, a ona zamiera, zbyt strwożona, by się wyrwać.

Szuka jej warg. Coś wzbiera w piersi Æsy, chłodna fala rozbija się z łoskotem, uwalniając głos. W końcu udaje jej się krzyknąć.

Drzwi otwierają się na oścież, do środka wpada Jastrząb, zaskakując Enisa. Jest znacznie większy, ale Enis walczy jak wściekły pies. Tarzają się po pokoju, przewracają wazon, krzesło. Æsa kuca przy kominku i zaciska powieki. Słyszać

odgłos bicia pięściami, a po chwili miażdżenia. Teraz naprawdę chciałyby być ptakiem, żeby stąd odlecieć.

Ktoś kuca obok niej, powoli i cicho. Słyszy, że wstrzymał oddech – z zaskoczenia lub z bólu. Æsa otwiera oczy, lecz nie potrafi spojrzeć na swojego Jastrzębia, który ma za zadanie strzec Słowika. Jest jak jej cień. Nie widziała jego twarzy, nie wie, jak mu na imię.

Nie dotyka jej, bo to zakazane. Pyta tylko:

– *Kilventra ei'ish?*

To w *illish*, znaczenie tych słów ma tyle warstw co morze. Z pozoru oznacza tylko: „Nic ci nie jest, przyjacielu?”. Ale sposób, w jaki wypowiedział pierwsze słowo – *ventra*, a nie *ventris* – ma czulszy wydźwięk. „Nic ci nie jest, moje serce?” Takie pytanie zadał jej przed chwilą.

Æsa podnosi wzrok. Spadła mu maska, odsłaniając brązową skórę i niebieskoszarozielone oczy przywodzące na myśl wybrzeże Illanu. W ciemności niemal świecą. Są szeroko otwarte, jakby też był zdziwiony tym, co właśnie powiedział.

Nagle uderza ją, że oboje mają odkryte twarze. Zasada, której nie powinni łamać.

– Przepraszam, panienko – mówi bezbłędnie w *illish*. – Nie wiem, jak się tu przedarł.

– Wszedł przez okno. – Æsa zerka na Enisa leżącego bez ruchu na podłodze.

Jastrzęb marszczy czoło.

– Nie można mu odmówić odwagi. – Nieznacznie się do niej nachyla. – Czy cię skrzywdził?

Kręci głową. Usta nadal jej drżą.

– Nie martw się. Zabiorę go na dół do Madame. Ona to załatwi.

Łapie go za rękę – kolejna zasada legła w gruzach. Ale Æsa straciła już zbyt wiele tego, co kojarzy jej się z domem.

– Nie możesz tego zrobić.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie?

– Bo to nie jego wina – wyrywa jej się. – Wszystko przeze mnie.

Chłopak nadal się marszczy. Przez chwilę tylko się przygląda, jakby starał się wyczytać coś z jej głębi. A potem zza ściany dobiega hałas, słychać zbliżające się kroki. Jastrząb podnosi maskę Słowika z podłogi.

– Prędko, załóż to.

Zawiązuje ją drżącymi palcami, gdy on wkłada swoją.

Sayer i Matilde wpadają przez ukryte drzwi, obie trzymają ostre narzędzia.

– A niech to – dyszy Matilde, spoglądając to na Jastrzębia, to znów na Enisa leżącego na dywanie. – Co się stało?

Æsa nie może zebrać myśli. Jeszcze nigdy nie widziała dziewczyn w maskach. Za siateczką ich oczy przypominają dziwne ciemne otwory.

– Wszystko w porządku – kłamie bez zająknięcia Jastrząb. – Klient za bardzo się podekscytował.

Sprytnie to wymyślił, ale Æsa martwi się, że prawda wyjdzie na jaw. Lada chwila pod drzwiami pojawi się prawdziwy klient.

– Zaatakował cię? – Sayer pomaga jej wstać.

Ogarnia ją panika.

– Nie... no tak, trochę. Ale...

– Dwa ataki jednej nocy – przerywa Sayer. – To nie może być przypadek.

Matilde trąca stopę Enisa jakimś szpikulcem.

– Ten mi nie wygląda na fanatycznego ojczulka, ale kto wie...

Æsa zaciska dłonie w pięści.

– Posłuchacie mnie wreszcie?! – Milkną. – To nie klient, tylko mój przyjaciel z rodzinnych stron.

W korytarzu słychać hałasy. Æsa bierze niepewny wdech.

– Musicie pomóc mi go ukryć.

Maski zasłaniają im twarze, mimo to wyczuwa, że dziewczyny doznały wstrząsu.

Matilde zaczyna coś mówić, ale Æsa wchodzi jej w słowo.

– Później przyjdzie czas na wyjaśnienia. Pomóżcie mi. Proszę.

Po chwili milczenia Jastrząb podchodzi do drzwi. Æsa upada na duchu. A wtedy on pokazuje jej coś lewą dłonią: składa po kolei palce i zaciska na nich kciuk.

Żeglarze z wysp Illish wykonują ten gest, gdy wiatr dmie tak mocno, że nic nie słycać. Oznacza: „Płyniemy do domu”. Albo: „Zaufaj mi”.

– Zajmę się tym. – Pokazuje w stronę korytarza. – A wy ukryjcie chłopaka w sekretnym przejściu. Tylko porządnie go zwiążcie i zakneblujcie.

Wymyka się z pokoju. Przez chwilę panuje zupełna cisza. Serce Æsy tłucze się tak, że mogłoby złamać żebro.

Sayer rzuca się naprzód.

– Matilde, złap go za rękę. Æso, znajdź coś do wiązania i otwórz drzwi.

Zdejmuje z okna cienką zasłonę. W tym czasie dziewczyny ciągną jej przyjaciela po podłodze. Nawet nieprzytomny wygląda na zaniepokojonego – to przez tę zmarszczkę między brwiami.

– Jak to możliwe – stęka Matilde – że jeden mały rudzielec jest aż taki ciężki.

Sayer łypie gniewnie.

– Kocia pożoga, ty go prawie wcale nie ciągniesz.

W końcu udaje im się zawlec chłopaka do ukrytego przejścia, gdzie próbują go związać i zakneblować w niemal zupełnej ciemności. Na dokładkę jest ciasno. Gdy wracają do pokoju i zamykają sekretne drzwi, do środka wpada Leta. Nawet maska Madame Kruk nie skrywa jej wściekłości.

– Tu jesteście. Wszystko w porządku, dziewczyny? – Æsie się zdaje, że potaknęła, ale ma mętlik w głowie. – Zostańcie tutaj – przykazuje Leta. – Zaraz wracam.

Po jej wyjściu Æsa osuwa się po ścianie na pluszowy dywan. Sayer unosi maskę, dosiada się. Czerwono-czarne smugi plamą jej dłonie.

Æsa wciąga powietrze.

– Czy to... krew?

Sayer kiwa głową, ściska kurczowo nóż.

– Pewnie tak.

Matilde też siada obok, tyle że z drugiej strony. Jest bez maski, w dłoni trzyma karafkę. Gdy są tak blisko, Æsa odczuwa mrowienie – jak zawsze, kiedy się dotykają. Są jak ptaki na żerdzi: każda ma w sobie coś, co nawołuje pozostałe. Ale wcale nie czuje się przez to bezpieczniej.

– No tak. – Głos Matilde lekko drży. – Niezła przygoda. Chyba przyda nam się coś na wzmocnienie. – Æsa pociąga solidny łyk, pali ją w gardle, nie może powstrzymać kaszlu. To nie wino, tylko illishańska whisky. – Ten rudzielec w przejściu... – Matilde zabiera jej karafkę. – Jesteś pewna, że możemy go wypuścić?

– Mój Jastrząb się nim zajmie – odpowiada, licząc, że to prawda. – Enis nie jest groźny. Już wam mówiłam, że to mój przyjaciel.

– Przyjaciele nie obłapiają się w ten sposób. – Sayer wskazuje rozdarty stanik jej sukni.

Æsa czerwienieje.

– Wiem, ale... on nie był sobą.

Patrzą na nią z wyczekiwaniem. Czuje przykry ucisk w gardle. Tak naprawdę nie są przyjaciółkami, ale właśnie jej pomogły, nie zadając żadnych pytań. Coś im się należy. Ale gdy zaczynają dociekać, skąd wiedział, gdzie jej szukać, kłamię. Mówi, że pisywali listy, a ona poczuła tęsknotę za domem i napisała Enisowi, gdzie znajdzie Słowika. „Nie mówcie Lecie”, prosi. Odesłałaby ją do domu, a przecież Æsa musi tu zostać ze względu na rodzinę. Nie chce ich zwodzić, ale tak będzie bezpieczniej.

„Kiedy mi cię zabrali, nie mogłem spać – powiedział Enis. – Ani jeść”. To nie miłość go tu przyciągnęła, tylko tamte pocałunki, jeszcze na Illanie – jej magia, to ona coś z nim zrobiła. Æsa widziała, jak na nią patrzył: oczy miał zamglone tak jak mężczyźni, którzy wytaczali się z Zajazdu pod Spróchniałym Drzewem. Pozbawieni duszy i spragnieni do granic. To uzależnienie.

W takim razie jej pocałunki mogą być szkodliwe.

W SEKRETNYM pomieszczeniu w Dzielnicy Feniksa migocące płomienie świec kierują się ku Eliemu. Chłopak klęczy na podłodze. Rzadko bywał w kościołach: jeszcze kilka tygodni temu sypiał pod schodami, licząc, że nikt go nie przepędzi. Potem zjawił się jeden z ojców, dał mu łóżko, ciepłe posiłki i cel. To właśnie on przywiódł go tu dzisiejszej nocy.

Eli utkwił oczy w starym kamiennym ołtarzu. Klęczą tam jeszcze dwaj chłopcy. Wkrótce przywdzieją szare szaty, tak jak otaczający ich

mężczyźni. To kolor popiołu, jaki zostawił po sobie płonący ogień.

Zaczynają się śpiewy, głębokie i rytmiczne. Eli drży na całym ciele, ale nie z zimna. Ma nadzieję, że uznają go za godnego. Jeszcze niczego nie pragnął tak, jak dołączyć do En Caska Dae. Oni nie przypominają w niczym ojców, jakich dotąd spotykał – odzianych w aksamitne habity, składających puste obietnice. Caska nie boją się walczyć o to, co słuszne.

Z cienia wychodzi mężczyzna w szarej szacie. Ma ogoloną głowę i brwi, tak jak pozostali, ale jego twarz lśni od blizn. Eli wpatruje się w odcisk dłoni w kolorze krwi na policzku mężczyzny – coś jak barwy wojenne. To dla Czerwonej Ręki przybył tu dzisiaj. On jest ich przywódcą w walce z grzechem.

Otwiera ramiona.

– Marrenie, nasz Eshamein, składamy ci tych chłopców w ofierze.

Jego głos przypomina morze, którego błotnisty brzeg Eli nieraz przeczesywał podczas odpływu, szukając złomu na sprzedaż. Jest od niego czystszy, ale tak samo potężny. I wciąga równie mocno jak przybrzeżny prąd.

– Daj im światło swego płonącego miecza. Przyjmij ich przysięgę.

Rozcina wnętrze swojej dłoni. Krew skapuje do drewnianego kielicha. Mężczyźni idą jego śladem. Na koniec Czerwona Ręka wylewa zawartość kielicha na ołtarz – krew rozplywa się po kamieniu. To ofiara dla ich boga.

– Zbyt długo godziliśmy się na to, by nadużywano darów Źródła – grzmi. – Pozwoliliśmy, aby ludzie lekceważyli prohibicję, korzystali z tego, co należy się bogom. Jaki tego efekt? Korupcja! Nasze miasto, niegdyś wspaniałe, stało się siedliskiem grzechu i rozpusty.

Dłonie Eliego zaciskają się w pięści. Wie, ile szkód może wyrządzić nielegalna magia. To ona zabiła jego matkę. Biegusy, które ją sprzedały, mają to w głębokim poważaniu. Podobnie jak ludzie, którzy rządzą tym miastem. Biorą i biorą, nie zważając na tych, których mają pod sobą. Ale Czerwona Ręka to dostrzega – rozumie.

– Czarownice znów się panoszą! Dopuszciliśmy do tego – ciągnie. – Popadliśmy w samozadowolenie, zostawiliśmy szczelinę, przez którą

wsącza się zło.

Eli znów drży. Czarownice. To one ukradły ze Źródła magię – świętość, która im się nie należy. Czerwona Ręka twierdzi, że można je spotkać wszędzie, wyglądają niewinnie jak większość simtańskich dziewczyn, ale są groźne. Zaraza. Eli nie da się zwieść.

– To jak z raną... nie możemy pozwolić, by się zaogniła. Musimy ją odkazić. – Zwrócony twarzą do ołtarza, zamyka oczy. – Marrenie, oddałeś niegdyś życie, by przepędzić czarownice. Teraz ci chłopcy składają się w ofierze, będą walczyć dla ciebie przeciwko wzmagającej się fali. Wpierw jednak udowodnią swe oddanie.

Eli wstaje pierwszy – tak musi być. Zbliży dłoń do płomienia świecy, którą trzyma Czerwona Ręka. Rozbrzmiewa monotonna pieśń. Przypalana skóra skwierczy, boli bardziej niż tatuaż, który zrobili mu na piersi, ale Eli nie cofa dłoni. Zwłaszcza że oczy Czerwonej Ręki wwiercają się w niego i płoną tak jasno.

– Przysięgasz oczyścić to miasto z bluźnierców?

Eli powtarza słowa – składa obietnicę. A potem wszyscy odmawiają modlitwę do swego boga:

*Zapalamy świecę Marrena,
rozgrzewamy jego miecz,
płomień ściga cienie,
aby wypalić mrok.
Rozpalamy ogień,
wszechpotężny,
ogień, który oczyści świat.*

ROZDZIAŁ 3

PRAWDA CZY KŁAMSTWO

OSIEN W PRZECHODNIM POKOJU w domu Lety powoduje zaduch. Matilde zwykle uważa, że to sprytna sztuczka: chodzi o to, by było tu trochę za ciepło i goście nie czuli się komfortowo. W ten sposób łatwiej wydobyć z nich prawdę. Tyle że dziś rano Matilde ma za wiele do ukrycia, żeby mogła docenić przebiegłość Madame.

Wszyscy są już na miejscu: Nocne Ptaki przycupnęły na szezlongu, matka i babcia Matilde kryją się za malowanym parawanem, Leta siedzi przy biurku, zwrócona twarzą do Wróbli i Jastrzębi. Każdy bez wyjątku ma na sobie maskę. To dlatego nie widzi oczu, ale podejrzewa, że są równie zaczerwienione jak jej własne. Po przygodach, jakie spotkały je zeszłej nocy, nie zmrużyła oka.

Sięga po dolewkę kawy. Jej Jastrząb składa właśnie sprawozdanie: rzeczowy i szorstki jak zawsze. Towarzyszy jej od lat, mimo to prawie nic o nim nie wie – co najwyżej, że lubi wrzosowe miętówki. Jastrząb Sayer nie może nic powiedzieć: po tym, co podał mu ten wstrętny klient, biedak był nieprzytomny całą noc i jeszcze się nie obudził. Tak więc z szeregu występuje Jastrząb Æsy. Ciekawe, jakie kłamstwo wymyśli.

Nie próbuje udziwniać: czekał na klienta, gdy z pokoju Słowika dobiegły go niepokojące dźwięki – to dlatego wszedł. Jego pani denerwowała się nadchodzącym wieczorem, a on próbował ją uspokoić. Potem zjawily się Szczygiel i Pardwa i mówiły coś o intruzach, więc poszedł zbadać sprawę. Kłamię znacznie lepiej od Æsy: gładko i bez pośpiechu. Ani słowa o rudzielcu, którego ukryły za ścianą. Kto wie, co z nim później zrobił. Wydaje się lojalny wobec swojego Nocnego Ptaka – bardziej niż wobec Lety, a to godne podziwu. Gdy opowiada, Æsa zaciska dłonie i kryje je w fałdach spódnicy, jest wyraźnie spięta, dlatego Matilde podejrzewa, że nie powiedzieli wszystkiego. Jedno jest pewne: Æsa złamała zasady. Nie to, żeby Matilde mogła ją potępiać...

Po tym, co się wydarzyło zeszłej nocy, pocałunek, który posłała Tenny'emu Maylonowi, wydaje się ledwie igraszką, a jednak nie daje jej spokoju. Jakby zareagowała na to jej rodzina? W najlepszym razie rozczarowaniem, a w najgorszym – matka może wykorzystać jej zuchwałe zachowanie i zmusić do poślubienia chłopaka...

Odsuwa od siebie tę myśl. Jastrzębie i Wróble opuszczają pokój, zamykając za sobą drzwi. Matka wychodzi z za parawanu.

– Wszyscy mogli maczać w tym palce – mówi. – Należy ich odprawić i znaleźć zastępstwo.

– Są lojalni – upiera się Leta. – Jestem tego pewna. Myślisz, że łatwo będzie wymienić to stadko?

Zdejmuje maskę Kruka. Wciąż olśniewa urodą: ma opaloną skórę, błyszczące brązowe loki i uroczą twarz lalki, choć nikt, kto ją zna, nie pomyślałby, że można sobie z nią pogrywać. Ponoć nie ma arystokratycznych korzeni, tylko jest córką dokera: może być co najwyżej owocem dzikiej młodości jakiejś rodowej dziewczyny. Nocne Ptaki zazwyczaj pochodzą z Rodów, ale czasami bywa inaczej. Matilde słyszała również, że Leta pracowała kiedyś w domu uciech w Zadymionym Zaułku, choć trudno uwierzyć w tę plotkę.

Babcia zajmuje fotel w pobliżu kominka.

– Leto, tak czy inaczej niepokoi mnie to, co wydarzyło się zeszłej nocy.

I co gorsza nie ma sensu. Nad bezpieczeństwem Nocnych Ptaków od zawsze czuwa jakaś madame, lecz to właśnie Leta jest niezwykle ostrożna. Ona ograniczyła dostęp do Nocnych Ptaków, tak by żaden klient nie odwiedzał ich za często, i udało jej się to pomimo protestów Wielkich Rodów. To za sprawą Lety Nocne Ptaki stale zmieniają miejsce pobytu, a klienci przychodzą na spotkanie z zawiązanymi oczami. Madame Kruk uwielbia zasady i bezwzględnie ich przestrzega. Zatem jakim sposobem węże znalazły drogę do jej gniazda?

– Atak na Nocnego Ptaka – prycha matka – to rzecz niewybaczalna.

Leta poważnieje.

– Lord Alewhin pochodził z Wielkiego Rodu, przyjechał ze wsi i był kuzynem kogoś z Rochetów. Nosił pierścień rodowy. Nie miałam powodu, żeby mu nie ufać. Takie zasady ustanowiły Rody.

– Masz chronić dziewczyny. Jak mogłaś do tego dopuścić?

– Chciałabym się raczej dowiedzieć – wtrąca babcia – dlaczego to zrobił.

Sayer zrywa maskę, wstaje i zaczyna maszerować wzdłuż krawędzi fioletowego dywanu. Najwyraźniej nie może usiedzieć w miejscu.

– To był któryś z ojców – mówi. – Nie ma co do tego wątpliwości. Jego brwi wyglądały, jakby niedawno je golił, i ciągle gadał o Marrenie.

Leta kiwa głową.

– Tatuaż na jego piersi przypominał fragment czteroramiennej gwiazdy Eshamein, ten z symbolem Marrena.

Sayer się zatrzymuje.

– Wiem, rozpoznałam go. To był płonący miecz.

Matilde nigdy nie przepadała za Eshamein – bogami, na których opiera się oficjalna religia Eudei, a Marren jest zdecydowanie najbardziej odstręczający z całej czwórki. Dawno temu – jak głoszą ojcowie – czterej mężczyźni zostali obdarzeni magią ze Źródła, by dokonywać cudów, zanim umrą i staną się bogami. Marren używał płonącego miecza, żeby wypalić z czarownic magiczną moc. Te dziewczyny miały rzekomo zatruć Źródło. Stek bzdur. Każdy powód będzie dobry, gdy chce się zniszczyć silną kobietę.

Æsa marszczy czoło.

– Przecież ojcowie zabraniają tatuować skórę. Ojciec Toth powtarzał, że to zanieczyszcza krew.

Matilde prychnęła:

– Nie zapominajmy, że pochodził z Rochetów, a żaden chłopak z Rodu nie straszylby ogniem piekielnym. Są na to za mądrzy.

Przecież Rody zawsze chroniły Nocne Ptaki. Może i są wśród nich abstynenci, ale nawet oni nie skrzywdziliby kogoś ze swoich.

– Z pewnością był fanatykiem – stwierdza Leta. – Tylko nie wiemy, czy działał na własną rękę, czy też z czyjś rozkazu. Niestety trupy nie są zbyt rozmowne.

Dotąd Matilde widziała zwłoki tylko raz, kiedy jej ojciec poszedł pływać i się utopił. Ale jego oblicze po śmierci było spokojne, podczas gdy twarz klienta miała złowrogi wyraz, a policzki pokrywały czarna ślina i piana. Wzdryga się, podobnie jak Æsa, która siedzi obok.

– Najwyraźniej nie zamierzał jej zabić – myśli na głos babcia – a to znaczy, że czegoś od niej chciał.

Sayer patrzy w ogień, jej złote oczy świecą jasno.

– Chciał mnie dokądś zabrać – mówi. – Twierdził, że jestem dowodem na istnienie czarownic, a on dostanie nagrodę, jak mnie przyprowadzi.

Twarz Lety tężeje.

– Mówił, do kogo chce cię zabrać? Może do Pontifeksa?

– Nie, ale próbował mnie odurzyć.

A jednak Sayer nie wydaje się... wystraszona. Co najwyżej niespokojna. Matilde chciałyby rozładować atmosferę.

– Dobrze, że byłaś uzbrojona – dodaje. – A ja potrafię machać pogrzebaczem.

Matka wydaje okrzyk zgorszenia, lecz uwaga Matilde wywołuje na ustach Sayer uśmiezek.

– Wątpię, czy umiałabyś się nim posłużyć.

Nie jest to może podziękowanie, ale Matilde nie zamierza wybrzydzać.

Leta spogląda na nie znacząco.

– Matilde, skąd wiedziałaś, że w pokoju Sayer dzieje się coś niedobrego?

– Usłyszałam hałas. – Stara się siedzieć spokojnie.

– Twój Jastrząb niczego nie słyszał.

– Może błędził myślami. Nie wiem.

Przecież nie powie, że poczuła mrowienie. Zwłaszcza że nie wie, czym właściwie było. Zupełnie jakby zdenerwowanie Sayer coś w niej wzbudziło – to coś kipiało echem wibracji, jakie przeszywają ją, gdy tylko dotknie którąś z dziewczyn. Zdumiewające, że z ich poprzedniczkami nigdy nie czuła czegoś podobnego.

Leta bębni o biurko paznokciami pomalowanymi na ciemny kolor.

– Przesłucham głowę rodu Rochetów, ale nie sądzę, by powiedział mi coś użytecznego. Wyślę też kogoś do Kościoła Augustyńskiego, żeby był moimi oczami i uszami. Jeśli to Pontifex nasłał tego człowieka, możemy być w większym niebezpieczeństwie, niż nam się zdaje.

Trudno się dziwić, że Sayer i Æsa zeszytywniały. Każdy Nocny Ptak zna opowieści o tym, co Kościół zrobił kiedyś Ognistym Ptakom. To z powodu tych fanatycznych prześladowań zostało tak niewiele dziewczyn posiadających

magiczną moc. Co by się stało, gdyby Pontifex i jego Bracia dowiedzieli się o Nocnych Ptakach? Czy zaczęliby przesłuchiwać dziewczyny z Rodów?

Matilde odsuwa od siebie tę myśl. Mężczyzna pewnie działał w pojedynkę – to był zwykły wybryk.

– W każdym razie nie powiodło mu się – mówi, krzyżując nogi. – Nawet jeśli ktoś go nasłał, to nie wie, kim jesteśmy, bo przecież od razu by do nas przyszedł.

– Racja. – Babcia składa dłonie na podolku. – Ale czy mamy pewność, że żaden inny klient nie był w to zamieszany?

– Æsa najwyraźniej o niczym nie wiedziała – potwierdza Leta. – Jak już powiedział nam jej Jastrząb, u Słowika w ogóle nikt się nie zjawił.

Matilde zerka na Sayer, a ona – na Æsę wpatrzoną w swoją maskę, którą trzyma na kolanach. Gdyby chłopak, którego pomogły jej ukryć, stanowił zagrożenie, chybaby im coś powiedziała? Tak bardzo chciała utrzymać wizytę swojego rudego przyjaciela w sekrecie. Matilde pragnie ufać Æsie i na razie tak też robi.

– A co z klientem Matilde? – pyta matka.

Twarz Lety nie zdradza emocji.

– Zdążył wejść i wyjść, zanim zrobiło się zamieszanie.

Babcia patrzy surowym wzrokiem.

– Kto to był?

Przez chwilę zdaje się, że Leta nie odpowie, ale przecież nie może trzymać tego w tajemnicy. Odstawia kawę.

– Dennan Hain przyszedł zobaczyć się ze Szczygłem. Nie wiedziałyście, że jest z powrotem w mieście?

Brzęczą filiżanki. Zapada tak niezręczna cisza, że można by ją pociąć nożem i podać z ciastem, którego nikt nie tknął.

W końcu milczenie przerywa matka:

– Mam rozumieć, że dopuściłaś do mojej córki Księcia Bękartą?

– Pochodzi z Wielkiego Rodu – zauważa Leta. – Ma prawo ubiegać się o spotkanie.

– Ale to przecież Vesten. Znasz ich stanowisko w sprawie magii.

– Nie jest zwierchnikiem. Matilde mogła go odprawić, gdyby takie było jej życzenie.

Wzrok Oury pada na córkę.

– Co ty sobie myślałaś?

Drażni ją to pytanie.

– Sądziłam, że chcesz, żebym wyszła za męża. Czy Szczygieł nie ma prezentować swoich wdzięków?

– Nie jemu – protestuje zdumiona matka. – Nie jest nawet prawdziwym Vestenem.

– Ouro – napomina ją babcia – co się stało, to się nie odstanie.

Choć staje w obronie wnuczki, w jej oczach widać przyganę. „Nie powinnaś go wpuścić”. Babcia zna prawdę: Matilde wyznała jej wiele lat temu, że pocałowała Dennana. Po jego zniknięciu usłyszała od babci, żeby o nim zapomniała, ale teraz...

– Kochanie – pyta babcia – czy czułaś, że mógłby ci zagrażać? Kryje się za tym kolejna niewypowiedziana obawa. „Czy cię poznał? Wiedział, kto jest za maską Szczygła?”

Powinna się przyznać. Taką mają zasadę: kłamać wolno, ale nie w swoim gronie. Tu jednak ona nie obowiązuje. Matilde nie zniesie kolejnej tyrady matki, poza tym nie chce, żeby pozostałe dziewczyny poznały prawdę – jeszcze nie teraz. Potrzebuje więcej czasu, aby przemyśleć sobie słowa Dennana. Epinine Vesten rzeczywiście może stanowić zagrożenie, ale on na pewno nie. Od lat wie o jej magii i nie pisał ani słówka – to już coś znaczy. Kiedyś się przyjaźnili. Matilde zastanawia się, co łączy ich teraz... albo mogłoby łączyć.

– Nie. – Zamyka w dłoni swój złoty medalion. – Zachowywał się jak zwykły klient.

Leta nie naciska, ale ze spojrzenia babci można wyczytać taki zamiar. Matilde się tego obawia. Chciałaby prosić ją o radę, ale ma dość słuchania wymówek. I tak wyzna jej wszystko, co usłyszała od Dennana. Babcia będzie wiedziała, jak postąpić.

– To oburzające! – złości się matka, jej głos jest coraz wyższy, nieprzyjemny i ostry. – Wpuszczasz fanatyków, Vestenów i nie wiadomo kogo jeszcze. Zupełnie jakbyś chciała stworzyć zagrożenie.

Mina Lety staje się surowsza.

– Dlaczego miałyby mi na tym zależeć?

– Żebyś mogła brać więcej za dostęp do dziewczyn. Podnieść ceny, a to przecież interes, z którego czerpiesz niezłe zyski.

– Rzucasz poważne oskarżenia.

I do tego absurdalne. Leta nie wpuściłaby tu celowo fanatyka. Czy na pewno?

Może, gdyby ktoś zaproponował odpowiednią cenę.

„Zaufania nie można kupić”, powtarza często. A czy można kupić Letę?

– Mów sobie, co chcesz – prycha Leta. – Wiem, co o mnie gadacie za plecami. Ale sama byłam kiedyś jedną z tych dziewczyn i nigdy bym ich nie skrzywdziła. Widziałam, jakie są skutki, gdy Nocne Ptaki nie troszczą się o swoje siostry.

Zerka na Sayer, a ta odpowiada spojrzeniem, które jest niemal wojownicze.

Leta wstaje.

– Wyślę swoich szpiegów na zwiady. Dopóki się czegoś nie dowiemy, nie będziecie przyjmować klientów.

Oczy matki błyskają.

– Rodom się to nie spodoba.

– Stałyśmy się obiektem ataków – mówi Leta powoli jak do dziecka. – Nie narażę dziewczyn na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Wpierw musimy zrozumieć, co nam grozi i jak nad tym zapanować.

Babcia znów zabiera głos:

– Tylko pamiętaj, Leto, że zamknięcie drzwi przed klientami też wiąże się z ryzykiem.

Posyła jej wymowne spojrzenie, które Matilde stara się rozszyfrować, ale to jak próbować schwycić w palce dym. Pewne jest jedno: te kobiety mają swoje tajemnice. Nie chcą, by dziewczyny się o czymś dowiedziały.

ESTRA DOOLE

- 5 łyżeczek szaleju czarnego
- 3 łyżeczki śmiertelnicy, rozdrobnionej po ususzeniu
- 2 szczypty sproszkowanego ziela nasennego (najlepiej z Callistanu)
- 12 świeżych owoców wisielczej jagody

- *miarka syropu flawieńskiego, macerowanego przynajmniej 3 lata w glinianym naczyniu*
- *pół miseczki wód przybrzeżnych (zaczepniętych na północ od Przesmyku)*
- *szczypta zimnego popiołu*
- *2 świeże łyzy*

Suche składniki utrzeć na proszek. Owoce rozdrobnić ręcznie (w rękawiczkach, żeby nie popłamić dłoni na wieczność) i w kociołku zmieszać ze sproszkowanymi ingrediencjami. Podgrzewać na średnim ogniu, mieszając powoli przeciwnie do kierunku ruchu wskazówek zegara, aż napar zacznie pachnieć zapomnieniem. Dodać syrop i wodę, a następnie popiół i łyzy.

W większości ksiąg poświęconych miksturom nasennym przepis kończy się w tym miejscu, lecz ta receptura pochodzi z dawien dawna, ma wywołać marzenia senne i skłonić do zwierzeń. Zatem dodając łyzy, należy rzucić zaklęcie:

*Przybyszu, skupże wzrok
i przymknij oczy swe,
płyn z prądem, przyjacielu,
niech prawdy dowiem się.*

– Z KSIĘGI PRZEPISÓW ŻÓŁTEGO ALCHEMIKA

ROZDZIAŁ 4

NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI

MATILDE KLUCZY alejkami Targowiska Jasnych Wód. W dzieciństwie przychodziła tu z babcią i uśmiechała się do sprzedawców, aż dostała słodycze lub błyskotkę. Teraz to oni uśmiechają się do niej – szkoda tylko, że nie uspokajają jej to tak, jak na to liczyła.

Na targowisku panuje tłok, popołudnie jest tak parne, że pot spływa jej po plecach, ale to bez znaczenia. Dobrze, że w końcu wyrwała się spod czujnego oka matki. Od zdarzenia, które nazywa fiaskiem Lety, minęły dwa dni, a jej po raz pierwszy wolno wyjść z domu. Przekonywała, że skoro fanatyk nie żyje, to nie może zdradzić ich tożsamości temu, kto go nasłał. Co za różnica – wszyscy i tak mają zszargane nerwy.

Zgodziła się, żeby dwaj strażnicy Dinatrisów szli za nią w bezpiecznej odległości. W przeciwieństwie do matki oni nie będą ganić jej za jedzenie w miejscu publicznym lub zbyt głośny śmiech. Nie żeby miała powody do śmiechu. Od tamtej feralnej nocy po piętach depta ją jakiś cień. Ze względu na dziewczyny udaje, że wcale nie myśli o tym, co się wydarzyło, ale ciągle śni jej się ten paskudny typ na podłodze w pokoju Sayer. W snach zrywa z niej maskę Szczygła, odsłaniając twarz. „Widzę cię”.

Potrząsa głową, by odpędzić tę wizję.

Kieruje uwagę na stoiska, ogląda towary: koronki ze Stray, kamienne ozdóbki z Thiraska, aromatyczne herbaty z Callistanu, jaskrawe przyprawy korzenne i perfumy z Farlandów. Oczywiście teraz nikt już nie handluje magią. Ale Matilde pamięta czasy sprzed prohibicji, gdy na stoiskach sprzedawano mikstury, dzięki którym na jeden wieczór można było dorobić się gęstej brody lub przejść suchą stopą w deszczowy dzień. Teraz to co innego: sprzedawcy przyłapani na handlu zakazaną magią narażają się na zakucie w dyby i drobiazgowy śledztwo. Nikt by się nie odważył sprzedawać takich rzeczy jawnie.

Zatrzymuje się przy stoisku pełnym wiader z kwiatami. W Simcie jest tak niewiele zieleni, że kwiaty to luksus i symbol statusu. Nazywa je w myślach: esta, ostróżka, lilia skrzydlata. Ta ostatnia to jej kwiat rodowy, skrzydlate płatki są jasne i urocze. Matilde wyjmuje jedną z wody i wciąga zapach, lecz w słodycz lilii zaraz wdzierają się inne wonie. Ktoś pali kadzidło roztracające dymny aromat zwęglonego drewna. Coś jej to przypomina...

Okropne uczucie pełznie w dół kręgosłupa.

„Widzę cię”.

Rozlega się brzęk. Matilde podskakuje, serce tłucze jej się w piersi.

– Basil, nie zagapiaj się!

Odwraca się, słysząc znajomy głos. Brix Magna łypie gniewnie na chłopaka i na stos blach do pieczenia, które właśnie upuścił. To tylko blachy. Matilde bierze głęboki wdech, stara się trzymać nerwy na wodzy.

– Witaj, Brix.

Kobieta się uśmiecha.

– Dzień dobry, panienko Dinatris. Z każdym dniem coraz piękniejsza!

Matilde pręży się w kapeluszu w kształcie dzwonka.

– Uważaj, bo jeszcze zapomnę, co to skromność.

– Panienska skromna? No, skoro tak.

Rozśmieszyła ją.

– To ile dzisiaj? – pyta handlarka.

– Sześć poproszę. Twoje gwiazdoszki są najlepsze w całej Simcie, więc nie mogę zjeść tylko jednej.

Brix puszcza oko.

– U mnie za takie pochlebstwa dostaniesz najlepsze wypieki.

Podaje jej pudełko żółtych kostek, jeszcze ciepłych. Pod warstewką cukru kłębią się ziarenka *labnum*, nazywane ziarnem szczęścia – ponoć to dobra wróżba, gdy jedno utkwi komuś między zębami.

– Za darmo – mówi jak zawsze Brix.

A Matilde jak zwykle płaci jej trzy razy więcej, niż są warte. Tłumaczy sobie, że wszystko jest w porządku – tak powinno być. Może i zdarza jej się kłamać, ale rzadko oszukuje samą siebie.

Przystaje na skraju targowiska, spogląda na Rozwidlenie. Oto bijące serce jej miasta, jego ośrodek władzy. W tym miejscu zbiegają się główne kanały, dzieląc miasto na cztery dzielnice nazwane na cześć stworzeń, które ponoć latały dawniej po tutejszym niebie. Za plecami ma swoją dzielnicę – Pegaza i Bank Kupiecki przechowujący lwią część simtańskich pieniędzy. Po prawej stronie znajduje się Dzielnica Feniksa i Kościół Augustyński, siedziba Pontifeksa i jego Braci. Naprzeciwko widzi Dzielnicę Gryfa: siedlisko rzemieślników, żywiłowego jazzu, nielegalnych klubów i gangów biegusów – właśnie z tego słynie Simta. Po lewej stronie są Dzielnica Smoka i Skrzydlaty Pałac. To tam mieszka zwierzchniczka i obraduje Stół. Zapewne tam odbędzie się też głosowanie wyznaczone tuż po Krótkonocy, za jakieś trzy tygodnie.

Zwykle lubi tu stać, obserwować przewoźników, którzy sobie żartują i pokazują nieprzystojne gesty, patrzeć na łodzie pełne marzycieli oraz intrygantów. Ale dziś nie może oderwać wzroku od pałacu, zastanawia się... czy jest tam Dennan Hain i rozmawia o Szczygle ze swoją siostrą? Mało prawdopodobne, ale Matilde nie może przestać myśleć o ostrzeżeniu przed Epinine, którego jej udzielił. Po spotkaniu Nocnych Ptaków w salonie Lety coś jej zaświtało w głowie – trudno uwierzyć, że tak późno na to wpadła. Co jeśli to zwierzchniczka nasłała fanatyka, aby porwał Sayer? Dennan twierdził, że chciała odebrać Ptaki Wielkim Rodom. A mężczyzna przyznał, że dostanie nagrodę za uprowadzenie Sayer. Czy Epinine Vesten odważyłaby się na to? Taki czyn mógłby doprowadzić do rozłamu pomiędzy Rodami – może nawet zapoczątkować wojnę domową. Po czymś takim na pewno nie mogłaby liczyć na ich lojalność. Jeszcze tydzień temu Matilde roześmiałaby się, słysząc, że ktoś może próbować porwać Nocnego Ptaka. Ale to było, zanim musiała walczyć pogrzebaczem z tym fanatykiem, a potem ciągnąć po podłodze nieprzytomnego rudzielca.

Wieczorem po spotkaniu u Lety opowiedziała babci o rozmowie z Dennanem Hainem. Babcia zacisnęła wargi z niezadowolenia – na samo wspomnienie Matilde czuje ukłucie. A jednak nie zrugła jej wtedy, tylko zasypała pytaniami. Później wpatrywała się w swoje wino. Całe wieki minęły, nim powiedziała wreszcie: „Nie obawiaj się, kochanie. Zajmę się tym”. Tylko czy jej się to uda, biorąc pod uwagę, ile jest niewiadomych?

Dennan Hain i jego ostrzeżenie, atak na Sayer, Æsa, którą obmacywał jakiś na wpół oszalały przyjaciel z rodzinnych stron... wszystko to zdaje się łączyć jak

pęknięcia na ścianie wychodzące z niewidocznej szczeliny. Ale przecież można je naprawić – musi tak być. Wszystko znów wróci na swoje miejsce.

Odwraca się i ignorując strażników, wraca na aleję Pegaza, arterię biegnącą przez środek dzielnicy. Wyrosły tu ładne domy szeregowe – na balkonach z misternie kutymi balustradami stoją donice płożących się butlorośli. Tylko jak ci ludzie mogą znieść drzwi wychodzące na ulicę i brak ogródka, który by ich osłaniał? Ale przecież mało kto ma taki ogród jak jej rodzina. Przechodzi pod rękojęścią szczotki – latarnik wymiata właśnie płomieniste ćmy, które wypaliły się w nocy. Tak szybko się spalają, ale ich skrzydełka rzucają niezwykle blask.

Skreca raz, drugi, mijają najlepszych krawców i perfumiarzy, obsługujących głównie Wielkie Rody. W końcu dociera do jaskrawożółtego sklepika, nad wejściem wisi ogromny szyld: Emporium Alchemiczne Krastana Padano. Właściciela wszyscy nazywają Żółtym Alchemikiem.

Gdy otwiera drzwi, ćwierka dzwoneczek. Matilde się nie odwraca – strażnicy i tak tu nie wejdą. Wiedzą, że właściciel sklepu nie stanowi zagrożenia. Z tyłu, za długą ladą, wiszą półki uginające się pod ciężarem słoików z ziołami, piórkami i kamieniami jubilerskimi. Znad kominka łypią różnorakie czaszki, wyszczerzając zęby. Światło wpada przez duże okno o żółtych szybach. Otula wnętrza złotym szalem i omiata Alecanda, ucznia Krastana, poślaczając płataninę jego miękkich ciemnych loków.

Matilde przystaje, wdycha słodycz i dym. Jeśli coś może ukoić jej nerwy, to właśnie wizyta u Krastana. Stąd pochodzą jej najwcześniejsze wspomnienia, gdy spędzała tu czas z babcią, gawędząc z alchemikiem, który sporządzał mikstury, i kłócąc się z Alekiem o to, kto pomoże mieszać. Chłopak wbija teraz wzrok w zawartość swojego mózdzierza i celowo udaje, że jej nie widzi. Pod ręką ma kubek herbatki frennetowej, jak zwykle – leczy się nią na cukrzycę.

Matilde zbliża się powoli i kładzie gwiazdoszki na ladzie.

– Kogo dzisiaj trujemy?

Alec zdmuchuje brązowy lok, który opada mu na oczy.

– Ciebie, jak się tego nawdychasz. Lepiej się odsuń.

Ale ona się nachyla.

– Mam cię pozbawić przyjemności zajrzenia mi w dekolt?

Uśmiecha się z wyższością, na policzku robi mu się dołeczek.

– Dzięki, już zajrzałem i szczerze mówiąc, widziałem lepsze.

Zawsze tak się ze sobą przekomarzają, ich przyjaźń zasada się na tych ostrych dźgnięciach i żartobliwych przytykach. Alec jest przybranym synem Krastana i nie wychował się w żadnym z Wielkich Rodów, przez co więcej ich dzieli, niż łączy, ale właśnie to jej się podoba. I jeszcze, że mówi, co naprawdę myśli, nie zważając na różnicę ich pozycji społecznej.

Jako dzieciak był tyczkowaty, zresztą nadal jest szczupły, ale teraz, gdy uciera zioła, widać, że ma umięśnione przedramiona, a musztardowa kamizelka kusząco się na nim opina. Szkoda, że choć jest taki przystojny, nie potrafi tego wykorzystać. Że też jej zdradliwe policzki musiały się zaczerwienić, gdy o tym pomyślała.

– W takim razie co tam ucierasz?

Podniósł wzrok. Ma intensywnie brązowe, blisko osadzone oczy typowe dla simtan, tyle że ciemniejsze, niemal czarne.

– Nic szczególnego. Środek nasenny.

Matilde przechyla się przez ladę.

– A myślałam, że eliksir miłosny. Szkoda. Jak inaczej znajdziesz dziewczynę?

– Przecież wiesz, że zależy mi tylko na tobie.

Chce jej się śmiać, bo to absurdalne, a jednak nie zabrzmiało jak żart. Zresztą Alec nigdy nie był skory do gier.

Krastan wchodzi dostojnym krokiem i chwila przemija. Stalowosiwe włosy zaczesał do tyłu i związał tasiemką, a na wierzch włożył kanarkową czapkę. Uśmiecha się do Matilde, ukazując krzywe zęby.

– Stella – wita ją. „Ptaszku”, to taki ich żart. – Miło cię widzieć.

– Teraz tak gadasz – wtrąca Alec. – Zaczekaj, aż coś podpali.

Matilde wywraca oczami.

– Proszę cię, raz mi się zdarzyło.

Przygląda się, gdy Krastan wyciąga rękę, by odstawić fiołki na górną półkę. Dłonie trzęsą mu się trochę bardziej niż kiedyś, ale nadal jest najlepszym alchemikiem w Simcie. Inni też zaczęli malować swoje sklepy na jaskrawe kolory, jakby liczyli, że spłynie na nich trochę jego chwały. Krastan przyrządza głównie

substancje niemagiczne i całkowicie legalne, lecz w sekrecie wykonuje też sporo szachrajskich robótek dla Rodów. A przynajmniej dla niej.

Wzrok Żółtego Alchemika pada na zamknięte drzwi wejściowe.

– A gdzie lady Frey?

– Babcia została w domu, ale jak zawsze przesyła serdeczne pozdrowienia.

– Co za kobieta – wzdycha. – Wiesz, że kocham się w niej na zabój.

– Zawsze mi to powtarzasz.

Gdy babcia była Nocnym Ptakiem, weszła do tego sklepu i zażądała, by Krastan – wówczas uczeń alchemika – przyrządził jej coś, nie zadając żadnych pytań. Wyświadczył jej przysługę i uwarzył Estra Doole. Choć dzieliła ich przepaść społeczna, zostali przyjaciółmi. Koniec końców Frey zdradziła mu nawet swój sekret. Matilde zawsze się zastanawiała, dlaczego babcia postanowiła mu zaufać, ale też nigdy nie wątpiła w jego dobre intencje. Alec i Krastan wiedzą o niej więcej niż niejeden krewny. Tak naprawdę traktuje Krastana jak dziadka. A Alec... nie, on z pewnością nie jest dla niej jak brat.

– Przyszłaś po coś konkretnego? – pyta alchemik. – Czy chciałaś się tylko przywitać?

Znów podkrada się do niej ten okropny cień.

– Och, matka trzyma mnie na krótkiej smyczy, odkąd zaczął się Sezon. Potrzebowałam wymówki, żeby wyjść z domu. – Nie skłamała, może nie do końca. Palce odnajdują medalion. – Pomyślałam, że moglibyśmy coś razem uwarzyć. Strasznie dawno tego nie robiliśmy.

Krastan grozi jej sękatym palcem.

– Pod warunkiem, że będziesz słuchać moich instrukcji.

Matilde udaje oburzenie.

– Zawsze słucham!

Kiedy wchodzi za ladę, Alec wystawia stopę. Matilde mało się nie przewraca.

– Nie wysadź sklepu w powietrze – kpi. – Ja tu mieszkam.

Zatrzymuje się przy nim.

– To ty masz talent do wysadzania różnych rzeczy.

Szturcha go biodrem. Chłopak się usztywnia. Dzieje się teraz tak za każdym razem, gdy próbuje go dotknąć. Pewnie tak wypada. Jest uczniem alchemika, a ona

panienką z Rodu i do tego Nocnym Ptakiem. Od zawsze pisana im była tylko przyjaźń. A jednak irytuje ją ten dystans. To dlatego zbliża się jeszcze bardziej i upija łyk z jego kubka. Napar smakuje frennetem i owocami w rumie – Alekiem.

– Bądź grzeczny – droczy się z nim. – Nie wiesz, czego mogę ci dosypać, jak się odwrócisz.

Chłopak nie odpowiada – stoi sztywno jak piękny kawałek drewna wyrzucony na brzeg.

Matilde się odsuwa.

– No naprawdę, Alec, chyba nie mam ospy.

Potem podąża za Krastanem wąskim korytarzem na tyłach. Klientom nie wolno tu wchodzić z wielu powodów, ale przede wszystkim ze względu na uporządkowaną półkę biegnącą wzdłuż ściany. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie spróbuje zdjąć z niej *Kompendium stworzeń dawnej Eudei*, tak jak Krastan teraz, i nie odkryje, że półka się otwiera, ukazując tajemne przejście. Matilde czuje dreszczyk emocji, łapie za klamkę z żółtego rżniętego szkła. Uważa, że sekretne pokoje są najlepsze.

Na pierwszy rzut oka warsztat na zapleczu przypomina pomieszczenie od frontu. Na półkach tłoczą się słoje i fiołki, lśniące miski, kolby i palniki – wszystko, czego może potrzebować alchemik. Ale gdy przyjrzeć się uważniej, można dostrzec nielegalne substancje. Świeące proszki, dymiące mikstury i balsamy, które migocą. Magia alchemiczna ma swój zapach, coś jak palony cukier. Z kolei jej własna magia nie pachnie wcale.

W Eudei większość roślin i minerałów nie posiada czystych właściwości magicznych, ale zawierają cząstkę Źródła. Wprawne ręce potrafią przyrządzić z nich mieszanki, za które ludzie gotowi są słono zapłacić. Oczywiście nie mają takiego działania jak magia Nocnych Ptaków. Dobre eliksiry trudno przygotować – składniki są drogie, a efekty nietrwałe. Ale Krastan bez wątplenia jest najlepszy w Simcie. To zdumiewające, że te sękaty dłonie umieją aż tyle.

Wyjmuje woreczki i fiołki, ustawia je wokół niewielkiego palnika.

– Jak ci mija Sezon? – zagaja. – Pomachałaś skrzydłami?

Matilde wyciąga rękę, by uszczknąć nieco ogrodowych ziół suszących się pod sufitem. Rozciera je w palcach.

– Jak na razie... dziwnie.

Krastan unosi krzaczastą brew, ale nie zadaje pytań. Wie, że nie zmusi jej do zwierzeń.

Rozgniata garść owoców wisielczej jagody – Matilde się przygląda. Kiedy je miażdży, po dłoniach cieknie mu bordowy sok. Powinien włożyć rękawiczki, ale tego nie robi. „Te dłonie to mapa moich dokonań”, powiedział jej kiedyś. Tyle że w Simcie takie ślady mogą być niebezpieczne. Za posiadanie zakazanych eliksirów grozi upomnienie lub grzywna, ale zdarza się, że Gwardziści zabierają na przesłuchanie. Natomiast wytwórcy tych substancji... to już inna historia. Na szczęście Krastana jak dotąd nie aresztowano. Chronią go Wielkie Rody i zdrowy rozsądek.

Czerwony sok skapuje na dno miedzianej miski – ciemna plama na tle metalu. Czasami Matilde chciałaby móc przyrządzać tak swoją magię. Mikstury Krastana nie mają może takiej mocy, ale za to on może korzystać ze swoich produktów w sposób, który dla niej jest niedostępny.

– Stella? Zadasz mi wreszcie to pytanie?

Podrywa się zaskoczona.

– Czemu sądzisz, że chcę o coś spytać?

Patrzy na nią znacząco.

– Po prostu zgadłem.

Oczywiście ma rację. Między innymi dlatego tu przyszła.

– Czy masz miksturę zdolną zmienić wspomnienia?

Krastan stroszy brwi.

– Zmienić czy wymazać?

Matilde rozkrusza na ladzie suszony kwiatek – czy to serduszka?

– Jedno lub drugie.

Krastan stawia miseczkę na małym palniku, powoli miesza sok drewnianą łyżką.

– Mam mikstury, które mogą poprawić percepcję lub wyostrzyć pamięć. Ale zmienić wspomnienie o tym, co się naprawdę wydarzyło? Całkowicie je wymazać? To niebezpieczna sprawa.

Matilde przetyka ślinę.

– Ale zrobiłbyś to, gdybym cię poprosiła?

Zapada pełna napięcia cisza.

– Nie mam takich zdolności.

Matilde kipi z frustracji. Mało prawdopodobne, by Tenny się przed kimś wygadał, ale ponieważ na każdym kroku czyha tyle zagrożeń, poczułaby się pewniej, mogąc odzyskać swój sekret. Nie podoba jej się, że chłopak nosi w kieszeni tak cenną monetę – nawet jeśli nigdy z niej nie skorzysta.

Czoło Krastana się marszczy.

– Znam to spojrzenie, nie wróży nic dobrego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Zawsze tak patrzysz, gdy coś knujesz.

– Proszę cię – żartuje Matilde – wiesz, że jestem wzorem cnót.

Alchemik się nie uśmiecha. Zapada cisza. Palnik syczy łagodnie, w tym przygaszonym złotym świetle brzmi to ledwie jak szept.

– Zdradzisz mi, co byś chciała wymazać?

Ten pokój jest teraz jak przyciasny gorset, w który usiłuje wciskać ją matka. Mimo to kłamstwo przychodzi jej z łatwością. Niekiedy nawet tutaj musi nałożyć maskę.

– Och, nic ważnego, raczej chwilowa zachcianka.

Nie wydaje się przekonany. Wokół jego żółtej czapki kłębi się para.

– Stella, musisz uważać. Sytuacja w Simcie jest napięta. Idą zmiany.

Matilde robi marsową minę.

– Co to znaczy?

– Gwardziści jeszcze nigdy nie robili tylu nalotów, a kary za posiadanie i wytwarzanie substancji alchemicznych są coraz dotkliwsze. Władze twierdzą, że to z powodu większej śmiałości biegusów, ale to nie ich karzą. Zabrali na przesłuchanie dwie dziewczyny, tylko dlatego, że sprzedawały zaczarowane kwiaty.

– No tak. – Gwardziści, którzy pilnują przestrzegania prohibicji, rzeczywiście potrafią dać się we znaki, ale Matilde rzadko ma z nimi do czynienia. – Nic nowego.

– A jednak – upiera się Krastan. – Zachowują się, jakby czegoś szukali. Może nawet kogoś.

Znów przypomina jej się fanatyk. Czy przed swoją feralną wizytą powiedział komuś o Nocnych Ptakach? Czy to z ich powodu Pontifex i Kościół kazali Gwardzistom przeczesać całą Simtę?

Stara się, by głos jej nie zadrżał.

– Gwardziści nas nie znajdą. Poza tym to prawo nie dotyczy takich dziewczyn jak ja.

– Tak ci się zdaje, bo jeszcze nie oberwałaś po łapach.

Matilde podskakuje. Jak długo Alec stał w drzwiach?

– Lordów i dam nie zabierają na przesłuchanie, co? – Skrzyżował ręce. – Skoro mają pieniądze, to nie muszą się bać, mogą sobie robić, co im się żywnie podoba?

Nieraz się o to kłócili.

– Słuchaj, Alec, nie jestem w nastroju na pogadankę o przywilejach.

– Tobie się wydaje, że substancje alchemiczne powstają z myślą o przyjęciach, ale te składniki nie służą tylko do zabawy. Robi się z nich też leki... to, czego ludzie naprawdę potrzebują. A prawo i gangi dbają o to, by pozostały nielegalne. Dlatego są takie drogie. Myślisz, że gdybym nie znał miejscowego sprzedawcy, który okazał się uczciwy, mógłbym sobie pozwolić na kupno frennetu?

– Nie ja wymyślam zasady – odburkuje Matilde.

– Ale nie powinnaś ich ignorować – wtrąca Krastan. – Czasami chyba zapominasz, że wielu ludzi w tym mieście boi się magii. Kościół skutecznie odstrasza ich kazaniem. Nie tylko Gwardziści chcą nas ukarać i nie tylko oni przeczesują ulice, szukając tych, którzy łamią prawo. Coraz trudniej się ukryć... to dotyczy nas wszystkich.

W jego słowach kryje się niecodzienna powaga.

– Nie musicie się martwić – zapewnia Matilde, choć wzbiera w niej niepokój. – Rody was ochronią.

Alec kręci głową.

– Naprawdę jesteś jak ptaszek w złotej klatce. Nie masz pojęcia o świecie.

– Alecand! – Krastan, zwykle cierpliwy, przemawia ostrzej. – Wracaj do swoich ziół. Chyba nie chcesz, żeby poczuły się zaniedbane.

Chłopak wymyka się przez drzwi, ale jego słowa spowodowały kolejne pęknięcie w fundamentach, jeszcze bardziej pogłębiły strach Matilde.

W ciszy obserwuje Krastana, który odważa jeden z proszków. Być może waży też słowa.

– Na pewno słyszałaś, że dawno temu dziewczyny dotknięte mocą Źródła mogły nie tylko przechowywać magię jak naczynia – mówi wreszcie – lecz także nią władać. Najpotężniejsze z nich wpłynęły na bieg historii Eudei. Ludzie mówią, że niektóre Ogniste Ptaki potrafiły przesuwac góry i sprawiać, że morze się rozstępowało.

Matilde się uśmiecha. Przywykła do tych nagłych zmian tematu.

– Według legend umiały też latać. Pomyśl, co to musiał być za widok!

Sheldar, flaetherin, kobiety Źródła. Każdy zakątek Eudei ma swoje określenie na te potężne dziewczyny posiadające magiczną moc, które żyły w dawnych czasach. Matilde zawsze najbardziej podobało się „Ogniste Ptaki”, bo w staroeudejskim „ogniste” znaczyło po prostu „dzikie”. Dzikie ptaki, wolne i groźne, nie musiały odpowiadać przed nikim. Prędzej czy później każdy Nocny Ptak marzy o czymś takim. Ale to jak wrzucić monetę do kanału i wypowiedzieć życzenie – strata czasu.

– Zastanawiam się, czy ta dawna magia naprawdę zniknęła – ciągnie Krastan. – Może tylko czeka uśpiona i wkrótce się przebudzi.

Matilde wzdycha.

– Przecież wiesz, że nie mogę stosować magii na własny użytek.

– Jeszcze nie, Stella. Jeszcze nie.

Znów ta znacząca powaga w jego słowach.

– Co usiłujesz mi powiedzieć?

Krastan owija w ścierkę dłoń poplamioną jagodami. Zaskakuje Matilde, ujmując jej policzek.

– Pamiętaj, gdybyś poczuła się zagubiona, mam nadzieję, że przyjdiesz do mnie. W czasie burzy zawsze znajdziesz u nas bezpieczną przystań.

Kryje się za tym coś więcej – coś, czego jej nie mówi.

Chwilę później Matilde znów jest w sklepie i w milczeniu przeciska się obok Aleca. Niestety chłopak nie zamierza odpuścić.

– Nie przeszkadza ci, że twoi klienci to najbardziej uprzywilejowana grupa w Simcie? Nie dość, że są bogaci, to jeszcze ciągle powiększają fortunę.

– Wolałbyś – staje naprzeciw niego – żebym rozdawała pocałunki na rogu ulicy i całowała każdego, kto ma na to ochotę?

Alec nachyla się w jej stronę.

– Wolałbym, żebyś czasami wyjrzała za mury swojego ogrodu i zobaczyła, co się naprawdę dzieje.

Jego oczy przewiercają ją na wylot. Matilde czuje pieczenie niewypłakanych łez i przeraża ją to.

– Tobie się wydaje, że ja tylko jem ciastka i chodzę na przyjęcia – mówi. – Uwierz, że też mam swoje problemy.

Już ma się odwrócić, gdy Alec łapie ją za rękę. Ma szorstką, ale delikatną dłoń: jak u kogoś, kto pracuje z czarami. Wyczuwa jego puls.

– Tilde, zaczekaj.

Na to pieszczotliwe zdrobnienie serce podchodzi jej do gardła. Ale nie wolno jej tego okazać, przybiera swobodny ton.

– Jednak chcesz mi zajrzeć w dekolt?

– Nie, ja... – Kciukiem dotyka wnętrza jej dłoni. Tak delikatnie, że równie dobrze mogła to sobie wyobrazić. – Nie chciałem sprawić ci przykrości.

Jego policzki są zaczerwienione. A niech to! Czemu, gdy się kłóca, zawsze wydaje się jeszcze przystojniejszy?

– Nie jest mi przykro – odpowiada Matilde. – Jestem... zirytowana, a to różnica.

Alec wypuszcza jej rękę.

– Zaczekaj, mam coś dla ciebie. – Z kieszeni kamizelki wyjmuje fiolkę. – To na... dolegliwości kobiece, o których wspominałaś – mówi głośno, żeby Krastan mógł to usłyszeć, gdyby nagle się zjawił. – Zanim zażyjesz, koniecznie zapoznaj się z instrukcją.

Matilde odwraca fiolkę, czyta karteczkę przyklejoną na spodzie.

OSŁONA NOCY. Rzuć z całej siły – szkło musi się rozbić. Wszystko spowije gęsta, atramentowa ciemność. (Uważaj: szczypie w oczy i piecze gorzej niż rzeczna meduza). Na wypadek, gdybyś potrzebowała uciec ze swojej poślaczanej klatki. ~A

Otwiera szeroko usta ze zdziwienia. Alec kładzie palec na wargach.

Wiedziała, że po amatorsku przyrządzał mikstury, o których Krastan nie miał pojęcia. W zeszłe wakacje wykorzystwała jeden z jego eksperymentów, by zmienić odcień skóry Samsona na obrzydliwie zielony. Ale to jest poważna magia – broń. Zawisłby, gdyby go złapali.

Ona też nie powinna nadstawiać głowy i nosić tego przy sobie, ale właśnie otwiera ukryte dno torebki.

– Alecandzie Padano, nie sądziłam, że jesteś takim ryzykantem.

Chłopak się śmieje.

– Tylko nie rób głupstw – mówi na pożegnanie – póki się nie zobaczymy.

Dzwoneczek znów ćwierka, Matilde wraca na ulicę Hester. Wygląda tu jak wcześniej, a jednak coś się zmieniło. Krastan sądzi, że powinna uważać, Alec dał jej broń, a przecież nawet nie wiedzą, co przytrafiło się Nocnym Ptakom nie dalej jak przedwczoraj. Ta mała wycieczka miała ją uspokoić, a tymczasem Matilde czuje się jeszcze bardziej zdenerwowana.

Niepokoje w mieście, ostrzeżenie Dennana – a teraz też Krastana – klient Sayer, przyjaciel Æsy i znaczące spojrzenia, które wymieniły ze sobą babcia i Leta. Szykuje się jakaś zagadka, ale Matilde nie wie, o co może chodzić. Za dużo elementów nadal kryje się w cieniu, poza zasięgiem wzroku.

Dłoń dziewczyny sięga do torebki, zaciska się na wizytówce od Dennana. Nie jest ptaszkiem w złotej klatce, cokolwiek Alec sobie myśli. Może pora poszukać odpowiedzi na własną rękę.

*Daleko w Gryfa trzewiach za Trelem w prawo skręć,
zobaczysz, gdzie co noc bawić się mamy chęć.*

*Sekrety głęboko ukryte,
lecz jeśli hasło znasz,
może wpuścimy cię, kto wie.*

Kto wie.

Kto wie.

*Muzyka jak karmel gorąca i przemycony blask.
Chwyć mocno, niech nas zastanie brzask.*

*Zapłać, by poznać to miejsce,
gdzie magia nie kończy się, o nie.*

O nie.

O nie.

– MIEJSCE, GDZIE MAGIA NIE KOŃCZY SIĘ,
PIOSENKA JAZZOWA Z SIMTY

ROZDZIAŁ 5

CIEŃ I BLASK

SAYER PRZYTRZYMUJE kaszkiet w trakcie przeprawy łodzią. Na szczęście ma na tyle krótkie włosy, że nie musi ich upinać, a w szafie pełnej rzeczy, które wyglądały na znalezione w Lety, wyszperała ubrania robocze. Dziś w nocy nie chce wyglądać jak dziewczyna z Wielkiego Rodu.

Od spotkania z klientem dwa dni temu Leta nie spuszcza jej z oka – Sayer czuje się tym przytłoczona. Nie może wychodzić sama, a już na pewno nie w nocy. Ale nie przeniosła się na drugą stronę kanału po to, by ktoś ją rozpieszczał czy kazał tkwić bezczynnie w oczekiwaniu, aż inni zapewnią jej bezpieczeństwo. Jeśli czegoś się chce, najlepiej poszukać tego na własną rękę.

Płyną przez Rozwidlenie, przewoźnik się nie odzywa, po prostu wiosłuje. Księżyc osiadł na wodzie, delikatnie unosi się na fali. Gorąca, bezwietrzna noc jest typowa dla tutejszego lata. Powietrze, tak gęste, że można jeść je łyżką, pachnie solą i zuchworostami porastającymi brzegi kanałów. Ostatnio płynęła tędy łodzią wiele miesięcy temu, niedługo po śmierci matki. Od tamtej pory nie wracała do Dzielnicy Gryfa.

Spogląda przez ramię. Kiedyś zdarzało jej się stawać na Rozwidleniu, spoglądać na Pegaza i zastanawiać się, jak wygląda życie na brzegu, który wtedy zdawał się tak odległy. Teraz widzi, że bogactwo, eleganckie ogrody i latarnie świecące blaskiem ciem płomienistych osłaniają dziewczyny pokroju Matilde przed simtańską rzeczywistością. Łatwo uwierzyć, że życie jest sprawiedliwe i każdy ma równe szanse, gdy dorasta się w otulinie szerokich liści.

Przybijają do brzegu, Sayer schodzi z łodzi prosto w Dzielnicę Gryfa. Pamięta ten zapach: chleba, farby i zaschniętej krwi. Zaulek Szubienic stoi pusty, mimo to przypomina o dreszczu – ma ostrzegać ludzi łamiących prawo, a zwłaszcza przemytników. Oczywiście ci najbardziej bezwzględni nic sobie z tego nie robią.

Sayer sztywnym krokiem wchodzi w aleję Gryfa, wiodącą w głąb dzielnicy. Nie ma tu ómowych latarni, przez co mrok zdaje się jeszcze gęstszy. W pobliżu Rozwidlenia szeregowo domy pomalowane jasną farbą wyglądają na zadbane, ale im dalej, tym są mniejsze i coraz bardziej ponure. Na fasadach znać pęknięcia, choć mieszkańcy latają je pastą z błota i ziół. Po zmroku straszy pranie suszące się na sznurach do bielizny. Pod schodami wyczekują obdarci ulicznicy. Dawniej, gdy właściciel Jaśnie Oświeconej nie widział, dożywiała takie dzieciaki szcerstwiałymi gwiazdoszkami. Ciekawe, czy teraz ktoś je jeszcze karmi.

Najwyraźniej tak – jeden z ojców właśnie nęci je bochenkiem ciepłego chleba i na pewno spróbuje nakłonić do zamieszkania w kościelnym przytułku, chodzenia do tamtejszej szkoły. Oczywiście Kościół robi też coś dobrego, ale to z winy ojców mieszkańcy Simty sądzą, że magia zatruwa duszę i prowadzi do zepsucia obyczajów. To oni naopowiadali ludziom, że trzeba bać się czarownic.

Wracają do niej słowa fanatyka: „Jeśli wam na to pozwolimy, zatrujecie świat”.

Odsuwa je od siebie, nie pozwoli, by podążały za nią aż tutaj.

Gdy zmierza ku Trelowi, zmienia się światło. Kolorowe latarnie wiszą na balkonach i kołyszą się nad każdym wejściem. Ta część Gryfa jest otwarta do późna dla wszystkich, którzy przychodzą w interesach lub szukają uciech. Sayer schodzi w dół uliczką Bardów, zatrzymuje się przy Pawilonie Uczonych. Z otwartych na oścież drzwi Jaśnie Oświeconej dolatuje słodki zapach czegoś prażonego. Na dziedzińcu zawodzi uliczna orkiestra dęta, a pijani studenci flirtują z dziewczynami z kawiarni w świetle migoczących latarni.

Kocia pozoga! Ależ jej tego brakowało.

Matilde by się śmiała: w porównaniu z miejscem, z którego właśnie przybyła, tutaj królują brud i prostackie maniery, ale przynajmniej Dzielnica Gryfa nie próbuje przywdziewać masek.

Sayer okrąża pawilon, kryje się w cieniu, nie chce, by rozpoznał ją ktoś z kawiarni. W tym dziwacznym stroju to mało prawdopodobne, jednak lepiej dmuchać na zimne. Ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Jeśli spojrzy w górę, zobaczy okno dawnej sypialni matki, ciemne i puste. Głęboko w piersi czuje ucisk.

Czeka, aż orkiestra skończy piosenkę, a gdy klienci z pobliskich sklepików klaszczą, szczypie w rękę trębacza stojącego z tyłu. Rankin odwraca się

gwałtownie i posyła jej uśmiech spod kaszkietu przeżartego przez mole, ukazując szczerbę między przednimi zębami.

– Sayer?!

– Cii, bo mnie zdradzisz.

Odciąga go za róg sklepiku, zanim reszta orkiestry zdąży zaprotestować.

Rankin nadal zadziera głowę, by z nią porozmawiać, ale już nie tak jak kiedyś. Urósł, odkąd się ostatnio widzieli.

– Gdzieś ty się podziewała, Say? Wszędzie cię szukałem.

Coś ściska ją za gardło. Z trudem przetyka ślinę.

– Mieszkam u przyjaciół w Dzielnicy Pegaza.

Chłopak się krzywi.

– Wielka paniusia, co?

„Tak naprawdę to nie”.

– Może trochę.

– Pewnie nie zadajesz się z takimi jak my.

Ściera mu z policzka smużkę sadzy.

– Nieprawda.

Rankin zakłada trąbkę na plecy, mocuje pasek. Ma trzynaście lat – Sayer dobrze o tym wie – nawet jeśli czasami wydaje się starszy. Nie jest łatwo być dzieckiem na ulicach Gryfa.

– No to co tu robisz?

– Mam interes do Fen. – Dłonie jej się spociły. – Gdzie ją znajdę? W klubie?

Rankin dotyka przypinki w swojej klapie: pomarańczowo-złoty wstążek.

– Gdzie tam, w Sali Tronowej.

Oczywiście słyszała o tym miejscu, choć nigdy w nim nie była. Pełno tam biegusów. Na samą myśl czuje trzepotanie w żołądku.

– Znasz hasło na dziś? – pyta.

– Tak, ale ci nie powiem.

– Czemu nie?

– Bo teraz w Zakątku Zielonych Latarni ciągle są jakieś przepychanki. – Obciąga krzykliwie pomarańczową kamizelkę. – Fen by nie chciała, żebyś szła tam bez

opieki.

– Ty masz się mną opiekować? – Szturcha go w brzeg kaszkietu. – A sięgasz chociaż do wizjera?

Rankin łypie gniewnie.

– Ładnie to tak, koleżanko?

Kluczą coraz węższymi uliczkami, skąpanymi w blasku latarni z zielonego szkła. Tutaj głośniejszy słychać muzykę Gryfa: z porośniętych winoroślą balkonów bucha jazz, domokrażcy sprzedają kubeczki słodkiej cytrynady, starając się zwabić balowiczów do swoich klubów. Z powodu nielegalnych spelunek Zakątek Zielonych Latarni stał się nieoficjalnym centrum rozrywek i uciech Simty, przynajmniej dla pewnego typu klienteli, a jednak bywa tu niebezpiecznie. Dzielnica roi się od biegusów – tak ich nazywają, bo biegusy rozprawdzają zakazane substancje, trzymając się blisko brzegu.

Minęli dziewczynę w ciemnej altance, wręczającą ukradkiem monety chłopakowi w kamizelce i kaszkiecie. Śmierdziała przypalonym cukrem, jak ktoś, kto nadużywa eliksirów. Biegus podał jej smukłą fiolkę. Sayer idzie o zakład, że to był Syreni Pył: substancja alchemiczna, która wyostrza zmysły. Dla dobra dziewczyny ma nadzieję, że w środku nie było jakiegoś świństwa. Magia zawsze działa uzależniająco, ale Pył szczególnie, do tego często rozcieńcza się go tanimi dodatkami. Gwardzistom łatwiej wytropić nielegalne produkty niskiej jakości, po których ludzie chorują lub tracą wzrok.

Rankin przerywa milczenie.

– No to czemu zniknęłaś?

Sayer stara się uśmiechać.

– Przyjaciółka matki dała mi dach nad głową. Muszę gdzieś mieszkać.

– Mogłaś wprowadzić się do nas. Gwiazdy by się tobą zajęły.

Sayer to wie. Fen i jej ludzie, Ciemne Gwiazdy, powitaliby ją z otwartymi ramionami, ale gdyby dołączyła do gangu biegusów, matka przewracałaby się w grobie.

– Znalazłam zajęcie na drugim brzegu. Chciałam trochę zarobić.

Przygląda jej się badawczo.

– *Sain minth tu gansen.*

Przysięga Ciemnych Gwiazd: „Cienie trzymają się razem”.

Sayer musi odwrócić wzrok.

– Po twoim odejściu Fen zrobiła się drażliwa. Tęskni za tobą. Nic nie powie, ale ja swoje wiem.

Przełknęła ślinę. Pragnie zobaczyć Fen, ale też się denerwuje. Zniknęła w taki sposób, że teraz nie ma pewności, jak potoczy się ich ponowne spotkanie. Czy Fen się gniewa? Jak to będzie znów ją zobaczyć?

Obciąga kamizelkę. To nie pora na uczucia. Dziś w nocy musi zachować trzeźwy umysł.

Zatrzymują się na zakręcie w cienistej uliczce. Nie widać szyldu zapraszającego do Sali Tronowej, tylko zardzewiałe, nijakie drzwi. Rankin puka pięć razy: trzy krótkie stuknięcia, a potem dwukrotnie skrobie kłykciami o metal. Otwiera się okienko, w którym ukazują się dwoje złowrogich oczu.

– Hasło?

– Filly May.

Drzwi się otwierają, staje w nich mężczyzna w zielonej kamizelce, która ledwie mieści jego kształty. Brakuje mu kilku zębów.

– A ty czego tu szukasz, Rankin?

Chłopak wypina pierś.

– Mamy interes do Lisa.

Na strażniku nie robi to wrażenia. Sayer boi się, że ich nie wpuści, ale w końcu wyciąga umięśnioną łapę.

– No dobra, dawajcie broń.

Rankin, nie wiadomo skąd, wyciąga naraz trzy noże, jeden niemal tak długi jak pół jego nogi, i jeszcze trzy fiolki, które wyglądają podejrzanie.

Strażnik patrzy na Sayer, mruży oczy.

– Potrzebujesz czasu, koleżko?

– Nic nie mam. – Wzrusza ramionami.

Mężczyzna tylko potrząsa swoim wielkim łapskiem. Sayer wzdycha i wyjmuje nóż do papieru z rączką w kształcie łabędzia. Poprzedni zabrała jej Leta, a przecież Sayer nie mogła przyjść tu z pustymi rękami.

– Co chcesz tym zrobić? – pyta strażnik, chwytając nóż w dwa grube paluchy. – Podłubać sobie w zębach?

Rankin rży z uciechy. Sayer trąca go łokciem.

– Chyba ma ostry koniec, nie?

Strażnik nie przestaje rechotać, wpuszcza ich do środka i zamyka drzwi. Rankin prowadzi ją do góry ciemnymi, wąskimi schodami. Jedynym źródłem światła są zielone latarnie w korytarzu. Sayer ledwie widzi własne ręce i ostrzeżenie, które wisi nad jej głową:

– ZASADY OBOWIĄZUJĄCE W LOKALU –
TYLKO MIKSTURY KUPIONE NA MIEJSCU.
ZAKAZ BRONI.
NIE WSZCZYNAĆ AWANTUR.

Jazz wibruje w powietrzu i kusi, by wejść. Rozsuwają się połyskujące kotary – i oto są w środku.

Na pierwszy rzut oka Sala Tronowa przypomina tę z balu u Lety: wysokie pomieszczenie, jaskrawe kolory i lustra na ścianach. Jednak tam były maski i pozy, a to miejsce jest po prostu szalone i wcale się z tym nie kryje. Jazz brzmi tu goręcej, jak zmysłowa obietnica. W powietrzu unosi się słodki, przydymiony zapach magii.

Pod sufitem wiszą żyrandole z nieszlifowanego szkła – szachraje zaczarowali je tak, by świeciły nawet bez świateł, ozłacając nieprzebrany tłum. Lokal roi się od biegusów, a każdy gang można poznać po kwiatach wpiętych w klapy. Krakeni noszą modre paprotki, Zwinne Noże – ciemnoczerwone frezje, a Morskie Głębie przystrajają się fioletowymi kwiatami serduszki. Tutaj mogą się mieszać: nie załatwiają interesów, przyszli wyłącznie dla przyjemności. W Sali Tronowej rządzą wszystkie gangi – stąd nazwa.

Sayer nie spodziewała się aż tylu dziewczyn. Biegusy raczej nie chcą ich w swoich gangach. Ale teraz wszyscy przywierają do siebie na parkiecie, tańcząc skandalicznego morskiego pełzaka. Wszędzie czuć magię. Kręci się i skrzy na sukienkach muśniętych przez szachrajów – wzory na tkaninach zmieniają kształt z każdym ruchem bioder. Sayer widzi zęby wyostrzone za pomocą Wilczego Uśmiechu, paznokcie przemienione w szpony po zanurzeniu w Ostrych Pazurach

i jaskrawe włosy, których kolor uzyskano, stosując balsam Cztery Pory Roku. Głos śpiewaczki na scenie przywodzi na myśl dym wzmocniony jakąś substancją alchemiczną; za kontuarem barmani przyrządzają magiczne koktajle. Gdy sący się ciemnozieloną Żmiją, język się rozwidla, a po wypiciu Zguby Zegarmistrza zwalnia czas, choć to tylko wrażenie. Biegus w kącie z pewnością pił Piękną Panienkę, bo jego skóra lśni. Widać nie przeszkadza to chłopakowi, który właśnie pakuje mu język do ust.

Pędzona nielegalnie magia widoczna w sali musi być warta fortunę, lecz to właśnie biegusy praktycznie rządzą podziemnym rynkiem substancji alchemicznych w mieście. Zakazana magia to ich specjalność. Kościół i simtańscy Gwardziści na pewno chętnie zrobiliby nalot na taki klub i powiesiliby większość gości – na szczęście w Gryfie nikt im tego miejsca nie wskaże. Biegusy trzęsą dzielnicą, tak jak po kryjomu rządzą Stołem... może nawet bardziej. Przywódcy gangów nie bez powodu nazywają się lordami.

Tłum się rozstępuje, Sayer dostrzega Fen przy stoliku w rogu. Serce podchodzi jej do gardła.

Na pierwszy rzut oka Fen nie wyróżnia się niczym spośród innych biegusów – wygląda jak arogancki chłopak, bezwzględny i spragniony władzy, ale ona wie, że to nieprawda. Chłonie widok wystających kości policzkowych Fen i krótkich włosów wijących się jak płomienie. Ich ciepły rudobrazowy odcień przypomina palone karmelki w Jaśnie Oświeconej, ale samej Fen brakuje słodczy. Jest jedyną dziewczyną w Simcie, która przewodzi gangowi – takie życie nauczyło ją, jak być twardą.

Kiedy miały po czternaście lat, Fen zjawiła się zakrwawiona na tyłach Jaśnie Oświeconej. Sayer od razu wiedziała, z kim ma do czynienia – poznała ją po przepasce na oku. Fenlin Brae – Szczwany Lis. To działa się, jeszcze zanim założyła Ciemne Gwiazdy, ale już wtedy była znana gangom ze względu na zwinne ręce, szalenie bystry umysł i umiejętność włamywania się do sejfów, do których inni nie potrafili się dostać. Sayer sądziła, że Fen zacznie wydawać rozkazy, jak wszystkie znane jej biegusy, lecz ona tylko się uśmiechnęła. „Słyszałam, że dajesz słodczy małym ulicznikom”, powiedziała. Krew lśniła jej na zębach. „Może i ja mogłabym coś dostać? Najlepiej kilka szwów”.

Sayer się zaśmiała. Potem zostały dobrymi przyjaciółkami. Najlepszymi. Ale czy nadal nimi są?

– Fen! Znalazłem ją! – krzyczy Rankin, gdy podchodzą do stolika. – Wisisz mi dziesięć szylingów.

– Znalazłeś – potakuje Fen. – Ale ja też ją znalazłam.

Odchyła się na krzesło, zarazem swobodna i drapieżna. Trudno spojrzeć jej w oczy, bo jedno z nich skrywa zielona aksamitna przepaska.

„Pokażesz mi kiedyś, co tam masz?”, droczyła się z nią Sayer, gdy uczyły się bić.

Fen tylko się uśmiechała. „A co mi pokażesz w zamian?”

A jednak nigdy nie były tego rodzaju przyjaciółkami, bo do Fen niełatwo się zbliżyć. Może tylko raz... Wraca myślami do nocy, gdy umarła matka. Fen trzymała ją wtedy tak mocno.

„Zostałam sama”, powiedziała Sayer zdławionym głosem.

Objęła ją w talii. „To nieprawda”.

Tamtej nocy przyciągnęła ją do siebie, tak blisko, rozchylając usta. Tamtej nocy prawie...

Olsa, drugi po szefowej, odchrząkuje.

– No dobra, to może... mały i ja pójdziemy po następną kolejkę.

Fen nie spuszcza z niej wzroku.

– Rankin nie pije więcej koktajli. Już i tak przegiął. Nie chcemy, żeby znowu przestał rosnać.

Chłopak klnie.

– Kiedyś będę taki duży, że cię zmiażdżę.

Nie żeby mu na tym zależało. Rankin ubóstwia Fen – jak wszyscy. Swoją bandę nazwała na cześć tutejszej rozgwiadzy, która nie rzuca się w oczy, ale jest nieustępliwa. Przywiera do skał tak mocno, że żaden sztorm nie jest w stanie jej zrzucić. Ciemne Gwiazdy przygarniają dzieciaki, które inne gangi mają w głębokim poważaniu. Fen potrafi zobaczyć w ludziach skrywany potencjał. Ale umie też dojrzeć słabości.

Sonduje Sayer wzrokiem. Ta siada, starając się nie patrzeć na jej pełne, aksamitne wargi. Spod postawionego kołnierza koszuli wyzierają blizny, o wiele bledsze niż pomarańczowa naparstnica wpięta w klapę kamizelki. Kwiatu nie zaczarował szachraj, bo Fen nie zajmuje się magią. To ją odróżnia od większości

biegusów w sali. Sayer chyba nigdy nie widziała, by Fen zażywała jakieś magiczne substancje.

– Tig – odzywa się do niej w końcu.

To przezwisko, zdrobnienie od tigrena, dzikiego kota zamieszkującego dżunglę Farlandów. Słyszając je, Sayer się rozluźnia.

– Niezłe łachy. Portki ci pasują.

– Tobie też. – Nie może powstrzymać uśmiechu.

Fen rozsiada się wygodniej, jak zawsze żuje mastyks – aromatyczną żywicę. Robi się go z rośliny, która zdaniem Fen usuwa skutki wszelkich substancji alchemicznych, jakich można dodać do drinka. Z jakiegoś powodu odnosi się nieufnie do magii. Może dlatego, że wychowywała się w kościelnym przytułku i nie ma zbyt dobrego mniemania o ojcu, który ją tam przygarnął.

– Sądziłam, że twoi nowi przyjaciele z Dzielnicy Pegaza wolą cię w sukienkach – rzuca Fen. – Lady Leta Tangreel na pewno by tego nie pochwaliła.

Sayer rozdziawia usta. Skąd Fen wie o Lecie?

– No i co tak siedzisz jak ogłuszona barwena? – kpi Fen. – Zniknęłaś bez słowa. Sądziłaś, że nie będę cię szukać?

– Jak mnie znalazłaś? – Policzki jej płoną.

– Przecież twoja matka dorastała w Dzielnicy Pegaza – odpowiada. – Widziałam, że jakaś damulka szepcze do ciebie na pogrzebie. Uznałam, że składa ci propozycję. Pewnie niezłą, skoro uciekłaś.

– Nie uciekłam. – Marszczy brwi.

– A jak byś to nazwała?

– Dawna przyjaciółka matki złożyła mi dobrą ofertę, a ja ją przyjąłem.

– Tak czy siak... – Fen opiera łokcie na stole. – Mogłaś się pożegnać.

Ale wtedy radziłaby jej zostać. Niby co Sayer miała jej powiedzieć? Nocne Ptaki to sekret, a ona nie chciała jej okłamywać.

Fen wskazuje jej kamizelkę.

– Gdzie masz swoją przypinkę Ciemnych Gwiazd?

– Tutaj. – Sayer wyjmuje ją z kieszeni. Czarne koraliki naszyte na jedwabną pomarańczową naparstnicę błyskają w świetle żyrandoli.

– Tig, w kieszeni na nic ci się nie przyda.

– Wiem, ale... – Spogląda na kwiat symbolizujący wartość Ciemnych Gwiazd: ma zapewniać ochronę. To sygnał dla innych gangów, że Fen traktuje ją jak swoją. – Nie byłam pewna, czy nadal mogę ją nosić. – Podnosi wzrok, niemal oczekując, że Fen zechce odebrać przypinkę. Ale kącik jej ust unosi się do góry.

– Nie bądź łachudra. Przecież wiesz, że tak.

Sayer wypuszcza powietrze, rozpira ją uczucie ulgi. Na scenie śpiewaczka przeciąga wysoką nutę.

– Co cię sprowadza do Tronowej? – pyta Fen.

Przyszła po informacje. Fenlin jest złodziejką – mało kto zna ciemne zakamarki Simty tak jak ona. Może będzie wiedzieć coś o fanatyku, który zaatakował Pardwę? Ale gdy tu siedzą, do Sayer dociera, że tak naprawdę przyszła się spotkać z przyjaciółką. Ostatnie dni były pełne wrażeń, a ona chciałaby pobyc z kimś, kto nie ma nic wspólnego z Nocnymi Ptakami – kto lubi ją tak po prostu, a nie ze względu na jej dar.

– Mam do ciebie kilka pytań – przyznaje w końcu. – I chciałam pożyczyć nóż.

Fen marszczy czoło.

– Co się stało z tym, który ci dałam?

– Dźgnęłam nim kogoś.

Spłoszyłaby tym każdego, ale Fen ani drgnie.

– Czym sobie zasłużył?

Sayer przetyka ślinę.

– Próbował mnie zabić.

– Chodźmy w jakieś bardziej ustronne miejsce.

Teraz już nie siedzi nieruchomo. Prowadzi Sayer za scenę, a potem krętymi schodami do małego, pustego pokoju. Na ścianie znajduje się witraż: złote krzesło dryfujące w morzu czerwieni. Fen opiera się o niego w miejscu, gdzie światło świeci najjaśniej. Nigdy nie lubiła ciemnych, ciasnych pomieszczeń.

– Potrzebujesz, żeby ktoś zatopił ciało?

– Nie. Już się tym zajęto. – Znów widzi fanatyka napierającego na nią z całej siły. Co przeraża ją bardziej? To, że dźgnęła kogoś nożem, czy to, że tak długo jej to zajęło? Lekcje, których udzieliła jej Fen, uleciały z głowy, gdy najbardziej ich potrzebowała.

Wyciera dłonie w spodnie.

– Próbuję ustalić, kim był i kto go nasłał. Liczę, że mi pomożesz.

Twarz Fen przybiera kamienny wyraz.

– No to opowiadaj.

Do stu piekieł. Głupia była, sądząc, że może prosić Fenlin o pomoc, nie mówiąc wszystkiego. Oczywiście Fen dochowa sekretu – sama skrywa ich pod dostatkiem – lecz teraz Sayer słyszy podszepty Matilde: „Biegus może się nieźle obłowić, jeśli zdradzi naszą tajemnicę”. Fenlin nigdy by tego nie zrobiła, a jednak...

– No dalej, Tig. To ty do mnie przyszedłeś, nie? Jesteśmy przyjaciółkami. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Gdyby Leta się dowiedziała, Sayer mogłaby wylądować na ulicy i stracić szansę na zabicie majątku. Ale przecież Nocne Ptaki teraz nie pracują i nie wrócą do pracy, póki nie uda się zażegnać niebezpieczeństwa. Sayer nie może sobie pozwolić na czekanie.

Wszystko sprowadza się do tego, czy można zaufać Fen.

Nikomu nie ufa tak jak jej, to na pewno.

Tak więc opowiada jej o Nocnych Ptakach. Nie podaje imion ani szczegółów, zdradza tylko, na czym polega ich praca. Mówi też o tamtej nocy z klientem, powtarza jego słowa, wyjaśnia, że chciał ją zmusić do wypicia czegoś z fiolki. Wszystko znów staje jej przed oczami jak żywe: żelazny uścisk i płomienna nienawiść mężczyzny, swąd jego przypalonej skóry. Dłonie jej się trzęsą, więc je zaciska, by opanować drzenie.

Gdy milknie, spowija je cisza. Jeśli Fen jest zaskoczona istnieniem dziewczyn posiadających wrodzone zdolności magiczne, to wcale tego po niej nie widać.

– Jaki masz dar? – Zaskakuje ją tym pytaniem. – Co potrafisz?

– Pomagam ludziom wtopić się w cień. Moja magia zapewnia niewidzialność.

– Możesz ją stosować na własny użytek?

– Nie.

Twarz Fen jest pozbawiona wyrazu, spojrzenie – nieprzeniknione. Tak wygląda, gdy nie chce zdradzić swoich zamiarów. A jednak sposób, w jaki stoi – z rękami przyciśniętymi do boków, żując mastyks – sugeruje napięcie. Fen stroni od magii...

wszelkiego rodzaju. Również z tego powodu nic jej wcześniej nie mówiła. Czy teraz zaczniesz postrzegać ją inaczej, poczuje do niej niechęć?

Sayer wraca do sedna sprawy.

– Ten klient twierdził, że dostanie nagrodę za to, że mnie komuś przyprowadzi. Nie sądzę, by chodziło o Pontifeksa. Słyszałaś może o jakiejś nowej sekcji? Powiązanej z Marrenem?

Fen przechodzi przez pokój, przystaje.

– Tak, zwą się En Caska Dae. Płonące Miecze. – Jej głos ocieka jadem. Nie znosi duchownych.

Sayer nigdy nie poznała całej historii jej dzieciństwa, ale wie, że liczne blizny na ciele przyjaciółki są sprawką ojca prowadzącego sierociniec, w którym mieszkała.

– Ich przywódca nazywa się Czerwoną Ręką Marrena – ciągnie Fen. – Uważa, że prawo nie egzekwuje prohibicji wystarczająco skutecznie. Chce spalić na popiół wszystkich, którzy korzystają z magii.

„Ogień, który oczyści świat”.

Sayer krzyżuje ręce. Będzie musiała powiedzieć Lecie. Może, gdy poznają źródło zagrożenia, zdołają je poskromić. Miejmy nadzieję.

– Dobrze, że jego wysłannik nie żyje – zauważa Fen. – Przynajmniej nie będzie mógł nic przekazać Czerwonej Ręce.

Sayer kiwa głową.

– To znaczy, że Ręka wciąż nie wie, kim jesteśmy ani gdzie nas szukać.

Fen przeczesuje dłonią swoją ognistą czuprynę.

– Tig, raz już im się udało. On jest uparty. Nie wiesz, do czego może się posunąć.

Sayer marszczy brwi.

– A ty wiesz?

Twarz Fen znów się przed nią zamyka. Sayer nie potrafi nic z niej wyczytać. Głos śpiewaczki przebija się przez szkło: „Jesteś złodziejem, a więc bierz wszystko, skoro już skradłeś mi serce”.

– Spróbuję się dowiedzieć, co knują – mruczy pod nosem, jakby mówiła do siebie. – Już i tak pozwoliłam mu posunąć się za daleko. – Sayer chciałaby zapytać, o co jej chodzi, ale Fen ciągnie dalej: – Na razie możesz się zatrzymać w klubie Ciemnych Gwiazd albo w którejś z naszych kryjówek. Mam parę miejsc.

– Fen, ja nie wracam do Dzielnicy Gryfa. Jeszcze nie.

Zwykle jest taka opanowana, rzadko pokazuje gniew, lecz tym razem Sayer dostrzega na jej twarzy cień silnych emocji.

– Chcesz tam zostać? – Podchodzi do niej. Sayer czuje zapach mastyksu, wilgotny i ostry. Czasami zastanawia się, czy Fen nie żuje go tylko po to, by inni trzymali się na dystans. – Kocia pożoga, jak możesz zajmować się czymś takim?

Sayer sztywnieje.

– Madame pozwoli mi zatrzymać zarobki. Za jedne wakacje dostanę więcej, niż gdybym tyrała latami w kawiarni. Wystarczy na życie, jakie sobie wymarzyłam.

Wraca do niej to marzenie: ona i Fen mieszkają w kamiennej chatce. Późno w nocy ten obraz czasami rozkwita w jej głowie. Mąka na policzkach, dłonie we włosach, pełne wargi Fen tak blisko... ale to tylko fantazja. Fenlin wcale tego nie chce. Wystarczy sobie przypomnieć, jak zachowała się tamtej nocy po śmierci matki Sayer. Wyskoczyła z łóżka jak oparzona – jakby Sayer oblała ją wrzątkiem, a przecież tylko się nachyliła. Nawet teraz na samo wspomnienie palą ją policzki.

– Jeśli brakowało ci pieniędzy – krzywi się Fen – mogłaś przyjść do mnie.

– Nie potrzebuję jałmużny – warczy Sayer. – Wolę dorobić się sama. Poza tym nie tylko o to chodziło.

– W takim razie o co?

Wracają do niej słowa matki: „Gdybyś tylko została Nocnym Ptakiem. Dzięki tobie mogłybyśmy wrócić do kręgu światła”.

– Matka tego pragnęła. Obiecałam jej.

– No tak, ale chyba by nie chciała, żeby ktoś cię zasztyletował.

Sayer robi gwałtowny ruch w jej stronę, lecz Fen przyciska się do szkła, tak by nie mogły się dotknąć. Ten gest budzi w niej wściekłość i napawa lękiem.

– O co ci chodzi? – pyta. – Masz problem z moją magią czy z tym, że przyłączyłam się do klubu kogoś innego?

– To nie klub, tylko burdel. – Pod jej spojrzeniem mogłyby więdnąć kwiaty. Te słowa tną jak brzytwa, lecz Sayer nie pozwoli się zranić.

– Sądziłam, że akurat ty nie będziesz mnie osądzać.

Odsuwa się. Fen wyciąga rękę, ale zaraz ją opuszcza. Atmosfera gęstnieje od tego, co nie zostało powiedziane.

– W porządku. – Fen gwałtownie wypuszcza powietrze. – Przyznaję, że to był cios poniżej pasa. Ale, do stu piekieł, Tig, kochasz kłopoty bardziej niż ja.

Sayer wywraca oczami.

– Powiedziałabym, że w tym wypadku mamy remis.



SAYER WYCHODZI z Sali Tronowej sama. Jeśli Fen uda się zdobyć informacje, przyśle Rankina, by zagrał na trąbce przy bramie do ogrodu Lety. Do tego czasu Sayer ma się nigdzie nie ruszać.

Fen chciała, żeby Rankin odprowadził ją do Rozwidlenia, ale ona nie potrzebuje ochrony. Nieraz chodziła w nocy tymi uliczkami. Może dlatego pozwala sobie na chwilę nieuwagi – myśli o Nocnych Ptakach, matce, o zagniewaniu Fen i o tajemniczych En Caska Dae. Kroki słyszy dopiero, gdy jest za późno.

– Kocia pożoga! – Ktoś odzywa się tuż za jej plecami. – Uroczo wyglądasz w portkach.

Czyjeś ręce unieruchamiają ją i przyciągają do szerokiej klatki piersiowej. Sayer wpada w popłoch.

– Puszczaj – warczy. – Chyba że chcesz stracić jedyne klejnoty.

Uścisk się rozluźnia.

– Proszę, proszę, taka słodka, a gryzie.

Ktoś się śmieje – kilku chłopaków. Sayer się odwraca, wpierw dostrzega kwiat tego, który ją trzymał, niebieskie płatki oplecione zielonym pnączem: to symbol Krakenów. Twarz szczerząca zęby w uśmiechu należy do Gwellyna Mane'a. Zna go od lat, a wolałaby nigdy nie poznać.

Gdy Gwellyn się śmieje, błyska niebieska metalowa nakładka na ząb, świadcząca o wysokiej pozycji w gangu Krakenów.

– Kopę lat, Sayer.

– Czego chcesz? – Napina się.

– Ależ ty jesteś drażliwa. Nie mogę powiedzieć „cześć” dawnej kochanicy?

Żołądek jej się skręca.

– Nic nas nigdy nie łączyło.

– Może w takim razie pora rozniecić ogień?

Gwellyn i jego dwóch koleżków wybuchają śmiechem. Matka powiedziała jej, żeby śmiała się razem z nimi. „Jeśli zrobisz aferę, tylko ich tym rozzłościś”. Ale ona nie zamierza udawać, że dobrze się bawi.

Łypie gniewnie.

– Matka cię nie nauczyła, żeby się nie podkradać?

– Może i tak – odrzeka Gwellyn. – Ale jej tu nie ma.

Widzi jego oczy, źrenice jak szparki. Musiał zażyć Kocie Oko: ulubioną substancję biegusów. Dzięki niej w nocy wzrok wyostrza się jak u kota.

– Idziesz już? – pyta. – Noc jeszcze młoda.

Sayer nie wyciąga noża, który przed chwilą dostała od Fen, ale ściska go mocno.

– Muszę gdzieś być.

– No dobra, puszczę cię, ale nic za darmo. Może mały buziak?

Coś kryje się w jego tonie, przebiegłym i znaczącym. Krew się w niej gotuje, a złość miesza ze strachem.

Gwellyn szczyrzy zęby.

– Nasz szef się postarzał, nie jest już taki bystry jak kiedyś. Teraz, jak popije, lubi sobie pogadać. Czasem wspomina twoją staruszkę.

Serce jej zamiera.

– Powiedział mi o... przysługach, jakie mu wyświadczała w zamian za opiekę.

Przysługi. Magia jej matki była czymś w rodzaju płynnego szczęścia, zapewniała pomyślność. Niemożliwe, by Nadja dawała ją jakiemuś biegusowi. A jednak Sayer pamięta dłonie tamtego wytwornego mężczyzny na talii matki i jego rozgorączkowane szept: „Gołąbeczko, nic nie smakuje tak słodko jak ty”.

Musi skłamać.

– Stary głupiec naopowiadał ci bajek.

– Może, ale rozbudziły moją ciekawość. I wiesz co? Przydałoby mi się trochę szczęścia.

Coś dotyka jej pleców: to mur wygradzający alejkę. Krakeni ją okrążają, a Gwellyn stoi za blisko. Zgroza jest jak ołowiany odważnik, ściąga ją w dół.

Gwellyn się nachyla. Jej magii nie można pojąć siłą, ale on tego nie wie i może połasić się na coś innego, jeśli Sayer prędko nie zareaguje.

Kopie go kolanem między nogi.

– Ty suko! – Gwellyn spluwa, próbuje trzymać się prosto.

Jego towarzysze podchodzą bliżej, noże połyskują w gotowości. Serce Sayer bije gwałtownie, strach zatapia jej umysł. Widzi tamtego mężczyznę w ich mieszkaniu, czuje dłonie fanatyka na gardle. Wyobraża sobie, że Gwellyn zaciąga ją w ciemny zaułek, z którego nie ma ucieczki.

Ale ona nie będzie ofiarą, nie podda się bez walki.

– Dobry wieczór, panowie. – Głos dobiega z tyłu. To Fen, z rękami w kieszeniach, jakby byli na pikniku. „Na twarzy uśmiech, a za plecami nóż”. – Pomieszało ci się w głowie, Gwell? A może wypijeś za dużo koktajli? Nie widzisz, że dziewczyna ma przypinkę Ciemnych Gwiazd?

Biorąc pod uwagę pozycję Fen, powinni skapitulować, ale trzech Krakeni tylko szyderczo się uśmiechają.

– Spływaj, rybi flaku – burczy Gwellyn. – Nie będziesz mi mówić, co do mnie należy.

Fen wypluwa mastyks i posyła im swój dziki lisi uśmiech.

– Mylisz się.

Wywija nożem, rozcinając Gwellynowi rękę. Chłopak klnie, po czym bierze zamach. W alejce panuje chaos: ruchy, dzikie kopniaki i błysk stali zlewają się w niewyraźną plamę. Sayer zamarła, przygląda się Fen, pełnej gracji, ale też brutalnej – nóż jest przedłużeniem jej zimnej, wyrachowanej furii. Szczwanego Lisa na noże może pokonać tylko ten, kto wie, że przepaska na oku zawęża jej pole widzenia. Na szczęście Fenlin dobrze to ukrywa, jak wszystko inne.

Przyjmuje teraz cios w bok, co wrywa Sayer z otępienia. W porę kopie w nogi kolejnego Krakena, który próbuje do nich doskoczyć. Chłopak prędko się podnosi, ale ona jest szybsza, tym razem pod nogami nie płacze jej się żadna suknia. Uchyła się przed jego nieudolnym ciosem i wali prosto w nos.

Krew się leje, ale to nie z niej. Ktoś złorzeczy, a Gwellyn coś podnosi – fiolkę.

Uśmiecha się, niebieski ząb połyskuje jak olej na wodzie. Jest poza polem widzenia Szczwanego Lisa.

– Fen, uważaj!

Odwraca się, ale za późno. Szkło roztrzaskuje się na kawałki. Szary dym stapia się z łapami, które próbują dosięgnąć Fen. Sayer woli nie wiedzieć, co się stanie, gdy dotkną skóry. Strach chwytą ją za gardło. W ustach czuje posmak burzy. Przetacza się przez nią jak gwałtowna nawałnica.

Do alejki wdziera się podmuch wiatru, wstrząsa zastałym, wilgotnym powietrzem, chwytą Gwellyna za ręce i zarzuca mu je na twarz. Czuć zapach przypalanej skóry. Chłopak krzyczy. Koledzy miotają się dookoła niego, usiłując pomóc. Sayer nie może oderwać wzroku.

– Tig – dyszy Fen, która znalazła się teraz przy niej – spadajmy.

Biegną razem, skręcają w prawo, w lewo, droga jest bardzo kręta. Serce bije jej tak mocno, że Sayer nie widzi, co się dzieje. Raptem wpadają w jakąś uliczkę, biegną do drzwi znajdujących się na samym końcu.

Fen szarpie za klamkę, klnie. Sayer ogląda się przez ramię: Gwellyna jeszcze nie widać, ale zażył Kocie Oko i wkrótce na pewno je wypatrzy. Naraz szczeka zamek. Fen musiała wyjąć zestaw wytrychów. Napiera na drzwi z całej siły, ale te tylko się lekko uchylają.

Krew kapie jej po brodzie.

– Coś je blokuje od środka.

Z drugiego krańca uliczki dobiegają krzyki. Tam już nie uciekną.

– Musimy się ukryć – szepcze Sayer.

Dłoń Fen nadal ściska klamkę.

– Tylko gdzie?

Dobre pytanie. Tutaj mało co może dać im schronienie: stos starych skrzynek, wiekowy wózek i ciemność.

Znów ktoś krzyczy. Sayer gwałtownie pociąga Fen w stronę skrzynek, wciskają się tam. Udaje im się ukryć, akurat gdy w uliczce rozbrzmiewa tupot nóg.

– Sayerrrr – podśpiewuje Gwellyn, jest coraz bliżej. – Wychodź, no dalej.

Ani jej się śni! Przygryza wargę. Czeka je walka z chłopakami, którzy na pewno nie będą się z nimi ceregielić, i na domiar złego Fenlin jest ranna. Sayer chwytą nóż, wszystko się w niej gotuje.

Fen zdradziła jej, jak skutecznie kogoś śledzić. „Musisz wtopić się w ciemność”. Właśnie to by zrobiła, gdyby mogła teraz posłużyć się magią. Kiedyś zapytała

matkę, dlaczego Nocne Ptaki nie mogą korzystać ze swojej magicznej mocy tak, jak robiły to Ogniste Ptaki w opowieściach do poduszki. „To dar – odparła matka – trzeba się nim dzielić”. Ale na co komu dar, który można tylko oddawać? Jaki sens ma posiadanie mocy, która nie czyni cię silniejszą?

Jedna ze skrzynek z przodu leci na bok. Słychać rechot.

Puls Sayer przyśpiesza, w głowie świta jej szalony pomysł.

Przyciska się do Fen, zbliża wargi do jej ucha.

– Weź to – szepcze – i wykorzystaj.

Fen kręci głową, lecz Sayer ją całuje.

Jej usta są nieustępliwe, zaskoczone, ale w końcu trochę się rozluźniają i przywierają do warg Sayer, odpowiadając na pocałunek. Uporczywy posmak mastyksu sprawia, że Sayer chce się wywinąć, odsunąć, ale to uczucie szybko mija, zostaje zastąpione czymś znacznie silniejszym.

Zwykle, gdy przekazuje komuś swoją magię, ma wrażenie, że coś z niej wypływa, przyprawiając o lekkie zawroty głowy. Ale tym razem jest inaczej, bo w zamian napęła ją coś, co smakuje korzeniami, ziemią i żelazem. Sayer czuje się... potężna.

Ten pocałunek przypomina zderzenie dwóch sił.

„Niech wtopi się w ciemność”, myśli Sayer, pragnąc, by Fen stała się niewidzialna. „Niech przemieni się w cień i dym”.

Ktoś kopie na bok ostatnią skrzynkę. Sayer odrywa się od ust Fen i przyciska do ściany. Gwellyn i jego bandziory gapią się na nie. Fen zerka na Sayer, ale prędko odwraca wzrok. Co za rozczarowanie: zaklęcie nie zadziałało. Fenlin wcale nie zniknęła.

Potem odzywa się Gwellyn:

– No dalej, Brae, gadaj, gdzie ona jest?

Serce podchodzi jej do gardła, Sayer patrzy w dół i... nic nie widzi. Jej ciało nie zniknęło, nie całkiem, ale spowija je cień w tym samym kolorze co mur i noc.

Bezgłośnie przesuwają się na bok. Cień przemieszcza się razem z nią. W piersi czuje dreszcz podniecenia.

– Nie wydurniaj się – rzuca Fen. – Oboje wiemy, że nie zaatakujesz barona gangu biegusów w ciemnej uliczce. Wiesz, co się przytrafia chłopakom, którzy

grożą szefom.

– Ty nie jesteś moim szefem – warczy Gwellyn. Na jego policzkach znać jeszcze wściekle purpurowe odciski dłoni. – W dupie mam twoją wartę! Jak dopadnę Sayer, suka mnie popamięta. Przez tydzień nie będzie chodzić prosto.

Coś skwierczy. Gwellyn osłania usta w samą porę, by zatamować tryskającą krew. Sayer ledwie rozumie jego niewyraźne krzyki... „Mój ząb?” Po chwili na kocich łbach coś błyska: niebieska nakładka, poskręcana i cała we krwi. Na mroczne czeluści, jak się tam znalazła?

Chłopaki otoczyły Fen zwartym kręgiem. Dziewczyna dyszy ciężko, obnażając zęby. Przypomina dzikiego zwierza. Trzech na jedną, a przynajmniej tak sądzą Krakeni... Sayer zaczyna wymachiwać nożem. Rzuca się między nich tak, jak uczyła ją Fen, porusza się niczym dym – nie da się jej złapać. W okamgnieniu tnie po przedramionach, goleniach i uderza w karki. Przeciwnicy krzyczą, odwracają się, ale widzą tylko mrok. Gwellyn wydaje z siebie piskliwe wrzaski, gdy Sayer powala go na ziemię.

Wstaje, zataczając się. Krakeni rzucają się do ucieczki. Po chwili ich tupot cichnie. Sayer ostrożnie wypuszcza powietrze.

– Fen – szepcze – widzisz mnie?

– Jasne, że tak. – Ma ściśnięty głos.

W głowie kręci jej się ze zdumienia. Tyle pytań. Chciała obdarzyć Fen niewidzialnością... więc jak to się stało, że sama zniknęła? Tego nie wie, ale jeszcze nigdy nie była taka rozbudzona. Niemal czuje magię pod skórą, która zaczerwieniła się i mrowi. A potem spiętrzona fala zaczyna się cofać.

Nie jest już niewidzialna. Jej ciało, wraz z ubraniem, na chwilę wtopiło się w cień, zupełnie jakby ktoś je pomalował, ale teraz farba schodzi. Ten widok wywołuje żal, ale też przyprawia o dreszczyk.

– Sayer... – Fen nadal trzyma uczucia na wodzy, jej głos wydaje się pozbawiony wyrazu. – Czy to...?

Ona się uśmiecha.

– Tak, to moja magia.

Magia, której ponoć nie może stosować na własny użytek.

*Strachy czyhają
na morskiej drodze,
utkwij wzrok w wodzie,
by nie dać się trwodze...*

*Fala rozbrzmiewa pieśnią hashny
złośliwy wicher w żagle zadmie,
gdy sheldar przejmie wrogie stery,
nasz statek rychło skończy na dnie.*

– UTKWIJ WZROK W WODZIE, PIEŚŃ ŻEGLARZY Z WYSP ILLISH

ROZDZIAŁ 6

FALA Z FALA

JAK CUDOWNIE zanurzyć się w kąpeli. Jeszcze nigdy nie pławiła się w tak czystej i ciepłej wodzie. Oura, matka Matilde, kazała pokojówce czegoś do niej dosypać – różowawej soli zmieszanej z płatkami, które dryfują teraz na powierzchni jak stateczki. Wypoczywajka, tak to chyba nazwała. Æsa wątpi, czy substancja jest wystarczająco silna, by pomóc jej wyciszyć umysł wzburzony jak dzikie illańskie morze i uspokoić myśli niemal tak czarne jak tamtejszy piasek, gdy przetoczą się po nim fale. Od ataku minęły trzy dni, a ona nie może się uspokoić.

Wciąż widzi Enisa, głód w jego oczach, palce, które zatapiają się w jej plecach – to wspomnienie jej nie opuszcza. Do czego by się posunął, gdyby Jastrząb nie przyszedł w porę?

A jednak ma nadzieję, że chłopakowi nic nie grozi. Jastrząb nie przysłał dotąd żadnej wiadomości. Wróble i Jastrzębie doglądają Nocnych Ptaków tylko w tajnych domach Lety. Nie wiedzą, gdzie która z nich mieszka, bo to by znaczyło, że znają ich tożsamość. Ale tamtej nocy przed wyjściem Æsa zostawiła w korytarzu wiadomość, tak by Jastrząb na pewno ją znalazł. „Proszę, daj mi znać, co z moim przyjacielem, gdy tylko będziesz mógł”. Podala mu adres Dinatrisów, podpisała się z imienia i oczywiście cały czas tego żałuje. Co sobie myślała, zdradzając się przed nieznanym chłopakiem? Ale przecież to jej Jastrząb, który przysięgał ją chronić. Pozostaje jej liczyć, że przysięga obowiązuje niezależnie od tego, czy mają na twarzach maski.

Przynajmniej nie wydał Enisa Lecie. Kiedy przesłuchiowano Jastrzębie, bez zająknięcia opowiedział swoją wersję wydarzeń. Æsa by to łyknęła, gdyby nie znała prawdy. Matilde i Sayer też kłamały ze względu na nią – jest im za to wdzięczna. Sądzą, że Æsa się boi, nie chce zostać odesłana do domu za swój błąd. Rzeczywiście jej bliscy potrzebują pieniędzy, które zarobi, pracując jako Nocny Ptak. Ale nie tego tak się obawia. Najgorsza jest niepewność.

„Czy to jej magia pchnęła Enisa do takich czynów?”

Zanurza się w wodzie, włosy falują jej wokół twarzy jak u hashny czyhającej u wybrzeży Illanu. Te pół kobiety, pół ryby czają się ponoć w pobliżu nadmorskich skał, czekając na żeglarzy. Wabia ich swoją pieśnią, kuszą urzekającym głosem, a potem wiodą do zguby.

Czy jej magia też jest jak trucizna? Jeśli tak, to nie powinna być Nocnym Ptakiem. Niebezpiecznie będzie znów kogoś pocałować.

Dobrze, że chociaż nie przyjmują klientów, ale za to musi się liczyć z obecnością Samsona. Chłopak nie ma pojęcia o jej magicznych zdolnościach. Æsa zastanawia się, czy trzymanie ich w sekrecie przed mężczyznami z rodziny to zwykła tradycja, czy raczej kobiety z rodu Dinatrisów uważają Samsona za hulakę, któremu nie można zaufać. A jednak nawet niewiedza nie ostudziła jego zapału. Przynosi jej kwiaty, dosiada się podczas obiadu i nachyla się do niej. Oura kwituje to uśmiechem, wyraźnie zadowolona – Æsa też powinna się cieszyć. Mama pokłada w jej wyjeździe wielkie nadzieje, a od Nocnych Ptaków pewnych rzeczy po prostu się oczekuje. Ale gdy pomyśli, że Samson mógłby skraść jej pocałunek, natychmiast przepelnia ją lęk.

Sięga po kawałek morskiego szkiełka wpleciony we włosy – splot rozluźnił się nieco w wodzie. „Błagam”, modli się do bogów. „Zabierzcie to ode mnie. Wcale tego nie chcę”. Magia to ciężar, którego nie potrafi udźwignąć.

Coś stuka i drapie. Æsa tak prędko siada, że z wanny wylewa się woda. Ledwie zdąży naciągnąć szlafrok, gdy dźwięk znów się rozlega – tym razem jest nieco głośniejszy.

Stuk-puk, stuk-puk. Dochodzi zza okna, zbyt miarowy, by mógł to być ptak lub kot.

Serce wali jej jak młotem. Może powinna krzyknąć, zawołać kogoś? Ale tylko chwytą pogrzebacz oparty o kominek. Noc wciska się przez okno, coś błyska w ciemności. Æsa się przemaga, podchodzi bliżej. Woda skapuje jej po plecach.

Do środka wdziera się ledwie słyszalny głos.

– To ja, twój Jastrząb. Zobacz.

Rozpoznaje maskę, którą przycisnął do szyby. Gdy zmruży oczy, widzi, że to naprawdę on, ale serce nadal jej się tłucze.

Uwalnia zatrzask, unosi dolne skrzydło okna. Jastrząb przysiadł na kratownicy gęsto porośniętej różą, palcami czepia się parapetu. O bogowie, musiał przekraść się przez ogród, tuż pod oknami salonu. To cud, że nie złapał go nikt z Dinatrisów ani żaden strażnik.

– Co ty tu...?

– Możemy pomówić w środku? – szepcze. – Te róże ostrzą sobie na mnie kolce...

Potakuje i usuwa się, by wpuścić go do środka. Jastrząb niemal bezdźwięcznie stawia na dywanie ciężkie buty. Jego twarz tylko jej mignęła tamtej nocy, gdy byli bez masek, ale teraz może się przyjrzeć. Jeszcze nigdy nie widziała oczu w kolorze morza – typowych dla mieszkańców wysp Illish – w połączeniu z tak ciemną skórą. Jego włosy też są ciemne, podgolone z boku i gęste na czubku głowy, niemal kręcone. Wydatne kości policzkowe i zmysłowe usta czynią go niezwykle przystojnym. Możliwe, że to najpiękniejszy chłopak, jakiego w życiu widziała.

Zbyt długo mu się przygląda. Jego wzrok wędruje od jej twarzy do pogrzebacza.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz go użyć.

Æsa rozluźnia uścisk, lecz nie odkłada pogrzebacza.

– Masz szczęście – mówi w illish – mało brakowało, żebym nadziała cię na rożen.

Błysk uśmiechu.

– Nie wątpię. Wy dziewczyny najwyraźniej nieźle władacie ostrymi narzędziami.

Z łatwością posługuje się illish, ten język ją otula i jednocześnie nią wstrząsa. „Wy dziewczyny”.

– Wybacz, że cię zaskoczyłem – przeprasza. – Nie znalazłem lepszego sposobu, by z tobą porozmawiać.

Woda ścieka jej po włosach. Szlafrok też jest mokry, zbyt mocno przywiera do krągłych kształtów Æsy. Czuje, że policzki jej płoną.

– Muszę się ubrać. Nie spodziewałam się gości.

– Jasne. – On przeczesuje włosy dłonią. – Zaczekam.

Æsa kryje się za parawanem, który osłania wannę. Serce nadal bije jej szybko. Zdejmuje szlafrok, waha się.

– Możesz zamknąć oczy?

– Już to zrobiłem, moja pani. – Zdaje jej się, że w jego głosie pobrzmiwa rozbawienie.

Æsa wygląda, chcąc się upewnić. Nie może oderwać od niego wzroku – czarne dopasowane ubrania uwydatniają szczupłą sylwetkę. Otrząsa się. Co się z nią dzieje? Ledwie kilka dni temu inny chłopak, znacznie jej bliższy, wspiał się do niej przez okno i proszę, jak to się skończyło. Ta myśl ją otrzeźwia.

Prędko się wyciera, wkłada luźną sukienkę i jedwabny szlafrok. Piękny, z aksamitu, cały w zielononiebieskich falbanach i frędzlach, ale ona oddałaby teraz wszystko za swoją starą roboczą sukienkę i pelerynę.

Podchodzi do kominka.

– Już możesz otworzyć.

Jastrząb zerka na nią, ale się nie gapi. Zdejmuje buty, podkrada się do drzwi.

– Są tu jakieś przejścia między pokojami?

Æsa kręci głową. Chłopak obmacuje szklaną gałkę, szukając zamka, powoli go przekręca. Poczowała ucisk w piersi, jakby oplotła ją tam niewidzialna nić – to sygnał ostrzegawczy. Jastrząb zna jej imię, wie, gdzie mieszka i z kim. Bez trudu odgadnie, że Matilde też jest Nocnym Ptakiem. Matilde, która dochowała sekretu, nie pisnęła słówkiem o Enisie, a teraz Æsa zdradza jej tajemnicę...

Jastrząb chyba wyczuwa jej niepokój. Dotyka kciukiem czoła, co na wyspach Illish jest oznaką szacunku.

– Æso – wymawia jej imię tak, jakby było mu drogie. – Przysięgałem, że będę cię chronić... was wszystkie. Nie musisz się mnie obawiać.

Ale po ostatnich wydarzeniach boi się wszystkiego, a najbardziej siebie.

– Ty już znasz moje imię – mówi w końcu. – Może poczuję się lepiej, gdy poznam twoje.

Pokiwał głową.

– Willan.

Ucisk w piersi nieco zelżał.

– Jak ten owad?

– Nie śmiej się. Tata mi je nadał. – Kącik jego ust się unosi. – Ponoć dlatego, że mam takie długie nogi. – Æsa nie może powstrzymać uśmiechu. – No i wiesz, są

naprawdę silne... na-willany. I wydają wspaniałe odgłosy, tak pięknie nie grają nawet nasi skrzypkowie.

Pamięta. W letnie wieczory cykanie na-willanów dolatywało z pól *jinny* za domem. Tęsknota za rodzinną wyspą wciąga ją jak bezkresna fala.

Willan podchodzi do kominka, opiera się o gzyms na drugim krańcu. Powinna go zapytać o Enisa, a potem odprawić – nie należy zatrzymywać go tu dłużej. A jednak tak przyjemnie rozmawia się z kimś w *illish*. Może dlatego rozgadała się bardziej niż zwykle.

Siada i daje znak, by i on spoczął.

– Czyli pochodzisz z Illanu?

Willan sadowi się, podwijając długie nogi. Zachowuje przyzwoity dystans – większy niż tamtej nocy.

– Dorastałem tam, to znaczy, gdy byłem na lądzie.

– Ale... – waha się.

– Mam trochę za ciemną skórę jak na kogoś z Wysp Smaganych Morzem?

– Nie to miałam... – Znów się rumieni. Dlaczego jest taka podenerwowana? – Właściwie to miałam na myśli, tylko nie chcę być wścibska. Po prostu... tak bardzo mi pomogłeś, a ja prawie nic o tobie nie wiem.

Przez chwilę tylko jej się przygląda, przesuwając kciukiem po opuszkach palców, tam i z powrotem, powolnym, rytmicznym ruchem.

– Miałem sześć lat, gdy pewien żeglarz znalazł mnie w szalupie ratunkowej, osiemnaście lig morskich od Erie. Byłem tak spragniony, że przez wiele dni nie mogłem dobrać głosu.

Opiera łokcie na kolanach. Z bliska pachnie solą, ale też czymś słodszy.

– Nie pamiętałem rodziców. Tylko kształty: ciemne orzechowe dłonie mamy, gdy naprawiała sieci. I tatę przy wiosłach, białego jak morska piana. Coś się chyba stało z ich łodzią. W czasie sztormu.

– Przykro mi. – Serce jej się ściska.

Willan odwraca wzrok.

– Tak czy siak, przygarnął mnie ten żeglarz. To on został moim tatą, nauczył mnie żeglować, zawiązywać węzły i gwizdać. Pokazał, jak wyjść z opałów. Mieliśmy wiele przygód.

Z jego słów domyśla się, że ojciec nie żyje. Æsa pragnie dotknąć dłoni Willana, ale się powstrzymuje.

– Czy to znaczy, że był rybakiem?

Willan spogląda na nią ze smutkiem.

– Niezupełnie. Słyszałaś kiedyś o Wężu?

– Tym piracie? – Mruga.

– On określiliby się wyzwolicielem, ale niech będzie. Tak, to właśnie mój tata.

Wąż był słynny na wyspie Illan. Niektórzy uważali, że to zwykły łobuz, ale jeśli wierzyć tacie, napadał tylko na tych, którzy opływali w dostatki. Ponoć zwalczał też handlarzy przemyconą magią.

– Dorastałem na morzu – wyznaje Willan. – Ale co roku latem płynęliśmy do domu na Illanie cieszyć się ziemią przodków taty. Poza morzem właśnie tam jest mój dom.

Dom. W jego głosie słyhać czułość i ból, które mieszkają też w niej. Dzięki temu nie czuje się taka samotna.

– To jak skończyłeś w Simcie, pilnując Słowika?

Z ust Willana nagle znika uśmiech, oczy ciskają gromy.

– To długa historia, dziewczyno. Nie sądzę, byś chciała ją poznać.

– W porządku – mówi. – W takim razie powiedz mi, co zrobiłeś z moim przyjacielem.

– Zabrałem go do swojego znajomka – odpowiada ostrożnie. – Żeby mógł wytrzeźwieć, zanim wsadzę go na statek i odeślę na Illan. Niestety awanturował się i wygadywał różne bzdury.

– Czy on... – Słowa przychodzą jej z trudem. – Nie wydawał ci się... niezdrów?

Willan marszczy brwi.

– Gadał raczej jak ktoś, kto wypił za dużo zakazanych trunków. Właściwie to nie zamykała mu się gęba.

Cięzko jej na sercu. Czy Enis wyleczy się z tej obsesji na jej punkcie? A może rzuciła na niego urok i biedak już zawsze będzie jak pijane dziecko we mgle?

– Gdzie on teraz jest?

– Nadal u mojego znajomka. Nie mogę go nikomu powierzyć... jeśli naprawdę ci zależy, żeby wrócił do domu, to muszę popłynąć z nim sam.

Jej puls przyspiesza.

– Madame Kruk nie będzie zadawać pytań?

– Powiedziałem jej, że moja babka jest na łożu śmierci. A że Nocne Ptaki nie przyjmują teraz klientów, nie piekliła się o krótki urlop. – Krzywi się, jakby zakosztował goryczki. – Poza tym jestem zobowiązany jej służyć. Wie, że wrócę.

Przypomina jej się, co Leta powiedziała na spotkaniu: „Są lojalni. Mam co do tego pewność”. Tak była pochłonięta swoimi kłopotami i lękami, że nawet się nie zastanowiła, co to może znaczyć.

– Dziękuję, że pomogłeś Enisowi – mówi. – I mi również. Rozumiem, że się narażasz. – Na tym powinna poprzestać, ale poczuła ukłucie pod żebrami, napominające ją, by choć raz była odważna. – Czemu to zrobiłeś?

– Jak to? *Kell ta kell, en bren to-magne.*

Powiedzenie z wysp Illish: „Fala z falą, płyniemy razem”. Oznacza, że mieszkańcy wyspy Illan dbają o swoich. Ale czy gdyby wiedział, co zrobiła, czułby z nią taką więź? Jego zielononiebieskie oczy wwiercają się w nią tak intensywnie, że trudno to znieść. Dopiero po chwili przenosi spojrzenie na kominek, gdzie palą się świece.

– On mówił o tobie tak – odzywa się w końcu – jakby był twoim... *apselm.*

Æsa wytrzeszcza oczy. To określenie typowe dla illish, coś pomiędzy „ukochanym” i „przeznaczonym”. *Apselm* to kawałki całości, dwie strzały wystrzelone ku sobie. Z powodu takiej więzi jej mama porzuciła swoją rodzinę w Simcie dla rybaka z wysp Illish, którego poznała na wakacjach.

– Nie – odpowiada – to tylko przyjaciel.

Jego szczeka się zaciska.

– Nie chcę wścibiać nosa w cudze sprawy, ale tamtej nocy nie wydawał się zbyt przyjazny.

– To nie jego wina. – Dotyka szkiełka wplecionego we włosy.

– Ciągłe to powtarzasz. Ale chyba nie sądzisz, że twoja?

Nie może mówić z tym chłopakiem o wstydzie, który ją trawi – nikomu tego nie powie. Ale ciężar w piersi domaga się, by go zrzucić.

Ani się obejrzy, gdy zaczyna opowiadać: o tym, co czuła na Illanie, gdy całowała się z Enisem, i co powiedział na temat jej magii. Dodaje jeszcze, że Enis odnalazł ją

w Simcie, chociaż nie powinien wiedzieć, że tu będzie. Rumieni się, ale też czuje ulgę jak wtedy, gdy w konfesjonale wyznawała grzechy ojcu Tothowi, choć akurat jemu w życiu nie ośmieliłaby się o tym powiedzieć.

Gdy milknie, na chwilę zapada cisza. Siedzą teraz bliżej, niemal się dotykają, jakby przyciągał ich niewidzialny nurt.

– Czy innym Nocnym Ptakom też się to zdarzało? – pyta Willan.

Æsa wypuszcza powietrze.

– Twierdzą, że klienci czasami bywają... natrętni. To dlatego Madame pozwala na wizyty najwyżej kilka razy w roku. Ponoć gdy dzielimy się z kimś swoim darem, to przez jakiś czas coś nas łączy. Ale żeby coś takiego? Nie wydaje mi się.

Jego dłonie znów zaczynają podrygiwać, kciuki dotykają palców. Sprawia wrażenie, jakby ważył słowa.

– W załodze taty był kiedyś taki żeglarz. Miał skłonność do pewnej substancji alchemicznej. Przez jakiś czas udawało mu się to ukrywać... mój tata był pobożnym człowiekiem, abstynentem. Sęk w tym, że ten żeglarz był bardziej podatny od innych na działanie tej substancji. Pomieszało mu się od tego w głowie.

Æsa wzdryga się na myśl, że może działać na kogoś jak narkotyk.

Wraca do niej wspomnienie, gdy wraz z mamą ucierały w suszarni mirt na gorące okłady. Mama powiedziała, że z jego liści można przygotować balsam, który szybko uśmierzy ból głowy. Ale jeśli je zaparzyć, są niezwykle groźne. „Lek może być też trucizną”.

– Myślisz, że mogłam omamić Enisa?

Willan kręci głową.

– Nic go nie usprawiedliwia, sam odpowiada za swoje zachowanie. Nie było w tym twojej winy.

Chciałaby mu wierzyć.

– Twój tata... – Æsa odwraca wzrok. – Powiedziałeś, że był abstynentem. Pewnie bym mu się nie spodobała.

– Nie pleć głupstw. – Uśmiecha się smutno. – Czciłby cię.

Drgnęła na te słowa.

– Tata opowiadał wspaniałe historie o *sheldar*. Zawsze podkreślał, że to wybrańczynie Źródła, stworzone do wielkich czynów. Mówił o nich jak o zbawicielkach.

Przypominają jej się opowieści dziadka o tych wojowniczych kobietach. Były bezwzględne i pewne siebie, a przecież ona taka nie jest.

– Na Illanie jeden z ojców powtarzał, że to one zatruiły Źródło – zauważa *Æsa*. – Nazywał jej wynaturzeniem świętości.

Willan robi kwaśną minę.

– Stek bzdur. Musiał być niezłym pośmiewiskiem podczas Święta Pływów – mówi, ale wyraz jej twarzy go otrzeźwia. – *Æso*... – Nachyla się. – Przecież wiesz, że to nieprawda.

Myśli o życzeniu, które wypowiedziała, nim przyszedł. „Zabierzcie to ode mnie”. Naprawdę tego chciała. Ze zdenerwowania czerwieni jej się szyja.

– A jeśli bluźnię, oddając to, co mam w sobie? Jeśli kogoś zatruję?

– Sądzę, że jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. – Kładzie dłoń na jej ręce, ten dotyk jest jak nagły skok w morze. – Twoja magia jest czymś rzadkim i z pewnością potężnym. Ale to nie trucizna.

Gardło jej się ściska.

– Tego nie możesz być pewien.

– Mogę, skoro pochodzi od ciebie.

Teraz jest tak blisko. Powinna się odsunąć, ale nachyla się, leci jak ćma do światła.

„*Kilventra ei'ish?*”, zapytał tamtej nocy. „Nic ci nie jest, moje serce?” Tak powiedziałby *apselm*, ale to groźna myśl, biorąc pod uwagę, że pocałunek *Æsy* może być jak pieśń *hashny*.

Ktoś puka w drzwi. Podskakują.

– *Æso*? – To matka *Matilde*. – Wyszłaś z kąpieli? – pyta. Gałka od drzwi pobrzękuje. – Czemu się zamknęłaś?

– Chwileczkę! – odpowiada za głośno.

Podrywa *Willana* na nogi, ciągnie do okna.

– Niedługo wrócę do *Simty* – szepcze, wkładając buty. – Obiecuję.

Dziwne, że nagle brakuje jej powietrza.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

Wychodzi przez okno, czepia się kratownicy, zwinny jak górski kocur. Jego dłoń muska jeszcze końcówki włosów Æsy.

– Trzymaj się z dziewczynami. Nikomu innemu nie ufaj.

Potem schodzi do ogrodu. Æsa się odwraca, widzi maskę Jastrzębia, którą zostawił na dywanie. Podnosi ją, chowa pod poduszką. Wyciąga dopiero kilka godzin później, przed zaśnięciem. Wygląda rudobrazowe pióra, rozmyślając o tym, co Willan jej powiedział: „Twoja magia jest czymś rzadkim i z pewnością potężnym. Ale to nie trucizna... Jestem tego pewien, skoro pochodzi od ciebie”.

Tak naprawdę nie wiedzą, do czego może być zdolna. Przeraza ją to, podobnie jak koszmarne wypadki w pokojach Nocnych Ptaków. Teraz są narażone na niebezpieczeństwo: zdemaskowano je. Najchętniej zanurzyłaby się z powrotem w wannie Dinatrisów i już tam została. Ale Willan był taki dzielny, ryzykował życie dla niej i dla Nocnych Ptaków. Powinna iść jego śladem lub chociaż spróbować.



CZĘŚĆ II

IGRANIE
Z OGNIEM



TENERIFFE MAYLON ZAMYKA oczy, próbuje sobie przypomnieć, jak znalazł się w tej obskurnej spelunie w Dzielnicy Gryfa. Czemu znów jest w takim oplakany stanie? Powinien być w ulubionym klubie, święcić triumfy w otoczeniu przyjaciół. Ale nie wpuszczą go tam, póki nie spłaci długów. Tak dobrze mu się wiodło po wizycie u Szczygła. Miał poczucie, że nie może przegrać. Dlatego pozwolił sobie na większą brawurę, niż nakazywał rozsądek. Za dużo postawił, kupił zbyt wiele Syreniego Pyłu, bez którego nie wyobraża sobie przyjęcia.

Potem skończyły mu się fundusze. Przyjęcie trwało, tyle że bez niego. A teraz jest tutaj, popija tanie piwo, zmagając się z desperackim pragnieniem, by poprosić przyjaciół o kolejną pożyczkę. Nie może znieść tej myśli, tak jak nie potrafi stanąć twarzą w twarz z ojcem.

Oblizuje usta, sięga do kieszeni po maskę od Szczygła. Magia, którą była przesiąknięta, już się zużyła. Nawet nie próbował błagać Madame Kruk: słyszał, że Nocne Ptaki nie przyjmują teraz klientów, a poza tym i tak nie stać go na wizytę.

Nie szkodzi. Szczygieł dopilnowała, by mógł ją odnaleźć.

Matilde Dinatris ma dokładnie to, czego mu potrzeba.

ROZDZIAŁ 7

KARTY NA STÓŁ

MATILDE CHWYTA SIĘ siedzenia powozu. Wjeżdżają do Dzielnicy Smoka, za oknem migoczą ćmowe latarnie, wabią ku nocy. Mijają Skrzydlaty Pałac, błądy na tle purpurowiejącego nieba, jadą w dół szeroką aleją w samym sercu Smoka. To tutaj znajduje się tętniący życiem Port Simty, przepustka do świata. Cisza nigdy tu nie gości. Zostawiają za sobą wytworne i obskurne hotele, dyplomatów i żeglarzy wylewających się z teatrów, z kawiarni. Bliżej portu na ulicach z pewnością można zobaczyć rozkołysany tłumek oficerów marynarki i brutalnych handlarzy zmierzających do domów uciech w Zadymionym Zaułku. Stopa Matilde nigdy nie postąpiła w takim miejscu.

Spogląda na Sayer i Æsę siedzące naprzeciwko. Od wizyty w sklepie Krastana minęły trzy dni, od ataku na Nocne Ptaki – pięć, a one po raz pierwszy mogą pobyc z sobą dłużej niż przez kilka krótkich chwil. Sayer wygląda na zmęczoną, Æsa prawie nie zmrużyła oka – co do tego Matilde ma pewność. Prawdę mówiąc, sama też zbyt dobrze nie sypia. Za dużo pytań krąży jej po głowie jak płomieniste ćmy wewnątrz latarni usilnie szukające pęknięcia w szkle. Zwykle lubi zagadki, ale tajemnicze niebezpieczeństwo, jakie grozi Nocnym Ptakom, doprowadza ją do szału.

Od ataku nie zdarzyło się nic strasznego, jedno dobre – najwyraźniej nie wiedzą, gdzie ich szukać. Tenny Maylon nie dawał znaku życia, a rudowłosy przyjaciel Æsy więcej się nie pojawił. Wygląda na to, że Jastrząb załatwił sprawę.

A jednak matrony nie spuszczają ich z oka. Leta upiera się, że interes na razie musi pozostać zamknięty. Trzymają Nocne Ptaki pod kluczem, wypełniając im dni układaniem kwiatów i herbatkami pod nadzorem. Babcia nie pozwala jej nawet spotykać się z dawnymi ptasimi siostrami. „Nie ma potrzeby ich niepokoić”, tyle miała do powiedzenia o swojej decyzji. „Nie chciałabym, żebyś musiała je okłamywać”. Matka też skorzystała z okazji: zmusza Matilde i Æsę do ślęczenia

nad drzewami genealogicznymi Wielkich Rodów i zakreślania dobrych partii. Ostentacyjnie napomyka o Tennym Maylonie. Matilde nie może już znieść tego swatania.

Wie, że Leta próbuje się czegoś dowiedzieć o fanatyku, lecz nie wygląda na to, by czyniła postępy. Babcia nie wspominała więcej o Epinine czy Dennanie. Po spotkaniu w gabinecie Lety Matilde nie ma wątpliwości, że ukrywają przed nimi wiele spraw. Zdarza jej się przyłapać babcię i Letę na tym, że zażarcie o czymś dyskutują, ale gdy tylko wejdzie do pokoju, od razu zapada milczenie. Babcia, kiedy ją przycisnąć, upiera się, że wszystko jest pod kontrolą, a jednak ona i Leta coś przemilczają, a to budzi w Matilde lęk. Niekiedy chciałaby wyciągnąć fiolkę Osłony Nocy od Aleca i uciec stąd w chmurze dymu.

Nie tylko ona czuje się zamknięta w klatce. Sayer zachowuje się jak uwięziony kot, jest drażliwa i spięta, a Æsa, choć trudno w to uwierzyć, stała się jeszcze bardziej skryta. Tak czy inaczej nie ma ucieczki przed tym, co je łączy. Wyczuwa to, gdy musną się dłońmi lub nawet teraz, gdy siedzą tak blisko. Zupełnie jakby pod skórą biegały jej mrówki. Skąd bierze się to uczucie? Pewnie ma jakiś związek z ich magią, lecz to kolejna zagadka.

Powietrze jest rozgrzane. Gdy Matilde się porusza, jej strój pobrzękuje. Ubrały się tak, by budzić zachwyt: modne opaski na głowach i sukienki ozdobione sznurami koralików. Sayer cała w srebrze, Matilde w złocie, Æsa w miedzi: dobrany zestaw cennych metali. Może teraz, gdy wreszcie są same, trochę się przed sobą otworzą. Niestety dziewczyny milczą. Pora się tym zająć.

Matilde kładzie obcasy na kolanach Sayer.

– Moje panie, no naprawdę, nie cieszy się, że w końcu wyszliśmy do miasta?

– Podskakuję z radości. – Sayer zrzuca z siebie jej nogi. – Jak nakłoniłaś naszych strażników więziennych do wypuszczenia nas dziś wieczorem?

„Marudząc niezmordowanie”.

– Samson obiecał nas pilnować. – Słyszysz go nawet teraz: siedzi na koźle i śmieje się z woźnicą. – Matce zależy, żeby mógł spędzić trochę czasu z Æsą, a ja bezwstydnie to wykorzystałam. – Policzki Æsy oblewają się szkarłatem. – I jeszcze pozwoliłam im zdecydować, gdzie będziemy – ciągnie. – Sądzą, że jedziemy do teatru.

– A nie jedziemy? – Æsa marszczy brwi.

– Wymyśliłam bardziej ekscytujący plan.

W kieszeni parzy ją wizytówka od Dennana z adresem hotelu Eila Loon.

Æsa obciąga sukienkę.

– Czy to na pewno dobry pomysł?

Matilde obraca w palcach swój medalion.

– Skarbie, nie martw się, nie wpadniesz w kłopoty. Jeśli nas nakryją, matka i tak się domyśli, kto ponosi winę.

– Nie o to mi chodzi... To chyba niebezpieczne.

Matilde rozwała się na siedzeniu.

– Uwierz mi, że tam, dokąd jedziemy, nie będzie żadnych ojczulków. A nawet gdyby, to i tak bez znaczenia. Nie widzieli naszych twarzy. Patrząc na nas, zobaczą tylko trzy dziewczyny z Wielkich Rodów korzystające z uciech Simty.

Jej towarzyszki nie wydają się przekonane. Matilde tłumi westchnienie. Kiedyś uwielbiała nocne wypadki w towarzystwie ptasich siostr. Wymieniały się biżuterią, opowiadały sobie dowcipy, a miasto otwierało się przed nimi jak przyjacielska dłoń. Tamte dziewczyny nie bały się podejmować z nią ryzyka. Dziś wieczorem musi skłonić Sayer i Æsę do tego samego.

Klaszcze.

– Zabawmy się. Niech każda zdradzi jeden sekret.

– Musimy? – jęczy Sayer.

Matilde celuje palcem.

– Zachowałam zimną krew, złapałam pogrzebacz i uratowałam cię przed fanatykiem, a tobie pomogłam ukryć chłopca za ścianą. Nie sądzicie, że coś mi się należy?

Sayer mamrocze, że miała wszystko pod kontrolą, a Æsa przygryza wargę i odwraca wzrok. Ale Matilde chce, żeby się trochę rozluźniły i zaczęły jej ufać. Jeśli to się nie uda, z dzisiejszego wieczoru będą nici.

Æsa ją zaskakuje i odzywa się pierwsza.

– Pamiętacie, jak wam powiedziałam, że mój Jastrząb więcej się ze mną nie kontaktował? – Znow obciąga sukienkę. – No więc kłamałam.

Słuchają, gdy opowiada o jego potajemnej wizycie kilka dni temu. Matilde nie może uwierzyć, że o niczym nie wiedziała. Dobrze, że ktoś zajął się przyjacielem

Æsy, ale gorzej, że Jastrząb widział twarz dziewczyny i na dokładkę wie jeszcze, gdzie mieszka – właściwie obie mieszkają. To niepokojące.

Sayer marszczy czoło.

– Widzę, że bardzo ufasz swojemu Jastrzębiowi.

– Pomógł mi z Enisem – tłumaczy się Æsa. – Willan nie jest groźny. Ale...

Matilde się nachyla.

– Ale co?

– No... – Æsa zawiesza głos. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie.

Trudno powiedzieć, czy chodzi jej o Jastrzębia, czy raczej o rudzielca. Może tak naprawdę o jednego i drugiego.

– Twoja kolej. – Matilde odwraca się do Sayer. – No dalej, słuchamy.

Dziewczyna dłuższą chwilę nad czymś się zastanawia. Pod jej chłodnym, wnikliwym spojrzeniem Matilde czuje się, jakby nadziano ją na rożen.

– W porządku – wzdycha wreszcie Sayer – i tak powinnyście to usłyszeć.

Matilde nie wiedziała, czego się spodziewać, ale nie sądziła, że jej ptasia siostra wymknie się na spotkanie z jakąś bieguską w Zakątku Zielonych Latarni, a do tego w jednym z najbardziej potajemnych klubów w mieście. Szefowa gangu biegusów, dziewczyna! Zrobiłoby to na niej wrażenie, gdyby nie miała tak złego mniemania o gangsterach. Zaskakujące, że Sayer nazywa taką bandytkę przyjaciółką.

Matilde unosi brew.

– Co konkretnie powiedziałaś swojej starej dobrej przyjaciółce o tym, czym się teraz zajmujesz?

W oczach Sayer przeskakuje nieprzenikniona iskra. Sprawiają takie wrażenie, jakby miały się roztopić, ale zaraz hardzieją: miód prędko stygnie.

– Nie za wiele. Zapytałam tylko, czy słyszała o sekcie, która modli się do Marrena. Ponoć zwą się En Caska Dae. – „Płonące Miecze”. To by wyjaśniało, dlaczego fanatyk miał taki tatuaż. – Fen mówi, że przewodzi im jakiś ojciec, drań, który każe się nazywać Czerwoną Ręką – ciągnie. – Werbuje dzieciaki z ulicy, pozyskuje dla sprawy i próbuje zrobić z nich swoich żołnierzy.

– Tylko po co? – pyta Æsa, jeszcze bledsza niż zwykle.

Sayer zaciska wargi.

– Zamierza wypowiedzieć wojnę tym, którzy korzystają z magii. – Po plecach Matilde przebiega dreszcz. – Najwyraźniej chodzi mu też o dziewczyny posiadające magiczną moc.

Zapada cisza nabrzmiąta pytaniami. Matilde w końcu zadaje to, które tak ją dręczy:

– Sądzicie, że tego fanatyka naślą Czerwona Ręka?

Sayer odchyła się na siedzeniu.

– Może sam chciał przyjść. Powiedział, że mam być dowodem na istnienie czarownic. Pytanie dla kogo, może właśnie dla Czerwonej Ręki? Możliwe też, że większość członków sekty jeszcze o nas nie wie.

Albo że Czerwona Ręka wie o istnieniu Nocnych Ptaków, ale nie potrafi ich znaleźć. A jednak. Matilde przypomina sobie słowa Aleca i Krastana. Co takiego Krastan powiedział o wzmożonej aktywności Gwardzistów? „Zachowują się, jakby czegoś szukali”. Może sekta zdołała zinfiltrować Gwardię? Może już wpadła na trop Nocnych Ptaków...

– Powiedziałaś Lecie? – pyta Æsa.

– Tak. – Sayer wypuszcza powietrze. – Ale to znaczy, że musiałam jej też powiedzieć, skąd mam te informacje. Teraz nie spuszcza mnie z oka. Mało brakuje, żeby chodziła ze mną do wygódki.

Matilde krzyżuje ręce.

– I co ona o tym sądzi?

Szczęka Sayer zaczyna się bezwiednie poruszać.

– Kazała mi nic nie robić i czekać, póki sama się czegoś nie dowie.

Nic nie robić, siedzieć cicho i pozostawać w ukryciu: tylko to ostatnio słyszą. Złóżcie skrzydła i zamknijcie swoje śliczne oczka. Czy matrony rodu starają się oszczędzić im zmartwień, czy też nie chcą, by wyszło na jaw, że same nie potrafią rozwiązać problemu?

– No dobrze – mówi Sayer – teraz ty zdradź nam swój sekret.

Matilde chce się uchylić, zakpić – to jak druga natura. Ale tym razem musi wyłożyć na stół choć niektóre karty.

– Dennen Hain nie przyszedł do Szczygła po pocałunek – wyznaje. – Chciał mi coś powiedzieć.

W szczegółach opowiada im o jego wizycie: o niepewnym położeniu Epinine Vesten i ostrzeżeniu Dennana przed zwierchniczką, która chce zagarnąć Nocne Ptaki. Gdy milknie, dziewczyny przyglądają jej się, rozdziawiając usta.

– Książę Bękart zjawia się u ciebie, by ostrzec cię przed własną siostrą, która zamierza nas wykraść – zauważa Sayer – a tymczasem tej samej nocy jakiś fanatyk próbuje właśnie to zrobić?

Matilde kiwa głową.

– Zgadzą się, te zdarzenia wydają się ze sobą powiązane.

Sekta łajdaków i zwierchniczka, a w domu ta znacząca cisza matron. To jak z pajęczyną: pociągnij za jedną nić, a całość się rozleci.

– Zastanawiam się, czy Epinine nie dogadała z tą sektą łajdaków. Może ich wykorzystuje? Może odwalają za nią brudną robotę? – Matilde bierze głęboki wdech. – Właśnie dlatego chcę pomówić z Dinnanem Hainem. Dziś wieczorem.

Æsa i Sayer nieruchomieją.

– Chcesz się spotkać z bratem zwierchniczki?! A my...? Niby co mamy wtedy robić? – Ton Sayer jest zjadliwy. – Stać na czatach?

– Mniej więcej – przyznaje Matilde. – I jeszcze odwrócić uwagę Samsona. Nie chcę, żeby za mną łąził.

Æsa, jak nigdy, wwierca w nią spojrzenie zielonych oczu, jakby próbowała przejrzeć to, co Matilde woli ukryć.

– A jak zamierzasz mu zadawać pytania, nie ujawniając, że jesteś Nocnym Ptakiem? – docieka.

Matilde przetyka ślinę. Gdyby grały w krellena, to byłby moment na podjęcie ryzyka: wyłożenie karty, która odmieni losy rozgrywki.

– On już wie. Wiedział od lat. – Dziewczynom odejmuje mowę. – Kilka lat temu przez pomyłkę podarowałam mu trochę swojej magii. To było, zanim jeszcze nauczyłam się ją kontrolować. Sądziłam, że może nie zrozumiał, co się wtedy wydarzyło... póki nie pojawił się w pokoju Szczygła.

Nie odzywają się, lecz pełna niedowierzania cisza mówi sama za siebie. Matilde stara się powstrzymać rumieniec na szyi.

– Leta wiedziała? – pyta Sayer. – Kiedy go wpuściła?

– Nie, ale babcia tak. Wszystko jej powiedziałam.

To dlatego pokłóciły się o to, czy Matilde powinna zobaczyć się teraz z Dennanem. „Musisz trzymać się od niego z daleka”, zapowiedziała jej babcia. „Dopóki nie poznamy jego zamiarów”. Ale ona nie zamierza siedzieć beczynnie przez całe lato.

– Ufasz mu? – pyta Æsa.

– Gdyby chciał, mógł zabrać mnie do swojej siostry, ale tego nie zrobił.

– Kocia pożoga, Dinatris – klnie Sayer. – Tak czy inaczej jest Vestenem. Skąd wiesz, czy nie grał na zwłokę?

Matilde myśli o szczerzej nucie w jego głosie, o przekonaniu, z jakim Dennan mówił. Co jej powiedział na to, że rolą zasad jest chronić Nocne Ptaki?

„A może utrzymywać w niewiedzy?”

Splata dłonie i przechodzi do rzeczy:

– Od lat dochowuje mojej tajemnicy. Poza tym ma dojście do Epinine. Może wiedzieć, czy zwierchniczkę coś łączy z tą podłą sektą, i pomóc nam zrozumieć zagrożenie.

Sayer znów się odchyła, opaska na jej głowie połyskuje.

– Czego będzie żądał w zamian? Swobodnego dostępu do ciebie... do całej naszej trójki?

Matilde się krzywi.

– To nie w jego stylu.

– Wiesz, na czym polega twój problem? Wydaje ci się, że jak ktoś pochodzi z Wielkiego Rodu, to musi mieć dobre maniery. Uwierz mi, ci ludzie są tak żądni władzy jak biegusy i równie pokrętni. Możesz zrobić nóż ze złota i wysadzić go kamieniami, ale to nadal będzie nóż.

Æsa też patrzy z przyganą.

– Powinnaś nam powiedzieć o swoich zamiarach, a nie zaskakiwać nas w ten sposób.

– Bałam się, że jak wam powiem, to nie zechcecie mi pomóc – wrywa się jej – a ja naprawdę was potrzebuję. Nie chcę robić tego sama. – Jej głos brzmi aż nazbyt szczerze. Atmosfera w powozie gęstnieje jak mrok. Matilde się nie zniechęca. – Nie macie dość siedzenia w domu i czekania na to, aż inni zadbają o nasze bezpieczeństwo? Proszę was, żebyście pomogły mi rozwiązać tę sprawę.

Cisza się przedłuża i staje nieznośna.

Sayer krzyżuje ręce.

– W takim razie jaki masz plan?

Matilde stara się nie odetchnąć zbyt głośno.

Przedstawia plany na wieczór. Jak dobrze móc wreszcie uknuć spisek z nowymi ptasimi siostrami. Babcia by się wściekła, widząc je teraz. Ale Matilde ma dość czekania i zamknięcia w domu, coraz bardziej ją korci, by coś zrobić. Czuje potrzebę działania.

Dziś wieczorem w końcu wyfruną z klatki.

Ambitnym młodym ludziom i eleganckim amatorom rozrywki polecamy Klub Kłamców. Wchodzi się na zaproszenie kogoś z członków, lecz warto się o nie wystarać. Na liście gości można znaleźć nazwisko każdego lorda, który liczy się w mieście.

– FRAGMENT

KIESZONKOWEGO PRZEWODNIKA
PO SEKRETNYCH ROZRYWKACH SIMTY

ROZDZIAŁ 8

KLUB KŁAMCÓW

ÆSA PRZYGLĄDA SIĘ płomienistej ćmie, która ląduje obok niej na aksamitnym siedzeniu. W świetle jej skrzydełek jedwabne pończochy Æsy w kolorze miedzi zdają się płonąć. Obciąga sukienkę, na próżno stara się ją wydłużyć. Żałuje, że pozwoliła Matilde namówić się na taki strój i wsiadła z nią do tego powozu. Trudno, już tu są, a w głosie Matilde pobrzmiwa niespotykana u niej szczerłość.

– Nie macie dość siedzenia w domu i czekania na to, aż inni zadbają o nasze bezpieczeństwo? Proszę was, żebyście pomogły mi rozwiązać tę sprawę.

Cisza wydaje się odnosić skutek.

Sayer krzyżuje ręce.

– W takim razie jaki masz plan?

Gdy Matilde im go objaśnia, Æsa wygląda przez okno powozu. Nie była w tej dzielnicy, odkąd wysiadła w Porcie Simty. Za jakiś tydzień Willan i Enis powinni dobić do wybrzeży wysp Illish, o ile płyną szybkim statkiem. Z utęsknieniem czeka na powrót swojego Jastrzębia.

„Trzymaj się z dziewczynami”, powiedział jej Willan, i tak też zrobiła. Teraz ma wrażenie, że jeszcze nigdy nie były ze sobą tak blisko, choć nie zawsze jej się to podoba. Ciągle czuje to przyciąganie i mrowienie, które staje się coraz silniejsze. Niekiedy odczuwa je nawet wtedy, gdy się nie dotykają. Zupełnie jakby niewykorzystywana magia zbierała się w nich, szukając ujścia.

Co gorsza, ma teraz dziwaczne i sugestywne sny. Śnił jej się deszcz niebieskich szkiełek, spadający na eleganckich dżentelmenów – jeden z nich przypierał Matilde do ściany. W kolejnym śnie też pojawiła się Matilde, chyba w swoim rodzinnym ogrodzie. Rzucił się na nią mężczyzna z odciskiem czerwonej dłoni na policzku, ale wtedy Æsa się obudziła, zanim zdążyła zobaczyć, co stało się później. Nie powiedziała o tym dziewczynom – w końcu to tylko sny. A jednak miała

wrażenie, że są prawdziwe, zupełnie jakby zrodziły się z jakiejś od dawna uspiionej części jej samej. Tej, której wolałaby nie budzić.

– Jesteśmy umówione? – upewnia się Matilde.

Æsa wyciera w sukienkę dłonie lepkie od potu. Plan wydaje się ryzykowny, ale ona chce być dzielna ze względu na Nocne Ptaki.

– Tak. – Bierze głęboki wdech, kiwa głową. – Jesteśmy.

Sayer też potakuje.

– Prowadź, Dinatris.

Powóz gwałtownie hamuje. Matilde wygląda na zewnątrz. Ta dziewczyna ma tyle uśmiechów, ile w morzu pływa stworzeń. Ten jest wyjątkowo szelmowski.

– Dojechałyśmy.

Wyskakuje z powozu, jakby był jej własnością – właściwie to jest. Æsa ze zdenerwowania czuje motyle w żołądku. Zdaje jej się, że zapomniała o czymś istotnym. Te sny napędziły jej stracha: nie potrafi wyrzucić ich z głowy.

Sayer się nachyla, ostrożnie podnosi z siedzenia ćmę i wypuszcza w noc. Owad przez chwilę oświetla wnętrze jej dłoni, po czym podrywa się do lotu. Nie ulatuje daleko – tylko do latarni nieopodal powozu. Siada na szklanej klatce i świeci intensywnie, jakby pragnęła dołączyć do swoich towarzyszek lub je stamtąd uwolnić.

– Nie bój się – mówi Sayer. – Cały czas będę przy tobie.

W złotej poświacie jej usta nabrały barwy jagód lancerskich, które rosną dziko na Illanie. Są słodkie, lecz trudno je zerwać ze względu na długie kolce porastające krzewy. Może z Sayer jest podobnie? Ciekawe, skąd u niej aż tyle cierni?

– Zdradzę ci jeszcze jeden sekret – dodaje – tym razem o Simcie. Tutaj wszyscy noszą maski. Ludzie tylko udają, że są tacy odważni, mądrzy albo sprytni: wkładają maskę, która akurat im pasuje. Jeśli będziesz ją nosić z przekonaniem, to nikt nie zobaczy... prawdziwej ciebie. Tylko to, co chcesz pokazać.

Æsa nie jest pewna, czy potrafi to zrobić, ale obiecała sobie, że będzie odważniejsza. Choć raz chce się poczuć jak *sheldar*.

– W porządku. – Sili się na uśmiech. – Zatem udawajmy.

Drzwi powozu się otwierają, staje w nich Samson.

– Jak tam, moje panie? Gotowe?

Podaje im dłoń przy wysiadaniu z powozu. Kiedy wspinają się po schodach, koraliki na sukienkach pobrzękują. Sayer zaskakuje Æsę, biorąc ją pod ramię. Æsa od razu czuje mrowienie: ciarki galopują po skórze jak wiatr po falach.

Stoją przed okazałym budynkiem w kolorze muszli sercówek – wieńczy go imponująca kopuła. To hotel Eila Loon. Przed wejściem Samson targuje się chwilę z portierem, który w końcu wpuszcza ich do strzelistego foyer. Wszędzie widać jasne drewno, gdzieniegdzie błyska też polerowany mosiądz, lecz gdy Samson prowadzi je dalej czymś, co przypomina korytarz dla służby, wszystko staje się ciemniejsze. Jeden zakręt, drugi, niekończące się schody, a potem... czy to szafa? Niczym się nie wyróżnia, nie licząc niewielkiego symbolu wyrytego z boku: dłoni trzymającej zapalną pod cylindrem. Obok stoi przysadzisty mężczyzna, leniwie oparty o ścianę.

– Panicz Dinatris – mówi. – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, Stevenie. Tak, rzeczywiście jest dobry.

Matilde dorównuje bratu uśmiechem.

– Ale może być jeszcze lepszy. Po to tu przyszliśmy.

Steven omiata ją spojrzeniem.

– Obawiam się, że panie nie mogą wejść.

Samson zerka na Æsę, a potem znów na Stevena.

– No już, przecież wiem, że czasami robisz wyjątek. Chyba nie chcesz mnie pozbawić tak uroczonego towarzystwa?

– Będziemy grzeczne. – Matilde przybiera zmysłowy ton. – Albo nie, jeśli wolisz.

Na Stevenie nie robi to wrażenia.

– Czuję, że narobicie mi kłopotów.

Æsie przypomina się, co Sayer mówiła o wkładaniu maski. „Jeśli będziesz ją nosić z przekonaniem, to nikt nie zobaczy... prawdziwej ciebie. Tylko to, co chcesz pokazać”. Otwiera szeroko oczy, mówi łagodnie, podkreślając swój illishański akcent.

– Nie mógłbyś nas wpuścić ten jeden raz?

Strażnik i Samson spoglądają na nią, mrugając, jakby właśnie budzili się ze snu. Æsa kątem oka dostrzega uśmiezek Sayer.

– No dobra – mówi Steven – tylko żeby panicz miał te panienki na oku. – Otwiera szafę. – Witamy w Klubie Kłamców.

Robi przejście, przesuwając na bok kilka płaszczy. Z wnętrza dolatuje muzyka. Czy odbywa się tu jakieś przyjęcie?

Matilde idzie na czele, Steven zamyka za nimi drzwi. Przez chwilę Æsa widzi tylko połyskujące sukienki dziewczyn, ale zaraz zmienia się światło i wychodzą w zupełnie innym świecie.

Mieszana głośno wznosi się falami aż pod złoty sklepiony sufit. Najwyraźniej weszli pod potężną kopułę hotelu. W okrągłym pomieszczeniu króluje ciemność, słychać zmysłowy jazz, połyskują wypastowane podłogi i niebieszczą się pluszowe aksamity. Mężczyźni tłoczą się przy długim barze – poluzowali krawaty i rechoczą zbyt głośno. Wszystko spowija urocza błękitna poświata. Æsa spogląda w górę na masywny żyrandol z niebieskiego szkła, rozświetlony tysiącami świec. Czuje ucisk w piersi.

– No to jesteśmy – mówi Matilde. – Kto wie, moje panie, może nawet będziemy się dobrze bawić?

Sayer prychnął.

– Jeśli za dobrą zabawę uważasz bycie obmacywaną przez starszych panów.

Samson uśmiecha się z przekorą.

– Z pewnością nie tylko przez starszych.

Gdy prowadzi je przez salę, głowy się odwracają. Rzeczywiście prawie nie ma tu dziewczyn. Za to widać magię: klapy marynarek zmieniają kolory, krawaty nie przestają podrygiwać. Jest dyskretna, ale jednak obecna na każdym kroku. Barman polewa ciemnofioletowy koktajl dymiący leniwie. Nad barem srebrzyste kule malują coraz to nowe wzory, które odbijają się w lustrach wiszących tu i tam.

– Pamiętaj... – Samson zwraca się do siostry – ...matka mnie ukatrupi, jak się dowie, że zabrałem was do klubu, dlatego żadnego tańczenia na stołach.

Matilde drobi kroki, złote koraliki kotłują się na jej sukience.

– Wiesz, że nie składam obietnic, których nie umiem dotrzymać.

Samson wzdycha teatralnie i podaje ramię Æsie. Prowadzi je do słabo oświetlonej wnęki. Siedzi tam dwóch chłopaków, na stole czeka już talia kart. Witają się i zapoznają.

– Zagracie z nami partyjkę krellena? – pyta ten o imieniu Maxim, pozerając wzrokiem Sayer.

Ona posyła mu ponury uśmiech.

– Jeśli macie forszę i nie boicie się jej stracić.

Palce Samsona wbijają się w rękę Æsy. Jej serce najchętniej przyczałoby się gdzieś pod żebrami, lecz to nie czas na nieśmiałość. Włoży maskę, jeśli w ten sposób może pomóc Matilde.

– Jeszcze nigdy nie grałam – mówi. – Może ktoś mnie nauczy?

Samson i ten drugi chłopak, West, zgłaszają się w tej samej chwili, walczą o pierwszeństwo. Matilde uśmiecha się znacząco, kiwa głową z uznaniem.

– Zaczniście beze mnie – rzuca – muszę coś załatwić.

– Niby co? – pyta kpiąco Samson.

– Skoro już musisz wiedzieć, idę do łazienki... – unosi brew – ...żeby zatamować szkarłatny potok.

Maxim krztusi się swoim drinkiem.

– Może bez szczegółów...

– Samson dopytywał. – Matilde pociąga łyk błękitnego koktajlu z kieliszka Westa, po czym strzela minę. – Dziewczyny, nie pozwólcie, żeby was upili.

Po tych słowach się odwraca. Æsa pod wpływem impulsu przeciąga dwoma palcami po wierzchu dłoni. Wysyła sygnał Nocnych Ptaków: „Fruń ostrożnie”.

– Nie martw się, kochanie. – Matilde się do niej nachyla. – Zawsze o tym pamiętam.

Oddała się niepostrzeżenie. Æsa się denerwuje, lecz nakazuje sobie spokój. W takim miejscu Matilde czuje się jak ryba w wodzie, i to rekin, a nie płotka. Oby tylko pływała równie szybko.



MATILDE SIĘ nie śpieszy. Nie chce sprawiać wrażenia, że robi coś podejrzanego. Nikt jej nie zatrzymuje, gdy kołysząc biodrami, mija bar, ale głowy się odwracają. Może czarowanie ubiorem to nie był najlepszy pomysł. Ma tylko nadzieję, że Æsa i Sayer staną na wysokości zadania i zajmą Samsona tak długo, jak to będzie konieczne.

Wślizguje się do słabo oświetlonego korytarza, który chyba okala klub. Na zaokrąglonych, pomalowanych na niebiesko ścianach wiszą obrazy przedstawiające nimfy o bujnych kształtach oraz sceny heroicznych bitew – oplata je księżycorośl rosnąca w doniczkach. Matilde się martwiła, że ktoś spróbuje ją zatrzymać, ale nic takiego się nie dzieje, mija kolejne drzwi – w większości zamknięte. W końcu dociera do schodów z kutego żelaza, wiodących na górne piętro. Obcasy stukają, kiedy się wdrapuje, a potem wychodzi w wąskim przejściu. Koralki u sukienki podzwaniają teraz aż za głośno. Ale słychać też inny dźwięk: melodyjne brzękanie, które dobywa się zza drzwi z napisem „Apartament Pustulki”.

Choć zna treść na pamięć, zerka na wizytówkę, którą Dennan dał jej tamtej nocy. Oddycha szybciej, niżby sobie tego życzyła. Przekonuje siebie, że nie ma potrzeby się denerwować. I tak już się przed nim zdradziła. Ale powiedzieć prawdę to jedno, a zedrzeć z siebie maskę to już co innego. Jeśli wejdzie do tego pokoju, nie pozostawi miejsca na wątpliwości. A przecież on jest Vestenem, bratem zwierzchniczki, i jeszcze pochodzi z Rodu, który otwarcie popiera prohibicję. Babcia pewnie zabroniłaby jej wychodzić z domu, gdyby dowiedziała się o tej wizycie.

Przypominają jej się drwiny Aleca i to właśnie one popychają ją naprzód. „Naprawdę jesteś jak ptaszek w złotej klatce”, powiedział. Ale nie dziś wieczorem – już nie. Matilde zaciska dłonie w pięści. Dość mitrężenia. Puka: wpierw dwa krótkie stuknięcia, a potem bębni palcami – jak Wróble, kiedy przychodzą do Nocnych Ptaków. Nie jest pewna, czy Dennan będzie pamiętał ten kod. Po chwili niski głos odpowiada:

– Wejdz, moja pani.

Kąciki jej ust same się unoszą. Matilde chwyta i przekręca gałkę. Drzwi nie były zamknięte, jakby na kogoś czekał. Może nawet na nią.

W urządzonym z przepychem pokoju migocą światła, pełno tu cienistych zakątków. Na kominku stoją świece kapiące woskiem, pod sufitem świetlne kule pulsują jak serca. Dennan stoi w okrągłym oknie podobnym do bulaju. Sprawia wrażenie przyjemnie zaskoczonego. Rozpiął górne guziki koszuli, poluzował krawat – jest w tym coś intymnego. Jakby go przyłapała na tym, że właśnie się rozbierał.

– Panienko Dinatris... – Kłania się. – ...więc jednak przysłaś.

– Miałeś wątpliwości?

– Sądziłem, że pošlesz mi liścik. Mogłem się domyślić, że stać cię na więcej.

Zbliża się do niego powoli, kołysze biodrami, jest zrelaksowana. To gra – jak zawsze z Dennanem – Matilde dobrze się do niej przygotowała.

– Jak tu weszłaś? – pyta chłopak. – Zwykle nie wpuszczają kobiet, a szczególnie... dam. Dziewczyny, które się tu kręcą, można raczej spotkać w Zadymionym Zaulku.

Matilde celowo nie reaguje na tak skandaliczne porównanie. Opiera dłoń na biodrze okrytym połyskliwą tkaniną.

– Czemu zakładasz, że jestem damą?

– Bo za dobrze wyglądasz.

Od jego uśmiechu zaczyna falować ziemia pod stopami. „Dinatrix, miej się na baczności”. A niech to, jeśli pod kimś mają mięknąć kolana, to z pewnością nie pod nią.

Znów rozlega się to melodyjne brzękanie. Matilde uczepia się tego dźwięku.

– Co to?

– Podejź i sama zobacz – odpowiada Dennan. – Sądzę, że ci się spodoba.

Spotykają się przy stoliku karcianym przykrytym aksamitną serwetą. Pośrodku stoi ciemne drewniane pudełko w kształcie wieloramiennej gwiazdy. Dennan wciska kciukiem wyżłobienie w drewnie i muzyka ustaje.

– Reaguje na ciepło skóry – wyjaśnia. – Żeby uruchomić pozytywkę, wystarczy... – błyskawicznie zbliża dwa palce do płomienia świecy, po czym przyciska je do innego wgłębienia. Znów rozlega się muzyka, niezbyt głośna, ale tak autentyczna, jakby w środku kryła się miniaturowa orkiestra.

Matilde dotyka palcem jednego z rowków.

– Czy to magia?

– Nie taka, jak myślisz. – Dennan unosi drewnianą klapkę, ukazując płataninę metalowych elementów. – To zmyślne rękodzieło, wygrywa melodię dzięki zębátkom i dźwigniom. Rzemieślnicy z Farlandów musieli się nauczyć wzbudzać zachwyty bez użycia magii. Zdziwiłabyś się, co można zobaczyć w dalekich portach.

Matilde nie ma o tym pojęcia: nigdy nie wyjeżdżała z Eudei. Jego słowa sprawiają, że czuje się o wiele za młoda.

Dennan podchodzi do sąsiedniego stolika, bierze dwa pękate kieliszki.

– Napijemy się? – pyta.

Matilde potakuje, siada, nakazując swoim rozdygotanym nerwom spokój. Może rozmowa okaże się pomocna, w końcu to jej mocna strona.

– Zaskoczyło mnie, że nie czekasz w barze otoczony przyjaciółmi, tylko kryjesz się tutaj.

– Moja obecność działa chłopakom z Rodów na nerwy. – Powoli miesza trunki, kostki lodu stukają w kieliszkach. – Nikt nie chce pić z Księciem Bękartem, boją się, że wyśpiewam siostrze ich sekrety.

– Musisz czuć się samotny.

Odwraca się, wwierca w nią swoje oczy w kolorze *crysthellium*.

– Mam przyjaciół, jeśli potrzebuję się rozerwać. Ale ostatnio całymi nocami czekam na ciebie.

Równie dobrze mógłby zdejmować z niej ubrania... Matilde ukradkiem chwyta się krzesła.

– No to jestem – mówi. – Nawet się wystroiłam, a ty podejmujesz mnie z rozwiązany krawatem.

– Najmocniej przepraszam. – Śmieje się, to miły dźwięk.

Przynosi drinki: dla niej fiołkowy z bąbelkami. Matilde nawet nie pyta co to, od razu upija łyk. Oczy Dennana śledzą każdy jej ruch. Siada naprzeciwko.

– A więc... – W świetle szklanych kul jego twarz nabrała purpurowego połysku. – Czy ta wizyta oznacza, że postanowiłaś mi zaufać?

Matilde obraca kieliszek w dłoni. Chce mu zaufać. Ponieważ Nocnym Ptakom grozi teraz tyle niebezpieczeństw, woli mieć go po swojej stronie.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– To niedobrze. – Przekrzywił głowę jak kiedyś, gdy bawili się razem. Czeką na ruch Matilde. – Co mogę zrobić, by cię przekonać?

– Odpowiedzieć na kilka pytań.

Pożytywka nie przestaje grać. Dennan popija drinka, a ona czeka cierpliwie, jakby miała tyle czasu, ile dusza zapagnie.

– W porządku. – Odchylił się na krześle. – Pytaj.

Powinna wyciągnąć z niego informacje o Epinine, a jednak zaczyna od pytania, które dręczy ją od trzech lat.

– Dlaczego wyjechałeś z Simty?

Spiął się. Matilde usiłuje wyczytać coś z jego miny. Czyżby kryło się tam poczucie winy, a może raczej zakłopotanie? Jak zawsze trudno go przejrzeć.

– A co słyszałaś?

– Różne historie. – Unosi brew. – A wiesz, że lubię dobrą intrygę. Ale skoro już mnie pocałowałaś i dałaś drapak, to chyba zasługuję na szczerość? Jak sądzisz?

Przez kilka długich, pełnych napięcia sekund tylko jej się przygląda. Nie ma mowy, by odwróciła wzrok pierwsza. Po chwili Dennan zsuwa z nadgarstka srebrną bransoletę z wytrawionym smokiem, symbolem rodu Vestenów, ozdobioną niewielkim smoczym kamieniem w kolorze bursztynu. Skóra pod nią jest o kilka tonów jaśniejsza.

– Ojciec podarował mi ją, gdy miałem dziesięć lat. Kazał nosić z dumą. „Niech ci przypomina, że jesteś jednym z nas”. Jego doradcy mogli twierdzić, że wpływam niekorzystnie na obraz rodziny, ale on i tak mnie kochał. Byłem tego pewien, dopóki nie znalazł się na łożu śmierci. – Matilde nachyla się w jego stronę. To nie jest zwykła opowieść, tylko tajemnica, którą właśnie jej powierza. – Lekarze mnie przepędzali – wyznaje – ale ja czekałem w pokoju obok, przy kominku, na wypadek gdyby ojciec mnie zawołał. – Przełknął ślinę, utkwiał wzrok w jasnym pasku na skórze. – A potem usłyszałem jego głos: „Zabij go, Epinine. Dopóki żyje, będzie powodował tarcia. Wykorzystają go, by pozbawić władzy naszą rodzinę”. Przyznała mu rację.

O zgrozo! Ona i Samson nieraz kłócili się tak, jakby chcieli się pozabijać, ale nigdy na serio. Są rodziną, przecież w życiu nie ma nic cenniejszego. Nawet sobie nie wyobraża, jakie to uczucie dowiedzieć się, że to nieprawda.

– Musiało zabołeć – zauważa.

Dennan podnosi wzrok.

– Nadal boli.

Matilde czuje trzepot w piersi. Do twarzy mu ze szczerością. Nawet płomień świec lgną do niego jak zaczarowane.

– Nie miałem czasu się pożegnać... musiałem uciekać. Zabrałem tylko to, co trzymałem w kieszeniach, i opuściłem Skrzydlaty Pałac. – Wargi mu drżą. – Bez

twojej pomocy nigdy by mi się to nie udało.

Jej puls przyśpiesza na wspomnienie tamtego pocałunku. Nigdy o nim nie zapomniała. Bawili się w chowanego na jakimś przyjęciu w pałacu, gdy Dennan odnalazł ją we wnęce pod schodami. „Wygrałem – powiedział. – Co mi dasz w nagrodę?” Pamięta swawolny błysk w jego oczach i nieme wyzwanie, które rzucił. Gdy wstała i przycisnęła usta do jego warg, krew uderzyła jej do głowy. Jeszcze z nikim się nie całowała – pierwszy raz podzieliła się swoją magią. Czy to nie dziwne, że obdarzyła go mocą, o której istnieniu dotąd nie miała pojęcia?

Oparł łokcie na stole.

– Nie wiedziałem, co od ciebie dostaję, gdy mnie pocałowałaś, ale to coś musiało zrozumieć, że jest mi potrzebne. Włożyłem mundur strażnika w nadziei, że wydostanę się z pałacu. Ale gdy spojrzałem w lustro, zauważyłem, że wyglądam jak mój strażnik Timmo... kropka w kropkę. A potem wszystko poszło gładko, uciekłem bez trudu. Odnalazłem załogę statku, z którą już kilka razy pływałem. Podrobiłem list od ojca. Powiedziałem im, że przysyła mnie, żebyśmy dotarli razem na Farlandy. I tak wypłynęliśmy w morze.

Matilde zastanawia się, jakie to uczucie opuścić dom, nie wiedząc, czy uda się do niego wrócić. Trudno to sobie wyobrazić.

Paznokciem kciuka Dennan dotyka blizny na wardze.

– Spędziłem te lata na morzu, nawiązując stosunki dyplomatyczne i walcząc z piratami. Zyskałem opinię przedstawiciela ludu i obrońcy Eudei. Wiedziałem, że jeśli stworzę taki obraz, posługując się nazwiskiem Vestenów, Epinine nie waży się mnie tknąć. Będzie musiała udawać, że sama mnie wysłała. I rzeczywiście, kiedy wróciłem, powitała mnie z otwartymi ramionami, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. W obecnej sytuacji nie może sobie pozwolić na rozłam w rodzinie. Od powrotu dwoję się i troję, by zaskarbić sobie jej łaski, ale to nie z miłości.

W jego oczach błyska nienawiść, ale kryje się tam coś jeszcze. Matilde zdaje się, że to ból. Kolejne pytanie samo przychodzi jej do głowy.

– Po co właściwie wróciłeś?

Jego spojrzenie jest nieugięte.

– Żeby zostać zwierzchnikiem, na jakiego zasługuje ta Republika.

– Czyli masz zamiar zająć miejsce Epinine? – Usilnie próbuje nie pokazać emocji.

Cisza rozciąga się jak nić odwijana ze szpulki, aż wreszcie Dennan kiwa głową.

– Lordowie z Wielkich Rodów za nią nie przepadają, tak naprawdę ma wielu wrogów – ciągnie. – To przez różne decyzje, które podejmowała w trakcie wojny handlowej z Teką, i dlatego że naciskała, by nałożyć cło na niektóre towary z importu, choć oczywiście Venstenowie zostali z niego zwolnieni. Ale lordom przeszkadza zwłaszcza to, że jest coraz bliżej Kościoła. Sądzą, że to przez nią Pontifex ma za duże wpływy przy Stole. Nawet najbardziej pobożni uważają, że zwierzchniczka nie powinna odwracać się od Rodów, i już tylko czekają na głosowanie, by odsunąć ją od władzy.

Matilde pociąga łyk drinka, w głowie kręci jej się od natłoku myśli.

– Skąd pewność, że zagłosują na ciebie...?

Nie dodaje: „Księcia Bękart”. Nie ma takiej potrzeby. Oboje wiedzą, co ludzie szepczą za jego plecami.

– Może nie wszyscy uważają, że jestem im równy – odpowiada Dennan – ale są pragmatyczni. Od utworzenia Republiki zwierzchnikami byli Vestenowie. To nazwisko kojarzy się z władzą i stabilizacją. Jeśli zagłosują na kogoś innego, Simtę ogarnie fala niepokoju. Może nawet wybuchną zamieszki. – Przypominają jej się Krastan, Alec i ich opowieści o napiętej sytuacji na ulicach miasta. – Wiedzą też – ciągnie Dennan – że ludzie zaakceptują taki wybór, bo wolą mnie od siostry.

Oczywiście, że tak. Wystarczy spojrzeć na jego dossier: bękart, kapitan żeglugi morskiej, typ spod ciemnej gwiazdy, ale szlachetnie urodzony.

– Zakładam, że Pontifex na ciebie nie zagłosuje – zauważa Matilde. – Żeby z nim wygrać, będziesz potrzebował głosów wszystkich lordów z Wielkich Rodów, którzy zasiadają przy Stole.

Dennan się krzywi.

– Masz rację. Ale jestem pewien, że lordowie mnie poprą. Właściwie to mam coś na każdego, liczę jednak, że nie będę musiał wywierać nacisku.

W takim razie planował to od lat, może nawet od chwili, gdy wyjechał z Simty. Zawsze był dobry w długofalowych strategiach.

– A co cię będzie odróżniać od siostry? – pyta Matilde.

Dennan się nachyla.

– Podróże nauczyły mnie, że zakazanie czegoś wcale tego nie zwalczy. Handel zejdzcie do podziemia, a ludzie, którzy się nim zajmują, odtąd będą grać wyłącznie na własnych zasadach.

Brakuje jej tchu.

– Chcesz skończyć z prohibicją?

Pokiwał głową.

– Nie od razu, jest zbyt głęboko zakorzeniona i ma za wielu zwolenników. Ale tak, starałbym się zlikwidować ten przepis, bo daje Kościołowi możliwość nadzorowania ludzi przy pomocy Gwardzistów, narzucania im określonych wartości moralnych. Tym sposobem spycha się magię do podziemia i ją psuje. Zakazywanie jej tylko nas osłabiło... nas wszystkich. Dopilnowałbym, żeby znów mogła wyjść z cienia, ujrzeć światło dzienne.

– Wszystkie rodzaje magii? – naciska Matilde.

To, co powiedział jej tamtej nocy w pokoju Szczygła, sugerowało, że jest przeciwny sekretnemu klubowi Nocnych Ptaków. Czy to dlatego, że podobnie jak Alec uważa, iż powinny dzielić się swoim darem ze wszystkimi, czy raczej nie podoba mu się sprzedawanie magicznej mocy za pieniądze?

– Szczerze mówiąc, uważam, że magia nie powinna pozostawać w ukryciu. – Dennen waży słowa. – Nie podoba mi się, że Rody traktują was jak klejnoty, które można zamknąć w szkatułce. Twój dar, Matilde, należy wyłącznie do ciebie. A co z nim zrobisz, to już twój wybór.

Te słowa otwierają w niej jakieś wrota, przez które wypada ciepły podmuch.

Dociera do niej, jakie ryzyko podjął, ujawniając jej swoje plany. Przecież mogłaby pobiec do Epinine lub do Pontifeksa choćby jutro i o wszystkim im opowiedzieć. Dennen najwyraźniej wie, że tego nie robi, ufa jej.

Matilde odstawia drinka.

– W takim razie opowiedz mi o Epinine. Co zamierza?

Jego palce bębnią o aksamit.

– Wie, że Nocne Ptaki chwilowo zwinęły interes. Zapewniłem ją, że próbuję do was dotrzeć innymi sposobami, i mam zamiar zwodzić ją przynajmniej do Krótkonocy, gdy odbędzie się głosowanie. Sęk w tym, że Epinine jest skrupulatna: nie zdziwiłbym się, gdyby wysłała za wami kogoś jeszcze.

Po skórze przebiegają jej ciarki.

– Też tak sędzę.

Dennan marszczy brwi.

– Na jakiej podstawie?

Opowiada mu pokrótce o fanatyku, który przyszedł na spotkanie z Pardwą, i o sekcie En Caska Dae.

– Ciekawe, czy nasłał ich Pontifex? – zastanawia się Dennan. – Może to jego sekretni agenci?

– Niewykluczone – przyznaje Matilde. – A może stoi za tym Epinine? Równie dobrze mogła działać w zмовie z Pontifeksem.

– Nic mi o tym nie wspominała, ale spróbuję się czegoś dowiedzieć. – Muzyka gra nieprzerwanie. Dennan patrzy z powagą. – Jedno ci obiecuję – mówi – nie pozwolę, byś wpadła w jej ręce.

Od tych słów robi jej się cieplej, ale nie zapomina ostrzeżenia Sayer: „Wydaje ci się, że jak ktoś pochodzi z Wielkiego Rodu, to musi mieć dobre maniery. Możesz zrobić nóż ze złota i wysadzić go kamieniami, ale to nadal będzie nóż”. Nie jest tego aż taka pewna, ale wie, że w życiu nic cennego nie dają za darmo.

– Jakiej zapłaty oczekujesz za ochronę?

Powoli wyciąga do niej dłonie przez stół. Matilde czeka, co powie, stara się nie wstrzymywać oddechu.

– Kilka lat temu podzieliłaś się ze mną swoim darem – mówi w końcu Dennan. – Teraz chciałbym ci się odwdziżyć.

Matilde szykuje się do odpowiedzi.

– Twierdzisz, że nie będziesz prosić o dojscie do mojej magii, gdy najdzie cię ochota?

Jego twarz marszczy się w wyrazie frustracji.

– Nie zamierzam kupować twoich względów. Chcę je zdobyć. Nie kłamałem tamtej nocy.

Matilde pamięta, co powiedział: „Wolałbym jednak, żebyś pocałowała mnie z własnej woli”. Blizna na jego wardze znów przykuwa jej wzrok. Chłopak ma takie powabne usta. A gdyby tak przycisnęła do nich swoje?

Wstaje, odchrząkując.

– Na mnie pora. Muszę wrócić, zanim się za mną stęsknią. Napiszesz, żebym wiedziała, co się dzieje?

– Oczywiście.

Matilde wygładza sukienkę.

– W murze otaczającym nasz ogród znajdziesz obluzowaną cegłę. Na lewo od bramy. Możesz mi tam zostawiać liściki.

Dennan okrąża stół, przynosząc ze sobą przydymiony zapach korzennej przyprawy.

– Mam lepszy pomysł.

Podaje jej metalową sikorkę na cieniutkiej okrągłej podstawce.

Matilde marszczy czoło.

– Co mam z tym zrobić?

– Przesuń palcem po jej grzbiecie.

Gdy to robi, sikorka stroszy pióra i zadziera dziób, napotykać zdumione spojrzenie Matilde. Zeskakuje z podstawki wprost na jej palce.

– Tutaj wetknij liścik. – Dennan wskazuje rozcięcie w brzuszku. – Potem ją obudź, a polecą prosto do mnie. Dopóki masz przy sobie podstawkę, mogę odesłać sikorkę tam, gdzie akurat będziesz.

– A jak mam ją uśpić?

– Wystarczy pogłaskać.

Pod wpływem jej dotyku sikorka rozpościera skrzydełka, po czym wraca na miejsce.

Matilde się śmieje.

– Umiesz rozbudzić w dziewczynie ciekawość.

Kącik jego ust szelmowsko się unosi.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Z tak bliska jego oczy niemal fosforyzują. Matilde łągnie do niego, nie potrafi się oprzeć.

– Chyba znów bym chciała... – mówi miękko.

– Chciała co?

– Pocałować cię.

Spojrzenie, które jej posyła, jest gorące jak świeca, ale Matilde nie pozwoli się sparzyć.

– A jednak nie dziś.

Zmierza do drzwi, czując na sobie jego wzrok. Nie odwraca się. Lepiej, żeby nie zobaczył tego uśmiechu.



SAYER STUKA w karty małym palcem. Fen zawsze się z nią droczy: „Tak łatwo cię przejrzeć”.

– Moja kolej? – pyta Æsa.

– Zdecydowanie tak – odpowiada Samson, wychylając kolejny koktajl. Wrzucony do basenu, pewnie unosiłby się na wodzie.

Æsa w końcu się oswoiła z tym wieczorem i teraz tryska energią. Przekrzywia głowę i mruga oczami, sugerując: „Jestem taka zagubiona. Nie pomożesz mi?”. To dobrze, że wreszcie wyszła ze swojej skorupy. Tylko gdzie się podziewa Matilde? Sayer po raz piąty zerka w kierunku, dokąd poszła. Żałuje, że przystała na jej plan. Matilde, najbardziej doświadczony Nocny Ptak, wydaje się zbyt pewna uroku, jaki roztacza.

Podrygując nerwowo stopą, zerka na swoje karty. Zasady krellena są proste: zbierz jak najwięcej cennych kart, zanim skończy się stosik pośrodku stołu. Co kolejkę gracz musi coś z niego dobrać lub rzucić kości. Æsa sięga po kubek, w którym czekają, i rzuca. Kość w kształcie siedmioramiennej gwiazdy toczy się po śliskim suknie. Sayer nachyla się, aby odczytać wynik: dwie splecione dłonie.

Æsa klaszcze.

– Świetnie! Handlujemy!

Maxim, kolega Samsona, odwraca się i uśmiecha do Sayer pod niezbyt twarzewym wąsikiem, który wygląda, jakby przywiądl w słońcu.

– Może jakaś wskazówka? – prosi. – Choćby maleńka.

– Będziesz musiał czytać mi w myślach. – Posyła mu cierpki uśmieszek.

Oczy Maxima się zwężają. Kartę można wybrać w ciemno, cały wic polega na tym, by odgadnąć, która jest najcenniejsza dla przeciwnika. W krellena najlepiej grają ci, którzy potrafią blefować.

Sayer spostrzegła słabość Maxima już w drugiej partii. Chłopak nie patrzy na swoje najlepsze karty.

– Trzecia z lewej. – Wskazał palcem.

– Ostatnia z prawej. – Sayer też pokazuje.

Wąsik opada mu jeszcze bardziej.

– Szlag by to.

Zwykle cieszyłoby ją, że wyciąga pieniądze od tych rozpieszczonych chłopaków z Rodów, ale trudno się odprężyć, gdy brakuje Matilde. Ile to może trwać? Muzyka się zmienia, teraz jest wolna, przeciąga się, ale Sayer ledwie może usiedzieć w miejscu.

Nie tylko plan Matilde wyprowadził ją z równowagi. Czuje się niespokojna od tamtej nocy, gdy podczas walki z Gwellynem stała się niewidzialna. Próbowwała to powtórzyć, skorzystać ze swojej mocy, oczywiście pod nieobecność Lety. Czasami jej się to udawało, ale nigdy z taką łatwością jak wtedy w uliczce. Zupełnie jakby brakowało jakiegoś elementu. Tylko jakiego?

Pewnie powinna powiedzieć o tym Nocnym Ptakom, ale z jakiegoś powodu wydaje się to zbyt osobiste. Może dlatego, że wszystko zaczęło się od pocałunku. Jego wspomnienie wraca do niej w najdziwniejszych chwilach: gdy popija herbatkę z dziewczynami lub spaceruje w pełnej zieleni oranżerii Lety. W ustach wciąż czuje podniecające mrowienie.

Dlaczego magia przysłała jej z pomocą właśnie wtedy? Czemu Sayer nie mogła podarować jej Fen? Czy ona też nad tym rozmyśla? Trudno powiedzieć, bo od tamtej pory milczy. Właściwie prawie się nie odezwała, gdy Gwellyn i jego towarzysze się zmyli. Przywarła tylko do muru, łypiąc na Sayer, jakby ujrzała ducha. A gdy już wiedziała, że nic im nie grozi, wybiegła z uliczki. Sayer znów się poczuła jak tamtej nocy po śmierci matki.

Ściska karty tak mocno, że z kciuków odpływa krew. Æsa musiała to zauważyć. Kładzie dłoń na łokciu Sayer, tak by nikt inny nie widział. Od tego dotyku jak zawsze mrowi ją skóra. To samo dzieje się w obecności Matilde. Nie jest to może pokrewieństwo, raczej znak, że się rozpoznają. Budzi to w niej niewyjaśniony niepokój.

Ktoś mówi: „Sayer, twoja kolej”. Chwyła kubek i rzuca kością w kształcie gwiazdy. Kość przestaje się toczyć: wypadła strzała. Grot, nad ramieniem Æsy,

wskazuje środek sali, gdzie śmieje się jakiś mężczyzna. Sayer go poznaje – zupełnie jakby ktoś wymierzył jej policzek.

To on był z matką tamtego popołudnia, gdy ich podejrzała. Nic się nie zmienił, może tylko trochę poszerzył się w pasie. Gładka śniada skóra, napomadowane ciemne włosy i złote pierścienie: niemal lśni. Jego garnitur ma purpurowy kolor najlepszych win z Eudei. Kiedy złota nić mieni się niebieskawym światłem, Sayer z trudem rozpoznaje znak rodowy wyszyty na klapie marynarki. To wilk eudejski.

Już wie, z jakiego rodu pochodzi mężczyzna.

Przerażające podejrzenie chwyta ją za gardło ciężką łapą.

Sayer kładzie karty na stole.

– Pasuję.

– Al-le j-jak to? – bełkocze Samson. – P-przecież wygrywam. Nie p-psuj zabawy.

Posyła mu wymuszony uśmiech.

– Ktoś powinien sprawdzić, czy Matilde nie spłynęła do kanału...

Chłopcy się śmieją, ale Æsa nie.

– Dokąd idziesz? – szepcze.

– Odszukać Matilde. – Kłamstwo. – Zaraz wracam.

Lawiruje w tym ścisku, podąża za mężczyzną, który zmierza do drzwi, po czym wymyka się z sali. Idzie za nim, stara się kryć w cieniu, ale ma na sobie srebrną sukienkę: połyskliwe szkaradztwo. Niech szlag trafi Matilde i to jej pragnienie, by ściągnąć na siebie wszystkie oczy!

Prędko idzie dalej, korytarz zakręca, serce bije jej gwałtownie – zdążyła dostrzec, że mężczyzna zniknął w jednym z pokoi. Podkrada się na tyle blisko, by usłyszeć, jak wita się z innym klientem klubu. Niestety nie może podejść bliżej, bo ją nakryją. Gdyby tylko znów mogła użyć swojej mocy i stać się niewidzialna...

Kryje się w ocienionej wnęce, przyzywa swoją magię. Nawet jeśli nie zadziała, Sayer i tak musi podążać za tym człowiekiem. Poznać prawdę.

Zamyka oczy.

„Spraw, bym stała się częścią ciemności. Przemień mnie w cień i dym”.

Uczucie zaczyna się w żebrach i rozchodzi na zewnątrz – coś jak leciutkie skrobanie tysiąca noży po skórze. Puls jej przyśpiesza, a sukienka i skóra

przybierają niebieski kolor ścian, podczas gdy na nogach Sayer maluje się wzór widoczny na dywanie.

Przegląda się w niewielkim lustrze. Iluzja przemieszcza się wraz z nią. Przychodzą jej na myśl tigreny: słyszała, że te dzikie koty mają cętki, dzięki czemu łatwiej wtapiają się w trawy. Może nie stają się całkiem niewidzialne, ale prawie.

Przeszywa ją dreszcz ekscytacji. To nawet lepsze niż obiecywała jej matka. Moc, która w pełni należy do niej.

Zakrada się do pokoju, kryje za doniczką księżycorośli. Mężczyzna jest tu z tym drugim, który nalewa dwie szklaneczki bursztynowego trunku. Słuch jej się wyostrzył, tak jak wtedy w uliczce. Kocia pożoga, nawet lód w szklance stuka głośno.

Z tak bliska człowiek, który całował jej matkę, wydaje się starszy, lecz nadal roztacza blask wielu lat przeżytych w dobrobycie. Wszystkiego, co – jak przypuszcza Sayer – zdobył z pomocą Nadji Sant Held.

Zapalił cygaro. Nie pachnie goździkami jak te, które popalają młodzi panicze, tylko czymś wilgotnym i ziemistym.

– No więc, Antony... – Obraca w dłoni kryształową szklaneczkę. – Co to za pilna sprawa, że musimy spotykać się tutaj i o takiej godzinie?

Antony ma wynędzniałą pociągłą twarz.

– Obawiam się, że mam złe wieści. Nie zrobiliśmy postępu w rozmowach z Pontifeksem. W głosowaniu zamierza poprzeć zwierzchniczkę.

– A zaproponowałeś mu datek, o którym mówiliśmy?

Antony ściska mocno swoją szklaneczkę i również obraca ją w dłoni.

– Tak, ale nie spodobało mu się to.

Mężczyzna chrząka z niezadowoleniem.

– W takim razie musimy coś na niego znaleźć. Nawet duchowni trzymają w konfesjonałach trupy.

– Do głosowania zostało tylko kilka tygodni – zauważa Antony.

Ich słowa zdają się potwierdzać to, co Książę Bękart powiedział Szczygłowi: lordowie zamierzają zagłosować przeciwko zwierzchniczkę i odsunąć ją od władzy. Sayer nie jest wielbicielek Epinine Vesten, szczególnie że – jak twierdzi

Matilde – najwyraźniej zamierza wykraść Nocne Ptaki. Ale kto miałby ją zastąpić? Ten mężczyzna, który w ciemności kradł pocałunki jej matki?

Antony się rozgląda, jakby ktoś mógł ich usłyszeć. Sayer przyciska się mocniej do ściany.

– Moglibyśmy porozmawiać z Madame Kruk. Magia Nocnych Ptaków jest nam teraz wyjątkowo potrzebna. Przecież nie może nam odmówić. W końcu to dzięki Rodom te dziewczyny zaszły tak daleko.

Sayer się najeża. Niczego nie zawdzięcza żadnemu wymuskanemu bogaczowi.

– Nie potrzebujemy ich. – Usta mężczyzny wykrzywają się pogardliwie.

Antony wzdycha.

– Wiem, że uważasz magię za bluźnierstwo, ale nie wszyscy mamy aż tak surowe zasady.

Jakie zasady? Sayer pamięta jego dłonie ściskające talię matki i te rozgorączkowane szepty: „Gołąbeczko, nic nie smakuje tak słodko jak ty”.

– To jest bluźnierstwo. Ale chcesz wiedzieć, dlaczego tak naprawdę jestem przeciwny? Bo to zwykle oszustwo. Na powodzenie nie czeka się, leżąc na plecach, trzeba je sobie wychodzić.

Antony wygląda na zaskoczonego.

– Wyllo, no naprawdę. Mówisz o nich, jakby były zwykłymi dziwkami.

To imię rozbrzmiewa w niej echem: „Wyllo, Wyllo, Wyllo...”.

Sayer ma wrażenie, że przeniosła się w czasie.

Widzi siebie: ma dziesięć lat i po raz pierwszy przekracza kanał, by udać się pod drzwi tego mężczyzny. Nie starczyło jej odwagi, by podnieść ciężką kołatkę w kształcie wilka, dlatego ukryła się za ómową latarnią po drugiej stronie ulicy i czekała, starając się nie zabrudzić najlepszej sukienki. Pamięta, że padało, a ona martwiła się, czy nie uwała się błotem. W końcu wyszedł z posiadłości na Osiedlu Ogrodów, a za nim dwie dziewczynki i kobieta: jego prawowita rodzina. Twarz zasłaniały mu kapelusz i parasol. Pomyślała jednak, że gdyby spojrział jej w oczy, na pewno by ją poznał. Mogłaby się przekonać, czy przychylne opowieści matki o Wyllo Regnisie miały pokrycie w rzeczywistości.

Nie podniósł wzroku. Gdy mijali ją powozem, ktoś rzucił Sayer monetę – szylinga, za którego w Jaśnie Oświeconej nie kupiłby nawet ciastka. Teraz

odnajduje go w torebce i mocno ściska. Ostre krawędzie z czasem się stępiły, lecz nadal kłują tak jak jego słowa.

Wyllo gładzi dłonią krawat.

– One są jak przywara. Albo słabość. Rody nazbyt się od nich uzależniły.

Brakuje jej powietrza. Sprawdza, czy kamuflaż jeszcze działa, po czym wykrada się ze swojej kryjówki. W korytarzu odnajduje wnękę, w której zdołała przemienić się w cień. Powietrze tutaj wydaje się chłodniejsze, mimo to jej umysł spowija mgła. Zaciska powieki, stara się uporządkować myśli.

Prawda przesywa ją jak ból zęba. „Mężczyzna, który całował wtedy matkę, jest moim ojcem”. Zjawił się, tak jak zawsze jej to obiecywała, ale nie po to, by je ocalić. Przyszedł po te resztki magii, które jej zostały. Nie wystarczyło mu, że ją wykorzystał i porzucił, gdy była Nocnym Ptakiem. Wracał, zostawiając drobniaki i puste obietnice. Kradnąc resztę jej blasku.

Słysząc czyjeś kroki. Sayer otwiera oczy. Gapi się na nią Wyllo Regnis. Kamuflaż zniknął.

– Co tu robisz, panienko?

Ten ton, niemal... ojcowski. Nagle odjęło jej mowę.

– Ja... – jąka się. – Mam się tu z kimś spotkać.

– Z kim?

– Nie mogę powiedzieć.

Wyraz jego twarzy ulega zmianie, już nie jest taki ojcowski.

– A więc to o takie spotkanie chodzi. Cóż, pochwalam twoją dyskrecję.

Sayer nakazuje sobie: powiedz coś, zrób coś, ale znów ma dziesięć lat i stoi pod latarnią, pragnąc, by ojciec ją dostrzegł i uznał za swoją.

Regnis przechyla głowę na bok.

– Wyglądasz znajomo. Czy my się znamy?

– Nie. – Czuje rozczarowanie.

Mężczyzna wodzi po niej wzrokiem. Zaciska na jej ręce swoje mięsiste paluchy.

– Może w takim razie powinniśmy się poznać.

To łapsko na jej skórze jest gorsze niż dotyk Gwellyna wtedy w alejce – właściwie trudno o coś gorszego. Strach i wściekłość biją skrzydłami w jej piersi. Do głosu

dochodzi też jakieś dzikie, naglące uczucie. Nawałnica wzbierająca gdzieś głęboko w kościach.

Sayer gwałtownie wyciąga dłoń i Wyлло leci do tyłu, uderza w ścianę. Prawie upada, ale coś trzyma go w pionie z rękami unieruchomionymi po bokach. Teraz to widzi: połyskujące ciemno wstęgi powietrza o niebieskim, szarym i czarnym zabarwieniu. Jakimś sposobem zacisnęły się wokół niego, przypierając jak ogromna łapa.

Ma szeroko otwarte oczy, policzki mu purpurowieją.

– Co to za czary?

To jej magia – taka, jakiej jeszcze nie czuła. Burza, która się w niej rozszalała i przedarła przez skórę.

– Chcesz wiedzieć, kim jestem? – Głos jej drży. – Czemu nie spytasz o to Nadji Sant Held. – Mężczyzna błędnie. – Nie możesz, racja? Przecież ona nie żyje. – Powietrze się zmienia, teraz ma posmak błyskawic. Serce Sayer przypomina wir wodny, zmacony i ciemny. – I to twoja wina.

Wściekłość wykrzywia mu twarz.

– Ledwie znałem tę kobietę. Nie wiem, czego ci o mnie naopowiadała, ale to kłamstwa.

Sayer instynktownie zwierza dłonie w pięści, nakazuje powietrznym wstęgom otoczyć szyję Wylla Regnisa. Brakuje mu tchu, oczy wychodzą z orbit. Tak dobrze zobaczyć jego strach.

– Kochała cię – cedzi – a ty ją zdradziłeś. Porzuciłeś nas.

Mocniej zaciska pięści, odcina mu dopływ powietrza. Jego usta wypowiadają nieme „proszę”.

Czuje, że powinna się zatrzymać, ale to tak, jakby jej magia czekała na tę chwilę, została stworzona w tym celu.

Gdzieś z tyłu rozlega się okropny łoskot. Sayer traci koncentrację, rozluźnia uścisk.

Ojciec dyszy, jego oczy pałają żądzą zemsty.

– Zapłacisz mi za to.

Gdy się na nią rzuca, znów słyszą hałas. Jeden z kinkietów na ścianie bucha wściekłym, intensywnie czerwonym płomieniem.

Synu,

dokonałem w testamencie zmian, które mogą Cię zainteresować.

Mojej żonie, Maud Maylon, zostawiam wiejską posiadłość i akcje wyszczególnione w Statucie XII.

Mojej najmłodszej córce, Tessie Maylon, daję posag w wysokości 10 000 andelów.

Mojemu synowi, Teneriffe Maylonowi, nie zostawiam nic.

Wszystko może się jeszcze zmienić, pod warunkiem że naprawisz swoje błędy. Jednak na powrót do łask musisz ciężko zapracować.

– LIST LORDA TENERIFFE MAYLONA II DO SYNA

ROZDZIAŁ 9

DESZCZ NIEBIESKIEGO SZKŁA

MATILDE WRACA do sali klubowej, ale nie potrafi wyrzucić z głowy Dennana. Przypomina jej łamigłówkę, którą dostała kiedyś od babci. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak ogród, ale po zmrużeniu powiek ukazywała się damska spódnica. Później nie dało się już odwidzieć prawdziwego obrazu, ale wpierw trzeba było na to wpaść. Co czuje ktoś, kto odkrył, że jego życie jest jak taka łamigłówka? Jakie to uczucie, gdy bliscy w okamgnieniu stają się wrogami?

Tak się zamyśliła, że niemal wpada na chłopaka, który zagradza przejście. Zapiera jej dech. Przekrzywiony krawat, włosy w nieładzie i zaczerwienione oczy – to Tenny Maylon. Wygląda jak obdartus.

– Matilde... – Kłania się jakoś niezręcznie. – To znaczy, panienko Dinatris. Dobry wieczór.

Tylko dzięki temu, że latami nosiła maski, czy to prawdziwe, czy zmyślane, teraz potrafi zachować obojętną minę. Babcia powiedziałaby: „Nie pozwól, by klient za tobą szalał”.

– Panicz Maylon! Może się czegoś napijesz? – pyta. – Wody sodowej? Wyglądasz... jakby chciało ci się pić.

Rzeczywiście wydaje się spragniony, choć nie wody. W jej piersi zaciska się węzeł strachu.

– Nie. – Tenny oblizuje wargi. – Dziękuję. Ale... wiesz co? Naprawdę przydałby mi się teraz pocałunek.

– Ja mam cię pocałować? – Matilde krzyżuje ręce, aby ukryć ich drżenie. – Za dużo sobie pozwalasz.

Zmarszczył brwi.

– Przecież tamtej nocy... sądziłem...

Na brudne moniaki, powinna się domyślić, że będzie jej sprawiał kłopoty, ale nie sądziła, iż ośmieli się ją nagabywać.

– Tenny... – Prostuje plecy. – Coś ci się pomyliło. Nie możesz żądać ode mnie pocałunku.

– Może i nie – mruczy do siebie pod nosem – jeszcze nie...

A potem – o zgrozo! – klęka na jedno kolano i spoconą ręką ujmuje jej dłoń.

– Matilde Dinatris, czy uczynisz mi zaszczyt i...

Potrząsa go za ramię, rozgląda się, żeby sprawdzić, czy są sami.

– Tenny, no naprawdę. Chyba wiesz, że to tak nie działa.

Uraza sprawia, że drży mu twarz, ale kryje się w tym też coś złowrogiego. Wstaje, poprawia wymięte klapy marynarki.

– Znalazłem się w trudnym położeniu. – Wiszący na ścianie kinkiet maluje na jego sylwetce dziwaczne cienie. – Ojciec właściwie mnie wydziedziczył. Potrzebuję nieco pomocy. Po prostu... potrzebuję ciebie.

Matilde bierze głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Musisz raczej skończyć z krellenem raz na zawsze.

Chłopak podchodzi bliżej, nagle przypiera Matilde do ściany, a jego ręce odcinają jej drogę ucieczki.

– Mógłbym pójść do Madame Kruk, chyba to rozumiesz. Albo do twoich bliskich. Powiedzieć, że mi zdradziłaś, kim naprawdę jesteś, wykorzystać to i wymusić zaręczyny.

– Nie ośmielisz się. – Pod żebrami czuje uderzenie gorąca.

– Tak sądzisz? – Tenny zaciska zęby. – Szlag by to, przecież posłałaś mi pocałunek. Sama o to prosiłaś.

Wcale nie prosiła, by obłapiano ją w korytarzu, więziono w klatce pożądlivych ramion. Próbuje go odepchnąć, lecz chłopak się nachyla, napiera na nią wargami.

Matilde próbuje się wyrwać, ale trzyma ją mocno, jakby miał prawo brać to, na co ma ochotę.

Jak śmie jej to robić?

Jak śmie?!

Przepływa przez nią gorąca, rozżarzona do białości fala.

Magia zwykle wzbiera w niej tak, jak rozwijają się płatki kwiatu, pozostawia na języku posmak popiołu. Tym razem Matilde czuje co innego: potok, rozszalałą pożogę napędzaną siłą jej wściekłości.

Tenny odskakuje. Kinkiet na ścianie roztrzaskał się w drobny mak, ukazując drżący płomień. Powiększa się, jest olbrzymi, wpierw żółty, a teraz intensywnie czerwony. Należy do niej: pulsuje w zgodzie z rytmem jej serca i chyba nawet szepcze jej imię.

Na końcu korytarza wybucha kolejny kinkiet, po chwili jeszcze jeden. Matilde je wyczuwa, jakby były jej przedłużeniem. W oddali rozlega się potężny trzask.

Na twarzy Tenny'ego maluje się przerażenie, lecz Matilde upaja się swoją magią, tym uczuciem w ciele. Płonie ogniem, którego jeszcze nie potrafi nazwać.



ÆSA ZA DUŻO wypila. Jak mogło być inaczej, skoro Samson wciąż podtykał jej koktajle. Pozostali chłopcy, Maxim i West, poszli do baru, zostawiając ich samych. Jak dawno zniknęły dziewczyny? Æsie wydaje się, że minęła cała wieczność. Czas zaczął jej się wymykać.

– Podoba ci się? – pyta ją Samson na ucho.

– Ale-le co? – Dostała czkawki.

– Mój akcent.

– Nie... – Mruga. – Czy ty mówisz w illish?

Samson uśmiecha się szerzej.

– To ten koktajl. Nazywają go Wędrowcem. Zawiera jakieś... specjalne składniki... dzięki którym można rozmawiać w obcym języku.

O bogowie, nawet nie zauważyła. W klubie nagle zrobiło się gorąco. Jazz jest szybki, lecz powietrze stoi – ależ tu duszno!

Samson odchrząkuje.

– Æso, chyba wiesz... no cóż, uważam, że jesteś wspaniała.

– Naprawdę? – Na szyję wystąpił jej rumieniec.

Samson kiwa głową, jego oczy skrzą się w niebieskim świetle.

– Słowo daję. Wygląda na to, że mnie oczarowałaś.

Z tymi ciemnymi włosami w nieładzie i bursztynowymi oczami wygląda przystojnie. Może jest trochę zbyt frywolny, ale uroczy. Poza tym to jedna z lepszych partii w Simcie – dzięki niemu jej bliscy nie musieliby już nigdy biedować.

Nachyla się, w jego oddechu czuć koktajle.

– Myślisz, że mogłabyś mnie polubić?

Przez myśl przemyka jej twarz innego chłopaka: jego brązowa skóra, niebieskozielone oczy i pełne wargi rozchylone w lekkim uśmiechu. Przeszywa ją dreszcz. Ale przecież nie może pragnąć, by to Willan z nią tu siedział – nie może sobie na to pozwolić.

– Kto wie. – Sili się na uśmiech.

Samson pochyla się nieco do przodu: wysyła zaproszenie. Æsa zbiera się na odwagę, zaciska palce na siedzeniu i też się nachyla. Tylko czy może to zrobić po tym, co się stało z Enisem? Czy ośmieli się zatruć Samsona? Nie. W takim razie musi pocałować tego chłopca, nie uwalniając magii. Być dziewczyną, jakiej wszyscy oczekują. Musi znaleźć na to sposób.

Pod wpływem nagłego uczucia wydaje stłumiony okrzyk.

– Æso? – Samson się od niej odsuwa. – Co się dzieje?

Pokręciła głową. Może to wina koktajli? Nie. Coś ją szarpie, zupełnie jakby pod żebrami miała przyklejone żyłki. Dwa pasma drżące ze strachu i z wściekłości, ale te uczucia nie należą do niej.

– Coś jest nie w porządku – mówi chrapliwym głosem.

Czuje się jak po przebudzeniu z jednego z tych dziwnych snów: jakby miała przeczucie. Jej wzrok pada na żyrandol z niebieskiego szkła.

– Wejź pod stół – nakazuje, popychając Samsona. – Prędko.

Chłopak się śmieje.

– Chcesz się bawić w chowanego?

W górze rozlega się oszałamiający łoskot.

– Do stu skąpanych we krwi piekieł! – klnie Samson. – Co się tu...?

Niebieskie szkło roztrzaskuje się na kawałki, osypuje na głowy mężczyzn w sali. Zupełnie jak w jej śnie. Płomienie świec są teraz całkiem nagie, gotowe zeskoczyć z żyrandola. Skąd aż tak ciemnoczerwony kolor?

Mężczyźni rozpierzchają się z krzykiem. Samson usiłuje wciągnąć Æsę pod stół, ale szarpanie pod żebrami okazuje się silniejsze. Zmusza ją do przypomnienia sobie, co jeszcze widziała we śnie. Matilde przyparta do ściany przez jakiegoś chłopaka i przerażenie w jej oczach.

Już wie, co musi zrobić.

Wymyka się z boksu. Szkło sypie się dalej, zagłusza Samsona, który próbuje ją wołać. Chyba powinna się bać, ale to nie pora na takie uczucia. Szczególnie że w uszach słyszy szepty oceanu. Podąża za szarpaniem, pozwala, by ciągnęło ją przez salę, wśród rozgorączkowanych rąk, krzyczących kelnerów – skręca, przemyka zaokrąglonym korytarzem. Jest tam Matilde, oddycha ciężko, łapie na chłopaka o rozbieganym spojrzeniu, który ją uwięził. Æsa już go widziała na balu u Lety: to Tenny Maylon. Chłopak spogląda na swoją kamizelkę. Znać na niej osmalone ślady dłoni. Dymią się, jakby ktoś wypalił piętno w rudobrunatnej tkaninie.

– Ty... – szepcze ze wzrokiem utkwionym w Matilde. – Wszystko zepsułaś.

Drży, jak gdyby szykował się do czegoś niebezpiecznego. Æsa to wyczuwa. Ocean w jej wnętrzu prowadzi ją naprzód, szepcze łagodnie, nakłania, by to naprawiła.

– Tenny Maylon. – Jej głos dochodzi zewsząd. Æsa czuje na języku posmak wody morskiej i soli. – Lepiej mnie posłuchaj.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś wywierał wpływ na czyjeś emocje, używając magii Słowika. Nie ma pojęcia, jak to się robi. Ale gdy ujmuje lepką od potu dłoń Tenny'ego, niemal widzi jego uczucia. Przepływają przez chłopaka jak rozpędzone strumienie. Pożądanie i wstyd, gniew i poczucie krzywdy – trzeba je ukoić. Æsa myśli o morzu, które zmienia kształt linii brzegowej, obmywa i oczyszcza piasek.

– Jesteś zdenerwowany – mówi. – Wcale się nie złościś.

– Ja... – Zmienia się wyraz jego twarzy: wściekłość ustępuje miejsca zwątpieniu, a w końcu konsternacji. – Nie, oczywiście, że nie.

– Zależy ci na Matilde i nigdy byś jej nie skrzywdził.

Słowa Æsy i coś głębszego kierują strumieniami jego emocji, skłaniają je, by spływały kanałami, które to ona wybrała.

– Tak. – Zdaje się, że mu ulżyło. – Zależy mi na niej.

Oczy Matilde są szeroko otwarte, nad jej głową nadal bucha płomień.

Na końcu korytarza ktoś wydaje stłumiony okrzyk.

Æsa się odwraca, tracąc koncentrację. Dostrzega postać oddaloną o jakieś dziesięć kroków. Rozwiązany krawat i koszula wyjęta ze spodni.

– Dennan. – Matilde szepcze jego imię.

Fioletowawe oczy chłopaka błyskają w migającym świetle.

Æsa podchodzi bliżej. Tenny się zatacza, ma zamglone spojrzenie. O bogowie, wygląda jak Enis.

Co ona mu właśnie zrobiła?

Przez moment trwają w zawieszeniu, jakby wpadli pod wodę. Naraz rozbłyskają i gasną wszystkie światła.

W ciemności niesie się głos Dennana Haina:

– Prędko, chodźcie ze mną.

Ktoś chwyta ją za rękę. To na pewno Matilde, bo w odpowiedzi we wnętrzu Æsy z łoskotem przetacza się ocean. Po chwili znów to mrowienie: tym razem poczuła czyjąś obecność za plecami. „Sayer?” Porusza się, ciągnięta po morzu, które wydaje się bezbrzeżne – tam, gdzie nie dociera światło, czają się potwory.



SAYER PODAŻA za dziewczynami niczym sekretny cień. Porzucenie Tenny’ego Maylona w tym miejscu to niezbyt mądre rozwiązanie – chłopak za dużo widział. Ale Dennan Hain także, a jednak Matilde podąża za nim. Jest jeszcze ojciec Sayer... może być wszędzie. Kocia pożoga, są w niezłych opałach.

Uciekają pod osłoną ciemności, lecz Sayer na wszelki wypadek pozostaje niewidzialna. Korzystanie z magicznych zdolności najwyraźniej wyostrza jej słuch. Może dosłyszeć, co mówią mężczyźni w głównej sali klubu. „Nie czułeś tego?”, pyta jeden. „Mówię ci, że to była magia. Coś potężnego. Bardzo dziwne...”

Inni krzyczą, szukając świec, wskazówek, odpowiedzi. Ich trójka musi się stąd wydostać. Sayer zna tylko jedno wyjście: przez fałszywą szafę. Ale Dennan Hain wie, że w innym kierunku.

– Dokąd nas prowadzisz? – pyta go Matilde. Wydaje się oszołomiona, jakby gdzieś się ulotniła jej błyskotliwość.

– Wracamy do mnie – odrzeka – żeby się ukryć.

Serce Sayer bije na alarm.

– W tym klubie obowiązują określone zasady – wyjaśnia Książę Bękart, gdy wchodzi na górę po krętych schodach z kutego żelaza. – W razie zagrożenia zamykają wyjście i wszystkich przepytują. Na pewno spiszą nazwiska. Lepiej, żeby was to ominęło.

Sayer najchętniej głośno by zakląła.

Dennan otwiera drzwi na końcu korytarza, wpuszcza dziewczyny do środka. Sayer też się wślizguje, nim zdąży zamknąć jej wejście przed nosem. Staje pod ścianą, aby nie zagrażać drogi, i obserwuje Dennana przyglądającego się Nocnym Ptakom. Czy w jego oczach dostrzega pragnienie, czy tylko zmieniło się światło?

– Witaj. – Kłania się Æsie. – My się jeszcze nie znamy. Jestem Dennan.

Dziewczyna sprawia wrażenie, jakby go nie usłyszała.

– Nie wiem... co mu zrobiłam.

– No tak. – Dennan przeczesuje włosy dłonią. – Skoro już o tym mowa, pójdę po Maylona. Zamknę go w drugim pokoju, zanim się przed kimś wygada. A potem znajdziemy dyskretny sposób, żeby was stąd wyprowadzić.

Matilde pozieleniała na twarzy.

– To w ogóle możliwe?

Dennan kiwa głową.

– Schody na tyłach... ale muszę się upewnić, że zdołamy przejść. Zamknę drzwi, nie wpuszczajcie nikogo prócz mnie.

Ściska dłoń Matilde, a potem przechodzi obok Sayer, prawie się o nią ocierając. Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem. Nareszcie zostały same.

– Nie będę czekać, aż Książę Bękart nas uratuje – oznajmia Sayer. Dziewczyny podskakują. – Musimy się stąd wydostać, zanim wróci.

Matilde rozgląda się po pokoju.

– Sayer?! Gdzie ty jesteś?

Wchodzi w smugę księżycowej poświaty i znów staje się widoczna. Wpierw dłonie, a potem ręce i tułów – z cienia do światła. Kiedy się odwraca, Æsa opada na

szezlong i patrzy w zdumieniu, a Matilde wlepia w nią wzrok jak w układankę, której nie sposób rozgryźć.

– Sayer – szepcze – czy ty właśnie użyłaś magii?

Pyta o dar Pardwy, ale jej przypomina się raczej to, jak powietrze na jej rozkaz zaciskało się wokół Wylla Regnisa, jak zmieniało kształt i tężało.

– Dokładnie tak – mówi. – Widzę, że wam też się to udało. Do stu piekieł! Coś ty właśnie zrobiła?

– Nie wiem. – Matilde mruga raz i drugi. – Ale to przecież niemożliwe.

Mierzą się wzrokiem. W pokoju panuje spokój, lecz coś wisi w powietrzu. Napięcie między nimi zdaje się silniejsze. Fale oceanu rozbijają się o żebra Sayer, w jej żyłach krąży ogień. Co to jest? Kocia pożoga, co się tu dzieje?!

W korytarzu rozlega się głośne tupanie. Serce wali jej jak młotem. W tych przeklętych pantoflach na obcasie bolą ją stopy, mimo to chodzi w tę i we w tę.

– Nie mogą nas tu złapać, nie mogą... – powtarza w kółko. – Musimy wiać. Natychmiast.

Matilde marszczy czoło.

– W życiu nie wpadną na to, że to nasza sprawa.

– Żartujesz? To mogła być tylko magia... taka, za którą kiedyś zakładano dziewczynom stryczek.

Niemal czuje, że się wzdrygnęły.

– Nawet jeśli jeszcze nic nie podejrzewają, to prawdę zna Dennen Hain. Może właśnie poleciał po swoją siostrę?

– Nie robi tego. – Matilde kręci głową. – Już ci mówiłam.

– A co z Tennem Maylonem? – Zielone spojrzenie Æsy twardnieje. Sayer dostrzega siłę kryjącą się głęboko w tych oczach.

Zapada milczenie.

– Od jak dawna wie, że jesteś Nocnym Ptakiem? – docieka Sayer.

Matilde przetyka ślinę.

– Przyszedł do Szczygła kilka tygodni temu, przed rozpoczęciem Sezonu. Zrobiłam, co do mnie należy, i wysłałam go w świat. Ale później, na balu u Lety... zrobiłam coś, czego nie powinnam. Wykonałam gest, która dał mu do myślenia...

Sayer opada szczęką.

– Pocałowałaś go?

– Na balu? Jasne, że nie. Tylko... flirtowałam z nim trochę zbyt ostentacyjnie.

Sayer też skrywa sekrety – popełniła błędy, ale to, co właśnie usłyszała, doprowadza ją do szału. Zaciska dłonie w pięści, by opanować drżenie.

– Hipokrytka z ciebie – cedzi przez zęby. – Wciąż gadasz o zaufaniu, o tym, że jesteśmy siostrami i musimy sobie ufać, a sama nas okłamywałaś. Wbijasz nam do głowy zasady, które ciebie nie obowiązują? No nie, bo przecież ty jesteś Matilde Dinatris. W twoim świecie wszystko jest grą.

– Popełniłam błąd w ocenie sytuacji. – Matilde nie poczuwa się do winy, jej głos jest opanowany. – Nie sądziłam, że wynikną z tego kłopoty.

Sayer staje z nią twarzą w twarz, na tyle blisko, by dostrzec kropelki potu na linii włosów.

– Twój problem polega na tym, że zawsze ktoś sprzątał za ciebie bałagan. Nie musiałaś żyć w strachu. Zdaje ci się, że jesteś nietykalna, bo masz elegancki dom i nazwisko, które się liczy. Moja matka też tak kiedyś myślała. – Głos jej się załamuje. – Ale przekonała się, że to nieprawda. Zedrzyj wreszcie z oczu tę poślacaną przepaskę.

Mruga intensywnie, by odpędzić łzy. Tak to się kończy, gdy zawiera się komuś swoją przyszłość. Nigdy więcej nie popełni tego błędu.

Słychać gwizdek – wysoki i przenikliwy dźwięk, a po chwili skowyt. Po skórze Sayer przebiegają ciarki.

Matilde otwiera szeroko oczy.

– Nalot!

Szczekanie. Gwardziści przyprowadzili psy rasy *saluki*, szkolone w wywąchiwaniu substancji alchemicznych. Czy będą w stanie zwęszyć działanie Nocnych Ptaków?

– Wpadłam kiedyś na *saluki* – mówi Matilde. – Nie potrafił wyczuć mojej magii.

Sayer sztywnieje.

– Pewnie dlatego, że nie użyłaś jej dopiero co.

Gdzieś pod nimi rozbrzmiewają głosy, słychać je coraz wyraźniej, a potem skomlenie.

– Musimy się ukryć – oświadcza Æsa.

Tylko gdzie? Sayer rozgląda się po pokoju, w którym prawie nie ma mebli. Krzesła, stół, kominek...

– Mogę zniknąć i odwrócić ich uwagę.

– Nie. – Głos Matilde zdaje się odległy. – Ja nas w to wpakowałam i wiem, jak nas z tego wyciągnąć.

– O czym ty...? – Sayer marszczy brwi.

– Po prostu się ukryjcie. – Wbija w nią swoje bursztynowe oczy. – Załatwię to.

Æsa wciąga ją pod stół, kulą się pod aksamitnym obrusem. W stojącym obok drzwi lustrze Sayer dostrzega, że Matilde coś chwyciła. Czyżby koszulę?

– Co ona wyprawia? – szepcze Æsa.

Szczekanie i tupot są coraz bliżej. Matilde nie rusza się z miejsca.

– Chodź tu natychmiast! – woła ją Sayer.

– A niech to, cicho bądź, próbuję się skupić.

W lustrze obserwują jej przemianę. Zaczyna się od dłoni, ich zarys faluje, kurczy się i wygina jak fatamorgana. Nie... raczej jak ogień, który trawi szczapy drewna, nadaje im nowy kształt. Ciało, ubrania – wszystko wygląda inaczej.

Gwałtowne pukanie, pobrzękują klucze, drzwi otwierają się na oścież, ukazując portiera, dwóch Gwardzistów i chude białe łapy psa.

Do stu piekieł, czy to się dzieje naprawdę? Złapali je!

– Co to ma znaczyć? – Te słowa wypowiada Matilde, ale głos nie należy do niej. Jest niższy, głębszy. Teraz brzmi jak...

– Lord Hain – mówi portier, spocony i zdezorientowany. – Gwardzistów powiadomiono o zagrożeniu. Chcieliby przeszukać pański apartament, o ile nie ma pan nic przeciwko...

– Ależ mam – przerywa Księżę Bękart, to znaczy Matilde. Do stu piekieł, przekonująca jest! Sayer nigdy by nie odgadła, że to dziewczyna w przebraniu. – Nie życzę sobie, by naruszano moją prywatność.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś – warczy jeden z Gwardzistów. – Nie należy ci się żadne specjalne traktowanie.

– Sądzę, że zwierchniczka będzie miała na ten temat coś do powiedzenia.

Buciorzy szurają po dywanie, rozlega się odgłos węszenia. Paznokcie Æsy wpijają się w udo Sayer. Pod stół zmierza już spiczasty pysk *saluki*. Pies szczeka raz i drugi.

Gwardzista jest tuż obok.

– I co tam, moja mała?

Czubkami butów prawie dotyka Sayer. Sięgnęła po nóż, serce podchodzi jej do gardła.

– Jeśli mi nie wierzysz, to znaczy, że wątpisz w uczciwość Vestenów... – Matilde nie daje za wygraną, w jej głosie pobrzmiewa cicha groźba. – Rodu, który poparł Pontifeksa i Gwardię. Dobrze się zastanów, zanim wykonasz kolejny ruch.

Po dłuższym wahaniu następuje gwałtowna wymiana zdań. Sayer wstrzymuje oddech, a pies nie przestaje węszyć. Matilde musiała powiedzieć coś przekonującego – mężczyźni w końcu się wycofują, zamykają za sobą drzwi. Cisza, która po nich zostaje, aż dzwoni.

Sayer się napina, gdy chwilę później drzwi znów się otwierają.

– Matilde... to ty? – Ktoś pyta ją głosem bliźniaczo podobnym do tego, który właśnie skradła.

W KONFESJONALE Teneriffe Maylon upada na kolana. Na zatrzaśniętym okienku wyryto symbol czterech bogów: czteroramienną gwiazdę, po jednym ramieniu dla każdego Eshamein. Gdyby tak się nad nim ulitowali. Przydałby mu się cud.

„Proszę”, zaklina. „Przebaczcie mi wszystkie grzechy”. Hazard i hulanki, gierki i kłamstwa. Skończył mu się Syreni Pył, a tak bardzo chciałby go mieć. Po nim świat wydaje się jaśniejszy i bardziej przyjazny, a wszystko spowija chmura euforii.

Cokolwiek zrobiła z nim ta Illishanka, przyjaciółka Matilde, przypominało właśnie to uczucie, zupełnie jakby lęki odeszły w zapomnienie. Pragnął się w nim pławić, ale kilka godzin później przeminęło, a on został z okrutnym bólem głowy i strapionym umysłem. Gdy do niego mówiła, miał wrażenie, że jakaś jego część jest prowadzona na sznurku... kontrolowana. Dygocze. Nikt nie powinien mieć takiej władzy.

Okienko się otwiera, za kratką ukazuje się para ciemnych oczu. To któryś z ojców. Ale Tenny widzi swojego ojca, którego usta formułują te

straszliwe słowa: „Nie jesteś już moim synem”.

– Bracie – przemawia mężczyzna w konfesjonale – jakie strapienia chciałbyś powierzyć bogom?

– Ja... zhańbiłem swój Ród. Przegrałem pieniądze, które dawał mi ojciec i... znacznie więcej. O wiele więcej. – Przelyka, ma sucho w ustach. – Okradałem ojca i matkę. Splamiłem ich dobre imię.

Nagle ogarnia go wstyd, choć kryje się pod warstwą wściekłości. Wszystko to wina Matilde! To przez nią wpadł w tarapaty. Kusiła go, obiecywała, a potem odtrąciła. To zwykły podstęp. Zdrada.

– Coś jeszcze? – pyta mężczyzna, jakby czytał mu w myślach.

– Kupiłem magię – wyrywa mu się. – To znaczy dostałem ją. Dała mi ją pewna dziewczyna.

Cisza się przedłuża.

– Poszedłeś z wizytą do jednej z tych dziewczyn, które zwą Nocnymi Ptakami?

Tenny się wzdryga, ale nie ma już odwrotu.

– Tak. I jeszcze...

Nie powinien mówić, co widział – właściwie nie ma pewności, co takiego Matilde zrobiła w Klubie Kłamców. Ale jego ojciec jest abstynentem i na pewno życzyłby sobie, by Tenny wyznał w konfesjonale prawdę. Może w ten sposób uda mu się wrócić do łask?

Kapłan znów się odzywa, tym razem jego głos jest szorstki jak żwir:

– Jesteś w kłopotach, bracie. Ale wciąż masz szansę na odkupienie. Wystarczy, że podasz Źródłu imię tej młodej kobiety.

Tenny przelyka, robi mu się niedobrze. Nie pomyślał, nie chciał...

– Ale ja nie mogę.

– Musisz! Tego żądają bogowie.

Tenny zamyka przekrwione oczy, opiera głowę na aksamicie. Chciałby się wykąpać, marzy o czystej pościeli i o drugiej szansie.

– Pragnę, by znów wszystko było dobrze – szepcze schrypniętym głosem. – Chcę się poprawić.

– Tak się stanie, gdy tylko zrzucisz ciężar z serca.

I właśnie to czyni.

ROZDZIAŁ 10

PRZYSZPILONE SKRZYDEŁKA

WOGRODZIE MATILDE panuje spokój. Minęła północ, skrzydlate lilie babci, które rozkwitają po zachodzie słońca, rozchyliły płatki. Pachną intensywnie i słodko – czuje je aż tutaj, pod drzewem, gdzie przysiadła. To spokojne miejsce, przepełnione zapachami nektaru i wodorostów. Ale jej umysł płonie. Tyle niewiadomych.

Wydarzenia dzisiejszego wieczora w Klubie Kłamców przeczą wszystkiemu, czego uczono ją na temat własnej magii. Po pierwsze, powinna być niewidzialna: potężna, lecz subtelna. Po drugie, Nocne Ptaki nie powinny móc korzystać z niej na własny użytek. A ona nie dość, że przywdziała cudzą twarz, to jeszcze władała ogniem. Niezupełnie władała... bo jednak nie czuła nad tym kontroli. Może raczej jej cząstka pulsowała w każdym płomieniu – przypominało to wspólne bicie serca. Magię tego rodzaju miały rzekomo czynić jedynie Ogniste Ptaki.

Wracają do niej słowa Krastana: „Zastanawiam się, czy ta dawna magia naprawdę zniknęła, może tylko czeka uśpioną i wkrótce się przebudzi”.

Z dziewczynami, które wcześniej były Nocnymi Ptakami, niekiedy próbowały przekazywać sobie magię. Piły różowe wino i całowały się, czując mrowienie w ustach, ale – zgodnie z zapowiedziami babci – nic się nie działo. Nocne Ptaki nie mogą dzielić się tym darem ze sobą: tak to już jest. W takim razie dlaczego z Æsą i Sayer wzbudzają w sobie magiczną moc? Ledwie się dotkną, a w niej magia aż buzuje i rośnie w siłę. Zupełnie jakby coś się budziło, kiedy dziewczyny są w pobliżu.

Wzdycha. Tylko dlaczego akurat z nimi? One nawet nie chcą się z nią przyjaźnić, doprowadzają ją do szału. Dźwięczy jej w uszach głos Sayer: „Wbijasz nam do głowy zasady, które ciebie nie obowiązują? No nie, bo przecież ty jesteś Matilde Dinatris. W twoim świecie wszystko jest grą”.

Dzisiejszego wieczora bez wątpienia podjęła ryzyko, ale nie sądziła, że skończy się to katastrofą. Naraziła się po raz kolejny – i nie tylko siebie. Dennon i Tenny wiedzą już o Æsie. Matilde kryje twarz w dłoniach.

Gdy Dennon pomagał im się wymknąć sekretnymi schodami na tyłach budynku i kiedy wsadzał je do powozu Dinatrisów, jakby w ogóle nie było ich w klubie, Matilde rozmyślała o Tennym. Nadal nie może uwierzyć w to, co zrobił. Nie potrafi też wyrzucić z głowy reakcji dziewczyn, kiedy im powiedziała: twarz Æsy posmutniała, a Sayer poczuła się zdradzona.

Coś wpada z łoskotem na palmę tundreńską rosnącą w pobliżu fontanny. Matilde dźwiga się na nogi. Ciemna metalowa sikorka siada na liściu, trzepocząc skrzydłami. Podskakuje dwukrotnie, po czym podfruwa i ciężko ląduje we wnętrzu jej dłoni. Mimo ponurego nastroju cieszy się na ten widok.

– Witaj – szepcze. – Masz dla mnie wiadomość?

Posłała sikorkę do Dennana kilka godzin wcześniej z pytaniem, jak stoją sprawy w Klubie Kłamców i co się stało z Tennym. Biały skrawek papieru przymocowany do metalowego brzuszka musi skrywać odpowiedź. Wyciąga karteczkę: pismo jest drobne i mocno pochyle. To kod, który opracowali przed laty, jeden z prostszych.

Gwardziści przetrząsnęli klub w poszukiwaniu substancji alchemicznych. Coś tam znaleźli, ale nie to, czego naprawdę szukali. Tutejsza klientela już rozpowiada niestworzone historie i plotki. Nie sądzę, by rozumieli, co się wydarzyło – sam chciałbym to pojąć.

Matilde zamyka oczy. To jasne, że Dennon chce zrozumieć. Wszedł do pokoju i zastał tam swoją kopię. A potem, jak urzeczony, przyglądał się, gdy zrzucała „przebranie”. Pamięta to uczucie: stwardniałe dłonie Dennana zaczęły znikać, ukazując jej własne palce. Czowała ekscytację i trwogę.

Powinna być wniebowzięta. Czy nie marzyła od zawsze, że w końcu sama skorzysta z daru Szczygła? A jednak dźwiga w brzuchu ołowiany ciężar, który ściąga ją w dół. Jak to możliwe, że wszystko tak prędko wymknęło się spod kontroli?

Wraca do listu.

Co do Tenny'ego – wymknął się z mojego apartamentu, gdy odprowadzałem was do powozu. Przepadł bez wieści, ale wkrótce go odnajdę. Twój DH

Tenny, a niech to! Gdzie jest teraz? Poszedł do swojego ojca abstynenta i wszystko mu wyznał? A może spełni groźbę i wykorzysta to, czego się dowiedział, by wymusić małżeństwo?

Matilde trze oczy. Za chwilę będzie musiała obudzić babcię i wszystko jej powiedzieć. Obawia się tego, ale przecież babcia wraz z Letą będą potrafiły to naprawić.

– Dokąd się wybierasz po ciemku?

Babcia schodzi do ogrodu po schodach prowadzących na werandę, taka elegancka, szeleści szlafrokiem w kolorze stali. Matilde prędko chowa do torebki mechaniczną sikorkę i liścik od Dennana.

– Tylko sobie... rozmyślam.

– Rozmyślasz? – Babcia się uśmiecha. – Groźna rozrywka.

– Dziadek to powtarzał.

– Sądzę, że chodziło mu o mnie. O to, że gdy ja rozmyślałam, zwykle oznaczało to dla niego kłopoty.

Babcia robi obchód, dotyka liści i szepcze do kwiatów. Ten ogród to jej dzieło: zanurzona w nim wydaje się młodsza i bardziej dzika. Jakby wciąż była Nocnym Ptakiem.

– Właśnie odbyłam ciekawą pogawędkę z twoim bratem.

– Ach tak? – Matilde wstrzymuje oddech.

Babcia siada na ławce i poklepuje wolne miejsce u swego boku.

– Tak. A teraz chciałabym usłyszeć od ciebie, co się wydarzyło dziś wieczorem.

Matka wierciła jej już o to dziurę w brzuchu, wyliczając na palcach wszystkie przewiny: po pierwsze, przyprowadziła Æsę za późno do domu i do tego pijaną. Po drugie, spędziły wieczór w klubie dla dżentelmenów. A po trzecie, Matilde źle się prowadzi i jest krnąbrna, a to po prostu niewybaczalne. Ale to rozmowa z babcią będzie znacznie gorsza.

Matilde siada, próbuje ubrać myśli w słowa, zbiera się na odwagę, lecz babcia pierwsza zabiera głos.

– Samson twierdzi, że w hotelu wybuchł jakiś dziwny pożar. – Stuka dwoma palcami w wierzch dłoni Matilde: w ten sposób przyzywają się Nocne Ptaki. – Powiedz mi, kochanie, czy to twoja sprawka?

Serce Matilde łomocze. Skąd babcia może to wiedzieć? Jak na to wpadła?

– Ja... – Głos więźnie jej w gardle. – Nie chciałam.

Babcia wypuszcza powietrze.

– Opowiedz mi, co się stało.

Instynktownie chce skłamać, ale pragnienie uzyskania odpowiedzi okazuje się silniejsze niż strach przed naganą. Tak więc wyznaje babci, co powiedziała Tenny'emu w sali balowej i co wydarzyło się w Klubie Kłamców. Ale gdy ma się przyznać do spotkania z Dennanem, coś ją powstrzymuje. Już i tak złamała zbyt wiele zasad.

Milknie, cisza się przeciąga. Zza kamiennego muru dolatuje plusk kanału, w oddali słychać muzykę, ale ten ogród to ich prywatny mały świat. Wracają do niej słowa Aleca: „Wolałbym, żebyś czasami wyjrzała za mury swojego ogrodu i zobaczyła, co się naprawdę dzieje”. Teraz, gdy tak tu siedzi, ranią nawet bardziej niż wtedy.

Babcia w końcu zabiera głos:

– Tak mało wiemy o tym, co naprawdę potrafiły Ogniste Ptaki. Ojcowie palili albo zakopywali źródła, wiele prawdziwych informacji zostało ukrytych lub przepadło na zawsze. Znamy tylko te opowieści, które Wielkie Rody przekazują sobie z pokolenia na pokolenie, a i one zostały przeinaczone. Pytanie jak bardzo...? Według naszej rodzinnej legendy ty i ja jesteśmy potomkiniami Ognistych Ptaków, które władały ogniem.

Matilde spogląda na swoje dłonie. W zimowe noce ona i Samson wkładali palce do kominka, chcąc się przekonać, kto więcej wytrzyma. Ale płomień nigdy nie parzyły jej tak jak brata. Czy ten ogień zawsze mieszkał w niej i tylko czekał?

– Mówią, że kobiety posiadające magiczną moc zawsze skłaniały się ku jednemu z żywiołów – ciągnie babcia – a ich zdolności kształtowały ziemia, ogień, woda albo wiatr. Myślę, że to nadal ma na nas wpływ, choć nie rozumiemy tego zjawiska. Niekiedy kłębi się w nas cząstka tamtej dawnej magii. Zdarza się, że któraś z dziewczyn dotknięciem palca potrafi zamrozić wodę, przyzwać metal lub ogrzać pokój.

– Babciu, a czy ty też to potrafiłaś? – wyrywa jej się. – Zdarzało ci się używać magii?

Znów cisza, tym razem krótsza.

– Tej, która ma związek z żywiołami? Nie, nigdy.

– A swojego daru Nocnego Ptaka?

Babcia się napina.

– A tobie, Matilde? Zmieniłaś postać?

– W klubie. – Kiwa głową. – Twarz, włosy, ubrania i głos... wszystko.

– A dziewczyny? – pyta babcia. – Im też się udało?

– Tak – potwierdza, wypuszczając powietrze. – Każdej z nas.

Sądziła, że babcia okaże zdumienie, ale tak się nie stało. Splecione dłonie spoczywają spokojnie na kolanach. Matilde przetrząsa w głowie ostatnie tygodnie, przypomina sobie ukradkowe szeptki babci i Lety – jej oddech przyśpiesza. A Krastan...? Wraca do niej ich niedawna rozmowa.

„Przecież wiesz, że nie mogę stosować magii na własny użytek”.

„Jeszcze nie, Stella. Jeszcze nie”.

Zupełnie, jakby wiedział – jakby wiedzieli coś, czego ona nie wie.

– Przeczuwałaś, że to się może wydarzyć – szepcze. – Mam rację?

– Och, kochanie. – Babcia zamyka oczy, tylko na chwilę. Wciąż jest piękna, ale teraz wydaje się postarzała. – Powinnam powiedzieć ci więcej.

– W takim razie powiedz mi teraz.

Babcia wbija wzrok w swoje lilie. Słodki zapach skrywa subtelną nutę zgnilizny.

– Jak już wiesz, mój dar był inny niż twój. Byłam Gorzykiem, z moją pomocą klienci wydawali się bardziej pociągający tym, do których chcieli się zalecać. Latem po swoich siedemnastych urodzinach odmówiłam przyjmowania klientów. Burzyłam się na myśl, że mam poślubić kogoś, kogo mi wybiorą. Tak jak ty. Gdy przestałam się dzielić magią, zaczęła pojawiać się na moje wezwanie. Mogłam zmienić wygląd swoich oczu albo włosów, robić różne sztuczki ze swoją skórą, jak szachraje. Im dłużej trzymałam magię dla siebie, tym częściej się zjawiała.

Matilde zaciska palce na brzegu ławki. Jakaś mroczna prawda właśnie owija wokół niej swoje pędy, groźne kolce mogą przebić skórę.

– Powiedziałam o wszystkim matce, a ona kazała mi zachować to w sekrecie, dzielić się swoim darem i nie myśleć za wiele. Dziewczyny, które postępują inaczej, są zagrożeniem dla systemu stworzonego, aby je chronić. Oczywiście miała rację, ale ja zrobiłam się zuchwała. Jak mogłabym nie? Któregoś dnia ktoś przyłapał mnie na korzystaniu z mocy. To był jeden z ojców.

– I co się stało? – Matilde czuje ciarki.

– Zaczął mnie ścigać. Uciekłam i pobiegłam do chłopaka, z którym spotykałam się wtedy po kryjomu. Ukrył mnie na poddaszu w sklepie swojego ojca. Potem znalazł sposób, by na zawsze uciszyć mego prześladowcę. Nigdy nie pytałam, jak to zrobił... Wolałam nie wiedzieć. Ale byłam mu wdzięczna za to, że chciał zapłacić za mój błąd.

Matilde ma w głowie mętlik. Tyle pytań, nie wie, które zadać najpierw.

– Dziadek był synem sklepikarza?

– Och, Matilde. – Babcia się śmieje. – Trzymamy się kurczowo opowieści, które znamy.

Nagle gałęzie drzew są za blisko, a ziemia pod bosymi stopami Matilde zdaje się zbyt miękka.

– Chyba nie mówisz o Krastanie?

– Nie bądź snobką. – Usta babci drgają czule, ale też ze smutkiem. – Kiedyś byliśmy młodzi, szaleliśmy za sobą. Ale nawet po tym, co dla mnie zrobił, mój ojciec nigdy nie zgodziłby się na nasze małżeństwo. Moja ucieczka wywołała nie lada skandal, tak więc niezwłocznie przyobiecano mnie twojemu dziadkowi.

Po tych rewelacjach umysł Matilde wykonuje gwałtowną woltę. Zawsze gdy Krastan powtarzał, że kocha Frey, myślała, że to w żartach. Na pewno nie sądziła, że babcia mogłaby kochać jego. Syn alchemika i dziewczyna z Wielkiego Rodu? Nie do pomyslenia. Przed oczami stają jej miękkie loki Aleca i jego delikatny uśmiech.

– Zdawało mi się, że kochasz dziadka.

Babcia wzdycha.

– W końcu go pokochałam, ale jakaś częśćka mojego serca na zawsze pozostała w pokoju na poddaszu nad sklepem Krastana. Tam odnalazłam to, czego więcej nie udało mi się znaleźć.

W głowie Matilde rodzi się pytanie, ale to tak jak z kamieniami w ogrodzie, które Samson odwracał z taką lubością, piszcząc z zachwyty na widok stworzeń kryjących się pod spodem. Obawia się tego, co może znaleźć pod tym konkretnym kamieniem, a jednak musi zapytać. Poznać prawdę.

– Czy Krastan Padano jest moim dziadkiem?

Babcia nic nie mówi, ale milczenie to najlepsza odpowiedź. Matilde nie może złapać tchu.

– Czy matka o tym wie? – pyta.

– Nie.

– A Krastan?

– Coś podejrzewa.

Czy to dlatego zawsze patrzy na nią z taką czułością? Przez tyle lat on także skrywał przed nią ten sekret.

– Mogłaś uciec – mówi. – A ty po tym wszystkim porzuciłaś Krastana. Pozwoliłaś na to?

Babcia się prostuje, dostojna jak zawsze.

– Spełniłam swój obowiązek. Dla kobiet takich jak my to jest najważniejsze.

Matilde przypomina się kolekcja motyli ojca. Nadal wisi nad jego masywnym dębowym biurkiem. Pamięta, jak ostrożnie przypinał je do aksamitnej podkładki, sprawdzał, czy w pokoju jest wystarczająco sucho i chłodno, aby skrzydełka się nie pomarszczyły. Uwielbiał te motyle, inni zbieracze zazdrościli mu kolekcji. Było to jednak niepokojące, choć Matilde nigdy się nad tym nie zastanawiała. Wystawa martwych owadów, przyszpilonych za skrzydełka tylko po to, by można je podziwiać. Piękno na zawsze uwięzione pod szkłem.

Wstaje, przechadza się po trawie. Słodkie szemranie fontanny zdaje się z niej szydzić. Lilie dławia swoją słodyczą – Matilde najchętniej by je powrywała.

Dlaczego dopiero teraz poznaje te sekrety, odkrywa prawdę?

O Krastanie oraz magii Nocnych Ptaków. Cały czas mogła sama z niej korzystać, ale nawet nie wpadło jej to do głowy. Dorastała w przekonaniu, że takie rzeczy są niemożliwe – tak jej mówili, a ona uwierzyła.

– Martwiłam się, gdy Leta zamknęła interes – przyznaje babcia. – Powiedziałam jej, że wkrótce zaczniecie się czegoś domyślać.

Czy o tym szeptały ze sobą po kryjomu? Jak by tu utrzymać ptaszki w nieświadomości?

– I ukrywałaś to przede mną. – A przecież ich złota zasada głosi: „Innym można kłamać, ale sobie mówimy prawdę”. – Wiedziałaś i nic nie powiedziałaś.

– Kochanie, zawsze byłaś takim nieposkromionym dzieckiem. Nie potrafiłam przewidzieć, co zrobisz, gdy się dowiesz, że możesz używać swego daru w taki sposób. Lepiej, żeby niektóre prawdy nie wyszły na jaw.

Matilde czuje ogień w piersi. Jak babcia może w ogóle tak mówić? Łzy pieką.

– Powinnaś mi powiedzieć.

Babcia wzdycha.

– Nie chciałam tego przed tobą ukrywać. Naprawdę. Ale sądziłam, że mogę cię uchronić przed popełnieniem moich własnych błędów.

– Nieprawda! Chciałaś mnie utemperować – odburkuje Matilde. – Dobra dziewczynka, grzeczna dziewczynka... Do stu piekieł, jesteś zupełnie jak matka!

Słowa powoli cichną, wchłania je powietrze przesiąknięte zapachem lilii.

– I bez tego niełatwo utrzymać Nocne Ptaki w sekrecie – mówi babcia wyjątkowo spokojnie. – Kiedy któraś z dziewczyn zaczyna używać czarów, jeszcze trudniej to ukryć i... nie wspominając o oddawaniu magii.

– Niby czemu mamy ją oddawać? Przekazywać komuś swoją moc?

Babcia utkwiała w niej oczy. Skrzą się mimo ciemności.

– Gdy ostatnie z żyjących Ognistych Ptaków ukryły się w Simcie, przestały korzystać z magii żywiołów. Wiesz dlaczego tak było?

Oczywiście, przecież wychowywała się na tych opowieściach.

– Ponieważ trudno było ją ukryć przed paskudnymi typami dzierżącymi płonące miecze.

– Matilde, duchowni robili z tymi kobietami naprawdę okropne rzeczy. Ale nie tylko oni... niekiedy krzywdzili je sąsiedzi, a nawet przyjaciele. Krążą historie o ludziach, którzy próbowali zebrać magię Ptaków i zabutelkować jak jakąś alchemiczną miksturę. O królach szukających sposobów, by je kontrolować i wykorzystać ich magię jako broń. Jeszcze inni prześladowali je ze strachu: kobieta posiadająca tego rodzaju moc stanowi zagrożenie. To dlatego członkowie Rodów nakłonili je do utrzymywania magii w sekrecie. Ogniste Ptaki nie

wiedziały, że w ten sposób magia zwróci się do wewnątrz, przyjmie dziwny, nieco pokrętny kształt i kierunek, ale zaakceptowały to. Łatwiej ukryć coś, czego nie widać.

Słowa babci przywodzą jej na myśl psy Gwardzistów. Hodowcy starają się, by u szczeniąt rozwinęły się pewne cechy, a inne próbują wyplenić. Rody zrobiły to samo – zadbały o to, by Nocne Ptaki zostały z darem, który łatwo opanować i wykorzystać. Udoskonalily narzędzie, pozbywając się zagrożenia.

– To było tak dawno temu... – Babcia usiłuje przekonać ją do swoich racji. – Już nawet nie pamiętamy, czemu te kobiety pozwoliły, by Rody nimi pokierowały. Wolały poświęcić swoją magię, niż się ujawnić. Życie jest niebezpieczne, Matilde, dla nas i dla wszystkich wokół. A kim my jesteśmy, żeby zwracać się przeciwko wyborom naszych poprzedniczek, kwestionować ich wyrzeczenia?

Wyrzeczenie, honor, obowiązek. Te słowa są jak klatka.

– Wiem, że ci się to nie podoba – ciągnie babcia. – Ale taki jest system. Musimy pokładać w nim zaufanie. Rody dołożyły wszelki starań, żeby dziewczyny nie skazały się na zagładę, zbaczając ze ścieżki. Jeśli któraś zaczyna błądzić, przywołuje się ją do porządku. Nie chcę, żeby spotkało to ciebie.

Matilde wciąga powietrze. Niby co to ma znaczyć? Rozbrzmiewa w niej gniewny głos Sayer: „Zdaje ci się, że jesteś nietykalna, bo masz elegancki dom i nazwisko, które się liczy. Moja matka też tak kiedyś myślała. Ale przekonała się, że to nieprawda”. Matka dała Matilde do zrozumienia, że Nadja Sant Held sama doprowadziła się do upadku. Ale może to kolejne kłamstwo?

– W takim razie co mam robić? – pyta szeptem. – Zdusić to i zapomnieć?

Babcia wstaje, na jej twarzy malują się cienie.

– Musimy wydać cię za mąż. Im szybciej, tym lepiej. Powinnaś poważnie się zastanowić nad Tennem Maylonem.

– To chyba jakiś żart. – Żołądek jej się przewraca.

– Uciszysz go tym – wyjaśnia babcia. – Chłopak jest wystarczająco miły... mimo swoich słabości.

Matilde rozdziawia usta z przerażenia, gapi się na babcię. Oczy jej posmutniały, ale obstaje przy swoim. Kobiety z rodu Dinatrisów spełniają swój obowiązek, choćby nie wiadomo jak przykry. Dlatego oczekuje, że wnuczka też tak postąpi.

„Zdaje ci się, że jesteś nietykalna, bo masz elegancki dom i nazwisko, które się liczy”.

„Zedrzyj wreszcie z oczu tę pozłacaną przepaskę”.

Nie musi, w końcu sama spadła.

Zza ogrodzenia dobiega hałas: wpierw szuranie, a po chwili łomot, od którego trzeszczy drewniana brama.

Babcia marszczy brwi.

– Kto to może być o tej godzinie?

Odpowiada głos, w którym żwir miesza się z solą:

– Żołnierze Marrena przybyli wymierzyć sprawiedliwość!

Babcia zasłania Matilde, popycha ją w stronę domu.

– Ojcowie nie znajdą tu żadnych winnych.

– Odpowiedź godna czarownicy.

Przeszywa ją dreszcz, przerażenie zaciska się na niej jak sznur.

Znów słychać szuranie i łomot, tak potężny, że brama drży w posadach. Fanatycy ją wyważają, wedrą się do środka.



SAYER WYGLĄDA przez okno w domu Lety, obserwuje pogłębiającą się ciemność. W pokoju jest za spokojnie, zbyt duszno. Marzy o podmuchu bryzy, ale powietrze ani drgnie.

Pomimo zmęczenia nie może spać – nie po takim wieczorze. Ma nadzieję usłyszeć trąbkę Rankina – wezwanie do boju albo chociaż wieści. Potrzebuje jakiegoś zajęcia. Chciałaby się zobaczyć z Fen, ale odkąd wróciła, Leta nie spuszcza jej z oczu. Jak zjawa snuje się po domu – Sayer słyszy każdy jej ruch.

Nie wie, co o tym wszystkim myśleć ani co czuć. W głowie w kółko widzi scenę z ojcem. Nie może przestać, odkąd wyszły z hotelu. Pamięta, w jaki sposób wyrażał się o Nocnych Ptakach i jeszcze palce ojca wpijające się w jej rękę. Mściwa satysfakcja, jaką czuła kilka godzin po zastosowaniu magii, gdzieś się ulotniła, pozostawiając jedynie tępy, gniewny ból.

Nie podejrzewała, że spotkaniu z Wyllem Regnisem będą towarzyszyć takie uczucia. Że aż tak ją to zaboli. Jest niemal pewna, że ojciec nikomu o tym nie

piśnie – jedno dobre. Wcześniej też się pilnował, udawał, że Sayer nie istnieje, ale teraz, gdy już wie o jej magii... przecież uchodzi za abstynenta. Nie chciałby, żeby ktoś się dowiedział, że ma taką córkę.

„Jestem sierotą – myśli. – Nie mam rodziny”.

Oczywiście wiedziała to już wcześniej, ale dopiero teraz ta myśl tnie niczym ostrze.

Pukanie do drzwi. Sayer wypuszcza powietrze.

– Wejź.

Do pokoju wpada Leta, ubrana w szlafrok wyszywany w czarne łabędzie; ciemne włosy starannie odgarnęła do tyłu. Widują się codziennie, a jednak Leta rzadko zagląda do jej sypialni. Czy zaskoczyło ją, że Sayer jest w spodniach skradzionych z którejś z licznych szaf w tym domu? Jeśli tak, to nic nie mówi.

– Dobrze, że nie śpisz. Musimy porozmawiać.

Sayer podciąga nogi. Leta przysiada na brzegu siedziska przy oknie, czekając, aż cisza zaciśnie szpony. Dawniej była Sroką, której dar pozwalał odnaleźć innym to, co głęboko ukryte. Jej wyostrzone spojrzenie często budzi wątpliwości Sayer. Czy w żyłach Lety aby na pewno nie krąży już magia? Po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru nie wydaje się to aż tak nieprawdopodobne.

– Kochałam twoją matkę – mówi.

Nie to spodziewała się usłyszeć.

– Razem byliśmy Nocnymi Ptakami. O tym na pewno wiedziałaś.

Tak, to ma sens: były w podobnym wieku, przyjaźniły się. Leta jako jedna z niewielu wpadała do nich z wizytą.

– Miała w sobie tyle miłości. – Na ustach Lety majaczy uśmiech. – Sama słodycz. Inne Ptaki z początku źle mnie traktowały. Nie chciały się przyjaźnić z dziewczyną znaną w burdelu.

A więc plotki na jej temat są prawdziwe. Matilde by się obruszyła, lecz w Sayer budzi to szacunek. Leta zbudowała własny Ród z niczego. Wywalczone przywileje różnią się od tych, które ma się od urodzenia.

– Nie przejmowałam się tym, że mnie oceniały – ciągnie Leta. – Przeżyłam gorsze rzeczy. Ale tamtej nocy, gdy poznałam pozostałe Ptaki, Nadja natychmiast wstała, objęła mnie i powiedziała: „Siostró, tak się cieszymy, że jesteś z nami”.

Choć wiedziała o mojej przeszłości, to nigdy mnie nie oceniała. Otuliła moje zgorzknienie jak ciepły koc.

Sayer odwraca wzrok. Trudno pogodzić się z tym, że kobieta, która cię wychowała, wcześniej prowadziła zupełnie inne życie.

– Powtarzałam jej, żeby nie pozwoliła się zaślepić własnej słodczy. – Cień uśmiechu ustępuje miejsca szorstkości. – Mówiłam, co mężczyźni są gotowi powiedzieć, żeby dopiąć swego. Nasza madame nie przestrzegała zasad tak skrupulatnie jak ja. Objęłam to stanowisko z powodu twojej matki. Zbyt częste wizyty i składanie słodkich obietnic prowadzą prostą drogą do katastrofy. Niestety, gdy Nadja wyznała mi prawdę, było już za późno.

Sayer przelęka ślinę. To ona była tą katastrofą rosnącą w brzuchu matki. Głęboko w piersi czuje ucisk.

– Twój dziadek zakładał, że Wyllo się z nią ożeni. Kto nie chciałby wziąć za żonę Nocnego Ptaka, mniejsza nawet o nieplanowaną ciążę...? Tyle że Regnis zaręczył się wcześniej z dziewczyną z niezwykle zamożnej rodziny abstynentów. Zaprzeczył, że spał z Nadją, aby uniknąć skandalu. Był na dorobku, należał do grupy arystokratów z Wielkich Rodów, którzy popierali stanowisko Kościoła w sprawie magii. Nie mógł pozwolić, by wyszło na jaw, że jest kłamcą.

Na twarzy Lety nie widać tyle skrytości co zwykle. Gniewem dorównuje Sayer.

– Twierdziłaś, że byłyście jak siostry... – Głos jej się łamie, niemal drży. – To dlaczego jej nie pomogłaś?

– Próbowałam. – Znów ten ostry ton. – Powiedziałam, że jeśli rodzina się jej wyrzeknie, kupię dla nas dom. Wiem, co to znaczy stracić dziecko. I jakie to zostawia ślady na psychice.

Co może mieć na myśli? Sayer nie potrafi rozgryźć jej miny, nie całkiem pojmuje znaczenie tych słów.

– Ale twoja matka była dumna – ciągnie Leta – i uparta. Wszystko musiało być po jej myśli.

Sayer nie tak ją zapamiętała. Matka, którą znała, skorzystałaby z okazji, by tu zamieszkać. To dlaczego tego nie zrobiła? Gdy pomyśli, że już nie zada matce tego pytania, serce jej pęka.

– Sant Heldowie, rodzice Nadji, zgodzili się przyjąć ją z powrotem... pod warunkiem, że cię odda. – Leta wygląda przez okno, jakby w ciemności widziała

przeszłość. – Powiedzieli, że może donosić ciążę u kuzynów w Thirsku i tam zostawić cię na wychowanie. Mogła wrócić do bycia Nocnym Ptakiem i nikt by się nie dowiedział, co zaszło. Zamiast tego uciekła, przybrała inne nazwisko i ukryła się w Dzielnicy Gryfa. Próbowałam wszystkiego, ale nie zmieniła zdania.

Sayer otwiera szeroko usta.

– Udała się do Dzielnicy Gryfa... z własnej woli?

Leta potakuje.

– Miała bujną wyobraźnię. Sądziła, że jeśli zrobi z siebie męczennicę, to Wyllo zmieni zdanie i do niej wróci. Ale mijały miesiące, lata, on się nie zjawiał, a ona zbyt się wstydziła, aby przyznać się do błędu.

Sayer wie, jak było naprawdę. Wyllo wrócił do Nadji Sant Held – nie żeby ocalić jej honor, tylko zagarnąć moc. „Tak to się kończy, gdy się kogoś potrzebuje”, myśli. Kiedy złoży się swój los w cudze ręce.

W ciemności słycać nawoływanie: może to ptak albo owad? Powietrze jest jak wstrzymywany oddech.

– Czemu mi to wszystko mówisz?

Leta świdruje ją spojrzeniem.

– Wiem, że tak jak ona masz przede mną sekrety, i nie zamierzam powtórzyć błędów, które popełniłam w jej przypadku.

Sayer wciąga powietrze. Może pora zaufać Lecie – opowiedzieć jej o tym, co się wydarzyło w klubie.

Znów ten odgłos za oknem, tym razem jeszcze głośniejszy.

– Na brudne moniaki! – Leta marszczy nos. – Czy gdzieś tu dogorywa kot?

Nie, ktoś fałszuje na trąbce, gra coraz bardziej rozpaczliwie. Rankin!

Brama do ogrodu Lety się uchyla. Przybyszka nawet nie próbuje pozostać w ukryciu. Sayer wstaje, wybiega z pokoju, już mknie korytarzem, zbiega po okazałych schodach i wypada na werandę.

– Fen, co ty wyprawiasz?

Szczwany Lis otwiera usta, akurat gdy zjawia się Leta.

Sayer szykuje się na najgorsze. Bieguska tutaj, w tym ogrodzie? Leta każe ją aresztować. Ale tylko lustruje ją wzrokiem.

– Czy my się znamy? – Przekrzywiła głowę, jej głos brzmi obco.

– Nie. – Fen ledwie zaszczyca ją spojrzeniem. – I nie poznamy się.

Sayer spogląda na jedną, to znów na drugą, atmosfera zgęstniała jak fusy po kawie. Na słodkie mroczne czeluści, co się tu dzieje?

Fen zwraca się do niej:

– En Caska Dae zaraz zrobią nalot na posiadłość Dinatrisów.

Sayer klnie. Tenny Maylon musiał wszystko wyśpiewać. Arogancja Matilde zbiera swoje żniwo.

– Skąd to wiesz? – Leta bardziej żąda odpowiedzi, niż pyta.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odparowuje Fen. – Tig, jeśli chcesz im pomóc, to lepiej nie czekaj.

Rzuca jej maskę, tanią i błyszczącą – mieszkańcy Dzielnicy Gryfa noszą takie podczas krótkonocnej parady. Sama przywdziewa uśmiechnięty lisi pysk.

– Zaczekaj. – Myśli w głowie Sayer kłębią się jak szalone. – Wybierasz się ze mną?

– Jeśli ty idziesz, to ja też – mówi Fen. – Cienie trzymają się razem.

Tak brzmi przysięga Ciemnych Gwiazd. Sayer przetyka ślinę.

– Nigdzie nie idziecie. – Głos Lety jest słaby i zduszony.

Fen kieruje na nią wzrok.

– Rzucisz dwie dziewczyny na pożarcie fanatykom?

– Zawiadomię Rody.

– Pomoc przybędzie za późno.

Leta odwraca się do Sayer.

– Zostań, to rozkaz.

Może powinna – nie pisała się na bycie bohaterką. Ale przecież nie zostawi dziewczyn na pastwę losu.

Najmilsza, czy pamiętasz opowieści, do których dotarłem wiele lat temu? Te, które dotyczyły niegdysiejszych Ognistych Ptaków. Wiem, że mówiąc Matilde, iż swój dar może jedynie przekazywać innym, usiłujesz ją chronić. Ale, Frey, w ten sposób pozbawiasz ją mocy, tak jak zrobiono to z Tobą, gdy ode mnie odeszłaś. Przycinasz jej skrzydła, a to znaczy, że nie pozwalasz jej fruwać.

– NIEWYSŁANY LIST
KRASTANA PADANO
DO LADY FREY DINATRIS

ROZDZIAŁ 11

ZDEMASKOWANE

ÆSA OBSERWUJE Matilde i Lady Frey przez okno swojej sypialni. Naraz do ogrodu wpada banda chłopaków w burych szatach. Na piersiach mają insygnia, których nie rozpoznaje. Wielu dzierży kusze. Na ten widok żołądek podchodzi jej do gardła.

Ktoś łapie ją za rękę: to Oura, matka Matilde.

– Zostań tu – szepcze. – Gdyby zbliżyli się do domu, nie wychodź z ukrycia.

Serce Æsy wali jak oszalałe.

– Kto to taki? Co się dzieje?

Wargi Oury zaciskają się w wąską, pomalowaną na ciemny kolor linijkę.

– Nic dobrego.

Wybiega na korytarz. Æsa odczeka chwilę, po czym rusza za nią. Okazałymi schodami zstępuje po cichu do jadalni. Okno tarasowe zostawiono otwarte na powitanie bezwietrznej nocy. Æsa kryje się za zasłoną. Wygląda zza framugi i widzi Oure, która z zaciśniętymi pięściami wychodzi na werandę.

– Wkraczacie tu bezprawnie – odzywa się Lady Frey. – Jeśli natychmiast nie odejdziecie, poniesiecie konsekwencje.

– Odpowiadamy wyłącznie przed Marrenem i Eshamein – warczy mężczyzna na czele pochodu. Głos ma niski i chłodny. – Tobie nie musimy się tłumaczyć.

Jest starszy od reszty, jego twarz znaczą blizny i czerwone smugi namalowane farbą. Zupełnie jakby ktoś zanurzył dłonie w krwi i odcisnął mu ślady na policzkach.

Æsa czuje ciarki na skórze – widziała już tę twarz w snach lub przynajmniej wydawało jej się, że wówczas śniła. Teraz czuje się raczej, jakby to był koszmar na jawie.

Samson zamaszystym krokiem wychodzi na werandę i staje obok matki, włosy ma w nieładzie.

– Co to ma znaczyć? Kim jesteście?

– Jestem Czerwoną Ręką Marrena – odrzeka mężczyzna. – A to jego słudzy, Płonące Miecze.

Æsa mocno ściska zasłonę. Lady Frey i Matilde pomału cofają się na werandę, ale chłopaki w burych szatach okrążają je, zwierają szyki.

– I niby czego tu szukacie? – prycha Samson.

– Przychodzę po czarownicę. – Czerwona Ręka wskazuje Matilde.

Jej brat zdusza śmiech.

– Rozum ci odjęło?

Lady Frey stawia czoło napastnikom.

– Rzucacie ciężkie oskarżenia.

– To coś stanowi zagrożenie. – Głos Czerwonej Ręki przywodzi na myśl przyływ, niemal hipnotyzuje. – Posługuje się czymś, co nie należy do niej, a zostało skradzione Źródłu. Pora, by odpowiedziała za swoje zbrodnie.

Oura przemawia z wściekłością:

– Moja córka nie popełniła żadnej zbrodni. Za kogo się uważasz, że ośmielasz się tak twierdzić?

– Na pewno nie jest Gwardzistą – stwierdza spokojnie Lady Frey. – Nie macie prawa tu być!

– Zgadza się. – Samson zszedł ze schodów, przeciska się przez grupkę Caska aż do fontanny, a tam staje twarzą w twarz z Czerwoną Ręką. – Słuchaj no, to jest mój dom. Odejdźcie stąd czym prędzej albo pożałujecie.

– Nasze miecze płoną w słusznej sprawie. – Mężczyzna obnaża zęby. – Ogień nic sobie nie robi z twoich pogrózek.

Daje znak palcem, coś tnie powietrze: to strzała. Wbija się w prawe ramię Samsona. Chłopak upada na kolana, Oura z krzykiem zbiega po schodach na pomoc. Matilde też biegnie do brata.

Czerwona Ręka rzuca się w jej stronę, udaje mu się schwycić pasek wyszywanej koralikami torebki. Æsa nie może dostrzec wyrazu twarzy Matilde, ale czuje jej strach.

– Ani mi się waź!

Słysząc donośny świst.

Lady Frey krzyczy:

– Matilde, nie!

Czerwona Ręka zatacza się do tyłu. Matilde trzyma coś w dłoni. Wygląda to jak dziecięca piłka, tyle że świeci, a właściwie... płonie.

Chłopaki w burych szatach robią na czołach znak Eshamein. W ich przerażonych oczach odbija się blask ognistej kuli.

Twarz Matilde pała wściekłością.

– Nikomu nie wolno nachodzić bezprawnie rodu Dinatrisów. Odejdźcie albo wszystkich was spalę.

Nikt się nie porusza, stoją jak sparaliżowani. Na twarzy Czerwonej Ręki pojawia się wyraz niepojętego uniesienia. Wreszcie daje rozkaz:

– Pojmać ją!

Kilku odważniejszych Caska rusza w jej stronę. Matilde miota ogniste kule. Trafia w szaty jednego z chłopaków: on krzyczy, a pozostali próbują ugasić płomienie. Matilde już posyła kolejną kulę. Skąd je bierze? Jej koszula nocna, miejscami poczerniała, nosi ślady przypalenia. Płomienie zdają się omiatać jej skórę, lecz nie parzą.

Chłopaki w burych szatach miotają się, usiłując dosięgnąć Matilde. Chyba chcą ją pojmać, ale nie zabić. Æsa wie, co się za chwilę stanie, już jej się to przyśniło: Czerwona Ręka sięga do swojej burej szaty, grymas wykrzywia jego dziobatą twarz i coś błyska pośród ognistych kul.

W piersi Æsy burzy się ocean.

– Matilde, uważaj!

Wypada przez drzwi tarasowe, instynktownie wyrzuca ręce w górę. Magia płynie przez nie i wylewa się z niej rozedrganą falą. Woda w fontannie podnosi się i z łoskotem spada na ziemię, po czym otacza Matilde murem. Czerwona Ręka zamachuje się nożem, lecz ostrze nie może się przebić, bo woda zmieniła się w taflę lodu. Æsa dostrzega zza niego Matilde, która wpatruje się w nią ze zdumieniem.

W nosie wierci ją morska mgiełka, w uszach słyszy szum fal – czuje się jak *sheldar*. O bogowie, litości, prawie jej się to podoba.

Czerwona Ręka, wściekły i triumfujący, podnosi wzrok.

– Jeszcze jedna – warczy. – Bierzcie ją!

Kilku chłopaków w burych szatach rusza w jej stronę z kuszami. Mogłaby uciec z powrotem do domu, ale Matilde jest uwięziona w łodzi, a Lady Frey i Oura zostały przy fontannie, pochylają się nad Samsonem. Nie może ich porzucić.

– Chodźcie z nami po dobroci – rozkazuje Ręka – a nikt więcej nie będzie musiał cierpieć za wasze grzechy.

Grzechy. Wystraszona tym słowem, opuszcza ręce. Ściana lodu pęka, topi się i spływa na trawę. Bure chłopaki podkradają się nieco bliżej: zostaną pojmane. Szloch wzbiera jej w gardle.

Nagle rozlega się szum: wicher smaga zastałe powietrze. Czerwona Ręka upada na trawę, zwalony z nóg podmuchem. Chłopaki w burych szatach padają jak muchy, jeden łapie się za brzuch, drugi chwyta dłonią za gardło. Jeszcze inny zamachuje się na niewidzialnego przeciwnika, lecz zostaje powalony, jakby oberwał w szczękę. Kusze wylatują z rąk, lądują w krzakach. Coś błyska w powietrzu: wirujące cienie. Gdy zmruży oczy, to niemal widzi...

O bogowie mili. Sayer?!

Są z nią jeszcze dwie zamaskowane postaci, które rozbrajają Caska, zanim ci zdążą zareagować. Skąd się tu wzięły? Jedna jest w masce lisa, a druga – borsuka. Borsuk trzyma w dłoni szklaną kulę. Roztrzaskuje ją o ziemię, gdy dwóch Caska się na niego rzuca. Ze środka ulatuje jakaś substancja, wije się, przypomina drapieżne ptaki w kłębach dymu. Bestie otaczają chłopaków w burych szatach, którzy próbują się od nich opędzać. Jeden piszczy z przerażenia.

W zamieszaniu Æsa podbiega do Matilde. Potykają się, ale w końcu udaje im się dotrzeć do fontanny, gdzie stłoczyła się rodzina Dinatrisów. Powinni wrócić do domu, ale Samson chyba nie może wstać, poza tym tyle tu ciał i tyle kusz gotowych strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Słysząc krzyk, z mroku wyłania się Sayer w masce tygrysicy. Któreś z jej przyjaciół potyka się i upada na kuszę, po czym przetacza się w ich kierunku. To borsuk! Lis z gracją obraca się w stronę Czerwonej Ręki, który ma nóż na

wierzchu. Jeden z Caska rzuca się na borsuka, ale Sayer wyciąga dłoń i zaciska w pięść. Chłopak potyka się, chwytając za gardło, jakby nie mógł oddychać.

– Przestańcie – ryczy Ręka – albo zacznijemy strzelać!

Sayer opuszcza dłoń i chłopakowi udaje się złapać powietrze. Zamaskowana para i Sayer wycofują się do fontanny, bliżej pozostałych. Nie ma już dokąd uciekać.

– Pontifex chciał mieć na dowód jedną – szepcze Czerwona Ręka – a ja przyprowadzę mu całą waszą trójkę. Truciznę kryjącą się na widoku.

Chłopcy w burych szatach przykładają pięści do piersi, wspólnie odmawiają modlitwę. „Ogień, który oczyści świat”. Ich twarze płoną nienawiścią. Æsa nie potrafi opanować narastającego wstydu.

Co pomyśli mama, gdy o tym usłyszy, albo tata? Przypomina jej się Willan, który obiecał, że po nią wróci. „Przysięgałem, że będę cię chronić”. Ale już za późno.

Matilde łapie ją za rękę, wolną dłonią sięga do torebki i coś wyciąga – ciemną fiolkę.

– Chcecie trucizny?! – krzyczy. – To macie!

Fiolka z trzaskiem rozbija się o mozaikową podstawę fontanny. Czarny, gęsty dym kłębi się jak chmura. Nie, to nie dym, tylko... ciemność. O bogowie, ależ to szczybie w oczy. En Caska Dae krzyczą i kaszlą – słyszy ich, ale już nie może zobaczyć.

– Do domu! – woła Lady Frey. – Prędko!

Tylko w którą stronę? W mroku trudno to ocenić. Matilde trzyma ją za rękę, Æsa po omacku szuka Sayer, nie chce jej tu zostawić.

Coś się dzieje, kiedy splatają dłonie. Wspólny dreszcz, a potem nagłe uderzenie krwi do głowy. W porównaniu z tym, co teraz czuje, poprzednie razy, gdy się dotykały, to ledwie zmarszczka na powierzchni wody. Tym razem do życia budzą się woda i światło, kamień i ziemia, wiatr i ogień. Ogarnia ją dojmujące uczucie pełni – wszystko jest tak, jak być powinno. Gdy przemija, brakuje jej tchu.

Ziemia drży, nagle wydaje się osuwać spod stóp. Drzewa jęczą jak statek miotany podczas sztormu i coś prześlizguje się tuż obok Æsy. Zupełnie jakby ogród naraz ożył.

Kiedy Czerwona Ręka znów przemawia, jego głos brzmi nabożnie.

– Ana, czy to ty?

Jeden z Caska krzyczy, a potem kolejny. Po chwili w ciemności przetacza się morze trwoźnych wrzasków.



MATILDE PŁONIE: w środku i na zewnątrz. Czuje nagłe uderzenie ciepła, jak wtedy gdy staniesz za blisko kominka. Chcesz tego, choć wiesz, że możesz się poparzyć. Potem ogień nagle się cofa.

Ogród wypełniają dźwięki: syczenie liści, trzask drewna, przekleństwa i krzyki. Tuż koło jej ucha ze świstem przelatuje coś, czego nie może zobaczyć. Osłona Nocy spowija wszystko, ale to nie potrwa długo. Muszą uciekać.

Chce podnieść Samsona, lecz ktoś ją uprzedził. Ktoś inny łapie ją za rękę, chwiejnym krokiem idą do domu, wchodzą po schodach.

– Widzę cię, mała złodziejko! – krzyczy Czerwona Ręka. – Widzę cię!

Matilde odwraca się tylko raz, już na werandzie, chce się upewnić, że nikt nie został na zewnątrz. Rozdziawia usta. Czy to przywidzenie? Ogród ożył! Pnącza smagają, krzewy duszą. Drzewa wyrwały korzenie z ziemi i owijają się wokół chłopaków z Caska jak węże. Czerwona Ręka trzęsie się z wściekłości, przygwożdżony do fontanny. Utkwił w niej wzrok.

– Nie uciekniecie przede mną! – ryczy. – Karząca ręka Marrena wkrótce was dosięgnie. Sprawiedliwości stanie się zadość!

Matilde wbiega do domu i rygluje drzwi. Jej bliscy opadają na podłogę pod ścianą w holu. Głowa Samsona spoczywa na kolanach matki, która uciska krwawiące ramię syna. Chłopak szuka wzrokiem siostry, krzyżują spojrzenia – ma zamglone oczy.

– Tilde – chrypi – czy ja dobrze widziałem? Wyczarowałaś kule ognia?

Matilde go ignoruje, przykuca. W oczach matki widzi strach. Czego boi się bardziej: En Caska Dae czy tego, co właśnie zrobiła córka?

– Moja siostra ma zdolności magiczne – bełkocze Samson. – I dziewczyna, do której się zalecam, też. Na brudne moniaki, to...

Babcia ucisza go i spogląda na wnuczkę.

– Musicie uciekać.

– Ale... – Matilde marszczy czoło.

– Posłuchaj mnie. Udacie się do Krastana. Nie wracajcie do domu, póki nie dam wam znać.

Przecież tu jest jej świat i jej rodzina. A teraz wszystko legło w gruzach.

– Nie zostawię was.

– Ależ tak – mówi babcia. – Nie masz wyboru.

Matka chwyta jedną z jej dłoni i całuje żarliwie. Babcia ściska drugą.

– Fruń ostrożnie, kochanie. Rozwiń skrzydła.

Ktoś ją odciąga, już biegną.

– Obstawili wejście – dyszy Sayer. – Słyszę, że próbują wyważyć drzwi.

– Dokąd w takim razie? – pyta Æsa.

Wyrywa Matilde z otępienia.

– Na dach!

Docierają na szczyt schodów w chwili, gdy En Caska Dae szturmują hol. Słyszy jeszcze, jak krzyczą do jej bliskich:

– Gdzie one są?! Gadajcie!

Jej serce płonie. Nie odwraca się jednak, nie może sobie na to pozwolić.

Wspinają się coraz wyżej – czy w tym domu zawsze było tyle schodów? W końcu docierają do klapy w suficie, tuż obok pokoju matki. Matilde ściąga ją na dół, gramolą się na strych, który ciągnie się przez cały dom. Jest tu gorąco i czuć stęchlizną.

– Tędy – szepcze, pośpiesznie mijając pamiątki Dinatrisów. Pod paskiem torebki, którą ma na ramieniu, zbiera się pot. Fioletowa koszula nocna z satyny co rusz się o coś zaczepia. Dlaczego, u licha, nie włożyła butów? Nie sądziła, że będzie musiała uciekać w stroju do spania... Tłumi dziki, histeryczny śmiech.

Przechodzą na drugi koniec strychu, Matilde otwiera okrągłe okno o różowych szybach, wychodzi na dach i czeka na pozostałych. Sayer, lis i borsuk wyglądają jak uciekinierzy z dziwnego balu przebierańców. Bez masek są tylko ona i Æsa.

„Zostałyśmy zdemaskowane”.

Biegną do ruchomej kładki: wąskiej, chybotliwej konstrukcji łączącej posiadłość Dinatrisów z sąsiednim domem. Jest tu na wypadek pożaru albo... wtargnięcia fanatyków religijnych. Dopiero gdy wspólnie z Sayer usiłują przerzucić ją na drugą

stronę, Matilde uprzytamnia sobie, że kładki nigdy nie ukończono i nie sięga dachu sąsiadów.

Lis zbliża się do krawędzi i patrzy na ogród. Borsuk podchodzi, obciągając pomarańczową kamizelkę.

– Szefie, na nas pora.

Lis się nie porusza. Usztywnił się, zaciska dłonie w pięści, wydaje się sparaliżowany.

Głos chłopaczka w masce borsuka okropnie się trzęsie.

– Fen? Proszę cię!

Fen. Matilde wzdyga się na dźwięk tego imienia – lis wcale nie jest chłopakiem. To ta bandytka od Sayer. Fenlin Brae bierze gwałtowny wdech i odwraca się w ich stronę. Widać tylko jedno jej oko.

– Rankin, ty pierwszy – mówi.

Borsuk saltuje, puszcza się biegiem, trąbka dynda na pasku przerzuconym przez plecy. Przemyka przez kładkę, skacze nad przepaścią i z łoskotem ląduje na dachu sąsiadów. Za nim skacze lis, odwraca się, macha, żeby je popędzić, ale Matilde nie może się zdecydować. Gdyby tylko mogła mieć chwilę na złapanie oddechu.

Słysząc dźwięk rozdieranego materiału. Matilde się odwraca: to Sayer wyjęła nóż i przecina elegancką satynę.

– Sayer, co do...?

– Koszule nocne – pada odpowiedź – nie nadają się do ucieczek.

Rozcięcie sięga prawie biodra Matilde. Z dołu dolatują coraz głośniejsze krzyki.

– Jazda! – woła borsuk, wyciągając ręce. – Złapiemy was.

Æsa zamarła na skraju kładki, czeka tam w aksamitnym niebieskim szlafroku. Twarz omiatają jej długie jasne włosy w nieładzie.

W pobliżu słysząc kroki – o wiele za blisko. Żołądek Matilde skręca się w przyptywie paniki. Na szczęście babcia uczyła ją, jak nosić maskę, choćby wyobrażoną – pokazywać światu tylko to, co się chce. Dlatego z pełnym przekonaniem chwyta Sayer za rękę i ciągnie w stronę Æsy.

– No dalej, dziewczyny! Skaczemy razem.

Odlicza: trzy, dwa, jeden. Trio Nocnych Ptaków podrywa się do lotu. Przepaść nie jest ogromna, ale od ziemi dzieli je kawał drogi. Ulega wrażeniu, że właśnie wpadła do jakiegoś innego nieznanego świata.

Lądują, prawie się przewracając, ale prędko wstają i już biegną dalej. O biodro Matilde obija się torebka wyszywana koralikami. Stopy ślizgają jej się na gładkich dachówkach, z kolei na szorstkich rozcina je sobie do krwi, ale prawie tego nie czuje. Serce bije jej tak mocno, że mało nie wyskoczy z piersi. Na niebie nad Simtą maluje się zachodzący księżyc. Mijają kolejne domy, przeskakują kładki, pędzą po grzbietach dachów niewiele szerszych niż przedramię. Æsa się potyka, wymachuje rękami. Gdy Sayer pomaga jej ustać na nogach, prawie zrywa z niej szlafrok.

W ciemności Matilde rozpościera ręce jak skrzydła. Stara się nie patrzeć w dół ani za siebie. Jeszcze trzy skoki z dachu na dach i w końcu docierają do ostatniego domu. Czas zejść na ziemię.

Niestety okno na strych jest zamknięte. Lis zamachuje się łokciem, tłucze pomarańczowe szkło i wkłada do środka rękę. Matilde musi coś powiedzieć: cokolwiek, bo inaczej zacznie płakać lub krzyczeć.

– Fenlin, to chyba nie jest twoje pierwsze włamanie?

Borsuk – zdaje się, że ma na imię Rankin – unosi maskę i uśmiecha się, ukazując szczerbę między zębami.

– Zobaczyłabyś ją z wytrychem.

– To nie pora na finezję – burczy Fen.

Biegną przez posiadłość, która na szczęście stoi pusta. Matilde bawiła się tu kiedyś z bliźniakami Laytonów. Dom wygląda inaczej, niż pamięta, zdaje się groźniejszy, ale nie czas bać się cieni, gdy po piętach depczą im chłopaki w burych szatach. Nie można się zatrzymywać. Zbiegają po schodach, wpadają do ogrodu pogrążonego w ciszy, wykradają się przez bramę prowadzącą wprost na ulicę.

– Dokąd idziemy? – szepcze Æsa.

Palce Matilde zaciskają się na metalowej sikorce od Dennana. Nadal tkwi w kieszeni torebki.

– Babcia kazała nam biec do Krastana.

– Żółtego Alchemika? – pyta Sayer. – Jesteś pewna, że możemy mu zaufać?

Matilde wzdycha.

– Zna moją tajemnicę. Podobnie jak jego uczeń. To on uwarzył dla mnie miksturę, dzięki której udało nam się uciec.

– Kocia pożoga, Dinatris – szepcze Sayer ostrym tonem. – Ilu osobom wypaplałaś swój sekret?

– A ty? – odgryza się Matilde, wskazując na Fenlin i Rankina.

– Nie zaczynajcie – prosi szeptem Æsa – nie teraz.

Fenlin odzywa się przyciszonym głosem, zwraca się tylko do Sayer:

– Bogaczka ma rację. To najlepsze miejsce. Alecand Padano, uczeń alchemika, należy do warty Ciemnych Gwiazd.

Matilde nie wie, co to znaczy, ale Sayer najwyraźniej tak, bo tylko wzdycha.

– No to chodźmy.

Przez Dzielnicę Pegaza biegną długo, bo muszą się trzymać bocznych, słabo oświetlonych uliczek. Która to może być godzina? Pewnie pierwsza lub druga w nocy, to dlatego na zewnątrz jest tak mało ludzi. Ćmowe latarnie, jasne i zdradliwe, aż biją w oczy. Szkło i brud wbijają się w podeszwy stóp Matilde. Chwiejne kroki nadają tempo myślom, w kółko tym samym: „Ten człowiek kazał strzelić do Samsona. Próbował mnie pojmać”. Napadł na jej dom, święte miejsce, którego spokoju nikt nie ośmieliłby się naruszyć – sądziła, że tam nic im nie może grozić. Pojawia się też inna myśl: „Æsa i Sayer zaryzykowały życie, by mnie ocalić”. Kiedy to do niej dociera, brakuje jej tchu.

– Tędy – sapie, wskazując szerszą alejkę. Kilka osób gapi się z okien i ganków, ale liczy, że nikt nie rozpozna jej twarzy.

Z tyłu dolatuje krzyk. Czy to Caska? Matilde gwałtownie zmienia kierunek, skręca na schody prowadzące do sutereny, przyciska się plecami do ściany. Tłoczą się tam, wstrzymując oddechy. Czterech chłopaków w burych szatach przebiega tuż nad ich głowami.

Fenlin unosi maskę, ukazując spiczasty podbródek, zieloną przepaskę na oko i zniewalające usta. Chciałoby się je pocałować, jeśli ktoś lubi takie niebezpieczne związki.

– Jest ich więcej. – Rankin wyjrzał na zewnątrz. – Kocia pożoga, nie dają za wygraną.

– Czemu nikt ich nie zatrzyma? – Sayer łypie gniewnie. – Przecież to nie są Gwardziści.

Fenlin wzrusza ramionami.

– Nikt nas z tego nie wyciągnie, musimy sobie radzić sami.

Rozpędzony umysł Matilde układa i odrzuca kolejne plany.

– Nie mogą nas zobaczyć w pobliżu sklepu Krastana, bo się dowiedzą, że nam pomaga.

Sayer zsuwa maskę, pot rosi jej brwi.

– Mogę zmienić się w cień, spróbować zabrać ze sobą Fen i Rankina.

Fenlin kręci głową.

– Nie, Tig. Lepiej trzymaj to dla siebie.

Sayer i Rankin odzywają się jednocześnie, Fen mówi coś do Æsy. Matilde ściska swój medalion, stara się nie widzieć tego wstrętnego człowieka – Czerwonej Ręki. Najgorsze, że teraz już wie, kim ona jest i gdzie mieszka... Wdarł się do jej życia.

Chciałaby mu coś zabrać.

Zamyka oczy. Nie ma żadnej rzeczy, która do niego należy i pomogłaby jej się przemienić, ale to bez znaczenia. Doskonale pamięta jego dłonie, suche i pomarszczone jak pergamin, i jeszcze te ciemne oczy płonące nad przeraźliwym odciskiem dłoni na jego twarzy. Błyska płomień, Matilde czuje w ustach smak popiołu, gorąco, które przenika jej ciało, połyskuje niczym druga warstwa skóry.

Otwiera oczy, Rankin się na nią gapi.

– Na brudne moniaki, panienko, co się stało z twoją twarzą?

Podnosi wzrok, wszyscy zwrócili na nią zaskoczone spojrzenia. Niepewnie dotyka policzka.

– Aż tak źle?

– Raczej dobrze... – Sayer mruga ze zdziwienia. – Jak dwie krople wody.

Fenlin wygląda, jakby zobaczyła ducha.

– Nie ma co, ładnie to ujęłaś.

Matilde przymruża powieki i spogląda na swoje dłonie, ale widzi łapska Czerwonej Ręki. Wzdryga się.

– Czy mój głos brzmi jak jego? – pyta. – Nie potrafię tego stwierdzić.

Wszyscy kiwają głowami. Matilde przedstawia im plan. Sayer nie chce się rozdzielać, ale udaje się ją przekonać, że tak będzie lepiej. Po chwili zamienia się

w cień, a Fen i Rankin skradają się tuż za nią: ma być zwiadowczynią. Tymczasem Matilde chwytając Æsę za rękę i modli się, by magia nie przestała działać.

Zaledwie przecznicę dalej natykają się na kilku chłopaków z Caska. Dzięki bogom nie ma z nimi Czerwonej Ręki.

– Panie? – pytają wyczekująco. – Co rozkażesz?

Matilde chce przemówić, lecz dławi ją strach.

„Nigdy nie zdejmuj maski – przypomina jej się zasada Nocnych Ptaków. – Nie pozwól, by cię zobaczyli”.

– Udało mi się ją pojmać – mówi. Skradziony głos brzmi pewnie, nie zostawia miejsca na wątpliwości. – Reszta pobiegła tam, w stronę kanału. Prędko, łapcie ich!

Wahają się, wgapieni w Æsę. „A niech to!”

– Słyszeliście, co mówię? – warczy Matilde. – Biegiem!

Robią znak Eshamein na wysokości serca, ruszają.

Żołądek jej się przewraca, skóra mrowi, jakby pełzły po niej ćmy płomieniste. Trudno przez to zebrać myśli.

– Matilde – szepcze Æsa. – Widać twoją twarz.

– W takim razie lepiej się pośpieszmy. – Wyciera ręce w dół koszuli nocnej.

Zakradają się do jakiejś uliczki, kryją w mroku. Skręcają raz i drugi, w końcu ukazuje im się sklep Krastana. Sayer, Fenlin i Rankin już tam czekają, za bardzo na widoku.

Ona i Æsa biegną w tamtą stronę. Matilde przekręca zamek, lecz drzwi nie ustępują, jest po godzinach. To nic, Krastan będzie na górze – musi być. W innym wypadku nie mają dokąd pójść.

Tłucze pięścią w żółte drzwi, niemal pewna, że zaraz za plecami znów usłyszy wrzaski. Stopy ją boją, nie może złapać tchu. Już chce zaryzykować i krzyknąć, ale drzwi gwałtownie się otwierają, ukazując zdumioną twarz Aleca.

– Kocia pozoga, Tilde?

– Wpuść nas. Co za zwariowana noc!

Alecand się cofa, wpadają do środka. Na ladzie pali się tylko jedna świeczka. Powietrze przesiąkło intensywnym ziemistym zapachem ziół, od którego ogarnia ją potworne zmęczenie. Zawsze sądziła, że omdlewające dziewczyny tylko udają, ale zaraz sama osunie się na podłogę.

Alec bacznie im się przygląda.

– Wyjaśnicie mi, o co tu chodzi?

– Krastan powiedział, że mam przyjść, gdybym potrzebowała bezpiecznej przystani w czasie burzy – odpowiada. – Potrzebuję jej... wszyscy potrzebujemy.

Ciemne oczy Aleca obserwują ją badawczo, jakby była trudną do przygotowania miksturą.

– Kto wpadł na wasz trop?

Matilde bierze głęboki wdech.

– Kilku fanatycznych ojczulków.

Alec klnie.

– Ścigają was?

– Ścigali – mówi Rankin – ale ich zgubiliśmy.

– Dzięki za Straszylekka, stary – wtrąca Fenlin, zdejmując maskę lisa. Najwyraźniej doszła już do siebie po tym dziwnym paraliżu na dachu. – Zdały egzamin. A co to za mikstura, którą dałeś Bogaczce? Musisz mi ją przyrzadzić.

– Zrobiłbym to – wzdycha – ale kto wie, do czego jej użyjesz.

Na słodkie mroczne czeluści, skąd zna tę bieguskę? Matilde czuje się zbyt przytłoczona, by o to pytać.

Alec zerka na krwawe ślady, które zostawiła na podłodze, i marszczy brwi.

– Trzymaj. – Wyciąga zza lady zniszczone kapcie i podaje Matilde. – Lepiej, żebyś nie doprowadziła ich tu po nitce do kłębka.

Zamyka drzwi wejściowe, wiedzie ich do korytarza na tyłach. Kapcie są za duże, nie uszli pięciu kroków, a już się potknęła. Młody alchemik otacza ją ramieniem. Chciałaby zażartować, że może wprawdzie powinien zaprosić ją na kolację, ale jest na to zbyt zmęczona. Jak on ładnie pachnie... dymem, liśćmi frennetu. Coś na kształt szlochów niebezpiecznie ściska jej gardło.

W sekretnym pomieszczeniu na zapleczu Alec zdejmuje słój z półki tuż nad podłogą. Kawał ściany rozsuwa się na boki, ukazując drzwi. Kolejny tajny pokój – o tym jednak Matilde nie miała pojęcia.

Ze świeczką w dłoni Alec prowadzi ich do piwnicy skrzypiącymi schodami. W Simcie piwnice są tylko w nielicznych domach: to dlatego, że woda stoi za wysoko i często je podtapia.

– Odsuńcie się – mówi młody alchemik, unosząc róg dywanu. Kryje się tam okrągły właz. Na ciemnej metalowej powierzchni wyryto kwiaty i skrzydlate pegazy.

Sayer marszczy czoło.

– A ja myślałam, że nie ma już podziemnych tuneli. Ponoć je zalało.

– To jedno z największych kłamstw w tym mieście – wyjaśnia Alec.

Zawiasy chodzą lekko, właz otwiera się bez trudu, ukazując ciemny otwór. Alec wyciąga z kieszeni woreczek, potrząsa, aż się zaświeci, i wrzuca w otchłań. Potem opuszcza linę przymocowaną do dywanu i do pokrywy kanału.

– Zwykle czeka tu drabina – mówi. – Zeskok nie jest duży, przytrzymam pokrywę, a wy możecie użyć liny...

Rankin z podskokiem przysiada na brzegu otworu.

– Najpierw nogi, żaden problem.

Rzuca się do środka. Æsa tłumi okrzyk, ale kilka sekund później stopy Rankina uderzają o kamienne podłoże. Chłopak ich nawołuje. Skaczą po kolei, aż wreszcie na górze zostają tylko Matilde i Alec. Uczeń alchemika wyciąga do niej ręce.

– Tilde, nic ci będzie – mówi, widząc, że stoi tam jak sparaliżowana. – Obiecuję.

Tak, ale ten otwór prowadzi gdzieś daleko od jej świata i rodziny. Trudno pozbyć się wrażenia, że powrót nie będzie możliwy.

Przełyka ślinę.

– Ty pierwszy.

Rozchyła usta, jakby pragnął się z nią spierać: właściwie chciałaby tego. Wszystko wydawałoby się normalniejsze. Ale zamiast powiedzieć cokolwiek, zniknął w czeluści.

Matilde trzyma kurczowo torebkę, siada, przekłada nogi i ścisza medalion. Porwany kapeć zsuwa się, leci w dół. Nieraz nosiła po domu kapcie babci, które plaskały o drewnianą podłogę. Tyle że wtedy zamiast strachu przepępniały ją marzenia, a życie wydawało się takie pewne. Ból przeszywa jej serce, lecz świat pędzi naprzód, nie chce się zatrzymać. Trudno, robi dobrą minę do złej gry, zaciska zęby i skacze.

Alec chwytą ją w ramiona. Rozdarta koszula nocna podchodzi jej wysoko do ud, odsłaniając prawie całe nogi.

– Puszczaj! – Matilde się czerwieni. – Nie musisz zgrywać bohatera.

– A ty księżniczki – burczy Alec. – Masz poharatane stopy.

Szamocze się, dopóki jej nie postawi. Pięty pulsują z bólu, ale do celu, gdziekolwiek to jest, zamierza dotrzeć o własnych siłach.

Ciemny tunel ciągnący się w obie strony nie jest zbyt wysoki: Alec mógłby dotknąć łukowatego sklepienia. Matilde przykłada palec do ściany. Gdzieniegdzie wdziera się wilgoć: to pewnie woda z kanału zmieszana z czymś innym – woli nie wiedzieć z czym.

– Co to za miejsce? – szepcze Sayer.

Alec ciągnie za linę, aż na górze zamyka się właz. Świecący woreczek omiata jego policzki lekko purpurowym światłem.

– Kiedyś używano go do transportu, a przynajmniej tak nam się zdaje. Później były tu katakumby. W czasach Wielkiej Apokalipsy to miejsce stało się kryjówką.

Idą, nikt się nie odzywa. Tunel roztacza ostry zapach wodorostów, wilgotny i omszały. Matilde posuwa się naprzód, stara się nie myśleć o mieście, które zostało nad nimi. Z przodu błyska światło. Wreszcie skręcają, zdaje jej się, że wchodzi do kolejnego tunelu. Nie, to raczej wewnątrz kościoła o strzelistym sklepieniu, buchającego kolorami i oślepiającego blaskiem. W górze unoszą się setki świetlnych kul – jak niebo rozgwieżdżone do niemożliwości – migoczą na ścianach, rozjaśniają kolorowe namioty. Widać też stoiska i ludzi – wszyscy się gapią.

– Alec – pyta szeptem – gdzie my jesteśmy?

Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd stanęła dziś na jego progu.

– Witajcie w Podziemiu.



CZĘŚĆ III

CO SIĘ
KRYJE
W MROKU



*Bez względu na to, kim jesteś, powitamy cię z otwartymi ramionami.
Przynieś swe dary, krzywdy i swój ogień.*

– SŁOWA WYRYTE NA ŚCIANIE TUNELU W PODZIEMIU

ROZDZIAŁ 12

PRZYNIIEŚ SWÓJ OGIIEŃ

CHYBA PIERWSZY RAZ w życiu brakuje jej słów. Matilde zerka na Sayer i Æsę, które też rozglądają się dookoła, wpatrują w to olśniewające widowisko. Kiedy Alec znów rusza, po prostu podążają za nim.

Kluczą alejkami tętniącego życiem targowiska, podobnego do Jasnych Wód. Nawet o tak późnej porze panuje tu duży ruch, handel wygląda na nielegalny, a sprzedawcy uwijają się wśród rzędów słoików i fiolek, wymachując rękami. Mężczyzna wyjaśnia klientom, że jego balsam zapewni uczucie chłodu w gorące wieczory, jakaś kobieta zachwala rzemieślnicze herbatki, które nawet skromny posiłek przemienią w istną ucztę. Nieopodal ktoś żongluje szklanymi kulami ku uciechu dzieci. Jedną celowo upuszcza – kula rozbija się o bruk, a tłumek gapiów wydaje stłumiony okrzyk, gdy ze środka ulatuje gaz, przybierając kształt konia w galopie.

Pośrodku brukowanej arterii stoi wielkie drzewo obwieszane świetlnymi kulami. Matilde wyciąga rękę, by dotknąć purpurowego liścia. To drzewo – całe to miejsce – wydaje się niepojęte. Jak to możliwe, że coś tu w ogóle rośnie?

Wszystkie oczy są zwrócone na Nocne Ptaki – zmęczone, oniemiałe ze zdumienia. Na szczęście nikt ich nie zatrzymuje. Alec najwyraźniej jest ich przepustką. Podziemny korytarz ciągnie się w nieskończoność. Matilde zauważa też mniejsze tunele, które od niego odchodzą – kryją się tam bardziej ustronne namioty z latarniami przed wejściem. Spostrzega grupkę mężczyzn grających w karty i kobietę kołyszącą grymaśne niemowlę. Czy to możliwe, że ci ludzie tu mieszkają?

Na końcu tunelu jest niewielkie łukowate przejście. Alec prowadzi ich tamtędy do wnęki pełnej rozgadanych panien. Część z nich otoczyła kręgiem dziewczynę o niesfornych lokach, ubraną w spłowiałą białą sukienkę obszytą mnóstwem staromodnych falbanek. Ktoś podaje jej kawałek owocu gulla, a sukienka

natychmiast przybiera jego barwę – kolor niemal wsącza się w materiał, aż całość staje się intensywnie różowa niczym zachód słońca. Matilde nie widzi tu żadnych eliksirów ani działania zaklęć: jest tylko ta dziewczyna, która okręca się i śmieje. Nie przypomina to roboty żadnego szachraja, z jaką się zetknęła.

Ktoś z tłumu wydaje okrzyk, bo włosy dziewczyny też właśnie poróżowiały, dopasowując się do całej reszty. Ich właścicielka przestaje wirować, spogląda na swoje ręce: one także zmieniają kolor. Wydaje się tym zdziwiona, lecz nie przestraszona. Jakby to, że ktoś nagle poróżowiał, nie było powodem do niepokoju.

Naraz wzrok Matilde przykuwa inna dziewczyna, piętnastoletnia, może trochę młodsza, stojąca ze świeczką w dłoni. Kiedy wyciąga palce w kierunku płomienia, ten zmienia kolor z czerwonego na niebieski, a potem na zielony. Matilde chce krzyknąć – przecież się sparzy – ale dziewczyna zaciska dłoń i udaje jej się uszczknąć zieloną drobinę ognia. Obraca ją w palcach jak monetę, w jedną stronę i w drugą. Nie sposób oderwać wzroku. Matilde zerka na Sayer i Æsę – też wydają się skonsternowane.

Chwyta Aleca za rękę.

– Muszę się położyć. Chyba zaczynam mieć zwiidy.

– To żadna iluzja – mówi łagodnie. – Wszystko to dzieje się naprawdę.

Dziewczyna patrzy na Matilde. Kiedy krzyżują spojrzenia, iskry lecą, jakby ktoś potarł krzemieniem o kamień. Zielony ogień bucha, jak gdyby nagle ożył.

Rzuca go na ziemię, przydeptuje. Jej towarzyszki gapią się teraz na przybyszów szeroko otwartymi oczami. Coś wisi w powietrzu, jak w Simcie tuż przed burzą.

Dziewczyna od zielonego ognia kładzie dłoń na piersi.

– Czujecie to? – pyta.

Wiele innych kiwa głowami. Szepty gwałtownie narastają.

Sayer odzywa się pierwsza:

– Ale co mamy czuć?

Ktoś wychodzi z bocznego tunelu. Młoda kobieta o rudawych włosach i wyrazistej twarzy, ubrana w czerwoną szatę. Towarzyszy jej siwy mężczyzna w żółtym stroju. Wzrok Krastana, ciepły i życzliwy, spoczywa na Matilde.

– Stella! Znalazłaś nas.

Dziewczyna w czerwieni skinieniem daje znak Alecowi.

– Mówiłam ci, że jej się uda.

Matilde nie rozumie, o czym mowa ani co się tutaj dzieje. Czuje tylko, że ślania się na obolałych nogach i traci równowagę.

Brwi Krastana spotykają się nad nosem.

– Co się stało?

Jego zatroskany głos burzy spokój, który sobie narzuciła.

– Co to ma być? – pyta, omiatając dłonią całe towarzystwo. – Na co właściwie patrzymy?

– Na dziewczyny, które posiadają magiczną moc – wyjaśnia Krastan. – Tak jak ty.

– Ale... – Brakuje jej słów. – Przecież tylko Nocne Ptaki mają takie zdolności.

Zapada milczenie. Dziewczyna w czerwieni unosi brew.

– Naprawdę tak sądziłaś?

To za wiele. Maska Matilde rozpada się na kawałki, obnażając prawdziwe uczucia. Teraz wszyscy mogą je zobaczyć.

Ktoś wzywa ją po imieniu – to chyba Æsa – ale Matilde nie może tu zostać. Szloch podpełza jej do gardła. Potyka się, biegnąc, wpada do bocznego tunelu, ledwie widzi na oczy. Stopy ma obdarte do żywego mięsa, ale nie zatrzymuje się, kluczy zaułkami. Do stu piekieł, czy ten labirynt nie ma końca?

Wreszcie wychodzi w jakimś korytarzu – tak tu ciemno, że z trudem widzi własne dłonie. Po chwili kończy się ściana i Matilde czuje wokół siebie przestrzeń. Do wnętrza przesącza się rozmyte światło, z mroku powoli wyłaniają się kształty. To jakieś niewielkie pomieszczenie, i na szczęście puste. Pośrodku znajduje się migocząca sadzawka, do której ktoś włożył świetlne kule: na zaokrąglone łukowate ściany pada światło jak zmarszczki na powierzchni wody. Przypomina jej się szklana kula, którą ojciec przywiózł jej z Farlandów, dokąd jeździł w interesach. Wciąż trzyma ją przy łóżku. Wewnątrz są maleńkie domy i brokat, a całość mieści się w dłoniach. Ale teraz, w tym miejscu czuje się zupełnie, jakby szkło pękło i miasto wypłynęło na zewnątrz, umykając jej między palcami. Całe dotychczasowe życie wydaje się niewłaściwe. Jakby wszystko było kłamstwem.

Krzyk Matilde odbija się od ścian, opada jak sztuczny śnieg w szklanej kuli, po chwili znów słychać tylko jej urywany oddech.

Kiedy ostatnio krzyczała? Nie pamięta, tylko to, co wówczas powiedziała jej matka: „Panienci z Wielkich Rodów nie robią wokół siebie tyle szumu”. Nie wypada zachowywać się za głośno, nieprzyzwoicie, nazbyt żywiołowo. Nauczono ją powściągać swoją dziką naturę, ukrywać tak, by nikt jej nie zauważył. Aż do dzisiaj nie miała pojęcia, jak bardzo się hamuje.

– Tilde?

Z cienia wynurza się Alec, trzyma ręce w kieszeniach. Matilde prędko odwraca się do niego plecami, nie chce, żeby dostrzegł jej minę.

– Nic mi nie jest.

W ciszy rozbrzmiewa oddech, a potem drugi.

– Nie musisz udawać. – Głos Aleca jest szorstki. – Przecież to tylko ja.

Na tym właśnie polega problem. Nie potrafi okłamać Aleca, a przynajmniej on zawsze umie ją przejrzeć.

Czuje, że podszedł bliżej, bo roztacza zapach drzewnego popiołu i frennetu. Jego bliskość jest niebezpieczna, mogłaby ją pogrążyć.

– Sayer powiedziała nam, co się stało – mówi młody alchemik. – Martwisz się o swoją rodzinę?

O najbliższych, których zostawiła w rodzinnej posiadłości. Całych we krwi. Jej rodzina, jej świat, wszystko legło w gruzach.

Odwraca się gwałtownie.

– A jak ci się zdaje? – warczy.

Nie cofnął się mimo takiego tonu. Zupełnie jakby potrafił przejrzeć jej wściekłość, dostrzec przerażenie. Nieustannie widzi babcię i matkę, blade i wystraszone w korytarzu rodzinnego domu, i jeszcze Samsona, który plami krwią kafle o misternym wzorze. Zostawiła ich tam, samych przeciwko chłopakom z Caska. Teraz muszą stawić czoło konsekwencjom wszystkich błędów, które popełniła.

– Nic im nie będzie – zapewnia Alec. – Twoja babcia to mądra kobieta. Poza tym jest matroną z Wielkiego Rodu. Żaden z ojców nie ośmielił się jej tknąć.

Szkoda, że nie widział nienawistnego spojrzenia tego potwornego człowieka. Ogień przekonany o własnej nieomyślności, nad którym ona nie potrafi zapanować.

Prawda sama jej się wyrywa.

– To moja wina.

Sądziła, że jest kwiatem klejnotki, mistrzynią podstępny i oszustwa. Zdawało jej się, że ma wszystko pod kontrolą.

Alec kładzie dłoń na jej ręce, tuż pod łokciem.

– Co się stało, to się nie odstanie – mówi. – Teraz jesteś tutaj.

Trwają tak przez chwilę, w ciemności jego oczy są czarne. Wyglądałyby jak dwa ciemne otwory, gdyby świetlne kule nie przydawały im blasku. Kryje się w nich łagodność, która tylko czeka, by ją dostrzec.

Jego palce suną w dół, odnajdują dłoń Matilde.

– Przykro mi, że doszło do tego w taki sposób, ale dobrze, że tu trafiłaś. Może to nawet lepiej.

– Lepiej? – Usztywnia się. – Musiałam uciekać, żeby ocalić życie, a potem ukryć się tutaj... niby jak to ma być lepiej?

– Simta potrzebuje zmiany. Może Nocne Ptaki też?

Ale ona nie chce, by coś się zmieniło. Pragnie cofnąć się w czasie, nie posyłać Tenny'emu Maylonowi pocałunku, wrócić do chwili, gdy życie było grą, w której triumfowała.

– Skrywałeś to przede mną – mówi. – A przecież twierdzisz, że nie lubisz gier.

– Chciałem ci powiedzieć. – Przeczesuje loki dłonią. – Ale... Krastan uważał, że twojej babci się to nie spodoba. Nie wiedział, czy jesteś gotowa na poznanie prawdy.

Odkąd pamięta, zawsze była pewna tego, kim jest. Dinatriską, Nocnym Ptakiem, upragnionym, wyjątkowym, pod ochroną. Miała w posiadaniu moc, z którą zetkną się tylko nieliczni.

„Naprawdę jesteś jak ptaszek w złotej klatce”.

Kręci głową.

– Alec, ja... – Nie może powstrzymać szloch. – Chcę wrócić do domu.

Ale to niemożliwe. Na pewno nie teraz, a może nawet już nigdy.

– Och, Tilde... nie... – Brakuje mu tchu.

Coś w jego głosie wrzyna się w nią głęboko. Współczucie Aleca jest jak nóż wbity w plecy.

Matilde się prostuje.

– Zostaw mnie samą, Alecand.

Chłopak szura nogami.

– Nie rób tego, nie zamykaj się przede mną.

– Nie słyszysz, co mówię? – Sili się na lodowaty ton. – Nie chcę cię.

Jednak potrafi go okłamać.

Zapada milczenie. Gdy Alec wreszcie się odzywa, w jego głosie nie słychać już współczucia.

– Jak sobie życzysz.

Dopiero po jego odejściu pozwala sobie na łzy. Szłocha, a resztki jej maski opadają bezpowrotnie.

Wiele czynników wpływa na charakter więzi. Niekiedy są to więzy krwi, która mieszka w ziemi. A czasami wykuwają się w piecu naszych trudów jak stal.

– FRAGMENT DZIENNIKA DELAINY DINATRIS,
JEDNEGO Z PIERWSZYCH NOCNYCH PTAKÓW SIMTY

ROZDZIAŁ 13

KWIATY OCEANU

ÆSANIE MOŻE się nadziwić, gdy wraz z Sayer spacerują po Podziemiu. Pomyślałaby, że takie miejsce będzie ponure i nieatrakcyjne, ale ono kipi życiem i światłem. I jeszcze tyle tu... magii. Nadwątała to jej nerwy, już i tak stargane.

W głowie kołaczą się wspomnienia: urywki sceny w ogrodzie. Nadal nie rozumie tego, co zrobiła. Tak jak w Klubie Kłamców, gdy magia po prostu w niej wezbrała, pragnęła wydostać się na zewnątrz. Æsa poczuła się niemal... opętana.

Sayer lekko ją szturcha.

– Jak sobie radzisz?

Też wygląda na zmęczoną, ale oczy jej błyszczą, a w spodniach porusza się o wiele swobodniej niż w sukienkach, w których dotąd ją widywały. Chyba jest bardziej sobą.

Æsa upija łyk herbaty, którą dała jej dziewczyna w czerwieni – Jacinta. Smakuje miodem i cynamonem.

– Mam mętlik w głowie. I martwię się.

Głównie o rodzinę, która została na Illanie. Czy Leta przestanie posyłać im pieniądze? Jak sobie bez nich poradzą? Ale martwi się też tym, czego dokonała w ogrodzie, i tym, jak je określił Czerwona Ręka: „Trucizna kryjąca się na widoku”.

Całe życie wbijano jej do głowy, że magia demoralizuje tego, kto ją stosuje, i tego, komu ją przekazuje. I że to kobiety posiadające magiczną moc zatrwały niegdyś jej Źródło. Ale wyrastała też na opowieściach dziadka o *sheldar*. Jego zdaniem to właśnie one walczyły za tych, którym dzieje się krzywda. Przypomina jej się woda, która wezbrała w fontannie, po czym otoczyła Matilde, aby ją chronić. Przecież uratowanie przyjaciółki nie może być grzechem.

– A ty, Sayer? Co o tym myślisz?

– Szczerze mówiąc... – Wypuszcza powietrze. – To nie wiem. Przynajmniej jesteśmy bezpieczne. Na razie.

Skręcają, przechodzą przez ciemniejszy tunel i teraz są tam, gdzie Alec kazał im szukać Matilde. Siedzi oparta plecami o brzeg sadzawki. Podkurczyła nogi, ale Æsa i tak dostrzega plamy krwi – poraniła sobie stopy. Jej długie rozpuszczone włosy są strasznie potargane. Dotąd zawsze widywała ją taką wypiełgnowaną i zadbaną. Jakie to dziwne zobaczyć ją obdartą, zdeorientowaną i niepewną.

– Bądź dla niej miła – szepcze do Sayer.

– Jakbym kiedyś nie była... – Udaje urażoną.

Æsa by się roześmiała, gdyby nie to okrutne zmęczenie.

Matilde podnosi wzrok. Pod jej bursztynowymi oczami odznaczają się dwa ciemne półksiężycy, jednak prędko wygładza twarz. Æsa nie miała pojęcia, że tak często wkładała przy nich maskę.

Sayer podaje jej parujący kubek.

– Proszę, wypij to.

– Co mi dajesz? – pyta.

– Herbatkę – wyjaśnia Æsa. – Jacinta, ta w czerwonej szacie, mówi, że to nam pomoże odzyskać siły.

– Ach tak? – Matilde patrzy z powątpiewaniem. – Wolałabym raczej szklanicę porto.

Usta Sayer lekko drgają.

– Jak się nie ma, co się lubi...

Matilde upija łyk. Sayer siada obok niej na ziemi, zachowując nieznaczny dystans. Æsa jest tuż za nimi, przysiada na brzegu sadzawki. Wyczuwa delikatne ruchy wody kołyszącej się w rytm jej oddechu. Jej związek z tym żywiołem zdaje się mieć sens. Czyż ocean nie przyzywał jej zawsze niczym stary przyjaciel? Ale wie też, że fala prędko może się zwrócić przeciwko niej.

Znów przypomina sobie, jak uniosła ręce w ogrodzie Dinatrisów i magia z niej wypłynęła. Czuła się podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy pocałowała Enisa. To było wspaniałe – aż za bardzo. I dlatego też groźne. Policzki palą ją ze wstydu, ale na szczęście skrywa to ciemność.

W ciszy i przygaszonym świetle omiatają je odgłosy Podziemia. Ktoś gra na trąbce wolną, melancholijną melodię jazzową. W oddali słychać pośpieszne kroki, a potem śmiech.

– Sayer – odzywa się w końcu Matilde – od jak dawna ta twoja bieguska zna nasz sekret?

– Na pewno krócej niż Krastan i Alecand Padano. – Krzyżuje ręce.

Matilde pociąga nosem.

– Ale oni nie zadają się z łobuzami handlującymi zakazaną magią. Co ty sobie myślałaś?

Sayer nie pozostaje dłużna:

– Gdyby nie Fen, mogłaś już nie żyć.

– Przystaniecie wreszcie? – Æsa z irytacją wypuszcza powietrze. – Tkwimy w tym razem. Jeśli teraz nie będziemy sobie ufać, to kiedy?

Znowu spowija je cisza. Mogłyby przedyskutować tysiąc spraw: jak się wpakowały w kłopoty i jak z nich wybrnąć, ale to była noc pełna wrażeń, do tego druzgocąca i brzemienna w skutki.

– Chyba powinnam wam podziękować – przyznaje cicho Matilde. – Przyszłyście mi na ratunek.

Sayer się wierci.

– Wiem, że to wszystko stało się z mojego powodu... – ciągnie Matilde. – I że to moja wina. Chcę was za to przeprosić.

Słowa zawisają w ciszy, niemożliwie głośne.

– Podziękowania i przeprosiny od Matilde Dinatris – żartuje Sayer. – Czy ty coś piłaś? A może źle się czujesz?

Czknięcie, czy to śmiech, czy płacz, innej odpowiedzi już nie dostaną.

Æsa pod wpływem impulsu zaczyna przeczesywać palcami włosy Matilde, usiłuje je rozplątać, a potem zaplata w warkocz. Matilde wzdycha, odchyła głowę do tyłu.

– Zagrajmy w grę – mówi po chwili. – Każda powie jeden sekret. Ja zacznę. – Robi pauzę, krótką, ale znaczącą. – Właśnie się dowiedziałam, że Krastan Padano jest moim dziadkiem.

Æsie brakuje słów.

Sayer się krztusi.

– Lady Frey i... Żółty Alchemik?

– Najwyraźniej – wzdycha Matilde.

Pewnie nie zdradzi już nic więcej. Większość dziewczyn z Rodów zabrałaby ze sobą taki sekret do grobu. A jednak Matilde streszcza im rozmowę o przeszłości, którą odbyła z babcią zaledwie kilka godzin wcześniej. Życie, jakie znała, zostało jej wydarte siłą. Trudno jej nie żałować. Æsa rozumie, że takie rany mogą boleć.

Głos Matilde cichnie.

– I nie przeszkadza ci, że jest nisko urodzony? – pyta Sayer.

– Nie. – Matilde poprawia swoją podartą koszulę nocną. – Tak naprawdę to wcale. Złości mnie tylko, że babcia kłamała.

– Tak czy siak – wtrąca Æsa – Krastan wydaje się dobrym człowiekiem.

Matilde bierze niepewny wdech.

– To prawda.

Sayer rozprostowuje długie nogi.

– Dobrze, że Alecand jest adoptowany. Nie musisz się martwić.

Matilde się najeża.

– Czemu miałabym się tym przejmować?

Æsa dostrzega uśmiezek Sayer.

– Bez powodu...

Znów zapada cisza, ale już nie taka ciężka. Światłne kule pływające w sadzawce rzucają cienie na ich twarze. Po ciemku o wiele łatwiej rozmawiać i powiedzieć, co się myśli.

Wreszcie odzywa się Sayer:

– W Klubie Kłamców odeszłam od stolika, bo zobaczyłam swojego ojca.

Jej ton jest szczery, wydaje się zraniona. Æsa wyciąga ku niej rękę, ale się waha.

To Matilde zabiera głos:

– Opowiesz nam w końcu o swoich rodzicach?

Cisza się przeciąga, z korytarza znów napływa muzyka, odbija się od zaokrąglonych ścian.

– Zaczęło się od tego – rozpoczyna Sayer – że pewna dziewczyna zakochała się w potworze.

Snuje opowieść o Nocnym Ptaku i kliencie. Uwiódł ją, mając obietnicami, których nigdy nie spełnił. To historia o kobiecie dającej się w kółko wykorzystywać i dziewczynce, co zachowała monetę rzuconą jej przez ojca, który nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Dziewczynka dorosła i niedawno nasłuchiwała się krzywdzących bzdur, jakie plótł jej ociec.

– Przyłapał mnie, gdy przyczałam się w korytarzu w klubie. – Jej głos jest dziwnie obojętny. – Nie poznał mnie, nawet z bliska. Chyba pomyślał, że jestem dziewczyną do wynajęcia.

– Do stu piekieł! – złości się Matilde. – Jak mógł wygadywać takie obrzydliwe kłamstwa?

Æsa przypomina sobie, co jej tata sądzi o ludziach, którzy używają magii. Woli nie wiedzieć, co pomyślałby o niej. Ale nie wyobraża sobie, żeby potraktował ją tak okrutnie.

– Naprawdę mi przykro. – Kładzie dłoń na ramieniu Sayer, która lekko się wzdryga, ale nie odsuwa.

– Twoja matka nie zasłużyła na to, co ją spotkało – dodaje Matilde cicho, ale z pełnym przekonaniem. – Ani ze strony twojego ojca, ani Rodów.

Sayer nic nie mówi, lecz atmosfera zdaje się ocieplać.

– A ty, Æso? – pyta Matilde. – Jaki skrywasz sekret?

Wyznaje im to bez zastanowienia, jest zbyt zmęczona, by cokolwiek ukrywać.

– W klubie prawie pocałowałam twojego brata.

– Czekał, co? – Matilde się odwraca. – Mojego brata?! O fuj.

– Na jej obronę – wtrąca Sayer – te koktajle były naprawdę mocne.

Po chwili wszystkie się śmieją. Nie mogą przestać, śmiech przynosi ulgę. Gdy wreszcie się uspokajają, Æsa bierze głęboki wdech. Musi być bardzo późno – może to już rano? Tu na dole trudno to stwierdzić.

– Nie miejmy już przed sobą tajemnic – prosi Matilde, jakby jednocześnie składała przysięgę. – Koniec kłamstw. Nie wiem, co się jeszcze wydarzy, ale musimy się trzymać razem.

W rozmytej ciemności te słowa nabierają jakiegoś szczególnego znaczenia.

– Zgoda – potakuje Sayer. – Trzymamy się razem.

Æsa bierze je za ręce, przetacza się między nimi ciepło. Ma to związek z magią, lecz nie tylko.

– Zgoda – mówi.

Ponownie milkną. Æsa siada obok Sayer. Powieki odmawiają jej posłuszeństwa, głowa opada na ramię przyjaciółki. Matilde wydaje z siebie cichutkie chrapnięcie, jak kociak.

Zatoczki u wybrzeży wysp Illish porasta pewna roślina. Pływa samotnie, a jej długie pędy nie są do niczego przyczepione, dopóki nie znajdzie drugiej rośliny swojego gatunku. Wówczas splatają się korzeniami, tworząc wielkie kępy, i dopiero wtedy mogą rozkwitnąć.

Tak właśnie Æsa czuje się teraz. Po tym straszliwym wieczorze wreszcie ma poczucie, że jest w domu – tutaj, uwikłana w to wszystko, nierozzerwalnie spleciona z tymi dziewczynami. Trzy kwiaty oceanu.

PONTIFEX SKŁADA dłonie. Kiedy służył jako ojciec w Dzielnicy Gryfa, gdzie prowadził świętą wojnę w imieniu bogów, zawsze były spierzchnięte, ale teraz są gładkie. Używa kremu z koziego mleka i płatków kwiatu esta, aby skóra zachowała jędrność. W końcu nie musi tyrać, by zdobyć to, czego pragnie. Teraz przemawia w imieniu bogów, a ludzie, tacy jak ten tutaj, który właśnie peroruje podnieconym głosem, mają być przedłużeniem jego woli i sprawiedliwości. Sęk w tym, że ci akolici nie zawsze robią to, co im każe.

Nawa główna Kościoła Augustyńskiego ma wysoki strop, a jej wnętrze jest bogato wyposażone i zdobne. Bracia, doradcy Pontifeksa, siedzą na złoconych krzesłach z wysokimi oparciami. On sam oczywiście góruje nad nimi ze swojego podium. Stara się nie okazywać irytacji, gdy Brat Dorisall chępi się głośno:

– Znalazłem je! – Czerwona farba na jego twarzy się rozmasała. Wygląda jak pomyłony. Pontifex wolałby, żeby umył się przed tą nieplanowaną audiencją. – W końcu je znalazłem! Teraz już wiemy, że Rody przez cały czas je ukrywały.

Chodzi mu o czarownice. Ta myśl przyprawia Pontifeksa o dreszcz ekscytacji. Od dawna podejrzewał, że Wielkie Rody skrywają grzeszne sekrety, a teraz w końcu ma pewność. Zdradziły bogów. Z radością to wykorzysta, by odebrać im nieco władzy, ale ten nieszczęśnik Dorisall narobił niezłego bałaganu...

Pontifex unosi dłoń.

– Bracie, wysłałem cię po dowód na istnienie czarownic. Nie widzę go tu.

– Panie, sam widziałem, jak czynią magię. Moi akolici mogą o tym zaświadczyć.

Jego akolici. Ten człowiek staje się zbyt potężny, zaczyna wyrastać z szat, które nosi.

– Obawiam się, że słowa bandy nadgorliwych chłopaków i ich przywódcy to trochę za mało. Nie mogę z tym iść na posiedzenie Stołu. To, co właśnie zrobiłeś, doprowadzi tych ludzi do szału.

Dorisall łypie gniewnie, wymachując ręką w kierunku sufitu – nad nimi znajdują się cele, w których uwięziono Dinatrisów i tego panicza z rodu Maylonów.

– Chłopak, Teneriffe, chętnie wszystko wyśpiewa. A jeśli chodzi o rodzinę tej czarownicy, po prostu ich przesłuchaj.

Dreszcz obrzydzenia wstrząsa Pontifeksem. Nigdy nie przepadał za Lady Frey Dinatris. Ta kobieta nie powinna być głową Rodu. Ale tak czy inaczej jest wpływową członkinią jednej z najbogatszych rodzin w Simcie. Nie może wlać jej do gardła serum prawdy, nie ponosząc konsekwencji. Gdyby tylko Brat Dorisall rozumiał zasady polityki albo dyskrecji.

– Prosiłem, żebyś sprawdził te pogłoski po cichu. – Celowo akcentuje ostatnie słowa i przybiera ostry ton. – Miałeś wrócić do mnie, gdy się czegoś dowiesz. Zamiast tego napadłeś na posiadłość Wielkiego Rodu! Zrobiłeś to bez pozwolenia i bez udziału moich Gwardzistów, a na dokładkę zgubiłeś czarownicę, o której mówisz.

Twarz Dorisalla purpurowieje.

– Odpowiedziałem na wezwanie Marrena.

– Raczej kierowało tobą pragnienie okrycia się chwałą. Co gorsza, narobiłeś bałaganu, który posprzątać będę musiał ja.

Brat Dorisall otwiera i zamyka usta, wygląda jak ryba schwytna na wędkę.

Pontifex wstaje, szeleszcząc purpurowymi ornatami. Pozostali ojcowie idą za jego przykładem.

– Bracia – mówi – musimy stąpać ostrożnie. Sytuacja jest delikatna.

Jeden z ojców marszczy czoło.

– Nie zamierzasz chyba wypuścić Dinatrisów? – pyta.

– Ależ nie, bracie. Wykorzystamy przewagę, skoro już ją mamy, ale będziemy musieli przesłuchać więźniów bez użycia przemocy, a to znaczy, że raczej nie wyciągniemy z nich potrzebnych informacji.

– A chłopak od Maylonów? – zastanawia się głośno inny ojciec. – To chyba obiecujący trop?

– Zgadza się.

Możliwe, że jego świadectwo wystarczy, aby uzasadnić konieczność prześwietlenia Rodów. Dzięki temu Pontifex wreszcie mógłby publicznie wyprać ich brudy, i to w imię słusznej sprawy. Te rodziny są przeżarte korupcją i mają za duże wpływy przy Stole.

– Ale musimy też znaleźć sposób na to, jak wypłoszyć te czarownice z dziury, w której się ukryły.

Składa ręce, a potem otwiera je jak księgę.

– Zastawiając pułapkę, trzeba pamiętać o tym, że zwierzyzna musi myśleć, że ma wybór. Poczucie pewności. Potem należy zaczekać, aż wdepnie w sidła, a wtedy... – Zamyka gładkie dłonie z trzaskiem. – Przychodzi pora na atak.

*

LADY FREY DINATRIS prostuje plecy. Kamienna cela z pewnością nie została urządzona z myślą o wygodzie. To miejsce pokuty – ma skłonić do wyznania grzechów. Ale akurat z niej Pontifex niczego nie wyciągnie.

Obok cicho szlocha Oura, głaszcząc po włosach Samsona, który oparł głowę na jej kolanach. Nie krwawi już tak mocno, ale ojcowie nie

przysłali lekarza, który mógłby się nim zająć. Frey dopisuje to do listy zażaleń, które zamierza pomścić.

– Wezmą nas na przesłuchanie? – pyta szeptem Oura. – Chyba się nie ośmielą?

– O tak. – Lady Frey także szepcze. – Sądzę, że mogą to zrobić.

Pontifeksa widziała tylko przelotnie, gdy Czerwona Ręka włókł ich przez Kościół Augustyński, by chełpić się nimi przed Braćmi jak udanym połowem. Pontifex potrafi skrywać emocje – nie zaszedłby tak daleko, gdyby było inaczej – a jednak widziała, jaki jest zadowolony, i jeszcze ten głód w jego oczach.

Przymyka powieki. Gdzie mogą być teraz dziewczyny? Gdyby je złapali, byłyby tu z nimi. Posyła niemą prośbę człowiekowi, którego nigdy nie przestała kochać. Widzi jego serdeczne oczy i zawsze uśmiechnięte usta.

„Krastanie, proszę cię, opiekuj się nią”.

Umrze, jeśli ci mężczyźni schwytają Matilde.

– Słyszałem, że na przesłuchaniu podają serum prawdy – mówi chrapliwym głosem Samson. – Babciu, czy to prawda?

Też słyszała, że Kościół w trakcie śledztwa używa substancji alchemicznych. To hipokryzja, ale gdy rzekomo działa się w imię bogów, wszystko można uznać za święte.

– Niewykluczone – odpowiada. Na szczęście od młodości zawsze nosi przy sobie różne eliksiry, oczywiście ukryte – zaszyte w materiale halki, gdzie nikt nie ośmieliłby się zajrzeć. Teraz wyjmuje jeden z nich: to Sędzia, zatrzymuje działanie innych substancji. Krastan sam to dla niej uwarzył.

– Nie martw się, kochanie. Przekonają się, że nie mamy nic do ukrycia.

– Równie dobrze możecie się przyznać – z sąsiedniej celi dobiega czyjś umęczony głos. – I tak już znają prawdę.

Samson siada, krzywiąc się z bólu.

– Tenny? To ty?

Chłopak wydaje z siebie jęk. Nie mogą go zobaczyć, ale najwyraźniej wiele przeszedł.

– Przykro mi, Sam – mówi. – Nie chciałem, żeby was w to wciągnęli. Ani mnie.

Frey się podnosi.

– Teneriffe Maylonie, jeśli chcesz nam to wynagrodzić, powiedz, co się stało. Tylko po kolei.

Chwila zawahania. Później Tenny wyśpiewuje wszystko jak na spowiedzi. Opowiada o tym, że Matilde posłała mu całusa na balu u Lety, o tym, jak mu się poszczęściło, ale potem wszystko stracił, mówi nawet o swoim zachowaniu w Klubie Kłamaców i Dennanie Hainie, który się wmieszał. „A niech to, Tilde”. Czemu ta dziewczyna nigdy nikogo nie słucha? Dlatego że jest taka jak Frey kiedyś: ślepa na to, ile może kosztować lekkomyślność.

Frey analizuje słowa Tenny’ego, przesiewa i porządkuje, starając się zrozumieć, jakiego rodzaju zagrożenie może stanowić ten chłopak. Nie ma zbyt silnej woli, to na pewno. Pęknie, jeśli Pontifex każe go wziąć na przesłuchanie.

Przysuwa się bliżej krat.

– Jeśli obiecasz, że nie powiesz o tym Pontifeksowi, pomogę ci spłacić długi i udobruchać ojca. Przyjaźnił się z moim mężem. Posłucha mnie.

– Ale... – wzdycha Tenny – to już zaszło za daleko. Nie mogę okłamać głowy Kościoła.

W korytarzu gdzieś nieopodal ktoś przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. Czas podjąć decyzję.

Frey wygląda przez kraty, upewnia się, że nikt nie widzi, po czym wyciąga dłoń z fiolką.

– Weź to. – Stara się przybrać matczyńny ton. – To whisky zmieszana z syropem z kwiatów esta, pomoże ci uspokoić nerwy.

Wstrzymuje oddech, obawia się, że chłopak nie będzie chciał wypić. Ale przecież jest tylko sympatyczną starszą panią, podobną do jego babci, i właśnie niesie mu pociechę. W końcu słyszy, że przełknął.

Przez kilka sekund wszystko spowija cisza. Nagle Tenny zaczyna dyszeć. Krztusi się, bije dłonią w ścianę i przestaje się poruszać.

Kiedy znów się odzywa, brzmi jak dziecko.

– Gdzie ja jestem? Co... to jest?

Samson błednie.

– Babciu, co ty zrobiłaś?

Jej głos jest spokojny i pewny siebie:

– Musiałam nas chronić.

Dla rodziny zrobiłaby wszystko. Kobiety takie jak Frey zawsze na pierwszym miejscu stawiają obowiązek.

ROZDZIAŁ 14

PISKLETA

MATILDE POPIJA mierną kawę. Stara się nie trzeć oczu ani nie drapać szyi nad kołnierzykiem pożyczonej sukienki – materiał o tandetnym splocie ociera jej skórę. Nie zdawała sobie sprawy, jakie wspaniałe sukienki nosi, dopóki nie została ich pozbawiona. Zresztą nie tylko ich, swojej szafy, domu, rodziny... Pije kawę, aż dotrze do gorzkich fusów.

Zeszłej nocy – czy naprawdę upłynęło tak mało czasu? – zapadły w sen przy sadzawce. Później zjawił się Krastan i zaprowadził je do korytarza, gdzie stały łóżka polowe. Pamięta jak przez mgłę, że okrył ją kocem. Gdy się obudziła, sztywna, obolała i nadal zmęczona, siedział na krześle tuż obok. Od razu zapytała o losy swoich bliskich. „Posłałem kilka osób na zwiady”, odparł łagodnie. „Ale na razie nie mają żadnych wieści. Nie powinnaś tam wracać ani próbować dowiadywać się czegoś na własną rękę, bo to niebezpieczne”. Babcia też kazała jej się trzymać z daleka, tak więc Matilde stara się skupić na tym, co dzieje się tutaj. Może rozwiązywać tylko jeden kryzys życiowy naraz.

Ona, Sayer i Æsa siedzą w podłużnym, wysokim pomieszczeniu, które przypomina jej salę balową. Świece i kule świetlne są w każdym rogu, rzucają na ściany migotliwy blask. Rankin, mały trębacz, którego wczoraj poznała, stoi obok, oparty o ścianę. Od śniadania nie odstępuje Sayer. Ciekawe, czy to sprawka Fenlin Brae, która najwyraźniej gdzieś się zmyła. Towarzystwo biegusów drażni chyba tylko Matilde.

W pomieszczeniu panuje tłok. Krastan stoi przy wejściu w pobliżu Aleca, który przysiadł na odwróconych skrzynkach i celowo ją ignoruje. Jest też ta dziewczyna, Jacinta. Obserwuje wszystkich ze swojego miejsca przy Alecu, jej spojrzenie jest uważne i natarczywe. Matilde czuje się jak owad oglądany pod lupą.

Są też inne dziewczyny, nieco ponad tuzin, siedzą pod ścianą naprzeciwko. Niektóre widziała już wczoraj w tamtej wnęce, ale teraz jest ich chyba więcej.

Gapią się na Nocne Ptaki jak wygłodniałe pisklęta, które czekają, aż ktoś wrzuci im robaka do gniazda.

– Jak myślicie, o co w tym chodzi? – pyta Æsa, popijając herbatę. Też ma na sobie pożyczoną sukienkę, ale jej jest bardziej twarzowa. Z kolei Sayer w luźnej koszuli i spodniach czuje się jak ryba w wodzie, a to też drażni Matilde.

– No nic – ziewa – dajcie mi jeszcze trochę tej obrzydliwej kawy, bo padam na twarz.

Sayer przechyła swój kubek.

– Wyglądasz jak szczur kanałowy upieczony na ruszcie.

– No dzięki!

– Sądziłam, że mamy sobie mówić prawdę. – Uśmiecha się.

Matilde pociąga nosem.

– Mam nadzieję, że chociaż pachnę lepiej.

– Czy w Simcie jada się szczury? – krzywi się Æsa.

– Ja tam nigdy nie jadłam – odrzeka Sayer – ale Fen twierdzi, że jak się je poleje sosem i zamknie oczy, to smakują prawie jak wieprzowina.

Matilde powstrzymuje się od złośliwej uwagi: „Skoro mówi tak ta gangsterka, to musi być prawda”.

Nie zapomniała, że to Fenlin Brae pomogła Nocnym Ptakom uciec przed Caska. Ale tak czy inaczej jest bieguską, a czy wszyscy przestępcy nie są ulepieni z jednej gliny? Nie potrafi wyzbyć się podejrzeń co do Fen, mimo że Sayer dzieli się z nią każdą informacją. Zdradza jej sekrety i opowiada historie, których nigdy nie powierzyła Matilde.

Dobrze chociaż, że Nocne Ptaki są tutaj, bezpieczne, i że w ogóle się do niej odzywają. Musi chwycić się wszelkich powodów do zadowolenia.

Podchodzi Krastan, wymięty, ale przyjazny jak zawsze. Matilde nie potrafi się powstrzymać: usiłuje dojrzeć w jego twarzy własne rysy. Może nos? Albo nieco sterczący podbródek?

– Nadal nie mogę uwierzyć, że takie miejsce istnieje – zwraca się do niego Sayer. – Jak wam się udaje zachować to w tajemnicy?

– Wymaga to czarów i zaklęć, które trzeba wciąż ulepszać – odpowiada. – Na włązy do tunelu rzuciliśmy urok, żeby wyglądały jak zwykły mur.

– Ale kto to wszystko zbudował? – pyta Matilde. – I po co?

– Tego nie wiemy – mówi. – Podziemie jest bardzo stare, musiało powstać przed Wielką Apokalipsą, a my właściwie nie znamy historii sprzed tego okresu. Możemy jedynie próbować odczytać wskazówki, które zostały.

Pokazuje malowidła na ścianach. Rozkołysane płomienie świec rzucają słabe światło na łuszczące się posrebrzane kontury. Choć wyglądają na stare, jeszcze nie utraciły blasku. Sceny zdają się układać w jakąś opowieść o zawieruchach, wojnie, zagrożeniach – w każdej ważną rolę odgrywają kobiety. Na malowidłach w Kościele Augustiańskim przedstawia się je jako nikczemne czarownice lub damy w opałach, ale te tutaj wcale takie nie są. To raczej wojownicze królowe.

– To dobre miejsce do ćwiczenia magii – wyjaśnia Jacinta, wstając. Jej ciemne włosy o rudym połysku mogą świadczyć o przodkach z wysp Illish. Ten odcień ładnie pasuje do jej płowej simtańskiej karnacji. – Może pora zaprezentować swoje umiejętności?

Matilde krzyżuje ręce.

– Dlaczego sądzisz, że mamy wam coś do pokazania?

– Nie musicie się obawiać – mówi Jacinta – nie ma takiej potrzeby. Wiem, kim jesteście. Wiedziałam, odkąd się tu zjawiłyście.

Matilde drażni ten zarozumiały ton.

– Na tym polega twój dar? Jesteś wróżką?

Choć powiedziała to w żartach, Æsa sztywnieje.

Jacinta wkłada rękę w fałdy spódnicy i wyciąga karty do wróżenia.

– Widzę różne rzeczy. Migawki przyszłości. Czasami to tylko mgliste sugestie, ale ostatnio stały się wyjątkowo wyraźne.

Matilde wydyma wargi. Jedna z przyjaciółek matki zatrudniała na przyjęcia wróżkę, która odgrywała przedstawienie, opowiadała gościom, że czeka ich wielka miłość lub przedwczesna śmierć.

– Nieraz widziałam w kartach, że się tu zjawicie – ciągnie Jacinta. – Pełne mocy dziewczyny, tętniące magią. No i proszę, jesteście, i wszystko się burzy.

Dziewczęta z Podziemia szepczą między sobą z ożywieniem. Æsa i Sayer wymieniają pytające spojrzenia.

Matilde zerka na Krastana.

– Przyszłam do ciebie – mówi przyciszonym głosem. – Nie wiem, co się tu dzieje, ale chcę, żebyś mi to wyjaśnił. Pragnę poznać prawdę, którą przede mną ukrywałeś.

Krastan bacznie obserwuje jej twarz, jego wzrok się wyostrza, ale Matilde stara się ukryć emocje. Wreszcie wzdycha, kiwa głową.

– Twoja babcia mówiła mi, jakimi bajkami karmiono cię od dziecka. Pewnie słyszałaś, że ostatnie potężne czarownice, zwane Ognistymi Ptakami, uciekły do Simty i ukryły się w domach rodzin, z których wyrosły późniejsze Wielkie Rody. Zrzuciły magię, a subtelniejsze moce ofiarowywały swoim protektorom i z pokolenia na pokolenie przekazywały je kolejnym dziewczynom.

Z czasem magia zaczęła się przeobrażać, stawała się coraz słabsza. „Łatwiej ukryć coś, czego nie widać”.

– I właśnie dlatego Nocne Ptaki pochodzą z Wielkich Rodów. – Matilde zaciska dłoń na swoim kubku. – Mamy magię we krwi.

Jacinta unosi swoją piekielną brew.

– A nie zastanawiałaś się nigdy, czy przypadkiem nie ma dziewczyn, które nie zawierzyły się opiece tych Wielkich Rodów, jak to je nazywasz?

– Nie miałam ku temu powodów. Nigdy nie słyszałam o istnieniu takich dziewczyn.

– Przykro musi być się przekonać, że nie jesteś taka wyjątkowa.

– Cin... – Alec kręci głową. – Nie tak ostro.

– No proszę cię. – Uśmiecha się do niego. – Nie widzisz, że się staram?

Młody alchemik posyła jej wymowne spojrzenie. Kącik jego ust wędruje do góry. Matilde z chęcią przypieklaby Jacincie tę śliczną czuprynę.

– Podejrzewam, że w Simcie zawsze rodziły się magiczne dziewczyny – mówi Krastan. – Może niezbyt często, ale na pewno częściej, niż słyszałaś.

Choć ma przed sobą dowody, nadal trudno to zaakceptować. Od dziecka powtarzano jej, że jest rzadkim ptakiem.

„Przykro musi być się przekonać, że nie jesteś taka wyjątkowa”.

Przeszywa Krastana wzrokiem.

– To dlaczego mi o tym nie powiedziałaś...?

Rozłożył ręce.

– Te dziewczyny robią, co mogą, by ukryć swoje magiczne zdolności. Tak jak ty. Sam dowiedziałem się o tym dopiero kilka lat temu.

Kilka lat! Wiedział od lat i nawet się nie zająknął. A babcia? Czy z nią się tym podzielił?

– A czy... – zniża głos – mogą przekazywać magię tak jak my?

– Przez pocałunek? – Krastan kiwa głową. – Tak, jeśli tego zechcą. Ale nie mogą dzielić się nią między sobą.

Zupełnie jak Nocne Ptaki.

– Większość z nas tego nie robi – wtrąca jedna z dziewczyn. Na ramiona opadają jej długie splecione fale. – Kiedy oddajemy komuś magię, to tylko uszczuplamy jej zasoby... potem trudniej ją przywołać.

– Najwyraźniej nikt im nie próbował wcisnąć, że nie mogą stosować magii na własny użytek – burczy Sayer.

Czy to możliwe, że Matilde w ogóle w to wierzyła? Ale przecież wychowano ją według określonych zasad, których nie wolno było łamać. Sądziła, że rozumie reguły tej gry.

Jacinta bębni pomalowanymi paznokciami w talię kart.

– Kiedyś było nas mniej. Parę miesięcy temu znałam zaledwie kilka dziewczyn takich jak my. Ale coś się zmienia.

Między delikatnymi brwiami Æsy pojawia się zmarszczka.

– Co masz na myśli?

Oczy Krastana błyskają.

– Stella, pamiętasz, co ci mówiłem wtedy w sklepie? Że magia mogła po prostu czekać w uśpieniu? I że właśnie się budzi? – Pokazuje dziewczęta siedzące w rzędku. – One są na to dowodem. Z każdym dniem znajdujemy ich coraz więcej. Większość nie miała pojęcia, że w ich żyłach krąży magia. Rozbudziła się dopiero w ostatnich miesiącach, zupełnie jakby ktoś podłożył zapalnik.

– Wcześniej mogłam wykrzesać palcami najwyżej kilka iskier – zauważa dziewczyna od zielonego ognia. – A teraz... moja magia rośnie w siłę.

Matilde zagłąda w złote oczy Sayer, po raz pierwszy jest w stanie coś z nich wyczytać. „To zupełnie jak my”.

Przypomina jej się, jak Sayer przyzywała wiatr, a Æsa wydawała polecenia wodzie z fontanny, i jeszcze te ogniste kule, które sama wyczarowała. Kilka miesięcy temu zaśmiałyby się, gdyby ktoś jej powiedział, że są do tego zdolne. O ile jej wiadomo, nie potrafiły tego Nocne Ptaki, z którymi fruwała wcześniej. „Niekiedy kłębi się w nas cząstka tamtej dawnej magii”, przyznała babcia. Ale to tylko czasami, tylko trochę... Teraz ma raczej wrażenie, że to gwałtowny przyptyw.

– Czemu to się dzieje właśnie teraz? – W jej głosie pobrzmiwa frustracja.

– Trudno powiedzieć. – Krastan wzrusza ramionami. – Podczas Wielkiej Apokalipsy, w szczycie polowania na czarownice ojcowie spalili mnóstwo ksiąg. Właściwie nie wiemy, co potrafiły tamte kobiety, znamy tylko pogłoski i legendy.

– Na twoje szczęście – wtrąca Alec – Krastan zawsze się tym interesował.

– To prawda, mój chłopcze. – Alchemik się uśmiecha.

Wyjmuje z torby podniszczoną księgę. Plamy na okładce wyglądają na sok z wisielczej jagody albo krew, a może to jedno i drugie.

– Większość alchemików jest leniwa – mówi. – Do przygotowania substancji używają tego, co mają pod ręką, korzystają ze sprawdzonej wiedzy. Ale ja latami polowałem na księgi poświęcone magii, starałem się zebrać jak najwięcej informacji, zrozumieć, jak co działa. Nie mówię tylko o substancjach alchemicznych...

Znów zerka na Matilde, jego oczy skrywają sekrety. Czy przeczuwa, że niektóre już poznała?

Kładzie księgę na wieku beczki. Otwiera ją na wysłużonej stronie. Trzy Nocne Ptaki pochylają się, by odczytać treść. Krastan wiedzie palcem po misternej ilustracji. Przedstawia czteroramienną gwiazdę podzieloną na ćwiartki za pomocą iksa – podobna widnieje w modlitewnikach.

– Przypomina ramiona gwiazdy Eshamein – zauważa Æsa. – Ale symbole trochę się różnią.

Rzeczywiście, symbole namalowane na każdym z ramion nie reprezentują czterech bogów. Zamiast nich są tam liść, chmury, fale i płomień.

– To pradawny symbol – wyjaśnia Krastan. – Wyznawcy czterech bogów przywłaszczyli sobie ramiona gwiazdy, ale o ile mi wiadomo, ten znak jest znacznie starszy.

Dotyka punktu przecięcia iksa, ozdobionego lśnięcymi kreskami.

– Wyobraźcie sobie, że to serce Źródła. Duchowe miejsce, z którego wypływa wszelka magia. Ramiona gwiazdy oznaczają cztery żywioły. Z tego, co nam wiadomo, każda z dziewczyn posiadających magiczną moc potrafi przywoływać tylko jeden z nich. Żywioł, z którym są najbliżej związane, wpływa na to, jakiego rodzaju magię mogą stosować.

O czymś podobnym słyszała już od babci, która przyznała, że każdy Nocny Ptak skłania się ku jednemu żywiołowi. Ziemia, woda, wiatr... ogień.

Sayer podnosi wzrok na dziewczęta, które siedzą pod ścianą naprzeciwko.

– Co potraficie wyczarować? – pyta.

– Może po prostu jej pokażecie? – Jacinta się uśmiecha.

Wprawia je w radosne podniecenie. Podnoszą się. Matilde kojarzy się to z początkiem balu, tą ekscytującą chwilą, gdy tańczący zajmują miejsca.

Na moment zapada cisza, wstrzymują oddechy, wreszcie dziewczęta zaczynają.

Jedna wyjmuje garść moniaków. Miedzianych, niewiele wartych szylingów. Zaczynają mięknąć, rozpływają się w małe kałuże.

Inna zagarnia dłonią wodę z miski. Powinna przeciekać jej przez palce, ale przybiera postać królika, skacze po podłodze. Wskakuje na kolana Æsie i porusza noskiem. Ona śmieje się, zaskoczona.

Dziewczyna od zielonego ognia oplata sobie wokół ręki płomień, zmieniający kolor z zielonego na czarny, a potem na fioletowy. Ogień wije się niczym wąż, prawie jak żywy.

Ta z burzą niesfornych długich włosów rozciąga w dłoniach cienką nić, która trzaska jak błyskawica – możliwe, że to prawdziwy piorun. W powietrzu unosi się zapach żelaza.

Rankin odsuwa się spod ściany, obserwuje, rozdziawiając usta.

– Kocia pożoga, dziewczyny! Nieźle umiecie sztuczki.

– A wy? – Sayer zwraca się do grupki dziewcząt, które jeszcze nic nie pokazały. Wydaje się zachwycona, a tymczasem Matilde z trudem to wszystko pojmuje. – No dalej, co potraficie?

Któraś się rumieni.

– Nasze umiejętności trudniej pokazać.

– Każda dziewczyna jest inna – wyjaśnia Jacinta. – Istnieją moce fizyczne, manualne, jak te, które przed chwilą zobaczyłyście. Ale są też bardziej... subtelne. Na przykład Lili potrafi skłonić kogoś do mówienia prawdy.

Dziewczyna o miedzianych, równo obciętych włosach wysuwa się naprzód.

– Mój dar nie działa na magiczne dziewczyny – zaznacza. – Wydają się na to odporne.

Rankin podchodzi zamaszystym krokiem, trzyma kciuki w kieszonkach kamizelki.

– Spróbuj na mnie. Zobaczymy, czy mnie złamiesz.

Zaciska mu palce na nadgarstku. Matilde sądziła, że Lili będzie zadawać pytania, ale czeka tylko, aż Rankin sam otworzy usta. Wygląda, jakby walczył z tym impulsem i przegrywał. Słowa płyną ciurkiem:

– Zawsze podobały mi się panienki z dobrych domów. – Czerwieni się, ale buzia mu się nie zamyka. – Ta Dinatris pewnie myśli, że jestem dla niej za młody, ale może mam jakieś szanse...

Sayer parska śmiechem. Lili wypuszcza rękę Rankina. Chłopak z gniewną miną masuje nadgarstek. Spojrzenie Matilde pada na Aleca, który dziwnie jej się przygląda. Zdenerwowana, odwraca wzrok. Æsa, która siedzi obok, popada w zamyślenie.

– A ty? – pyta wreszcie Jacintę. – Jaki jest twój żywioł?

– Woda.

– Co to ma wspólnego z przepowiadaniem przyszłości?

– Chodzi o to, że mamy jej pod dostatkiem w ciele – objaśnia Jacinta. – Woda jest przewodnikiem. Kiedyś wróżki używały jej jak szklanej kuli.

Æsa chwyta plisy swojej spódnicy, wydaje się strapiona. Matilde chce zapytać o powód, gdy odzywa się Krastan.

– Nie zawsze wiemy, z którym żywiołem dziewczyna jest związana – mówi podekscytowany. – Magia Źródła u każdej objawia się inaczej, zależnie od potrzeb i osobowości.

– Wiele wskazuje na to – wtrąca Alec – że emocje potęgują jej działanie.

Jacinta kiwa głową.

– Często to właśnie silne emocje uwalniają magię. Layla wściekła się kiedyś na pomocnika w piekarni, w której pracowała, i o mało nie spaliła go na popiół.

Dziewczyna od zielonego ognia wzrusza ramionami, nie wygląda na skruszoną.

– Uwierzcie, że sobie zasłużył.

Do stu piekieł, jak to możliwe, że nikt się nie dowiedział o istnieniu tych dziewcząt?

– Może twoje magiczne zdolności ujawniły się w klubie... – Æsa mówi po cichu, tylko do Matilde – ...dlatego, że się przestraszyłaś.

– Raczej byłam wściekła. – Pociąga nosem.

Ale to prawda, że gdy Tenny przyparł ją do ściany, emocje wezbrały, a wraz z nimi pojawiła się magia. Całe to towarzystwo najwyraźniej wie na ten temat więcej od niej.

– To jak? – Jacinta odwraca się do Sayer. – Pokażecie nam, co potraficie?

Matilde posyła jej ostrzegawcze spojrzenie: „Ani mi się waź!”. Sayer patrzy wyzywająco: „A czemu by nie?”, po czym przymyka oczy.

Atmosfera ulega zmianie, powietrze pachnie teraz wiatrem i nadciągającą burzą. Sayer nagle znika, wtapia się w ruchome cienie. Ten widok nadal zdumiewa Matilde. Gdy zmruży oczy, potrafi dostrzec kształt ptasiej siostry. To raczej gra światła niż prawdziwa niewidzialność.

– Oho, to coś nowego. – Alec wygląda, jakby zanurzono go w zimnej wodzie.

– Potrafisz zamienić się w cień i uginać powietrze – mruczy Jacinta. – Znaczy, że to jest twój żywioł.

– Umiem też inne rzeczy – mówi Sayer. Odkąd to jest taka rozmowna? – Na przykład sprawić, że powietrze zgęstnieje i będzie w stanie zatrzymać w miejscu coś lub... kogoś.

Kiedy jej się to udało? W takim razie musiała wiedzieć już wcześniej, że może stosować magię na swój użytek. Matilde spogląda z wyrzutem, lecz nie udaje jej się uchwycić spojrzenia Sayer.

– A ty? – Jacinta pyta Æsę. – Co potrafisz?

– Ja... – Wierci się, wyraźnie skrępowana. – Kilka rzeczy.

Nie udziela dalszych wyjaśnień, choć Jacinta czeka. Nie wspomina zwłaszcza o swoim darze Nocnego Ptaka, ale Matilde pamięta to, że w Klubie Kłamców

wpłynęła na myśli Tenny'ego – jej głos opłynął go niczym ławica zwinnych rybek. Wiedzieć, co potrafi Słowik to jedno, ale zobaczyć ten dar w działaniu... tak, to robi wrażenie. Nawet teraz przeszywa ją dreszcz.

Jacinta przenosi na nią spojrzenie swoich wszystkowiedzących oczu.

– Twoja kolej.

Wie, że nie ma sensu się z tym kryć, ale też nie podoba jej się to uczucie – jakby robili jej sekcję. Nie chce, by wszyscy poznali sekrety zawodowe Nocnych Ptaków.

– Potrafi się przemienić w kogoś innego! – wyrывa się Rankin. – Ciuchy, twarz, wszystko. Mało mi buty nie spadły, jak to zobaczyłem.

Matilde przeszywa go jadowitym spojrzeniem, chłopak aż się kuli. Piekielne brwi Jacinty szybują w górę.

– Jak feniks z popiołów. Chciałabym to zobaczyć.

– Magia nie jest na pokaz, nie będę robić widowiska. – Wolałaby już raczej pływać nago w kanałach.

– Nie bądź taka pruderyjna. – Jacinta przewraca oczami. Przecież jesteś Nocnym Ptakiem.

– I co z tego? – Sztywnieje.

– Taka skrytość nie pasuje mi do kogoś, kto całuje obcych za pieniądze.

Burzą się w niej gorące, niepohamowane uczucia.

– Nie podoba mi się twój ton.

– A mi nie podoba się to, jak Nocne Ptaki prowadzą swoje interesy. Wiesz, jak by się zachowała większość mieszkańców tego miasta, gdyby prawda wyszła na jaw? Wszystkie musiałyśmy walczyć o to, by pozostać w ukryciu, a wy pokazujecie magię każdemu, kto zapłaci.

To jak policzek. Æsa wydaje się dotknięta. Sayer wygląda, jakby chciała dobyć nóż, który z pewnością ukrywa pod koszulą.

– Jacinto! – Krastan zwraca się do niej ostrzegawczym tonem. – Już wystarczy.

– A co? Jest za delikatna, żeby usłyszeć prawdę?

Temperatura zdaje się podnosić.

– Nie udawaj, że rozumiesz, kim jesteśmy – warczy Matilde. – Nic nie wiesz o Nocnych Ptakach.

Jacinta zerka na Aleca.

– Nie wspominałeś, że trudno z nią wytrzymać.

Matilde czuje palenie na języku – posmak popiołu i furii. Za chwilę zetrze tę dziewczynę w proch. W całym pomieszczeniu płomienie świec pulsują jak szalone. Najpierw bieleją, ale kiedy wstaje, gotowa rzucić się na Jacintę – robią się ciemnoczerwone. Æsa i Sayer wyciągają ręce, żeby ją powstrzymać.

Mrowi ją całe ciało, tak jak zeszłej nocy w ogrodzie, gdy połączyły siły. Dotyk Nocnych Ptaków potęguje jej moc, powoduje, że magia w niej wzbiera, po czym rozlewa się gorącą, rozdygotaną falą.

Kilka dziewcząt wydaje stłumione okrzyki. Ta, co stopiła miedziaki, wlepia wzrok w ciekłe plamki na swojej dłoni, które przemieniają się w złoto. Layla, od zielonego ognia, uśmiecha się, gdy własne płomienie otaczają ją niczym aureolą. Powietrze zdaje się pulsować.

Æsa i Sayer puszczają Matilde, przerywają połączenie. Uczucie falowania przemija.

Dziewczęta szepczą między sobą w pośpiechu, jakby omawiały pilną sprawę: „Czułaś? A ty? Też to poczułaś?”.

Matilde spogląda na Sayer – wydaje się równie zdumiona. Z kolei Æsa przyciska dłoń do piersi, jakby się bała, że serce jej wyskoczy. Krastan, Alec i Rankin wyglądają na zdezorientowanych. Chyba tylko dziewczęta posiadające magiczną moc zdołały poczuć to, co się właśnie wydarzyło.

– Jak to zrobiłaś? – Oczy Jacinty się rozszerzają.

– Co się stało? – pyta Krastan. – Co czułyście?

– Moja magia rozgorzała – mówi Layla. – Jak wtedy, gdy Nocne Ptaki się tu pojawiły, tylko... mocniej.

Pozostałe dziewczęta zaczynają się przekrzykiwać.

– Nie rozumiem. – Matilde spogląda na przyjaciółki. – Co to ma znaczyć?

– Nie wiem – odpowiada Sayer – ale lepiej spróbujmy to rozgryźć.

Matilde patrzy na malowidło na pobliskiej ścianie. Kobieta w zbroi, z rozwianymi włosami, w otoczeniu żołnierzy. Wokół szaleje burza. Czy ta armia walczy u jej boku czy przeciwko niej? Stąd trudno to ocenić, ale wojowniczką wydaje się taka pewna siebie. O jakże chciałaby jej w tym dorównać! A tymczasem jeszcze nigdy nie czuła się taka zagubiona.

Sporządziłem nalewkę z ziół wspomnianych w jednym z mniej znanych dzieł Marrena. Kora weil breamus ponoć może pomóc przepłoszyć magię. Jak zawsze przetestuję to na dziewczynce. Dotychczas opierała się moim wysiłkom, ale rozłupię ją jak skorupę orzecha. Przekonałem się, że słaba płeć ma wyjątkowo ciekłą skórę.

– FRAGMENT DZIENNIKA OJCA DORISALLA,
ZWANEGO CZERWONĄ RĘKĄ

ROZDZIAŁ 15

SZMER LIŚCI

ÆSA SPACERUJE po magicznym ogrodzie. Musi być magiczny, bo jak rośliny mogłyby tu rosnąć bez pomocy? Jedynym źródłem światła są wiszące na hakach latarnie z fiołkowego szkła, a jednak wszystko doskonale się rozwija. Jaskrawy mech zakrada się na półki porośnięte zielenią. Winna latorośl oplata linę przywiązaną do łukowatego stropu, tworzy gęstą zieloną kurtynę. Niemożliwa i piękna zarazem, jak niemal wszystko, co żyje tu na dole.

Trudno powiedzieć, od jak dawna są w Podziemiu. Właściwie nie sposób odróżnić tu dnia od nocy. Niektóre dziewczęta wymykają się na zwiady. Ale doniesienia nie brzmią zachęcająco. Ponoć tamtej nocy, gdy uciekły, Czerwona Ręka udał się do Pontifeksa, by opowiedzieć, co się wydarzyło w ogrodzie Dinatrisów. Æsa wzdryga się na samą myśl, że mógł donieść głowie Kościoła Eudei o jej czynach. Na dokładkę zabrał Dinatrisów na przesłuchanie. Żałuje, że naraziła bliskich Matilde na taki koszmar. Na szczęście Leta i przedstawiciele Rodów prędko zrobili nalot na kościół, a Pontifex nie miał wystarczających dowodów, by przetrzymać więźniów. Zapewnienia Czerwonej Ręki przeciwko słowu Dinatrisów – komu ludzie uwierzą? Æsa boi się, że ich zniknięcie nie wygląda dobrze.

Kościół na szczęście nie wydał na razie żadnego oświadczenia, a Czerwona Ręka zamilkł. Sayer zastanawia się, czy po tym, co zaszło, trzymają go na smyczy. Tylko czy to go powstrzyma i na jak długo? Widziała żar w jego oczach, przekonanie o własnej nieomyślności. Czy właśnie rozpowiada w mieście historie o czarownicach zdolnych zaklinać ogień i wodę? Ile potrwa, nim ludzie zaczną to powtarzać?

Wzdycha, zdejmuje niebieski płatek, który dopiero co spadł jej na sukienkę. Co za ulga, że może pobyć sama choć przez chwilę. Od kilku dni, dokądkolwiek pójdzie, natyka się na dziewczęta z Podziemia, wpatrzone w Nocne Ptaki jak

w obraz. Chodzą za nimi krok w krok – to dlatego Matilde mówi o nich „nasze pisklęta”. Codziennie ćwiczą razem w podziemnej sali balowej, doskonaląc magiczne umiejętności. Kiedy obserwuje te dziewczęta, nie widzi w ich zabawach nic złego.

Nocne Ptaki zdają się zasilać ich moc, tak jak to robią między sobą. Teraz dla Sayer znikanie to bułka z masłem, a Matilde bez trudu zmienia kolor oczu lub kształt twarzy. Obie coraz lepiej panują na swoimi żywiołami, potrafią przywołać powietrze i ogień na tysiąc sposobów. Æsa też trenuje, głównie po to, by nauczyć się powściągać swój dar: rozstępuje wodę, zamraża ją albo zmienia w mgiełkę. Jednak niezależnie od tego, ile będą na nią naciskać, zamierza ćwiczyć tylko najprostsze czary. Dziewczyny lepiej poradzą sobie ze swoją mocą – do siebie nie ma dość zaufania.

Sayer zwykle robi gniewną minę: „Magia nie zniknie, dlatego że ci się nie podoba”.

Matilde wydyma wargi: „Nie lepiej nad nią panować, niż pozwolić, by zapanowała nad tobą?”.

Ale Æsa nie potrafi wyrzucić z pamięci tego, że Czerwona Ręka nazwał je trucizną. Nie umie tak po prostu zapomnieć o naukach Kościoła.

Poza tym wcale nie chce ćwiczyć tego, co wypróbowała na Teneriffe Maylonie. Nadal czuje potoki jego emocji, które mogła naginać i zaklinać wedle swojej woli. Potrafiła wejść w jego umysł – co to było za wspaniałe uczucie!

Niestety za bardzo przypominało pocałunek z Enisem: ten dziki, niezaspokojony głód. Myśli o hashnach, ich długich włosach, błyszczących łuskach i ostrych zębach. Ich pieśń działa jak narkotyk, wabi nieszczęsnych żeglarzy, by wskoczyli do wody – tylko czy nie po to, by ich zabić? Ale może hashny pragną kochać, otoczyć kogoś czułą opieką, a gdy uzmysławiają sobie, że ludzie nie mają skrzeli, zwyczajnie jest za późno?

Na pewno nie chce skrzywdzić już nikogo więcej. A to oznacza, że musi się nauczyć poskramiać magię, zatrzymywać ją w środku.

W ogrodzie słyhać kroki. Schowana za wysoką paprocią, obserwuje nadejście Fenlin Brae, skradającej się cicho jak kot.

Odkąd się tu zjawily, przyjaciółka Sayer prawie się nie pokazuje. W przeciwieństwie do Rankina rzadko podgląda je podczas ćwiczeń. Sayer

wspominała, że Fen nie lubi ciemnych, ciasnych pomieszczeń – może o to chodzi? Ale Matilde roztacza bardziej pesymistyczną wizję: „Mówię ci – szeptała jej nieraz za plecami Sayer – ta dziewczyna coś knuje. Nie ufam jej”. To jasne, że Fenlin skrywa sekret, lecz wątpliwe, by chciała im wyrządzić krzywdę. Raczej chce się upewnić, że to jej nikt nie skrzywdzi.

Fen podchodzi do stojącego w rogu stołu warsztatowego, zastawionego słoikami i fiolkami. Pot rosi jej brwi, jakby wróciła z przebieżki. Ciemna zieleń przepaski na oko wtapia się w tło winorośli.

Zdaniem Matilde coś jest z nią nie w porządku: wydaje się podejrzana. Może dlatego, że nie zdołała jej przejrzeć, jak robi to z większością ludzi. Zupełnie jakby Fen nosiła zbroję, by nikt nie mógł jej tknąć. Ale tutaj, gdy sądzi, że nikt nie patrzy, nie wydaje się aż taka skryta. Æsa wyczuwa jej napięcie, frustrację i strach. W tej chwili jest w niej jakaś otwartość. Coś... znajomego, co ciągnie Æsę jak ćmę do ognia.

Fen sięga ukradkiem pod stół, wyciąga jakiś słoik. Bierze szczyptę zawartości, miesza z jasną, kleistą substancją i wkłada do srebrnego pudełka – już wcześniej wyjmowała je z kieszeni kamizelki. To pewnie mastyks, który ciągle żuje. Matilde twierdzi, że cuchnie jak gnijące wodorosty – trudno się z nią nie zgodzić. Ale Fen ochoczo pakuje go sobie do ust i zatapia w nim zęby. Wciska dłonie w drewniany blat, przymyka oko, jej ciało się rozluźnia. Bierze długi, urywany wdech.

Przyciąganie, które Æsa wcześniej czuła, ulatnia się, ukazując prawdę. No tak, nareszcie rozumie. Podchodzi bliżej.

– Czy Sayer wie? – pyta.

Wargi Fen się zaciskają, ale to jedyna wskazówka, że Æsa ją zaskoczyła.

– Czy co wie?

Æsa celowo przeciąga ciszę, pozwalając, by wypełniła zieloną przestrzeń między nimi.

– Że już wcześniej wiedziałaś o istnieniu Podziemia.

Oczywiście! To dlatego Krastan, Jacinta i pozostałe dziewczęta nie czują zagrożenia, wiedząc, że jest wśród nich bieguska.

Fen mierzy ją wzrokiem, ocenia, aż wreszcie przeczesuje dłonią płataninę krótkich włosów.

– Moi ludzie parają się szukaniem rzeczy, które zostały zakopane. Skarbów, sekretów... W całej Simcie nie ma lepszych złodziei. Od jakiegoś czasu staram się zmienić kierunek, chcę, by Ciemne Gwiazdy dla odmiany zajęły się handlem rzadkimi roślinami. Mamy w ofercie składniki, których większość alchemików nie jest w stanie nigdzie dostać, bo prohibicja ograniczyła ich napływ. – Pokazuje ogród, który je otacza. – Właśnie tak nam się to udaje.

– Ale skąd to wszystko się tu wzięło? – Æsa wybałusza oczy.

– Przemyciłam nasiona z Callistanu – wyjaśnia Fen. – Później zaczęłam pracować z Alecandem Padano nad tym, żeby dało się je uprawiać tutaj. W zamian za to, że dba o rośliny, moi ludzie pilnują, by inne gangi nie dowiedziały się o tym miejscu.

Jej ton jest swobodny, lecz Fen zaciska dłoń na srebrnym pudełku, jakby się bała, że Æsa spróbuje je odebrać.

– Zaskoczyłaś mnie. Sayer twierdziła, że stronisz od magii.

Fen wzrusza ramionami.

– Te rośliny nie służą tylko do produkcji substancji alchemicznych. Niektóre leczą rany albo łagodzą ból.

Æsa zerka na ledwie widoczne blizny, które Fen ma na szyi, tuż nad kołnierzykiem. Ciekawe, jak często próbowała uśmierzyć w ten sposób ból.

– Matilde za tobą nie przepada – mówi. – Wiesz o tym, prawda?

Fen parska jakby śmiechem.

– Pewnie, że tak. Jestem bieguską. Idę o zakład, że Bogaczka wolałaby wcinać muł z dna stawu, niż zadawać się z kimś takim jak ja.

Æsa zbliża się do stołu.

– Nie o to chodzi. Raczej o to, że Sayer jest twoja... Należy do ciebie, na pewno bardziej niż do nas. – W brązowym oku Fen rozbłyskują emocje, gorące i zagmatwane. – Matilde uważa, że Sayer jest zaślepiona uczuciami do ciebie – ciągnie Æsa.

– A ty co myślisz? – Stoi sztywno, jakby owinięto ją w kolce.

„Ze się boisz, tak jak ja”.

Dotyka dłoni Fen, delikatnie niczym morską bryza.

– Czy Sayer wie?

Twarz Fen tężeje, zamyka się, zdaje się mówić: „Blżej już nie podchodź”.
A jednak Æsa widzi...

– Powinnaś jej powiedzieć.

Z ciemności dobiega czyjś głos:

– O czym?



SAYER LUBI przechadzać się po Podziemiu, pozwolić się prowadzić zmysłom. Wciąż nie może uwierzyć, że to miejsce jest takie ogromne. Alec powiedział jej, że kiedyś tunele służyły głównie za nielegalny rynek i kryjówkę przed Gwardzistami, ale po zaostreniu prohibicji ludzie zaczęli się tu osiedlać. Niektórzy mieszkają na dole, inni przychodzą i odchodzą. Tyle było okazji, by informacja o istnieniu Podziemia wyciekła, lecz dotąd się to nie stało. Wygląda na to, że to wcale nie Nocne Ptaki były najpilniej strzeżonym sekretem Simty.

Dziś odkryła tajemny ogród, pełen roślin o szerokich, ciemnych liściach. Prędko mija stół zastawiony storczykami węzowymi – podobne hoduje Leta w swojej oranżerii. Kwiaty mają karmelowy kolor, taki sam jak oko Fen. Sayer chciałaby porozmawiać z przyjaciółką o Podziemiu, właściwie to o wszystkim, lecz Fen chyba jej unika. Znów. Od tamtej nocy, gdy uratowały Matilde i Æsę, trzyma się na dystans. Czy to dlatego, że Sayer zaproponowała, iż pocałuje ją i Rankina, by mogli się wtopić w mrok? „Nie, Tig. Lepiej trzymaj to dla siebie”. Ale dlaczego? Oczywiście Fen zawsze stroniła od magii, ale przecież moc Sayer to nie była substancja alchemiczna czy sztuczka szachrajska. Czy tak ją postrzega? A może nawet gorzej?

Sayer chętnie korzysta z okazji, by zgłębić swoją magię i poszerzyć zdolności. Potrafi przyzwać wiatr, sprawić, że mrok zgęstnieje, słyszy też rozmowy w sąsiednich pomieszczeniach oraz przyciszone dźwięki. Nadal trudno nad tym zapanować, zwłaszcza gdy czuje silne emocje. „Magia ma swoje granice – powtarza Krastan. – Nawet taka, która mieszka w was”. Najsilniejsza jest, gdy Nocne Ptaki są razem i się dotykają. Wtedy powietrze niemal śpiewa pod wpływem wyładowania, którego nie potrafią nazwać. Æsa martwi się, że jej magia rośnie w siłę, ale Sayer się to podoba. To broń, którą chce się nauczyć władać.

Niewiele myśląc, sięga do kieszeni po monetę, którą kiedyś rzucił jej ojciec. Zachowała ją na pamiątkę: miała przypominać, by nie szukała go już nigdy więcej. Ale gdy przebiega palcami po wytartych krawędziach, dociera do niej, że może wprowadzić w jego życiu zamęt. Zakraść się i zrujnować go jak mściwa zjawa.

Przyciszone, ukradkowe głosy krążą w ogrodzie pośród liści. Sayer rusza w kierunku, skąd dochodzą, lecz zatrzymuje się na dźwięk własnego imienia.

– Czy Sayer wie?

Zerka zza liści i widzi Fen ze wzrokiem utkwionym tam, gdzie dotknęła jej Æsa.

– Powinnaś jej powiedzieć.

Chciałaby zaczekać, dosłuchać do końca, ale coś ją zmusza, by się wmieszała.

– O czym? – pyta.

Æsa robi krok w tył. Dłonie Fen zaciskają się w pięści.

– Tig, a ty co tu robisz?

Sayer wyplątuje się z listowia i podchodzi do stołu warsztatowego.

– Co ja tu robię? Mogłabym zapytać o to samo.

Zielone oczy Æsy patrzą to na jedną, to na drugą. Czasami sprawia wrażenie, jakby widziała rzeczy, których inni nie potrafią dostrzec. Może naprawdę tak jest. Niepokojąca myśl.

– Pójdę poszukać Matilde – mówi. Przed odejściem nachyla się jeszcze do Fen, na tyle blisko, by coś wyszeptać. Twarz Fen zamienia się w maskę bez wyrazu, z której trudno cokolwiek wyczytać, Sayer zauważa jedynie, że coś kipi pod spodem.

Gdy zostają we dwie, przysiada na porosłej mchem półce wystającej ze ściany.

– O co chodziło? – zwraca się do Fen.

– O nic. – Wkłada z powrotem do kieszeni swoje srebrne pudełko. – Æsa chciałaby, żeby wszyscy się przyjaźnili, to wszystko.

Sayer zrywa liść z pobliskiej winorośli.

– Wam chyba to się udało. – Fen lekko się uśmiecha. Sayer rwie liść na kawałki. – No więc? – pyta. – Powiesz mi, gdzie się podziewałaś?

Fen podnosi fiolkę z jakąś kleistą substancją, ogląda ją pod światło.

– Pilnowałam interesu. Sam się nie poprowadzi, chyba o tym wiesz.

Sayer odwraca wzrok.

– Przekazałaś Lecie moją wiadomość?

Nie mogła zdradzić, gdzie teraz przebywa, ale też nie chciała, by Leta się martwiła.

Fen sztywno kiwa głową.

– Widziałam się z nią.

– Wszystko u niej w porządku?

– Tak. Opowiada ludziom, że wysłała cię do Thirsk dla podreperowania zdrowia. Twój sekret jest bezpieczny.

Ale sekret Matilde i Æsy już nie. Może jeszcze nie wie o nim całe miasto, lecz Caska tak. I Pontifex, który na razie nie podał tego do publicznej wiadomości. Na co czeka?

Sayer wypuszcza powietrze.

– Co jeszcze mówiła Leta?

– Pytała, co zamierzasz. Powiedziałam, że nie wiem. – Spowija je cisza. Fen okrąża stół i podchodzi bliżej. – No jak? – pyta. – Powiesz mi, co ci chodzi po głowie?

Po wizycie w Klubie Kłamców myśli tylko o jednym.

– Mam zamiar się zemścić.

Fen zerka na nią z ukosa.

– Na kim? Na Czerwonej Ręce?

– Też jest na mojej liście, ale mówiłam o ojcu.

Sayer nie wyjawiała nikomu, co naprawdę zaszło w klubie między nią a Wyllem Regnisem. Nie chce, by ktoś się dowiedział, że odkryła przed nim karty. Trudno stwierdzić, jak mógłby to wykorzystać. Pamięta wściekłość w jego oczach, gdy rzuciła czar, by go związać. „Zapłacisz mi za to”. Ale to on zapłaci – za wszystko.

– Należy mu się to od dawna – mówi. – Pora ściągnąć dług.

Fen patrzy z niedowierzaniem.

– Do tego chcesz wykorzystać swoją moc?

– Czemu nie? – wypala Sayer. – Zostawił moją matkę w rynsztoku. A i tak nie wiesz wszystkiego.

– To prawda, ale mamy ważniejsze sprawy na głowie. Zemsta chyba może poczekać.

Ale jej matka też czekała: długie godziny, miesiące i lata. Umarła w oczekiwaniu. Sayer nie powtórzy tego błędu.

Fen podchodzi do niej powoli i z gracją. Ogród jak gdyby wstrzymał oddech.

– A co z dziewczynami? – pyta.

– Chodzi ci o Nocne Ptaki? – Marszczy brwi.

– Nie, o całą resztę dziewcząt posiadających magiczną moc. Przecież wiesz, że na każdą, która trafiła do Podziemia, przypada co najmniej jedna, która została na górze, bez ochrony. – Jej głos drży z niewypowiedzianych emocji. – Im więcej ich będzie, tym większe ryzyko, że któraś w końcu zdradzi się ze swoją magią i że wytropią ją Caska lub Gwardziści. Albo jakiś biegus, a to też niedobrze. Wyobrażasz sobie, co będzie, jak ją dorwie ktoś pokroju Gwellyna? Przecież to odnawialne źródło magii, dostępne od ręki. Za taką dziewczynę można by wziąć kupę forsy.

Wizja Gwellyna ciągnącego na smyczy jakąś nieszczęśnicę przyprawia Sayer o ciarki.

– Ale co twoim zdaniem mam z tym zrobić?

– Dołącz do Ciemnych Gwiazd – odpowiada Fen. – Pomóż mi ukrywać te dziewczyny.

– Przecież mogę robić jedno i drugie: pomagać tobie i zniszczyć ojca. – A niech to, przecież to jej życie i jej magia. Nikt jej nie będzie mówić, do czego ma służyć. – Jestem to winna matce.

– Wiesz, że wcale by tego nie chciała. – Fenlin przybiera łagodniejszy ton.

– Ale ja tak. – Zaciska zęby.

Fen jest teraz blisko, wystarczy wyciągnąć rękę. Sayer dostrzega blizny na szyi, które stara się ukrywać, a pod nimi przyśpieszony puls.

– Nie masz pojęcia, co to za człowiek. Co zrobił. Musi cierpieć.

Inaczej nigdy nie pozbędzie się tej gniewnej pustki. Czuje, że zjada ją to żywcem.

– Myślisz, że nie wiem, jak to jest pragnąć zemsty? – pyta gwałtownie Fen. – Wychowywał mnie jeden z tych ojców. Nienawidził mnie. Odmawiał jedzenia

i zamykał w ciemnym pomieszczeniu.

Szarpie za kołnierz koszuli, jakby ją ocierał. W brązowym oku pojawia się wyraz udreki.

– Gdy wreszcie znalazłam się na ulicy, to przez pierwszy rok myślałam wyłącznie o zemście. Którejś nocy posłałam wiadomość dzieciakom z sierocińca, żeby przed północą wyszły z budynku, i podłożyłam ogień.

Sayer się nie porusza. Boi się oddychać, żeby Fen nie przestała mówić.

– Wy dostał się – ciągnie. – Poparzony, ale przeżył. Niestety ogień się rozprzestrzenił, zajął całą ulicę... tak szybko, że ludzie, którzy spali na górze, nie zdążyli uciec. Zanim go opanowano, zginęło pięć osób.

Odwróciła wzrok, ale Sayer i tak widzi, że ma wyrzuty sumienia.

– Ten człowiek jest teraz jeszcze bardziej niebezpieczny niż kiedyś... i to moja wina! Ja zrobiłam z niego gorszego potwora. – Milknie, ale jakieś niewypowiedziane wyznanie wisi w powietrzu. Sayer czuje je przez skórę, uwiera ją i drapie.

– Fen – mówi – co chcesz mi powiedzieć?

Oparła ręce na ścianie, otaczając nimi Sayer. Jej ruchy przywodzą na myśl ściśniętą sprężynę, która błaga, by ją uwolnić. Zachowują dystans – kiedy ostatnio się dotykały? Zdaje jej się, że całe lata temu.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że zemsta nie naprawi przeszłości. Nie uleczy krzywd. Ona zaślepią cię na to, co naprawdę ważne.

Czuje zapach mastyksu, gryzący, lecz nie na tyle, by chciała się odsunąć. Pragnie dotknąć blizn Fen, przycisnąć do nich wargi. Zedrzeć każdą warstwę, która je dzieli, aż nie zostanie już nic więcej.

Przysuwa się, ale tylko troszkę.

Pełne wargi Fen rozchylają się, gdy patrzy na usta Sayer.

Wcale nie chciała przyzywać wiatru, a jednak przemknął przez ogród, wprawiając rośliny w drżenie.

Fen przekrzywia głowę.

– To ty?

Sayer potakuje.

– Zawsze lubiłam ten odgłos. – Fen zamyka oczy. – Liście na wietrze.

Zabrzmiało jak wyznanie. Sayer czuje je w środku, gdy usiłuje zapuścić w niej korzenie.

Są tak blisko. Wystarczy unieść podbródek, by się pocałowały. Ale przecież są przyjaciółkami... tylko przyjaciółkami. Nie ma między nimi nic więcej.

Liście wokół zdają się szumieć: „Oszszusstka”.

Jedna z nich w końcu się odsuwa – Sayer nie wie która, ale to bez znaczenia. Jej matka zawierzyła komuś swoje serce i skończyła marnie. Może lepiej, by serce Sayer tkwiło nadal w piersi, bezpieczne i nietknięte.

Nie martw się o mnie. Wszystko dobrze, to znaczy: jeszcze oddycham. ~M

*

Co się wydarzyło po Twoim wyjściu z klubu? Gdzie teraz jesteś? ~D

*

Nie mogę powiedzieć. Jeśli chodzi o pierwsze pytanie... no cóż. En Caska Dae wdarli się do naszego ogrodu i sytuacja się... zaogniła. Nocne Ptaki musiały się ukryć. ~M

*

Tak nie może być. Porozmawiajmy – powiedz tylko, gdzie mogę się z Tobą spotkać. ~D

*

Nasze kolejne ruchy nie zależą tylko ode mnie. ~M

*

Twój wybór, ale pamiętaj, że tu jestem, gdy tylko będziesz gotowa. Ty i ja możemy znaleźć sposób, by wszystko naprawić. ~D

– KORESPONDENCJA DENNANA HAINA I MATILDE DINATRIS

ROZDZIAŁ 16

POWOLNE SPALANIE

MATILDE W KOŃCU udaje się pobyć sam na sam z Alekiem w cichszej części Podziemia. Ściany są tu nierówne, przypominają grubo ciosany kamień jubilerski, pod sufitem wiszą stalaktyty podobne do zastygłego wosku. Te tunele nie przestają zaskakiwać jej nawet po kilku dniach. Pomyśleć tylko, że całe życie miała je pod stopami.

Obserwuje Aleca, stojąc w drzwiach prowizorycznego warsztatu oświetlonego latarenkami. Nieruchome światło o pomarańczowym zabarwieniu, które rzucają, to na pewno sprawka jakiejś substancji alchemicznej. Pomieszczenie tonie w ciepłej poświacie. Ostatnio starała się odszukać Aleca, załagodzić jakoś sytuację, ale zwykle przebywał tutaj lub z Jacintą. Nie żeby ją to obchodziło... Nic a nic.

Podniósł szklaną fiolkę z podniszczonego drewnianego stołu, zagraconego moździerzami i słoikami z nie wiadomo czym. Widok młodego alchemika, który zakasał rękawy i uciera zioła, poprawia jej nastrój. Obok jak zawsze paruje kubek frennetowej herbatki. Znajome elementy w tej galopadzie, w jaką zmieniło się jej życie.

Matilde wchodzi bezceremonialnie, stara się zachować pogodny ton.

– Komu warzysz kłopoty?

Podnosi wzrok, przygląda jej się intensywnie, jego ciemne oczy błyszczą. Najchętniej zaczęłaby się wiercić.

– Twoje włosy. – Alec unosi brwi.

Okręciła się, prezentując modne równe cięcie. Jedno z piskląt tak ją ostrzygło.

– Jak ci się podoba?

Kącik jego ust unosi się do góry.

– Pasuje ci.

Matilde czuje trzepotanie w piersi.

– Skoro już całe moje życie stanęło na głowie, to uznałam, że mogę dopasować fryzurę do okoliczności.

Nie wspomina, że w trakcie cięcia musiała powstrzymać łzy. Na widok włosów spadających na ziemię poczuła się jeszcze bardziej oderwana od poprzedniego życia. Matce nie spodobałaby się nowa fryzura, to na pewno. Matilde potrafi sobie wyobrazić reakcję swoich bliskich na taki wyraz buntu: zaciśnięte wargi matki, przebiegły uśmieszek babci i niewymuszony śmiech Samsona. Wydają się być z nią, choć zostawiła ich w innym świecie.

Krastan ją zapewniał, że nic im się nie stało, ale nie zadowolila się informacjami z drugiej ręki – na wszelki wypadek wymknęła się na powierzchnię, zmieniła twarz i wróciła do domu, by przekonać się o tym na własne oczy. Nocnym Ptakom – zresztą Krastanowi i Alecowi również – na pewno nie spodobałyby się jej wycieczki na górę, ale tak naprawdę nic jej tam nie grozi. Szczególnie gdy przybiera cudzy wygląd. Za pierwszym razem stała tylko pod bramą do ogrodu. Przez okno ujrzała swoich bliskich, ale nie ośmieliła się zostać dłużej. Zwłaszcza że Gwardziści patrolowali kanał przy samej posiadłości. To dziwne, że Pontifex wypuścił jej najbliższych i nie podał jej imienia do wiadomości publicznej. Z drugiej strony, przy Stole ma tylko jeden głos. Może tymczasowo powstrzymały go względy polityczne... i przewaga zjednoczonych Rodów? Albo może opracował potajemny plan i gra na zwłokę? Tak czy inaczej cisza nie potrwa wiecznie. Co się stanie, gdy Pontifex w końcu ujawni sekret Matilde? Czy Epinine Vesten znajdzie sposób, by ją dopaść, a wraz nią pozostałe Nocne Ptaki? Czy Kościół zadba o to, by już nigdy nie poczuły się bezpiecznie?

– Będziesz tam stać i ładnie pachnieć... – Alec wyrywa ją z zamyślenia. – Czy przyjdiesz tu i mi pomożesz?

Wyszczera zęby w uśmiechu, obchodzi stół, by znaleźć się po tej samej stronie.

– Co mam robić?

– Weź to... – Podsuwa jej moździerz i kupkę wysmukłych listków. – I utrzyj.

Matilde bierze do ręki tłuczek. Zioła mają ostry, niemal pikantny zapach. Ciekawe, czy dobrze się palą.

– Czemu nie pracujesz w sklepie? – pyta.

Alec wzrusza ramionami.

– Krastan nie przychodzi tu za często... mam kilka projektów, o których nie powinien się dowiedzieć.

– Proszę, proszę. – Szturcha go biodrem. – Znów życie na krawędzi.

Alec jej oddaje.

– Mam swoją ukrytą głębię.

Przez chwilę ucierają w milczeniu. Gdy byli młodszy, zwykle przekomarzali się przy pracy, ale teraz Matilde nie wie, co powiedzieć. Tyle się zmieniło.

– No więc...? – Alec odzywa się pierwszy. – Jakie to uczucie? Stosować własną magię?

Trafił w czuły punkt – kłębowisko emocji. Jak się z tym czuje? Trochę... skołowana.

– To przytłaczające. – Ostatnio ma wrażenie, że jest tancerką, pod którą załamał się parkiet. Chwieje się na nogach, które dotąd stąpały pewnie. – Ale też ekscytujące.

Podoba jej się to, że magia daje poczucie siły – dzięki niej staje się potężna. Ale im częściej jej używa, tym większego nabiera przekonania, że już nie wróci do dawnego życia. Ma wrażenie, że coś jej odebrano: jakiś rodzaj pewności. Przedtem wiedziała, kim jest, i umiała się wpasować. Była Nocnym Ptakiem, Dinatriską. A kim jest teraz, pozbawiona tego? Z dała od swoich bliskich?

– A jak się czujesz, wiedząc, że inne dziewczyny też mają takie zdolności? – pyta Alec. – Zrobiłaś spore wrażenie na Layli.

Dziewczynie od zielonego ognia. Matilde się uśmiecha.

– Coraz bardziej ją lubię, właściwie to je wszystkie.

To dziwne odkryć, że – jak to ujęła Jacinta – wcale nie jest taka wyjątkowa, jak jej się zdawało. Nadal uwiera ją to jak przyciasny płaszcz. Szczególnie że te dziewczęta nie pochodzą z Wielkich Rodów. Hetty, jedna z tych, których żywiołem jest powietrze, to córka kowala, a Layla... no cóż. Matilde odniosła wrażenie, że ojciec żeglarz wysadził ją na nabrzeżu i popłynął gdzieś dalej. Kilka tygodni temu nie zwróciłaby uwagi na żadną z nich, przekonana, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Ale gdyby piskłeta przyszły na świat w innych okolicznościach, to mogłyby stać się Nocnymi Ptakami. Tu na dole, w ciemności, wszystkie są takie same.

– Teraz już rozumiem, co miałeś na myśli – mówi, nie patrząc na niego. – Kiedy powiedziałeś, że jestem ptaszkiem w złotej klatce. Nic nie wiedziałam o życiu takich dziewcząt.

– Po prostu nie miałaś powodów, by się tym interesować.

Matilde czuje na języku gorzki posmak.

Nie chce się dłużej ukrywać przed Alekiem. Milczenie się przeciąga, jakby w oczekiwaniu na szczere wyznanie.

– Prawdę mówiąc, tęsknię za dawnym życiem... Za moją rodziną, bez której czuję się trochę zagubiona.

– Wróciłabyś do bycia Nocnym Ptakiem? – Chłopak marszczy brwi.

Nie jest pewna, czy znów mogłaby oddawać innym część siebie.

– Nie. – Sili się na swobodniejszy ton. – Ale chciałabym mieć znów codzienny dostęp do wanny. Wiesz, że lubię odrobinę luksusu.

Krzyżują spojrzenia.

– Zmiana może ci wyjść na dobre – stwierdza Alec. – To też nowe możliwości.

Możliwości. Matilde sięga do kieszeni, ściska metalową sikorkę od Dennana. Gdy po raz pierwszy wyszła na powierzchnię i przybrała cudzą twarz, aby sprawdzić, jak się miewają jej bliscy, posłała też wiadomość Dennanowi: „Nie martw się o mnie. Wszystko dobrze, to znaczy: jeszcze oddycham”. Dzień później, gdy wyszła na dach sklepu Krastana, gdzie ukryła metalową podstawkę, ptak już na nią czekał.

„Co się wydarzyło po Twoim wyjściu z klubu? – pytał w liściku Dennan. – Gdzie teraz jesteś?”

„Nie mogę powiedzieć”, odpisała.

Potajemne wyprawy na górę sprawiają jej przyjemność – krótkie chwile, gdy przebywa na słońcu. Niestety rodzą też obawy i frustracje. Nie może się wiecznie ukrywać w Podziemiu, ale też nie może wrócić do dawnego życia. Musi opracować plan – znaleźć sposób, by ochronić rodzinę, Nocne Ptaki i swoje dobre imię.

W palcach ściska ostatnią wiadomość od Dennana, jeszcze ciepłą.

„Twój wybór, ale pamiętaj, że tu jestem, gdy tylko będziesz gotowa. Ty i ja możemy znaleźć sposób, by wszystko naprawić”.

Chciałaby mu wierzyć, ale od następnego kroku zależy cała jej przyszłość. Nie wie, jaki obrać kierunek.

Alec wskazuje nosem moździerz, w którym Matilde ospale uciera zioła.

– Tilde, twoja technika jest po prostu beznadziejna.

– No to pokaż mi, jak to się robi.

Ucieka się do flirtu, rzuca wyzwanie, sądząc, że młody alchemik go nie podejmie. Ale on staje za nią, otacza ją swoim ciałem.

– Nie tłucz tak mocno. – Miękkie loki Aleca muskają jej policzek. – Wystarczy lekko kręcić. – Ujmuje rękę, w której Matilde ściska tłuczek, i lekko ją przechyla. Stwardnienia na jego dłoni ocierają się o jej skórę. – Ja tam lubię zmiany – mówi. Jego twarda pierś dotyka jej pleców. – Na tym polega alchemia. Mieszasz dwa składniki, myśląc, że wiesz, co się stanie, a tymczasem wystarczy drobna zmiana w otoczeniu i wszystko może być inaczej. To jak nowe rozdanie.

Magia się w niej burzy, rozpała pomieszczenie, grzeje jej krew.

– Sądziłam, że nie lubisz gier.

Jego usta są tuż przy jej uchu.

– Bo nie lubię. Ale nie wadzi mi ryzyko. Korzystanie z okazji, przecieranie nowych szlaków.

Już nie ucierają ziół, tylko stoją, opierając się o siebie. Matilde wdycha jego zapach, przesiąknięty frennetem i popiołem.

Przypominają jej się słowa, które babcia wypowiedziała w ogrodzie: „Cząstka mojego serca na zawsze pozostała w pokoju na poddaszu nad sklepem Krastana. Tam odnalazłam to, czego nigdy więcej nie udało mi się znaleźć”.

A jednak odeszła, zostawiła go i pozwoliła, by rodzina dokonała za nią wyboru.

„Spełniłam swój obowiązek. Dla takich kobiet jak my to jest najważniejsze”.

Krastan był uczniem alchemika, babcia dziewczyną z Wielkiego Rodu – urodzili się i wychowali w różnych światach. Ale tutaj podobne granice zdają się zacierać. Matilde nie czuje się już tak bardzo spętana dawnymi zasadami.

Przekręca głowę. Jej skroń ociera się o kość policzkową Aleca.

– Czemu nigdy mnie nie pocałowałeś? – W całym ciele czuje, że przełknął ślinę. – Przez te wszystkie lata wiedziałeś, kim jestem – nie ustępuje – wiedziałeś, że posiadam magiczną moc. Dlaczego nigdy o to nie poprosiłeś?

Chłopak opuszcza podbródek. Jego wargi niemal dotykają jej szyi, czuje ich ciepło. Wtedy jednak się odsuwa i zostawia ją z wrażeniem chłodu.

Matilde się odwraca. Na twarzy Aleca maluje się wyraz zakłopotania i rozbawienia.

– Nie wiem – przyznaje. – Nigdy o tym nie pomyślałem.

Zapieкло ją to do żywego, ale nie pozwoli, by to zobaczył.

– No pewnie, i tak nie byłoby cię na mnie stać.

Chciała zażartować, ale zabrzmiało to zbyt uszczypliwie. Czoło zaszło mu chmurą.

– Muszę iść – mruknął. – Przesyp zioła do słoika i porządnie zakręć.

A potem odchodzi. Matilde jeszcze nigdy nie czuła się taka niepewna. Pomarańczowe światło migocze, spala się powoli.

Do Wielkich Rodów Simty!

Kościół otrzymał doniesienia, że ukrywacie czarownice. Pontifex nie chce dawać temu wiary. A jednak w służbie bogom i dla dobra dusz wszystkich mieszkańców Eudei sprawę należy zbadać – dlatego też Gwardziści przeszukają posiadłości Wielkich Rodów. Wszystkich, którzy będą z nami współpracować, potraktujemy łagodnie. Szczerść zostanie nagrodzona.

Taka jest wola bogów. Gorliwie będziemy zwalczać zepsucie, które zapuściło tu swoje korzenie. Oddamy cześć Źródłu, prosząc, by obmyło nas z grzechów.

– PODPISANA PRZEZ PONTIFEKSA WIADOMOŚĆ
ROZESŁANA DO WIELKICH RODÓW

ROZDZIAŁ 17

STRUMIENIE LOSU

AŁAWIRUJE uliczkami podziemnego targowiska, przechodzi pod purpurowym drzewem, które rośnie pośrodku, mija stoiska sprzedające alchemiczną magię. Już nie oburzają jej tak jak dawniej. Są tu głównie lekarstwa, mikstury mające uśmierzyć ból lub przedłużyć przydatność jedzenia do spożycia. Na Illanie na pewno znalazłoby się wielu chętnych gotowych zapłacić za takie rzeczy, niezależnie od tego, co sądzi o tym ojciec Toth.

Ludzie kiwają jej na powitanie głowami, niektórzy wręcz uchylają kapelusza. Æsa dotyka morskiego szkiełka, które wplotła we włosy. Piskłeta też tak teraz robią, po tym jak streściła im opowieści dziadka o *sheldar* z wysp Illish. Proszą nawet, by to ona im je zaplotła. Nadal tęskni za Illanem: za rodziną, klifami i nieustającym śpiewem morza. Ale tu na dole, pośród tych dziewcząt, tęsknota dokucza jakby mniej.

To dzięki nim nie boi się już tak bardzo magii. W ich obecności traktuje ją raczej jak dar niż przekleństwo. Przecież wcale nie okradła Źródła: magia została jej dana. Bogowie na pewno by tego nie zrobili, gdyby taka nie była ich wola.

Coraz częściej doskonali swoje zdolności, uczy się nad nimi panować, choć nie zawsze jest to możliwe. Wizje wpięrow przychodziły do niej w snach, pojawiały się tylko wtedy, gdy spała. Ale im więcej pracuje ze swoim żywiołem, tym częściej nachodzą ją też na jawie. Alecand powiedział, że dawno temu wieszczki używały do przepowiadania misy z wodą, przenosząc się umysłem w odległe czasy, wędrując po dalekich krainach. Z jego słów wynika, że to był wybór, lecz w jej wypadku tak nie jest. Nawet gdy mija kałużę, ma wrażenie, że jej umysł wpada do środka – czuje się wtedy jak na statku w czasie sztormu. Woda burzy się wokół niej, ciemna, gęsta i mętna, i nigdzie nie widać powierzchni.

Skręca w lewo, w boczny tunel, zatrzymuje się przed płóciennym namiotem. Waha się, czy wejść, gdy ze środka dobiega głos:

– Wchodź, Æso.

Jacinta siedzi na dużej poduszce i czyta. Zimne kamienie skrywa gruby dywan. Namiot jest zagracony książkami i kolorowymi latarenkami ze szkła, na sznurkach wiszą lustreczka, migocące niczym gwiazdy. Od razu czuje się, że ktoś tu mieszka.

– Co cię sprowadza w moje skromne progi? – Jacinta się uśmiecha.

Æsa przetyka ślinę. Sądziła, że dziewczyna będzie wiedziała, co ją tu sprowadza. Przecież widzi przebłyski przyszłości.

– Miałam nadzieję, że mi pokażesz, jak z pomocą kart odcyfrowujesz swoje wizje.

„I że pomożesz mi zrozumieć moje”.

Widziała różne rzeczy: Matilde w sali balowej, rozpościerając ogniste skrzydła, elegancką Sayer z nadgarstkami związanymi sznurem. Każda wizja napelnia jej serce strachem, szczególnie że nie potrafi ich zrozumieć. Jaki sens może mieć widzenie przyszłości, kiedy wizje przypominają bezładną płataninę?

Na razie nie wspominała o tym Nocnym Ptakom. Nie chce ich straszyć. Ale Jacinta wydaje się taka pogodzona ze swoim darem. Jeśli ktoś miałby pomóc Æsie, to właśnie ona.

– Usiądź. – Poklepuje poduszkę tuż obok siebie. – Pokażę ci.

Æsa siada, a Jacinta wyciąga talię ręcznie malowanych kart, z których czyta przyszłość. Rozkłada je na dywanie.

– Wybierz trzy – mówi. – Ale nie więcej.

Dłoń Æsy zawisa nad talią. Nie namyśla się, pozwala, by palce same ją poprowadziły. Jacinta odkrywa karty, kładzie na górze stosu. Pajęczyna, wąż i ptak w płomieniach.

Mruży oczy, przekłada karty, Æsa nie wie, dlaczego to robi.

– Sama je pomalowałam – wyjaśnia, stukając w nie paznokciami pociągniętymi ciemnym kolorem. – Każda ma jakieś przewodnie znaczenie. Muszę je tylko ułożyć i pozwolić, by moja magia powiązała je ze sobą, zaczekać, aż ukaże mi się jakiś związek.

Æsa myśli o swoim tacie, który zawsze wiedział, gdzie szukać ryb danego ranka. Nie było w tym magii. „Morze ma swój schemat – mawiał. – Trzeba nauczyć się go

rozumieć”. Ale jeśli jej wizje też go mają, to jeszcze go nie odnalazła. Ocean, który w niej mieszka, najwyraźniej tworzy własne prądy.

Jacinta ma zamglony wzrok, zdaje się patrzeć na coś, czego Æsa nie widzi. Sprawia wrażenie oswojonej ze swoją mocą. Może nikt jej nie mówił, że magia to grzech, lub po prostu w to nie uwierzyła. Æsa niemal jej zazdrości.

– Niedługo wyruszysz w podróż. – Słyszysz wreszcie. – Widzę trzy spiczaste pagórki na brzegu.

Zapiera jej dech. Czy może chodzić o Trzy Siostry na południowym wybrzeżu Illanu?

– O jak dalekiej przyszłości mówisz?

– Czas trudno zmierzyć. Może to będzie jutro, a może za kilka lat.

W jednej z wizji zobaczyła Willana na statku – stał na pokładzie, tuż za jej plecami. Czy to także fragment tej przyszłości?

Między brwiami Jacinty pogłębia się zmarszczka.

– Przed tobą kręta droga, ale w końcu zaprowadzi cię do domu.

Dom. Tęskni za nim, choć myśl o powrocie budzi mieszane uczucia. Co miałyby oznaczać jej wyjazd z Simty? Gdzie będą wtedy Nocne Ptaki?

Bierze głęboki wdech.

– Jacinto, czy twoje przepowiednie zawsze się spełniają? Przyszłość jest z góry ustalona czy raczej można jeszcze coś zmienić?

Dziewczyna przygląda jej się przez dłuższą chwilę. Palce znów bębnią po stosie kart. Wyciąga jedną, nie podgląda, tylko od razu odwraca. Postać kobiety w olśniewającej zbroi. Nie ma na sobie hełmu, trzyma dłoń na sercu. Rycerka.

– Kiedy wróżę sobie, karty ukazują kogoś, kogo kocham. I straciłam.

Æsa zerka na jej sukienkę, zawsze ciemnoczerwoną. W Simcie ten kolor noszą wdowy.

– Nieraz wróżyłam Tomowi i wciąż widziałam to samo. Ambicję i ryzyko, nagrodę i trudności. A jednak karty zawsze pokazywały, że przed nim jeszcze tyle życia...

Dotyka talii z takim uczuciem, jakby to była żywa osoba, którą głaszcze po policzku.

– Miał małą żaglówkę, którą przewoził zakazane mikstury na statki zacumowane niedaleko brzegu. Zbudował specjalną skrytkę w kadłubie. To niebezpieczna praca, zwłaszcza dla kogoś, kto nie należał do gangu biegusów, ale Tom miał do tego smykałkę. Któregoś dnia zobaczyłam w kartach upadek. Nie chciałam w to wierzyć i nie potrafiłam odczytać, jak do tego dojdzie. To była możliwość... jedna z wersji przyszłości. Ostrzegłam go, by uważał. Później postanowiłam zapomnieć o całej sprawie. Niestety dopadli go Gwardziści, a za recydywę skazują bez procesu. Gdy dotarłam do Zaułka Szubienic, Toma właśnie wieszali.

Jej głos jest twardy, pusty i wyrazisty zarazem, wyostrzony przez to, co utraciła.

– Tak mi przykro, Jacinto – mówi Æsa.

Zbывa to machnięciem ręki.

– Usiłuję odpowiedzieć na twoje pytanie. Przyszłość jest nieprzewidywalna. Los może się odmienić w zależności od decyzji, jakie podejmujemy po drodze. Czasami wszystkie ścieżki wiodą w jedno miejsce, ale nie uważam, że przyszłość jest nieodwołalna. Mamy wybór. Nasze losy mogą płynąć wieloma strumieniami.

Æsa bierze wdech, wyciąga rękę w stronę talii, zawiesza palce w powietrzu. Potrafi to zrobić. Kiedy czuje delikatną iskrę, wyciąga kartę.

Same ostre krawędzie i para płonących oczu namalowanych ciemną farbą. Mężczyzna w szacie przywodzi na myśl ojców Kościoła. Pod spodem widnieje tylko jedno słowo: ŚMIERĆ.

Obraz jej się rozmywa i Æsa zapada w ciemność. Nagle widzi, że ktoś krzesze iskrę. Próbuje to zrozumieć, ale wizja jest niewyraźna. Słysząc głośny hałas, leją się potoki wody. Ziemia się trzęsie, rycząc złowrogo.

Umysł gwałtownie wraca do ciała, serce bije na alarm pod wpływem tak przejmującej wizji.

– Æso?! – woła Jacinta. – Co się stało?

Rozchyła usta, już ma odpowiedzieć, gdy otwierają się poły namiotu i do środka wpadają Matilde, Alecand, Sayer i Krastan. Powietrze, które ze sobą przynoszą, zdaje się naładowane jak przed burzą.

– Dobrze wiesz – mówi Alec – że to głupi pomysł.

– Nie zgadzam się. – Matilde przekrzywia podbródek.

Na twarzy Jacinty nie znać już smutku, zastępuje go spokojne rozbawienie. Nie ma pojęcia, że ona i Matilde wcale się od siebie aż tak bardzo nie różnią.

– O co chodzi tym razem? – pyta.

Alecand się odwraca.

– Matilde uważa, że czas dać nauczkę Pontifeksowi.

– A co? – Dziewczyna robi gniewną minę, bierze się pod boki. – Sądziłeś, że przejdę do porządku dziennego nad tym, co wyczynia?

– Ale nad czym? – Jacinta zwięża oczy.

Alec wręcza jej jakieś pismo.

– Rozsyłają to do wszystkich Rodów.

Cienki papier opatrzone czteroramienną gwiazdą Eshamein i pieczęcią Pontifeksa.

Kościół otrzymał doniesienia, że ukrywacie czarownice. Pontifex nie chce dawać temu wiary. A jednak w służbie bogom i dla dobra dusz wszystkich mieszkańców Eudei sprawę należy zbadać – dlatego też Gwardziści przeszukają posiadłości Wielkich Rodów. Wszystkich, którzy będą z nami współpracować, potraktujemy łagodnie. Szczerość zostanie nagrodzona.

Taka jest wola bogów. Gorliwie będziemy zwalczać zepsucie, które zapuściło tu swoje korzenie. Oddamy cześć Źródłu, prosząc, by obmyło nas z grzechów.

Sayer odwraca się do Matilde.

– Przynajmniej nie podał do wiadomości nazwisk. To już coś.

– Równie dobrze mógł to zrobić. – Głos Matilde jest opanowany, ale cała drży z napięcia. – Wszyscy wiedzą, że moja rodzina jest zamieszana w tę sprawę, a ja zniknęłam. Jeśli ktoś jeszcze nie podejrzewał, że Æsa i ja jesteśmy Nocnymi Ptakami, to teraz na pewno się domyśli.

– Naprawdę będą przesłuchiwać Rody? – Strach oblatuje Æsę.

– Na to wygląda. – Krastan zdejmuje żółtą czapkę, miętosi ją w dłoniach. – Zwierzchniczka udzieliła Pontifeksowi poparcia. Jej słowo w połączeniu ze słowem Kościoła powinno wystarczyć.

– Epinine Vesten wcale nie wspiera Kościoła ze względu na swoją pobożność – mówi Matilde. – Ona w coś gra.

Alec prycha sfrustrowany.

– I co niby zamierzasz z tym zrobić? Będziesz się domagać audiencji u Pontifeksa? Pójdiesz tam i powiesz mu, że zaszło nieporozumienie, a potem wrócisz do dawnego życia?

– Pontifex ma jedynie zapewnienia Czerwonej Ręki – zauważa Matilde. – Nie może udowodnić, że posiadam magiczną moc. Przecież nie wyduszą jej ze mnie siłą.

– Tego nie wiesz, Stella – mówi łagodnie Krastan. – Krążą pogłoski, że dawni królowie feudalni sterowali dziewczynami posiadającymi magiczną moc. Mówi się też, że Marren do poskromienia Ognistych Ptaków znalazł inne narzędzia niż miecz.

Æsa czuje ucisk w piersi. Czy w takim razie istnieje sposób, by ktoś mógł zapanować nad jej magią? Albo pozbyć się jej?

– Nie wiem, jak im się to udało – ciągnie alchemik – ale Kościół ma swoje archiwa. Trudno powiedzieć, jaką wiedzą dysponują.

Matilde zaciska pięści na obwieszczeniu.

– Będą przesłuchiwać dziewczyny, które kiedyś były Nocnymi Ptakami, moje przyjaciółki. Nie mogę siedzieć tu bezczynnie.

W jej głowie kłębią się myśli – Æsa niemal to widzi – zupełnie jakby Matilde grała w karty i planowała kolejny ruch. W końcu mówi:

– Może istnieje inny sposób, by temu zaradzić.

– Niby jaki? – Sayer marszczy czoło.

– Pontifex ma władzę – wyjaśnia Matilde – szczególnie gdy popiera go zwierzchniczka. Razem stanowią zagrożenie. Ale zbliża się posiedzenie Stołu i wkrótce odbędzie się głosowanie. Gdyby udało nam się obalić Epinine, zastąpić kimś, kogo sami wybierzemy i kto zadba o nasze interesy...

– Masz na myśli Dennana Haina. – Mina Sayer jest nieprzenikniona.

– Księżę Bękart?! – Alec prawie się krztusi.

Matilde sztywnieje.

– Chce tego samego co ty... wyprowadzić magię z ukrycia. Nie wierzy w prohibicję ani nie podziela poglądów siostry.

– I ty powierzyłabyś mu nasze sekrety? – Oczy Jacinty zwięzają się w dwie ledwie widoczne szparki.

Matilde zerka na Sayer i Æsę.

– Już raz mu zaufałyśmy. Czemu nie miałybyśmy tego zrobić ponownie?

Może ma rację. Dennon pomógł im tamtej nocy. Ale czy osłoni je przed niebezpieczeństwami, które czyhają na ich drodze?

– Potrzebujemy potężnego sojusznika – mówi Matilde – który nie będzie się bał wprowadzać zmian.

– Jest Vestenem. – Alec prawie rwie loki z głowy. – Niczego nie zmieni! Chce tylko odebrać władzę siostrze i zagarnąć dla siebie.

– Wcale taki nie jest – burzy się Matilde. – Nie znasz go.

– Nie znam?! – Chłopak już niemal krzyczy. – A ty niby tak?

Powietrze zgęstniało tak, że można by je ciąć nożem. Lustreczko, które wisi nad nimi, obraca się i groźnie błyska.

– Znam go na tyle, by wiedzieć, że nie wyrządzi nam krzywdy – upiera się Matilde. – Będzie nas chronił.

– Może ciebie. – Ton Jacinty jest zjadliwy. – A my i reszta dziewcząt? Jeśli udasz się do Dennana Haina, zdemaskujesz nas wszystkich. I całe to miejsce.

– W czym nam pomoże to, że zostaniemy tutaj? – Matilde wyrzuca ręce do góry. – Co uważasz, że powinnam zrobić?

– Nie możesz odejść. – Jacinta wstaje. – Jesteśmy tak blisko. Czuję to.

– Blisko czego? – W głosie Sayer pobrzmiewa nieufność.

– Krastan, powiedz im o swoim odkryciu – wtrąca Alec – albo ja to zrobię.

Znów zapada cisza. Æsa nie jest pewna, czy są gotowe, by to usłyszeć.

– Krastan? – Matilde odwraca się do swojego dziadka.

W jej oczach błyskają emocje: czułość i smutek, i coś, co ma posmak żalu.

Alchemik wypuszcza powietrze.

– Wiele lat temu natknąłem się na pewną legendę. Wtedy zbyt nie przejąłem, ale teraz... no cóż. Wszystko się zmieniło. – Æsa czuje mrowienie na

karku. – Opowieść dotyczyła Ognistych Ptaków. Ponoć niezwykle rzadko pojawiała się między nimi wyjątkowa czwórka dziewczyn. Każda z nich przejawiała skłonność do innego żywiołu: ziemi, powietrza, wody lub ognia. Były bardzo potężne. Potężniejsze od pozostałych. – Æsa nachyla się do Krastana. Cisza pulsuje jak niespokojne serce. – Taka czwórka była ze sobą nierozzerwalnie związana – ciągnie alchemik. – Przywoływały się, czuły przyciąganie nie do zatrzymania. W legendzie padło nawet dawne eudejskie określenie: *denddeal*.

– Co to znaczy? – Twarz Sayer pobladła.

– Więzy serc.

Æsie przypomina się mrowienie, jakie czuje, gdy się dotkną. Z piskletami się to nie zdarza, choć myślała, że będzie inaczej. Wrażenie osiągnięcia pełni pojawia się tylko w obecności Nocnych Ptaków, ale ostatnio, coraz częściej, ma również poczucie braku, jakby nie były jeszcze całością.

Krastan mówi dalej:

– Jeżeli takie cztery dziewczyny są blisko, zarówno ciałem, jak i duchem, to dodatkowo wzmagają w sobie moc Źródła. Gdy się zjednoczą, naprawdę połączą swoje siły, to tak jakby wrzuciły kamień do Źródła... jego wody się rozlewają i spływają na wszystkie dziewczęta, które mają w sobie choćby odrobinę mocy. To dlatego Ogniste Ptaki były kiedyś w stanie sprawić, że morza się rozstępowały i przesuwały góry. Razem miały taką moc, że mogły zatrzęść światem.

Æsę ogarnia uczucie, które zwykle pojawia się tuż przed wizją – chwilę przed tym, nim z hukiem zostanie wciągnięta w nieznanne.

– Kocia pożoga! – Sayer ciężko oddycha. – Chyba nie sądzisz, że jesteśmy jak te Ogniste Ptaki?

– A dlaczego nie? – dziwi się Alec. – Wiele na to wskazuje.

Mija kilka sekund, nabrzmiałych znaczeniem. Światła zaczynają migać – Æsie wydaje się, że to sprawka przyśpieszającego tętna Matilde.

– To tylko legenda. Czemu dajesz jej wiarę?

– Obserwowałem cię, Stella – mówi Krastan – całą waszą trójkę. Zauważyłem, że razem jesteście silniejsze i jeszcze wzmacniacie pozostałe dziewczęta.

– W waszej obecności wszystkie jesteśmy silniejsze – upiera się Jacinta. – Poza tym teraz codziennie pojawiają się nowe dziewczęta, zupełnie jakby coś je tu przyzywało.

Jakby coś rozbudzało w nich magię. Czy to naprawdę mogą być one?

– Ale powiedziałaś „cztery” – zauważa Sayer. – Cztery dziewczyny.

– Wydaje mi się, że ta obdarzona mocą ziemi musi być gdzieś blisko – odpowiada Krastan. – Może nawet w tych tunelach.

Æsę przesywa nagle, przenikliwe uczucie. Wreszcie rozumie.

– Źródło doprowadziło was do siebie – mówi Jacinta. – Dało wam moc, jaka nie pojawiała się od wieków. Musi być jakiś powód.

– Czego właściwie od nas chcecie? – W głosie Sayer pobrzmiewa nieufność.

– Dotychczas nie byliśmy wystarczająco potężni, by zaprowadzić w Simcie prawdziwe zmiany – wyjaśnia Jacinta. – Ale teraz, gdy mamy po swojej stronie Ogniste Ptaki, które nas wzmacniają, w końcu możemy się za to zabrać.

Matilde sztywnieje.

– Ale za co?

Odpowiedzi udziela Alec:

– Za rewolucję!

Na chwilę zapada głucha cisza.

– Kiedyś Ogniste Ptaki używały swoich mocy, żeby kształtować świat – odzywa się Krastan. – Zmieniać na lepsze.

– Ale my nie jesteśmy płomienistymi ćmami... – Sayer przybiera ostrzegawczy ton. – ...które możecie wrzucić do słoika, żeby oświetlały wam drogę.

Æsa przypomina sobie słowa dziadka o tym, że mieszka w niej *sheldar*. „Musisz tylko wsłuchać się w jej pieśń i mieć dość odwagi, by odpowiedzieć na wezwanie”. Czy wówczas stanie się jedną z kobiet, których podobizny zdobią ściany podziemnej sali balowej? Może jeśli będą z nią dziewczyny...

Ziemia zaczyna drżeć pod jej stopami. Znów pojawia się to silne przecucie, niemal pewność, a lodowaty strach zalewa pierś Æsy od środka.

– O bogowie – szepcze.

– Æso, co się dzieje? – Sayer łapie ją za rękę.

Spogląda na kartę, którą nadal ściska w dłoni.

– To Śmierć.

CHŁOPAK W BUREJ SZACIE pełźnie cuchnącym żuchworostami tunelem. Eli wie, że powinien się bać, a jednak płonie wewnętrznym światłem. Na czole wciąż czuje palce Czerwonej Ręki, który pobłogosławił jego misję. Wkrótce umrze – jego ciało doczesne. Ale dusza poszybuję w objęcia Marrena.

Przykuca, rozkładając ostrożnie narzędzia, tak aby nie dotykały wody. Lont nie może zamoknąć, jeśli Eli ma wykonać swoją świętą misję. Prędko go podpała, dłonie prawie mu się nie trzęsą. Jest gotowy. Sekunda, dwie, a zaraz potem iskra... sprawiedliwy ogień. „Ogień, który oczyści świat”.

ROZDZIAŁ 18

WIĘŻ SERC

– WODA ZALEWA PODZIEMIE – mówi Æsa.

– To się zdarza – odpowiada Alec. – Pójdziemy zatkać pęknięcie.

– Nie da się tego zrobić. – Wciąż widzi wielki otwór o nierównych krawędziach, przez który woda wdziera się do środka. – Ktoś wysadził ściany w jednym z tuneli. Tuż pod głównym kanałem.

Sayer klnie.

– Ale kto?!

– Jeden z Caska – wydusza z siebie Æsa.

Zrywają się, wypadają na zewnątrz, biegną do tunelu. Ziemia złowieszczo drży pod stopami. Dookoła z namiotów niepewnym krokiem wychodzą ludzie, łapią swój dobytek, chwytają się za ręce, zabierają dzieci. Æsa wie, że w tunelach na wszelki wypadek znajdują się włazy bezpieczeństwa, ale nikt nie ma pojęcia, do którego z nich należy biec. Zewsząd dochodzą złowrogie pomruki.

Krastan bierze za rękę Matilde.

– Prędko, wszyscy na górę, do sklepu.

Biegną z tłumem, wpadają na targowisko w sali z wysokim stropem. Tutaj nie słychać już pomruków, tylko ryk. Z bocznych tuneli w pośpiechu wybiegają ludzie, nawołują się, łapią, co tylko się da. Potrącają maszty namiotów, przewracają stoły – w powietrzu unosi się chmura proszków i ziół. Ktoś potrąca Æsę, uderza w ramię, ale Sayer w porę ją przytrzymuje.

– Chodź – dyszy ciężko – nie ma czasu.

Kłopot w tym, że coś trzyma ją mocno za żebra i nie chce puścić.

Na drugim końcu tunelu z łoskotem wzbiera fala, już ją widać. Æsa spodziewała się, że w tak rozległym miejscu zamieni się w wąską strużkę, a tymczasem leją się potoki wody, grmiąc niczym gniewny bóg. Patrzy z przerażeniem, jak fala

pochłania kolejne osoby, które nie zdążyły umknąć. Ile pokonała tuneli, żeby się tu wedrzeć? Ile mają czasu, zanim ich też pochłonie?

Fala rozstępuje się tylko tam, gdzie rośnie drzewo, lecz nawet ono ugina się pod masą wody – zostaje odarte z jasnych purpurowych liści, które płyną dalej.

Ktoś krzyczy: „Æsa!”. Sayer ciągnie ją mocno za rękę, ale przecież tego nie prześcigną. Ma już dosyć uciekania w popłochu.

Słowa Willana przebijają się przez mur strachu: „Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje”. I jeszcze opowieści dziadka. Być może naprawdę śpiewa w niej *sheldar*, a woda to jej żywioł.

Cokolwiek by się działo, Æsa wsłucha się teraz w jej pieśń.

Pozwala, by wezbrał w niej ocean, wypełnił ją po brzegi. Wychodzi przed swoich przyjaciół i wyciąga ręce.

– *Dwen!* – ryczy w *illish*.

„Stój!”

Magia z niej wypływa. Wzbiera w kościach i we krwi, jakby tylko czekała na tę chwilę, rozlewa się, unoszona niewidzialnym przyływem. Zdaje się zderzać z falą, wytraca jej pęd, tak by poruszała się bardziej jak gęsty syrop niż wzburzone morze. Æsa czuje masę wody, która usiłuje odeprzeć jej moc. Napręża mięśnie, ręce jej się trzęsą. Jest tego tak dużo, a z kanału na górze wciąż napływa więcej.

Ktoś zaciska palce na jej ręce: to Sayer, która drugą dłoń podała Matilde. Ich magia splata się niczym lina, czyniąc je silniejszymi. Æsa czuje posmak burzy na języku, żyły rozpała jej ogień.

Woda zwalnia, a wreszcie się zatrzymuje, jakby trafiła na przeszkodę. Niewidzialna zapora pnie się coraz wyżej, teraz jest już niemal tak wysoka jak Æsa – nawet wyższa. Wodna kurtyna wspina się po ścianie powietrza. „Sayer!” Uniosła rękę i obraca nią, jakby próbowała nadać jej kształt. Za zaporą w kipiącej wodzie unoszą się namioty, ubrania, krzesła, beczki i... o bogowie, to ludzie. Kilkoro z nich rozbija się o zaporę, wymachują rękami i nogami. Alec i Krastan biegną tam, starają się ich dosięgnąć. Ale powietrzny mur jest za gruby i chyba wciąż się podnosi, aby nadażyć za wodą wlewającą się do tunelu. Targowisko lada chwila zamieni się w szczelnie zamknięty grobowiec.

Serce podchodzi Æsie do gardła.

– Za dużo! Nie utrzymam tego!

– Ja też nie – dyszy Sayer. W niewidzialnym murze powstają drobne pęknięcia i woda zaczyna przeciekać. – Robię, co mogę, ale...

– Jeśli puścicie... – Matilde zaciska zęby z wysiłku. – To wszyscy utoniemy.

Pojawiło się kilka piskląt. Zbierają się dookoła, wyciągają ręce, ale to też nie wystarczy. Potrzebują czwartej dziewczyny – brakującego elementu.

W tunelu czuć nagle obecność nadprzyrodzonej siły. Oplata Æsę coraz ciaśniej i ciaśniej, jak winorośl. Ledwie może złapać powietrze. Tak, to ich czwarta siostra – niewątpliwie się tu zbliża, ale jeszcze nie jest dość blisko.

Æsa się odwraca, wyciąga drżącą rękę.

– Fenlin!

Włosy Fen sterczą dziko, dłonie zaciskają się w pięści.

– Co...?

Nie było jej w namiocie, gdy Krastan opowiadał legendę, ale na pewno też to czuje.

– Fen – mówi znów Æsa – proszę, potrzebujemy cię.

Kręci stanowczo głową. Nie jest w stanie ukryć emocji, Æsa jeszcze nigdy jej takiej nie widziała.

Zza powietrznej zapory dolatują krzyki.

Æsa odwraca się z powrotem w kierunku fali. Tuż nad powierzchnią wody ktoś czepia się gałęzi podtopionego drzewa. To Rankin! Z kłębiącej się piany zdołał wyciągnąć Verony, jedną z dziewczyn od żywiołu powietrza. Przywierają do siebie, krztuszą się mętną wodą. Rankin patrzy na nie oczami wielkimi ze strachu.

– Fen! – wrzeszczy. – Ratunku!

Wypluła mastyks, podchodzi bliżej, twarz ma poważną jak w żałobie.

– Kocia pożoga i niech to wszystko szlag trafi!

Chwyta Æsę za nadgarstek, magia w niej pulsuje. Nie, właściwie to kipi z wściekłości. Liście drżą, ogień się rozpala, powietrze dmucha i łoskocze woda – siła jest tak potężna, że Æsa nie potrafi utrzymać jej w środku. Zasmakowała jej już wcześniej, w ogrodzie Dinatrisów, ale w porównaniu z tym, to była ledwie zmarszczka na powierzchni wody. Teraz są jak kamień, który wzburza fale. W końcu pojawia się to uczucie: wszystko jest tak, jak być powinno. Zupełnie jakby zawsze brakowało jej kilku części, a teraz nareszcie czuje się pełna. „Więź serc”.

Znów koncentruje się na wodzie, a ta przestaje się kotłować, zwija się w kłębek jak śpiący kot. Zamykają się pęknięcia w murze Sayer i nic już nie przelewa się górą. Fen oddycha szybko, piorunuje wzrokiem podtopione drzewo. Gałęzie zaczynają się poruszać, trzeszcząc, wyciągają się ku niewidzialnej zaporze, aż upuszczają Rankina i Verony na skraju wody. Z trudem udaje im się przedrzeć nad murem. Krastan i Alec rzucają się, by ich złapać.

Matilde i Sayer gapią się na Fen, rozdziawiając usta. Ta jednak koncentruje spojrzenie na Rankinie, który stoi przy niewidzialnej zaporze.

– No i co tak sterczysz jak ogłuszona barwena? – burczy. – Pomóż tym ludziom.

Chłopak się otrząsa i odwraca w stronę wody. Ludzie podpływają do zapory, usiłują się przedostać na drugą stronę. Kiedy lecą w dół z okrzykiem zdumienia, na pomoc biegną im Alec, Krastan i Rankin. Verony staje obok Sayer. Æsa dostrzega martwe ciała kołyszące się na wodzie. Modli się, by większość mieszkańców Podziemia zdołała ująć z życiem. Oby stali teraz bezpiecznie za jej plecami, a nie potopili się gdzieś tam, w ciemności.

– Musimy iść – dyszy. Coraz mocniej się trzęsie. – To dużo wody, nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

– Nie możecie jej odepchnąć? – pyta Alec. – Albo zamrozić?

– Skąd mamy to wiedzieć? – odpowiada Sayer przez zaciśnięte zęby. – Nikt nam nie dał podręcznika.

– Chyba jest jej za dużo, żebyśmy zdołała ją zamrozić – mówi Æsa. – Ale nie możemy tego tak zostawić. Jak puścimy, to zapora zniknie.

Ludzie, którym pomogli wydostać się z wody, powoli się podnoszą. Verony patrzy szeroko otwartymi oczami, do policzków lepią jej się loki poskręcane jak sprężyny. Æsa ogląda się przez ramię: ludzie już nie biegną, stają, żeby się pogapić. Młode twarze, starsze i kilka piskląt – przyglądają się im, jakby tylko one cztery mogły ocalić wszystkich od katastrofy. Chciałaby dowieść, że słusznie pokładają w nich wiarę.

– Nie możemy puścić fali. – Æsa usiłuje myśleć szybko. – Czyli musimy zabrać ją ze sobą.

– Co?! – dziwi się Matilde. – Mamy... ciągnąć ją na smyczy jak psa?

Æsa kiwa głową.

– Trzymamy, dopóki wszyscy stąd nie wyjdą.

Krastan prędko szepcze coś do Aleca, ruszają biegiem i zaganiają tłum do wyjścia.

– Śpieszcie się! – krzyczy Krastan. – Wszyscy na powierzchnię! Mamy tylko kilka minut!

Słysząc głośnie tupanie i wrzaski – ludzie uciekają, biegną na suchy kraniec targowiska, rzucają się do wyjść ewakuacyjnych. Po chwili na dole zostają tylko one cztery, Jacinta oraz Rankin i Verony, przemoknięci do suchej nitki. Światło dziwnie wygląda, jakby już znaleźli się pod wodą. Na fali podskakują zbłąkane kule świetlne, jarzą się, przypominają zjawy.

– Pora ruszać. – Æsa stara się panować na głosem, mówić z przekonaniem. – Gotowe?

– Lepiej nie będzie – dyszy Matilde.

Æsa zerka na Fen, która łypie na wodę, jakby chciała ją zasztyletować, i na Sayer wpatrzoną w przyjaciółkę.

– Sayer? Fen?

W milczeniu kiwiają głowami. Potem całą czwórką powoli zaczynają się cofać. Fala i powietrzna zaporą podążają za nimi. Po kamieniach rozchodzą się niespokojne pomruki.

Kolejny krok i następny, woda ich nie odstępuje. Jacinta, Rankin i Verony są tuż obok. Krastan i Alec biegną z przodu, nawołując tych, którzy mogli jeszcze zostać w tunelach. Zjawiają się ostatni maruderzy, przyglądają się w zdumieniu. Jakiś człowiek potyka się i upada jak długi, Alec pomaga mu się podnieść. Mężczyzna patrzy na nie jak porażony... jakby strach go obleciał.

Æsa czuje, że wzbierająca masa wody pragnie zatopić swoje paluchy w Podziemiu – ale ona jej na to nie pozwoli. Ledwie starcza jej siły, by zatrzymać falę w tunelu targowym, lecz tak postąpiłaby *sheldar*, więc Æsa się nie podda. Może jednak jej magia ma za zadanie ratować, a nie zadawać cierpienie.

Docierają już prawie na skraj targowiska, gdzie droga rozwidła się na dwie odnogi. Prawa wiedzie do ogrodu, w którym rozmawiały z Fen. Lewa zaprowadzi ich do sklepu Krastana.

– Czy... – Matilde brakuje tchu. – Potrafimy... obrócić falę?

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać – mówi Sayer.

Powoli skręcają w lewo, fala unosi się na krańcu targowiska, naraz od ścian rykoszetem odbijają się krzyki. Z tunelu z prawej strony wybiega grupka ludzi, niemal wpadają na Nocne Ptaki. Ścigają ich chłopaki w burych szatach.

En Caska Dae.

Jeden mierzy do ich czwórki z kuszy.

– To one! Bierzcie je!

Verony rzuca się przed Sayer, rozpościera ręce.

– Zostawcie je w spokoju!

Z jej dłoni buchają iskry. Z głośnym trzaskiem miota piorunem, który owija chłopaka w burej szacie jak sieci. Dostał drgawek, upadł. Przez chwilę nikt się nie rusza.

Strzała przebija pierś Verony.

Dziewczyna pada na ziemię, Sayer wykrzykuje jej imię. Jacinta się pochyła, ujmując strzałę w dłonie, ale krew wypływa o wiele za szybko. Oczy Verony odnajdują Æsę, zioną przerażeniem. „Napraw to jakoś”, zdaje się prosić. „Powstrzymaj”. Nie żyje.

Chłopak, który posłał strzałę, krzyczy z zachwytu, jakby dokonał wielkiego czynu. Jakby wyruszyli na łowy i upolowali zwierzynę. Nie spostrzegli jeszcze ściany wody kłębiącej się na skraju targowiska. Nie widzą też oceanu w piersi Æsy – wściekłości, która ją teraz przepelnia.

Strużka wody przebija się przez zaporę Sayer, pełźnie po kamieniach niczym wąż. Wytrąca kusze z rąk pozostałym dwóm chłopakom, którzy jeszcze stoją. Ale to na trzeciego się rzuca – Æsa siłą woli napuściła bestię na tego łobuza, który zastrzelił Verony. Wąż owija mu się wokół torsu i zaciska jak gniewna pięść. Chłopak drapie pazurami, próbuje schwycić węża, ale ślizgają mu się palce. Æsa zacieśnia uścisk, zebro pęka z trzaskiem, Caska wyje z bólu.

– Jesteśmy rękami Marrena! – krzyczą jego towarzysze. – Nasza misja jest święta!

Pieśń w jej wnętrzu jest taka głośna, że Æsa głuchnie na wszystko inne. Żądna krwi *sheldar* obnaża kły.

– Nie działacie w imieniu bogów!

Posyła węża tam, skąd przyszedł. Bestia porywa ze sobą chłopaka, wciąga go za zaporę Sayer, wrzuca do głębokiej wody. Caska bije pięściami w mur, jeden raz i drugi, wreszcie rozcapierza palce. Po chwili już go nie ma, pochłania go ciemność.

Gniew z niej uchodzi. Teraz nie potrafi oderwać wzroku od miejsca, gdzie przed chwilą widziała dłonie chłopaka. O bogowie, co ona narobiła?

Chwieje się, zatacza. Fala drga za ścianą powietrza.

– Chodź, kochana. – Matilde zwraca się do niej słabym, ale opanowanym głosem. – Jeszcze tylko kawałek.

Dwaj Caska, którzy ocaleli, rzucają się do ucieczki. Potykając się, biegną tam, skąd przybyli. Jacinta zamyka powieki Verony, szeptem odmawia modlitwę.

Potem skręcają w kierunku sklepu Krastana, fala ciągnie się za nimi. Przez szczeliny w murze Sayer przedostaje się coraz więcej wody. Æsa sama ma wrażenie, że pęka – coraz trudniej utrzymać koncentrację. Tak tu mało światła, woda taka ciemna.

Wreszcie docierają pod właz, który prowadzi do sklepu alchemika. Wydaje jej się, że minęły całe wieki. Alec zdejmuje ze ściany drabinę, po czym ciągnie za sznur, otwierając przejście. Trzyma jeden z tych świecących woreczków, który omiata ich purpurowym światłem.

– Idźcie przodem – dyszy Sayer. – Wejdziemy za wami.

Młody alchemik zerka na Krastana.

– Ale...

– Padano, nie pomożesz nam, jak się będziesz ociążał – warczy Fen. – No dalej, ruszajcie się!

Krastan, Jacinta i Rankin wchodzą po drabinie, znikają na górze. Alec przywiązuje sznurek do purpurowej latarenki i zakłada Matilde na szyję. Wspina się w pośpiechu, teraz zostały już tylko one cztery.

– Nie puszczajcie – sapie Æsa. Fala waży tonę, a woda, która przedarła się przez mur, kłębi się już na wysokości kolan. – Bez was raczej jej nie utrzymam.

– To jak mamy wspiąć się po drabinie? – pyta Matilde.

Z góry spada lina, jakby w odpowiedzi. Fen chwyta ją wolną ręką, przewiązuje każdą w talii.

– Musimy się śpieszyć!

Do tych, którzy są już na górze, krzyczy, żeby trzymali mocno, i zaczyna się wspinać po drabinie. Ciągną za sobą Æsę, która ledwie dyszy. Woda przedziera się przez zaporę, jest jej coraz więcej, wreszcie tryska strumieniem. Sayer spogląda w dół na swój powietrzny mur. Niestety zaczął puszczać. Wszystkie są zmęczone, opadają z sił.

– A niech to! – krzyczy Matilde – Prędko do góry!

Æsa czuje palenie wokół talii, w miejscu, gdzie lina się zaciska. Jej dłoń powoli ześlizguje się z Matilde. Z góry ktoś krzyczy: „Ciągnąć!”. Woda się podnosi, drze jej spódnicę i halkę, miesza w głowie. Æsa wspina się po omacku, ale szczeble są takie śliskie... Czuje się rozrywana na strzępy.

Pęka powietrzna zapora, fala z rykiem uderza o drabinę. Matilde i Sayer znikają w spienionej wodzie. Æsa krzyczy. Lina szarpie mocno, odcina dopływ powietrza. Wreszcie udaje jej się uchwycić metalowe stopnie wystające z pokrywy włazu.

– Wspinaj się, Æso! – krzyczy ktoś z góry.

Nic nie widzi, ledwie może oddychać. Matilde i Sayer stanowią ciężar ponad jej siły. Ale jeśli ona ich nie wyciągnie, zginą. Na ślepo odnajduje kolejny stopień, ciągnie dziewczyny za sobą. Jedna ręka, druga. Usiłuje oddychać, lecz wszystko ją boli.

Czyjeś dłonie chwytają ją pod pachy, szarpią tak mocno, że traci resztki równowagi. Ktoś ją osłania, gdy dygocąc, lądują jedna na drugiej na podłodze w piwnicy. Słysząc żwawe kroki i jęki, lina się poluzowuje. Sayer pada obok, wypływa wodę. Matilde nie daje oznak życia. W blasku tego dziwnego światła Æsa dostrzega, że Alecand padł na kolana.

– Tilde? – Potrząsa nią z całej siły. – Tilde, a niech to, przestań się zgrywać!

Rozłożył ją na ziemi, zbliży ucho do jej ust i nagle gwałtownie ją całuje. Nie, raczej wdmuchuje w nią powietrze, raz i drugi. Matilde się nie odzywa. Ta, której buzia się nie zamyka, która gada i przekomarza się, nakłaniając świat, by robił, co mu każe. Przecież musi się obudzić. W przeciwnym razie Æsa utraci coś... bez czego nie może żyć. Częstkę siebie, której jeszcze nie potrafi nazwać.

Matilde w końcu przekręca się na bok i wypływa wodę. Alec wypuszcza powietrze, dyszy ciężko.

Skrzypi pokrywa włazu, gdy ktoś ją zamyka, odcinając im drogę do Podziemia. Purpurowe światło strzela, a potem gaśnie, w piwnicy nagle robi się ciemno. Æsa słyszy tylko urywane kaszlnięcia, spłycone oddechy i wodę, która powoli wlewa się przez otwory w pokrywie włazu. Ma nadzieję, że fala nie przyjdzie za nimi aż tutaj, bo chyba pozwoliłaby się porwać.

Zamyka oczy, widzi pięści tego Caska bijące o zaporę Sayer. Patrzyła, jak tonął, i wcale jej to nie obchodziło. Magia zawładnęła jej gniewem, przemieniła ją w potwora. Nie była w stanie tego zdusić ani pohamować.

W ciemności wyrywa jej się szloch.

„Śpiewa w tobie *sheldar*”. Nie! To była raczej pieśń hashny, zaprawiona śmiercią i zniszczeniem.

A więc jednak... Æsa jest trucizną.

COŚ PRZETACZA SIĘ PRZEZ Simtę, po cichu i nagle, fala, którą czują tylko niektóre dziewczyny. Opiszą to uczucie na tysiąc sposobów: krzemień rozniecający iskry pod żebrami, dreszcz podobny do grzmotu pioruna, ciarki, które poczuły aż w krwiobiegu. Co do jednego będą zgodne: poruszyło w nich coś głęboko w środku, wydobyło to na światło dzienne.

*

W DZIELNICY GRYFA dwie siostry zatrzymują się w trakcie zabawy w gwiazdę dwunastoramienną. Sznurek, który rozciągnęły między sobą, przestaje się poruszać, w piersi czują wstrząs. Albo raczej drżenie – tak drżą kanały, gdy zmienia się pogoda, bo znad morza nadciąga burza.

– Poczułaś to? – pyta jedna, dotykając obojczyka, jakby się spodziewała, że zacznie wibrować.

– Tak mi się zdaje – odpowiada druga. – Coś napływa powoli.

Śmieją się nerwowo, są lekko podekscytowane. Potem zwijają sznurek i wracają do środka, by zabawić się w swoją ulubioną sekretną grę. Zwykle muszą się bardzo postarać, by przywołać wiatr, który potoczy monetę po podłodze poddasza. Ale dziś udaje im się unieść ją z podłogi bez dotykania. Zawisa w powietrzu jak obietnica.

*

W DZIELNICY SMOKA dziewczyna zamyka oczy. Pragnie znaleźć się jak najdalej stąd, z dala od tego burdelu w Zadymionym Zaułku. Wie, że ojciec nie wróci, by zabrać ją do domu. Sprzedał ją, by spłacić długi. Opiera dłonie na wąskim parapecie, wychyla się, chłonąc hałasy z ulicy. Nie ma sensu marzyć o wybawcy – żaden się nie zjawi. A jednak coś się przez nią przetacza, gorącego niczym rozżarzone węgielki. Rozpala jej dłonie dziwnym płomieniem. Kiedy je cofa, widzi osmalone drewno.

Czy sama tego dokonała?

Przyciska drżący palec do parapetu. Drewno skwierczy. Wypisuje swoje imię, ciemne piętno: „Iona tu była”.

Z dołu przywołuje ją madame. Boi się tego dźwięku, mimo to się uśmiecha.

*

NA OSIEDLU OGRODÓW na dachu siedzi ciemnowłosa dziewczynka. Zaciska dłonie na doniczce z ziemią. Sądziła, że ziarenko wykiełkuje, gdy mu zaśpiewa. Od niedawna śpiewają kwiaty w rodzinnej szklarni, ale tylko ona słyszy ich głosy.

Naraz czuje mrowienie, coś się w niej otwiera. To jak słońce wdzierające się do ogrodu przez liście – wybuch ciepła w mroku. Marszczy nos, zaklina kwiaty esta, by dla niej wyrosły. Miękkie jak aksamit płatki owijają jej się wokół kciuków. Kwiat zdaje się śpiewać jej imię: „Jolena Regnis”.

Najmłodsza córka Wylla Regnisa wydaje z siebie okrzyk zachwyty.

ROZDZIAŁ 19

NA POWIERZCHNI

SWIATŁO DZIENNE JESZCZE NIGDY nie złościło Matilde aż tak okrutnie. Uwidacznia wszystko, czego wolałaby nie widzieć: ubrania ociekające wodą i znękaną twarz, skąpane w blasku, od którego pieką oczy.

Odchrząkuje, gardło wciąż ją piecze od słonej wody. W Simcie wszyscy uczą się pływać, Matilde też jest w tym dobra, ale w tunelu ta umiejętność się nie przydała. Już by nie żyła, gdyby nie lina i ci wszyscy ludzie. Fala pewnie zalewa teraz Podziemie i salę balową, w której ćwiczyły. Silne kobiety na ściennych malowidłach pogrążyły się w mroku. Matilde czuje się, jakby w Podziemiu została część niej samej, utracona na zawsze. Wraz z nią odeszło też przekonanie, że świat jest urządzony sprawiedliwie i stworzony dla niej.

Alec i Krastan ostrożnie wchodzą do sekretnego pomieszczenia na tyłach sklepu. Wszyscy wstrzymują oddechy, szykując się na zasadzkę. W sklepie jest podejrzenie cicho i panuje nazbyt spokojna atmosfera.

„En Caska Dae chcą nas zabić”. Nawet po ataku w swoim ogrodzie Matilde nie do końca w to wierzyła. Ale w tunelach chłopak w burej szacie zastrzelił Verony na ich oczach. Później Æsa wciągnęła go w wodną głębię. Teraz dziewczyna jest tuż obok, cała się trzęsie, a jej zielone oczy zioną pustką. Trudno uwierzyć, że chwilę wcześniej władała taką mocą – wszystkie władały. Gdy ta wiadomość dotrze do ojców, zaczną ścigać je jeszcze zacieklej.

Z zamyślenia wyrywa ją Krastan.

– Jesteśmy sami, przynajmniej na razie.

Nikt się nie porusza. Matilde próbuje zmusić spierzchnięty język do współpracy, stara się złagodzić ton głosu, tak by brzmiał normalnie.

– Potrzebujemy świeżych ubrań, a potem musimy obmyślić jakiś plan.

Nikt się nie sprzeciwia. Gęsiego przechodzą przez sekretne drzwi i wloką się do pomieszczenia na froncie budynku. Za ladą znajduje się wejście do mieszkania

Padanów. Prowadzą tam wąskie, skrzypiące schody. Wdrapują się po nich resztkami sił, zostawiając za sobą mokre ślady. Matilde ściska swój medalion, wdzięczna za ten znajomy ciężar. Pada ze zmęczenia, ale nie może mu ulec. Musi pozostać rozbudzona i czujna, nie wolno jej zasnąć.

Krastan wskazuje drzwi po obu stronach korytarza.

– Panie tu, chłopcy tutaj.

Sayer wmaszerowuje pierwsza, zaciska pięści i celowo nie patrzy na Fenlin. Æsa w otępieniu podąża za nią. Alec idzie z Krastanem do drugiego pokoju, zostawia otwarte drzwi. Rankin waha się, jakby chciał coś powiedzieć Fen, ale jej twarz jest jak ściana, nieprzenikniona i odstręczająca. Chłopak bierze wdech i odchodzi zgarbiony.

Matilde gapi się na Fenlin Brae łypiącą gniewnie na deski w podłodze. Zawsze miała co do niej podejrzenia, no i proszę... skrywała najwięcej sekretów z nich wszystkich. Fen, bieguska, do której Matilde nigdy nie nabrała sympatii, okazała się jedną z nich. Tą czwartą, jeśli wierzyć temu, co Krastan mówił o Ognistych Ptakach. Do stu piekieł!

Jak zdołała to ukrywać? Matilde czuła mrowienie i przyciąganie z powodu magii w towarzystwie Sayer i Æsy, ale nigdy Fenlin. Zupełnie jakby bieguskę otaczał niewidzialny mur wrogości. Teraz jednak zniknął. Matilde wyczuwa magię pulsującą pod jej skórą: jest zielona i rośnie w siłę. Przekrzywia głowę, stara się uchwycić spojrzenie Fen.

– Nie dołączysz do nas? – pyta.

– Mowy nie ma. – Stoi sztywno, ani drgnie.

Nic na siłę.

– Jak sobie chcesz – Po tych słowach odwraca się do Jacinty i pokazuje: – Tam jest jeszcze jeden pokój. Wybacz, ale nasza trójka potrzebuje chwili dla siebie.

Nie czeka na odpowiedź.

Drzwi zamykają się z trzaskiem. Sayer i Æsa stają obok żółtego okienka, sprawiają wrażenie dręczonych myślami. Powinna coś powiedzieć. Tylko jak ubrać w słowa to, co właśnie zobaczyły... czego dokonały?

Nadal ma przed oczami Verony usiłującą osłonić je przed Caska i strzałę, która przebija pierś dziewczyny. Słyszy triumfalne okrzyki tamtego chłopaka, jakby życie Verony nie miało żadnej wartości... i liczyło się tylko to, by zabić.

Ale to nie pora nurzać się w tych okropieństwach. Odsuwa od siebie wspomnienie, przywdziewa maskę najgłębszego spokoju.

– Przebierzmy się – mówi. – Co by się nie działo, chyba nie chcemy śmierdzieć wodą z kanału?

W ruchach Sayer widać powściągnięty gniew. Drzwi do szafy otworzyła z takim impetem, że aż zadrżała podłoga. Matilde pozwala jej grzebać tam do woli, siada na wąskim, starannie zaścielonym łóżku. Od lat nie była w pokoju Aleca, rozgląda się z zaciekawieniem. Stół pełen przyrządów, których nie potrafi nazwać, kolorowy tkany dywan, mocno naciągnięta narzuta i sterta książek alchemicznych przy łóżku. Z jednej z nich wystaje pęczek splecionych jedwabnych wstążek – rozpoznaje je, choć wyblakły. Alec pozwolił jej wpleść je sobie we włosy, dawno temu, gdy jeszcze sięgały ramion. Ale jak tylko zobaczył swoje odbicie w lustrze, od razu chciał wyjąć wstążki. „Dobrze, już dobrze”, powiedziała Matilde, splatając je ze sobą. „Proszę, będziesz miał co potrzymać, gdy za mną zatęsknisz”.

Sądziła, że je wyrzuci, a jednak nadal je ma, używa jako zakładki do książek. Jej spokój gdzieś się ulatnia. Może tak naprawdę był wynikiem szoku lub zmęczenia. Czuje się wypompowana, ale też bardziej żywa. Zupełnie jakby coś obudziło się w jej głębi, kiedy zjednoczyły się, by zatrzymać falę: nowy, ekscytujący rodzaj ognia.

Teraz jest bardziej świadoma obecności dziewczyn, a raczej czuje z nimi... więź. Słyszy, że Fenlin przebiera nogami w korytarzu, i wyczuwa emocje burzące się w piersi Sayer. Widzi błękitne chmury, które kłębią się wokół Æsy – to poczucie winy. Teraz wszystkie są częścią niej. A ona częścią nich.

Krastan powiedział, że tylko kilka Ognistych Ptaków czuło tego rodzaju więź. Gdy się zjednoczyły, stawały się znacznie potężniejsze. „To dlatego były w stanie sprawić, że morza się rozstępowały i przesuwały góry. Razem miały taką moc, że mogły zatrzęść światem”.

– Trzymaj. – Sayer rzuca jej stertę ubrań. – Weź to.

Ona i Æsa musiały zrzucić z siebie mokre ciuchy, gdy Matilde była pogrążona w myślach. Teraz mają na sobie spodnie i zgrzebne koszule w różnych odcieniach żółtego. Æsa szarpie za pasma mokrych włosów, które kleją jej się do szyi. Sprawia wrażenie, że tylko powłoka skóry utrzymuje ją w jednym kawałku. Matilde wiele by dała, by jakoś zetrzeć z jej twarzy tę ponurą minę.

– Sayer, przecież to są spodnie...

– A liczyłaś na kieckę? – Pochmurnieje. – Najwyraźniej Alecand zazdrośnie ich strzeże. Albo się skończyły...

– Ale co ja mam z tym zrobić? – Żartuje, choć tak naprawdę ma ochotę krzyknąć.

– Nogi wchodzą w nogawki – burczy Sayer. – Chyba nie trzeba tego wyjaśniać.

Sprawia wrażenie, że zaraz walnie kogoś pięścią, może nawet ją, ale znają się już na tyle dobrze, by Matilde się tym nie przejęła. Gniew to ulubiona maska Sayer.

Zdejmuje sukienkę, zostaje w bieliźnie. Mokrej, lecz własnej. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie poczucie władzy dają eleganckie sukienki od krawca. Od razu było jasne, że jest dziewczyną z Wielkiego Rodu, chronioną, nietykalną. Ale to już dawno i nieprawda.

Spodnie Aleca są wąskie w biodrach. Koszula pachnie tak jak on: dymem drzewnym, popiołem i frennetem. Dotyka warg, przypominając sobie, że wdmuchnął w jej płuca powietrze. Na schodach otaczał ją ramieniem, ale gdy tylko wyszli na światło, odsunął się, zupełnie jak tamtego popołudnia w podziemnym laboratorium.

Teraz ma większe zmartwienia niż te niezrozumiałe sygnały, które wysyła jej Alec. Wstaje, spodnie ocierają jej uda, co za dziwne uczucie. Podchodzi do Æsy, dwoma palcami muska wierzch jej dłoni.

– Kochanie, chciałabym poznać twoje myśli.

Wdech i drugi. Ramiona Æsy drżą.

– Zabiłam go.

Matilde nie musi pytać, o kogo chodzi.

– A on zabił jedną z naszych dziewczyn. – Usiłuje przełknąć to bolesne wspomnienie.

Sayer zatrząskuje drzwiami do szafy.

– Sama bym to zrobiła, gdybyś mnie nie uprzedziła. Chłopak dostał to, na co zasłużył.

Æsa podnosi wzrok, w jej oczach kryje się bezdenne morską toń.

– To był tylko chłopiec, który obrał złą drogę... Teraz już nigdy nie znajdzie innej.

Matilde też uważa, że mu się należało, ale sprawa rzeczywiście jest paskudna.

– Wiem, że mamy zszargane nerwy – mówi – ale musimy porozmawiać o...

– Nie! – sprzeciwia się Sayer.

– Jeszcze nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– Po prostu... nie. – Zerka w stronę drzwi, zbyt nieszczęśliwa, by skrywać uczucia. Najwyraźniej też nie miała pojęcia o sekrecie Fen, ale zdaje się, że Æsa tak.

– Musimy działać szybko – upiera się Matilde. – Pomówić z Dennanem.

– Podziemie dopiero co zatoneło na naszych oczach. – Sayer się odwraca, patrzy z niedowierzaniem. – A ty chcesz się bawić w politykę?

Matilde wzdryga się, słysząc irytację w jej głosie.

– Caska już wie, kim jesteśmy. Jeśli tamci dwaj uciekli przed falą, na pewno rozpowiedzą, co potrafi nasza czwórka. Widzieli nas. Musimy zapanować nad sytuacją, zanim wymknie nam się spod kontroli.

– Zetrę ich w proch. – Sayer chodzi po pokoju. – Zapłacą za to, co zrobili.

– To jaki masz plan? – pyta Matilde. – Wyjdiesz na ulicę i zaczniesz mordować ojców?

– Oni pozabijaliby nas bez mrugnięcia okiem.

Wspomnienie o Verony zawisa między nimi.

– Kościół zatruwał umysły ludzi kłamstwami o dziewczynach posiadających magiczną moc na długo przed naszym urodzeniem – zauważa Matilde. – Zawsze znajdą się tacy, którzy lękają się naszej magii. Jak myślisz, co się stanie, gdy zaczniemy palić kościoły?

– Przekonają się, że naprawdę jesteśmy... potworami – szepcze Æsa.

Matilde patrzy na nią wstrząśnięta. Sayer dopiero się rozkręca:

– Nie rozumiesz, że to przez nas przeprowadzili nalot na Podziemie? Jego mieszkańcy od lat ukrywali się tam z powodzeniem, ale jak tam zeszyliśmy, Caska znaleźli nas w ciągu kilku dni... Chcesz mi powiedzieć, że to przypadek? Ci ludzie stracili z naszej winy cały dobytek. Jesteśmy im coś dłużne.

Matilde sięga do kieszeni po metalową sikorkę od Dennana, ale przypomina sobie, że wysłała ją wczoraj. Burzą się w niej mroczne, zawile uczucia. Przecież nie zdradziła mu, gdzie są, napisała tylko, że chce z nim porozmawiać o przyszłości. Poza tym nie wydałby ich sekcje fanatyków. Tego akurat jest pewna.

– A co się stanie, jak już się zemścimy? – pyta. – Uważasz, że Pontifex wzruszy ramionami i przejdzie nad tym do porządku dziennego? Może jeszcze wyda przyjęcie na naszą cześć?

– Dziwi mnie... – Sayer łypie gniewnie. – ...że tchórzysz, szczególnie po tym, co Caska zrobili twoim bliskim.

Matilde zgrzyta zębami.

– Ze względu na nich nie mogę zostać banitką, nie mogę ich tak narażać. Sayer, tobie łatwo robić, co chcesz, bo nie masz już nikogo do stracenia.

Zapada złowroga, rozdzierająca cisza. Matilde chciałaby cofnąć słowa.

– Przepraszam. Po prostu... chciałabym wrócić do dawnego życia – mówi przyciszonym głosem. – I do swojej rodziny. Ale najpierw musimy zażegnać niebezpieczeństwo. Udowodnić ludziom, że Kościół się co do nas myli.

– A jeśli nie? – Æsa raczej zastanawia się na głos, niż bierze udział w dyskusji. – *Sheldar* miały być wybawczyniami, a na razie tylko zadajemy cierpienie.

Przecież uratowały ludzi. Wyciągnęły ich z wody i powstrzymały falę, dopóki nie uciekli. Kto wie, do czego będą zdolne, gdy połączą siły – Matilde czuje, że to dopiero początek. Mogą zbudować świat na nowo, tak jak uznają za słuszne.

– Co byśmy nie zrobiły, ludzie zawsze będą się nas obawiać. Potrzebujemy ochrony. Orędownika, który zawalczy o zmianę prawa i o nasze interesy. Dennan to najpewniejszy kandydat.

– Jasne, biegnij flirtować z Księciem Bękartem – warczy Sayer. – Ja tam nie będę cię zatrzymywać. Ty i tak zawsze robisz, co chcesz.

„Ja, ty”. Sayer mówi tak, jakby ich czwórka nie była ze sobą związana w nieodwracalny sposób.

Matilde myśli o poprzednich Nocnych Ptakach, z którymi śmiała się i knuła i którym mogła opowiadać o swoich zauroczeniach czy niemożliwych marzeniach. Były ze sobą tak blisko, a jednak nigdy nie czuły takiego pokrewieństwa. Więzy, która łączy ją teraz z tymi dziewczynami, to nie miłość ani kwestia wyboru, lecz coś głębszego. Tu nie chodzi tylko o magię, która krąży w ich żyłach.

Te irytujące, nieznośne dziewczyny są jej siostrami! Nie pozwoli im się wymknąć. Nie teraz.

– Nie rozumiem, co nas tak naprawdę łączy – przyznaje. – Wiem tylko, że razem jesteśmy silniejsze. Potrzebuję was. Wszystkie się potrzebujemy.

Głos Sayer jest zarazem chłodny i pełen zapału:

– Nie prosłam o to. I wcale tego nie chcę.

Te słowa przeszywają Matilde na wskroś.

– A ty, Æso? Czego chcesz?

Ale już widzi, że wola walki, jaką pokazała w tunelach, gdzieś się ulotniła.

– Chcę wrócić do domu – mówi Æsa ledwie słyszalnym głosem.

Matilde spogląda na swoje siostry. Sęk w tym, że wcale nie są jej siostrami, bo właśnie dokonały takiego wyboru.

– Skoro tak... – Wymija je raptownie i kieruje się do drzwi. Nie obejrzy się za siebie, mowy nie ma. – To chyba znaczy, że idę fruwać solo.

Moja córka nie widzi, że jest do mnie podobna. Choć może, to nie chce zostać wspinałym Nocnym Ptakiem. Kłopot, jak sądzę, polega na tym, że nie słucha uważnie historii, które jej opowiadam. Skupia się tylko na tym, co inni mogą nam zabrać. Żal mi jej: nie wie, jak to jest mieć siostry. Dziewczyny, które znają twoje najskrytsze sekrety i dzielą z tobą marzenia. To więc o takiej sile, jakiej nigdy naprawdę nie poznała.

– FRAGMENT PRYWATNEGO DZIENNIKA NADJI SANT HELD

ROZDZIAŁ 20

WYJŚCIE Z CIENIA

SAYER IDZIE SZTYWNYM KROKIEM po korytarzu. Pusto tu, na całe szczęście. Najwyraźniej wszyscy się już przebrali i zeszli na dół. Cieszy ją, że jest ciemno i chwilowo panuje cisza. Choć cały czas wciąga powietrze, brakuje jej tchu.

Nagle robi jej się niedobrze, musi się oprzeć o ścianę. To przez ten zapach ziół dolatujący ze sklepu, przywędzony, gryzący i jakby znajomy. A może po prostu na dole opłała się za dużo wody? Jej magia zdaje się przytłumiona, zmęczona i przybita jak ona sama. Mimo to czuje obecność Nocnych Ptaków i Fen. Słyszy ich oddechy i wyczuwa bicie serc przypominające echo. Zupełnie jakby część każdej z dziewczyn oplótła jej żebra i nie chciała puścić.

Nie okłamała Matilde, mówiąc, że wcale tego nie chce. Nie została Nocnym Ptakiem, by wikłać się w cudze sprawy. Tego rodzaju więzy są obciążeniem, mogą stać się groźne, a ich przerwanie powoduje ból.

Myśli o Fen, której tak ufała... Nie podejrzewała, że mogłaby okłamać właśnie ją. A tymczasem posiada magiczną moc i cały czas to przed nią ukrywała. Gdy stoi oparta o ścianę, wspomnienia mieszają się ze sobą, a serce bije szybko. Przypomina jej się pocałunek w alejce. Starła się przekazać Fen swoją magię, co się nie powiodło, dlatego że i ona posiada moc. Ale poczuła wtedy uniesienie, coś się w niej naładowało i jakby wybrzmiał śpiew. Czy to magia Fen zasilila jej własną i pozwoliła Sayer przemienić się w dym?

Teraz już rozumie, czemu Fen tak niechętnie o sobie mówi. Dlaczego nie chciała jej dotykać. Musi mieć jakiś sposób na maskowanie swojej mocy, trzymanie jej w ukryciu. Ale przecież Sayer powinna coś zauważyć. Æsa wyciągnęła rękę do Fen, jakby już dawno o wszystkim wiedziała. Zdrada rozdziera jej serce, powoduje ból w piersi.

W korytarzu po cichu zjawia się Æsa ubrana w żółtą koszulę i zgrzebne spodnie Aleca, twarz ma bledszą niż zwykle. Ale przynajmniej jej oczy nie są już takie

zamglone.

Sayer krzyżuje ręce.

– Wszystko w porządku?

– Brzuch mnie boli. – Skrzywiła się.

– Mnie też. Woda z simtańskich kanałów nie nadaje się do picia.

Zatrzymują się na szczycie schodów. Matilde właśnie schodzi do sklepu. W Podziemiu Sayer śmiałyby się z niej, jak dziwnie wygląda w spodniach, ale teraz nie ma do tego serca. Szczególnie gdy widzi, kto czeka na dole. Fen stoi pod ścianą w cieniu strzelistego regału z książkami. Włosy zaciesała do tyłu, jej oko przypomina buchającą latarnię. Gdy krzyżują spojrzenia, serce Sayer podskakuje. Nie, tak naprawdę to płonie.

W jej piersi toczy się wojna. Jedna ze stron przekonuje: przecież to Fenlin Brae, twoja odwieczna, najwierniejsza przyjaciółka. Ale ta druga strona upiera się, że Sayer tak naprawdę wcale jej nie zna.

Chciałaby odwrócić wzrok, lecz nie może. Fen otwiera usta, mówi coś bezgłośnie.

„Uciekaj”.

Strach pełźnie jej po plecach. Nie zauważyła, że atmosfera w pomieszczeniu jest niepokojąca: panują bezruch i cisza, a w powietrzu unosi się mdlący zapach.

Æsa ściska ją za rękę.

– O bogowie, to...

Ale Sayer już wie. Głosu Czerwonej Ręki się nie zapomina:

– Zejdź, czarownico – zwraca się do Matilde. – Chodź tu i dołącz do nas.

Przez chwilę Matilde stoi jak wryta. Zaraz na pewno wystrzela do niej z kuszy. Ale mija sekunda, dwie, a strzała nie nadlatuje. W Podziemiu żołnierze Ręki strzelali bez zadawania pytań. Jaką grę prowadzi teraz ten człowiek? Matilde chyba to wie, bo uśmiecha się, jakby zobaczyła dawno niewidzianego przyjaciela. Jak ona to robi? Jak może tak dobrze udawać, nawet w takiej chwili.

– Moje uszanowanie – mówi. – Spotyka mnie wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że nie kazałam na siebie czekać zbyt długo.

Sayer próbuje dosięgnąć pokładów magii, lecz ta jest przytępiona, coś ją hamuje. Odkryły już, że ma swoje granice, wyczerpuje się, gdy próbują jej

nadużywać. Może wykorzystają cały zapas do walki z falą i teraz potrzeba czasu, by ją odbudować? Musi znaleźć sposób, by nie ujawniając się, zobaczyć, co się dzieje w sklepie. Rozgląda się. Tam! Z prawej strony znajduje się ciasne przejście zastawione nierozpakowanymi skrzynkami. Chwyta Æsę za łokieć, kucają i powoli, tak cicho jak to możliwe, podkradają się do nich.

– Nadeszła pora sądu ostatecznego, wiedźmo – grzmi Czerwona Ręka.

Sayer prawie czuje, że Matilde wywróciła oczami. Na brudne moniaki, niezły tupet ma ta dziewczyna!

– Przed sądem lepiej nie stawać z pustym żołądkiem, a ja nie miałam nic w ustach. A może od razu wolisz stanąć w płomieniach? Mogę to załatwić...

Czy jest w stanie wyczarować ogień? Sayer chwilowo utraciła moc, mimo że w pobliżu znajduje się Æsa. Może Matilde próbuje tylko wytrącić Rękę z równowagi?

Sayer próbuje przesunąć skrzynki, żeby mieć lepszy widok. W końcu jej się to udaje, ale teraz najchętniej głośno by zaklęła. W sklepie roi się od Caska, którzy mierzą z kusz. Krastan przyciska się plecami do lady od strony klientów. Tuż za nią stoi Alec, jego dłoń spoczęła na ramieniu Jacinty, przytrzymuje ją w dole, by nikt jej nie zobaczył. Fen przywarła do ściany tak mocno, jakby starała się przebić na drugą stronę. Możliwe, że chłopaki w burch szatach nie widzą jej ze swojego stanowiska. Szczególnie że zasłania ją Rankin, który chyba celowo tak stanął.

Czerwona Ręka wygląda tak, jak go zapamiętała: dziobate policzki naznaczone czerwonym odciskiem dłoni, ogolone głowa i brwi. I to uporczywe spojrzenie – nie z tego świata. Wymachuje miedzianą kadzielnicą, roztaczając smugę niebieskawego dymu.

– No dalej, czarownico – mówi. – Chcę zobaczyć, jak próbujesz.

– Uwierz mi... – jej ton nie jest już taki żartobliwy – ...że bez skrępowań obrócę w popiół nawet duchownego.

– Jeśli coś mi się stanie, moi chłopcy zaczną strzelać. Może i jesteś demonem, ale wątpię, byś chciała mieć na rękach krew tych ludzi.

Sayer zagląda do najbliższych otwartych skrzynek. Może znajdzie coś, by wywołać zamieszanie. Musi im pomóc, znaleźć jakiś sposób.

– Chyba nie pali ci się, by mnie zabić – zauważa Matilde. – Powiedz, czemu zatopiłeś tunele? Mogłam zginąć, a martwe dziewczyny nie uprawiają magii. Czy

nie po to byłam ci potrzebna? Na dowód?

– Eksplozja miała was wykurzyć. – Wykrzywił wargi. – Zmusić do wyjścia na powierzchnię, gdzie moglibyśmy was pojmać. Brat Eli okazał się... nieco nadgorliwy, ale to już bez znaczenia. W tunelach kryli się ludzie najgorszego sortu: czarownice i bluźniercy. Raduję się, podejmując święte dzieło Marrena.

Przekonanie o własnej słuszności i żarliwy płomień w oczach Czerwonej Ręki przyprawiają Sayer o dreszcz.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – pyta Matilde nieswoim, pozbawionym wyrazu głosem.

– Ptaszki ćwierkały... – Kącik jego ust drga.

Twarz Matilde robi się ziemista. Sayer czuje narastające mdłości.

– Jeśli pójdziesz ze mną po dobroci – mówi Ręka – twoim przyjaciółom nic się nie stanie.

Trzaska kusza.

– Zastrzel tu kogoś – warczy Matilde – to skazą cię i powieszą za morderstwo.

– Jesteś pewna? – Błyska zębami.

Zapada cisza, ostra jak brzytwa. Czerwona Ręka wydaje się taki zadowolony z siebie, że Sayer najchętniej by się na niego rzuciła. Przyzywa swoją magię, gdyby tak mogła do niej wrócić! Albo chociaż niech objawi jej się jakiś plan. Niestety nic się nie dzieje. Czuje tylko to paskudne, oleiste uczucie w żołądku skręconym jak sprężyna.

Czerwona Ręka robi krok naprzód. Krastan zasłania Matilde, ale uwagę napastnika nagle przykuwa co innego.

– Mały Johnny Rankin – mówi. – Czy to ty? Urosłeś.

Chłopak zaciska dłonie w pięści, lecz Sayer dostrzega ich drżenie.

– Dla ciebie Rankin! Lepiej tu nie podchodź.

Fen odkleja się od ściany, kładzie mu dłoń na ramieniu. Twarz Czerwonej Ręki przybiera teraz wyraz triumfu i wściekłości.

– Ach, no proszę, to Ana. W końcu się spotykamy.

Fen wydaje się wstrząśnięta, pot rosi jej twarz.

– Coś ci się pomyliło, starcze. Nie ma tu żadnej Any.

– O nie, mała złodziejko. – Dotyka policzka. – Ciebie poznałbym wszędzie. To ty sprowadziłaś mnie na tę drogę.

„Widzę cię, mała złodziejko”. Czy nie to krzyczał w ogrodzie Dinatrisów? Jego bliźny jawią jej się teraz w innym świetle. Wiją się i połyskują, to oparzenia sprzed lat. Fen spaliła sierociniec, gdzie dorastali z Rankinem, licząc, że w środku będzie ojciec, który zamienił ich życie w istne piekło, i że zginie.

Sayer spogląda to na Czerwoną Rękę, to znów na Fen, sparaliżowaną tym koszmarem z przeszłości.

Matilde unosi dłonie. Kilku chłopaków w burych szatach zaczyna wymachiwać kuszami, ale Ręka pokazuje: nie strzelać. Otwiera kadzielnicę i wylewa zawartość na podłogę. Matilde obejmuje się za brzuch. Sayer czuje, że w niej też wzbiera fala mdłości.

– Co ty... – Matilde z trudem dobywa głos. – Co mi zrobiłeś?

Chłopaki w burych szatach wyglądają, jakby im ulżyło, a Czerwona Ręka jest wprost wniebowzięty. Klaszcze w dłonie z radości.

– Marren wiedział, że na każdą truciznę znajdzie się antidotum. Przemierzył świat, aż natrafił na roślinę zdolną zdławić magię czarownic. Inni ojcowie sądzili, że to zwykła legenda. Ale ja zdołałem ją odnaleźć i latami pracowałem nad wydobyciem jej sekretnych zdolności. Jak widać, w końcu mi się udało. Przez cały ten czas wdychałeś wiedźmorę Marrena.

Do stu piekieł, boli, jakby ktoś próbował wycisnąć z Sayer wnętrzości. Matilde czepia się lady, Æsa usiłuje zdusić cichy jęk.

Nie dalej jak godzinę temu były w stanie zatrzymać wzburzoną falę, a teraz ten człowiek odziera je z mocy.

Caska spoglądają na swojego przywódcę, szeptem odmawiają modlitwę przy świecach: „Ogień, który oczyści świat”.

Sayer dostrzega, że za ladą Alec otworzył stopą szufladę. Ukradkiem pokazuje Jacincie, by prędko przekopała jej zawartość.

– Gadaj, gdzie reszta czarownic – rozkazuje Czerwona Ręka – albo ci ludzie będą cierpieć.

Spodziewa się, że Matilde powie: „Na górze”, ale ona chrypi tylko:

– Nie... nie wydam moich sióstr.

Mężczyzna robi krok naprzód.

– Zaraz zmienisz zdanie.

Widok Caska ruszających z kuszami w gotowości budzi w niej grozę. Dwóch chłopaków przystępuje do Rankina i Fen. Coś frunie w powietrzu i uderza jednego z napastników. Upadł, chwytając niewielkie ostrze, które wbiło mu się w nogę. Rankin się uśmiecha.

– Mówiłem, żeby nie podchodzić!

– Dosyć! – grzmi Czerwona Ręka. Wskazuje Matilde i Fen. – Pójdziecie ze mną albo moi chłopcy zaczną strzelać.

Chwila zawahania, wszyscy wstrzymują oddechy. Æsa całuje Sayer w policzek.

Wstaje i się ujawnia, nim Sayer zdąży ją powstrzymać.

– Nie są ci potrzebne – mówi, unosząc ręce nad głowę. Jej głos jest spokojny. – Ja z tobą pójdę.

Zapada pełna zdumienia cisza. Ręka spogląda w górę, a wtedy ktoś się na niego rzuca: to Krastan, ściska coś w pięści. Strzała tnie powietrze. Matilde krzyczy.

Alchemik upada. Wyciąga rękę w stronę Matilde, jego usta jeszcze się poruszają, wykrwawia się na podłogę. Matilde klęka przy nim, z piersi wyrywa jej się zdławiony szloch.

– Pojmać wszystkie! – wrzeszczy Ręka.

Alec kuca, bierze od Jacinty fiolet, w pośpiechu wsypuje jakiś ciemny proszek. Szepcze kilka słów i fiolet zaczyna kipieć. Z wrzaskiem posyła ją w powietrze.

Fiolet roztrzaskuje się o szaty Czerwonej Ręki. Ze środka wypełza połyskliwa bestia i zaczyna się wić. Stwór o szponach w kształcie rozwścieczonych, zielonkawych płomieni.

*[...] bitwa rozgorzała z przeraźliwą furią,
po trawie spływały krwawe potoki.
Rozstąpiły się, napotkawszy samotną kobietę w zbroi,
nietkniętą strzałą, włócznią ni zakłamię.
Gdy uniosła ręce, zadrżały obie armie.
A było to w czasach, gdy Ogniste Ptaki*

*dowodziły ludźmi i przenosiły góry.
W tamtej epoce nadal rządziły światem.*

– CYKL SYKLIDZKI,
KSIĘGA II

ROZDZIAŁ 21

POPRAZEZ OGIEN

MATILDE NIE MOŻE ODDYCHAĆ. Za dużo tu dymu, wszystko tak strasznie boli.

Stwór Aleca wygląda jak długi, wijący się smok. Obnaża zęby w kształcie bladozielonych płomieni. Zachłannie liże szaty Czerwonej Ręki, owija się wokół niego. Mężczyzna usiłuje schwycić smoka, jego krzyki mrozą krew w żyłach.

Chłopaki w burch szatach rzucają się gasić ogień, ale rozszalały smok budzi w nich przestrasz. Matilde nachyla się nad Krastanem. Jego dłoń spoczywa na jej policzku, cała we krwi. Tak jej tu dużo.

– Możesz wstać? – pyta Matilde. – Musimy...

– Moja Stella, bądź dzielna – mówi ochrypłym głosem. – Musisz być silna. Zaopiekuj się Alekiem. I powiedz Frey... powiedz jej... – Matilde ujmuję jego dłoń, przyciska ją mocniej do swojego policzka. – Żałuję, że pozwoliłem jej odejść – szepcze Krastan.

Jego ręka wiotczeje. Matilde ścisza ją jeszcze mocniej.

– Krastan...?

Światło kominka rozjaśnia mu oczy, ale widać w nich tylko pustkę. Odszedł. Na zawsze, a ona nawet nie zdążyła mu powiedzieć, że wie, kim dla niej był. Sądziła, że mają jeszcze czas.

Wokół panuje chaos, ognisty smok przetacza się po sklepie, wpada na drewniane belki, odbija się od zastawionych półek, bucha iskrami i zostawia dymne smugi. W końcu z łoskotem wlatuje w kopiec wiedźmory na podłodze i leżącą obok kadzielnicę i trawi je na popiół. W sklepie kłębi się tyle dymu, że trudno odróżnić wrogów od przyjaciół.

Powinna wstać, ale nie może złapać oddechu. Ktoś przykuca koło niej: to Alec uciska ranę Krastana, czepia się jego koszuli.

– Musimy iść – głos mu drży. – Krastan? Krastan!

Alchemik już ich nie słyszy. Matilde tłumi szloch.

– Alec, on nie żyje.

Słysząc świst, a potem coś wybucha. Oczy Aleca przepiętnia ból.

Ktoś krzyczy, to chyba Jacinta, ale w tym dymie trudno dojrzeć twarze. Strzała wbija się w jedną z półek.

– Musimy iść – chrypi Alec.

Matilde rozdziera się serce.

– Nie chcę go tu zostawiać.

Po policzku Aleca płynie łza, błyskawicznie jak spadająca gwiazda.

– Ja też nie.

Bierze ją za rękę. Matilde utyka, musiała skręcić kostkę przy upadku. Alec ją podtrzymuje, próbując trafić do drzwi frontowych. W tym dymie ledwie je widać, ale są tam, a wraz z nimi pojawia się obietnica słońca. Szkoda, że na zewnątrz nie czeka ich wolność, tylko klatka.

Alec ciągnie ją w tę stronę.

– Tędy nie wyjdziemy – dyszy Matilde – bo mnie pojną.

A jego najpewniej zastrzelą.

– Pod ziemię też nie możemy wrócić – mówi on. – Czyli zostają nam...

Matilde spogląda na schody, których jeszcze nie tknął ognisty smok. Ona i Alec kuśtykają po odłamkach żółtego szkła. Alec na zmianę pomaga jej i ciągnie ją na górę. Prowadzi ją do swojej sypialni, sadza na łóżku.

Podchodzi do okna z żółtego szkła. Matilde nie może zebrać myśli. Przynajmniej nie ma tu z nimi Sayer i Æsy. To znaczy, że musiały się jakoś wydostać – liczy, że w chaosie i dymie udało im się uciec i że uratowała się też Fen. Oby tylko prędko biegly jak najdalej stąd. Przypomina jej się Æsa, która stała z pokonaną miną, pogodzona z losem. Co sobie myślała? Matilde chyba nie jest w stanie pojąć swoich ptasich sióstr.

Alec mocuje się z zasuwką w oknie. Spod podłogi wypełza dym. Wszystko tu wygląda tak jak przed chwilą... czy może to było w innym życiu? Wtedy jeszcze nie wiedziały, że można pozbawić je magii. A Krastan... Krastan...

Bierze wstążki wystające z książki Alecanda, musi zająć czymś ręce. Podnosi oczy, bo Alec głośno zaklął.

– Co się stało?

– Nie chce się otworzyć.

– Do stu piekieł, po prostu stłucz szybę.

Młody alchemik łapie jakiś przyrząd ze swojego warsztatu, bierze zamach i przebija się przez szkło. Gdy usuwa odłamki, krew płynie mu po ręce. Matilde upada na duchu: nie ma szans, by Alec precyzyjnie się przez tak wąski otwór. Niepotrzebnie tu przychodzili. To był błąd – jeden z wielu.

Utykając, podchodzi do drzwi i wygląda na zewnątrz. Ogień objął dolną część schodów, odgradzając ich bladozielonym murem.

Matilde klnie.

– Czy jest jakiś sposób na poskromienie tego smoka?

– Wada w projekcie... – burczy Alec. – Właśnie nad tym pracowałem.

Smok wlatuje na górę. Matilde instynktownie wyciąga ręce i tylko się wzdryga, gdy smok odbija się od jej dłoni. Poczucia ciepła i łaskotanie. Spogląda w dół, mruga ze zdziwienia. Smok odlatuje. Nie poparzyła się!

Coś się budzi w jej głębi. Czyżby wracała do niej magia? Nadal wydaje się słaba, ale może to wystarczy, by ich ocalić? Matilde się odwraca, w piersi czuje świeży przypływ nadziei.

Kuśtyka w stronę Aleca, ciągnie go za rękę.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś? – pyta, zawiązując mu wstążki na nadgarstku. – Że nigdy nie pomyślałeś, żeby mnie pocałować? – Dotyka jego twarzy, wygładza mu włosy. – Sądzę, że to było kłamstwo.

Chłopak gwałtownie przyciska usta do jej warg. Pocałunek przypomina pierwszy haust powietrza po wynurzeniu się z wody. Rozchylają wargi, spijają się zachłannie, przywierają do siebie całym ciałem. Ręce Aleca ciągną ją ku sobie, Matilde miętoszy jego ciemne loki, tak miękkie, jak zapamiętała. Magia znów zaczyna w niej wrzeć za sprawą ich rozpaczliwego pragnienia.

Alec drga, zaskoczony, on też to czuje. Matilde trzyma mocno i nie pozwala mu się odsunąć. Jej magia ich ocali – nie może być inaczej. Pozwala, by z niej wypłynęła i wpłynęła w jego usta.

Odsuwa się, oboje ciężko dyszą.

– Co ty zrobiłaś? – Młody alchemik nie może złapać tchu.

– Ufasz mi, Alec? – Bierze go za rękę.

– Nie podoba mi się to pytanie.

Matilde podnosi z podłogi koszulę.

– Idź za mną.

Wychodzą na korytarz, Alec musi ją trochę podpierać. Ściana ognia dotarła już prawie na szczyt schodów. Matilde czuje jednak, że jej magia wypełnia ich oboje. Przecież ogień to jej żywioł. Teraz musi tylko go sobie podporządkować.

Unosi wolną rękę i nakazuje płomieniom, by się rozstały. Ogień stawia opór, nie chce powściągnąć swej rozpasanej żądz. Przez chwilę zdaje jej się, że nie usłucha, ale wreszcie oddała się chyłkiem i robi przejście.

– Prędko – mówi Matilde. – Nie wiem, jak długo schody wytrzymają.

– Spłonimy – odpowiada Alec, jego głos tłumi koszula, którą Matilde obwiązuje mu usta i nos.

– Nie spłonimy! – Ma nadzieję, że tak będzie. – Masz teraz w sobie trochę mojej magii. Wyobraź sobie, że przylega do ciebie jak zbroja.

Sama też tak robi, a potem zbiegają po schodach. Płomienie otaczają ich tunelem. W środku jest niebezpiecznie ciepło, osmalila sobie rękawy. Kula płomieni ociera się Alecowi o rękę, ale ześlizguje się i go nie parzy. Chłopak otwiera szeroko oczy, ogień barwi je na zielono.

Po sklepie krąży smok, nie przestaje groźnie ryczeć. Ludzie uciekają, Matilde czuje, że gdzieś w tym dymie są jej siostry, ale ich nie widzi. Dostrzega tylko zarys sylwetki Krastana. Całym wysiłkiem woli opanowuje chęć zatrzymania się. Przechodzą nad ciałem alchemika, Alec się nie odzywa, zaciska tylko dłoń, za którą trzyma go Matilde.

Tuż obok ląduje spadająca belka. Matilde musi się koncentrować, by trzymać ogień jak najdalej. W powietrzu czuć głód, jakby smok zwietrzył już krew. Jeden krok, drugi. Gdyby nie ścisła Aleca za rękę, dawno straciłaby koncentrację. Gdzie są drzwi? Tam! Zbliżyła się do nich niepewnym krokiem. Krztuszą się, ale w końcu wychodzą na światło dzienne.

Matilde zachłannie wciąga haust powietrza, płuca głośno protestują. Przed sklepem czeka rozszalały tłum, z przodu ludzie otaczają ich kręgiem. Wskazują ją i Aleca. „To ona!”, krzyczy ktoś.

Chłopaki w burych szatach już tu biegną. Alec się napręża, gotów ją osłonić, tak jak Krastan. Ale Matilde nie może stracić ich obu, nie zniosłaby tego.

Całuje go w policzek.

– Spróbuj za mną nie tęsknić – mówi, popychając go w tłum.

A potem rozpala w dłoni ognistą kulę. Ludzie się cofają, wszystkie oczy są zwrócone na nią. Ktoś chwyta Aleca za ramiona, wciąga go w morze gapiów – to Fenlin! „Uciekajcie”, wypowiada Matilde bezgłośnie i bierze niepewny oddech. Tłum spowalnia Caska, tworzy zaporę, lecz to nie potrwa długo. Płomienie trawią sklep Krastana. Ogień się rozprzestrzenia, może spalić nawet połowę dzielnicy.

Przypomina jej się, co Krastan powiedział o Ognistych Ptakach: były wybawczyniami. Jego ciało zostało w sklepie, który tak bardzo kochał.

Unosi dłonie. Babcia nauczyła ją zdobywać posłuch bez krzyczenia. I właśnie taki głos dobywa z siebie, gdy zaciska pięści i mówi: „Do mnie!”.

Ogień się cofa, znika z okien na piętrze i zbiera się w sklepie. Z drzwi wejściowych wyziera zielona paszcza smoka, łuski błyszczą tak jaskrawo, że większość gapiów musi odwrócić oczy. Smok wypelza na ulicę na swoich straszliwych szponiastych łapach, wyciąga pozogę na zewnątrz. Rozlegają się krzyki, ale bestia nawet nie odwraca ognistego łba. Siada u stóp Matilde, składa jej pokłon, a ona kłaśnięciem w dłonie zamienia potwora w popiół. Ogień gaśnie.

Na ulicy zalega osobliwa cisza. Słychać tylko trzaski zwęglonego drewna i urywane oddechy Matilde. W tłumie rozlegają się szepty. „Czarownica”, syczą jedni. „Ognisty Ptak”, mamrocą drudzy. Niektórzy potrząsają pięściami, ktoś pada na kolana.

Matilde nie wie, kim właściwie jest, ale czuje się jak feniks, który odrodził się z popiołów... Ogień zmienił ją na zawsze.

Czyjaś dłoń zamyka jej nadgarstki w żelaznym uścisku. Unieruchamiają jej ręce za plecami, podtykają pod nos coś cuchnącego.

– Idziesz z nami! – warczy jeden z Caska. – Nie próbuj się opierać.

Jakaś osoba szturcha ją w plecy, pogania. Tłum się rozstępuje, przepycha, krzyczy i kipi. Ktoś wzywa ją po imieniu, kto inny krzyczy: „Ocaliła nas!”.

Potem wkładają jej coś na oczy. To nie maska – raczej worek. Potworna, dławiąca klatka.



*Za nieobecnych, samotnych,
za zbłąkanych i chorych,
do dna, do dna!*

*I jeszcze dwie równe kolejki
za sprawiedliwość i zemstę,
by wrogów zetrzeć do dna!*

– PRZYŚPIEWKA BIESIADNA CIEMNYCH GWIAZD

ROZDZIAŁ 22

SEKRETY SPLAMIONE ŹRÓDŁEM

OSIEDLE OGRODÓW jak zwykle pachnie kwiatami. Sayer łapczywie wciąga ten zapach w płuca, ale to nie pomaga – nic nie jest w stanie zmyć z niej swędu ognia. Dym to nie jedyna przyczyna bólu, jaki czuje w piersi.

A niech to! Jak mogła stracić je z oczu...? Z Æsą zbiegała po schodach, a potem ktoś je rozdzielił. Dym był taki gęsty, spowijał wszystko. Gdyby nie Fen, która ją odnalazła, Sayer pewnie nie wy dostałaby się na zewnątrz.

Przed sklepem ludzie krzyczeli i biegali, dzięki czemu Sayer, Rankin i Fen zdołali ukryć się w tłumie. Wyciągała szyję, próbując wypatrzeć dziewczyny albo Czerwoną Rękę... ale było już za późno. Kątem oka dostrzegła Æsę i Jacintę czekające obok powozu – trzech chłopaków Caska wkładało im na głowy worki i wiązało ręce. Jacinta się wyrывała, a Æsa ani drgnęła.

Widziała jeszcze, że ze środka wydostali się Matilde i Alec. Nigdy nie zapomni tego, jak ogień się rozstał, by ich przepuścić. Później Matilde wepchnęła Aleca w tłum. Fen go schwyciła, a Sayer nie mogła odwrócić wzroku. Wszyscy patrzyli na Matilde. Uniosła rękę, włosy powiewały jej dziko, gdy na oczach tłumu przyzywała ognistego smoka i zmusiła go do posłuszeństwa. Rozkazywała mu, jakby należał do niej.

Sayer usiłowała jej dosięgnąć, ale Caska okazali się szybsi. Podetknęli jej coś pod nos, narzucili worek na głowę. Potem wepchnęli ją do nieoznakowanego powozu, ale nie do tego, w którym wylądowała Æsa. Dlaczego je rozdzielono? W żadnym z wozów nie widziała Czerwonej Ręki. Panował chaos, wszystko spowijał dym. A ona nic nie zrobiła – stała tam i patrzyła, jak Nocne Ptaki odjeżdżają.

Łomocze pięścią w tylne wejście domu Lety, modli się, by ktoś prędko otworzył. Alec wygląda, jakby lada chwila miał zasłabnąć.

Za jej plecami odzywa się głos Fen, zachrypnięty od dymu:

– Nie podoba mi się to. Za bardzo ryzykujemy.

– Możesz sobie iść. – Nawet się nie odwraca. – Nie zatrzymuję cię.

Fenlin nic już nie mówi. Sayer unosi pięść, by ponownie zastukać, gdy drzwi otwierają się na oścież.

– Panienska Sayer. – To Alice, młoda gosposia o słodkiej twarzyczce. Oczy otwiera tylko nieco szerzej, co dobrze o niej świadczy, biorąc pod uwagę, jaki wstrząsający widok sobą przedstawiają. – Źródłu niech będą dzięki! Pani Leta wszędzie panienski szukała.

Prowadzi ich do dużej, nieskazitelnie czystej kuchni. Leta nie trzyma dużo służby, właściwie same kobiety. Teraz chyba wszystkie zebrały się wokół ogromnego pieca. Kucharka upuszcza rondel, który z brzękiem upada na podłogę.

– Pani wyszła. – Alice prowadzi ich do środka. – Czy mam po nią posłać?

– Nie trzeba. – Sayer wypuszcza powietrze.

Alice dotyka jej ramienia, zaskakuje ją tym gestem.

– Idźcie do gabinetu, coś wam naszykuję.

– Może jedzenie, paniensko? – chrypi Rankin. – Te ciacha aż się proszą, by je spałaszować.

– Oczywiście, paniczu. – Alice się uśmiecha. – Odpocznijcie, zaraz je pokroję.

Zostawia ich pod drzwiami do gabinetu Lety. Jest tu aż nazbyt cicho, za spokojnie i czysto.

– Niezła chata – szepcze Rankin. – To tu mieszkałaś, Say?

Kiwa głową, choć teraz zdaje jej się, że to musiało być inne życie, inna ona. Ostatnim razem w tym pokoju przebywała z Nocnymi Ptakami. Widzi Matilde, która rozparła się na kanapie, popija z gracją kawę i droczy się z Æsą. Spoglądają na nią – zjawy pełne wyczekiwania.

Alec się zatacza, wyrzywa ją tym z zamyślenia. Fen i Rankin prowadzą go na fotel.

Sayer chwyta ze stolika dzbanek wody i szklankę. Chłopak nie podnosi wzroku, gdy podtyka mu picie pod nos.

– No dalej, pij – mówi. – Na pewno boli cię gardło.

Tak się wydzierał, gdy go odciągali spod sklepu, że Fen musiała zatkać mu usta dłonią. Od tamtej pory nie odezwał się słowem.

– Alec – przyzywa go głośniej.

Podnosi głowę, ale jego oczy są zamglone, spojrzenie rozbiegane. Po chwili dobywa z siebie dziwaczny wysoki śmiech. Fen klnie, przyklęka na jedno kolano.

– Co mu jest? – pyta Rankin.

– Niski cukier – wyjaśnia Fen. – Jak nie dostanie frennetu, zapadnie w śpiączkę.

Alecand znów się śmieje, mówi coś szeptem, ściska jasne wstążki zawiązane na nadgarstku.

– To koniec. Wszystko stracone.

Fen przeszukuje kieszenie jego kamizelki, a potem spodni. Pod światło ogląda wnętrze swojej dłoni: są tam jakieś nasiona.

– To *frennet*? – pyta Rankin. – Może go zjeść?

– Nie – wzdycha Fen w odpowiedzi. – Tylko liście się do tego nadają.

Tętno Sayer przyspiesza.

– Leta trzyma w oranżerii najróżniejsze rośliny. Nawet rzadkie. Może coś będzie miała? Pójdę...

Nasiona w dłoni Fen powoli wypuszczają pędy. Jasnofioletowe liście frennetu mają kształt gwiazdek, a po chwili otwierają się, przypominając księżycy. Odwracają się do Fen jak do słońca. Korzenie oplatają jej palce, zamykają je w delikatnym uścisku.

Rankin przetyka ślinę, lecz nie wydaje się wstrząśnięty tymi czarami. Do stu piekieł, musiał wiedzieć wcześniej, podobnie jak Æsa. Czyżby wszyscy znali Fen lepiej od niej?

Zerwała kilka listków i wepchnęła je Alecowi do ust.

– Przeżuj to, Padano. Najlepiej szybko.

Chłopak żuje. W pokoju słychać jeszcze tylko drewno trzaskające w kominku. Fen podaje roślinę Rankinowi.

– Za dziesięć minut powinien dojść do siebie. Gdyby nadal był oszołomiony, dajcie mu jeszcze kilka liści.

Odwraca się w kierunku wyjścia. Rankin marszczy brwi.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Zaczepnąć trochę powietrza.

– Ja też...

– Zostań, Rankin.

Chłopak wzdyga się, ale Fen nie ogląda się za siebie, więc nie może tego zobaczyć. Wychodzi z gabinetu, nie zaszczycając ich spojrzeniem.

Sayer przygląda się Rankinowi, którego policzki pokrywa popiół. Ubrania ma teraz podarte zupełnie jak te biedne dzieciaki z Dzielnicy Gryfa. Przypalone wstążki Ciemnych Gwiazd wiszą w klapie marynarki jak zwiędłe kwiaty. Zadziera twarz czarną od sadzy, ogromne oczy patrzą z niedowierzaniem. Naraz uderza ją jego młody wygląd.

– Co teraz będzie, Say? Co zrobią z dziewczynami?

Niby skąd ma to wiedzieć? Przetyka ślinę.

– Zostań tu z Alekiem – mówi. – A jak przyjdzie Alice, zjedz kawałek ciasta albo i dwa. Niedługo wrócę.

Rankin potakuje. Sayer wymyka się na korytarz, snuje się po domu. Fen nie zostawiła śladów, lecz nietrudno zgadnąć, dokąd poszła. Przecież łączy je teraz więź. Może zawsze tak było.

W oranżerii Lety jest ciepło. To duże pomieszczenie, jakieś trzydzieści kroków z jednego krańca na drugi, choć przez bujną roślinność wydaje się mniejsze. Egzotyczne palmy i pnącza zachodzą na ściany z miedzi i szkła. Sklepiony sufit pokryto bursztynowymi szybkami, tak by słońce nie spaliło roślin. Światło maluje na posadzce czerwone wzory.

Fen stoi nieruchomo przy sadzawce – równie dobrze mogłaby być rzeźbą, która ją ozdabia. Po chwili nachyla się, zanurza dłonie w wodzie i zaczesuje włosy do tyłu. Odrzuca głowę, krople ciekną jej po szyi, spływają za kołnierz. Liście palm zdają się wyciągać w jej stronę. Nawet one wyczuły, że posiada magiczną moc. Tylko Sayer się to nie udało.

– No dalej, Tig. – Jej głos jej ostry, pozbawiony emocji. – Mów, po co przyszłaś.

Sayer zdawało się, że wie, ale teraz w złości brakuje jej słów, a język się płacze.

– Zdradziłam ci wszystko, a ty przez cały czas mnie oszukiwałaś.

– Nie kłamałam w kwestiach, które naprawdę mają znaczenie. – Nawet się nie odwraca.

– Naprawdę, Ano? – Gniew w niej wzbiera.

– Nie mów tak do mnie. – W końcu odwróciła wzrok.

– Ale tak ci na imię, prawda?

– Nadali mi je w sierocińcu. – Coś się w niej jednak gotuje. – Sama wybrałam dla siebie inne.

Szczwany Lis to nie imię, raczej maska, którą nosi, by nikt nie zobaczył prawdziwej Fenlin. Sayer sądziła, że zna osobę, która kryje się za tą maską.

– Od jak dawna posiadasz magiczną moc? – Cisza. – Od kiedy wiesz, że ja też ją mam?

Dalej cisza. Nawet teraz się przed nią ukrywa.

Sayer przymyka oczy. Panuje tu taki spokój, że słyszy bicie własnego serca – brzmi jak skrzydła uderzające o szybę.

– Nie znałam swojej matki – wyznaje wreszcie Fen – ani ojca. Czerwona Ręka to jedyny rodzic, jakiego miałam.

Sayer drży.

– Powiedział mi kiedyś, że rodzice mnie oddali, bo sądzili, że ciąży na mnie klątwa.

– Czemu tak ci powiedział? – Sayer się krzywi.

Chwila się rozciąga, zielona i delikatna.

– Dlatego...

Unosi dłoń i powoli zdejmuje z oka przepaskę. Sayer wstrzymuje oddech. Od lat zastanawiała się, co takiego się tam kryje: paskudna blizna, pusty otwór, a może szklana kulka? Ale widzi oko, zielone jak listowie i oszałamiająco jaskrawe. Ten kolor w ogóle nie pasuje do karmelowej tęczęwki drugiego oka. W Eudei na takie oczy mówią: splamione Źródłem. Oznacza to, że ich właścicielka została naznaczona przez Źródło – większość dziewczyn w Simcie wolałaby tego nie pokazywać.

Fen mruży oczy, jakby raziała ją nawet odrobina światła.

– Wtedy nie był jeszcze Czerwoną Ręką, tylko ojcem Dorisallem, ale jego poglądy się nie zmieniły. Nie mógł ścierpieć, że ludzie korzystają z magii. Mawiał, że okradają to, co święte. I jeszcze, że dawne zło znów urośnie w siłę, jeśli w porę nad nim nie zapanujemy. Chodziło mu głównie o czarownice. Zafiksował się na tym, że ukrywają się wśród nas. Pragnął dowodu i oto pojawiłam się ja... z moimi splamionymi Źródłem oczami.

Liście w oranżerii jakby wstrzymały oddech w oczekiwaniu. Fen zniża głos, mówi tak cicho, że ledwie ją słyszeć.

– Zaczęło się na dobre dopiero, jak miałam dziesięć lat, może jedenaście. Znalazł jakiś stary kościelny rękopis o tym, że czarownice ujawniały magiczne zdolności pod wpływem silnych emocji. Szukał sposobów, by mnie przestraszyć, sprowokować.

Ramiona Fen opadają, zamykają się. Paprocie rosnące w pobliżu fontanny też zwijają liście.

– W sierocińcu dzieciaki gadały, że w piwnicy probostwa mieszkają potwory. Czasami w nocy słyszeliśmy skrzypienie i jęki. Dorisall zaczął mnie tam zamykać na długie godziny, w ciemności. Za pierwszym razem modliłam się, by któryś z bogów ocalił mnie przed potworami. Za drugim schwyciłam nóż do masła, który świsnęłam z kuchni, i poprzysięgam, że wszystkie je pozabijam, jeśli tylko spróbują się do mnie zbliżyć. Gdy moja magia się ujawniła, wiedziałam już, że żadnych potworów nie ma, ale i tak nie znosiłam tej piwnicy. Któregoś dnia stopiłam nóż do masła i przerobiłam na wytrych.

– Ile miałaś lat? – pyta Sayer.

– Dwanaście.

To o kilka lat mniej niż Sayer, gdy poczuła budzącą się w niej magię. Ale ona przynajmniej miała wtedy matkę, która mogła jej wyjaśnić, co się dzieje, i nigdy by jej nie uderzyła ani nie zamknęła w ciemnym miejscu.

– To w tamtej piwnicy nauczyłam się otwierać zamki. Gdy Dorisall mnie na tym przyłapał, nazwał mnie małą złodziejką. Uważał, że okradam bogów ze swojej pokuty.

– Nie wiedział, że posłużyłaś się magią?

Fen kręci głową.

– Staralam się nie korzystać z niej już nigdy więcej. Pogrzebałam ją tak głęboko, jak tylko się dało. Ale wtedy...

Sayer czeka. Powietrze jest wilgotne, pachnie ziemią i życiem usiłującym wyjść na powierzchnię.

– Jak byłam starsza... – Fen oblizuje wargi. Kiedy nie żuje mastyksu, jej twarz wygląda inaczej, zdaje się łagodniejsza. – ...wzmógł wysiłki, jego obsesja na punkcie czarownic tylko się pogłębiała, uważał, że jego misją jest je odnaleźć.

Stosował coraz brutalniejsze metody. Mawiał, że ból i głód są prawdziwą ścieżką do Źródła. Że tylko, gdy odrze się drzewo z liści, można zobaczyć, co jest warte... Nad drzwiami w szkole trzymał dyscyplinę. Oberwałam nią więcej razy niż inni uczniowie. Jakby mu się zdawało, że pod wpływem bólu ujawnię swoją magię.

Fen sięga do kołnierza, przesuwa palcem po bliźnie.

– Gdy zdejmował dyscyplinę, miałam taką zasadę: nie krzycz, nie płacz. A kiedy stawało się to prawie niemożliwe, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że wiosłuję łodzią po Callistanie. Raz widziałam na obrazku tamtejsze mokradła i jakoś to ze mną zostało. Poskręcane drzewa, na gałęziach oplątwa przypominająca duchy... Nie wiem. Wydawało mi się to jakoś... znajome.

Oczywiście, że tak. Żywiłem Fen jest ziemia. Sayer się nie porusza, ma wrażenie, że świat się wywraca.

– Raz spuścił mi takie lanie... trwało w nieskończoność. Miałam krew w uszach i w nosie. Nawet w oczach, Sayer. A potem kazał stanąć przy mnie Rankinowi. Miał wtedy dziewięć lat, a ten potwór wiedział, że traktuję go jak brata. Jak zobaczyłam strach na twarzy Rankina, coś we mnie... pękło. Przeniosłam się na moje wysnzione mokradła, błagałam je o pomoc. Gdy moc we mnie wezbrała, nie próbowałam jej stłumić.

– I co się stało? – Skóra Sayer zaczyna mrowić.

– Dorisall trzymał w rogu klasy ciernisty krzak. – Zadrzał jej mięsień szczęki. – Roślina wystrzeliła z doniczki i osłoniła mnie i Rankina jak tarcza. Twarz Dorisalla... jeszcze nigdy nie widziałam takiego obrzydzenia ani ekscytacji.

Przypomina jej się wyraz twarzy Fen, gdy Czerwona Ręka rozpoznał ją w sklepie Krastana. Strach. Zupełnie jakby w obecności tego człowieka utraciła z trudem zdobytą pewność siebie – to samo stało się z nią, gdy spotkała Wylla Regnisa.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Sprawiałam, że krzak go zaatakował. Kiedy próbował się bronić, chwyciłam Rankina i uciekliśmy. Wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by nas znalazł. Że muszę się ukrywać. Ale Dzielnica Gryfa była moim domem... nie chciałam jej opuścić. Dlatego zakryłam oko, przybrałam nowe imię i zaczęłam inne życie. Bardziej szczerze. Pracowałam dla Zwinnych Noży, a potem dla innych gangów, zyskałam reputację złodziejki, która wszędzie się włamie.

– Korzystałaś z magii?

– Nie, nigdy. – Kręci głową, szybko i zdecydowanie.

– Dlaczego nie? – Sayer marszczy brwi.

– Bo jedyne, co mi w życiu przyniosła, to ból.

Ten ból przeniknął nawet ich więź. Rany Fen sięgają głębiej, niż sądziła. Czy dlatego tak się pilnuje i przed nikim nie odkrywa kart? Tak naprawdę nigdy się całkowicie nie oswobodziła, nie dopuszcza do siebie nikogo. Może tylko tamtego wieczora, gdy została z nią po śmierci matki i leżały zwinięte na kołdrze. Wtedy przytuliła Sayer, pozwoliła jej się zbliżyć choć trochę.

– Nie chciałam posługiwać się magią do zrobienia kariery... – mówi Fen. – No i nie mogłam pozwolić, by dowiedzieli się o tym przywódcy pozostałych gangów. I bez tego trudno mi się utrzymać przy władzy. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby poznali prawdę? Uznaliby, że osiągnęłam pozycję podstępem. To by naraziło na szwank wszystko, co zbudowałam. Może nawet gorzej. Większość gangów handluje zakazanymi substancjami... im rzadsze i bardziej luksusowe, tym lepiej. Tak by mnie postrzegali. Jak coś wartego zdobycia do swojej kolekcji. Dlatego poprzysięgłam sobie stłumić swoją magię, zapomnieć o niej. Ale wtedy... – Szuka jej wzrokiem. Siła spojrzenia tych różnokolorowych oczu nadal poraża Sayer.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak ja – ciągnie Fen – obdarzonego magiczną mocą. O twojej matce krążyły różne plotki, na przykład, że kiedyś mogła mieć jakieś związki z magią. Mówiłam sobie, że to bez znaczenia, bo nawet gdyby się okazało, że ty też posiadasz trochę mocy, ja będę w stanie powstrzymać swoją. Ale ty nigdy jej nie pokazywałaś, nawet o tym nie wspomniałaś. Poczułam coś dopiero tamtej nocy po śmierci twojej matki, gdy prawie się...

Pocałowały. To dlatego Fen się zerwała i wyszła tak nagle. Sayer sądziła, że to z jej winy.

– Kiedy wyjechałaś z Dzielnicy Gryfa, mówiłam sobie, że tak będzie lepiej. Wróciłaś do ludzi z kręgów swojej matki, a ja rzuciłam się w wir pracy, dbałam o interesy Ciemnych Gwiazd. Wmawiałam sobie, że wszystko się ułoży.

– A potem cię pocałowałam – wtrąca Sayer. – Tamtej nocy w uliczce.

Fen zaciska pięści.

– Trzymam swoją magię na krótkiej smyczy. Tak krótkiej, że prawie zdążyłam zapomnieć o jej istnieniu. Ale gdy mnie pocałowałaś, straciłam kontrolę... jakby moja magia zaczęła żyć własnym życiem.

Sayer pamięta to uczucie, tamten pocałunek, posmak burzy i żelaza na języku, prąd, jaki ją przeszedł i wypełnił. Zupełnie jakby zderzyły się ze sobą ziemia i powietrze, wywołując mrowienie i podmuch uderzający do głowy.

Myśli o Gwellynie, który złapał się za twarz, krzycząc: „Mój ząb”. Niebieska metalowa nakładka na bruku, dziwacznie poskręcana.

– Ząb Gwellyna. – Wypuszcza powietrze. – To twoja sprawka?

W odpowiedzi błysk uśmiechu.

– Jak mówiłam, wcale tego nie planowałam, ale nie żałuję, że wyrwałam mu z gęby to paskudztwo. – Poważnieje. – Moja magia jeszcze nigdy nie wymknęła mi się w taki sposób. Sądziłam, że to groźne. Dlatego trzymałam się od ciebie z daleka, licząc, że z czasem wszystko minie.

Czyli dlatego zachowywała dystans. I nie dotknęła jej od tamtej pory.

– Zgodnie z obietnicą starałam się dowiedzieć czegoś o Czerwonej Ręce i jego zamiarach. – Przeczesuje palcami wilgotne włosy. – Prawdę mówiąc, powinnam się lepiej przyłożyć. Założyłam, że nie ma sposobu, by cię odnalazł, a ja nie chciałam mieć do czynienia z tą sprawą. Powinnam wiedzieć, do czego jest zdolny Dorisall. I do czego to może doprowadzić... Później Rankin przechwyił liścik, w którym była mowa o ataku na posiadłość Bogaczki. Nie mogłam pozwolić, by dziewczyny posiadające magiczną moc wpadły w łapy tego drania. Znowu...

W oranżerii jest za ciepło, powietrze klei się do ciała. Sayer ma wrażenie, że zaraz się udusi. Mimo to nie porusza się, wstrzymuje oddech. Musi usłyszeć, co Fen ma jej do powiedzenia.

– Pamiętasz, jak Matilde użyła Osłony Nocy od Aleca, a ty złapałaś mnie za rękę? – pyta. – Wtedy poczułam, że twoja magia przyzywa moją. Wyczuwałam też pozostałe dziewczyny. I ten ogród. Korzenie, liście... zupełnie jakby były przedłużeniem mojego ciała. Magia znów mi się wymknęła.

Sayer przypomina sobie, że Fen wyszarpnęła rękę z jej uścisku, a po chwili gałęzie zaczęły tłuc co popadnie, korzenie wyrwały się z ziemi – pamięta ten dźwięk. To Fen tego dokonała. Stała obok niej, czyniąc magię, o czym Sayer nie miała pojęcia. Nie potrafiła tego dostrzec.

Fenlin pobladła, znów dotyka blizn na szyi.

– Drzewa odpowiedziały na mój strach, tak jak ten krzak cierniowy wiele lat wcześniej w klasie. Dorisall nie widział mojej twarzy, ale i tak wiedział.

Co takiego krzyczał, gdy uciekali z ogrodu? „Widzę cię, mała złodziejko!” Ciarki przebiegają jej po skórze.

Fen milknie. Spowija je bursztynowe światło. Stoją tam, wpatrzone w siebie. Dzieli je tylko kilka kroków, ale to jak nieprzebyty ocean.

Fen była jej przyjaciółką z wyboru – rodziną, którą Sayer sobie znalazła. Ale teraz zastanawia się, czy to w ogóle był wybór. Krastan powiedział, że niekiedy cztery Ogniste Ptaki czuły do siebie przyciąganie, razem rosły w siłę. Więź serc. Czy od początku łączyła je po prostu magia? Czy to, co czuje, w ogóle jest prawdziwe?

– Jak zdołałaś ukrywać swoje zdolności? – Krzyżuje ręce. – Czemu nic nie czułam, gdy się dotykałyśmy?

Fen sięga do kieszeni kamizelki po srebrne pudełko z mastyksem. Metal niemal zmatowiał.

– Czerwona Ręka ślęczał nad księgami w wielkiej bibliotece Kościoła Augustyńskiego, szukał ziół, o których Marren wspominał w swoich starych rękopisach. Kiedyś napomknął coś o jakimś zielsku, które rzekomo potrafi pozbawić czarownicę magii, ale tekst był mało czytelny... Dorisall zaczął gromadzić rzadkie rośliny z różnych zakątków świata. Próbował dojść do tego, o które może chodzić. Podkradałam mu je po kryjomu i próbowałam na sobie.

– Fen... – Brakuje jej tchu. – Przecież mogłaś sobie zrobić krzywdę, a nawet się zabić.

– Wtedy to nie miało dla mnie znaczenia.

Skutecznie ją tym ucisza.

– W końcu... – Bierze długi, powolny wdech. – Znalazłam zielsko, które działało, gdy je żułam. – Waży w dłoni srebrne pudełko. – *Weil breamus*. Świeże liście nieźle się sprawdzały, ale najlepsze są po ususzeniu. Ukradłam sadzonki, a gdy uciekałam, zabrałam je ze sobą. Zadbłam o to, by zawsze mieć zapas.

– Twój mastyks – szepcze Sayer. Guma o ostrym ziemistym zapachu, którą Fen ciągle żuje. Tę woń czuły też w sklepie Krastana, dolatywała z kadzielnicy Czerwonej Ręki. – Zawiera wiedźmorę!

Fen unika jej wzroku, kiwa głową.

– Trochę, ma tylko przytłumić magię.

Na wspomnienie tego ziołowego dymu Sayer łapie się za brzuch. Kiedy go wdychała, zrodziło się w niej jakieś niezdrowe, pokrętne uczucie, po nim pojawiło się wrażenie pustki, jakby pozbawiono ją kawałka duszy.

Gorące, gwałtowne łzy zbierają się w kącikach oczu Sayer.

Czerwona Ręka skrzywdził Fen tak straszliwie, że woli się truć, niż zmierzyć z tym, co w niej mieszka.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – pyta szeptem.

– Nikomu o tym nie mówię. Zwykle nie przyznaję się do tego nawet przed sobą.

– Ale dlaczego nie powiedziałaś mi?

Noc po śmierci matki była najczarniejsza w jej życiu. „Zostałam sama”, łkała, a wtedy Fen ją objęła, położyła dłoń na karku. „To nieprawda, Tig”. Starła się strzec swego serca, ale tamtej nocy wyjęła je i dała do potrzymania Fen. Ale ona tego nie odwzajemniła.

Uraza budzi w niej magię, przywołuje wiatr, który targa liście i wzbija w powietrze gliniasty zapach. Sayer czuje się naga.

– Nie ufałaś mi. – Przętyka ślinę, stara się powstrzymać drżenie głosu. – Mam wrażenie, że nigdy cię tak naprawdę nie znałam.

Fen podchodzi bliżej, zatrzymuje się, gdy dzieli je niewielki dystans.

– Tig, nie mów tak.

Unosi dłoń Sayer i kładzie na swojej piersi, tuż nad mostkiem. Teraz wyczuwa głośnie łomotanie jej serca, zupełnie jakby usiłowało przemówić.

– Nikomu tyle nie pokazałam.

Szczera nuta w jej głosie tnie Sayer jak skalpel.

– Mam dość tych kłamstw. – Łza płynie jej po policzku.

Odchodzi stamtąd czym prędzej. Na oślep gna przez salę balową, prosto do holu w przedniej części domu. Mrok wokół niej zgęstniał. Opiera się o ścianę, tuż obok wazonu pełnego zjaworośli, wysokich i milczących. Łzy cieką po policzkach, torując sobie dwie gorące ścieżki.

– Sayer!

Natychmiast podnosi głowę. To Leta. Nie jest podobna do Nadji Sant Held, ale na jej widok poczuła tęsknotę za matką. Ten ból rozłupuje jej pierś.

Leta otwiera ramiona. Sayer kryje się w nich, nie wstrzymuje łez.

– Już dobrze – szepcze Leta. – Jesteś w domu.

Zamyka oczy, udaje, że Leta jest jej matką, tylko przez chwilę. O co by ją spytała, gdyby miała szansę?

„Jak się tu znalazłam?” Przekroczyła kanał, aby dotrzymać obietnicy, zarobić i zacząć nowe życie na własnych zasadach. Nie przyjechała tu, by zawierać przyjaźnie, pakować się w cudze kłopoty. Jak to się stało, że losy dziewczyn nierozzerwalnie splotły się z jej losem? Czuje silne pragnienie wtopienia się w cień. Chciałaby odejść. Uwolnić się.

Ale w uszach dźwięczy jej to, co Matilde powiedziała w sklepie: „Nie wydam moich sióstr”.

Na policzku wciąż czuje delikatny pocałunek Æsy.

Widzi szczere błaganie w dwukolorowych oczach Fen. „Nikommu tyle nie pokazałam”.

I jeszcze te piskłeta, spoglądające z nadzieją na Nocne Ptaki, oczekujące od nich odpowiedzi. Gdzie są teraz te wszystkie dziewczyny?

Łatwo byłoby odejść, ale przyjaciółki jej potrzebują. Nie może ich teraz zostawić.

W burzy i pod ostrzałem stoimy niewzruszeni.

Pod groźbą ogniem ziejemy.

– DEWIZA RODU VESTENÓW

ROZDZIAŁ 23

POZŁACANA KLATKA

PORYWACZE BYLI brutalni i porządnie ją związali. Sznur zaciska się wokół jej nadgarstków, gdy powóz podskakuje na wybojach.

– Ostrożnie – chrypi Matilde. – Chyba nie chcecie, żebym miała ślady na rękach.

– Mamy cię dowieźć żywą – odzywa się któryś. – Nikogo nie obchodzi, czy będziesz miała siniaki.

Matilde unosi podbródek, choć tego nie zobaczą, bo ma na głowie worek. Kiedyś żaden z tych chłopaków nie ośmieliłby się jej tknąć, lecz teraz nie uważają jej za dziewczynę z Wielkiego Rodu. Stała się czarownicą.

Obezwładnia ją smród pasty, którą rozsmarowali jej pod nosem. Pewnie zrobiono ją z wiedźmory, której użył też Czerwona Ręka. Magia przyczaiła się głęboko w kościach – prawie jej nie czuje. Przed kilkoma minutami potrafiła zmusić ogień, by składał jej pokłony. A teraz na smyczy prowadzą ją do Pontifeksa.

Oddycha powoli, bierze płytkie wdechy, panika nadal trzyma ją w żelaznym uścisku. Stara się skierować myśli w inną stronę: planuje zemstę. Dopilnuje, by każdy Caska został rozebrany do bielizny i przypalony żywym ogniem. A jeśli Czerwona Ręka jeszcze żyje, to podpali go osobiście. Gniew wyostrza jej umysł, pomaga się skupić – łatwiej znieść to niż smutek i żal. Chyba nareszcie rozumie Sayer Sant Held.

A jednak nawet złość nie jest w stanie powstrzymać napływających wspomnień. Wciąż ma przed oczami Krastana, jego spracowaną dłoń na swoim policzku. „Moja Stella – wyszeptał – bądź dzielna. Musisz być silna”. Niestety nie starczyło jej siły, by go ocalić. Tłumi szloch.

Kołnierz koszuli Aleca ociera jej się o obojczyk. Nadal czuje pod palcami jego loki, na wargach – usta napierające na nią łapczywie. Wreszcie ją pocałował i to wcale nie z powodu magii. Po prostu jej pragnął.

„Zaopiekuj się Alekiem”, ostatnie słowa Krastana. Starła się, lecz najwyraźniej bez przerwy pakuje go w kłopoty. Teraz został sam, podobnie jak ona...

Powóz szarpie i sznur znów się zaciska. Matilde bierze gwałtowny wdech. To nie pora na takie myśli: poczuje się tylko bardziej przybita. Tymczasem musi zachować trzeźwy umysł, gotowa na to, co nadejdzie.

Pojazd hamuje. Brutalne ręce wyciągają ją na światło dzienne. Szarpia za sznur, ale Matilde pilnuje, by się nie potknąć. Musi zachować resztki godności.

Wloką ją po schodach na górę. Pewnie są w Kościele Augustyńskim, a oni prowadzą ją do Pontifeksa. W pobliżu nie czuje obecności żadnej z ptasich sióstr – liczy, że uciekły, ale nic nie widzi i nie ma się tego jak dowiedzieć.

Wchodzą do pomieszczenia, w którym rozchodzi się echo. Światła słonecznego jest jakby mniej. Spodziewała się zapachu kadzidła i wosku świec, ale zamiast tego czuje pastę do polerowania srebra i zimny marmur. Cienie napierają na szorstki materiał, który zasłania jej oczy. Pochód w końcu się zatrzymuje, ktoś puka do drzwi, wystukując umówiony rytm. Skrzypią zawiasy, czyjaś spódnica trzepocze się u stóp Matilde.

Następuje chwila zawahania.

– Wygląda jak nieboskie stworzenie! – mówi ktoś: kobieta. – Co się stało?

– Wybuchł pożar – odpowiada jakiś chłopak. – Ledwie zdołaliśmy ją wyciągnąć.

– A pozostałe dziewczyny? Gdzie są teraz?

Ma na myśli Nocne Ptaki. Matilde czuje ciarki na skórze.

– Nie wiem. Sklep alchemika pogrzyżył się w chaosie. Caska dorwali przynajmniej jedną z nich.

Caska? Matilde sądziła, że to właśnie oni ją porwali. A jeśli nie, to kto?

– Ziele działa? – pyta kobieta. – Na pewno?

– Jakoś udało nam się tu dotrzeć – prycha inny chłopak.

Matilde znów czuje przyływ paniki. Kim są ci ludzie? I co to za pokretna gra, w której samym środku się znalazła?

Ciągną ją naprzód, zamykają za nią drzwi. Potem ktoś zdejmuje jej z głowy worek i Matilde w końcu może zobaczyć, co się dzieje. Pomieszczenie jest niewielkie, oczyszczone z wszelkich przedmiotów, które mogłyby wskazywać na jego przeznaczenie. To pewnie cela więzienna w Kościele Augustyńskim.

Kobieta jest starsza, może w wieku jej matki, ubrana w ciemnozieloną suknię. Mierzy wzrokiem osmaloną twarz Matilde i ubrania sklepikarza. Spodnie umazane krwią... to krew Krastana.

– W takim stanie nie możemy cię pokazać...

– Pokazać komu?

Ignoruje pytanie, mówi tylko:

– Posłuchaj mnie uważnie. Nie próbuj ze mną walczyć. Za drzwiami stoją strażę, więc nie uda ci się wydostać. Wszystko pójdzie gładko, jeśli będziesz wypełniać polecenia.

Wyjmuje nożyce i przecina sznur. Matilde rozmasowuje obolałe nadgarstki, spogląda na drzwi znajdujące się na obu krańcach pomieszczenia. Chce się rzucić do ucieczki, ale pewnie będzie miała tylko jedną szansę, a moment nie wydaje się właściwy. Kiedy Sayer oferowała, że nauczy ją, jak się bić, należało skorzystać.

– Zdejmij ubrania – mówi kobieta – te i tak już do niczego się nie nadają.

Matilde robi krok do tyłu.

– Że co proszę?

Kobieta wzdycha.

– Zdejmij je albo sama będę musiała to zrobić.

Ściąga koszulę Aleca, a potem spodnie. Przesiąkły swądem dymu, ale i tak nie ma ochoty się z nimi rozstawać. W końcu zostają jej tylko bielizna i medalion. Kobieta wyciąga rękę po złoty krążek.

– Nie dotykaj tego – warczy Matilde.

– Oddam ci go po opróżnieniu. – Ściąga wargi.

Matilde patrzy, jak Estra Doole spływa w umywalce. Krastan przygotował tę miksturę swoimi cierpliwymi, poplamionymi dłońmi. Nie zrobi tego dla niej już nigdy więcej.

Przygryza język, powstrzymuje się od płaczu.

Znów rozsmarowują jej pod nosem ziołową pastę. Wiedźmora ma ohydny zapach. Matilde zastanawia się, gdzie i jak Czerwona Ręka znalazł ziele i w jakim stopniu jest ono w stanie stłumić jej moc. Przecież w sklepie wróciła do niej magia: może ognisty smok przebił się przez wiedźmorę? Co by się stało, gdyby ją tym nakarmili? Czy ziele jest na tyle silne, by całkowicie pozbawić ją magii?

Kobieta ubiera ją w modną, przylegającą do ciała sukienkę o obniżonej talii. Ciemnozłoty materiał aż połyskuje. Potem zaczesuje jej do tyłu równo obcięte włosy i upina. Na ręce wsuwa pozłacane rękawiczki. Taki wytworny strój! Nic z tego nie rozumie.

– Powiedz mi – pyta – czy Pontifex każe tak stroić wszystkich więźniów?

Kobieta cmoka ze zniecierpliwieniem.

– Nie jesteś więźniem, tylko gościnią.

Na słodkie mroczne czeluści, co się tu dzieje?

Otworzyła drzwi prowadzące do wąskiego, ciemnego korytarza. Stoi tam strażnik, ale nie ma na sobie munduru Gwardii, tylko tunikę ze stójką – w tym samym ciemnozielonym kolorze co suknia kobiety. Na jego piersi widnieje herb: smok wijący się wokół kwiatu verdy. Nagle Matilde przepełnia straszliwy lęk.

Po chwili podążają w mroku za strażnikiem, aż do ciemnozielonych wrót, na których wyrzeźbiono dwa splecione ze sobą smoki. Kobieta szepcze coś do strażnika, który znów wystukuje określony rytm. Z drugiej strony odzywa się kobiecy głos. Odległy, ale znajomy. Klatka piersiowa Matilde się zaciska. Ale w porę przypomina sobie naczelną zasadę Nocnych Ptaków: „Nigdy nie zdejmuj maski. Nie pozwól, by cię zobaczyli”. Prostuje plecy i ukrywa strach.

Drzwi się otwierają, ukazując wystawną salę. Ściany są różowe i błyszczą jak klejnoty – to sprawka światła, które wlewa się potokami przez wysokie okna z czerwonego szkła. Zwierzchniczka zdaje się skąpana w jaskrawych promieniach szkarłatu.

– Matilde Dinatris – wita ją z uśmiechem Epinine Vesten. – Tak dawno się nie widziałyśmy!

Jest tylko o kilka lat od niej starsza, delikatnej budowy. W przeciwieństwie do Dennana oczy ma raczej ciemne. Podobnie jak włosy, błyszczące i upięte w misterny, wysoki kok. Nosi pierścień ozdobiony smoczym kamieniem, symbolem rodu Vestenów. Matilde ma wrażenie, że ten klejnot obserwuje ją niczym osobliwe trzecie oko.

– Usiądź – zaprasza Epinine, wskazując miejsce. – Po takich przygodach pewnie umierasz z głodu.

Czyżby słyszała, co się wydarzyło w sklepie Krastana? Czy wie, co Matilde zrobiła z ogniem? Wolałaby lepiej rozumieć sytuację. Niestety od smrodu

wiedźmory płaczą jej się myśli.

– Ta pasta na twarzy – mówi zwierzniczka – niepotrzebnie cię szpeci. Zetrzyj to.

Matilde mruga zdziwiona.

Kobieta w zielonym odchrząkuje:

– Ależ moja pani... magia tej dziewczyny...

Epinine delikatnie macha palcami.

– Nie będzie sprawiać problemów. Mam rację, Matilde?

Odważna jest, trzeba jej to oddać.

– Nie mam takiego zamiaru.

– No i proszę. A teraz zostaw nas same.

Kiedy służąca odchodzi, Matilde zasiada przy stole, zanurza serwetę w szklance wody i ściera z twarzy pastę. Liczy, że magia powróci z oszałamiającą siłą, lecz nic takiego się nie dzieje. Koncentruje wzrok na wystawnej uczcie. Zimne mięsiwa, pulchny chleb, owoce w soczystych barwach. Epinine kazała to wszystko przygotować... czekała na przybycie Matilde. Żołądek skręca jej się na samą myśl.

– Mam nadzieję, że moi ludzie nie byli zbyt brutalni – mówi. – Cieszę się, że nic ci się nie stało, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia.

Matilde chciałaby parsknąć śmiechem.

– Porwanie naprawdę dobrze robi na cerę, podobnie jak wiązanie sznurem. Polecam, powinnaś tego spróbować.

Epinine odchyła się na swoim tronie.

– Jeden z moich ludzi powiedział mi, co się stało w sklepie alchemika. Prawdę mówiąc, liczyłam, że obejdzie się bez większych szkód.

Jeśli Matilde ma wziąć udział w tej grze, to musi uważać na każdy gest, każde drgnięcie mięśni, nawet na to, jak przechyla podbródek. Ale wściekłość skutecznie burzy jej spokój. To i jeszcze obawa o przyszłość.

– Twoi ludzie? Sądziłam, że to byli słudzy Czerwonej Ręki.

Epinine wzdycha.

– No tak, wyobrażam sobie, że masz mętlik w głowie. Pozwolisz, że cię oświecę?

– Ależ proszę. – Pod stołem zaciska dłonie w pięści.

– Czerwona Ręka zaciągnął twoich bliskich do Pontifeksa, licząc na pochwały za przejaw inicjatywy. Koniec końców to właśnie Pontifex wysłał go, by cię odnalazł.

Czyli maczał palce w ataku na Nocne Ptaki. Matilde zwalcza dreszcze.

– Miał działać po cichu, a tymczasem wziął na zakładników czworo członków Wielkiego Rodu, mając na poparcie swoich twierdzeń jedynie słowo swoich wyznawców, a nie konkretne dowody. Możesz mi wierzyć, że dla Kościoła oznaczało to polityczne kłopoty... Członkowie Rodów, którzy zasiadają przy Stole, zwołali nadzwyczajne zebranie. Uznali, że Kościół nie ma prawa więzić Dinatrisów, wyrazili oburzenie tym, co stało się z paniczem Teneriffe Maylonem. Wygląda na to, że w kościelnym areszcie doznał obrażeń... pomieszało mu się w głowie. Wielka szkoda.

„Och, Tenny...” Co mu zrobili? Matilde przetyka ślinę.

– Pontifex w końcu musiał ich zwolnić. Ale jako głowa Kościoła i dowódca Gwardzystów miał prawo zlecić dochodzenie w sprawie Rodów... żeby się dowiedzieć, które opowieści na temat Nocnych Ptaków są prawdziwe.

Matilde robi kwaśną minę.

– Tak, to paskudny gad – ciągnie Epinine, ściągając wąskie wargi – nie ma co do tego wątpliwości. Niestety tak się składa, że mnie wspiera, ostatnio skuteczniej niż Rody. Dlatego poparłam jego decyzję, podobnie jak prohibicję, którą uchwalił wraz z moim ojcem. Nie zależało mi tylko na tym, żeby cię odnalazł.

Po chwili mówi dalej:

– Pontifex kazał Czerwonej Ręce nie zwracać na siebie uwagi i dobrze się sprawować. Ale ja upatrzyłam swoją szansę w ambicji tego człowieka... Zawarliśmy porozumienie. Miałam go wspierać, o ile będzie szukał cię potajemnie. Obiecałam mu coś w zamian, pod warunkiem że sprowadzi mi cię żywą.

Matilde zaciska szczęki.

– Prawie nas pozabijał.

Epinine unosi szklanekę, obraca w dłoni, płyn rozlewa się po ściankach. Jej palce przypominają odnóża pająka.

– No cóż... tak to się kończy, gdy wysyłamy mężczyzn do rozwiązywania naszych problemów. Uwielbiają rzucać się na wszystko z młotkiem. Gdybym wiedziała, nakazałabym im większą dyskrecję.

Takie eufemizmy, gdy mowa o masowym zabójstwie. Matilde myśli o oczach Krastana, zawsze takich pełnych życia, a teraz już na wieki pustych. Zaciśnięte dłonie zaczynają jej drżeć pod stołem.

– Na szczęście umieściłam pośród Caska swoich ludzi – nie przerywa Epinine. – Musiałam się upewnić, że wszystko pójdzie po mojej myśli. I proszę, teraz jesteś tutaj, cała i zdrowa.

Matilde się nachyla.

– Kiedy reszta Stołu dowie się, że sprzymierzyłaś się z sektą fanatyków i nasłałaś ich na simtan, będziesz musiała za to zapłacić.

Epinine uśmiecha się, uradowana.

– Wcale ich nie naslałam. En Caska Dae działali z własnej inicjatywy, sprzeciwiając się rozkazom, i dlatego zostaną ukarani. Pontifex na pewno tego dopilnuje, gdy dowie się o ich zachowaniu.

Matilde kręci się w głowie.

– Przecież zawarłaś układ z Czerwoną Ręką. Na pewno wszystkim o tym rozpowie.

Zwierzchniczka zbywa to pomrukiem.

– Nikt mu nie uwierzy! Czerwona Ręka rozwścieczył Wielkie Rody i zagraża dobremu imieniu Kościoła. Przyznasz, że teraz łatwo można obarczyć go winą.

Matilde powoli bierze wdech. Jej magia nadal jest przytłumiona, prawie jej nie czuje, za to burzy się w niej coś innego. Kto wie, może znów zapłonie? Wpierw jednak musi zadać to pytanie... poznać prawdę.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jesteśmy? Jak nas znaleźć?

Zwierzchniczka nachyla się do niej jak do przyjaciółki, z którą dzieli się sekretem.

– Ptaszki ćwierkały...

To samo powiedział Czerwona Ręka w sklepie Krastana. Na szyi czuje uderzenie gorąca, a potem lodowaty chłód.

Epinine teatralnym gestem unosi pokrywę tacy, odsłaniając ciemną metalową podstawkę i siedzącego na niej mechanicznego ptaka. Sikorka od Dennana. Ta, którą posyłali sobie tam i z powrotem, z pytaniami i obietnicami.

Zwierzchniczka podnosi ją dwoma palcami.

– Mała rzecz, a taka pomysłowa. Wiedziałaś, że nie służy wyłącznie do przesyłania wiadomości? Może też doprowadzić do miejsca, skąd została wysłana.

Matilde czuje ucisk w żołądku.

Epinine marszczy brwi.

– Czyżby Dennan zapomniał ci o tym powiedzieć?

Wyciąga z ptasiego brzuszka ostatni liścik Matilde, wymachuje nim jak zdradziecką flagą.

– Ciągle obiecywał, że sprowadzi mi Nocnego Ptaka. Ale strasznie się ociągał i taki był skryty... Wiedziałam, że coś przede mną ukrywa. Dlatego wczoraj wieczorem zaprosiłam go na kolację, żebyśmy mogli porozmawiać sobie od serca. Wszystko mi wyśpiewał. Nie w każdej kwestii się zgadzamy, ale czułam, że ostatecznie mnie nie zawiedzie.

Matilde kurczowo trzymała się tej sikorki przez cały swój pobyt w Podziemiu. Ptak przypominał jej o obietnicach, jakie złożył Dennan. Ale tak naprawdę był jak powróż, którym Caska spętali jej ręce... jak więzy. Właśnie to kłamstwo wpakowało ją do klatki.

– Pracował dla ciebie.

– Oczywiście. – Spojrzenie Epinine pochmurnieje. – W końcu jest moim bratem.

Ale to się nie trzyma kupy. Przecież mógł przyprowadzić ją do Epinine, kiedy tylko chciał. Wiedział, gdzie jej szukać. A jednak tamtej nocy w Klubie Kłamców pomógł im uciec.

– W takim razie czemu go tu nie ma?

Zwierzchniczka upija łyk wina.

– Odpoczywa. To był trudny dzień dla wszystkich.

Matilde zastanawia się, czy „odpoczywa” tak naprawdę nie oznacza, że został pojmany... lub nie żyje.

Najchętniej coś by spaliła, ale magia nie chce do niej wrócić.

– No dobrze, jestem tu. – Stara się zachować niewzruszony wyraz twarzy. – A ty zadałaś sobie wiele trudu, by mnie odnaleźć. Czego chcesz w takim razie?

Epinine przechyla głowę, ocenia ją.

– Ależ Matilde, chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

Stara się nie zdradzać emocji, lecz jej zdumienie na pewno jest widoczne. Epinine opiera rękę na stole, kładzie na niej podbródek.

– Sądzę, że dorastałyśmy w podobnych warunkach – mówi. – Uprzywilejowane, pod kloszem, ciągle słyszałyśmy, że należy przestrzegać pewnych zasad. Musiałam wysiedzieć na niezliczonych wykładach o historii Eudei, moich przodkach i wielkich czynach Eshamein. Miały otworzyć mi oczy na znaczenie prohibicji, ale powiem ci, że wywołały odwrotny skutek. Chciałam być jak Ogniste Ptaki. Taka silna, że nikt nie ośmielił mi się przerywać ani stanąć na drodze.

– Niestety – wzdycha – mężczyźni nie lubią silnych kobiet, szczególnie w polityce... chyba że mogą nimi sterować. Dla Rodów nie miało znaczenia, że ojciec chciał, bym to ja odziedziczyła po nim tytuł zwierzchnika. Kobieta na takim stanowisku? Przecież będzie zbyt uczuciowa. Nieracjonalna.

Wykrzywia wargi.

– Z początku przedstawiciele Rodów byli gotowi przystać na ten pomysł, sądząc, że się przed nimi ugnę. A gdy nie chciałam się podporządkować, zaczęli wywierać naciski. Mieli czelność zaproponować, że zagłosują na mnie, o ile zgodzę się poślubić lorda z Wielkiego Rodu, którego mi wybiorą. W przeciwnym razie usuną mnie ze stanowiska. Wyobrażali sobie, że mogą pozbawić smoczyce zębów.

Tak mocno zaciska palce na kieliszku, że aż bieleją.

– Oczywiście gdybym była mężczyzną, nie próbowaliby takich sztuczek. Ale kobieta musi starać się dwa razy bardziej, jeśli chce, by ludzie ją szanowali... albo się jej bali. Musi być znacznie twardsza od mężczyzn.

Matilde łapie za krawędź stołu.

– A potem dowiedziałaś się o Nocnych Ptakach.

– Zawsze krążyły plotki... – Uśmiecha się. – Przeczuwałam, że kryje się w nich ziarno prawdy. To jasne, że Rody musiały chronić takie dziewczyny. Jak inaczej zaszłyby tak daleko, zdobyły tyle władzy? Pojęłam, że nie będą w stanie mi zagrozić, jeśli zdobędę Nocne Ptaki. Byłabym nietykalna. Na początku... – Nachyla się. – Chciałam po prostu przetrzymać was jako zakładniczki. Ale kiedy Czerwona Ręka powiedział mi, czego ty i twoje przyjaciółki dokonałyście w ogrodzie... zaintrygowało mnie to. Takiej magii nie widywano od wieków. Mając do niej dostęp, mogłabym osiągnąć znacznie więcej, niż tylko utrzymać się na stołku. Może nawet przejąć władzę nad całym Stołem! Zostać królową.

Po skórze Matilde przebiegają ciarki.

– Wiem już o tej uroczej Illishance, która z wami zamieszkała – ciągnie Epinine. – Mieli mi ją przyprowadzić razem z tobą... niestety nie wszystko poszło zgodnie z planem. Nie szkodzi, wkrótce i tak będzie moja. Teraz musisz tylko podać mi imiona pozostałych dwóch dziewczyn. I pomóc mi je odnaleźć.

– Po co? – Pot sływa jej po plecach. – Masz już Nocnego Ptaka. To ci powinno wystarczyć.

Oczy Epinine błyskają zimnym gniewem.

– Przed kilkoma godzinami zjawił się tu jeden z tych chłopaków w burych szatach. Opowiedział mi, czego wasza czwórka dokonała w tunelu: że zdołałyście powstrzymać falę. Był zrozpaczony utonięciem kolegi, ale ja nie... Szczerze mówiąc, ta historia przyprawiła mnie o dreszczyk emocji.

O bogowie, ona wie. Epinine wie, czego mogą dokonać, gdy połączą siły. Nie wspomniała nic o pisklętach, ale to tylko kwestia czasu – wkrótce dowie się, że jest więcej dziewczyn posiadających magiczną moc. Pewnie nawet jako pierwsza.

– Nie jestem potulnym ptaszkiem – zauważa Matilde. – Nie zamierzam dla ciebie śpiewać, gdy tego zażadasz.

Zwierzchniczka zniża głos, mówi pieszczotliwie jak do dziecka:

– Matilde, no naprawdę. Przecież chcę was ochronić. Wasze życie w ogóle się nie zmieni. Proszę tylko, żebyście wymówiły posłuszeństwo Rodom i złożyły przysięgę wierności Rodowi Smoka. Będiesz moją cichą współpracownicą... właściwie to siostrą.

Na to słowo przypominają jej się Æsa i Sayer. Frustrujące, zadziwiające i pełne sprzeczności... Tęskni za nimi tak bardzo, że brakuje jej tchu.

– Zwołam posiedzenie Stołu – oznajmia Epinine. – Oczywiście nie powiadomię Pontifeksa. Nie mogę sobie teraz pozwolić na utratę poparcia Kościoła... Rodom powiem, że mam ich magiczne dziewczyny i nie wypuszczę was, jeśli nie wybiorą mnie na zwierzchniczkę. Nie to, żebym miała zamiar wywiązać się z tej obietnicy. Przeniesiemy was w jakieś sekretne miejsce. Po tym, co zrobiliście w sklepie alchemika, nie wydaje mi się, byście mogły zostać w mieście. Możecie żyć po cichu i bezpiecznie, służąc swojej zwierzchniczce. Już nigdy nie będziecie musiały całować nadętych paniczów.

– Niby czemu miałabym ci pomóc? – Matilde zadziera podbródek.

– Bo kochasz swoich przyjaciół. I swoich bliskich, rzecz jasna.

Serce Matilde chciałoby się wyrwać z piersi.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Och, nie martw się. Są bezpieczni, ukryłam ich w nikomu nieznanym miejscu. Sytuacja jest napięta. Nie chciałam, żeby coś im się stało.

Strach przepelnia Matilde na samą myśl, że babcia, matka i Samson skończyli w jakiejś zimnej, wilgotnej celi, uwięzieni jak ona. Epinine odebrała jej rodzinę. I możliwość wyboru.

– Muszę przyznać... – zmusza się do uśmiechu – ...że zawsze uważałam cię za nudziarę. A tymczasem jesteś większą intrygantką niż przywódcy biegusów.

Śmiech zwierzchniczki jest wysoki, podobny do dźwięku dzwonka.

– No już, już. Zobaczysz swoich bliskich, gdy tylko dowiedziesz mi swego oddania. Powiedz, gdzie znajdę Nocne Ptaki?

Matilde przetyka ślinę.

– Nie wiem.

Naprawdę nie ma pojęcia. Widziała, jak wciągali Æsę do powozu, ale nie wie, dokąd ją zabrali. Sayer i Fen ostatni raz mignęły jej w tłumie...

– Pewnie wyjechały z miasta. – Ma nadzieję, że to prawda.

– Och, wątpię w to. Kazałam zamknąć port i wstrzymać ruch Przesmykiem, żeby nikt nie mógł się wydostać aż do Krótkonocy. Miasto jest zamknięte szczelniej niż bukłak z winem.

Gardło Matilde się zaciska.

– Naprawdę, dziewczyno, po co ze mną walczysz? Przecież wiesz, że na wolności twoje przyjaciółki są narażone na ataki. Lepiej, żeby się do nas przyłączyły, a wtedy ulepimy świat wedle swego widzimisię. My dziewczyny musimy się trzymać razem.

– To był potwornie męczący dzień. – Pilnuje, by głos jej nie zadrżał. – Potrzebuję czasu do namysłu.

– Proszę bardzo. – Zwierzchniczka mruczy jak kotka. – Tylko nie za dużo, bo do Krótkonocy i głosowania zostały dwa dni.

Matilde sądziła, że najgorszy los, jaki może ją spotkać, to ślub z chłopakiem, którego nie wybrała sobie sama. Zdawało jej się, że rozumie, co to znaczy czuć się

spętana. Ale taka bezsilność jest gorsza niż sznur na nadgarstkach, a piecze równie nieprzyjemnie. Tym razem trafiła na grę, w której nie potrafi zwyciężyć.

*Marren spojrział na klęczącą przed nim czarownicę
i zapytał, czy zwróci magię Źródłu.
„Taka władza – rzekł – nigdy nie była ci przeznaczona”.*

*Odparła mu tymi słowy:
„Zwrócić jej nie mogę. Ona jest częścią mnie”.
Słyszac to, Marren uczynił cud.
Jego miecz rozżarzył się do białości, zapłonął źródlanym darem;
i użył tego świętego ognia, aby strawić magię.*

– KSIĘGA ESHAMEIN MARRENA

2:5-10

ROZDZIAŁ 24

ZBYT POTĘŻNA MOC

ÆSAPRZYSŁUCHUJE SIĘ kłótni mężczyzn. Nie widzi ich, bo ma na głowie worek.

– Przeprowadziliśmy je tu w imieniu Czerwonej Ręki – mówi jeden.

– Nie odpowiadam przed nim – odwarkuje drugi. – A gdzie on się podziewa, skoro to jego więźniowie?

Æsa nie widziała go w kłębach dymu przed sklepem. Nie walczyła, gdy jeden z Caska zasłaniał jej oczy workiem. Czuła się zbyt ocieężała i wstrząśnięta, aby cokolwiek zrobić.

Kłótnia tych mężczyzn zaczyna się rozmywać, teraz to już ledwie szum fali, która przyplywa i odpływa. Æsa próbuje dać się ponieść wspomnieniom o domu, chce popaść w odrętwienie, ale nagłące szepty Jacinty zakotwiczą ją tu i teraz.

– Jeśli nas rozdziela... – usiłuje schwycić związane ręce Æsy – ...pamiętaj, nic im nie mów. Nie pokazuj...

– Milcz, czarownico! – rozkazuje jeden z porywaczy. Jacinta sztywnieje. Æsa czuje pustkę.

„Walcz. – Głos w jej głowie brzmi jak przyjaciel. – Walcz z tym, Æso”. Ale za każdym razem gdy próbuje, jej magia zamienia się w monstrum. Może właśnie nadszedł dzień sądu ostatecznego?

Ciągną je naprzód, kroki odbijają się echem od kamiennej posadzki. Migotliwe światło przebija się przez worek, ale to nie wystarcza, by mogła coś zobaczyć. Nie umie stwierdzić, czy są w więzieniu, czy w czyimś domu. Skrzypią zamykane i otwierane drzwi. Na podłodze pojawia się teraz miękki dywan. Zapach kadzidła przebija się przez zamroczenie Æsy, przywodzi na myśl kościół na Illanie w dzień Eshamein. Wracają do niej słowa, które często powtarzał ojciec Toth: „W rękach śmiertelników magia jest niebezpieczna, zwodzi na manowce, staje się trucizną”. Æsa jest trucizną. Willan powiedział jej, że to nie może być prawda – tak bardzo chciała mu wierzyć. Ale przecież zabiła tego młodego Caska z zimną krwią. Widzi

go bijącego pięściami o zaporę Sayer, niestety już za późno, by go ocalić. I uratować jej duszę. Za późno.

Zatrzymują się. Tutaj światło świeci jaśniej, a powietrze jest świeższe. Ktoś mówi przyciszonym głosem – rozmowę zakłóca jedynie szelest szat. Æsa nie czuje już mdlącego bólu w żołądku. Dokądkolwiek trafiły, tutaj nikt już nie pali wiedźmory. Może wcale nie są w kryjówce Caska?

Wreszcie w pomieszczeniu rozbrzmiewa jakiś głos, niski i donośny:

– Odsłońcie im twarze – mówi mężczyzna. – Zobaczmy, coście tu przyprowadzili.

Ściągają z niej worek. Æsa mruga, zaskoczona nagłą jasnością. Snopy światła kłują w oczy, utrudniają patrzenie – widzi tylko ozłoczone kształty. Po chwili ukazuje jej się sklepiony sufit wykończony bezbarwnym szkłem. Tylko w jednej budowli w Simcie nie użyto kolorowego szkła, żeby nie przesłaniać widoku bogom. Serce Æsy, już i tak rozdarte, chyba zaraz pęknie.

Spogląda na rzędy krzeseł przed sobą, na których siedzą mężowie w purpurowych szatach. Ten pośrodku jest w wieku jej dziadka, nosi szatę o ton jaśniejszą od pozostałych. Złoty pastorał, który dzierży, błyska od świateł. Brakuje jej powietrza: słyszała o tym pastorał, choć tylko na kazaniach i w przypowieściach. Pewien człowiek, który po śmierci stał się bogiem, używał go do czynienia cudów.

– Klękajcie przed Pontifeksem – odzywa się monotony głos.

Æsa pada na kolana. Jacintę musi popchnąć Gwardzista. W sali jest ich kilku, wszyscy uzbrojeni, ale teraz też klękają, przyciskając pięści do wyszytych na mundurach emblematów w kształcie odwróconych kielichów. Nigdzie nie widać chłopaków z Caska, którzy je tu przyprowadzili.

– Wygląda na to – stwierdza Pontifex – że Czerwona Ręka w końcu przysłał nam czarownice.

Gwardziści szepczą między sobą. Siedzący za Pontifeksem mężczyzna nachyla się i mówi mu coś na ucho. To muszą być jego doradcy – Zgromadzenie Braci. Ich oczy, utkwione w Æsie, przeszywają ją jak dziesiątki rozżarzonych mieczy.

– Panie, błagam – zaczyna Jacinta cichym, drżącym głosem. Jest równie dobrą aktorką jak Matilde. – Byłyśmy na zakupach w pobliżu sklepu alchemika, gdy

wybuchł pożar. Panował ścisk, a potem nagle pojmało nas kilku chłopaków. Nic nie wiemy o żadnych czarownicach.

– Pamiętaj, gdzie jesteś, dziecko. – Pontifex wskazuje okna z bezbarwnego szkła. – Bogowie patrzą.

– Zaszła straszliwa pomyłka. – Jacinta nie daje za wygraną. – Przysięgam.

Pontifex przenosi chłodne, badawcze spojrzenie na Æsę. Rusza w jej kierunku. Æsa wbija oczy w dywan i wstrzymuje oddech, czekając, aż potępi ją człowiek, który rozmawia z bogami... przemawia w ich imieniu.

Palce dotykają jej podbródka, skóra na nich jest niezwykle miękka.

– Pokaż mi swoją twarz, dziecko.

Zaskakuje ją ten ton. Taki ciepły, niemal ojcowski. Jasny snop światła okala pomarszczoną twarz i łysą głowę niczym aureola.

– Jesteś w domu bogów – ciągnie Pontifex. – Przed nimi nic się nie ukryje.

Coś w niej drży.

– Ale to również dom oczyszczenia. Czy pragniesz oczyścić się z grzechów?

Tymi słowy zwracał się do niej ojciec Toth, gdy spowiadała się w kościelnym konfesjonale. Występki, do jakich się wtedy przyznawała, teraz wydają się takie błahe... Pragnęła cudzej własności albo rzeczy, których nawet nie umiała nazwać. Dopiero później grzechy stały się bezbrzeżne jak ocean. Obawia się, że już nigdy nie poczuje się naprawdę czysta.

Pontifex ujmuje jej podbródek.

– No dalej, powiedz mi prawdę. Czy okradałaś Źródło?

Matilde by udawała, Sayer – odmówiła odpowiedzi. Ale Æsę nauczono czcić tego człowieka, który reprezentuje wszelkie świętości. Może gdy wszystko mu wyzna, w końcu spadnie z niej ten ciężar.

– Prosiłam bogów, by to zabrali – szepcze. – Ale... nadal tam było. We mnie.

Bracia sztywnieją, szepty krążą w powietrzu jak ptaki. Jacinta spojrzeniem nakazuje jej umilknąć, lecz Æsa nie przerywa.

– Nie chciałam nikogo skrzywdzić. – Łza spływa jej po policzku. – Sądziłam, że mogę to kontrolować.

I że będzie w stanie zrobić ze swojej mocy dobry użytek.

– To nie twoja wina. – Głos Pontifeksa jest słodki jak przejrzewający owoc. – Jesteś kobietą, powodują tobą emocje. Nie mogłaś tego kontrolować, bo to święta moc, zbyt potężna, byś mogła ją okiełznać.

Po tych słowach policzki płoną jej ze wstydu.

– Zgrzeszyłaś. – Ciemne oczy Pontifeksa pałają. – Lecz bogowie mogą ci przebaczyć, jeśli będziesz im służyć.

– Co mam zrobić? – Brakuje jej tchu.

– Wyjawisz mi imiona pozostałych czarownic. Szczególnie tych, które ukrywają Wielkie Rody.

– Ja... nie mogę – mówi, zdjeta przerażeniem.

Sama jest gotowa przyjąć karę, ale na pewno nie pogrzydzi dziewczyn.

– Sądzisz, że je skrzywdzę? – Pontifex uśmiecha się pobłaźliwie. – Opowieści o tym, co ojcowie robili z czarownicami, to zwykle przesady. W kościelnych archiwach znajdziesz też inne historie, możliwe są różne ścieżki... Nie ma potrzeby krzywdzić dziewcząt, które mają magię we krwi.

– Co to znaczy? – Kręci jej się w głowie od natłoku myśli.

– A gdybym ci powiedział... – nachyla się do niej jeszcze bliżej – ...że istnieje sposób, by usunąć magię? Oddzielić ją od twojej ziemskiej powłoki?

O jakże chciałaby mu wierzyć. Gdyby mogła to z siebie wydrzeć i oddać temu człowiekowi, pewnie by się zgodziła.

– Nie zabijemy twoich przyjaciółek, dziecko – szepcze Pontifex. – Po prostu odbierzemy im to, co ukradły.

– Kłamiesz. – Głos Jacinty jest cichy, lecz zdradza napięcie.

– Śmiesz mi się sprzeciwiać? – Z jego twarzy znika ojcowski wyraz.

– Æso, ten człowiek nie może odebrać ci magii. – Jacinta wbija w nią spojrzenie kipiące od emocji. – Ona jest częścią ciebie. To dar, twój i tylko twój.

– Magia jest święta! – grzmi Pontifex. – Dziewczyny takie jak ty uczyniły z niej truciznę.

– Trucizną są ci ludzie. – Jacinta przesuwając się do Æsy, próbuje ją powstrzymać Gwardzista. – Nie pozwól, by ci mówili, kim jesteś. Pamiętaj o innych dziewczynach. Pamiętaj...

Pontifex wymierza jej policzek. Ten dźwięk rozchodzi się w Æsie jak dreszcz i wyrzywa ją z transu.

Jacinta upada na dywan, z rozciętego policzka płynie krew. Pontifex się odwraca, staje plecami do Æsy, jakby jej tam nie było. Co ma teraz zrobić? Nie wie, ale ten człowiek już nie wydaje jej się święty. Ulatnia się wrażenie, że wszystko to dzieje się z woli jakiegoś boga.

– Wiem, że pragniesz służyć Źródłu – mówi Pontifex. – Nie chcesz kłaść władzy, która ci się nie należy.

Nie pyta, raczej oznajmia, nie zostawiając miejsca na odpowiedź. Brzmi zupełnie jak Enis, gdy jej ogłosił, że są sobie przeznaczeni. I jak ten mężczyzna w sali balowej u Lety, który próbował zmusić ją do tańca. Różni mężczyźni, ale ich słowom przyświeca wspólny cel. Mówić jej, kim jest i co ma robić. Uciszyć jej głos.

Ten człowiek rzekomo przemawia w imieniu bogów. Ale czy ma rację? Jacinta znów wwierca w nią spojrzenie, takie bystre. „Pamiętaj o innych dziewczynach. Pamiętaj!” Myśli o piskłętach, dzielnych i pełnych nadziei. O przebiegłym uśmiechu Matilde, śmiejącej się Sayer i o dłoni Fen, która połączyła Nocne Ptaki. Uczyniły ją tak silną, że zdołała powstrzymać falę i ocalić ich wszystkich.

Wypowiada słowo, które wzbierało w niej od jakiegoś czasu.

– Nie.

– Co powiedziałaś? – Policzki Pontifeksa czerwienieją.

– Nie. Ze mną możesz uczynić, co zechcesz, ale nie mogę dać ci tego, czego ode mnie żadasz. Nie zrobię tego.

Bracia mamrocą między sobą. Rysy Pontifeksa tężeją w złości.

– Chyba wiesz, że mam inne sposoby, by dostać to, czego chcę. O wiele bardziej bolesne.

Przeszywa ją strach, ale pradawne *sheldar* były odważne. Chce wierzyć, że jeszcze może stać się jedną z nich.

– Skoro tak – mówi Pontifex – daję ci noc, żebyś się opamiętała. A tymczasem... – Wskazuje Jacintę. – Zabierzemy ją na przesłuchanie.

Zbliża się kilku Gwardzistów, brutalnie podnoszą dziewczynę. W jej oczach błyska lęk.

– Zaczekajcie! – krzyczy Æsa. – Ja...

– Przestań – przerywa jej Jacinta. – Wytrzymam.

Co może zrobić? Tylu tu Gwardzistów, wszyscy uzbrojeni, w pobliżu nie ma wody, którą mogłaby przyzwać na pomoc. Ani Nocnych Ptaków, które uczyniłyby ją silniejszą.

– Jutro przypada Krótkonoc – przemawia Pontifex. – Na wyznanie daję ci czas do rana. Jeśli się ugniesz, bogowie okażą miłosierdzie. Jak nie, każę stracić tę czarownicę. Jej los jest teraz w twoich rękach.

Dwóch Gwardzistów ciągnie ją korytarzami i przez ciemne tunele. Æsa sięga ręką do swoich włosów. Głęboko w warkoczu, który zaplotła wiele dni temu, nadal kryje się kawałek morskiego szkła. Pociera je mocno i wypowiada życzenie: „Uczyń ze mnie *sheldar*. Pomóż mi znaleźć sposób, by ocalić nas wszystkich”.

W starożytnej Eudei podobno roilo się od skrzydlatych stworzeń. Gniewne smoki, ogniste feniksy, potężne gryfy i pełne wdzięku pegazy. Patrzono na nie chciwym okiem: kto z nas nie marzył o lataniu? Wielu próbowało dostać je w swoje ręce, zarzucić im sznur na szyję lub poskromić włócznie, byle tylko osiąść ich moc. Jednak skrzydlate stworzenia nie zdzierzą jarzma łańcuchów.

– WSTĘP DO
KOMPENDIUM STWORZEŃ DAWNEJ EUDEI
AUTORSTWA KRASTANA PADANO

ROZDZIAŁ 25

NOWE ZASADY

KOMNATA SYPIALNA W WIEŻY, gdzie zamknięto Matilde, zakrawa na żart. Wstawili tu pluszowe łoże spowite w jedwabie z Teki, ale na tym koniec luksusów. Ścian nie pokrywa gładka tapeta – spod wypłowiałych gobelinów wyziera grubo ciosany kamień. Nie jest to cela, ale jednak więzienie. Czuć tu kurzem, stęchlizną i strachem.

Matilde stoi w oknie. Nie zabezpieczono go kratą, ale wydostać się mógłby tylko ktoś, kto ma skrzydła. Zamknęli ją w wysmukłej wieży Skrzydlatego Pałacu, tak wysoko, że z dołu nikt jej nie usłyszy. Ludzie, którzy wchodzą i wychodzą z pałacu, wyglądają jak mrówki. Nikt nie podnosi wzroku. Została sama.

Niebo jest typowe dla letnich simtańskich wieczorów – poprzecinane sinymi i krwistoczerwonymi chmurami. Widać stąd znaczną część miasta, od Rozwidlenia aż po brzeg. Za kanałem latarnik napełnia ómowe latarnie na Osiedlu Ogrodów. Jakby nic się nie zmieniło.

Matilde czuje w piersi pieczenie frustracji. Jej żołądek skręca się i przewraca. Za drzwiami przez cały dzień palili w piecyku wiedźmorę, aby pozbawić ją magii. Ale nawet gdyby mogła skorzystać z daru Szczygła i przybrać cudzą postać, to nie potrafi otwierać zamków jak Fen. Poza tym jak miałyby uciec, skoro Epinine przetrzymuje jej bliskich? Matilde nie dopuści, by przez nią znów stała się im krzywda.

Nie chce być pionkiem w grze zwierzchniczki – ani nikogo innego. Chciałaby się dowiedzieć, co się dzieje w mieście. Dokąd zabrali powozem Æsę? Czy Sayer i Fen są bezpieczne? Co z Alekiem? Gdzie się udały piskłeta po zatopieniu tuneli? Epinine nie wspominała nic o dziewczętach z Podziemia, więc może nie wie o ich istnieniu. Sekret Nocnych Ptaków i tak wyszedł na jaw. Po tym, czego dokonała przed sklepem Krastana, nie mogło być inaczej. Teraz plotki rozejdą się lotem błyskawicy.

Zamyka oczy, stara się skupić myśli, ale czuje się taka zmęczona. Kiedy ostatnio spała? Godzinami starała się opracować plan, który pomógłby jej ochronić zarówno Nocne Ptaki, jak i rodzinę. Niestety nie wie, czego się spodziewać.

Z lewej strony dobiega ciche skrzypnięcie. Jeden z gobelinów się porusza. Odstaje od ściany, jakby krył się tam duch. Matilde otwiera szerzej oczy. Cofnęła się i zaciska pięści.

Zza gobelinu wychodzi Dennen. Włosy ma w nieładzie, oczy błyszczą mu jak w gorączce.

– Skąd...? – Tylko na tyle ją stać, a potem uchodzi z niej powietrze. Serce trzepocze się w piersi jak dziki oszalały ptak.

Dennen powoli daje krok naprzód.

– Bawiłem się tu w dzieciństwie. Epinine nigdy nie chciała się przyłączyć, dlatego nie wie, że między komnatami są przejścia dla służby.

Kłębią się w niej emocje. Jest zbyt zmęczona, by je ukrywać.

– Czemu po prostu nie wszedłeś drzwiami? Tak chyba robi strażnik, gdy chce porozmawiać z więźniem?

Zmieszany marszczy czoło.

– Chyba rozumiesz, że mnie też uwięziła?

Oczy w kolorze *crysthellium* patrzą tak szczerze. Tylko czy może zaufać nadziei, którą właśnie poczuła? A jeśli to kolejne kłamstwo?

– Czego ci naopowiadała Epinine? – Jego głos jest pełen napięcia.

– Że to ty jej powiedziałaś, gdzie nas znaleźć. Ty i twoja mechaniczna sikorka.

– A wspomniała, jak wydobyla ze mnie te informacje?

Matilde mu się przygląda. Nie widzi obrażeń czy sińców.

– Raczej cię nie pobili.

– Mogła kazać zetrzeć mnie na miazgę, a i tak nie zdradziłbym twojego sekretu.

Matilde wstrzymuje oddech. Co on próbuje jej powiedzieć?

– Wczoraj wieczorem... – Przeczesuje włosy dłonią. – Wezwała mnie do pałacu. Uznałem, że więcej zaryzykuję, jeśli się nie stawię. Głupiec, wypilem wino, które mi podała. Dolała do niego serum prawdy, wyjątkowo silne... pewnie takiego używa też Kościół. Kłamstwa powodowały straszliwy ból, ale naprawdę walczyłem. Nie chciałem, żeby się dowiedziała. – Zawiesza głos. – Powiedz, że mi wierzysz.

Kiedys potrafiła odróżnić, czy ktoś udaje, czy mówi prawdę, ale straciła do siebie zaufanie.

– Naprawdę nie wiem.

– Gdybym planował cię zdradzić... – Szczeka lekko mu drga. – Po co przychodziłbym do ciebie tamtej nocy i ostrzegał przed Epinine? Po co miałbym ci pomagać uciec z Klubu Kłamców?

– To dlaczego dałeś mi tę przekłętą sikorkę? – Czuje palenie w piersi.

Dennan się krzywi.

– Chciałem mieć z tobą kontakt. Przysiągłem sobie, że nie użyję jej, żeby cię śledzić. Niech to szlag, Matilde, może powinienem był to zrobić... – W jego głosie pobrzmiwa frustracja. – Dlaczego nie przyszedłeś do mnie po tym, jak En Caska Dae zaatakowali twój dom? Mogłem cię ochronić.

– Niby jak? – pyta, wyrzucając ręce w górę. – Ukryłbyś nas pod stołem w klubie, z którego dopiero co uciekłyśmy?

Udała się do Krastana, wiedząc, że jej nie zawiedzie. A teraz już nigdy nie zobaczy jego uśmiechniętej twarzy.

Podbródek jej drży. Powinna trzymać uczucia na wodzy, ale ma dosyć gier, zmęczyło ją noszenie masek.

– Sikorka nie tylko mnie zdradziła... doprowadziła nas do zguby. – Zdusza szloch. – Zginęli ludzie.

Dennan zamyka oczy. Zachodzące słońce skąpało jego twarz w bursztynowej poświacie. Też wygląda na zmęczonego.

– Nie chciałem, by do tego doszło... żebyś znalazła się w pułapce.

A jednak stała się ptakiem w klatce.

Może zawsze nim była? Alec powtarzał jej, że żyje w pozłacanej klatce, a ona nie chciała mu wierzyć. Dopiero teraz rozumie, że nie widziała krat, które miała pod samym nosem. Pozwoliła, by ich blask ją zauroczył.

Powraca do niej pytanie, które Alec zadał jej w Podziemiu: „Wróciłabyś do bycia Nocnym Ptakiem?”. Wcześniej nie była tego tak naprawdę pewna. Teraz już wie, że powrotu nie ma. Nie dla niej.

Korzystając z ciszy, jaka zapadła, Dennan podchodzi bliżej, dotyka jej dłoni. Matilde się nie odsuwa. Przypomina jej się tamten wieczór, gdy przyszedł na

spotkanie ze Szczygłem, wiedząc, że to ona kryje się pod maską. Nie poprosił o pocałunek. Zamiast tego sam jej coś podarował, po czym odszedł, pozwalając, by podjęła decyzję.

Co jej powiedział w klubie? „Nie zamierzam kupować twoich względów. Chcę je zdobyć”. Nigdy jej do niczego nie zmuszał, jak zrobiła to Epinine. Albo rodzina Matilde, nakłaniająca ją do małżeństwa, do tego, by była grzeczną dziewczynką.

– Twoja siostra uwięziła moich bliskich – szepcze. – Jeśli nie dam jej tego, czego żąda, stanie im się krzywda.

– Ugniesz się?

Patrzy na niego.

– Chyba nie mam wielkiego wyboru.

– Zawsze jest wybór. – Jego szorstkie palce głaszczą jej dłoń. – Zapytałaś mnie kiedyś, czego naprawdę chcę. Teraz ty mi powiedz. Czego chcesz, Matilde?

Wilgotne powietrze zdaje się naelektryzowane, atmosfera sprzyja szczerym wyznaniom. Gdzieś daleko w chmurach krzyczy ptak.

– Zabezpieczyć się przed tym, że ktoś mnie skrzywdzi – szepcze. – Albo moją rodzinę, moich przyjaciół. Mam dość uciekania. Nie chcę tego robić nigdy więcej.

– W porządku. – Kciukiem muska jej policzek, ściera łzę.

Matilde się odsuwa, buzują w niej emocje, kręci jej się w głowie.

– Co...?

– Mówiłem szczerze – zapewnia Dennan. – Chcę zostać zwierzchnikiem. Wyprowadzić magię z podziemia. Wciąż mam szansę na większość przy Stole, ale musimy pokonać Epinine, nim dojdzie do głosowania.

Zdaje jej się, że to było wieki temu, ale przecież sama przekonywała Aleca i całą resztę, że Dennan może zagwarantować im bezpieczeństwo. Gdyby został zwierzchnikiem, dziewczyny takie jak one miałyby większe szanse. Tylko czy nadal w to wierzy?

– Masz jakiś plan? – Odchrząkuje.

– Zaczątki planu. – Kiwa głową. – Ale bez ciebie mi się nie uda.

Gdy zdradza jej szczegóły, w głowie Matilde wirują dziesiątki myśli. Rozważa możliwości, szuka pułapek. Wspólnie ulepszają plan działania. Jest prawie jak w dzieciństwie, gdy się razem bawili, wymyślali cudowne gry i nowe światy.

Co by zrobiła babcia albo Leta? Nocne Ptaki mają przestrzegać reguł i nosić maski. Ale to jej nie ochroniło, ani też Æsy czy Sayer. Może pora na nowe zasady.

– Muszę iść – mówi Dennan. – Straże zaraz przyniosą kolację. Wrócę później.

Odwraca się do wyjścia. Jej poturbowane serce rusza do galopu.

– Zaczekaj...

Nie wie, co zamierza, dopóki nie znajdzie się przy nim. Unosi brodę, wpija się w niego wargami. Jego ramiona oplatają ją i przyciągają do siebie. Usta są nienasycone. Matilde odrywa się od rzeczywistości, czuje tylko muśnięcia jego języka na swoim. Przez głowę przebiega jej Alec, wywołując ukłucie żalu, poczucie winy i dezorientację. Ignoruje to. Teraz potrzebuje jedynie tego odurzającego ognia.

Wargi Dennana błędzą po jej szyi, po obojczyku. Gdy znów całuje ją w usta, brakuje jej powietrza. Magia nie wzbudza się w niej z powodu wiedźmory. A jednak poczuła się wolna, mogąc całować kogoś ot tak. To jej przypomina, że nie jest sama – już nie.

Dennan się odsuwa, oddycha ciężko.

– Czym sobie zasłużyłem?

„Pozwoliłeś mi wybrać własną ścieżkę”.

– To ta blizna na twojej wardze. – Uśmiecha się. – Zawsze chciałam pocałować pirata.

Nieco bólu ulatuje z niej wraz z jego śmiechem. Kto wie, może z Dennanem u boku jeszcze zdoła zwyciężyć?



CZĘŚĆ IV

ROZPOSTARTE
SKRZYDŁA





ZWIERZCHNICZKA EPININE VESTEN
SERDECZNIE ZAPRASZA

NA

**BAL MASKOWY
Z OKAZJI KRÓTKONOCY**

ZABAWA OD ZMIERZCHU DO ŚWITU.
TEMATEM PRZEWODNIM BALU BĘDZIE

DZIEDZICTWO.

SWOIM STROJEM ODDAJCIE HÓLD
RODOM, Z KTÓRYCH POCHODZICIE,
ZIEMI, KTÓRA WAS ZRODZIŁA,
— ORAZ —
DROGIEMU SERCU NAZWISKU, JAKIE NOSICIE.

TRUCIZNA W PRZEBRANIU SŁODYCZY

MATILDE PODAŻA korytarzem za jednym ze strażników Epinine. Jaka to ulga poczuć znów swoją magię, a nie mdłości i pustkę wywołane wiedźmorą. Jeśli Epinine chce zasmakować mocy Matilde, nie może próbować jej ukrocić. To dowodzi, jak pewna jest swego zwycięstwa.

Zatrzymują się przed zielonymi wrotami ze smoczym emblematem, przez które wprowadzono ją wczoraj rano, gdy przybyła do pałacu. Strażnik puka i ze środka dobiega głos: „Wejść”.

Komnata nic się nie zmieniła, tyle że teraz jest wieczór. Świece malują dziwaczne cienie na fioletoworóżowych ścianach. Tym razem długi, wypolerowany stół nie został zastawiony jedzeniem. Jest tylko biała, połyskliwa maska i trzy kryształowe kieliszki. Ciekawe, dla kogo może być ten trzeci.

Epinine wygląda zabójczo, podobna do smoka, symbolu rodu Vestenów. Jej suknię uszyto z zachodzących na siebie skórzanych łusek we wszystkich odcieniach bieli, od kredowej aż po kość słoniową. Wokół szyi sterczy wytworna siateczkowa kryza, sztywna jak skrzydło. Kobieta zdaje się nieprzenikniona. Matilde ze wszystkich sił usiłuje opanować nerwy.

– Niezła kiecka. – Udaje znudzoną. – Do twarzy ci w tym gadzim stroju.

Epinine zaciska usta.

– Nie dąsaj się dlatego, że nie dostałaś zaproszenia.

Matilde od przybycia do pałacu wciąż ma na sobie obcisłą złotą sukienkę, w którą ubrała ją służąca. To też kostium – zwierchniczka udaje, że porwana jest tu z własnej woli, a ona pozwala jej w to wierzyć. Dwie przyjaciółki popijają wino i razem coś knują.

– Oczywiście, pani. – Dyga dla żartu. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Zajmuje krzesło, które wskazała jej Epinine, choć obawia się, że nie będzie w stanie usiedzieć spokojnie. Serce tłucze jej się w piersi, lecz nie może pozwolić,

by zwierzchniczka nabrała podejrzeń. Musi założyć najbardziej przekonującą spośród swoich masek.

– Wznieśmy toast – mówi Epinine – za nas i za przyszłość!

Matilde unosi kieliszek, ale nie zbliża go do ust.

– A więc tak – zaczyna Epinine – dziś wieczorem, gdy już rozpocznę bal, odbędzie się nadzwyczajne zebranie Rodów zasiadających przy Stole, które zwołałam zawczasu. Wyjaśniłam im, że przebywasz pod moim nadzorem, ale żądają dowodu.

Matilde kiwa głową.

– Właśnie dlatego potrzebujesz mojego pocałunku.

Epinine się uśmiecha, ukazując białe zęby za pomalowanymi na ciemno wargami.

– Oczywiście będą chcieli wiedzieć, gdzie jesteś. Ale ciebie nie będzie już w Simcie, wywieziemy cię w bezpieczne miejsce pod eskortą. We właściwym czasie dołączą tam do ciebie pozostałe Nocne Ptaki.

Matilde chciałaby dotknąć swego medalionu, ale się powstrzymuje. Zaczyna jej się kręcić w głowie.

– A moja rodzina?

Epinine splata smukłe palce.

– Jeśli o to chodzi... mam dla ciebie małą niespodziankę. Coś na dowód naszej przyjaźni.

Potrząsa dzwoneczkiem. Drzwi na tyłach komnaty lekko się uchylają, ukazując służącą Epinine w towarzystwie jakiejś kobiety...

Serce podchodzi Matilde do gardła. To babcia!

Ma na sobie ciemnoniebieską suknię i jak zawsze wydaje się opanowana i dostojna. Ale wygląda inaczej, niż ją zapamiętała: wychudła, a jej oczy, okolone czerwonymi obwódkami, lypią nieco dziko.

Matilde natychmiast wstaje, podbiega do babci, która przyciąga ją do siebie i zamyka w ramionach.

– Babciu – szepcze. – Sądziłam... bałam się... zrobili ci krzywdę?

– Nie tak łatwo mnie złamać. – Bierze niepewny wdech.

Nawet pachnie inaczej, raczej jak kamienie niż kwiaty w ich rodzinnym ogrodzie. Matilde nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za nią tęskni. Nie chce się z nią rozstawać, już nigdy.

– Przepraszam – szepcze – za wszystko.

Babcia przytula ją mocniej.

– Ja też, kochanie. Ja też.

– No i proszę – wtrąca Epinine. – Jak widzisz, potrafię dotrzymać słowa. Jest bezpieczna. A jeśli mnie nie zawiedziesz, reszta twojej rodziny też będzie.

Matilde udaje wahanie, jakby jeszcze nie podjęła decyzji.

– Powiem ci, jak znaleźć Nocne Ptaki, ale jeszcze nie dziś wieczorem.

Zwierzchniczka unosi brew.

– Zdaje ci się, że możesz się ze mną targować?

– Mojej magii nie można wziąć siłą. – Matilde zadziera podbródek. – Muszę ci ją dać z własnej woli. A tobie zależy na tym, by ją dostać przed spotkaniem z Rodami... więc tak, zdaje mi się, że możemy się targować.

Babcia gładzi wewnątrz jej dłoni dwoma palcami: „Fruń ostrożnie”. Matilde ściska ją za rękę.

– Zgoda. – Spojrzenie Epinine, zwykle opanowane i chłodne, teraz zdradza oznaki pragnienia. – W takim razie podejdź.

Zbliża się do zwierzchniczki, pochyla nad nią. Epinine zadziera głowę, wbija wzrok w usta Matilde. Nie widzi jej – nie tak naprawdę. Koncentruje się wyłącznie na darze, który otrzyma wraz z pocałunkiem. Tak jak wszyscy klienci uważa Matilde za kielich, z którego można się napić. Ale dziś wieczorem nie będzie jedynie pięknym naczyniem. Jest trucizną w przebraniu słodczy.

FASTEN

Ten człowiek wie za dużo. Czyżby nadszedł nasz kres?

GULE

A gdzie tam! Udałem się doń z wizytą.

FASTEN

Liczysz, że to go uciszy?

GULE

Poszedłem błagać o litość, a teraz jedzą go myszy.

– KOMEDIE SIMTAŃSKIE,
CZĘŚĆ III, AKT IV

ROZDZIAŁ 27

JASKINIA SMOKA

SAYER ENERGICZNIE POKONUJE stopnie pałacowych schodów. Usiłuje nie dotykać maski. Spod tkaniny w kolorze dymu widać tylko jej usta i szczękę, ale to i tak więcej, niż chciałaby pokazać.

Większość simtan będzie się dziś bawić do późna, świętując najkrótszą noc w roku i popijając chłodną cytrynadę albo lekkie piwo. Podczas Krótkonocy mieszkańcy Dzielnicy Gryfa zwykle noszą tanie maski, które upodabniają ich do mitycznych stworzeń. Ale nie ta pałacowa zgraja: oni są na to zbyt wyrafinowani. Nie powinno jej dziwić, że choć zwierzchniczka popiera kościelne śledztwo w sprawie Wielkich Rodów, to lordowie i damy tłumnie przybyli na przyjęcie w pałacu. Jak zawsze prawdziwe uczucia skrywają pod maskami. Dziś wieczorem ona też tak robi.

Goście włożyli kostiumy upamiętniające ich dziedzictwo. Niektórzy przypięli do marynarek połyskliwe pletwy, inni zatknęli kwiaty w misterne fryzury. Leta skrzy się, spowita w pióra: czarny łabędź to jej rodowy symbol. Ale w tym stroju równie dobrze mogłaby być krukiem. Znaczenia sukni Sayer nikt tu nie zrozumie – zwiewna i luźna, w kolorze ciemnoszarych chmur burzowych, podobna do cienia. Z jej pleców splywa błyszcząca popielata pelerynka, rozcięta pośrodku tak, że przypomina skrzydła.

Sayer dostrzega kogoś w masce lisa, ale to nie Fen, która dziś wieczorem ma inną misję. A jednak na ten widok jej serce mimowolnie wykonuje woltę. Od spotkania w oranżerii Lety właściwie nie rozmawiały. Wczoraj w nocy, gdy nie mogła zasnąć, z bólem myślała o wszystkim, czego jej nie powiedziała. O tym, co utraciły i czego może nie uda się już odzyskać.

- Gotowa na wejście do jaskini smoka? – Madame dotyka jej ręki.
- Wciąż uważam, że mój plan był lepszy. – Sayer marszczy czoło.

– Rozbój i porwanie? – Brew Lety unosi się aż nad maskę. – Niezbyt to eleganckie.

– To Alec zasugerował, żeby coś rozbić... – mamrocze.

Ona chciała wtopić się w mrok, zakraść do Skrzydlatego Pałacu, by odnaleźć i wydostać Matilde. Proste jak konstrukcja cepa. Nie rozumie, czemu musi się stroić i udawać.

Leta się śmieje, odgrywa rolę przed wszystkimi, którzy je obserwują.

– Twój plan był lekkomyślny... Nie wiemy, co zastaniemy w środku.

Madame Kruk rozmawiała z lordami z Wielkich Rodów, którzy zasiadają przy Stole. To od nich się dowiedziała, że Epinine wzięła Matilde na zakładniczkę. Zamierza się nią posłużyć, aby zapewnić sobie pomyślny wynik jutrzejszego głosowania. Leta zapewniła lordów, że w porę odbije dziewczynę – w zamian dali jej gwarancję, że zagłosują przeciwko Epinine. Wybiorą nowego zwierzchnika, który będzie chronił rodzinę Dinatrisów i Nocne Ptaki. Plan wydaje się dość prosty, lecz Sayer ma wątpliwości.

Lordowie mówili o przywróceniu dawnego ładu. Ale gdy się odkryje pewne sekrety, to trudno je z powrotem pogrzebać. Kościół już wie o istnieniu dziewczyn posiadających magiczną moc. Czy Caska, którzy uciekli z Podziemia, donieśli Pontifeksowi, co tam widzieli? Setki ludzi były świadkami tego, jak Matilde poskramia ogień przed sklepem Krastana. Opowieści o tym wyczynie zalewają Simtę prędzej niż woda z kanału po ulewie. Niewątpliwie dotarły już do przywódców gangów: chłopaków pokroju Gwellyna, który już wcześniej podejrzewał Sayer o czary. I do mężczyzn pragnących osiąść takie bogactwo, zrobić z niego użytek. Z kolei ludzie, którzy nie ostrzą sobie pazurów na magiczne dziewczyny, będą się ich obawiać – może nawet zaczną na nie polować.

Pisklęta z Podziemia gdzieś się rozpierzchły, jeszcze nigdy nie groziło im takie niebezpieczeństwo. Wybranie na zwierzchnika kolejnego lorda z Wielkiego Rodu, który spróbuje utrzymać obecny stan rzeczy, niczego nie zmieni.

– Wiem, że nie podoba ci się współpraca z lordami – wzdycha Leta. – Mnie w sumie też nie. Ale w tej chwili musimy przede wszystkim zadbać o dobro dziewczyn. Ukryć je w bezpiecznym miejscu, póki to jeszcze możliwe.

Sayer wydmuchuje powietrze.

– Nadal nie rozumiem, czemu musimy iść na ten bal.

– W pałacu będzie pełno zamaskowanych gości – mówi Leta. – Jeśli zostaniesz przyłapana tam, gdzie nie powinnaś być, to łatwo się wywiniesz. Zawsze możesz powiedzieć, że się zgubiłaś. Poza tym nie wiemy, jakie środki ostrożności przedsięwzięto. Lepiej dostać się do pałacu tradycyjnym sposobem i zbadać sytuację od środka.

Ma rację, Sayer dobrze to wie. Możliwe, że Epinine kazała palić na korytarzach wiedzmoreę lub podawać ją w napojach. Niewykluczone, że słyszała już o jej działaniu. Jak inaczej powstrzymałaby Matilde przed przybraniem cudzej twarzy i ucieczką z pałacu? Chyba że istnieje inny powód. Nikt nie wie, gdzie są Dinatrisowie. Zniknęli, podobnie jak Dennon Hain. Leta podejrzewa, że zwierzchniczka przetrzymuje bliskich Matilde i wykorzystuje to, by zapewnić sobie jej posłuszeństwo. Ani ona, ani pałacowi informatorzy Fen nie widzieli nikogo z nich, ale krążą pogłoski o dziewczynie przetrzymywanej w jednej z wież.

Sayer zaciska pięści. Nie mają pewności, że Matilde wciąż tam jest – Epinine równie dobrze mogła wywieźć ją z Simty. Nie sposób się tego dowiedzieć. Ma tylko nadzieję, że w tym chaosie odnajdzie Matilde. Wyciągnie ją z tego jeszcze dziś wieczorem.

Są już prawie na szczycie schodów z jasnego kamienia, gdzie czekają jacyś urzędnicy. Na takim przyjęciu z pewnością będzie się roić od Gwardzistów. To dlatego Sayer nie może tak prostu zamienić się w cień i wślizgnąć do środka. Możliwe, że *saluki* nie są w stanie wywęszyć tego rodzaju magii, ale woli nie ryzykować, że ją złapią. Lepiej już wejść do środka, udając zwykłą dziewczynę.

Leta znów ją dotyka.

– Uśmiechnij się, kochanie. Kiepski moment, by wyglądać jak żmija.

Gdy sprawdzają ich zaproszenia, Sayer udaje znużenie.

– Witajcie – mówi urzędnik monotonnym głosem, notując coś w swojej księdze. – Przed wejściem przeszukają was Gwardziści.

Sayer podąża wzrokiem za jego palcem. Z trudem powstrzymuje jęk. Tuż za wejściem do strzelistego foyer czeka Gwardzista z Klubu Kłamców – ten sam, który prawie znalazł je pod stołem w pokoju Dennana. Tak, to musi być on. Rozpoznaje jego psa o białej cętkowanej sierści. Zadarł wysmukły pysk i węszy w jej kierunku. Czy jest w stanie wyczuć magię, nawet gdy Sayer z niej nie korzysta?

– Czy to naaaprawdę konieeeczne? – pyta Leta Gwardzistę, który ją przeszukuje. Celowo przeciąga samogłoski.

– Obawiam się, że tak – odpowiada. – Rozkazy zwierzchniczki i Pontifeksa.

Przychodzi kolej Sayer. Przybiera niewzruszony wyraz twarzy. Po jej plecach ściekają krople potu. Gwardzista omiata ją wzrokiem, ale przecież jej nie pozna – nie widzieli się wtedy. *Saluki* znów skomle, tym razem głośniej.

Mężczyzna robi groźną minę.

– Jeśli masz przy sobie zakazaną substancję, lepiej oddaj mi ją teraz.

Sayer wymusza śmiech, wesoły i nieco ochrypły.

– A niech to, zapomniałam!

Otwiera kopertówkę i wyjmuje suszone rybki, które tam ukryła.

– Zawsze noszę je przy sobie. Moje psy je uwielbiają.

Saluki wciąż ją obwąchuje, nie zwraca uwagi na przysmak, lecz Gwardzista tego nie zauważa. Jest zbyt zajęty szczerzeniem do niej zębów.

– Takie dziewczyny lubię.

W końcu wchodzą, tłum wciąga je do środka, z dala od czujnych spojrzeń Gwardzistów. Sayer wypuszcza powietrze z ulgą.

Jeszcze nigdy nie była w Skrzydlatym Pałacu – naprawdę robi wrażenie. W korytarzu sklepiony sufit w kolorze błękitnego letniego nieba zdobią malunki skrzydlatych stworzeń. Gapią się na nią z góry, działają jej na nerwy, ale przecież nie mogą wiedzieć, że posiada moc. W przeciwieństwie do Matilde i Æsy o niej nikt jeszcze nie słyszał, a przynajmniej nikt z tych eleganckich gości.

Leta zwinnym ruchem zdejmuje z tacy kieliszek szampana.

– Czujesz coś? – pyta, zasłaniając nim usta.

Ma na myśli wiedźmorę. Sayer bierze głęboki wdech.

– Nie, wszystko w porządku.

Leta przyciąga ją do siebie. Dociska swoją łabędzią maskę do maski Sayer.

– Znajdź ją – szepcze. – A potem wracajcie do mnie, tylko fruńcie ostrożnie.

Sayer przelyka ślinę, czuje dziwny ucisk w gardle.

Odwraca się, wchodzi głębiej w tłum, przemyka się do strzelistej sali audiencyjnej, mija świece, które nadają pomieszczeniu różowozłoty kolor. Na

ścianach wiszą dzieła sztuki i lustra, pilnują ich pałacowe strażę, ale są tu też kolejni Gwardziści. Rozmowy odbijają się echem od marmurowych podłóg.

Sayer bierze wdech i wyciąga rękę – stara się odnaleźć niewidzialną nić, która łączy ją z Matilde. Nie czuła jej od kilku dni, może dlatego, że Nocne Ptaki są teraz daleko lub nafaszerowano je wiedźmorą. Martwi się, że coś im się stało, albo i gorzej... ale nie. Matilde na pewno da sobie radę. A ona musi się po prostu przyłożyć do poszukiwań.

Wreszcie coś chwyta ją za żebra, znów czuje znajome mrowienie. Zdaje się ją przyzywać, prowadzić. Podąża za nim przez salę audiencyjną, mija salę balową, która prędko się zapełnia, przechodzi na drugą stronę. Czeka tam strażę, oczywiście mają rozkaz nie wpuszczać nikogo do wnętrza pałacu. Sayer musi znaleźć miejsce, gdzie niezauważona mogłaby się przemienić w cień.

Wraca po swoich śladach, odnajduje drzwi, które prowadzą do pomieszczenia przypominającego salon. Ciężka kotara skrywa łukowate przejście w ścianie. Leta jej mówiła, że takie wnęki znajdują się w wielu publicznych salach w pałacu – są przeznaczone na modlitwę. Wybiera pierwszą z brzegu, licząc, że nikogo tam nie będzie.

Wślizguje się do środka – pusto, na całe szczęście. W skrzydlatym lichtarzu na ścianie pali się tylko jedna świeca, która rzuca roztańczone cienie. Sayer spróbuje się z nimi stopić, już zamyka oczy.

– Witaj, urocza nieznajoma. – Słyszysz za plecami.

Odwraca się gwałtownie, serce tłucze się w jej piersi. To Gwardzista, którego spotkała przed wejściem do pałacu.

– Pamiętasz mnie? – pyta.

Panika wbija jej szpony w żebra, ale Sayer zmusza się do uśmiechu.

– Właściciel tego pięknego psa.

– Zgadza się. – Oparł się o klęcznik. – Właśnie skończyłem zmianę i zobaczyłem, że tu wchodzisz. Pomyślałem, że może zdołam wybłagać u ciebie taniec na rozpoczęcie balu.

– Nie bałeś się, że zakłócisz mi modlitwę? – Usiłuje zachować pozory spokoju.

– Nieszczęśliwie. – Posyła jej znaczący uśmiešek. – Na przyjęciach raczej nikt się tu nie kryje w zbożnych celach.

Sayer powstrzymuje się od ciętej riposty, udaje tylko lekko urażoną.

– A szkoda. W takich czasach wszystkim przydałoby się nieco więcej modlitwy.

Liczy, że trochę go otrzeźwi tym strofowaniem, ale Gwardzista podchodzi bliżej.

– Moja pani, coś mi mówi, że tylko zgrywasz taką pobożną.

Chwyta ją i przyciąga do siebie, nim zdąży odpowiedzieć. Napiera na nią ustami i zębami. Myśli jej odpływają, chce się tylko pozbyć tego chłopaka. I proszę – do wnętrza wpada porywisty podmuch i rzuca nim o ścianę. Gwardzista otwiera szeroko oczy.

– Ty... – Krztusi się, twarz mu poczerwieniała. Sayer owinęła go pasmami powietrza, tak jak kiedyś ojca. – Jesteś...

– Raczej nie jestem... zainteresowana – odpowiada. – O czym byś wiedział, gdybyś zapytał.

Gwardzista otwiera usta, ale to na nie Sayer ukierunkowała magię. Wyczarowuje niewidzialną bańkę powietrza. Ćwiczyła to już w Podziemiu na Rankinie: bańka była w stanie stłumić jego krzyki. Teraz gdy Gwardzista usiłuje wrzeszczeć, słycać tylko westchnienie.

– Wren? – pyta ktoś zza kurtyny. – Jesteś tam?

Gwardzista wierzga nogami.

Do stu piekieł, Sayer nie ma czasu na takie rzeczy.

Jeśli puści, to powietrzne więzy znikną, ale nie może pozwolić, by ją tu znaleźli z tym chłopakiem. Koncentruje się, powoli znika, przemienia ciało w cień. Gwardzista chyba zaraz zwymiotuje.

Kroki są już blisko, coraz bliżej...

Kotara się rozsuwa i wchodzi drugi Gwardzista z psem.

– Co tu robisz? – pyta. – Myślałem, że mamy się spotkać przy...

Milknie, widząc, że jego kolega mocuje się z jakąś przeszkodą. Sayer stara się bezgłośnie wycofać. Drugi Gwardzista robi krok naprzód, jest tuż obok. Wstrzymuje oddech, serce podchodzi jej do gardła.

Saluki szarpie się na smyczy i zawzięcie węszy. Patrzy wprost na nią.

Sayer musi się stąd wydostać i to jak najprędzej.

Warczenie psa wytrąca ją z równowagi. Traci kontrolę. Uwięziony gwardzista drżącym palcem pokazuje w jej stronę.

– Czarownica – charczy.

Sayer rzuca się do ucieczki, biegiem wraca do korytarza, upewnia się, że wciąż jest niewidzialna. Ale co z tego, że zmieniła się w cień, gdy wszędzie panuje morderczy ścisk? Lawiruje w tłumie, przemieszcza się tak szybko, jak tylko może, i krzywi za każdym razem, gdy na kogoś wpadnie. Nie mogą jej tu złapać. Nie dopuści do tego.

– Ruszać się! Z drogi! – słyszy.

Ryzykuje rzut oka za siebie: dwaj Gwardziści zmierzają w jej stronę. *Saluki* z pyskiem w górze, uważnie węszy. Czy wyczuje jej zapach pośród tylu ludzi? O zgrozo, wygląda na to, że tak! Ciągnie Gwardzistę wprost do niej. Sayer wyciąga szyję, próbuje dojrzeć coś nad głowami gości, obmyślić, dokąd ma biec. Z przodu widzi strażę pałacowe – strzegą każdych drzwi, przez które nie wolno przechodzić. Frontowe wejście roi się od ludzi: tam też nie może wrócić. Poza tym nie wyjdzie stąd, póki nie znajdzie Matilde. Gwardziści są coraz bliżej, każda sekunda zawahania może ją drogo kosztować.

Odwraca się i zderza z kobietą w fioletach, która wrzeszczy do swojego towarzysza:

– Barnaby! Uważaj, prawie mnie przewróciłeś!

– Zgłupiałeś? – Zmarszczył się. – To nie ja.

Sayer prędko się ulatnia. Pilnuje, by nikogo więcej nie potrącić. Dopiero gdy zmienia się światło, dociera do niej, że jest w sali balowej. Rozgląda się, usiłuje znaleźć jakieś boczne wyjście, drogę ucieczki, ale wszystko na nic. *Saluki* znów szczeka, o wiele za blisko.

Sayer w porę się odwraca, widzi, że ktoś napomina Gwardzistów. To strażnik z pałacu, nakazuje im nie robić scen. Gwardzista, którego potraktowała magią, nadal poczerwieniały na twarzy, wskazuje mniej więcej w jej kierunku, lecz na strażniku nie robi to wrażenia. Przepędza Gwardzistów z sali balowej. Ale to nie koniec, na pewno doniosą o tym, co widzieli, któremuś z ojców... może samemu Pontifeksowi? Ile ma czasu, nim uderzą na alarm?

Zanim to się stanie, musi wydostać z pałacu Matilde.

Na scenie rozbrzmiewa muzyka.

– Świat tak już jest urządzony – mówi dziewczyna. – Nic nie dzieje się dlatego, że o tym pomyślę.

– Może nie w tamtym świecie – odrzeka Brown Malkin. – Ale tutaj myśl jest potężna, potrafi zmienić biegi rzek. A gdy poskromisz czyjeś rzeki, to zmienisz też bieg jego myśli.

– FRAGMENT PODZIEMNYCH PRZYGÓD

ROZDZIAŁ 28

POSKRAMIANIE RZEK

ÆSIE ZDAJE SIĘ, że jest wieczór, choć upał jeszcze nie ustąpił. Przygniata ją jak stary, ciężki płaszcz. Trudno powiedzieć, ile czasu spędziła w celi, ale chyba minęła noc i większa część dnia. Zakłada, że Gwardziści zabrali ją do niechlubnego Więzienia Żuchwołamaczy. Matilde jej mówiła, że mają tu specjalny oddział dla skazanych za łamanie prohibicji, ale Æsa nie wyobrażała sobie aż takiego zimna i wilgoci. Śmierdzi tu, jakby coś zgniło w Podziemiu albo wpęzło do otworu wydrążonego w kamiennej ścianie i zdechło.

Nie ma pojęcia, dokąd zabrali Jacintę. Kiedy zapytała o to Gwardzistów, którzy jej pilnują, tylko odwrócili wzrok. Niekiedy zdaje jej się, że w oddali słyszy zduszone krzyki, bez wątpienia kobiece. Czuje wtedy w piersi ból.

Jeśli minął dzień, to znaczy, że dziś przypada Krótkonoc. Jutro Pontifex zażąda od niej wyznania – jeśli mu odmówi, Jacinta pójdzie na szafot. Æsa wie, że czas się kończy.

Przez wiele godzin próbowała obmyślić plan ucieczki. Co ciekawe, Gwardziści chyba nie wiedzą o wiedźmorze, w każdym razie tutaj jej nie używają. Może Czerwona Ręka zachował ten sekret dla siebie? Mimo magicznej mocy Æsa nie potrafi przecinać żelaznych krat ani otwierać zamków. Posiada jednak sekretną umiejętność, o której oprawcy nie mają pojęcia.

Liczy uderzenia dzwonu: siedem, osiem, dziewięć. A jeśli dziś wieczorem wartę będzie pełnił kto inny? W końcu zjawia się Gwardzista o młodzieńczym wyglądzie, tak jak na to liczyła. Æsa przywiera do ściany, wygładza rysy twarzy, robi słodką, zasmuconą minę. Pora dobrze wykorzystać lekcje noszenia masek, których udzieliły jej Sayer i Matilde.

Macha lekko do chłopaka.

– Witaj.

Gwardzista poprawia kołnierz. Tuż nad nim widać zadraśnięcie, pewnie zaciął się przy goleniu, choć nie wygląda, jakby miał bujny zarost.

– Witaj – odpowiada.

Inni nie zwracają na nią uwagi, ale on tak. Zauważyła, że nie może oderwać od niej wzroku. Zupełnie jakby była płomienistą ćmą o uszkodzonych skrzydełkach, którą chciałby wziąć w dłonie i utulić. Kiedy jest w pobliżu, Æsa udaje damę w opałach. Nie jest to wcale trudne.

Wstaje, symulując, że się zachwiała.

– Mogę podejść do krat? Są chłodne, to mi pomaga na ból głowy.

– Źle się czujesz? – Między jego brwiami pogłębia się zmarszczka.

– To pewnie nic takiego. – Spogląda na swoje dłonie.

Chłopak po namyśle kiwa głową.

– Dobrze, podejdź.

Jej ręce zaciskają się na kratkach. Przemyka oczy, przyciska czoło do metalu. Czuje na sobie spojrzenie Gwardzisty, który wykorzystuje to, że Æsa nie patrzy. Słyszy jego głos:

– Już niedługo. Powiedz im wszystko, co chcą wiedzieć, a poczujesz się lepiej.

– Wiem... jestem taka zmęczona. – Wzdycha, stara się, by zabrzmiało to smutno.

– Wierzę ci. W takiej norze nawet Eshamein by się rozpili.

Chciałaby go popędzić, ale musi zachować ostrożność. Będzie miała tylko jedną szansę, by zrobić to należycie.

– Cicho tu dzisiaj. – Tak jak na to liczyła. – Czy większość Gwardzistów jest na balu z okazji Krótkonocy?

Chłopak wyciąga piersiówkę, którą trzymał za paskiem.

– Każdy chciał dostać służbę na przyjęciu, ale ktoś musiał zostać tutaj. Wyciągnąłem krótką zapalną.

Æsa uśmiecha się przebiegle, spogląda na niego zza rzes.

– Słyszałam o tym, jak hucznie świętuje się w Simcie Krótkonoc – mówi ze smutkiem. – Szkoda, że nigdy nie brałam udziału w tych obchodach.

Gwardzista przeczesuje dłonią włosy. Są obcięte niechlujnie, jakby ktoś strzygł je tępymi nożycami.

– Nigdy nie byłem na balu u zwierzchniczki, ale mój starszy brat opowiadał, że tam przychodzą właściwie tylko lordowie i damy w eleganckich kostiumach. Za to zabawy na mieście... te są ponoć epickie.

Czym uwiodłaby go Matilde? Æsa wzdycha, delikatnie przyciska do krat wydatny biust. Gwardzista nie patrzy już na jej twarz.

– Tak bym chciała przetańczyć tę noc. – Sprawia wrażenie pogrążonej w marzeniach.

– Możemy sobie tu zrobić małe przyjęcie.

Powoli podchodzi do krat, Æsa wstrzymuje oddech. Chłopak stawia piersiówkę na kamiennej podłodze i przesuwa w jej stronę. Żaden inny Gwardzista nie podszedł tak blisko.

– To wino wiśniowe mojej matki – mówi. – Nikt takiego nie robi.

Æsa przyciska piersiówkę do ust. Piecze, ale to uczucie sprawia jej radość. Wino może pomóc nosić maskę.

– Ale ty jesteś słodki... – Szykuje się: pora zaryzykować. – Mogę ci się jakoś odwdzięczyć?

– Jak na przykład?

– Bo ja wiem... pocałunkiem?

Chłopak sztywnieje.

– Jestem Gwardzistą. Abstynentem.

– Pamiętam – uspokaja go. – Nie o takim pocałunku mówiłam. Chodziło mi o... no wiesz, taki zwykły.

Jej policzki oblewają się rumieńcem, wcale się przed tym nie broni. Serce tłucze tak, że mogłoby wyskoczyć z piersi.

Chłopak kręci głową, ale jego oczy świecą w ciemności. Podszedł jeszcze bliżej. Æsa wyciąga rękę przez kraty. Bierze wdych, drugi, trzeci. Nie, to niemożliwe, by się zgodził.

Ale wtedy on szepcze:

– A niech to. – I już jest przy kratkach.

Æsa zaciska palce na jego nadgarstkach, tak jak zrobiła z Tennym Maylonem. Widzi potoki jego uczuć, splatające się w jedną rzekę. Musi je tylko nakłonić, by płynęły zgodnie z jej wolą.

– Nie powinnam siedzieć w celi – mówi. Jej głos brzmi dziwnie, rozszczepia się, odbija echem od kamieni. – Przecież wiesz, że wcale nie jestem czarownicą.

– Wiem. – Gwardzista mruga raz i drugi. – Wiem...?

Żałuje, że nie doskonaliła tej umiejętności, jak namawiały ją Matilde i Sayer. Emocje tego chłopaka są ulotne. Wysłizgują się jak mokra ryba.

– Masz klucze – ciągnie. – Znasz drogę. Możesz mnie uwolnić. Chcesz tego. Chcesz zostać moim wybawcą.

Czeka, aż te słowa do niego dotrą, a jej uczucia staną się jego uczuciami. Oczy chłopaka zachodzą mgłą. W końcu kiwa głową.

– Pora cię stąd wydostać.

Kiedy szuka kluczy, Æsa trzyma się blisko. Nie wie, jak długo uda jej się go kontrolować i czy to możliwe bez dotykania. Drzwi skrzypią, otwierają się, Æsa wychodzi zza krat i sięga po wolną rękę chłopaka. Po chwili są w korytarzu. To wąskie przejście o wysokim sklepieniu, skąpane w migotliwych cieniach. Nie widzi innych cel ani Gwardzistów. Korytarz jest pusty, przynajmniej na razie.

– Gdzie Jacinta? – pyta.

– Kto? – Zmarszczył brwi.

– Dziewczyna, którą przywieźli tu ze mną. Ją też chcesz uwolnić.

– Aha, skoro tak... na końcu strefy Gwardzistów. Zaraz obok skrzydła dla zwykłych więźniów.

Æsa koncentruje uwagę, stara się przelać na niego swoje myśli.

– Musisz ją uratować. Chcesz być bohaterem.

– Ja... no tak. – Brzmi jak pijany. – Tak, chcę tego.

Idą krętym korytarzem, tylko kinkiety oświetlają im drogę. Zatknięte w nich świece zrobiono z jakiegoś cuchnącego tłuszczu. Światło rzuca upiorne cienie, Æsa usiłuje nie podskakiwać na ich widok, to nie pora na strach.

Dochodzą do rozdroża. Droga przecina jakiś większy korytarz, tak szeroki, że przejechałby tędy powóz. Przez smukłe okna z bezbarwnego szkła wpadają ostatnie fioletowe promienie zachodzącego słońca. Gdy już wyjdą na światło, nie będzie się gdzie ukryć.

O bogowie! Dwóch Gwardzistów zmierza w ich stronę. Wchodzi z powrotem w cień, licząc, że ich nie zauważą. Oby tylko nie spojrzeli w lewo...

Na kamieniach rozbrzmiewają kroki. Błyskają mundury, jeden z mężczyzn chichocze. Drugi mówi coś o psie. Po chwili głosy cichną. Æsa powolutku wypuszcza powietrze.

– Chodźmy – odzywa się Gwardzista, którego zaczarowała. – Musimy się pośpieszyć.

Æsa nie protestuje, prędko przecinają duży korytarz, wchodzą do mniejszego. Skręcają raz, drugi, światła tu jak na lekarstwo. Sądziła, że to jej cela jest ciemna, ale te są znacznie gorsze. Smród moczu i potu mógłby zedrzyć farbę z kadłuba statku. Zza krat wystają brudne ręce. Nie rozpoznaje ich właścicieli, przyczajonych w mroku. Nagle słyszy dziewczęce głosy, ciche i wystraszone. Serce mało nie wyskoczy jej z piersi.

Przystaje przed celą niewiele szerszą od wyciągniętej ręki. Poznaje te dwie twarze za kratami, nawet takie brudne. To Layla i Belle, dziewczyny z Podziemia! Jakim sposobem dopadli je Pontifex i jego Gwardziści? Jacinta prędzej by umarła, niż kogoś wydała, co do tego nie ma wątpliwości. A jeśli ją zmusili? Jeśli...

– Æsa? – pyta Layla szeptem.

– Cii – ucisza ją, starając się nie utracić kontroli nad myślami młodego Gwardzisty. – Nie martwcie się. Wyciągniemy was stąd.

Chłopak posłusznie sięga po klucze i otwiera drzwi celi. Korytarzem idą do następnej. Kolejna dziewczyna, a potem jeszcze dwie wychodzą na wolność. Zna je wszystkie. Tylko gdzie jest Jacinta? Musi gdzieś tu być. Na pewno nic jej się nie stało.

Zbliżają się do ostatniej celi. Ze środka dolatuje cierpki zapach krwi. Wisi tam ciało rozpostarte na łańcuchach, ręce przypominają przetrącone ramiona rozgwiadzy. Splątane włosy spływają luźno, więźniarka ma zamknięte oczy. Jej sukienka jest w strzępach.

– Jacinta.

Nie podnosi wzroku. Czy w ogóle oddycha?

Æsa myślami nakazuje Gwardziście pośpiech, stara się nie przekazać mu swojego popłochu, ale jest zbyt roztrzęsiona na takie subtelności. Dłonie mu drżą, gdy ujmuje pęk kluczy.

Drzwi w końcu szcękają. Æsa wbiega do środka. Smugi czerwieni szpecą twarz Jacinty, drążą ślady w warstwie brudu.

– Cin? – Æsa ujmując zakrwawione policzki w dłonie. Co oni jej zrobili? – Obudź się, proszę.

Dziewczyna się porusza.

– Æsa?

– Jestem tu. – Nogi się pod nią ugięły, tak jej ulżyło.

– To dobrze – chrypi Jacinta. – Mam nadzieję, że ich pozabijałaś. Co do jednego. Jej głos brzmi jakoś dziwnie, zarazem żarliwy i pusty. Æsie udaje się ztrzeć z niej trochę krwi.

Z tyłu dobiegają tłumione odgłosy protestów. To Layla i Belle przytrzymują Gwardzistę, żeby nie uciekł. Chłopak kręci głową, jakby właśnie budził się ze snu.

– Tak nie wolno – mówi.

Æsa podchodzi do niego, ujmując go za nadgarstki.

– To się nazywa sprawiedliwość. A ty nie spocznesz, dopóki nie uwolnisz tej niewinnej dziewczyny.

– Nie mam kluczy do jej kajdan. – Znow kręci głową, tym razem bardziej stanowczo.

– Niemożliwe, musisz je mieć. – Jej serce na moment się zatrzymuje.

– Nie mam – powtarza i zaraz dodaje głośniej: – Nie, nie!

Wyrywa się, zaczyna z nią siłować. Æsa traci równowagę i oboje wpadają w cuchnącą stertę słomy. Gwardzista jest na górze, zaciska ręce na jej szyi, dusi. Æsa wpada w popłoch.

Nagle rozlega się brzęk metalu, chłopak pada na bok, ma zamknięte oczy. Belle uderzyła go wiadrem. Pozostałe dziewczyny zbijają się w grupkę, słysząc ich płytkie, przerażone oddechy.

Muszą się stąd wydostać, zanim nakryją je Gwardziści. Ale dokąd mają biec? Æsa nie potrafi się wydostać z Więzienia Żuchwołamaczy. Nie zna drogi do wyjścia i niechcący może pociągnąć dziewczyny głębiej w więzienne odmęty. Na dokładkę Jacinta nadal jest przykuta do ściany – nie mogą jej tak zostawić.

– Może uda mi się stopić łańcuchy – rzuca Layla. Nad jej palcami unosi się już zielony płomyk. – Dajcie mi chwilę.

Z drugiego końca korytarza dobiega krzyk.

– Nie wiem, czy mamy aż tyle czasu – mówi Æsa.

Słysząc inny hałas: to kroki, coraz szybsze, głośniejsze. Lada moment zostaną uwięzione w tym zawilgoconym korytarzu z najgorszych koszmarów. Æsa osłania dziewczyny, próbuje dosięgnąć wody zamkniętej w kamiennych murach, szuka czegoś, czym mogłaby je obronić.

Do celi wpada Gwardzista, cień zasłania mu twarz. Æsa unosi ręce, stara się powstrzymać ich drżenie.

– Nie ruszaj się – przemawia tak twardo, jak tylko potrafi. – Nie chcę cię skrzywdzić, ale niech bogowie mają mnie w swojej opiece, zrobię to, jeśli będę musiała.

– Dziewczyno, to przecież ja. – Głos Gwardzisty jest zadziwiająco łagodny.

Æsie brakuje tchu.

– Willan?

*Żądza zemsty płonie najgorętszym płomieniem.
Żaden ogień nie świeci tak jasno, nie pali się tak długo.*

– PRZYSŁOWIE SYTHIAŃSKIE

ROZDZIAŁ 29

GRA SIĘ TOCZY

MATILDE Z CAŁEJ SIŁY WYCIERA usta, stara się zetrzeć resztki eliksiru, którym je posmarowała. Trochę dostało się do środka, goryczka pali w język.

– Matilde? – Babcia łapie ją za rękę. – Co ci jest?

Nie może odpowiedzieć. Dennen przykazał jej zaaplikować eliksir w ostatniej chwili, ale nie wspomniał, że zadziała w ten sposób.

Epinine podchodzi do zielonych wrót, szarpie za klamkę. Ktoś zamknął je od zewnątrz.

– Bren! – krzyczy do strażnika. – Chodź tu!

Ale drzwi się nie otwierają. W korytarzu coś upada z hukiem. Epinine chwiejnym krokiem idzie do kolejnych drzwi, lecz i te są zamknięte.

Obraz zakrzywia się Matilde przed oczami. Chyba zaciska jej się gardło. Kolana drżą i osuwa się na podłogę.

– Tilde... – Babcia klęka przy niej. – Powiedz, co się dzieje.

– Ja... mój medalion... – Chwyta go, dłonie okropnie jej się trzęsą. – Podaj mi to, co jest w środku. Do ostatniej kropli.

Babcia wyszarpuje złoty krążek i odkręca zakrętkę. Epinine to dostrzega, rzuca się w ich stronę, ale Matilde zdążyła już przełknąć antidotum.

Zwierzchniczka zgina się w pół, jej policzki są teraz białe jak suknia.

– Co ty mi zrobiłaś?

– Odebrałaś mi moc – chrypi Matilde. – Tylko ci się odwdzięczam.

– Jak ci się to udało? – Szarpie za swoją mleczną kryzę. – Jak mogłaś mi to zrobić?

Nie musi odpowiadać. Smocze wrota otwierają się ze szczękiem i do komnaty wchodzi Dennen. Włosy zaczesał do tyłu, wygląda nienagannie. W jego klapie

połyskują ciemnozielone płatki verdy, herbowego kwiatu Vestenów. Wygląda olśniewająco.

– Zabezpieczcie korytarz – mówi do strażnika u swego boku – nie chcemy, żeby ktoś tu wszedł.

– Tak jest, kapitanie. – Mężczyzna kiwa głową.

Otwierają się drugie drzwi. Do środka wpadają kolejni strażnicy – a może to załoga Dennana w przebraniu pałacowych straży? Księżę przesłał im wiadomość przez jakiegoś bardziej życzliwego klawisza. Udało się w każdym razie. Matilde wypuszcza urywany oddech.

– Droga wolna, kapitanie. – Strażnik zwraca się do Dennana. – A goście niczego nie podejrzewają.

Księżę wykonuje jakiś żeglarski gest. Potem podchodzi do zwierzchniczki, która zdołała się wczoić na krzesło. Jego twarz jest chłodna, przepelnia go słuszny gniew. Porusza się jak drapieźnik.

– Ty to zrobiłeś – charczy Epinine. – Zdradzasz mnie nawet w takiej chwili.

– No cóż, siostró – cedzi przez zęby. – Czego się spodziewałaś? Ty zdradziłaś mnie pierwsza.

Z twarzy Epinine znika wściekłość, a pojawia się niedowierzenie.

– Chcesz zająć moje miejsce, tak? – Zabrzmiało to jak zdławiony śmiech. – Stół nigdy się na to nie zgodzi. Nie zaakceptują cię, dla nich nie jesteś Vestenem, tylko Księciem Bękartem. Nigdy nie staniesz się prawowitym dziedzicem naszego ojca.

Kłykcie Dennana bieleją – tak mocno zacisnął dłoń na podłokietniku jej krzesła.

– Pokażę im, jak wygląda prawdziwy Vesten. Wkrótce zapomną o twoim istnieniu.

Epinine chciałaby go opluć, ale z jej ust spływa tylko cienka czerwona strużka. Czy to... krew?

– Wiesz, że wszystko mogło się potoczyć inaczej... – jego głos mięknie – ...gdybyś traktowała mnie jak brata.

– Powinam cię zabić! – Jej oczy błyskają. – Tak jak kazał mi ojciec.

Dennan uśmiecha się szyderczo, jego przystojna twarz nagle brzydnie.

– Nie był sobą, gdy to mówił. Nastawiłaś go przeciwko mnie.

Szorstki śmiech Epinine drapie Matilde w skórę.

– Pod koniec życia nareszcie ujrzał twoje prawdziwe oblicze. Ja też.

Matilde nic z tego nie rozumie. Trucizna miała odurzyć Epinine, sprawić, że zapadnie w głęboki sen do czasu, aż oni przekonają Stół do swoich racji. Tylko dlaczego z jej ust sączy się krew?

– Dennan, podaj jej antidotum – prosi Matilde. Nawet nie odwrócił głowy. – Coś jest z nią nie w porządku.

– O nie – odpowiada. – W końcu wszystko jest jak trzeba.

Matilde wstaje, podchodzi, kładzie mu dłoń na ramieniu. Dennan drży, wibruje jak kamerton. Spogląda na Epinine – krew na ustach, strach w oczach – nareszcie pojmuję. Zwierzchniczka umiera.

– Powiedziałeś, że zaśnie – mówi szeptem. – Obiecałeś mi to.

– Skrzywdziła cię – odrzeka. – Nas oboje. A ty pozwoliłabyś jej żyć?

Matilde dotyka swoich warg, nadal szczypią. Nie chce być morderczynią.

– Nie rób tego – prawie go błaga. – Dennan, proszę, proszę.

Przez krótką, pełną napięcia chwilę zdaje jej się, że usłucha.

– Za długo na to czekałem. – Uderza w stół otwartą dłonią. – Należy mi się.

Znów zerka na siostrę, która utkwiała spojrzenie w Matilde.

– Głupia jesteś, sądząc, że on cię wybawi – chrypi. – Dba tylko o swoje interesy.

Próbuje zaczerpnąć tchu, ale już za późno, życie właśnie z niej uleciało. Jej oczy, kiedyś takie jasne, teraz są blade i nieruchome. O zgrozo! Epinine Vesten nie żyje. Zabił ją Dennan... ona ją zabiła. Pocałunek Matilde posłał zwierzchniczkę do piachu.

Serce uderza jej raz i drugi. Migocą świece.

– Matilde – mówi Dennan – zrozum, stanowiła za duże zagrożenie.

Zbliża się do niej, jego oczy płoną jasno, zdają się takie szczere. Znów wygląda jak ten chłopak, którego pocałowała w wieży.

– Pomyśl tylko, co zrobiła nam i twojej rodzinie – ciągnie. – Dopóki by żyła, nie bylibyście bezpieczni.

Na jego sygnał strażnik zabiera zwłoki Epinine. Dennan wpycha jej w dekolt pustą fiolkę i liścik. Ciało się kołysze, a wreszcie nieruchomieje – co za okropny widok.

– Połóżcie ją w łóżku – nakazuje księżę. – Ma wyglądać, jakby odebrała sobie życie. Spodziewała się, że Stół zagłosuje przeciwko niej, i nie mogła znieść tej myśli. Nie wytrzymała napięcia.

Przypominają jej się słowa Epinine o tym, że kobieta musi się napracować, aby pokazać, na co ją stać, bo ludzie z góry zakładają, że jest słaba.

– Okłamałeś mnie – szepcze.

Między jego brwiami pogłębia się zmarszczka.

– Nie chciałam, żebyś miała na sumieniu śmierć Epinine. To ja postanowiłem ją zabić, a nie ty.

A jednak posłużył się nią, zrobił z niej swoje narzędzie, środek do celu.

– Już po wszystkim – zapewnia. – Tak będzie dla nas lepiej. Obiecuję ci to.

Obiecywał jej wiele rzeczy, a ona nadal chce mu wierzyć. Niestety teraz już wie, że ją okłamał. Kłamstwa są jak chrząszcze bagienne, które przeżerają łodzie pływające po kanałach: gdy już pojawi się jeden, na pewno przyjdzie ich więcej, będą gryźć deski, aż całkiem je pochłoną.

Babcia łapie ją za rękę.

– Tilde, proszę cię, powiedz, że nie jesteś z nim w zмовie.

– Epinine była groźna – mówi. – Ktoś musiał ją powstrzymać.

– Tobie się wydaje, że ten chłopak nie jest groźny? – Twarz babci to wściekła maska. – To on przyprowadził pod nasze drzwi En Caska Dae!

W piersi Matilde wzbiera strach.

– Przecież... Tenny Maylon podał im moje imię.

– Zgadza się – potwierdza babcia. – Widziałam go tamtej nocy, gdy Czerwona Ręka zabrał nas do Kościoła Augustiańskiego. Zapytałam, dlaczego cię wydał, a on wybuchł płaczem. Powiedział mi, że ktoś zabrał go do kaplicy i nakłonił, by wskazał cię temu ojcu.

– Dennan? – Odwraca się gwałtownie. – To prawda?

– Nie do końca – wzdycha.

Jej myśli są w strzępach, nie sposób się w tym połapać.

– Powiedziałaś, że Tenny uciekł z twojego apartamentu. Ty zabrałaś go do Czerwonej Ręki?!

– Zaprowadziłem chłopaka do kościoła. Żeby wyspowiadał się jednemu z ojców. Nie miałem pojęcia, że trafi na tego fanatyka, który zlecił atak na twoją przyjaciółkę. – Jego ton jest proszący, w głosie pobrzmiwa desperacja. – Sądziłem, że ten człowiek uda się do Pontifeksa, który jest głową Kościoła, ale przynajmniej ma zmysł polityczny... Nigdy nie działa pochopnie, wiedziałem, że zdążę cię ostrzec. Nawet mi się nie śniło, że ktoś taki mógłby napaść na twój dom.

– Ale... dlaczego, Dennan?

– Ktoś cię musiał popchnąć do działania. – Wyrzuca rękę do góry. – Nawet po ataku na Nocne Ptaki tkwiłaś w tym układzie, nie byłaś gotowa odejść. Sądziłem, że jak cię stamtąd wyrwę, to przejrzysz na oczy. Chciałem tylko, żebyś była wolna.

Wolna? Czuje się uwięziona w klatce jak nigdy. Przez cały czas tylko udawał, że daje jej wybór. Ale to on wytyczył ścieżkę, którą ślepo podążyla. Toczył własną grę.

– Popełniłem błędy. – Bierze ją za rękę. – Naprawdę to wiem. Ale nie możemy roztrząsać przeszłości... musimy iść naprzód. Działamy razem. Ty i ja ukształtujemy świat tak, jak chcemy.

Babcia staje między nimi.

– Skoro uważasz się za naszego sojusznika, to gdzie jest teraz reszta naszej rodziny?

– Nie wiem – przyznaje. – Jeszcze. Ale gdy tylko będę mógł, wyślę swoich ludzi na poszukiwania. Wkrótce ich uwolnimy. Obiecuję.

To piękne słowa, miłe dla ucha, lecz teraz jego obietnice zdają się bez pokrycia.

– Jak mam ci ufać po tym, co się stało?

Chwila się przeciąga, gęsta od znaczeń i rozgrzana do czerwoności emocjami. Wreszcie Dennan pada na jedno kolano i ujmuje dłoń Matilde.

– Jesteśmy tak blisko – mówi. – Razem zaszliśmy aż tutaj. Czy ruszysz ze mną w stronę światła?

Chyba zostawia jej wybór, ale czy na pewno? To prawda, że dotarła już tak daleko. Życie, jakie znała, odeszło w niepamięć, a jej sekret został ujawniony.

Po krótkim namyśle Matilde kiwa głową.

– Ale zanim stąd wyjdziemy, chcę porozmawiać sam na sam z babcią – zaznacza.

– Oczywiście – odpowiada Dennan po chwili. – Zaczekam na zewnątrz.

Opuszcza komnatę, po cichu zamykając drzwi.

– Kochanie... – Babcia ujmuje jej twarz w dłonie, spogląda z czułością. – Co zamierzasz zrobić?

Nie jest pewna. Wie tylko, że nie ma odwrotu – może wyłącznie iść naprzód. Nie chce uciekać przed tym, co ma nadejść.

Bierze niepewny wdech.

– Sprawię, że Simta będzie dla nas bezpieczna.

To bardziej życzenie niż pewność. Może jedynie liczyć, że starczy jej sił, by je spełnić.

*Wzywała go z morskiej toni,
głos ciepły i jasna twarz,
podążył za pieśnią kochanki
w kierunku odległych plaż.
Łagodnie zajrzała mu w oczy,
w jej lokach wiatr pełnił straż
i zaśpiewała: Ach całuj,
bo cumy zarzucić czas.*

– BALLADA BALLENY ROCK

ROZDZIAŁ 30

ZRYWANIE ŁAŃCUCHÓW

WILLAN WYDYMA WARGI, uśmiecha się tak, jak zapamiętała. Æsa z trudem oddycha.

– Skąd się tu wziąłeś? – pyta. – Jak nas znalazłeś?

– Miałem pomoc. – Wskazuje drzwi.

Do celi wchodzi drugi niższy Gwardzista, porusza się zwinnie jak kot. Æsa go rozpoznaje, czuje gwałtowne rwanie w piersi.

– Kocia pożoga – szepcze jedna z dziewczyn. – Fenlin, czy to ty?

Fen zdejmuje czapkę Gwardzisty i przygląda burzę ognistych włosów.

– Jak żywa – żartuje.

Rwanie w piersi Æsy żyje własnym życiem, czuje przyciąganie i pulsowanie magii. Oplata Fen ramionami, ona sztywnieje, ale się nie wyrwa.

– Jesteś tu! – Æsa trzyma mocno. – Nie mogę w to uwierzyć. Jak...?

– Później. – Fenlin się odsuwa. – Czas nagli.

– Lepiej stąd wejmy – potakuje Willan. – To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

Z tyłu dolatują jęki Jacinty.

– Łańcuchy – szepcze Æsa.

Layla zakasuje rękawy.

– Zajmę się tym.

Fen wypuszcza powietrze.

– Jesteś zmęczona, ja to zrobię.

Wygląda jakoś inaczej. „Może to dlatego, że nie żuje mastyksu”, myśli Æsa. Sądziła, że Fen użyje magii do zgięcia metalu, ale ona wyjmuje zestaw wytrychów. Po chwili pierwsze kajdany otwierają się ze szczękiem. Willan podtrzymuje Jacintę, a Fen bierze się za kolejne zamki. Dziewczyna wpada w ramiona Willana, nie może ustać na nogach. Æsa doznaje ulgi, ale się nie odzywa. Wszyscy milczą.

Ze skradzionej kurty munduru Gwardii Fen wyciąga słoiczek.

– Brody do góry – mówi, wygarniając ze środka ciemną maź.

Jedna z dziewczyn marszczy nos.

– Co to?

– Alec przygotował substancję, która stłumi nasze dźwięki.

Smaruje ich tym po szyjach. Maź cuchnie jak gnijące owoce i zastała woda, ale Æsa ma na głowie większe zmartwienia. Chociażby płytki oddech Jacinty lub to, że ktoś ich złapie.

Wychodząc, Fen zamyka w celi prawdziwego Gwardzistę. Æsa zerka na niego – leży na słomie, wciąż nieprzytomny. Teraz pewnie znienawidzi ją i dziewczyny takie jak ona. Ta myśl wzbudza w niej wyrzuty sumienia.

– Trzymajcie się blisko – komenderuje Fen. – I niech nikt się nie guzdra.

– Ale... – Æsa marszczy brwi. – Gwardziści. Na pewno się na nich napatoczymy.

Fenlin przeszywa ją wzrokiem.

– Zajęliśmy się tym. Zaufaj mi.

Brną w mroku, milczący, dziewczyny trzymają się blisko Æsy, Willan idzie z przodu, prawie niesie Jacintę. Æsa jeszcze nie może uwierzyć w jego powrót. Fen prowadzi ich z powrotem tam, skąd wcześniej przyszły – dobyła noża, porusza się bezszelestnie. Schodzą wąskimi, wijącymi się schodami, przemykają do następnego korytarza, równie ciemnego jak ten na górze. Nie spotykają żadnych Gwardzistów. Fen otwiera kolejne cele, używając swoich wytrychów – w każdej poruszają się skulone cienie. Chwiejnym krokiem wychodzą na zewnątrz, mrugają w zdumieniu.

– Czy to aby dobry pomysł? – pyta szeptem Willan.

– Im więcej więźniów wypuścimy, tym lepiej. Gwardziści i strażnicy więzienni będą się musieli rozdzielić, zamiast skoncentrować wysiłki na nas. – Zaciska szczękę. – Uwierz mi, złodziej czy żebrak, nikt nie zasługuje na odsiadkę w tej norze.

– To prawda. – Pokiwał głową.

Dochodzą do zamkniętych drzwi. Fen je otwiera, podążają za nią, chyba przechodzą przez koszary. Są tu pomieszczenia pełne piętrowych prycz, na hakach wiszą mundury, a przy wejściach w równych rzędkach stoją buty. Tylko

gdzie się podzieli Gwardziści? Przecież wszyscy nie mogą pilnować balu w pałacu ani patrolować ulic.

Po chwili zatrzymują się przed drzwiami z niewielkim napisem „Zaopatrzenie”. Fen wyciąga kawałek materiału, zawiązuje sobie usta.

– Zostańcie tu. I starajcie się nie oddychać głęboko.

Otwiera drzwi, prędko przechodzi przez pomieszczenie, zbliża się do sterty czegoś, co przypomina pranie. Ale to nie jest pranie, tylko... ciała. Niektórzy Gwardziści z głowami opartymi na rękach leżą na długim drewnianym stole, jeszcze inni rozpląszczyli się na plecach na podłodze. Obok spoczęło kilka psów, ich długie łapy zeszywniały jakby w biegu.

– Willan – szepcze Æsa – czy oni...?

– Nie – odpowiada – spójrz na ich klatki piersiowe.

Unoszą się i opadają, jakby tylko spali. Ale żaden nie sprawia wrażenia, że się prędko zbudzi.

Fen ciągnie jedno z bezwładnych ciał za kołnierz po podłodze. Wyciąga Gwardzistę z powrotem na korytarz, zamyka drzwi na klucz i potrząsa chłopakiem.

– Zastanawiałam się, w jaki sposób pozbyć się jak największej liczby strażników – wyjaśnia. – A że dziś przypada Krótkonoc, to wiedziałam, że będą w nastroju do zabawy i jeśli tylko trochę się ich zachęci, to pewnie przymkną oko na zwykłe środki ostrożności. Tak się składa, że ktoś podarował im skrzynkę wybornej illishańskiej whisky i zatrudnił Rankina do przygrywania na skrzypcach...

O bogowie, przecież to nie Gwardzista, tylko Rankin! Jego twarz jest ziemista. Fen wciera mu pod nos trochę pasty, klepie w policzek. Wdech, drugi, chłopak zaczyna kaszleć, charczy, kurczowo ściskając swoją trąbkę. Ulga Fen zdaje się Æsie jej własną.

– Rankin, czy wszyscy padli zgodnie z planem?

– Tak, szefie. – Uśmiecha się, ukazując przerwę między zębami. – Żywica w mojej trąbce zadziałała jak ta lala. Alec to czarodziej.

– Racja, racja – przyznaje Fen. – Możesz iść?

– No pewno.

– To dobrze, bo musimy się pośpieszyć. Środek nie będzie działać dużo dłużej.

Droga zakręca, mijają koleje tunele, zatrzymują się w ślepych zaułkach. Dłonie Æsy są zimne od potu, oddech przyśpieszony. Gdy tylko docierają do zamkniętych drzwi, zdaje jej się, że to koniec, ale Fen prędko rozprawia się z zamkami za pomocą wytrychów. W końcu owiewa ich świeże powietrze, wychodzą w noc, wprost na niewielki ogrodzony dziedziniec. W świetle księżyca kamienie są srebrzyście niebieskie.

– Co teraz? – pyta przyciszonym głosem Layla.

– Zaraz je otworzę. – Fen wskazuje ogromne drewniane wrota w żelaznym okuciu, znajdujące się po drugiej stronie placu. – I spadamy stąd.

– A co z tymi tam na górze? – pyta Rankin.

Æsa podąża wzrokiem za jego palcem, wskazującym na strażników więziennych, którzy patrolują całą długość zewnętrznego ogrodzenia. Mają na sobie płaszcze zwykłych strażników, a nie mundury Gwardii, ale to bez znaczenia. Kimkolwiek by byli, na pewno będą do nich strzelać.

– Pasta od Aleca pomoże nam stłumić odgłos kroków, ale nie sprawi, że staniemy się niewidzialni – szepcze Fen. – Musimy się trzymać blisko ogrodzenia.

Idzie pierwsza. Pozostali wychylają się jedno za drugim i próbują prześlizgnąć. Idą powoli, oparci plecami o kamienny mur. Na pomoście nad ich głowami szurają buty, strażnicy sprawdzają kusze. Æsa wstrzymuje oddech, aż brakuje jej powietrza.

Fen dociera do ogromnych wrót, zadziera głowę, jakby nasłuchiwała. Rzeczywiście dobiegają jakieś dźwięki – ktoś tam na górze śpiewa.

„Jasna panienko, panienko jasna, tak miło zakosztować twego królestwa...”

Æsa zadziera głowę, widzi czubki butów wystające znad pomostu.

„Pozwól mi zdobyć swą twierdzę i popływać w twej fosie...”

Coś skapuje z góry, spada na ziemię tuż obok. Belle usuwa się w porę, ma zniesmaczoną minę. Jeśli strażnik popatrzy w dół, to ich zobaczy. Nie mają się gdzie ukryć ani dokąd uciekać.

Piosenkę przerywa bicie w dzwony. Strażnik klnie, słysząc, jak tupie buciorami. Zaraz dołączają do niego koledzy, wszyscy biegną do środka. Sądzą, że alarm w budynku wywołał ktoś, kto próbuje się wydostać na zewnątrz.

Korzystając z zamieszania, podbiegają do Fen. Po jej twarzy spływają krople potu, nie może złapać tchu, ale zdołała otworzyć wrota. Wyślizgują się na ulicę, skręcają za róg, gdzie już czeka powóz. Czarno-fioletowy, zaprzężony w cztery ciemno umaszczone konie. Rankin wskakuje na kozioł.

– To powóz Lety – zauważa Æsa. – Skąd go macie?

Fen pomaga Willanowi unieść Jacintę.

– Wchodź, wszystko ci wyjaśnię.

Prędko pakują się do środka, wypełniają wnętrze przyśpieszonymi oddechami i zapachem żuchworostów. Brakuje miejsca, kilka dziewczyn musi siedzieć na podłodze. Fen uderza w sufit i konie ruszają z kopyta. Zastłony w oknach są zaciągnięte, ale Jacinta wychyla głowę i wciąga głęboko powietrze, jakby próbowała oczyścić płuca ze smrodu więzienia.

Æsa odzywa się pierwsza:

– Wyjaśnijcie mi to, proszę.

Fen się uśmiecha, z pewną rezerwą.

– Na mieście gadali, że Pontifex zamknął za kratami dziewczyny posiadające magiczną moc i zamierza je przesłuchać. Wiedziałam, że cię tam znajdę. Ustaliliśmy, że Krótkonoc to najlepszy moment, żeby was wydostać, bo Pontifex będzie w pałacu, a z nim spora część Gwardzistów.

– Ale skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać?

– Jeden ze strażników miał u mnie dług wdzięczności – wtrąca się Willan. – Poprosiłem, żeby bez zbędnych pytań zaznaczył mi na mapie więzienia parę miejsc i dał rozpiskę zmian Gwardzistów.

Æsa spogląda to na niego, to znów na Fen.

– Skąd wy się w ogóle znacie?

– Kilka dni temu wróciłem do Simty – wyjaśnia Willan – i od razu poszedłem cię szukać. W domu Dinatrisów nie zastałem nikogo. Udałem się do Madame, gotów przehandlować coś za odpowiedzi, a tymczasem okazało się, że sama chce dobić targu. Powiedziała, że jeśli pomogę wydobyć cię z więzienia, zapłaci za mnie grzywnę i dopilnuje, by uchylono embargo na statek mojego taty.

Tamtej nocy w jej pokoju rzeczywiście wspominał, że Leta zadbała o to, by nie mógł tak po prostu odejść. To znaczy, że nie wrócił po nią, tylko po swój statek.

– Sądziła, że będzie musiała mnie przekupić – mówi Willan w illish. – Ale i tak bym po ciebie przyjechał.

Jego oczy o intensywnie morskiej barwie rozświetlają mrok.

– Co teraz?

– Statek już czeka. – Willan uśmiecha się. – Zabieram cię stąd.

– Zgodnie z umową – zaznacza Fen – okręt Willana zostanie uwolniony pod warunkiem, że on i jego załoga przeszmuglują magiczne dziewczyny z miasta, omijając patrol portowy.

– Dałaś sygnał? – chrypi Jacinta słabym głosem.

Fen kiwa głową.

– Rozesłałam wici przez Podziemie. Każda dziewczyna, która chciała wyjechać z Simty, miała się stawić w konkretnym doku w porcie. Teraz powinny już być w ładowni statku.

– A co z Matilde? – Serce Æsy przyspiesza. – I gdzie jest Sayer?

Szczęka Fen lekko drga.

– Zwierzchniczka przetrzymuje Matilde.

– Co?! – Zbiera jej się na mdłości.

– Sayer poszła do pałacu, żeby ją wydostać. Gdy dotrzemy do portu, powinny już tam być.

– A jak nie?

– Będziecie musieli wypłynąć bez nich.

Jacinta gwałtownie wypuszcza powietrze.

– To nie...

W powozie eksplodują dźwięki. Stłuczone szkło rozpryskuje się na wszystkie strony. Policzek Æsy pali z bólu – oberwała czymś, przez chwilę obraz zaciera jej się przed oczami. Gdy wreszcie odzyskuje wzrok, widzi strzałę, która sterczy z siedzenia nieopodal miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą była głowa Willana – pocisk płonie i dymi. Chłopak prędko próbuje ugasić ogień, ale powóz się przechyla, zbyt szybko wchodzi w zakręt. Æsa nie może zmusić rąk do działania.

– Piekło i szatani – warczy Fen. – Co tym razem? Strażnicy z Więzienia Żuchwołamaczy? Czy Gwardziści?

Layla wygląda na zewnątrz, ma ponurą minę.

– Znacznie gorzej...

W każdym pokoleniu pojawiają się cztery Ogniste Ptaki, które łączy więź serc. Gdy się zjednoczą, nic ich nie rozdzieli, razem są najsilniejsze, to wtedy mogą zmienić świat.

– FRAGMENT SEKRETNYCH OPOWIEŚCI CANTONA

OŚLEPIAJĄCY BLASK

SAYER, WCIAŻ NIEWIDZIALNA, PRZYCISKA SIĘ do ściany sali balowej, gdy zza kurtyny wyłania się Dennan i wchodzi na scenę w kształcie półksiężyca. W tłumie rozlegają się zaskoczone szepty: nikt się nie spodziewał Księcia Bękarta. Co to znaczy, że zjawia się tu zamiast Epinine?

– Dobry wieczór wszystkim i szczęśliwej Krótkonocy. Zwierzchniczka Epinine i ja cieszymy się, że tu jesteście.

Stoi pośrodku sceny, gdzie świece płoną najjaśniej. Naprzeciw niego na krzesłach siedzą zamaskowani goście – Sayer mimo to ich rozpoznaje. Z lewej strony widać zagranicznych delegatów, którzy zawsze przyplývają do Simty z okazji Krótkonocy. Z kolei po prawej stronie są członkowie Stołu: pięciu lordów z Wielkich Rodów i Pontifex. Wszyscy zwrócili twarze w stronę Dennana Haina, ale to kurtyna przyciąga uwagę Sayer. Choć nie widzi Matilde, to wie, że się tam kryje – wyczuwa jej obecność. Niestety jest tuż poza zasięgiem.

Jeden z członków Stołu mówi coś do Dennana, ale są za daleko, by mogła ich dosłyszeć. Korzysta z umiejętności, którą doskonaliła w Podziemiu, i rozciąga tunel powietrzny od siebie do sceny, by poprawić akustykę.

– Gdzie jest zwierzchniczka? – chce wiedzieć Pontifex, jego purpurowe szaty zdają się pochłaniać światło. – Nie informowano mnie o żadnych zmianach w programie.

– Źle się czuje – odrzeka Dennan. – Najmocniej przeprasza. Mam ją zastąpić.

Ich twarze skrywają maski, mimo to Sayer wyczuwa napięcie.

– Nie masz tu żadnej władzy – mówi monotonnym głosem Pontifex. – Nie jesteś członkiem Stołu.

Jasne oczy księcia błyskają.

– Jestem Vestenem. Epinine może zaprosić mnie do Stołu, jeśli zechce.

Lordowie szepczą między sobą, zadają pytania. Tłum się porusza, wyraźnie zaniepokojony.

Dennan robi krok w przód, przemawia głośniej, by wszyscy mogli go usłyszeć.

– Zebraliśmy się tu, żeby wspólnie świętować najkrótszą noc w roku. To czas, gdy przeganiamy mrok. Zdaje mi się, że pozwoliliśmy panoszyć mu się w Simcie zbyt długo.

Szepty ucichły, zaległa całkowita cisza. Dennan trzyma ich w garści.

– Ten mrok skrywał korupcję, pozwalał jej się rozwijać i kwitnąć. Pomagał też ukryć brutalne działania sekty łajdaków znanej jako En Caska Dae. Karmił się siłami zła przyczajonymi w naszej Republice, rozpowszechniał kłamstwa, siał nienawiść i zaatakował jedną z najznamienitszych rodzin w naszym mieście. Wszystko to w imię świętego Kościoła!

Pontifex zrywa się z miejsca i wyciąga rękę przed siebie.

– Sekta nie działała z upoważnienia Kościoła. A jednak trzeba przyznać, że przysłużyła się bogom. – Wskazuje palcem pozostałych członków Stołu. – Śmiecie mówić o siłach zła? Kościół zrobił, co w jego mocy, by wszystkich nas odwieść od pokus, a tymczasem Wielkie Rody od dawien dawna ukrywają dziewczyny posiadające magiczną moc.

Zagraniczni delegaci nachylają się do siebie i szepczą. Słysząc pomruki tłumu, w głosach gości zdumienie miesza się ze złością i strachem.

– Te plotki zaczynają mnie męczyć – mówi Dennan. – Niech przemówi ta, której dotyczą.

Za kurtyny wychodzi Matilde. Sayer czuje w piersi uderzenie gorąca, jakby coś schwyciło ją od środka. Matilde ma na sobie złotą suknię, która niemal płonie w blasku świec, jej krótkie włosy zostały starannie uczesane – wydaje się opanowana, pewna siebie, wytworna. A jednak Sayer wyczuwa jej pomieszenie, wątpliwości, może nawet strach.

Pontifex wygląda na rozwścieczonego.

– Ty masz tę czarownicę?

– W co wy gracie? – pyta jeden z lordów, na tyle cicho, że Sayer musi wytężyć słuch. – Ona nie należy do was, nie możecie się nią popisywać, gdy przyjdzie wam na to ochota. Oddajcie ją!

Oblicze Matilde pochmurnieje.

– Dziękuję, tak się składa, że jestem tu z własnej woli. Nie należę do nikogo z was.

– Jest pod ochroną Vestenów. – Dennan kładzie jej dłoń na plecach. – Po prześladowaniach, jakich doświadczyła, ktoś musiał zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo. Wygląda na to, że Rody sobie z tym nie poradziły.

Matilde robi krok do przodu.

– Kościół twierdzi, że już dawno rozprawił się z magicznymi dziewczynami. To nieprawda. Jestem tego żywym dowodem.

Na drugim krańcu sali balowej zaczynają wyc *saluki*. Tłum rozpycha się łokciami, szepty nie ustają. Panuje atmosfera jak tuż przed burzą.

– W moich żyłach krąży magia będąca darem Źródła. Dziewczyny takie jak ja nie zasługują na prześladowania. Nie należy szydzić z mocy, którą posiadam, ani jej znieważać.

Sayer nie widzi wyraźnie twarzy delegatów, ale ich zainteresowanie jest wyczuwalne. Chciwym wzrokiem pożerają Matilde.

– Kobieta nie ma prawa brać we władanie świętości. – Policzki Pontifeksa pałają z gniewu. – To bluźnierstwo. Kalasz to, co boskie.

Sayer czuje wybuch gniewu Matilde.

– Zazdrościsz mi mocy, której sam nie posiadasz.

Co ona robi? Nie powinno jej tam być. Powinna być z Sayer, uciekać jak najdalej stąd.

– Matilde Dinatris nauczyła moją siostrę i mnie czegoś szalenie ważnego – odzywa się Dennan. – Magia jest głęboko zakorzeniona w Eudei, to jeden z naszych największych atutów. Zakazy tylko ją psują. Może czas znaleźć inną drogę.

Spogląda na Matilde, jakby oddawał jej scenę.

Sayer czuje jeszcze silniejsze przyciąganie więzi, która je łączy.

W sali balowej zaczynają migotać świece. Ich płomienie pulsują, rozciągają się – teraz wszystko jest skąpane w świetle. Nagle Matilde spowija ognista poświata. Płomienie wychodzą z za jej pleców, wyrastają z ramion, strzelają w górę niczym bliźniacze pnącza żywego ognia. Nie... to raczej skrzydła. Jarzą się, rozedrgane światło przeskakuje na żyrandole, a z kryształowych kul bucha oślepiający blask.

W tłumie niektórzy robią na czole znak Eshamein, są wyraźnie poruszeni. Inni po prostu gapią się w zdumieniu i z przestraczem.

– Czarownica! – ryczy Pontifex. – Jak śmiesz pysznić się tym, z czego okradłaś Źródło?

– Niczego nie ukradłam. – Głos Matilde jest gorący jak płomień. – Taka się urodziłam. I dosyć mam mężczyzn, którzy mi mówią, że to wielki grzech.

Sayer nie może oderwać wzroku od jej skrzydeł – od samej Matilde, która tak dzielnie wystawiła się na widok tych wszystkich oczu i stoi przed Gwardzistami mierzącymi do niej z kusz. Nie wie, czy wiwatować, czy wrzeszczeć.

– Gwardia! – drze się Pontifex. – Pojmać ją!

Kilku Gwardzistów przepycha się do przodu, ale ze sceny schodzą strażnicy Vestenów i zagradzają im drogę. Lada chwila może się polać krew. Wtedy jednak na scenę chwiejnym krokiem wchodzi dziewczyna, służąca, zaciskając dłonie na spódnicy.

– Zwierzchniczka nie żyje! – krzyczy.

Ogniste skrzydła Matilde strzelają iskrami i gasną, a tłum jednym głosem wydaje stłumiony okrzyk zdumienia.

– Coś ty powiedziała? – pyta Pontifex.

– Nie żyje... – Podbródek służącej drży. – Odebrała sobie życie.

Na twarzy Dennana maluje się wstrząs, ale Sayer wyczuwa niepokój Matilde. Wcale jej to nie dziwi. Do stu piekieł, Epinine Vesten nie żyje?!

Służąca wyciąga zwitek papieru.

– Zostawiła list.

Czyta go jeden z członków Stołu, mijają kolejne minuty. W sali panuje kompletna cisza, Sayer bez trudu słyszy, co mówią mężczyźni na scenie.

Przedstawiciel Rodów przemawia bez pośpiechu, wyważonym tonem.

– Napisała, że jej ostatnim życzeniem jest, by rolę zwierzchnika objął po niej brat.

Dennan kładzie dłoń na sercu.

– Jeśli taka jest wola Stołu, jestem gotów służyć.

Pałacowe strażnicy w jego otoczeniu padają na jedno kolano, uderzają się pięściami w piersi. Niektórzy strażnicy w sali idą za ich przykładem, choć inni

tylko łypią gniewnie.

– Nie... – odzywa się Pontifex zdławionym głosem. – Wybór zwierzchnika podlega określonym procedurom. Jutro odbędzie się głosowanie.

Książę kiwa głową.

– Oczywiście. Jestem pewien, że członkowie Stołu zagłosują na najlepszego kandydata.

Mówi tak, jakby im groził lub przypominał o jakiejś wcześniejszej umowie. Od jak dawna to planował? Kilku lordów kiwa głowami, jak gdyby na znak zgody. Pontifex musiał wyczuć, że szczęście się od niego odwraca.

– Bękart i czarownica chcą doprowadzić Eudeę do upadku! – krzyczy. Sprawia wrażenie, jakby pomieszało mu się w głowie. – Otwarcie sprzeciwiają się bogom. Aresztować ich!

Część Gwardzistów unosi kusze, są gotowi strzelać, lecz na drodze staje im grupka pałacowej straży. Rozlegają się krzyki, dochodzi do przepychanki. Jedna z kusz wystrzeliwuje przez przypadek – stojący w pobliżu goście rzucają się do ucieczki. Ktoś potrąca Sayer, ale jest tak zaaferowany tym, co się dzieje, że nawet nie zauważa, iż zderzył się z niewidzialną dziewczyną.

Błysk purpury na scenie przykuwa uwagę Sayer: to Pontifex. Z rozbieranym wzrokiem wyciąga coś spod swojej szaty.

Sayer czuje posmak błyskawicy na języku.

Nie chce, by zobaczył ją ten pełen blichtru tłum. Nie chce zostać złapana ani zakuta w łańcuchy. Ale Matilde stanęła kiedyś w jej obronie – tak naprawdę to zrobiła o wiele więcej. Teraz Sayer będzie walczyć dla niej.

Unosi dłonie, traci niewidzialność. Tuż obok ktoś się odwraca, krzyczy przeraźliwie. Sayer przyzywa powietrze, prosi, by się zebrało. Sala balowa drży w posadach, rozbrzmiewa groźnym pomrukiem gromów, które nadciągają ze wszystkich stron. W pomieszczeniu hula wiatr, zdmuchuje większość świec. Matilde wreszcie się odwraca, krzyżują spojrzenia. Magia Sayer wzbiera w odpowiedzi na magię Matilde, to jak wołanie i echo, wypełnia ją poczucie pewności – i siły.

Matka powiedziała jej kiedyś, że Nocne Ptaki są jak siostry. Sayer nie uwierzyła. A jednak czuje to teraz – wzajemne więzy. Pokrewieństwo sięgające głębiej niż

wszystko, co dotąd знаła. Nie zrodziła go magia, lecz sekrety, którymi dzieliły się po ciemku, a także poświęcenie, śmiech i krew.

Pontifex zaciska zęby, rusza w kierunku Matilde, ostrze sztyletu już błyska.

Sayer ryczy głosem tubalnym jak łoskot nawałnicy.

– Nie waż się jej tknąć!

Wiedziona instynktem, wyrzuca dłonie wysoko w górę, magia się w niej burzy. Wyje wiatr, który przywołała, zagłuszając krzyki tłumu. Pontifex unosi się w powietrzu, uwięziony przez gwałtowny wir. Wrzeszczy i kopie, lecz nie jest w stanie się wydostać.

Teraz ludzie wskazują na nią. Powinna uciekać, ale już za późno. Zostanie, żeby walczyć – co ma być, to będzie.

Na końcu sali balowej z hukiem ukazuje się chmura ciemności. Wiatr Sayer cichnie, gdy przez pomieszczenie przelatuje ciemna kula i rozbija się z trzaskiem. Ze środka bucha mrok, rozlewa się jak plama atramentu.

Kolejna kula wybucha na scenie. Matilde wyciąga ręce, Sayer już ma je schwycić, ale następuje eksplozja ciemności i przyjaciółka znika jej z oczu.

„Do stu piekieł, Alecand!” To na pewno sprawka jego Osłony Nocy. A przecież mówiła mu, żeby się nie ujawniał.

Sala balowa pogrąża się w chaosie. Goście rozbiegają się z krzykiem, przepychają do wyjścia. Napierający tłum unosi ze sobą Sayer i wrzuca ją prosto w chmurę Osłony Nocy. Próbuje się podnieść, gdy czyjeś buty depczą po jej sukience, miażdżą palce u rąk. Ledwie widzi własne dłonie, rozcapierzone na podłodze.

Musi jak najszybciej przedrzeć się do Matilde. Tylko gdzie jest scena? Czołga się, wbija komuś łokieć w nogę, stara się wydostać z tej ciemnej chmury. Dochodzi do brzegu, wstaje i próbuje się rozeznać. Nagle ktoś oplata ją ramionami, wciąga z powrotem w mrok. Usiłuje walczyć, ale uścisk jest brutalny, sprawia jej ból. Może tylko zaczerpnąć haust powietrza. Napastnik rozsmarował jej coś pod nosem: poczuła znajomy smród. Krztusi się ze strachu i z powodu mdłości.

Rzucił Sayer na ziemię. Uchodzi z niej powietrze. Próbuje złapać oddech, ale czyjeś kolano wbija jej się w plecy. Mężczyzna pachnie dymem goździkowym i przesłodzoną wodą kolońską. Przejmuje ją groza.

– Role się odwróciły – syczy Wyłło Regnis. – Jak się czujesz z tym, że to ciebie ktoś zmusza do uległości?

ORCHIDEE, RZADKIE

NAZWA:

Morbus gordiala

OPIS:

Orchidea morbus gordiala w Eudei występuje niezwykle rzadko. Niektórzy uważają jej istnienie za mit. Większość bagiennych orchidei kwitnie jedynie w określonych fazach księżyca, lecz ta ma swój własny nieuchwytny rytm. Jasne płatki rozwija wyłącznie w czasie gęstej mgły, ale proces ten nie został dobrze poznany. Mieszkańcy Callistanu nazywają ją „zjawą we mgle”.

– FRAGMENT
FLORY I FAUNY EUDEI

ROZDZIAŁ 32

ZIELONA I DZIKA

ÆSA STARA SIĘ odzyskać równowagę, ale świat wiruje jej przed oczami. Powóz przywalił w mur, ze zgrzytem szoruje o kamienie.

Willan próbuje jej dosięgnąć.

– Nie podnoś się. Jeszcze strzelają.

– Kto?! – krzyczy.

Fen klnie.

– En Caska Dae.

Kolejna płonąca strzała wbija się w dach i wypala dziurę. Któraś z dziewczyn gasi ogień, żeby się nie rozprzestrzenił. Æsa podciąga się do okna, wygląda na zewnątrz, sprawdza, co się dzieje. Z tyłu migają jej bure szaty – kilku jeźdźców na koniach.

– Skąd wiedzieli?! – pyta głośno. – Jak nas tu znaleźli?

Fen wpada między dziewczyny, pilnie czegoś szuka.

– Nie wiem, musieli obserwować więzienie albo mieli w środku kreta.

Budynki się rozmazują, w oknach zapalają się światła. Na ulicach tłum ludzi. Głównie zamaskowanych, ale Æsa dostrzega ich przerażenie, gdy powóz niemal w nich wjeżdża. Uciekają w popłochu – słyszy krzyki.

– Zabijemy kogoś! – Chwyta Willana za rękę.

– Albo to nas zabiją! – Fen w końcu wyszarpuje torbę spod siedzenia. – Chyba właśnie to próbują osiągnąć.

Wyciąga z torby małą szklaną kulę: w środku burzą się ciemne chmury. Wygląda jak ta substancja, której Rankin użył w ogrodzie Dinatrisów. Fen ciska ją za okno. Z hukiem rozbija się pod kopytami konia należącego do Caska, eksploduje i uwalnia kłęby dymu, który przybiera dziwaczne kształty. Kły, pazury, skrzydła i sierpowate ostrza otaczają jeźdźca, przesłaniając mu widok.

Koń staje dęba, a chłopak z krzykiem drapie powietrze.

– Do stu piekieł – szepcze Jacinta. – Co to jest?

– Alec mówi o tym Straszyleka – wyjaśnia Fen. – Proszek wywołuje koszmarne wizje.

Layla wyszczerza zęby.

– Masz tego więcej?

Fen sięga do torby po kule, rozdaje. Rzucają je przez okno – kolejni Caska padają ofiarą wyobrażonych potworów, młóćą powietrze rękami, ale wciąż mają przewagę liczebną, depczą im po piętach, ścigają coraz węższymi uliczkami.

Gdy kończą się kule, Fen wysypuje zawartość torby na podłogę, po czym rzuca coś każdemu na kolana. Maski!

– Nie możemy pozwolić, by wjechali za nami do portu – tłumaczy. – Musimy ich zgubić. Jeśli nie uda nam się uciec powozem, będziemy musieli się rozdzielić i dalej iść na piechotę.

Bierze maskę, jedną z tych błyszczących, jakie noszą ludzie na ulicach. Æsa dostaje pegaza, Willan feniksa, Jacinta smoka, a Fen lisa.

– Dzięki nim wtopimy się w tłum – mówi. – W morzu trudniej znaleźć krople wody.

Powóz się przechyla. Æsa wkłada maskę. Łapie Willana, gdy wjeżdżają w stoisko na targu, posyłają w powietrze ceramiczne kubki i kadź z płynem o słodkim zapachu.

Jacinta łapie za brzeg siedzenia, jest blada jak ściana.

– Ale jak mamy...?

Coś uderza w bok powozu. Gwałtownie skręcają – Willan zamyka Æsę w uścisku – zataczają koło, a przynajmniej tak się jej wydaje, i wreszcie zatrzymują się z szarpnięciem.

Przez chwilę nikt się nie porusza. Æsa słyszy dzwonięcie w uszach. Raptem otwierają się drzwi.

– Wychodźcie, prędko! – wrzeszczy Rankin. – Powóz się pali!

Wypadają na bruk. Æsa dźwiga się na nogi, kurczowo ściska maskę, szuka drogi ucieczki, ale wokół pną się wysokie mury. Z lewej strony, z prawej... same ściany

i okna. Prześladowcy uwięzili ich na jakimś podwórzu, skąd jest tylko jedno wyjście i właśnie blokują je Caska uzbrojeni w zadarte kusze.

Zasypują ich gradem strzał. Co robić? Tłoczą się za dymiącym powozem. Konie rżą: Rankin dobywa noża i przecina uprząż. Jeden z koni się uwalnia i biegnie, dziko łypiąc szeroko otwartymi ślepiami. Przechodnie, którzy przypadkiem trafili w sam środek tego chaosu, przyciskają się do ścian. Jakaś dziewczyna, mniej więcej w wieku Æsy, trzyma kurczowo chłopczyka w masce feniksa. Wygląda na równie przerażoną jak ona.

Koła szurają o bruk, skrzypią drzwi powozu, który właśnie nadjechał. Ostrzał ustaje. Æsa ryzykuje, zerka przez strzaskane okna powozu i widzi dwie postaci podtrzymujące mężczyznę. Zamiera, kiedy ten się odwraca.

„O bogowie, to Czerwona Ręka!”

Nawet z tej odległości można dostrzec poparzenia, jakie spowodował ognisty smok Aleca. Oszpecił twarz, która wydaje się do połowy stopiona, ale nie ona tak przeraża Æsę, tylko to, co płonie w oczach tego człowieka.

– Sądziłyście, że uciekniecie! – krzyczy. – Ale Marren do tego nie dopuści. Zapłacicie za swoje grzechy i za to, że postąpiłyście wbrew jego woli. Dopilnuję tego!

Kuśtyka naprzód z pomocą dwóch chłopaków machających kadzielnicami. Unoszący się dym maluje w powietrzu budzące zgrozę kształty. Æsa jeszcze nie czuje wiedźmory, ale wie, że wkrótce tu dotrze. Musi coś zrobić, nim pozbawi ją magicznej mocy.

– Poddajcie się – grzmi Czerwona Ręka – a może okażę wam litość.

– Litość?! – Fen warczy na tyle głośno, by usłyszał. – Masz o niej w ogóle jakieś pojęcie?

Zalega znacząca cisza, słychać tylko skwierczenie ognia, który powoli opanowuje powóz.

– Ach, Ano. – Ręka się śmieje. – Wiesz, że usiłowałem ocalić cię przed samą sobą.

Æsa wyczuwa emocje Fen, kłębiące się jak te okropne Straszydełka Aleca. Odraza i wściekłość, opór i strach. Wyciągnęła coś z kieszeni, przerzuca to nad powozem. Szkło się roztrzaskuje, ciemność spowija bruk i ogarnia Caska. To pewnie Osłona Nocy. Zyskali na czasie, ale i tak muszą się śpieszyć.

– Prędko, uciekajmy! – krzyczy któraś z dziewczyn.

Willan kiwa głową.

– Może uda nam się ich obiec, zanim zasłona się rozproszy.

Æsa utkwiała wzrok w Fen, która klęczy pod jedną ze ścian. Oddycha ciężko, przyciska dłonie do ziemi, jakby chciała zatamować krwawienie. Podnosi wzrok, jej oko łypie dziko zza maski.

„Æso, pomóż mi”.

Nie mówi tego na głos – ona i tak słyszy.

Podbiega, nakrywa dłonie Fen i przyzywa swoją magię. Ziemia miesza się z oceanem, piętrzą się, mkną naprzód. Palce Fenlin drżą pod jej palcami.

– Już dobrze. – Æsa nie ma pojęcia jak, ale wie, że właśnie to chciałyby usłyszeć Fen. Może obie muszą w to teraz uwierzyć? – Uwolnij to, nie bój się.

Fen wciska mocniej ręce w ziemię, jej ciało wibruje, z gardła dobywa się ryk. Coś wystrzela spod ich dłoni: pnącze, które rośnie tak szybko, że od patrzenia bolą oczy. Korzenie pełzną, krusząc bruk, ziemia się rozstępuje. Z pnącza wyrastają ręce, wspinają się po budynku, czepiają włóknistymi palcami. Pędy, porośnięte ciemnozielonym kwieciem w kształcie gwiazd, gwałtownie wpadają przez okna, w szale miażdżą rury.

– Wspinajcie się! – wrzeszczy Fen. – Wszyscy na górę!

Kilka dziewczyn zaczyna się wdrapywać, liczne pętle i zwoje ułatwiają im zadanie – jest się za co schwycić. Layla się poślizgnęła, ale z łodygi natychmiast wyrasta pęd, który ją podtrzymuje. Rankin w pośpiechu zerka na Fen i też zaczyna się wspinać. Tuż obok jego głowy ze świstem przelatuje strzała, ale pnącze w porę ją odbija. Zupełnie jakby Fen przekazała roślinie swoje pragnienie, by ich wszystkich ochronić.

Jacinta wydaje okrzyk, gdy gałąź owija ją w pasie i przenosi na dach. Æsa obserwuje, zbyt wstrząśnięta, by się poruszyć.

Willan wyciąga do niej rękę.

– Chodź, pośpiesz się.

Pnącze dotarło już na samą górę, lecz nie przestaje rosnąć. Æsa widzi, że jej przyjaciele unoszą się razem z nim i wdrapują na dach. Na ziemi powoli rozprasza się Osłona Nocy.

– Ty też chodź – mówi Æsa do Fen. – Wespniemy się razem.

– Nie ma czasu – dyszy. – Jeśli was nie uniosę, to nie zdążycie.

– Nie zostawię cię. – Æsa łapie ją za rękaw.

W oku Fen błyskają emocje, po chwili już ich nie ma.

Coś chwyta Æsę w talii. To pnące – owija się ciasno wokół niej. Próbuje mu się wyrwać, ale nic z tego.

– Znajdź ten statek – warczy Fen. – Opuść Simtę. A jeśli ktoś spróbuje cię zatrzymać, to walcz, do licha!

Roślina unosi ją w powietrze, nad powozem i Osłoną Nocy. Na usta ciśnie jej się imię Fen, ale zagłusza je wiatr.

Cienie trzymają się razem.

– PRZYSIĘGA CIEMNYCH GWIAZD

ROZDZIAŁ 33

CIENIE

SAYER WALCZY, ale Wyllo ją podciął, pozbawił równowagi. Coś zaciska się wokół jej nadgarstków i mocno szarpie.

– Co ty robisz? – dyszy, oczy pieką ją od Osłony Nocy.

– Powiedziałem ci, że mi zapłacisz – mówi Regnis. – Właśnie wystawiam ci rachunek.

Wlecze ją za sobą, wyciąga z chaosu sali balowej, prowadzi przez chmury ciemności aż do ciasnego korytarza. Gdy tylko ktoś przebiega obok, Wyllo gwałtownie skręca w boczne drzwi. Oszołomiona Sayer usiłuje się wyrwać, ale Regnis szarpie mocno i porusza się szybko, a jej magia została zatamowana, ukryła się gdzieś głęboko. Kto mu powiedział o wiedźmorze? Jak ją zdobył? Serce Sayer krzyczy zbyt głośno, by mogła zebrać myśli.

– Nie wystarczyło ci to, co zrobiłaś w Klubie Kłamców? – syczy Wyllo. – Musiałaś dopuścić się bluźnierstwa przed całą Simtą? Nie powinno mnie to dziwić. Twojej matce też brakowało rozwagi. Ale sądziłem, że nauczysz się czegoś na jej błędach.

Wściekłość aż w niej iskrzy, ale to przerażenie wysuwa się na pierwszy plan. Sayer próbuje się utrzymać na nogach, znaleźć sposób na wyrwanie się Regnisowi, ale wiedźmora miesza jej w głowie. Nie jest w stanie zaczerpnąć świeżego powietrza, przebić się przez ten smród.

– Powiniennem zabrać cię do Kościoła Augustyńskiego i rozprawić się z tobą raz na zawsze – warczy Wyllo. – Ale podejrzewam, że naopowiadałabyś im tam kłamstw o swoim pochodzeniu, rozpaczliwie próbując mnie pogrążyć.

– To co...? – Czuje krew na wargach. – Zabijesz mnie?

– Lepsze to, niż mieć czarownicę za córkę.

Córka: po raz pierwszy słyszy z jego ust to określenie. Żółć się w niej burzy.

Weszli w jakieś wąskie przejście. Sayer kopie, usiłuje krzyknąć, ale Regnis szarpie mocno za sznur, którym ją spętał, i wykręca ramię.

– A może powinienem ukryć cię w jakiejś posiadłości na wsi – mówi. – Zamiast mnie dręczyć, w końcu mogłabyś się na coś przydać.

Sayer prędzej by szeszła, niż dzieliła się z nim swoją magią.

Przyzywa Nocne Ptaki, choć wiedźmora przytłumiła więzi, jakie je łączą. Stara się przekazać dziewczynom wszystkie uczucia, które dotąd skrywała w swoich sekretnych głębiach. Pragnienie, by mieć rodzinę, jakie ogarnęło ją po śmierci matki. Zaskoczenie i wdzięczność, które czuła, gdy w mroku zdołała odnaleźć siostry – pokrewieństwo, jakiego wcześniej nie знаła.

Wyrywa się do Fen, przywołuje ją.

„Potrzebuję cię”.

Wyłło zaciąga ją na dziedziniec, który wygląda na cmentarzysko starych powozów. Gwiazdy na niebie to tylko zimne, odległe ogniki. Leta porównała ją kiedyś do spadającej gwiazdy, która ma spełniać życzenia. Matka zawsze pragnęła tego mężczyzny. To dlatego Sayer sądziła, że potrzeba bliskości prowadzi do upadku, i poprzysięgła sobie zadbać o inną przyszłość. Swego czasu uważała, że w pojedynkę będzie silniejsza.

Gdy Regnis ciągnie ją w dół po kamiennych stopniach, posyła w mrok życzenie: „Proszę, niech mnie usłyszą przyjaciółki”.

Ale odtrąciła je wszystkie... i teraz jest sama.

Nagle sznur się rozluźnia. Ojciec ryczy wściekle, a Sayer się potyka. Mruga, usiłuje zrozumieć, na co właściwie patrzy. Skrzypią skrzynie, z których wyrywają się gwoździe, narzędzia unoszą się z ziemi, szprychy uwalniają z kół. Metal zamienia się w ciecz, pomyka w powietrzu jak tysiąc spadających gwiazd i łączy się ze sobą, tworząc długie, ciekłe wstęgi. Ojciec wyciąga rękę, usiłuje się bronić, lecz nie ma szans w starciu z metalowymi pasami, które go owijają. Przestaje się poruszać, gdy metal tężeje i więzi go w środku.

On i jego metalowa pułapka przewracają się na bok, z dzwonieniem uderzają o kamienny bruk.

– Wypuść mnie stąd! – krzyczy przerażonym głosem. – Ty diablico!

Sayer mocije się ze sznurem, wreszcie uwalnia nadgarstki i ściera z twarzy wiedźmorę.

– Mowy nie ma. Wolę cię w klatce.

Podchodzi, pochyla się nad mężczyzną, który budził w niej strach, nienawiść i tęsknotę. Są spokrewnieni, ale nigdy nie nazwała go ojcem.

– Wyllu Regnisie – szepcze – jeszcze cię dopadnę. Nie dzisiaj, ale kiedyś na pewno.

Wyjmuje z kieszeni monetę, którą wiele lat temu rzucił jej z powozu. Wkłada mu ją do ust, jak zmarłemu.

On próbuje coś krzyknąć, prawie się dławi. Sayer się odwraca. Skończyła z nim – przynajmniej na razie. Teraz co innego ją przyzywa i otula jej serce.

Zza połamanego powozu wychodzi Gwardzista. Sayer instynktownie sztywnieje, ale za mundurem, podartym i brudnym, dostrzega pożogę miedzianych włosów.

Idzie do Fen nieco chwiejnym krokiem. Jej zielone oko błyszczy w ciemności, nie skrywa go już przepaska. Na koszuli i szyi znać ślady krwi.

– Jesteś ranna. – Sayer z trudem dobywa głos.

– Nie szkodzi – Fen stara się uśmiechnąć – nic mi nie będzie, chyba.

Sayer bierze ją za rękę, przyciąga do siebie, trzyma mocno.

– Jak mnie znalazłaś?

– To bez znaczenia. Cienie trzymają się razem. – Przyciska czoło do jej czoła. – Zawsze potrafię cię odnaleźć. Tig, jesteś moim cieniem, a ja twoim.

Sayer bierze głęboki wdech, pozwala sobie w to uwierzyć.

– Fen, ja...

Błyskają białka jej oczu i Fen upada na bruk.

*Wicher przybędzie i usłucha morze,
ziemia klęknie, a bestia wspomóżę,
gdy sheldar do boju wzywa.*

*Niedźwiedź zaryczy i zegnije się kwiecie,
weźcie w dłoń tarcze, wnet wroga zetrzecie,
gdy sheldar na pomoc wzywa.*

– FRAGMENT POEZJI LIRYCZNEJ Z WYSP ILLISH
GDY SHELDAR WZYWA

ROZDZIAŁ 34

ODWAGA SHELDAR

ASA STOI NA dziobie statku Willana. Widzi stąd zdobiącą go rzeźbę: to kobieta z rozwianymi włosami, mierząca z łuku – obrończyni okrętu. Zastanawia się, czy i ona sprosta takiemu zadaniu, czy wystarczy jej siła.

Willan stanął przy sterze, żywo gestykułując, pokazuje coś załodze, która uwija się na pokładzie. Na jego rozkaz podnoszą i mocują ciemnozielone żagle. Panuje gorączkowa atmosfera, ale pracują w milczeniu. Nie mogą sobie pozwolić na niepotrzebny hałas.

Ludzie Willana – dawna załoga jego taty – zatroszczyli się już o najbliższe patrole, ale to nie znaczy, że statek jest bezpieczny, nadal grozi im, że zostaną nakryci. W Więzieniu Żuchwołamaczy dzwony na pewno biją wciąż na alarm, a czujne oczy są wszędzie. Znajdują się w najdalej położonej części sierpowatego portu, gdzie simtańska marynarka przetrzymuje skonfiskowane towary. Wody Szemrzącej Laguny są ciche – aż za bardzo. Dobrze, że chociaż zaszło słońce i niebo pociemniało.

Z lewej strony jak okiem sięgnąć statki wypełniają port aż po najdalszy brzeg, zwieńczony wieżą strażniczą. Druga taka sama stoi na pobliskim krańcu portu. Kolejne dwie wieńczą czubki simtańskiego Rogala, wąskiej przybrzeżnej wyspy, która chroni port przed najeźdźcami. Każdej z wież na pewno pilnuje strażnik patrzący przez lunetę. Ale przecież to jest statek piratów, zbudowany z myślą o dyskrecji, stworzony do przemykania się ukradkiem.

Pod pokładem w ukryciu podróżuje grupka dziewcząt z Podziemia. Æsa próbowała nakłonić Jacintę, by też tam zeszła, ale odmówiła. Na widok zakrwawionej, posiniaczonej dziewczyny czuje ból w piersi. Ale jeszcze bardziej boli ją to, że nie płyną z nimi jej siostry. Czuje się przestraszona i osamotniona. Co się stało z Fen po tym, jak Æsa zostawiła ją na podwórzu? Gdzie są Matilde i Sayer? Dlaczego nie ma ich tutaj?

Tuż obok Jacinta wychyla się za burtę. Woda chlupocze o zanurzone wiosła – przy takiej bezwietrznej pogodzie będą musieli ich użyć, aby wypłynąć z portu.

Æsa ma gułę w gardle, z trudem przełyka ślinę.

– Musimy na nie poczekać.

– Jeśli nas złapią, to po nas – mówi Jacinta. – Wiesz o tym. Twoje dziewczyny potrafią dać sobie radę same.

„Jej dziewczyny”. Matilde, Sayer i Fen są gdzieś tam, pewnie w tarapatach, a im dłużej zostaną w Simcie, tym większe ryzyko, że skończą w Więzieniu Żuchwołamaczy. Prawdę mówiąc, Æsa chciałaby zostawić to miasto za sobą. Tylko dlaczego ma wrażenie, że postępuje niewłaściwie?

Na horyzoncie rozbłyska raca. Nie, to sygnał z jednej z wież na końcu Rogala. Po chwili odpowiada jej najbliższa wieża na lądzie, a zaraz potem dwie pozostałe. Dzwony biją wściekle na alarm.

– Załoga! – krzyczy Willan. – Oddać cumy!

Odbijają z miejsca cumowania, czas dłuży się bez końca. Wioślarze podnoszą się i opadają, szepczą coś między sobą, równocześnie za cicho i aż nazbyt głośno. Statek sunie po falach, coraz dalej i dalej, ale wciąż płyną za wolno. Æsa łapie się relingu, serce podchodzi jej do gardła.

Mijają minuty. Dzwony burzą jej spokój. Jeden z mężczyzn wydaje okrzyk.

Jest ciemno, Æsa patrzy spod przymrużonych powiek.

– Co to...?

– Okręt marynarki. – Oczy Jacinty są szeroko otwarte.

Æsa widzi jarzące się światła i zarys ciężkiego kadłuba. Majaczy na wodzie, między dwiema wieżami, gigantyczny stwór pośród fal.

– Musimy zawrócić – mówi Jacinta. – Nie przedrzemy się.

Ale Willan już wykrzykuje rozkazy, stara się pokierować statek na drugi koniec Rogala. Tam również czeka łódź, mniejsza, ale też należy do marynarki. Po pokładzie biegają małe figurki. Nagle coś leci w ich stronę, płonie jasno w ciemności i rozbija się o fale tuż przy burcie, po czym z sykiem wpływa pod kadłub.

– Płonące pociski! – wrzeszczy Willan. – To nie był strzał ostrzegawczy.

Marynarka do nich strzela?

– Dlaczego to robią? – pyta Jacinta. – Przecież nie mają pojęcia, jaki to statek. – Utkwiła wzrok w okręcie z przodu. – Musieli się dowiedzieć o ucieczce z więzienia.

Żołnierze marynarki czekają przy burcie, gotowi do strzelania z ogromnych kusz. Willan skręca statkiem w lewo, to znów w prawo, żeby trudniej było ich dosięgnąć, ale okręty wojenne blokują oba wyjścia z portu. Jak mają się wydostać?

Kolejny pocisk leci w ich stronę. Æsa czuje jego żar na policzkach, o wiele za blisko.

Jacinta łapie ją za rękę.

– Zatopią nas, Æso.

Przełyka ślinę.

– Willan wie, co robi.

– Nie potrafi tego, co ty.

– O czym ty mówisz?

– Woda jest twoim żywiołem, prawda? A ty jesteś Ognistym Ptakiem!

Ale to nie fontanna czy nawet samotna rozpędzona fala. To jest ocean, a przy jej boku nie ma Matilde, Sayer ani Fen. Są od niej znacznie silniejsze, Æsa tak nie potrafi.

– Nie dam rady – szepcze.

Jacinta wpatruje się w nią uporczywie.

– Chociaż spróbuj, zrób do dla mnie i dla dziewczyn na statku.

Spogląda przez ramię na Willana za sterem – jego twarz jest taka poważna i pełna determinacji. Spod pokładu zaczynają wychodzić dziewczyny. Fen kazała jej walczyć. Nie będzie tu bezradnie stała. Unosi ręce, zamyka oczy, przestaje się opierać. Pozwala, by magia otuliła jej kości, nie wzbrania się – wita ją z zadowoleniem. Magia zalewa ją falami ciepłego światła.

Ale jakaś częśćka Æsy nadal kuli się ze strachu – ta, która uległa Pontifeksowi i Czerwonej Ręce i która boi się, że w jej żyłach płynie trucizna.

Dziadek zawsze powtarzał, że w Æsie śpiewa *sheldar*. „Musisz tylko wsłuchać się w jej pieśń i mieć dość odwagi, by odpowiedzieć na wezwanie”. Może odwaga jest kwestią wyboru, podobnie jak przyjaźń? Może to po prostu wiara w swój wewnętrzny głos?

Woda szepcze jej imię. Czuje ją ze wszystkich stron, tak jak ryba. Czeka, aż Æsa przemówi. Co powie?

Kolejny pocisk leci wprost na nich. Fale burzą się i pienią wokół kadłuba. Ze skłębionej wody Æsa przyzywa falę, długą i smukłą. Nie... to raczej wielka lśniąca głowa. Odwraca się, jasne zęby połyskują w świetle księżyca. Roztrzaskuje w locie płonący pocisk.

Ktoś krzyczy, lecz morze jest nieprzebrane i bezbrzeżne. Æsa nie może się odwrócić, bo straci koncentrację.

Jej wodny wąż ochrania statek, zatrzymuje nadlatujące pociski. Ona mu to nakazuje. Jest tym węzem, widzi świat jego bladymi oczami, na języku czuje smak roztapianych pocisków. Ale to wciąż za mało – pobliski okręt marynarki zagraża im drogę.

Wąż daje nura pod wodę, płynie w tamtą stronę, większy i groźniejszy z każdym ruchem w górę i w dół. Jego oczami widzi żołnierzy – pokazują palcami, krzyczą z przerażenia. Bestia lada chwila zderzy się z nimi i wszystkich zatopi.

Nie! Æsa nie chce zabić już nikogo więcej, lecz nie potrafi tego powstrzymać. Magia nią zawładnęła. Na szczęście za plecami czuje obecność dziewcząt z Podziemia, które zakotwiczą ją w ciele. Jest też Willan – położył jej dłoń między łopatkami, działa na nią jak cuma.

Æsa bierze oddech i sięga w dół, jak najgłębiej, do morza swojej duszy, w najprawdziwszą część siebie, prosi o odwagę, która pomoże jej ratować i chronić, a nie niszczyć.

Jęk ulatuje z jej ust. Wąż daje nura, wpływa pod nieprzyjacielski okręt. Na moment wszystko zastyga w bezruchu, a potem potężna, grzmiąca fala podrywa go w powietrze. Æsa ciężko oddycha, próbuje skłonić węża, by nie przechylał statku. Gdyby tylko zdołała unieść go dość wysoko...

– Dobrze sobie radzisz – szepcze Willan. – Tak dalej, Æso.

Nakłania węża, by się wydłużył, teraz jest jak góra poruszająca się w ciemności. Z każdym oddechem Æsy zbliża się do klifów na brzegu Rogala. Okręt jest taki ciężki... o bogowie. Czuje, że opada z sił. Jacinta chwyta ją za rękę, mocno ściska.

Æsa robi, co może, ale wąż pieni się i chybotuje. Kieruje modlitwę do morza i do samej siebie, prosząc o to, czego jej trzeba.

Okręt z trzaskiem opada na klif, ląduje u podnóża migającej wieży strażniczej. Jak pijany chwieje się na kamieniach, ale się nie rozpada.

– Tak, Æso – słyszy czyjś głos. – Właśnie tak.

Gdy upada, ktoś łapie ją w pasie, ale zdążyła już opuścić ciało. Teraz jest swoim wężem i odpływa w głębiny. Nurkuje, woda omiata jej rozplywające się łuski. Po chwili się przełamuje i staje częścią fal.

Ćmy płomieniste przyciągają się swoim blaskiem, lgną do siebie, tworzą ogromne roje. Prawdopodobnie nie kieruje nimi instynkt godowy, tylko pragnienie bliskości. Najjaśniej świecą w mroku, gdy się ze sobą połączą.

– ENCYKLOPEDIA OWADÓW EUDEI

ROZDZIAŁ 35

ŚWIATEŁKA W MROKU

KTOŚ CIĄGNIE MATILDE przez chmury kłującej ciemności z powrotem za kurtynę na tyłach sceny. Gdy obraz nabiera ostrości, ukazuje jej się chłopak w liberii w kolorach Vestenów: czyżby sługa Dennana? Ale wtedy widzi jego loki.

– Alec? – Oczywiście: to Osłona Nocy spowiała przed chwilą salę balową. Matilde ma wrażenie, że serce utkwilo jej w gardle. – Na mroczne czeluści, co ty...

Ucisza ją.

– A jak ci się wydaje? Zabieram cię stąd.

Jej myśli są jak rozlane wino, nie potrafi nad nimi zapanować.

– Ale...

– No chodź, Tilde – Zacieśnia uścisk na jej ręce.

Ciągnie ją przez drzwi, a potem krętymi schodami w dół. Wychodzą w opustoszałym korytarzu, na ścianach po obu stronach wiszą półki pełne garnków i patelni – pewnie są w pobliżu kuchni. Matilde wie, że to Alec, przyjaciel, który przybył jej na ratunek, ale ma już dosyć bycia przestawianą z miejsca na miejsce.

– Alec, zaczekaj.

– Statek wkrótce odpłynie. – Prze naprzód, prowadząc ją za sobą. – Nie wiem, ile mamy czasu. Musimy...

– Alecand, a niech to!

Tym razem to ona wciąga go gdzieś przez otwarte drzwi. W wąskim pomieszczeniu znów są półki, kosze stoją na podłodze w równych rzędkach: to spiżarnia. Na stołku jasno świeci ćmowa latarnia.

Matilde patrzy na Aleca – jego rozbiegane oczy i pierś, która unosi się i opada. Zarzuca mu ręce na szyję, wciąga w płuca jego zapach. Młody alchemik pachnie

ziołami i frennetem, ale inaczej, niż zapamiętała. Teraz kryje się tam jeszcze jakaś gorzka nuta.

– Nie możemy się zatrzymywać – przekonuje, ale też oplata ją ramionami. – Musimy dotrzeć na statek i to szybko. Większość dziewcząt z Podziemia czeka już w luku towarowym.

– Jaki statek? – Umysł Matilde odmawia posłuszeństwa, myśli ciągle gdzieś pędzą. – Dokąd mamy płynąć?

– Jak najdalej z Simty, z dala od niebezpieczeństwa. Fen poszła po Æsę i Jacintę, ma je wydostać z więzienia. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, powinny już tam być.

Matilde czuje ucisk w piersi. Æsa była w Więzieniu Żuchwołamaczy? Nie, teraz nie pora się nad tym zastanawiać.

– Sayer z nimi nie ma. Dopiero co ją widziałam.

Przypomina jej się, jak Sayer w tłumie uniosła rękę, aby ocalić ją przed Pontifeksem. Tym sposobem pokazała mieszkańcom Simty, jakiego rodzaju mocą włada.

– Dołącz do nas w porcie – mówi Alec. – Tilde, musimy iść. Natychmiast.

– Przecież Epinine zamknęła port. Nie uda im się wypłynąć.

– Musimy zaryzykować.

Czyli znów mają uciekać, jak kryminaliści. Kryć się w cieniu... ale ona wyszła już na światło.

– Nie wyjadę z Simty – oświadcza. – Nie mogę.

– Co? A dlaczego nie?

– Tutaj jest moja rodzina. Potrzebują mnie.

– Twoja rodzina chciałaby, żebyś znalazła się w bezpiecznym miejscu.

– Nie rozumiesz?! – krzyczy. – Alec, mam dosyć uciekania.

Jej głos wzburzył ćmy z latarni. Policzki Aleca migoczą w rozszalałym świetle ich skrzydełek.

– Uciekając, dowiodę, że Pontifex miał rację, gdy twierdził, że jesteśmy groźne. Wypaczy wszystko, czego dokonałam, nastawi ludzi przeciwko nam. Jak teraz ucieknę, to już zawsze będę musiała uciekać.

Twarz Aleca przypomina skonsternowaną maskę.

– Co w takim razie zamierzasz? Zostać tutaj... z Dennenem Hainem?

Matilde sztywnieje.

– Nie zostaję tu dla Dennana. To nie o niego chodzi.

Po dzisiejszych wydarzeniach nie sposób mu ufać, ale może Matilde zdoła pokierować nim i Stołem tak, jak chce.

Co powiedział wcześniej Denna? „Nie możemy roztrząsać przeszłości. Musimy iść naprzód”. Pora ulepić przyszłość, jakiej pragnie dla siebie. Ale żeby to osiągnąć, musi zostać tutaj, być w centrum wydarzeń. Uczestniczyć w tej grze.

– Sam mi powiedziałeś, że chcesz zmian. Ty... Krastan. – Trudno wypowiedzieć jego imię, Matilde stara się opanować wzruszenie. – Chciałeś, żebym wyrzała za mury własnego ogrodu. Zrobiłam to, Alec. Dziewczyny posiadające magiczną moc przestały być sekretem. Teraz mam szansę zmienić zasady dla nas wszystkich. I wszystko naprawić.

– Robisz to, żeby wszystko naprawić? – Wyrzuca ręce w górę. – Czy raczej chcesz zostać królową?

Jak w ogóle mógł tak pomyśleć? Chciałaby wypłakać się w jego koszulę, krzyczeć, opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło. Ale jego oczy są zmęczone, nieprzejednane i pełne uczuć, których nie jest gotowa dostrzec.

Oparł dłonie na półkach, otacza ją teraz rękami, przynosi ze sobą zapach dymu i ziół.

– Tilde, Krastana już nie ma – szepcze. – Sklepu też nie. Potrzebuję cię.

– Musisz iść. – Dotyka jego twarzy, przemawia łagodnie. – Zanim ktoś nas nakryje.

Alec się odsuwa, jakby raził go piorun.

– Zostaniesz tu i będziesz jego Nocnym Ptakiem?

– To nie tak. – Dlaczego nie może jej zaufać? – Alec...

– Krastan trząsłby się z oburzenia, wiedząc, że będziesz odgrywać dziwkę Vestena.

Jego słowa palą jak piętno.

– Myśl sobie, co chcesz. – Odwraca się od niego. – Po prostu odejdz. Nie potrzebuję ratunku.

Jakaś cząstka niej pragnie, by dojrzał, co się kryje pod tą maską, wyciągnął do niej rękę.

– No tak, zapomniałem – prycha alchemik. – Pani „dam sobie radę”.

Odchodzi. Wszystko spowija cisza. Przez długi czas Matilde tylko się przygląda ćmom uwięzionym w klatce. Wreszcie otwiera zatrask, uchyla szklane drzwiczki. Ćmy prędko wyfruwają na zewnątrz, ale od razu się zlatują, jakby coś ciągnęło je do siebie. A potem obsiadają złotą suknię Matilde, rozświetlają blaskiem. W mroku użyczają jej swego światła.

„Zostaw mnie”, rzekła Wodna Niewiasta.

„Nie”, odparła Niewiasta Wietrzna.

Więzów między nami nie można przerwać.

*Choć mamy dwa ciała,
nasze serca biją jako jedno.*

– FRAGMENT ZAGINIONEGO POEMATU

ROZDZIAŁ 36

ĆMY NA WIETRZE

ZIE MATILDE TO tysiąc warstw sekretów. Niektóre mieszkają pod skórą, może je wyczarować, gdy ich potrzebuje. Błysk ognia w dłoni, para tłących się skrzydeł. Inne zagrzebała głęboko: lęki, ból, wątpliwości. Ukrywa je pod maską, której nie może zdjąć.

Idzie jednym z licznych korytarzy Skrzydlatego Pałacu, znajduje się w części prywatnej. Mija strażę – kiwają jej głowami na powitanie. Zniknęli Gwardziści i ich psy, zostali zastąpieni przez dawną załogę statku Dennana; jeszcze innych strażników zwerbowano spośród żołnierzy marynarki. Wszyscy zdają się go ubóstwiać.

Drzwi do gabinetu nowego zwierzchnika stoją otworem, ale w środku nie widać Dennana. Pewnie jest gdzieś w pałacu, planuje kolejne posunięcia. Od Krótkonocy minęły trzy dni, a on w tym czasie nie zmrużył oka. Podobnie zresztą jak ona.

Dzień po balu, na zgromadzeniu Stołu, oficjalnie wybrano go na zwierzchnika. Trochę ją zaskoczyło, że Rody go poparły, ale przecież wspominał, że ma na nie haki. Poza tym u jego boku stanęła jedna z ich córek – Nocny Ptak. Pewnie uznały, że rozsądniej będzie się nie sprzeciwiać, przynajmniej na razie. Co ciekawe, chyba nikogo nie niepokoi podejrzana śmierć poprzedniej zwierzchniczki.

„Gdybym była mężczyzną, nie próbowałiby takich sztuczek”.

Odsuwa od siebie to wspomnienie. Na jawie celowo nie myśli o Epinine. Wystarczy, że ta kobieta wciąż straszy w jej snach.

Oczywiście nie wszystkie Rody cieszą się z tego, że Dennan został nowym zwierzchnikiem. Co bardziej pobożne oburzyło to, że na balu postulował koniec prohibicji, ale niektóre upatrują w tym szansy na ograniczenie władzy Kościoła. Sam Kościół rzecz jasna potępił Dennana, choć Pontifex nie był obecny na zgromadzeniu Stołu. Został aresztowany po balu za usiłowanie zabójstwa Matilde... paskudny człowiek. Ale przecież w Simcie są ludzie, którzy wychwalają

go za to pod niebiosa. Część protestuje pod pałacem, wymachując transparentami w rodzaju „Czcijcie Źródło!” lub „Śmierć czarownicy!”.

Miasto powoli dzieli się na obozy, coraz częściej dochodzi do spięć. W powietrzu pachnie wojną.

Wchodzi do apartamentów, które Dennan kazał uprzątnąć dla jej rodziny. Matka siedzi przy biurku, pisze list, a Samson wyleguje się na dywanie, wachając półmisek czegoś aromatycznego. Odkąd odzyskał wolność, tylko jedzenie mu w głowie.

– Tilde – mówi z pełnymi ustami – podpaliłaś kogoś na spacerze?

Matka cmoka z przyganą.

– Samson, no naprawdę.

– Jeszcze nie, ale mogę spróbować, jak mnie zdenerwujesz – droczy się Matilde.

Samson wywraca oczami. Do jej magii i nowej sytuacji, w jakiej się znaleźli, podszedł wyjątkowo spokojnie – właściwie przyjął to znacznie lepiej, niż się spodziewała. Oczywiście nadal czuje się wstrząśnięta tym, że znów są razem, ale też kamień spadł jej z serca. Dennan odnalazł ich dzień po balu w jakimś zapadłym domu w Dzielnicy Smoka i sprowadził do pałacu. Niby nic się nie zmienili, lecz nie są tacy jak dawniej. Mają się na baczności. Ale może to tylko jej projekcja.

Dennan uważa, że dla bezpieczeństwa powinni na razie zostać tutaj. Ktoś już raz próbował podpalić posiadłość Dinatrisów – nastraszyć ich. Matilde straciła zaufanie do Dennana, ale w tej kwestii się z nim zgadza. Chce mieć bliskich przy sobie.

Zmierza na kryty balkon, gdzie babcia spędza teraz dużo czasu. Nie mówi wiele, odkąd Matilde opowiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło. Kiedy zdławionym głosem opowiedziała o Krastanie, babcia milczała i tylko łzy płynęły jej po policzkach.

– To moja wina, że umarł – powiedziała Matilde.

– Kochanie – odrzekła babcia – Kras zrobiłby wszystko, żeby cię ocalić. Kochał cię.

Nie zasłużył na los, jaki go spotkał. A człowiek, który doprowadził do jego śmierci, nadal jest na wolności. Nikt nie potrafi odnaleźć Czerwonej Ręki ani jego wyznawców, ale Matilde nie wątpi, że jeszcze napyta im kłopotów. Jedno z wielu zagrożeń, z którymi będzie musiała się uporać.

Z balkonu rozciąga się widok na Rozwidlenie, okalają go łukowate skrzydła z kamienia, które tworzą otwory okienne. Rozproszone światło księżyca migocze na powierzchni wody jak tysiące cekinów. Simta wygląda pięknie, lecz Matilde dostrzega też jej mroczne strony, których kiedyś nie widziała. Czy gdzieś tam nie kryją się dziewczyny posiadające magiczną moc?

Babcia odwraca się na odgłos kroków i posyła jej uśmiech. Ómowa latarnia, którą postawiła na parapecie, omiata ją wciąż zmieniającym się światłem.

– Wiesz – mówi, przyglądając się wnuczce – chyba jeszcze nigdy nie widziałam cię w spodniach.

Matilde nie może powstrzymać śmiechu.

– Możesz winić Sayer, ma na mnie zły wpływ.

Na myśl o niej czuje ból w piersi.

Tyle razy roztrząsała to, co się wydarzyło w sali balowej: uniesione ręce Sayer, trzaskające pioruny – zdemaskowała się dla niej. Dzień później, gdy kurz już opadł, tak bardzo się bała, że jakiś Gwardzista pojmał Sayer. Ale kolejnej nocy znalazła w swoich apartamentach liścik: „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Dinatris”. Zirykowało ją, że Sayer zakradła się niepostrzeżenie i nie została, żeby porozmawiać. Niedługo i tak będą musiały to zrobić, im szybciej, tym lepiej.

Ciekawe, czy Sayer i Fen są teraz gdzieś razem. Wie, że Æsa uciekła z miasta, zostawiając po sobie... niezatarte wrażenie. Dziewczyna, którą wszyscy nazywają czarownicą od fal, sprawiła, że monstrualny okręt osiadł na klifie simtańskiego Rogala – leży tam teraz jak wieloryb wyrzucony na brzeg. Mówi się o tym w całej Simcie, a pewnie i Republice.

To nie jedyny ślad, jaki odcisnęły Nocne Ptaki. Na ulicy Hester w Dzielnicy Pegaza zostały ślady po ogniu, a podłoga sali balowej w pałacu popękała od uderzeń piorunów. Słyszała też, że po ścianie w podwórzu jednego z domów w Dzielnicy Feniksa pnie się ogromna winorośl. „Wyrosła w okamgnieniu – szeptała jedna z jej nowych służących – na rozkaz kogoś w lisiej masce”. Magia, której nie widziano od wieków. „Dawna magia znów się budzi – szepczą ludzie. – Jest niebezpieczna”. Gdyby wiedzieli, co potrafi ich czwórka, kiedy połączą siły...

Ale sekret został pogrzebany wraz z Epinine, powiedzmy. Część mieszkańców Podziemia przekonała się, do czego są zdolne, podobnie zresztą jak ci dwaj Caska, którym udało się uciec. Nie wiadomo, komu o tym opowiedzieli. Dennon nie wie,

jedno dobre, a ona nie zamierza mu mówić. Niektórych sekretów lepiej nie odgrzebywać... przynajmniej na razie.

W nocy, gdy nie może spać, leży, rozmyślając o malowidłach w Podziemiu. Dawne Ogniste Ptaki były takie silne – co doprowadziło je do upadku? Chce poznać ich tajemnice, historie. Wciąż tak niewiele wiadomo o tych potężnych kobietach.

Cieszy się, że dziewczyny są bezpieczne, ale brakuje jej tego, co czuła, gdy były razem. W miejscu, gdzie wyczuwała więzi, teraz są pustka i ból. Pamięta, jak się poczuły, gdy złączyły ręce – stały się silniejsze. Czego jeszcze mogłyby dokonać razem? Kim się stać?

– Tilde, jesteś pewna...? – Babcia wyrywa ją z zamyślenia.

– Ale czego?

– Że obrałaś właściwą ścieżkę.

Chodzi jej o to, że postanowiła zostać w pałacu i sprzymierzyć się z Dennanem Hainem, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Gdy tylko staje u jego boku, w głowie słyszy gniewny głos Aleca: „Kraśtan trząśłby się z oburzenia, wiedząc, że będziesz odgrywać dziwkę Vestena”. Od czasu balu Dennan usiłuje naprawić to, co się między nimi zepsuło: zaprasza ją do udziału w spotkaniach, nazywa swoją doradczynią do spraw magii. Chyba naprawdę chce mieć ją za partnerkę, ale też umie kłamać jak z nut, o czym Matilde nie potrafi zapomnieć. Nie może mu ufać, lecz zamierza go wykorzystać. Tak oto wróciła do noszenia maski.

– Oficjalnie zostałam twarzą dziewczyn posiadających magiczną moc, a to znaczy, że stałam się też łatwym celem – wyjaśnia babcia. – Wolałabym, żebyś pozostała w ukryciu, gdzie nic ci nie grozi.

Niekiedy, gdy ma gorsze chwile, tęskni za dawnym życiem, poufnymi żarcikami i wieczorami pełnymi blasku, ale nie jest już Nocnym Ptakiem – tamte czasy minęły bezpowrotnie. Pora stworzyć nowe życie. Nie tylko ze względu na siebie, lecz także Aleca, pisklęta i wszystkich ludzi z Podziemia. Jeśli ona nie zapewni im lepszej przyszłości, to kto?

– Wszystko się zmienia, babciu – mówi. – Teraz mamy moc, jakiej nie widziano od pokoleń. Pojawia się coraz więcej dziewczyn, w których żyłach krąży magia. Jeśli dobrze to rozegram, może uda mi się zapewnić nam bezpieczeństwo. Nam wszystkim.

Babcia marszczy czoło.

– Ludzie obawiają się takiej mocy, zwłaszcza gdy jest w rękach kobiety. Igrasz z ogniem.

Usta lekko jej drgają.

– W końcu to mój żywioł.

Choć wydaje się pewna siebie, dręczą ją wątpliwości.

Spogląda na Rozwidlenie, tak bardzo chciałaby się znaleźć na łodzi, która tamtędy płynie. Nie opuściła pałacu, odkąd sprowadziła ją tu Epinine. Ale teraz nie jest już więźniarką: może wyjść, kiedy tylko zechce. Zostaje z wyboru, a jednak czasami czuje się uwięziona.

Ale nawet ptaki w klatce mają jakiś wybór, prawda? Mogą głośno protestować, bić skrzydłami o kraty, próbując je sforsować. Mogą też udawać uległość, póki ktoś nie otworzy drzwiczek.

– Krastan uważał, że jest mi pisane dokonać czegoś ważnego – mówi, powstrzymując łzy. – Nie chcę go rozczarować.

– Nie rozczarujesz – szepcze babcia. – To niemożliwe.

Sęk w tym, że Krastan uważał ją za Ognistego Ptaka. Nawet teraz nie jest pewna, czy mu wierzy, lecz jego wiara buzuje w niej jak płomień. Niemal tak jasny, że może spalić.



SAYER CZEKA POD ómową latarnią na Osiedlu Ogrodów. Wiele lat temu stała w tym samym miejscu, żeby się przekonać, czy ojciec ją rozpozna. Teraz chce mieć pewność, że mu się to nie uda, dlatego spowiła się w cień.

Po drugiej stronie ulicy na ciemnoniebieskich drzwiach Regnisów dostrzega kołatkę. Wilcza głowa: z pyska wystaje kółko, którym się stuka. Z tego miejsca przypomina potwora. Ma nadzieję, że to ranny potwór. W Krótkonoc musiała porzucić ojca, by zabrać nieprzytomną Fen w bezpieczne miejsce. Pewnie leżał tam wiele godzin, może nawet całą noc. Ciekawe, jaką bajeczkę opowiedział temu, kto go znalazł? Teraz jest z powrotem w domu, rozkoszuje się wygodami, jakby nic się nie stało, a on nie groził jej śmiercią. W Simcie cierpią nie ci, co powinni.

Kładzie dłoń na nadgarstku. W miejscu, gdzie związał ją sznurem, nadal czuje ból. Na samo wspomnienie robi jej się niedobrze – jeszcze gorzej, gdy przypomni sobie wiedźmory. Wciąż nie ma pojęcia, jak Wyllo się o niej dowiedział. Czyżby dostał ją od Czerwonej Ręki? Tylko dlaczego fanatyczny duchowny miałby ją trzymać w sekrecie przed Kościołem, a dzielić się nią z magnatem z Wielkiego Rodu? Najwyraźniej w Simcie na razie prawie nikt nie wie o istnieniu tego ziała, tylko jak długo to potrwa?

Niewidzialna podkrada się do schodów wejściowych, bierze głęboki wdech: nie czuje wiedźmory. Przykłada ucho do drzwi, z kieszeni wyjmuje zestaw wytrychów. Prędko udaje jej się uporać z zamkiem. Naoliwione zawiasy nie skrzypią.

Hol jest wysoki, wewnątrz przypomina kształtem oszlifowany kamień szlachetny, na każdej ciemnoniebieskiej ścianie wisi lustro. Mozaika na podłodze przedstawia wilka polującego na skrzydlate stworzenia. Nie powstrzyma jej to przed zakradnięciem się w głąb domu. Na palcach mija wazony z kwiatami i rodzinne portrety w złoconych ramach. W innej rzeczywistości to właśnie jej podobizna mogła zdobić te ściany. Ale Sayer nie ma rodziny.

A przynajmniej nie takiej, z którą łączą ją więzy krwi.

Przechodzi z jadalni do salonu, stąpa po cichu i ostrożnie. W końcu natrafia na ojca. Siedzi za biurkiem w gabinecie bez okien, ślęczy nad jakąś księgą. W pokoju pachnie dymem goździkowym i pastą do drewna. Na ścianie nad głową Wylly wisi poroże jakiejś bestii.

Sayer się podkrada, w końcu stoi tuż obok niego, upewnia się, że nadal jej nie widać. Ma satysfakcję, widząc siniec na jego policzku, ale to jeszcze za mało. Z osłonki wyciąga nóż.

Całymi dniami rozmyślała o tym, co mu powie, zanim zatopi w nim ostrze. Ale w głowie wciąż krążyły jej cudze słowa, których nie umiała uciszyć.

Matki: „Twoim przeznaczeniem są piękno i światło, a nie przemoc”.

I jeszcze Fen: „Zemsta wcale nie naprawi przeszłości. Ona zaślepia cię na to, co naprawdę ważne”.

Unosi nóż. Jeden cios i po sprawie. Zasłużył sobie. Wreszcie się od niego uwolni, jest na to gotowa.

Dłonie jej się trzęsą. „Do stu piekieł, Sayer, zrób to wreszcie”.

Wyllo podnosi głowę, jego spojrzenie kipi złością.

– Minna! – krzyczy.

Sayer podskakuje. Po chwili w drzwiach pojawia się żona Regnisa. Wydaje się młodsza niż na portretach olejnych, bardziej krucha.

– Tak, kochanie?

– W księgach jest zapis, że kazałaś uszyć dla Joleny ogrodniczki.

– To chyba lepiej... – w jej głosie pobrzmiewa strach – ...niż żeby brudziła sobie sukienki.

Pięść uderza o biurko. Minna się wzdryga.

– Moje dzieci nie będą się grzebać w piasku, jak jacyś mali ulicznicy. Powinna spędzać ten czas nad lekcjami, na które tyle wydaję.

– Mówiłam jej – wtrąca Minna. – Ale znasz naszą córkę. Jak coś jej przyjdzie do głowy...

– Obiecywałaś mi synów, a muszę znosić dziewczynki, którym wiecznie coś przychodzi do głowy!

Sayer najchętniej ugodziłaby go właśnie teraz – może nawet Minna by się ucieszyła. Ale zamiast tego wycofuje się po cichu.

Nie chodzi tylko o to, że nie chce zadźgać Regnisa na oczach jego delikatnej żony. Po prostu Fen miała rację: matka wcale by tego nie chciała. Co Sayer mogłaby w ten sposób osiągnąć? Chce, by ojciec na nią patrzył, gdy w końcu się na nim zemści. Zasłużył na to, by umierać w męczarniach, zanim pośle go do grobu.

Odwraca się, wymyka z pokoju, omija Minnę. Grasuje na obrzeżach domu, poruszając się na palcach. Może i nie zabije dziś Wylla, ale – niech to szlag – jest zbyt rozzłoszczona, by stąd odejść, nie ukradłszy chociaż kilku drogocennych bibelotów.

Mija otwarte okno z widokiem na ogród otoczony murem. Zapach roślinności przywodzi jej na myśl Fen. W domu Lety przespała ciągiem dwa dni. Sayer oczyściła jej rany, czuwała przy niej, rozmyślając o wydarzeniach tamtej nocy. O tym, jak Fen przyzwała na dziedzińcu metal, sprawiła, że wzbił się w powietrze i leciał. O słowach, które wypowiedziała szeptem: „Tig, jesteś moim cieniem. A ja twoim”.

Ale gdy Sayer zbudziła się dziś rano, Fen już nie było, ulotniła się bez słowa, tak jak ona wiele miesięcy wcześniej. Trudno mieć do niej o to żal. Muszą porozmawiać, a jednak coś ją powstrzymuje przed szukaniem Fen. Po co miałyby

to robić, skoro nawet nie wie, czego właściwie chce ani kim są dla siebie? Łączy je nierozzerwalna więź, to na pewno.

Odsuwa tę myśl, wdrapuje się po okazałych schodach. Powoli, powolutku, stara się nie wydawać żadnych dźwięków. Na szczycie omija sypialnię, zmierza na drugi koniec korytarza. Zza uchylonych drzwi dolatuje czyjś głos, słodki, ale wyraźnie sfrustrowany.

– A niech to wszystko...

Ciekawa, zagląda do środka. Pokój jest cały w pastelowych barwach, pełno tu falbanek, ale nigdzie nie dostrzega właścicielki. W otwartym oknie miga jasna koszula nocna. Na dachu siedzi dziewczynka! To pewnie Jolena, ta od ogrodniczek, która lubi się bawić w ogrodzie. Sayer widzi ją z profilu. Nie powinno jej dziwić, że są trochę podobne, a jednak czuje zaskoczenie. Ile może mieć lat? Najwyżej trzynaście, jest zadbana i wytworna. Nawet wstążka w jej włosach świadczy o życiu w luksusach, bez cienia zmartwień. Usta Sayer się wykrzywiają, na języku czuje posmak goryczy.

Potem przenosi wzrok na ręce Joleny – nie są wcale czyste. Pod paznokciami widać ciemne półksiężyce, otacza dłońmi kupkę ziemi. Wpatruje się w nią, jakby oczekiwała, że coś się wydarzy. Sayer czuje mrowienie na rękach.

Dziewczynka się krzywi, złorzeczy. Co ona tam robi?

Sayer ostrożnie wychodzi przez okno, podkrada się. Jolena cały czas wpatruje się w kupkę ziemi i marszczy brwi. Zaczyna śpiewać pod nosem, a gdy z ziemi w końcu coś wyrasta, wydaje okrzyk zdumienia. To roślina, rozwija postrzępione listki – Sayer się przygląda – rośnie szybko, to... prawie jak magia. Nie! To jest magia.

Wyllo Regnis ma dwie córki, które posiadają magiczne zdolności.

Kocia pożoga! Szlag go trafi, jak się o tym dowie.

Powinna stąd odejść, ale zamiast tego dosiada się do dziewczynki, po jej prawej stronie, nadal spowita w cień. Jolena sztywnieje, nie porusza się.

– Jest tam kto? – szepcze.

Sayer wstrzymuje oddech, bije się z myślami.

– Czy to ty? Czarownica od burz?

Usta jej drgają. Słyszała, że po tym, czego dokonała w pałacu, zyskała taki przydomek w plotkarskich kręgach Simty. Ludzie nadal nie znają jej prawdziwego

imienia. Właściwie nie zna go nikt prócz grona zaufanych osób i tego okropnego człowieka na dole.

Dziewczynce buzia się nie zamyka.

– Ludzie chyba myślą, że to obelga, ale mi tam się podoba. Budzi postrach.

– Też tak sędzę – odpowiada Sayer.

Jolena bierze gwałtowny wdech. Nie powinna się przed nią ujawniać, a jednak... Zerka przez okno, zagląda do pokoju, upewnia, że jeśli ktoś stanie w drzwiach, to jej nie zobaczy. Staje się widzialna.

Uśmiech dziewczynki jest szeroki i ciepły. Piegi zdobią jej policzki jak konstelacja gwiazd.

– Wiedziałam, że to ty! Naprawdę rozpętałaś burzę w pałacu? – pyta, jakby nie było nic dziwnego w tym, że na dachu nagle zjawiła się jakaś dziewczyna. – Naprawdę wyrzuciłaś Pontifeksa w powietrze?

Sayer kiwa głową.

– Do stu piekieł – klnie Jolena. – Chciałabym to zobaczyć.

Sayer spogląda w dół na roślinę, którą Jolena skłoniła do puszczenia pędów.

– Ty chyba też posiadasz niezwykle talenty...

– Kilka tygodni temu zrobiłam to po raz pierwszy. – Marszczy czoło. – Jeszcze nie wiem, jak to działa, ale wkrótce się dowiem.

Im więcej mocy ma dziewczyna, tym zacieklej ludzie próbują ją tego pozbawić. Sayer przekonała się o tym boleśnie na własnej skórze.

Matilde chce zmieniać system od środka. Sayer to rozumie. Ale młyny polityki miały powoli, a plotki i strach szerzą się w zastraszającym tempie. Kościół już wydaje groźne pomruki, namawia do polowania na czarownice, nic sobie nie robiąc z tego, co Stół ma do powiedzenia na ten temat. Ludzie poszukują takich dziewczynek jak Jolena, żeby je wykorzystać lub sobie podporządkować. Nie chroni ich żadne prawo. Na ulicy każda jest zdana na siebie.

Jolena przejeżdża palcem po roślinie, którą właśnie wyhodowała. Wyrósł z niej maleńki biały kwiatek o płatkach w czerwonej otoczce.

– Przyszłaś tu, żeby mi pokazać, jak się czaruje? – pyta, podnosząc wzrok.

– Nie, chciałam ci raczej powiedzieć, żebyś uważała, gdzie ćwiczysz. Tutaj ktoś mógłby cię zobaczyć.

Oczy Joleny błyskają. Sayer dostrzega w nich kawałek siebie.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią. Ja się tego nie wstydzę.

Sayer czuje w piersi ucisk, którego wcześniej tam nie było.

– Chciałabym się stawać niewidzialna jak ty. – Jej twarz pochmurnieje. – Ojciec na nic mi nie pozwala. Mówi, że mam się nauczyć zachowywać jak dama, więc cały czas siedzę zamknięta w środku.

Zamknięta w tym domu, z człowiekiem, który już próbował skrzywdzić jedną córkę posiadającą magiczną moc. Co by zrobił, wiedząc, że druga mieszka pod jego dachem? Należy do rodziny, którą łaskawie uznał za swoją. Nie potrafi zapomnieć, jak ciągnął ją na sznurze za nadgarstki. „Wolę cię zabić, niż mieć czarownicę za córkę”. Ilu jeszcze ojców w Simcie podziela ten pogląd?

– Czy twój ojciec wie, co potrafisz?

– Nie – odrzeka Jolena. – Nie lubię mieć sekretów, ale matka twierdzi, że o tym nie wolno mówić.

Sayer zastanawia się, ile piskląt zostało w Simcie. Przecież nie mogły wszystkie odpłynąć na statku z Æsą. Ile jest nowych dziewczyn, takich jak Jolena, które dopiero co odkrywają swoje magiczne zdolności, ale nie mogą uciec do Podziemia? Kto się teraz o nie zatroszczy?

– Nie mogę cię nauczyć, jak się zamienić w cień – mówi, wyciągając nóż z osłonki. – Ale mogę ci pokazać coś innego.

Podrzuca nóż, obracając go w locie. Błyska ostrze. Nóż zawisa w powietrzu tuż nad jej dłonią.

Usta Joleny układają się w kształt litery O.

– Pokażesz mi, jak sprawić, żeby przedmioty fruwały?

– Nie. – Sayer się uśmiecha. – Mam zamiar nauczyć cię, jak się walczy.

Później zostawia Jolene nóż i liścik, który dziewczynka obiecała podrzucić na biurko ojca.

*Wyllu Regnisie,
będę cię obserwować. Jeśli skrzywdzisz jeszcze jakąś dziewczynę, która posiada magiczną moc, to przysięgam, że pošlę cię do piachu.*

Z poważaniem

Czarownica od burz

Wraca pod ómową latarnię. Migotanie złotego światła przywodzi jej na myśl Matilde. Nie rozumie jej postępowania. Sądzi, że co takiego osiągnie w pałacu głędzeniem i manipulowaniem? Najwyraźniej uznała, że może zaprowadzić zmiany, wychodząc na światło dzienne.

Zmiany rzeczywiście są konieczne, Sayer też to widzi. Może nawet potrafiłaby uwierzyć, że może mieć w nich swój udział. Ale nie zamierza robić tego na oczach całej Simty. Będzie jak nóż w mroku.



FEN TRZYMA dłonie na stole. Chciałaby podrapać świeży strup na ramieniu – właściwie to go rozdrapać – ale woli nie zwracać uwagi zebranych na swoje rany. Zwłaszcza że przy stole na poddaszu w Sali Tronowej siedzą wszyscy przywódcy gangów biegusów. Już i tak czuje się obnażona.

Jednym haustem opróżnia kieliszek illishańskiej whisky. Prawie nigdy nie pije, ale tym razem musi zagłuszyć ból. Przed trzema nocami ledwie uciekła Dorisallowi i jego poplecznikom na podwórzu w Dzielnicy Feniksa. Strzała przebiła jej ramię, więc Fen musiała wspinać się po swojej winorośli, korzystając z jednej ręki. Serce łomotało jej jak oszalałe, gdy Dorisall wrzeszczał do niej z dołu. A teraz znów gdzieś przepadł, liże rany i rośnie w siłę. Tłumi dreszcze – powinna go zabić wiele lat temu. Ale za każdym razem, gdy ten potwór jest w pobliżu, znów czuje się jak dziecko uwięzione w piwnicy. Kocia požoga! Przecież jest teraz Fenlin Brae: niczego się nie boi.

Największe kłamstwo, jakie wciska z powodzeniem.

Herszt Zwinnych Noży stuka kłykciami w stół.

– No dalej, panowie. Mamy sporo spraw do przegadania.

Zabrało się tu dzisiaj siedmioro przywódców gangów Simty, ubranych w odświętne stroje. Fen wdziała najlepszą pomarańczową kamizelkę, a zielone oko zasłoniła nową przepaską. Po prawicy każdego przywódcy siedzi jego zastępca. Olsa dobrze się sprawdza w tej roli: lojalny i nie zadaje pytań. Z drugiego końca wypolerowanego stołu gniewnie łypie na nią Gwellyn, drugi po starym herszcie Krakenów. Niech się gapi – Fen ma większe zmartwienia. Jej podziemny ogród

zmyła fala, a z nim zniknęły też pieniądze, które utopiła w tym przedsięwzięciu. Ciemne Gwiazdy potrzebują zastrzyku gotówki – i to ona musi znaleźć sposób, żeby to naprawić. Nie ma czasu ulegać obsesji na punkcie Sayer. A jednak nie może przestać myśleć o niej i o tym, co się wydarzyło tamtej nocy w okolicach pałacu. Wspomnienie pulsuje jak rana, która nie chce się zagoić. „Zawsze potrafię cię odnaleźć. Tig, jesteś moim cieniem, a ja twoim”. Równie dobrze mogła wydrzeć sobie z piersi serce i położyć na bruku. Ujawniła zbyt wiele swoich sekretów.

Z zamyślenia wyrywa ją przywódca Zwinnych Noży.

– W Simcie szybko zachodzą zmiany. Musimy się przystosować. Pogadajmy o tym, jak sobie radzić z magicznymi dziewczynami.

Jak je kontrolować – to chciał powiedzieć. Wykorzystać. Ogarnia ją obrzydzenie, ale nie daje nic po sobie pokazać.

– Nie chcemy wojen między sobą – grzmi herszt Morskich Głębi. – Musimy zachowywać się kulturalnie. Nie podkradać sobie dziewczyn. Trzeba nam jasnych reguł co do tego, która do kogo należy.

– Może przyjmijmy zasadę „znalezione, nie kradzione” – wtrąca się Gwellyn. – Jak już ktoś znajdzie taką dziewczynę, to może ją sobie zatrzymać, mniejsza o to, na czyim był wtedy terenie.

Fen stara się przemawiać głosem wyczutym z emocji.

– Gwell, gadasz, jakby to były fiołki z zakazaną substancją, które można podnieść i schować do kieszeni. Rozmawiamy o ludziach.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ukazując przerwę w miejscu, gdzie powinna być niebieska nakładka.

– Rozumiem, czemu tak sądzisz, mając na uwadze twoje... powiązania.

Włoski jeżą jej się na szyi ze zdenerwowania. Oczywiście pije do Sayer. Nie jest całkiem pewien, że posiada magiczną moc, ale nabrał podejrzeń. Tą uwagą chciał dopiec Fen i osiągnął cel.

– Chyba rozumiecie, że nie da się z tych dziewczyn wydobyć magii siłą – mówi Fen. – Muszą oddać ją z własnej woli.

Przywódca Siewców Strachu nachyla się przez stół.

– A ty skąd to wiesz, Fenlin? Masz jakieś informacje, którymi chcesz się podzielić z grupą?

– Tak słyszałam. – Wzrusza ramionami, stara się nie wpadać w popłoch. – Ludzie gadają na ulicy.

Sięga po pudełko z mastyksem, odrywa kawałeczek. Nie zostało jej go wiele, bo główne źródło zaopatrzenia spoczęło pod wodą. Kolejny problem do rozwiązania. Ale jeśli życie czegoś ją nauczyło, to sztuki przetrwania.

„Już dobrze”, powiedziała jej Æsa, nim Fen przeniosła ją w bezpieczne miejsce. „Uwolnij to, nie bój się”.

Łatwo jej mówić, nigdy nie mieszkała w Dzielnicy Gryfa. Gdyby ci mężczyźni wiedzieli, do czego jest zdolna, wykorzystaliby to przeciwko niej. Rozbiliby w pył życie, które stworzyła, i gang, który kocha. Ale nie wiedzą i Fen dopilnuje, żeby tak zostało.

– Nikt nie mówi o braniu ich siłą – rzeźni stary herszt Krakenów. – Dziewczyny, które posiadają taką moc, mogą potrzebować ochrony biegusów z różnych powodów. Założę się, że niejedna zgodziłaby się pracować dla nas za darmo.

Ale w Simcie nie ma nic za darmo, za to istnieje wiele sposobów, by skłonić kogoś do wykonywania poleceń. Biegusy robią to bez przerwy. Już widzi ten burdel Zwinnych Noży pełen dziewczyn sprzedających magiczne pocałunki, oddających swoje zarobki gangom. Skóra jej cierpnie. Chce krzyczeć, ale odchyła się na krześle, udaje niewzruszoną – zmusza się do tego. Nie może sobie pozwolić na sprzeciw w tej sprawie.

A jednak nie może też tego ignorować. Tak postąpiła z Czerwoną Ręką i prosię, do czego to doprowadziło. Miała swój udział w tym, kim stał się ten człowiek – to z jej powodu wiedźmora stanowi teraz poważniejszy problem. Kto wie, jak długo da się to ukrywać przed takimi mężczyznami, jak ci przy tym stole. I jak długo sama zdoła ukrywać swoje sekrety...

Myśli o wszystkich dziewczynach w Dzielnicy Gryfa podobnych do niej kiedyś: przestraszonych, posiadających moc, która uczyniła z nich cel. „Cienie trzymają się razem”. Kłopot w tym, że cieni, którymi musi się zająć, jest za dużo.



ÆSA ZAMYKA OCZY, czeka, aż morską mgielką osiadzie jej na powiekach. Mieszkańcy wysp Illish traktują ocean jak żywą istotę, która ma swoje zdanie i humory, ale jeszcze nigdy nie wydawał jej się żywy w taki sposób.

Chwyta za reling. Dookoła uwijają się żeglarze, ale żaden nie ośmiela się zbliżyć. Odkąd obudziła się ze swego zaklęcia, trzymają się na dystans. Chylą głowy i na czole wykonują znak, który w jej rodzinnych stronach oznacza szacunek. Zupełnie jakby teraz widzieli w niej symbol, a nie zwykłą dziewczynę. Rozumie to. Po tym gdy całkowicie poddała się działaniu magii, czuje się oddalona od swego otoczenia. Jakby należała do tego świata, ale jednocześnie wciąż znajdowała się pod wodą.

Słońce chyłkiem oddala się za horyzont – trudno nie myśleć o tym, co się tam kryje. Od ucieczki z Simty minęło kilka dni. Wciąż wraca myślami do Matilde, Sayer i Fen. Czy nic im się nie stało? Czy zdołały się uratować, przyszły sobie z pomocą? Próbowwała dosięgnąć ich przez więzy, które je łączą, ale wszystko ucichło... Może ozywają tylko, gdy są blisko.

Jacinta wraz z większością dziewcząt przebywa teraz pod pokładem. Æsa unika ich, jak może. Patrzą na nią tak, jakby wiedziały, co przyniesie przyszłość. Najwięcej czasu spędza na pokładzie, przysłuchując się nawoływaniom morskich ptaków. Wiszą w powietrzu, takie beztroskie i wolne.

– Piękny dzień na żeglowanie.

Willan staje przy niej. W przeciwieństwie do swojej załogi nie zgina karku. Patrzy na nią ciepłym, niezmaconym wzrokiem, tak samo jak przed wyjazdem z Simty.

Wystawił twarz do wiatru, woda zdaje się być jego domem. Taki przystojny, promienieje w blasku zachodzącego słońca.

– Za jakąś godzinę pewnie będzie je widać.

Mówi o wyspach Illish. Æsa powinna się cieszyć, ale nic nie wydaje się takie, jak być powinno.

Willan patrzy, jakby wypowiedziała myśli na głos.

– Na Illan zawsze wracam z uśmiechem – ciągnie. – To miejsce kojarzy mi się z najszcześniejszymi chwilami w moim życiu. Ale też napawa mnie smutkiem, bo to już nie to samo bez mojego taty... Czasami się zastanawiam, czy jak już raz opuścisz dom, powrót w ogóle jest możliwy.

Æsa przetyka ślinę, ma ściśnięte gardło.

– Tak długo marzyłam tylko o tym, żeby wrócić. Ale teraz... – Patrzy na nią, pełen wyczekiwania. – ...chyba boję się, co sobie pomyślą rodzice.

Szczególnie tata. Æsa już wie, że jej magii nie da się zdusić. Jest częścią niej i cokolwiek mówiliby Pontifex i Czerwona Ręka, wcale nie musi być zła. Ale czy tata nie będzie rozczarowany, gdy się dowie, że ma *sheldar* za córkę? Czy zobaczy w niej zagrożenie?

– Nie możesz tego wiedzieć z góry – zauważa Willan. – Mogą cię jeszcze zaskoczyć.

Krzyżują spojrzenia. Jak to się dzieje, że za sprawą tego chłopaka czuje się jednocześnie zakotwiczona i rozchwiana?

– Co zrobisz, jak już dopłyniemy? – pyta, usiłując zachować swobodny ton. – Wrócisz na jakiś czas do domu po ojcu czy raczej popłyniesz dalej?

Willan patrzy na nią jak na horyzont, do którego zmierza.

– Fala z falą, płyniemy razem, Æso.

W tych słowach kryje się powaga przysięgi – to uroczysta obietnica. Wartki prąd wody między nimi zdaje się przybierać na sile. Mama Æsy nieraz opowiadała o tym, jak poznała jej tatę – swojego ukochanego, swojego apselma. Ich oczy spotkały się, gdy tańczyli przy ognisku w noc Równopływu. Powiedziała, że właściwie zobaczyła w płomieniach ich wspólną przyszłość. Tak jakby ich historia została już zapisana, a ona musiała tylko zdecydować, czy uda się w tym kierunku.

Czy Æsa się na to odważy?

Wyciąga rękę, splatają razem palce. Zdąza jeszcze dojrzeć jego uśmiech, a potem obezwładnia ją wizja. To jakiś Willan z przyszłości, nachyla się, by pocałować ją gwałtownie, na wargach ma sól i morską mgiełkę. Kiedy się odsuwa, widać krew. Jest wszędzie, plami mu kurtkę. Patrzy na nią tak, jakby to ona zadała mu tę ranę.

Przestraszona, wraca do terażniejszości. Willan marszczy brwi.

– O co chodzi, Æso?

– Nie chcę cię skrzywdzić. – Mruga intensywnie i zabiera rękę.

– Czemu się tym martwisz?

Dlatego że już raz skrzywdziła innego chłopca. A teraz jest *sheldar* lub kimś w tym rodzaju. Musi nią być ze względu na dziewczyny pod pokładem. Są bezbronne, narażone na niebezpieczeństwo, niektóre zostały bez rodziny, zmierzają do zupełnie obcej krainy. Kto wie, czy simtańska marynarka nie przyplynie tu, by na nie polować. A jak nie oni, to na pewno ktoś inny. Jeśli Willan

tu z nią zostanie, też stanie się celem. Niewykluczone, że nie można być zarazem *sheldar* i czyjąś *apselm*.

Udaje obojętność w głosie.

– Podjęłam decyzję, że już nigdy nie będę się z nikim całować. Nie wiem, po co miałbyś zostawać.

Spodziewała się, że go tym ugodzi, ale tylko się lekko uśmiechnął.

– Wszystko to pięknie, *kilventra*, ale jak chcesz się mnie pozbyć, to będziesz się musiała bardziej postarać.

Po tych słowach odchodzi, by zająć miejsce za sterem.

Patrząc na niego, *Æsa* doznaje dziwnego wrażenia. Już kiedyś widziała tę chwilę w swoich snach. To była jedna z pierwszych wizji, jakie miała w *Simcie*: *Willan* na statku, odchodzący w stronę zachodzącego słońca. Zastanawia się, czy przyszłość z jego udziałem, którą właśnie zobaczyła, naprawdę musi się wydarzyć. Czy została zapisana na piasku, który rusza się i przesypuje, czy raczej jest z góry przesądzona? Jaki wpływ mają jej wybory, czy mogą coś zmienić?

Na horyzoncie majaczą trzy ciemne kształty, ptactwo krąży nad nimi. Trzy Siostry: klify witające podróżnych przybijających do wybrzeży *Illanu* z południowej strony. Wzbiera w niej radość pomieszana z innymi uczuciami.

Wraca myślami do dnia, w którym *Jacinta* przepowiedziała jej przyszłość: „Przed tobą kręta droga, ale w końcu zaprowadzi cię do domu”. Teraz *Illan* nie jest już jedynym miejscem, które nosi w sercu. Z tymi trzema dziewczynami w *Simcie* zostawiła też część siebie. Choć przyszłość rysuje się niewyraźnie, *Æsa* ma nieodparte wrażenie, że jeszcze się spotkają. Czeka ją tam na nią, na tym odległym brzegu.

– CIĄG DALSZY NASTĄPI –

PODZIĘKOWANIA

CĘSTO MARZYŁAM o tym, że piszę swoje pierwsze podziękowania. To cudowne móc dziękować aż tylu osobom.

Wyrazy uwielbienia dla mojego agenta Josha Adamsa (i Tracey, jego niezmordowanej zastępczyni) za wiarę we mnie i w tę książkę. Josh, dziękuję, że byłeś moją spokojną przystanią w czasie burzy. Jestem Ci dłużna klopsiki z Ikei. Podziękowania należą się też wszystkim zagranicznym agencjom, z których pomocą ta książka obiegrała świat i zagościła w miejscach, które mam nadzieję odwiedzić – już się nie mogę doczekać.

Cały zespół Penguin Teen i Nancy Paulsen Books najchętniej obsypałabym błyszczącym konfetti. Cieszę się, że mogłam się wybrać w tę podróż z tak niezwykłymi ludźmi. Wdzięczna jestem zwłaszcza mojej utalentowanej redaktorce Stacey Barney za to, że pokochała moje magiczne bohaterki całym sercem i pomogła mi napisać najlepszą wersję tej powieści. Chyba zesłały mi Cię gwiazdy! Za ciągłe wsparcie dziękuję też Jennifer Klonsky, kibicującej mi od samego początku, Nancy Paulsen oraz wszystkim osobom, które dzieliły się ze mną wiedzą i ciężko pracowały przy tworzeniu i promocji książki, między innymi Caitlin Tutterow, która jest zawsze dostępna, gdy jej potrzebuję, Felicity Valence i całemu zespołowi do spraw marketingu cyfrowego, a także Olivii Russo, mojej cudownej specjalistce od reklamy, i niezwykłym redaktorkom i korektorkom, które ratowały mnie z oparów więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć: Laurel Robinson, Janet Rosenberg i Cindy Howle. Podziękowania też dla osób pracujących za kulisami. Nawet jeśli jeszcze się nie poznaliśmy, to wiedzcie, że doceniam Wasze wysiłki i dziękuję Wam z głębi serca.

Kolejkę magicznych koktajli stawiam wszystkim utalentowanym osobom, dzięki którym *Nightbirds. Nocne Ptaki* cieszą oczy. Aykut Aydoğdu, którego niezwykle dzieło zdobi tę książkę (niech mnie ktoś uszczypnie!), i Jessica Jenkins, która zamieniła je w okładkę z moich marzeń – dziękuję Wam! Podziękowania również dla Svety Doroshevej, która ukazała mój fikcyjny świat na

najwspanialszych mapach, jakie można sobie wyobrazić, oraz dla Suki Boynton, dzięki której książka wygląda tak pięknie w środku. Jestem przeszczęśliwą autorką.

Wszystkim bibliotekarkom i bibliotekarzom, księgarzom i księgarkom, nauczycielkom i nauczycielom, blogerom i blogerkom, youtuberkom i youtuberom, instagramerom i instagramerkom, tiktokerkom i tiktokerom, a także innym molom książkowym, dzięki którym książka zdobyła rozgłos i którzy pomogli ją promować, chciałam powiedzieć: wspaniała robota! Jestem Wam dożgonnie wdzięczna. Dziękuję też Mirandzie, jednej z pierwszych fanek książki, za to, że swoim podekscytowaniem motywowała mnie do działania, oraz Carly, że mnie dopingowała i przesyłała dowcipy rysunkowe, które rozśmieszały mnie, gdy tego najbardziej potrzebowałam. Oczywiście dziękuję również słuchaczom i słuchaczkom podkastu *Pub Dates*, w którym omawiałam drogę *Nightbirds. Nocnych Ptaków* do publikacji. Cudownie było dzielić z Wami tę szaloną, magiczną przygodę. Dziękuję także Wam, czytelniczki i czytelnicy, którzy postanowiliście dać tej książce szansę. To dzięki Wam mogę robić to, co kocham.

Dziękuję też fanom i fankom podkastu *The Exploress*. Na początku byłam tylko ja, mikrofon i chęć opowiadania o kobietach na MÓJ własny sposób, ale dzięki Wam projekt znacznie się rozrósł. Wasz entuzjazm pomógł mi też stworzyć tę powieść. Jestem wdzięczna moim poprzedniczkom, które przetały szlaki, i przyjaciółkom podkastu o historii kobiet, których praca mnie inspirowała, szczególnie Beckettowi i Susan, Olivii i Katie, Genn i Jenny oraz Katy i Nathanowi (chylę czoła!).

Wieczna miłość i wszystkie brownie świata należą się mojemu wieloletniemu krytykowi i partnerowi Ryanowi Graudinowi. Dzięki Tobie bez wątpienia jestem lepszą pisarką. Dziękuję Ci za to, że od ponad dekady trzymasz mnie za rękę i nie puszczasz. Do Amie Kaufman: Yody świata wydawniczego, głosu rozsądku i przyjaciółki na dobre i złe – bez Ciebie bym zginęła. Podziękowania dla koleżanek i kolegów po piórze za to, że są naprawdę wspaniali, szczególnie dla Lili Wilkinson, istnej czarodziejki, i dla Ellie Marney – za krytykę i wsparcie.

Jestem szczęściarą, że mam taką przyjaciółkę jak Kaitlin Seifert – gdyby nie jej entuzjazm, ta powieść mogła skończyć w płomieniach. Myślę, że przeczytałaś ją więcej razy ode mnie – z pewnością nie byłaby taka dobra, gdyby nie nasze nocne pogawędki o magii i uczuciach. Layli Seifert, mojej pierwszej nastoletniej

czytelniczce, chciałam powiedzieć: dzięki, że obdarzyłaś pisklęta takimi supermocami! Jestem też wdzięczna Cath Gablonski za sokole oko, redaktorską odwagę i nieustający doping.

Eve i The Sparkle Girls, Lyndsey, Nadja, Lori, Tori, Claire, Misty, Bel, Loran, Annie, Smeds i Goldman... – lista przyjaciół, którzy kibicują mi od lat, jest naprawdę długa, a ja pragnę podziękować Wam wszystkim! Również przyjaciółom z Nest oraz moim uczniom i uczennicom z Charles E. Smith Jewish Day School: trudno oddać słowami to, jak mnie inspirowaliście. Szczególne podziękowania dla Stevena Reichela i Alison Kraner, którzy uznali moje pisanie za wartę lektury.

Mam szczęście do niezwykłych nauczycielek i nauczycieli, bez których ta książka raczej by nie powstała. Pani Rapson powiesiła sobie mój wiersz nad biurkiem i zachęcała, żebym pisała dalej. Aaron Sacks i Jeff Rosinski zarazili mnie miłością do historii i literatury i zmienili moje życie bardziej, niż im się wydaje. Podobnie Jay Paul, najlepszy nauczyciel kreatywnego pisania na świecie, i Kim Wilkins, którą chciałabym zostać, gdy dorosnę.

I w końcu dziękuję mojej rodzinie, która zawsze wspierała mnie najmocniej: mojemu tacie (który kupił więcej egzemplarzy tej książki, niż nakazuje zdrowy rozsądek...), Carol, Johnowi (braciszku, będziesz musiał wnikliwie przeczytać *Nightbirds. Nocne Ptaki*, żeby się przekonać, jak bardzo się tobą inspirowałam), Beth, Chevalierom i Gablonskim, w tym Elizabeth (widzę cię, odłóż ołówki!), i wszystkim moim ulubionym mieszkańcom Kanady. Macham też do Raya (tak bym chciała, żebyśmy mogli nalać sobie czerwonego wina i wspólnie świętować tę chwilę!) i do mojej bratanicy Victorii: nie mogę się doczekać momentu, kiedy porozmawiamy o tej książce, i dnia, w którym wydasz własną. Dziękuję również babciom, stryjecznemu dziadkowi Jackowi i dziadkowi Chevowi, którzy zainspirowali moją kreatywną podróż. Mam nadzieję, że patrzycie z góry.

Ogromne podziękowania dla mojej mamy, Edie Chevalier. Wspierałaś mnie na każdym etapie tej drogi – czytałaś pierwsze strony, które napisałam, krzyczałaś na mnie, żebym się nie poddawała, i co wieczór szykowałaś mi kolację, gdy walczyłam z poprawkami. Dziękuję, że zaszczepiłaś we mnie miłość do opowieści i przekonałaś, że warto się podzielić tymi, które mam do opowiedzenia.

Dziękuję też Paulowi, mojemu mężowi. To najlepszy przyjaciel, partner i towarzysz wszystkich przygód. Bez Ciebie bym tego nie zrobiła. Kocham Cię.

Spis treści

Dedykacja

Prolog. Magia w pocałunku

CZĘŚĆ I. TYSIĄC WARSTW SEKRETÓW

Rozdział 1. Klejnot, gwiazda i morze

Rozdział 2. Wizyty o północy

Rozdział 3. Prawda czy kłamstwo

Rozdział 4. Nie wszystko złoto, co się świeci

Rozdział 5. Cień i blask

Rozdział 6. Fala z falą

CZĘŚĆ II. IGRANIE Z OGNIEM

Rozdział 7. Karty na stół

Rozdział 8. Klub kłamców

Rozdział 9. Deszcz niebieskiego szkła

Rozdział 10. Przyszpilone skrzydełka

Rozdział 11. Zdemaskowane

CZĘŚĆ III. CO SIĘ KRYJE W MROKU

Rozdział 12. Przynieś swój ogień

Rozdział 13. Kwiaty oceanu

Rozdział 14. Pisklęta

Rozdział 15. Szmer liści

Rozdział 16. Powolne spalanie

Rozdział 17. Strumienie losu

Rozdział 18. Więź serc

Rozdział 19. Na powierzchni

Rozdział 20. Wyjście z cienia

Rozdział 21. Poprzez ogień

Rozdział 22. Sekrety splamione źródłem

Rozdział 23. Połączana klatka

Rozdział 24. Zbyt potężna moc

Rozdział 25. Nowe zasady

CZĘŚĆ IV. ROZPOSTARTE SKRZYDŁA

Rozdział 26. Trucizna w przebraniu słodczy

Rozdział 27. Jaskinia smoka

Rozdział 28. Poskramianie rzek

Rozdział 29. Gra się toczy

Rozdział 30. Zrywanie łańcuchów

Rozdział 31. Oślepiający blask

Rozdział 32. Zielona i dzika

Rozdział 33. Cienie

Rozdział 34. Odwaga Sheldar

Rozdział 35. Światelka w mroku

Rozdział 36. Ćmy na wietrze

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
Nightbirds

Projekt okładki
Jessica Jenkins

Ilustracja na okładce
Aykut Aydoğdu

Mapy
Sveta Dorosheva

Adaptacja okładki i map
Karolina Żelazińska

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Kaftan

Redakcja
Aleksandra Kubis

Korekta
Ida Świerkocka
Justyna Domagała

Copyright © Kate Armstrong, 2023
First published in the United States of America by Nancy Paulsen Books,
an imprint of Penguin Random House LLC, 2023
Copyright © for the Polish translation by Olga Dziedzic, 2023
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-8032-961-4



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Wiertnicza 36
02-952 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)